PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY DZIEWIĄTY. — TOM CXIV.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1912.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1912.

Popularyzacya pragmatyzmu u nas.[1]

William James w swoim „Pragmatyźmie" powiada: „Nie tylko Walt Whitman mógł napisać, kto się tknie tej książki, zetknie się z człowiekiem. Książki wszystkich wielkich filozofów są jak gdyby tyluż ludźmi".[2] To powiedzenie bardzo przypomina końcowy ustęp przedmowy do pracy dra Radziwiłłowicza. „Chciałbym módz powiedzieć o niej (t. j. o swej książce) to, co Walt Whitman mówi o swojej: „kto dotyka tej książki, dotyka żywego człowieka".

Dr. Radziwiłłowicz wystąpił z książką, mającą popularyzować u nas teorye pragmatyzmu.

„Zagadnienia psychologii" Dra Radziwiłłowicza składają się z trzech rozdziałów czy szkiców: „Stanowisko psychologa" (str. 7—17), „Moralność jako zagadnienie biologiczne" (str. 21—43), „Psychologiczne podłoże pragmatyzmu" (str. 47—105).

Pierwszy szkic służyć miał do wyjaśnienia stanowiska, z którego wogóle zagadnienia psychologiczne winny być rozpatrywane (Przedm. str. 3). Wyjaśnienie tego stanowiska tem było ważniejsze, że ono według autora stanowi istotną cechę psychologii, najlepiej ją charakteryzującą, odróżniającą i wyodrębniającą od innych nauk (str. 10). — Jak autor wywiązał się z tego tak ważnego, na pierwszem miejscu zakreślonego sobie zadania?

---

[1] Dr. med. R. Radziwiłłowicz. *Zagadnienia psychologji.* Spółka nakładowa „Książka". Kraków. Bez daty. Str. 105.

[2] „*Not only Walt Whitman could write who touches this book, thouches a man. The books of all great philosophers are like so many men*" (Pragmatism, p. 35).

Rozwiązanie swego pierwszego zagadnienia autor ułatwił sobie bardzo. Postawił sobie mianowicie *a priori* kategoryczne twierdzenie, że „jeżeli we wszystkich innych dziedzinach wiedzy, podmiot, w którym badane zjawiska zachodzą, jest dla badającego niczem, to dla psychologa jest ono wszystkim;... w psychologii każda sprawa rozważana jest w tej postaci, w jakiej przebiega ona w rzeczywistym podmiocie, w konkretnem życiu jednostkowem; życie duchowe indywidualne, w rzeczy samej istniejące, całokształt tego życia stanowi przedmiot badań psychologa" (str. 11). Tak sobie określiwszy stanowisko psychologa, a nazwawszy je indywidualistycznem „w przeciwstawieniu do uniwersalistycznego, zajmowanego przez każdego innego badacza", autor jeszcze sobie więcej ułatwia „wyjaśnienie" tak tego stanowiska, jak „różnicy pomiędzy psychologicznem, a pozapsychologicznem stanowiskiem" — przez przytoczenie długiego ustępu z artykułu J. Ward'a w *Encyclopedia Britannica*.

Na tych dwu ułatwieniach naprawdę kończy się sprawa zapowiedzianego wyjaśnienia: bo, co w pierwszym szkicu dodano do nich i czem je poprzedzono, to są albo oklepane ogólniki, albo twierdzenia natury bardzo problematycznej, które, nie światło, lecz, jeszcze większy cień rzucają na problem, do rozstrzygnienia sobie wyznaczony.

Do oklepanych ogólników zaliczyłbym takie powiedzenia, jak to, że „w psychologii, jak w każdej nauce, obowiązuje zasada: *contra experimentum nullum argumentum*; jak to, że „żadne teoretyczne nakazy i ograniczenia dla psychologa nie istnieją"; jak to, że „poznanie świata zewnętrznego na zasadzie li tylko danych doświadczenia wewnętrzntgo jest niepodobieństwem"; i t. p.

Do twierdzeń drugiego rodzaju, o problematycznej, a nieraz bardzo wątpliwej wartości należą m. i. następujące, którym po parę słów chcę poświęcić.

Według dra Radziwiłłowicza także i w dziedzinie nauk przyrodniczych każdy badacz „ma do czynienia tylko z objawami życia duchowego i z niczym więcej" (str. 8). — To zdanie autora, przyrodnika z zawodu, wprost zdumiewa swą dziwną mistyką. Jeszcze dziwniejsze jest następujące, a zupełnie zresztą jedyne,

poparcie powyższego zdania: „jak to naprzykład dla fizyki świetnie wykazał Mach w pracy specyalnej, poświęconej temu przedmiotowi; uwagi jego są jeszcze tym cenniejsze, że wyszły z pod pióra nie filozofa i nie psychologa, lecz fizyka z zawodu" (str. 8). — Czyż p. Radziwiłłowicz nie wie, że Mach, właśnie filozof-fizyk z zawodu, owo wykazywanie opiera nie na fizyce, nie na doświadczeniu fizycznem, ani na doświadczeniu naukowem psychologicznem, lecz na swojej zupełnie dowolnej a grubo aprioryczne metafizyce czuć jako jedynych ostatecznych pierwiastków wszechświata?

Autor, chcąc uzasadnić słuszność swego założenia, „że przedmiot psychologii nie jest czymś odrębnym, jej tylko właściwym, lecz jest rzeczą wspólną, należącą do psychologii i do wielu innych nauk", taki m. i. podaje przykład: „Jeżeli weźmiemy naprzykład takie zagadnienia jak przestrzeń i czas, to niewątpliwie, jako pojęcia należą one do dziedziny teoryi poznania, ale jako postacie doświadczenia należą również i do psychologii". — Tak się rzecz przedstawia autorowi. Człowiek nieuprzedzony, a dowolną metafizyką i aprioryczną teoryą poznania niezepsuty, powiedziałby, że czas i przestrzeń ani nie są zagądnieniami, ani pojęciami, ani postaciami doświadczenia: zagadnienia odnoszące się do przestrzennych i czasowych cech rzeczywistych zjawisk kosmicznych, traktowałby w filozofii przyrody, w kosmologii; kwestyami o istocie i naturze przestrzeni i czasu zająłby się w metafizyce; same pojęcia czasu i przestrzeni, akty pojmowania, ich powstawanie, geneza, rozwój, ich zależności od przebiegów fizycznych i od innych aktów psychicznych — należałyby według niego do psychologii eksperymentalnej; znaczenie pojęć przestrzeni i czasu, kwestye ich treści i zakresu znalazłyby miejsce w logice; kwestye przedmiotowej wartości tych pojęć weszłyby do krytyki czy teoryi poznania; i t. d. W każdej z tych nauk mówi się o czasie i przestrzeni, ale w każdej przedmiot jej badań właściwy jest inny: czas i przestrzeń nie są wspólnym przedmiotem, właściwym zarówno psychologii jak i innym naukom. Nie tylko w psychologii, ale także w każdej innej nauce, w której jest mowa o czasie

i przestrzeni, mówi się o tem na podstawie badań każdej z tych nauk właściwych, dokonywanych pod właściwym dla każdej z nich kątem patrzenia, za każdym razem ze stanowiska innego, każdej z tych nauk właściwego.

Dokładnie taką samą uwagę krytyczną da się zrobić o każdym z innych przykładów, przez autora przytoczonych a rzekomo „wystarczających dla uzasadnienia słuszności powyższego założenia" (str. 9). A więc ani przyczynowość, ani rzeczywistość, ani jedność, tożsamość, całość i t. d. nie są wspólnymi przedmiotami psychologii i innych nauk. Wbrew autorowi wypadnie powiedzieć, że przedmiot psychologii jest czemś odrębnam, jej tylko, nie innym naukom, właściwem. Jeżeli przedmiotem psychologii właściwym zajmuje się jakakolwiek inna nauka, to już tem samem, że jest inna i o ile jest inna, zajmuje się nim z innego, sobie właściwego stanowiska, czyli ze stanowiska sobie właściwego przedmiotu: więc najoczywiściej właściwy przedmiot psychologii nie staje się nigdy właściwym przedmiotem innej nauki.

Brak jasności i ścisłości w tym punkcie mści się srodze na każdym uczonym, który nie zdaje sobie z tego dokładnie sprawy, co jest właściwym przedmiotem badań danej nauki. Dochodzi się wtedy łatwo do tego, że rezultaty badań właściwych pewnej nauce interpretuje się błędnie jako wprost odnoszące się do przedmiotu właściwego innej nauce, z daną nauką pokrewnej lub względem niej spełniającej funkcye pomocnicze. W taki błąd wpada n. p. logik, identyfikujący rezultaty badań logicznych, prawa logiczne, z rezultatami i prawami psychologicznemi: tu źródło t. zw. psychologizmu w logice. Tu źródło psychologizmu w metafizyce, błędu nazwanego ontologizmem. Tu źródło mięszania pewnych działów psychologii fizyologicznej z fizyologią. Tu źródło utożsamiania pewnych badań i rezultatów czysto fizyologicznych z psychologią.

Tu także tkwi główne źródło tak bardzo błędnego i bałamutnego twierdzenia, jakie autor stawia na potwierdzenie swego bałamutnego zapatrywania na przedmiot psychologii. Ja to twierdzenie przytaczam w całości — na potwierdzenie

zarzutu wielkiej niejasności i wielkiej nieścisłości, który czynię pracy dra Radziwiłłowicza:

„Tak zwana psychologia czuć należy właściwie w znacznej mierze do fizyologii zmysłów, chociaż tyle miejsca zajmuje w podręcznikach psychologii, bo i tutaj zachodzi duża wspólność przedmiotu, różnicę stanowi różnica stanowiska, z którego w każdej to samo zagadnienie jest rozważane" (str. 10). — Jeśli różne są stanowiska, to różne są przedmioty właściwe jednej i drugiej nauki, zatem właśnie ze względu na tę różnicę psychologia czuć nie należy w żadnej mierze do fizyologii zmysłów. Jeśli różne są stanowiska, to chyba i zagadnienia są różne!

Ale od nieścisłości, niedokładności i niejasności roi się w książce dra Radziwiłłowicza. Roi się od nich na takiej małej przestrzeni, jaką zajmuje niespełna jedenaście stron pierwszego szkicu. Tem więcej roi się tam od różnych niedokładności, że o mnóstwie najróżnorodniejszych przedmiotów chciał autor coś powiedzieć w tym króciutkim rozdziale. Niestety, za to nie zdążył wywiązać się z zapowiedzi danej w przedmowie: nie wyjaśnił „stanowiska, z którego wogóle zagadnienia psychologiczne winny być rozpatrywane". Co gorsza, nawet nie zdążył nam powiedzieć, na czem ostatecznie polega „zagadnienie psychologiczne". Od początku rozdziału aż do samego końca naprożno szuka czytelnik zaspokojenia ciekawości, mocno rozbudzonej obietnicą przedmowy: dowiadujemy się, że owo stanowisko psychologa jest indywidualistyczne, że jest jedyne, że przedmiot jest dla psychologa wszystkiem, że „w psychologii każda sprawa rozważana jest w tej postaci, w jakiej przebiega ona w rzeczywistym podmiocie", że „życie duchowe indywidualne" stanowi przedmiot badań psychologa (str. 11), że „podmiot jest przedmiotem bezpośrednim badań psychologicznych" (str. 12), że „wszystko, co zachodzi w jednostce jako postać jej doświadczenia wewnętrznego, może stać się przedmiotem psychologicznego badania" (str. 13) i t. p. Ale to wszystko raczej jeszcze więcej ciekawość naszą zaostrza, niż nas poucza o tem, na czem właściwie polega zagadnienie psychologiczne

i z jakiego stanowiska powinno być rozwiązywane, aby naprawdę było naukowem i przedmiotowem, nie niało zaś jedynie charakteru czysto subjektywnego, ważnego li tylko dla jednostki, dane przeżycia przeżywającej.

Im większy nacisk autor kładzie na owo tajemnicze stanowisko psychologiczne jako na indywidualistyczne, tem większa budzi się obawa, czy to stanowisko naprawdę nie jest jedynie subjektywnem stanowiskiem tej konkretnej jednostki, która swoje zagadnienia psychologiczne rozważa i rozwiązuje, czy nie jest stanowiskiem indywidualnem samego autora. Ale w takim razie gdzie szukać przedmiotowego kryteryum, na mocy którego psychologiczne zagadnienia tej konkretnej jednostki i psychologiczne rozwiązania tych zagadnień z jej stanowiska indywidualnego stałyby się psychologicznemi zagadnieniami i rozwiązaniami naukowemi?

Tej zasadniczej trudności autor nam nie rozwiązał, nawet nam o niej nie wspomniał.

Może jaką wskazówkę do rozwiązania tej kapitalnej trudności znajdziemy w uwagach autora o metodach właściwych psychologii? Może one nas pouczą o tem, w jaki sposób „wyniki psychologicznego badania", podjętego ze stanowiska danej jednostki „odpowiadają wymaganiom naukowym" (str. 13)? — Powiada nam autor, że psycholog w wyborze drogi badania jest „całkowicie wolny, pod tym względem może posługiwać się każdą metodą, jeżeli myśli, że doprowadzi go ona do wyników dodatnich" (str. 14). Niżej (na tej samej stronie) czytamy: „Wszystkie metody są równouprawnione, żadna nie jest bardziej uprzywilejowana, każda musi być uznana za właściwą, jeżeli prowadzi do celu. To założenie czysto pragmatyczne musi być uznane za słuszne w zastosowaniu wogóle do wszystkich metod naukowych, w każdej dziedzinie wiedzy".

Mimo woli przypomina się tu zasada o uświęceniu środków przez cel. Ale gorzej, że trudność, wyżej poruszoną, raczej wzmagają dopieroco przytoczone zapewnienia autora o charakterze metod naukowych, stosowanych przez uczonego — pragmatykę. Konsekwentnie do tych zapewnień pragmaty-

cznych — o naukowości metody decyduje cel osiągnięty. Ale co decyduje o naukowej wartości osiąganych celów, rezultatów badań psychologicznych, — podejmowanych przez pragmatystę ze swego indywidualnego stanowiska psychologicznego?

Naprawdę, rozpaczliwie przedstawia się naukowa wartość w taki „pragmatyczny" sposób pojętych badań psychologicznych.

Drugi rozdział „Zagadnień psychologicznych" zajmuje się „moralnością jako zagadnieniem biologicznem".

Trudność, która nasuwa się czytelnikowi w samej zapowiedzi traktowania etyki biologicznie, nie była obcą autorowi. Bardzo słuszną zaraz na wstępie swej etyki biologicznej robi uwagę w formie pytania: „Wszak w pojęciu oceny moralnej mieści się pojęcie wartości — co wartość ma do biologii, a biologia do wartości".

Trudność dobra, dobrze postawiona. Biolog ze swego biologicznego, ściśle przyrodniczego stanowiska, powinienby konsekwentnie powiedzieć: interpretowanie zjawisk biologicznych ze stanowiska ewolucyi i postępu, ze stanowiska zatem norm wartościowych, — nie jest robotą biologiczną, ale pozaprzyrodniczą. Dr. Radziwiłłowicz, przeciwnie, w pojęciu ewolucyi i postępu trafnie widzi zawarte w niem pojęcie wartości, ale z góry, całkiem dogmatycznie, zakłada, że pojęcie ewolucyi i postępu jest właściwem pojęciem biologiczno-przyrodniczem.

Szkoda, że autor nie uwzględnił jakiego choć trochę gruntowniejszego studyum o wartościach, bo wtedyby z pewnością krytyczniej się patrzył na swoje, a i wielu niestety innych biologów, dogmatyczne pojmowanie prawa rozwoju. Szkoda, że autor nie zna choć takiej *Filozofii wartości* Munsterberga; przez to straciliśmy krytyczną odpowiedź na bardzo doniosły zarzut, że t. zw. prawo ewolucyi nie jest prawem ani biologicznem ani wogóle przyrodniczem. Szkoda, że bez odpowiedzi zostały takie n. p. zarzuty głównego dzisiaj filozofa wartości:

„Przyrodnik mówi o postępie i rozwoju, kiedy śledzi przejście

z ameby do kręgowca, z nasienia w drzewo; ale już nieraz zwrócono na to uwagę, że przez używanie takich, wartość cechujących pojęć, jakiemi są pojęcia rozwoju i postępu, przyrodnik sprzeniewierza się swym własnym zamiarom".[1] „Filozofia nauk musi się tego stanowczo trzymać, że w przyrodzie przyrodnika ostatecznie niema rozwoju".[2]

Dla dra Radziwiłłowicza ewolucya jest kategoryą biologiczną i to kategoryą tak wysokiego rzędu, że zawarty w niej grunt faktyczny „może być użyty za podstawę do budowy wszelkich wartości, a między innemi i wartości moralnej" (str. 22). Nawet „wydaje" mu się, „że dopiero biologiczne ujęcie sprawy oceny moralnej może nam dać wyniki, które nas zadowolą, umożliwią syntetyczne ujęcie jej w pewną wewnętrznie zwartą całość, lecz nie oderwą jej jednocześnie od gruntu doświadczalnego, z którego wyrosła" (str. 23).

Dlaczego tylko biologiczna etyka, w sensie autora, zadowala go, inna nie? Z jaką inną etyką porównywa autor i zestawia swoją etykę, na rozwoju biologicznym opartą? Odpowiedź na te pytania znajdujemy w jednym tylko jedynym ustępie, ale bardzo charakterystycznym: „Jak dotychczas, to właściwie jedna tylko teologia daje nam wyraźne wskaźniki moralne i uzasadnia je w sposób zdecydowany. Czerpie je z Objawienia i podaje jako prawdy boskie — źródło ich pochodzenia starczy za dowody, odrazu, z założenia posiadają one charakter dogmatyczny i nakazowy. Wystarczają każdemu, kto poszukuje dogmatu i potrzebuje nakazu; nie mogą starczyć dla umysłu krytycznego, który wymaga dowodów, nie zadowolnią ducha niezawisłego, który chce w sobie samym znaleść źródło nakazu" (str. 22).

---

[1] *Philosophie der Werte. Grundzüge einer Weltanschauung.* Von Hugo Munsterberg. Leipzig, 1908. Str. 7: „*Der Naturforscher spricht vom Fortschritt und von Entwicklung, wenn er den Übergang von der Amöbe zum Wirbeltier, von Samenkorn zum Baum verfolgt, aber oft schon hat man darauf hingewiesen, dass er durch solche wertprägende Begriffe wie Entwicklung und Fortschritt seinem eigentlichen Wollen untreu wird*".

[2] *Und trotz alledem muss die Wissenschaftslehre daran festhalten, dass es in der Natur des Naturforschers im letzten Grunde keine Entwicklung gibt*" (ib., str. 305).

Z tego wyznania wiary widać, że autor dość licho zna się na etyce nadprzyrodzonej, objawionej, a zupełnie zdaje się ignorować etykę przyrodzoną, filozoficzną czy przedfilozoficzną, opartą na doświadczeniu, której przedmiotowe normy regulują życie etyczne jednostek i społeczeństw, której stanowczych nakazów słucha etyczne sumienie każdego uczciwego człowieka. Czyżby dr. Radziwiłłowicz sądził, że ludzkość aż dotąd nie kierowała się w ocenianiu czynów etycznych przedmiotowemi normami powszechnemi, lecz czekała cierpliwie przez tyle wieków ze swą oceną na objawienie norm etyki biologicznej?

Szanowny autor zupełnie niekrytycznie wydał sąd nieprzychylny o umysłach uznających dogmaty Objawienia. Czyżby tak mało wiedział o ścisłej krytyce naukowej, na której teologia katolicka opiera się w nauce o Objawieniu, wierze, dogmatach?

Równie niekrytycznie zapatruje się autor na zawisłość ducha, przyjmującego dogmaty Objawienia. Przecież i najniezawiślejszy umysł staje się zawisłym od poznanej prawdy naukowej, od rezultatów doświadczeń naukowych, od dowodów naukowych.

Myli się także autor, sądząc, że dogmaty Objawienia bez dowodów się przyjmuje: przecież co najmniej ściśle się udowadnia, że zaszedł dany fakt Objawienia Boskiego i że dany dogmat w tem Objawieniu się zawiera.

Ale przedewszystkiem, zdaje mi się, autor najniepotrzebniej w świecie wszedł w kwestye wiary, dogmatów, Objawienia. Natomiast trzeba było, jeśli się chciało być krytycznym, gruntownie wejść w zasadnicze kwestye doświadczalnej etyki przyrodzonej, objektywności prawa moralnego i norm moralnych uznającej. Dopiero wtedy można było należycie ocenić wartość projektowanych norm biologicznych, przeciwstawionych normom przyrodzonego prawa moralnego. Krótka i powierzchowna wzmianka autora o etyce, wogóle zawierająca w siedmiu wierszach mnóstwo niedokładności i niejasności, dowodem dla nas jest zbyt małego rozpatrzenia się po terenie sporu. Nawet niewiadomo, którego to systemu filozoficznego etykę autor miał na myśli, kiedy pisał swe płytkie o etyce ogólniki. Nic też dziwnego,

że sformułowanie własnego swego systemu etycznego, na prawie biologicznego rozwoju opartego, wypadło mało krytycznie.

Przypatrzmy się trochę bliżej, jak to autor „ujmuje biologicznie sprawę oceny moralnej".

„Najważniejszą stronę zagadnienia moralnego" ma stanowić „sprawa znalezienia podstawy do budowy sprawdzania moralnego", obejmującej „obie strony sprawy, podmiotową i przedmiotową". Wydaje się autorowi, „że już w samym sformułowaniu prawa ewolucyi „widnieje droga, gdzie mamy poszukiwać sprawdzianów oceny: w rozwoju jednostki dla sprawdzianu podmiotowego, w rozwoju gatunku dla sprawdzianu przedmiotowego", „w szczególności w rozwoju jaźni, a więc w psychologii traktowanej biologicznie i w dziejach wpływu czynników psychicznych na rozwój ludzkości, a więc w socyologii, traktowanej również jako postać nauki biologicznej" (str. 23—24).

„Rozwojem jaźni" zajmuje się autor na 13 stronach. W rozważaniach tych niejedna piękna myśl się zawiera, ale niema w nich rzeczy dla kwestyi o ocenie moralnej najważniejszej: niema ani śladu kryteryum objektywnego, któreby kazało pewną formę rozwoju jaźni uważać za etycznie lepszą, wyższą, doskonalszą od innej formy; niema nawet śladu kryteryum objektywnego, któreby pozwalało ocenić, w którym kierunku rozwój jaźni jest moralny, w którym niemoralny. Jak, wobec tego, na podstawie jakiej logiki mógł autor wyprowadzić następujący wniosek:

„Z rozważań powyższych zdaje się wyłaniać w sposób dosyć jasny grunt doświadczalny, na którym można oprzeć budowę przedmiotowego sprawdzianu moralnego: każdy czyn, który posuwa rozwój jaźni o jeden hierarchiczny szczebel, zapewnia wyższej jej postaci przewagę nad niższą, przyczynia się do utrwalenia moralnego stanowiska jaźni duchowej, jest czynem podmiotowo moralnym" (str. 37)?!

Jakie kryteryum rozstrzyga o „posuwaniu" rozwoju czy „cofaniu" jakie kryteryum decyduje o „wyższości jednej postaci nad inną, po czem rozpoznamy naczelne stanowisko"? — Czy autor nawet wcale nie zauważył logicznej niezbędności zadania sobie tych pytań i jakiegokolwiek na nie odpowiedzenia? —

W takim razie rozważania jego nie miałyby najmniejszej wartości ani naukowej, ani nawet etycznej.

A czy może dr. Radziwiłłowicz sądzi, że nie potrzeba wcale żadnego kryteryum przedmiotowego, któreby decydowało o wyższości pewnej formy rozwoju nad inną? Może sądzi, że i tu rozstrzyga samo indywidualne stanowisko podmiotowe? Wtedyby cała budowa etyczna była oparta na najwstrętniejszym dogmatycznym aprioryźmie.

W taki sposób załatwiwszy się z pierwszą swoją „najważniejszą stroną zagadnienia moralnego", mianowicie narzuciwszy zupełnie bez dowodu swoją „podstawę do budowy sprawdzianu moralnego podmiotowego", autor robi jeszcze króciutką a płytką wzmiankę o „odpowiedzialności każdego z nas za siebie" i przystępuje do szukania podstaw do budowy sprawdzianu przedmiotowego oceny moralnej, t. j. zabiera się do drugiej swojej „najważniejszej strony zagadnienia moralnego". Krótko się z nią sprawia; po kilku pobieżnych uwagach o wpływie świadomości na rozwój społeczny, o współdziałaniu „doboru podmiotowego" z doborem naturalnym, tak formułuje rozwiązanie drugiej części swego zagadnienia:

„Z założeń powyższych wynika podstawa przedmiotowego sprawdzianu oceny moralnej. Wszelki czyn, posuwający rozwój społeczny środowiska, w którym żyje człowiek, o jeden krok naprzód, a przedewszystkiem czyn, przyczyniający się do zapewnienia czynnikom psychicznym przewagi nad czynnikami materyalnymi, będzie czynem przedmiotowo moralnym" (str. 12).

I znów zapytałbym się szanownego autora, mocą jakiejto logiki wynika jego wniosek. Przecież przesłanki nie zawierają wcale tego, co autorowi podoba się zmieścić w konkluzyi. Że taki czyn, co posuwa rozwój społeczny naprzód, jest czynem przedmiotowo moralnym — to jest znów zupełnie dowolna definicya, dana przez autora, to jest znów jego aprioryczny dogmat. O moralnej wartości różnych form i kierunków rozwoju społecznego nic nie mówią przesłanki autora, i tu także ani śladu niema jakiegokolwiek przedmiotowego kryteryum, któreby pozwoliło ocenić, co jest moralnie wyższem, a co jest niemoralnem w rozwoju społecznym.

Sytuacyi nie ratuje ogólnik, na pozór pięknie brzmiący o przewadze czynników psychicznych nad czynnikami materyalnymi. Kwestya zostaje wciąż jeszcze otwartą: co rozstrzyga o wyższości, doskonałości, stopniowaniu, kierunku i t. d. pewnego czynnika nad inny?

Zagadnienie moralne, postawione przez autora, dało w jego biologicznem ujęciu rezultat, dla etyki, dla oceny moralnej czynów ludzkich, bez żadnej naukowej wartości. Oba sprawdziany oceny moralnej, podmiotowy i przedmiotowy, są może czemś, czego dopiero należy szukać w naukowej krytyce moralnych wartości rozwojowych, ale bez tej krytyki są niczem więcej, jak tylko pustym frazesem.

Również też pustym frazesem jest twierdzenie autora: „Dla osiągnięcia całkowitej pełni oceny moralnej potrzeba, ażeby czyn jakiś odpowiedział wymaganiom obu sprawdzianów" (str. 42). — Jest to pusty frazes, bo pustym frazesem jest sformułowanie wymagań jednego i drugiego sprawdzianu, pustym frazesem jest mówienie o całkowitej pełni oceny moralnej, jeśli się nie dało krytycznego dowodu zasadniczego swego założenia, że najwyższą normą moralności jest biologiczne prawo rozwoju, tak jednostki, jak gatunku.

Pustym frazesem wreszcie okazało się w pracy autora całe owo, na początku drugiego szkicu zapowiadane, „biologiczne ujęcie sprawy oceny moralnej". Poza gołosłownem twierdzeniem, że w prawie rozwoju tkwi doświadczalny grunt do budowy wartości moralnych, ani cienia dowodu nie dał nam autor na to, że biologiczna wartość ewolucyi jest równoznaczna z wartością jej moralną. Bez tego dowodu, a nadto bez krytyki wartości różnych kierunków, form i stron biologicznego rozwoju, nie można rozumnie mówić o „posuwaniu" i „cofaniu" rozwoju: ze stanowiska czysto przyrodniczego sensu niema identyfikowanie późniejszego stadyum czy zawilszego z doskonalszem, wyższem.

Wogóle niewielką wartość pracy autora zmniejsza ogromnie mnóstwo luźnych, nieraz pięknie brzmiących, frazesów, które albo są puste najczęściej, albo prosty błąd ukrywają.

Rozdział „o moralności jako biologicznem zagadnieniu"

chciał autor zakończyć ładnym frazesem, zaznaczającym jego pragmatyczne stanowisko. Osławionemu kartezyańskiemu *cogito ergo sum* chciał przeciwstawić swój pragmatyczny frazes *ago ergo sum*. W tym celu swoją budowę sprawdzianów moralnych uwieńczył odsądzeniem myśli i uczuć od oceny moralnej, której przedmiotem jest — według dziwnej etyki autora — „wyłącznie czyn". Bez dalszego komentarza przytaczam to zakończenie:

„Postawiona tutaj miara oceny jest wysoka bez wątpienia, ale odpowiada całkowicie wartości, którą przywiązujemy do sprawy moralnej. — Jako przedmiot jej oceny bierzemy wyłącznie czyn, a nie inne postacie życia świadomego, bo w nim streszcza się i skupia wszelka sprawa psychiczna, stanowi on szczytowy wyraz działalności duchowej człowieka. Myśli i uczucia, nie dochodzące do czynów, nie dorastają jednocześnie do poziomu, od którego zaczyna się ocena moralna; o ile są czynnikami warunkującymi powstanie czynu, o tyle tylko i w tych granicach należą do niej, bez tego są moralnie bezwartościowe. Skarby leżące na dnie morza, do których niema dostępu, nie są skarbami. Są niczem. — Zasada kartezyańska *cogito ergo sum* nie może ostać się wobec wymagań umysłowości społecznej. Musi ustąpić miejsca innej: *ago ergo sum*, czynię, więc jestem" (str.43).

Ostatni, trzeci rozdział „Zagadnień psychologicznych" poświęca autor pragmatyzmowi jako jednemu z filozoficznych kierunków. Wprawdzie tytuł rozdziału zapowiada, że ma być w nim mowa o psychologicznych podstawach pragmatyzmu, ale tytuł tylko tyle odpowiada treści rozdziału, że na 56 stron o pragmatyzmie znajdujemy na niespełna trzech stronach krótką wzmiankę o „psychologicznem podłożu, z którego wyrasta pragmatyzm", wzmiankę zresztą bardzo pobieżną i bardzo niedokładną.

Krótko się załatwię z tym trzecim szkicem, choć on dłuższy jest od obu poprzednich razem wziętych. Racya tego bardzo prosta: ten trzeci szkic jest streszczeniem zasad jednego z kierunków pragmatyzmu, mianowicie pragmatyzmu Williama James'a; krytykując więc to streszczenie, krytykowałbym nie

autora „Zagadnień psychologicznych", lecz James'a. Na parę tylko szczegółów zwrócę uwagę.

Szkoda, że dr. Radziwiłłowicz, mocno odczuwając potrzebę wprowadzenia zagadnień pragmatyzmu „na porządek dzienny naszego życia umysłowego" — jak to w przedmowie zaznacza, — wprowadza je w taki nienaukowy i niekrytyczny sposób, jaki charakteryzuje jego pracę. Za podstawę swego opracowania bierze popularną książkę James'a,[1] popularną, bo będącą wiernym przedrukiem ośmiu jego popularnych odczytów, wygłoszonych przed pięciu laty (w r. 1906) dla szerokich kół publiczności bostońskiej. Z tej popularnej książki robi autor popularne wyciągi, jakby popularne wypisy; popularne — bo opuszcza w nich rzeczy nieraz podstawowe, do gruntownego zrozumienia choćby tej popularnej książki James'a najniezbędniejsze, a natomiast przekłada na polski język całemi stronami rzeczy mniejszej wagi, które wielki filozof pragmatyzmu jako mówca przytaczał jedynie ze względów retorycznych, albo takie, które miały interes dla słuchaczy jedynie ze względu na samego mówcę i na audytoryum.[2] Popularne są te wypisy i dlatego, że autor ogranicza się do przekładu i niezawsze wiernego streszczenia myśli James'a, a nie daje sam dobrej, gruntownej krytyki tych myśli.

Próba spopularyzowania u nas poglądów James'a, dokonana przez dra Radziwiłłowicza, jest właśnie dlatego nieszczęśliwym pomysłem, że przyczynić się jedynie może do zwiększenia płytkiego, szerzącego się u nas doktrynerstwa, pokrywającego swoje nieuctwo i swój brak krytycyzmu frazesami niby — uczonymi. *Dr. Jan Gont.*

---

[1] *Pragmatism, a new name for some old ways of thinking, popular lectures on philosophy*, by William James. Longmans, Green, and Co. 1907.

[2] M. i. do takich krasomówczych ilustracyi zaliczyłbym ustępy następujące: o Papinim i hotelowym korytarzu (str. 53, wzięte ze wspomnianej wyżej książki ze str. 54.); o studencie i filozoficznem audytoryum (str. 59, wzięte z Pr. str. 21—22; dr Radziwiłłowicz zrobił tylko z tezy studenta pewnego list otrzymany przez James'a od jednego z jego uczniów); o Suifcie i religii (str. 60—61 wzięte z Pr. str. 28 i nast.); o Ostwaldzie i liście do James'a (str. 61—62 wzięte z Pr. str. 48); i t. d.

PROBLEM AGRARNY W SOCYALIZMIE.

Jak rozwiązują problem agrarny socyaliści?

Marks prawa rozwojowe kapitalistycznego przemysłu stosuje poprostu do rolnictwa. Przeglądnijcie tylko — pisze on — urzędową statystykę z roku 1861, a przekonacie się, że liczba właścicieli ziemskich w Anglii i Wales stale topnieje. W roku 1851 liczono tam 16.934 właścicieli, w roku 1861 natomiast 15.066, a więc w ciągu lat dziesięciu koncentracya własności ziemskiej wzrosła o 11 procent. Gdy koncentracya ta wogóle w takim stopniu rozwijać się będzie, uprości się, rzecz jasna, bardzo problem agrarny,[1] każde bowiem rozszerzanie się własności wielkiej kosztem małej jest krokiem naprzód na drodze socyalistycznego uspołecznienia ziemi.

„Obowiązkiem naszej partyi, mówi Engels, jest tłumaczyć na oko chłopom, że, jak długo panuje kapitalizm, położenie ich jest bez ratunku, że rzeczą absolutnie niemożliwą jest zachować ich parcele i że kapitalistyczna produkcya wielka z nieodmienną koniecznością przejdzie poprzez ich przestarzałe gospodarstwa małe, jak pociąg kolejowy przez taczkę".[2]

„Gdzie tylko rolnictwo, tłumaczy Kautsky w programie erfurckim,[3] przekształca się w produkcyę towarową, w produkcyę na zbyt, a nie dla własnego użytku, tam wszędzie wielka produkcya, chociażby nawet nie była bardziej wydajną, ma bezwarunkowo taką samą wyższość nad drobną gospodarką,

[1] Eduard David: *Sozialismus und Landwirtschaft* str. 33.

[2] *Deutsche Worte*, Wien 1903, str. 148.

[3] Karol Kautsky: „Zasady socyalizmu" str. 22.

jaką kapitalista ma nad rzemieślnikiem: łatwiej mu zoryentować się i dać sobie radę na rynku.

Przytem wielki właściciel ziemi lub dzierżawca, jeżeli posiadają odpowiedni kapitał, mogą zorganizować gospodarkę produkcyjniejszą od chłopskiej, mając lepsze narzędzia, lepsze bydło, lepsze nawozy i ziarno. Ostatecznie i na tem polu maszyna niezmiernie się przyczynia do ugruntowania przewagi wielkich przedsiębiorstw... Koleje żelazne łączą włościanina z rynkiem wszechświatowym, a podatki zmuszają go do poszukiwania rynku, bo nie mógłby ich zapłacić, nie sprzedawszy odpowiedniej ilości swoich produktów. Im większe stają się podatki, tem bardziej włościanin potrzebuje rynku zbytu, tem bardziej produkcya jego staje się produkcyą towarową, tem bardziej walczyć musi z konkurencyą wielkich gospodarstw rolnych"...

Podstawą zaś i komórką przyszłego ustroju stosunków agrarnych ma być rolnicza spółka produkcyjna robotników rolnych. Twórcza siła rewolucyi socyalnej po uspołecznieniu ziemi ma wytworzyć te spółki, złożone z robotników i chłopów, wyzwolonych z „fanatyzmu własnościowego" i oddać im w administracyę i pod uprawę „latyfundya socyalistyczne". W przyszłem więc państwie socyalistycznem zamiast obszarów dworskich i własności chłopskiej będą tylko rolne obszary socyalistyczne.

Taka jest teorya socyalizmu ortodoksyjnego, opierająca się na nieubłaganem prawie ekonomicznem koncentracyi skutkiem ekonomicznej i technicznej przewagi wielkiej własności nad własnością małą i średnią.[1]

Poglądowi temu przeciwstawiliśmy już powyżej całkiem przeciwną teoryę, opierającą się na przewadze i pod względem ekonomicznym i technicznym małej własności rolnej nad wielką.

Zresztą żywy i żywotny rozwój stosunków społecznych nie zawsze troszczy się o ekonomiczne i techniczne plusy i minusy, ale idzie częstokroć z siłą elementarną po linii naj-

[1] Patrz: *Przegląd Powszechny* z marca str. 412—13.

silniejszych impulsów lub w kierunku żywotniejszych dóbr i celów.

W każdym razie życie i kształtowanie się stosunków własnościowych co do ziemi idzie w poprzek teoryi Marksa o koncentracyi wielkiej własności ziemskiej. Gdziekolwiek, dowodzi prof. Sering [1] świeżo w najwyższej pruskiej radzie rolniczej, w jakiejś części świata osiedliła się rasa europejska, niebawem kraj pokrył się gęstą siecią własności włościańskich. Jest to potężny pochód indywidualizmu, który wszędzie tryumf odnosi nad socyalizmem. W najpotężniejszych państwach świata własność średnia i mała stanowi granitową podstawę ustroju i gospodarstwa społecznego.

Prawda i dziś częstokroć wielka własność rozprzestrzenia się kosztem małej, ale nie skutkiem ekonomiczno-technicznej przewagi wielkich gospodarstw nad małemi, lecz poprostu dlatego, że wielki kapitał buduje sobie coraz częściej zaciszne przybytki luksusowe na wsi, albo nabywa wielkie obszary dla polowania.[2]

To też kierunek rewizyonistyczny wśród socyalistów budując na własności małej, wysunął na czoło swego programu

---

[1] *Preussisches Landesökonomiekolleg*, dnia 4 lutego 1912 r.

[2] Porównaj ciekawe w tej mierze studyum prof. Seringa o wyludnianiu się prowincyi wschodnich na rzecz wielkich miast i ognisk i zachodnich prowincyi przemysłowych p. t. *Die Verteilung des Grundbesitzes und die Abwanderung vom Lande.* Berlin 1910. Pruskie prowincye wschodnie, dowodzi on, stale się wyludniają, wyjąwszy prowincye, objęte kolonizacyą. Wschodnie niemieckie okręgi wiejskie liczą obecnie prawie wszędzie mniej mieszkańców, niż za czasów ostatniej wojny francuskiej. Kolonizacyę na wielką metę prowadzi się tylko w Poznańskiem i Prusiech zachodnich W innych prowincyach wschodnich powstaje rok rocznie nie więcej jak 900—1000 nowych gospodarstw włościańskich, obejmujących okrągło 10000 hektarów ziemi. Obszary natomiast, z których corocznie wyrastają majoraty wynoszą 3 i dużo więcej razy.

Cóż znaczą te 500 może posad robotniczych, w tej liczbie się mieszczących, wobec tego masowego przypływu robotników, których za pośrednictwem centralnego biura robotników rolnych z zagranicy sprowadzono. W roku 1911 notuje biuro to 386000 robotników rolnych i 307000 robotników przemysłowych. Jeszcze jest czas po temu, żeby rozpocząć żywotną politykę kolonialną Za 10 lub 20 lat będzie już za późno, bo i u nas jak w Anglii kapitał buszuje po wsiach i luksusowe ofiarowuje ceny za ziemię, podczas gdy najlepszy materyał w ludziach marnieje i lud nasz powoli traci swą żywiołową żywotność. Domi-

agrarnego obronę i popieranie rozwoju własności chłopskiej i ruchu parcelacyi i asocyacyi wśród rolnictwa.

W życiu praktycznem i na arenie parlamentarnej, mówią rewizyoniści, partye socyalistyczne, nie troszcząc się wiele o teoryę Marksa, popierają potężnie ruch parcelacyjny.

„Domagamy się przecież zupełnego zniesienia ustaw ochronnych dla wielkiej produkcyi rolnej, zniesienia ceł agrarnych, które w $^9/_{10}$ części wychodzą na korzyść wielkich gospodarstw rolnych, zniesienia premii w przemyśle gorzelnianym i cukrowym, domagamy się zniesienia majoratów i zakazu zakładania nowych rezydencyi luksusowych przez miejskich kapitalistów, zniesienia wszystkich przywilejów dworskich w lokalnej administracyi, w ustawodawstwie i administracyi państwowej. Domagamy się nadto dla robotników rolnych prawa koalicyi tj. swobody zrzeszania się w organizacye polityczne i zawodowe, oraz skutecznego ustawodawstwa ochronnego...

Gdyby te postulaty wprowadzono w życie, ogół wielkich właścicieli rolnych, zdaniem naszem nie uniknąłby bankructwa".[1]

Za upadkiem zaś własności wielkiej pójdzie wzmożonem tętnem ruch parcelacyjny. Dlatego też na czoło programu agrarnego, rewizyoniści radziby wysunąć hasło podziału gruntów, tak popularne i w okresach namiętnej agitacyi przedwyborczej raz po raz rzucane w tłumy i podawane z ust do ust jako najpotężniejszy środek agitacyjny i atrakcyjny. „Żądanie podziału wielkiej własności ziemskiej na drobne gospodarstwa samodzielne, postawione na czele naszego rolnego programu robotniczego, mówi jeden z najwybitniejszych przedstawicieli tego kierunku, może najprędzej natchnąć wiejski proletaryat

---

nia państwowe trzeba przedewszystkiem, zdaniem jego, w dużo większej mierze, niż dotąd, obracać na cele kolonizacyjne. Tworzenie zaś majoratów należy ustawowo ograniczyć i w ścisły ująć porządek prawny. Inaczej grozi nowy, powolny zalew ludnością słowiańską prowincyi rdzennie niemieckich.

Oto mniej więcej treść wywodów, powtarzających się corocznie w pruskiej najwyższej radzie rolniczej uczonego i wpływowego bardzo rzecznika antypolskiej polityki kolonizacyjnej.

[1] Eduard David: *Sozialismus und Landwirtschaft* str. 701.

najemny naszemi ideami, ponieważ żądanie to zgadza się z jego najukochańszym ideałem — samodzielnością“ (str. 701).

Co do popierania wreszcie ruchu asocyacyjnego wśród chłopów, tak się jeden z wiedeńskich przywódców posłów socyalistycznych wyraża:

„Pragniemy usilnie, aby chłopskie spółki produkcyjne i wogóle chłopskie spółki, nie czysto zawodowe, coraz więcej się rozwijały.... rozwój ten zawsze popierać będziemy, bo w ten sposób tylko zbliżymy się wreszcie do celu rozumnej polityki prowizyjnej, mianowicie do dobrze rozwijających się spółek rolniczych i do bezpośredniego połączenia się tych spółek z miejskiemi konsumami. Tak i chłopi i również my konsumenci odniesiemy korzyść i może w ten sposób obniżą się ceny naszych środków żywności“.

W formalny program agrarny są ujęte rezolucye kongresu socyalistycznego w Gracu z roku 1900, odnoszące się do agitacyi socyalistycznej na wsi:

„Nie wdając się, czytamy tam, w zasadnicze rozstrząsania kwestyi agrarnej, której naukowe podstawy w części dopiero są opracowane, oświadcza kongres: że zadaniem socyalistycznej agitacyi na wsi jest przedewszystkiem zaszczepić w ludność wiejską myśl socyalistyczną. To też w pierwszym rzędzie agitacya ma się zwrócić do tych warstw, które z powodu swego położenia klasowego są najwrażliwsze na ideę socyalistyczną t. j. do robotników rolnych i drobnej własności chłopskiej. I tu należy przedewszystkiem dążyć do zburzenia wszystkich szańców duchownych i politycznych, którymi się otoczył konserwatyzm wiejski przez rozszerzenie i upaństwowienie szkoły ludowej... przez energiczne szerzenie oświaty wśród ludności rolnej za pomocą gazet, broszur, kalendarzy rolniczych. Przy pracy tej stosownie do naszego programu nie trzeba ranić uczuć religijnych ludności rolnej, ale z całą siłą prowadzić walkę z ogłupiającym lud klerykalizmem. Ponieważ drobne gminy są wybornym terenem dla agitacyi na wsi, należy też troskliwą zwrócić uwagę na prowincyonalną politykę komunalną. Z praktycznych reform agrarnych należy te popierać, które

1) zmierzają do społecznej organizacyi produkcyi i rozdziału produktów rolniczych. A więc uspołecznienie lasów, łąk, siły wodnej przez państwo, kraj albo gminę; pomnożenie ziemi publicznej za pomocą przychylnej ludowi polityki agrarnej; rozwój rolniczej asocyacyi na demokratycznej z gruntu podstawie i t. p.

2) Należy dążyć do zniesienia przywilejów i ukrócenia samowoli pomiędzy właścicielami ziemskimi. A więc dążyć do zniesienia wszystkich przywile-

[1] Sten. prot. rady państwa z dnia 5 paźdz. 1906.

jów, połączonych z ziemią (prawa nadzwyczajne, majoraty, propinacye, kurye wyborcze), przelanie praw polowania i rybołostwa na gminy;

3) Należy popierać reformy, zmierzające do podniesienia kultury rolnej w interesie dobra ogółu, oraz do polepszenia i obniżenia cen środków żywności i ułatwienia komunikacyi. A więc popieranie kosztem państwa albo kraju melioracyi gruntu (regulacya potoków górskich, drenowanie, zdobywanie nieużytków dla kultury rolnej i t."d.), popieranie przez upaństwowienie rozwoju ubezpieczeń agrarnych, zakładanie rolnych stacyi próbnych i naukowych, badanie bydła i mięsa według wymagań dzisiejszej nauki, polepszenie ustawy, tyczącej się zarazy bydła w sprawie odszkodowania dotkniętych zarazą gospodarstw, zniesienie ceł i obniżenie taryfy przewozowej dla środków żywności, wprowadzenie bezpłatnej nauki rolnej, obrona interesów ludności rolnej wobec Węgier i rozdział polityczny i fiskalny Austryi od Węgier.

4) Należy popierać reformy, odnoszące się do fizycznej i duchowej opieki nad robotnikami rolnymi: a więc państwowe ubezpieczenia od choroby i wypadków, emerytura na starość i na wypadek niezdolności do pracy dla robotników rolnych, zniesienie ustawy służebnej, wprowadzenie instytucyi inspektoratów rolnych, zakładanie spółek robotników rolnych, zupełne prawo koalicyi dla robotników rolnych, wprowadzenie sądów rolniczych analogicznie do sądów przemysłowych z prawem regulowania czasu pracy, płacy, kontraktów dzierżawnych i t d.

Wreszcie należy pamiętać o tem, że rozbudzenie ludności rolnej jest głównie rzeczą walki politycznej i że ludność wiejska tem ściślej połączy się z socyalistami, im energiczniej i bezwzględniej partya socyalistyczna podejmie walkę o wszystkie postulaty ludzkości, prawa i wolności. A zatem i agitacya na wsi powinna wziąć sobie za zadanie, występować bez ogródki w obronie wszystkich postulatów socyalizmu, gdzie się okaże tego potrzeba i pracować niestrudzenie nad szerzeniem oświaty wśród ludności rolnej, ażeby ją wyrwać z pęt indyferentyzmu".

Ale co będzie z kwestyą własności, która zasadniczą stanowi podstawę w programie socyalistycznym? Jak pogodzić odrębne i samodzielne gospodarstwa chłopskie z uspołecznieniem własności ziemskiej? Czy agrarny program socyalizmu austryackiego i programy wogóle rewizyonistyczne, nie mające nic wspólnego z teoryą Marksa i opierające się na reformie faktycznych stosunków rolnych, skwitowały zupełnie z tego zasadniczego postulatu socyalizmu, czy też wysunęły go tylko w mroczną dal, zadawalając się w obecnych warunkach ogólną oryentacyą ku temu celowi. Czy własność rolna w przyszłem państwie socyalistycznem ma i nadal pozostać nietykalną i na mocy jakiego tytułu prawnego robotnicy rolni mają zostać samodzielnymi gospodarzami?

Kwestye te, odpowiada rewizyonista David, będą przedmiotem szczegółowych rozstrząsań. „Na razie wystarczy zaznaczyć, że robotnicy rolni nie koniecznie mają zostać „właścicielami" w znaczeniu dowolnego rozporządzania ziemią, jak jakimś towarem. Są przecież formy użytkowania, które łączą się i wykazują jasne tylko zalety prawa własności bez ciemnych jego stron. Ażeby wytworzyć żywotne gospodarstwa i stale przykuć do nich i rozwinąć w całej pełni psychologiczny interes rodzin na nich osiadłych, nie potrzeba stwarzać nowych „fanatyków własnościowych". Społeczeństwo zachowa sobie prawo dominium nad ziemią a jednostki posiadać będą prawo użytkowania. Jakie zaś należy wytknąć granice prawom tym, pokaże niebawem praktyka życia".

Ideałem i w myśl rewizyonistów organizacyi agrarnej zawsze będzie uspołecznienie ziemi i spółka produkcyjna robotników rolnych, którzy ująć mają w ręce swoje warsztat rolny. Bo i oni marzą o zniesieniu pracy najemnej i o przeobrażenie dzisiejszego społeczeństwa w kompleks kooperatyw produkcyjno-konsumpcyjnych, opartych na równości i solidarności. Tylko, że ideał ten jest wysunięty w mroczną dal i przesłonięty jakby mgłą sceptycyzmu.

„Ideę robotniczych spółek produkcyjnych, mówi David, w dziedzinie przemysłu już dawno skreślono z programu socyalnej demokracyi. Doświadczenie bowiem wykazało, że tam, gdzie niema wyjątkowo pomyślnych warunków i nadzwyczaj dzielnych ludzi, spółki produkcyjne nie dają się utrzymać. W dziedzinie rolnictwa spółki produkcyjne jeszcze z większemi spotykają się trudnościami. Tu bowiem czynnik psychologiczny z powodu niemożliwości zarządzenia dostatecznej kontroli, dużo większe ma znaczenie i grubym błędem jest mniemać, iż interes solidarny w spółce przynaglać będzie robotnika do pracy, tak samo, jak samodzielnego gospodarza interes osobisty. Dla tego też należy odrzucić ideę robotniczych spółek rolniczych, jak postulat spółczesnego programu agrarno-politycznego.

Być może, iż człowiek przeciętny kiedyś rozwinie się do tego stopnia pod względem socyalnym, iż wewnętrzna kon-

trola psychologiczna i moralne poczucie obowiązku wystarczy, ażeby w życie wprowadzić ideał spółki produkcyjnej. Ale na te wyżyny socyalne ludzie tylko stopniowo się wzniosą". I wówczas dopiero zniknie zło wszelkie i te cienie, które od obecnej formy produkcyi rolnej gospodarstw małych są nieodłączne, jak np. praca bez wytchnienia, bez zmiany, bez orzeźwiających wakacyi... i tu spotykamy się z wyobrażeniami, które nam pokazują na oko, że trzeźwy ekonomista wyobraża sobie pracę przy warsztacie rolnym na sposób pracy fabrycznej i upaja się mirażami przyszłego raju socyalistycznego.

Oczywiście do celu tak odległego i idealnego dochodzi się, zdaniem Davida, drogą powolnych tylko reform i ulepszeń. A więc obok polityki, zmierzającej do ruiny i rozbicia własności wielkiej, należy żywotną roztoczyć opiekę nad chłopami i popierać rozwój gospodarstw małych przedewszystkiem przez zorganizowanie zbytu płodów rolniczych i spotęgowanie sił produkcyjnych za pomocą asocyacyi.

Kółka i spółki rolnicze mają wykształcić chłopa pod względem socyalnym i stopniowo i powoli organizować i w życie wprowadzać wspólne zakupy i zbyt materyałów i płodów rolniczych i organizować spółki produkcyi rolnej.

Rozwój intenzywnego i kulturalnego gospodarstwa włościańskiego oczywiście nie jest możliwy bez nowych i ożywionych lokalnych rynków zbytu, bez budzących się potrzeb kulturalnych wśród szerokich mas ludności.

Otóż nowe te potrzeby i ożywione rynki lokalne i nowy ruch kulturalny mają się zbudzić w ogniskach przemysłowych, razem z wzmagającym się dobrobytem robotników fabrycznych. „Każdy zysk, wydarty kapitalistom w walce politycznej i ekonomicznej, każde przesunięcie stosunków dochodowych na rzecz najemnej masy robotniczej — to wzmożenie się konsumpcyi mięsa, mleka, masła, drobiu, jaj, jarzyn i owoców".

Pomiędzy interesami więc ekonomicznymi miast i wsi, robotników fabrycznych i chłopów niema przeciwieństwa i dlatego dwie te warstwy, zdaniem rewizyonistów, razem i solidarnie zmierzać powinny ku lepszej przyszłości.

Co więcej: ruch ten zmierza w prostej linii ku zupełnemu przeobrażeniu stosunków ekonomicznych w kierunku i według wzoru ideałów ekonomicznych socyalizmu. Bo gdy sprzęgnie się współdzielczy ruch włościański razem z konsumami robotników, społeczeństwo powoli wyzwalać się pocznie z więzów kapitału handlowego i uwalniać od armii kupców, żyjących tylko z pośrednictwa pomiędzy producentami a konsumentami. I tu już jesteśmy w pełnym rozwoju społeczeństwa socyalistycznego.

Ideałem więc i elementarną komórką ustroju społeczeństwa socyalistycznego i celem rozwoju agrarnego tak w programie rewizyonistów, jak ortodoksyjnych socyalistów, jest rolnicza spółka produkcyjna, z tą tylko różnicą, że w programie ścisłych marksistów spółka ta ma być wytworem twórczej siły rewolucyi socyalnej, a w programie rewizyonistów kresem i koroną powolnego rozwoju ekonomiczno-społecznego. Na tym wniosku i postulacie kończy też David swoje dzieło i odbiega tem samem daleko od swoich wywodów i przesłanek, które tak szeroko w swojej książce był roztoczył. To też z ułomnej tej konsekwencyi szydzi wyniośle przeciwnik jego Kautsky.

David, mówi on, powinien był przekonywująco i wszechstronnie dowieść, że istota produkcyi rolnej nie daje się pogodzić z produkcyą współdzielczą. Produkcya bowiem spółdzielcza stanowi od wieku całego najgłówniejszy postulat wszystkich programów socyalistycznych różnych szkół i wynika głęboko z samej istoty socyalizmu. Ona ma wyzwolić ludność rolniczą z „wiecznej i uciążliwej“ pracy i podnieść i spotęgować wydajność ziemi.

Zdawałoby się więc, że na ten punkt autor zwróci całą swoją uwagę. Tymczasem on poświęca około 600 stron stosunkowi małej produkcyi rolnej do wielkiej, a na pięciu tylko stronach dowodzi ułomnie nieracyonalności spółdzielczej produkcyi rolnej.[1] Pewnym uwagom Kautsky'ego nie można odmówić słuszności. Kto rzuca hasło: popierać indywidualne gospodarstwa małe, musi się rozstać z ideałem kolektywizmu w rolnictwie.

[1] Kautsky, „Kwestya rolna“ t. II. str. 184. Kraków 1907.

Cały problem streszcza się w pytaniu, jak to Kautsky bystro zaznaczył, „czy istota produkcyi rolnej da się pogodzić z produkcyą współdzielczą?“

I na pytanie to odpowiada nauka i doświadczenie przecząco. A więc ideał kolektywny w produkcyi rolniczej rozwiewa się niepowrotnie w mirażach: brzmi konkluzya.

Ale bo też inna jest istota produkcyi fabrycznej i inna produkcyi rolniczej, inna jest tajemnica i sprężyna żywotna postępu w przemyśle a inna w rolnictwie.

Fabryczna produkcya przemysłowa opiera się na podziale wyspecyalizowanej pracy i automatycznym prawie procesie produkcyjnym.

W rolniczej natomiast produkcyi cały postęp i powodzenie zależy w przeważnej mierze od zmiennych i nieobliczalnych warunków pogody, klimatu, światła i opadów atmosferycznych, słowem, od czynników i warunków przypadkowych i zmiennych, przed którymi trzeba się bronić i które należy wyzyskać i z drugiej strony od znajomości żywego inwentarza i twórczych sił przyrody, tkwiących w danej ziemi, które trzeba wyzwolić z uśpienia i pobudzić do twórczej akcyi.

W fabryce panuje wszechwładnie maszyna i szablon i ujmuje automatycznie w żelazne ryzy robotników i kierowników.

W produkcyi rolniczej maszyna niewielkie ma zastosowanie, a we wszystkich dziedzinach pracy panuje wszechwładnie zasada indywidualizacyi. Tu trzeba zbadać dokładnie każdy skrawek ziemi i jej siły żywotne i niedomagania i jej rentowność, tu trzeba znać dobrze warunki rozwoju każdej rośliny i zwierzęcia i usunąć troskliwie i umiejętnie przeszkody i przecierać drogę twórczym siłom przyrody.

We fabryce kierownictwo i porządek pracy wyrasta i narzuca się automatycznie robotnikom i kierownikom do tego stopnia, że neosyndykalistom, owianym głęboko antyautorytatywną zasadą anarchizmu, zdaje się, iż po zawładnięciu fabryk zdołają się obejść bez wszelkiego kierownictwa autorytatywnego pod względem techniki i dystrybucyi dóbr ekonomicznych.

W rolnictwie natomiast cała tajemnica postępu tkwi w umiejętnej indywidualizacyi i kierownictwie autorytatywnem. Tu jak na wojnie roztropna decyzya kierownika częstokroć konieczna jest, żeby z sfery możliwości i wahań przystąpić do czynu, tu troskliwe tylko pielęgnowanie żywej przyrody i roztropna, na bogatem doświadczeniu, oparta oryentacya gospodarcza zdoła wydobyć z ukrycia i pobudzić do akcyi twórcze siły przyrody.

I te zmienne właśnie i nieobliczalne częstokroć warunki i czynniki produkcyi rolnej i te twórcze siły rodzicielki ziemi i żywej roślinności i żywego inwentarza sprawiają, że kulturalne i intenzywne gospodarstwo rolne nie obejdzie się bez właściciela albo dzierżawcy i bez autorytatywnego kierownictwa. Podobnie jak dzielny rzemieślnik musi pokochać swój warsztat i narzędzia swego fachu, jeżeli chce się utrzymać na wyżynie pewnego artyzmu rzemieślniczego, tak i rolnik musi ogarnąć serdecznem uczuciem tę matkę ziemię i troskliwie pielęgnować wszystkie twórcze siły żywej przyrody, żeby pobudzić je do bogatej w owoce akcyi i spotęgować wydajność swego gospodarstwa. Istota więc produkcyi rolnej domaga się indywidualnego gospodarstwa i indywidualnej własności ziemi. I z tego względu gospodarstwa rolne zgoła nie przypadają do miary i celu organizacyi i społeczeństwa socyalistycznego. I dlatego rewizyonizm wysunął na czoło programu agrarnego samodzielne gospodarstwa małe, dostępne dla robotników rolnych.

Do teoretycznych uwag w sprawie spółek produkcyjnych dodajmy i to, co nam doświadczenie z ostatniego dziesięciolecia w tej mierze przynosi.

Otóż znany i ruchliwy ekonomista Oppenheimer, chcąc we formie pośredniej połączyć korzyści wielkiego gospodarstwa rolnego z zaletami samodzielnego gospodarstwa małego, zakupił w ostatnich latach dla spółki robotników rolnych z o. p. majątek ziemski Wemingen-Lupnitz w pobliżu miasta Eisenach.

Cecha charakterystyczna spółki polegała na tem, że robotnicy mieli osiąść na drobnych dzierżawach wokoło majątku, który wspólnie na podstawie podziału pracy i przy pomocy wspólnego kapitału uprawiać mieli.

Zanim jednak spółka zdołała rozwinąć swoją działalność, rozpadła się wskutek niekorzystnej konjunktury targowej i niedomagań administracyjnych.

Ażeby uratować z majątku co się dało, przeprowadzono likwidacyę spółki z 60% stratą.

Szkoda wielka, iż spółka rozpadła się w stadyum przygotowawczem i że uczony ekonomista nie zdążył na oko się przekonać, iż w rolnictwie każda spółka produkcyjna nieuchronnie rozpaść się musi z powodu braku kontroli ścisłej, niemożliwej do przeprowadzenia w gospodarstwie rolnem i utrudnionej nader dyscypliny wewnętrznej w braku autorytatywnego kierownictwa.[1]

Inną mają fizyognomię spółki rolne, założone pod koniec ubiegłego wieku, przez dyrektora banku ziemskiego Kalkszteina w Poznaniu.

Spółki te miały na celu ułatwić członkom, składającym się z robotników i rzemieślników, nabycie gospodarstw rolnych. Tu już nie było mowy o wspólnem gospodarstwie, tylko o wspólnem zakupnie majątku ziemskiego, który członkowie wzięli w dzierżawę.

Wspólne były tylko długi, ciążące na majątku, który należał do spółki i który działami dzierżawionymi w ciągu 15—30 lat po spłaceniu długów miał przechodzić na własność członków. Na pozór, zdaje się, dobra i mądra instytucya, a jednak praktyka życia roztoczyła ją prędzej, niż spółki zdołały osiągnąć swój cel.

„Cała bowiem konstrukcya tej spółki, mówi prof. Bernhard, który spółki te badał, zapanowała harmonia, jakiej w rzeczywistości niepodobna znaleść. Prawidłowo mogła spółka taka tylko wtedy funkcyonować, jeżeli nikt nie umarł, nikt z niej nie wystąpił, nikt nie został wydalony, nikt nie zaniedbał swojej parceli, nikt nie zwlekał z zapłaceniem czynszu. Skoro atoli jedno z tych kółek nie pracowało prawidłowo, nieprawidłowość

[1] *Ein gescheitertes sozialpolitisches Unternehmen, Soziale Praxis*, 1908—1009, str. 294.

ta odbiła się na spółce całej, która ręczyła za płacenie czynszu i ekonomiczny stan każdej parceli. Skutek był ten, że w spółce było zawsze niezadowolenie, które niekiedy przybrało charakter prawie rozpaczliwy. Nikt bowiem nie był rzeczywistym właścicielem swojej parceli i zależność ta dawała się biednym chałupnikom okrutnie we znaki". To też każdy pragnął choćby to z większemi ofiarami było połączone, wejść jak najprędzej w zupełne posiadanie swojej parceli. I spółki rozwiązały się po niewielu latach, po rozdzieleniu długu wspólnego na poszczególne parcele przy pomocy banków ludowych i polskiego banku związkowego w Poznaniu, w Pinczowie w roku 1906, w Wiekowie w roku 1907, w Oloboku roku 1908.[1]

Wreszcie zasługują tu jeszcze na wzmiankę spółki robotników i dzierżawców rolnych, które w ostatnich latach powstały we Włoszech.

Pierwsze są to zrzeszenia robotników, pod kierunkiem przedsiębiorcy, szukające zarobku, które niekiedy dzierżawią i wielkie szmaty ziemi, ażeby je wspólnie uprawiać. Już sama ich forma napół prymitywna, napół militarna wskazuje, że one z kulturalną spółką rolną nie mają nic wspólnego. Sekretarz giełdy w Reggio-Emilia tak opisuje te spółki: „Większa część gruntów, znajdujących się obecnie w dzierżawie stowarzyszeń w Falrico, Reggiolo, Brunieto, S. Wittoria, leżały odłogiem bez uprawy. Siły robocze najmowane były tylko w ilości nieznacznej dla zbioru siana i trzciny. Dzisiaj na polach tych plantacye ryżu. Kultura rolna w niektórych miejscowościach tak się podniosła, że zapotrzebowanie siły roboczej zwiększyło się w czwórnasób". Spółką kieruje dyrektor, wybierany przez zarząd. Dzień pracy trwa 10 godzin z dwugodzinną przerwą na obiad. Roboty wykonywane są przez członków stowarzyszenia kolejno według porządku wyznaczonego przez dyrektora, podług taryfy płac związku zawodowego.

Inne natomiast mezzardi, podobne do polskich spółek Kalk-

[1] Patrz: Bernhard. *Die Polenfrage* str. 481, 503, 564.

szteina, dzierżawią wspólnie większe obszary ziemskie, ażeby je następnie działami odstąpić członkom w dzierżawę. I te spółki są zbyt świeże i nie udowodniły jeszcze swojej żywotności życiowej ani gospodarczej, ale w przyszłości, jako formy pośrednie w nabywaniu własności rolnej mogą doniosłą odegrać rolę. Spółki te stały się przedmiotem gwałtownych ataków ze strony marksistów, rewizyoniści natomiast bronili ich zwycięsko, wskazując na niezbity argument, zaczerpnięty z życia: *La teoria è nella natura del suolo e della coltivazione: ecco.* Teorya agrarna wyrastać powinna z ziemi i jej uprawy.[1]

Ks. Leonard Lipke.

[1] *Ruini w Critica Sociale* r. 1908 str. 151.

Wycieczka pedagogiczna uczniów do francuskiej Szwajcaryi.

Chciałbym pokrótce zdać sprawę z wycieczki wakacyjnej do francuskiej Szwajcaryi. Wycieczkę tę odbyła w lipcu i sierpniu 1911 młodzież szkolna pod przewodnictwem nauczycieli, rozpoczynając w ten sposób szereg dalszych, które co roku mają się odbywać.

Na czele organizacyi tej stanęli ludzie, którzy miłują młodzież i pragną jej dobra, a z drugiej strony przez pracę swą dotychczasową dają dostateczną gwarancyę, że nie korzyści chwilowe, ale myśli głębsze i szlachetne cele mieli na oku. Bezpośrednim motywem zorganizowania podróży było zaspokojenie naturalnej żywości młodzieży, żywości, która ją pcha w nowe i nieznane światy, w kraje dalekie, między obcych ludzi, w obce kraje... Że chęć poznania okolic nieznanych, obcych krajów i zwyczajów jest sama przez się dobra, że podróż taka kształci i wyrabia umysł, o tem niema wątpliwości. Aby jednak korzyść ta nie była illuzoryczną, słabą, trzeba umieć ją zorganizować i w tem jest pierwsza zasługa komitetu wspomnianego. Z tą połączona była inna: poznanie dokładniejsze języka francuskiego, a przyświecała tym wszystkim dalsza: zbratanie narodów... Aby to wyjaśnić, przejdźmy kilka szczegółów, odnoszących się do organizacyi wycieczki.

Komitet obszerniejszy składali: profesorowie uniwersytetów: Dr. A. Baginsky (Berlin), Dr. Becker (Wiedeń), radca rządu Dr. Burgenstein (Wiedeń), radca dworu Dr. Mayer Lubke (Wiedeń), inspektorzy krajowi: radca dworu Dr. Erodi (Bu-

dapeszt), radca rządu Januschke (Wiedeń), radca dworu Dr. Loos (Linz), radca Dr. Schack (Budapeszt), radca dworu Dr. Scheindler (Wiedeń), radca Ludwik Spitko (Budapeszt), Dr. Vrba (Wiedeń), radca rządu Dr. Wallentin (Wiedeń). Prócz tych należał w skład komitetu cały szereg dyrektorów i profesorów szkół średnich. Na czele komitetu wykonawczego stał Dr. Jan Dengler.

Wycieczka obejmowała młodzież szkół średnich Austro-Węgier i cesarstwa Niemieckiego w latach od 14—20 r. życia. Dla należytej organizacyi wycieczki zjednał dla swej sprawy komitet wiedeński szereg profesorów w Gracu, Pradze, Krakowie; Budapeszcie, Berlinie, Kolonii, Karlsruhe i Monachium. Każdy z tych profesorów organizował w swym kraju samodzielnie grupę uczestników, poczem wszyscy uczniowie z wspomnianymi profesorami na czele zjechali się w Wiedniu, by stąd 17 lipca udać się wprost do Lozanny.

Wyjątek stanowili uczniowie z Rzeszy, im bowiem poręczniej wypadło udać się do Lozanny wprost. Po przybyciu na miejsce podzieliło się młodzież na grupy i oddziały. Zasadą ogólną było: grupy niewielkie (10—15 uczniów) na czele każdej jeden z tych profesorów, którzy przybyli z wycieczką i jeden z nauczycieli szwajcarskich, pozyskanych dla sprawy. Starano się też o to; aby młodzież wchodząca w skład jednej i tej samej grupy odpowiadała sobie pod względem wieku i rozwoju tak umysłowego, jak i fizycznego tak, aby w każdej grupie osięgnąć jak najlepszy zespół. Z drugiej strony starano się, aby uczestnicy jednej grupy nie pochodzili wszyscy z tej samej prowincyi, lecz owszem starano się, ile możności, jak najwięcej pomięszać narodowości ze sobą. Celem tego było: 1^0) zmusić wszystkich do rozmawiania po francusku, 2^0) zbliżyć ze sobą uczniów różnych narodowości i przez wzajemne poznanie się ułatwić zadzierzgnienie węzłów braterstwa między nimi wprost, a tem samem pośrednio przyspasabiać zwolna grunt dla przyjęcia wzniosłej myśli: braterstwa narodów...

Punktem ciężkości wycieczki była Lozanna. Tu roztasowała się młodzież w sześciu pensyonatach: Anglo-Suisse In-

stitut, Collège Catholique, Le Lycée Jaccard Institut, Villa Longchamp, Pension Professor Dau i Pension Held. Prócz tego umieszczono jedną grupę w Pensionat Château du Rosey w Rolle, a jedną w Institut Bellerive (Sillig) w Vevey.

Pobyt w Szwajcaryi obliczono na 4 ewentualnie 6 tygodni, zależnie od decyzyi uczestników, czas zaś pobytu wypełniła nauka języka francuskiego, gry, zabawy i sporty wogóle, zwiedzanie miast i zabytków, wycieczki bliższe i dalsze. Tak więc zwiedzili uczniowie:

w Lozannie: Katedrę Nôtre Dame, Palais du Rumine, Uniwersytet i Musèe des Beaux Arts,
w Genewie: Katedrę św. Piotra, ratusz, Musèe Ariana,
w Neuchâtel: Châtèau, Eglise Collègiale, Musèe des Beaux Arts,
we Fryburgu: Kościół św. Mikołaja, miasto dawne i mosty wiszące,
w Bernie: Bundespalast, Münster, słynną wieżę zegarową, muzeum historyczne, mosty i naturalnie „den Bärengraben",
w Lucernie: Kościół dworski i pomniki,
w Zurychu: Politechnikę i muzeum krajowe.

Prócz tego: Château de Madame de Staël i Château de Chillon nad jeziorem lemańskiem. Poznali też urządzenie cene trali elektrycznej w Lozannie, urządzenie „Funiculaire" t. j. kolilinowej, która łączy Lozannę z niżej położonem Ouchy, następnie „Forres motrices du Rhône" w Genewie i cały szereg fabryk, jak np. fabrykę czekolady Sucharda w Neuchatel, fabrykę zegarów w Lozannie i słynny browar „Cardinal" we Fryburgu.

Naukę języka francuskiego pobierali uczniowie w każdym instytucie oddzielnie i to w 2 lub 3 grupach, zależnie od wprawy, jaką posiadali już w tym języku. Nauki udzielali nauczyciele tych instytutów, a więc rodowici Francuzi lub Szwajcarzy. Nad należytem prowadzeniem nauki czuwało dwóch członków komitetu: Edmond de Lambert, Officier d'Académie, prof. szk. handl. w Wiedniu i Georges Georgiadès, Officier d'Académie,

prof. nowej szk. handl. w Wiedniu. Prócz tego zorganizowano szereg wykładów na uniwersytecie w Lozannie, dla tem lepszego ułatwienia młodzieży w wsłuchaniu się w brzmienie języka. Wykładów tych — a były połączone z projekcyami świetlnemi — podjęli się profesorowie tamtejszego Uniwersytetu, a mianowicie:

p. Meylan-Faure: Une ancienne civilisation retrouvèe: la Crète primitife (2 wykł.),
p. Wellauer: En zigzag á travers les Alpes (2 wykł.),
p. Taverney: Deux sèmaines á Java,
p. Yersin: Constantinople et le Bosphore,
p. Andrè: Rècitat litteraire,
p. Cahen: Versailles et Trianon,
„ : La sculpture française au XIX siècle, de Rude á Rodin,
p. Valloton: La peinture française á la fin du XVIII siècle, de Louis XV a l'Empire (2 wykł.).

Co się tyczy sportów, to użyli ich uczestnicy w całej pełni. Każdy mógł oddawać się temu rodzajowi sportu, który mu największą sprawiał przyjemność. Jedni więc jeździli konno, inni dosiadali rowerów, lub ćwiczyli się w wiosłowaniu po jeziorze, było wielu amatorów tennisu, lekkiej atletyki i t. p., a wszyscy używali namiętnie kąpieli. Nadzór i naczelne kierownictwo nad sportami sprawowali lekarze, a udział w grach i zabawach na świeżem powietrzu brali niemniej gorliwie profesorowie, stojący na czele poszczególnych grup. Aby zaś zachęcić młodzież do gorliwego udziału w sportach, urządzono dwa turnieje sportowe, pierwszy, główny dnia 3. sierpnia, drugi z końcem sierpnia. Pierwszą połowę dnia poświęcono zapasom w tennisie i atletyce, po obiedzie wyścigom w pływaniu, wiosłowaniu i w nurkowaniu. Wieczorem ogłoszono nazwiska zwycięzców, którzy zdobyli nagrody: medale złote, srebrne i brązowe, poczem nastąpiły tańce.

Nauka, gry i zabawy wypełniały dni t. zw. rekreacyjne, t. zn. wolne od wycieczek, te bowiem z natury rzeczy najwięcej nęciły młodzież. Plan pierwotny przyjmował jako zasadę: ka-

żdego tygodnia zwiedzić jedno z miast i odbyć jedną wycieczkę dalszą, prócz tego każdego tygodnia mniejsze przechadzki lub jazdy po jeziorze. W myśl tego planu poznała młodzież kilka znaczniejszych miast szwajcarskich, zwracając uwagę na zupełnie prawie odmienny charakter każdego z nich. Z pomiędzy przejażdżek po jeziorze, skierowanych do bliższych lub dalszych miejscowości, gęsto dookoła jeziora rozrzuconych, prym osiągnęły dwie: pierwsza 7. sierpnia, druga 18. sierpnia.

W dyrekcyi towarzystwa: Compagnie de Navigation zamówiono parowiec na cały dzień. O godzinie 8-mej rano wsiedli na statek uczniowie i puściliśmy się dookoła jeziora. Pierwszą stacyą było Coppet, gdzie zwiedziliśmy interesujący ze względów historycznych zamek Madame de Stael; następnie zwróciliśmy się ku przeciwległemu brzegowi jeziora i mijając Thonon-les-Bains, Evian-les-Bains i olbrzymie kamieniołomy Meilerie, wysiedliśmy w St. Gingolph, małej wiosce rybackiej, ciekawej z tego względu, że połowa tej mieściny należy do Francyi, a druga do Szwajcaryi. Po godzinnym odpoczynku popłynęliśmy dalej do Territet, skąd pieszo udaliśmy się do Chateau de Chillon. Tu zwiedziła młodzież zamek, poczem na dziedzińcu tegoż fotografowali się wspólnie wszyscy uczestnicy wycieczki. Wreszcie wieczorem wróciliśmy do domu. Jazda ta całodzienna należy do najmilszych wspomnień każdego z wycieczkowców, — zrozumie to każdy, kto choćby raz miał sposobność poić się wdziękiem tego pięknego jeziora...

Druga przejażdżka, krótsza, odbyła się 18. sierpnia. Była to właściwie regatta urządzona dla uświetnienia dnia urodzin Cesarza Franciszka Józefa. Już nie na jednym statku, lecz na całym szeregu łodzi i mniejszych statków wyjechali wszyscy wieczorem na jezioro. Wszystkie łodzie ubrane lampionami, a hen precz w dali statek jeden, strojny też, wyrzucał w górę mnóstwo rakiet i ogni sztucznych. Malowniczo wyglądało to mnóstwo świateł krzyżujących jezioro w najrozmaitszych kierunkach, — było też to wrzawy, radości i krzyku... Koncentrowało się zaś bractwo koło łodzi, która zasilała niezmordowanych wioślarzy przekąskami i piwem, odsyłając zbyt na-

tarczywych do innej, na której umieszczona orkiestra urozmaicała i tak już wesołe chwile...

Wreszcie wspomnieć należy i o wycieczkach dalszych, górskich. Zorganizowano je w ten sposób, że każdej trudniejszej, dla wprawnych turystów przeznaczonej, towarzyszyła druga łatwiejsza dla słabszej braci. Jedne i drugie zaś stopniowały wymagania tak, że najcięższe odbywało się pod koniec pobytu, a więc wtedy, gdy młodzi turyści nabyli już wprawy w chodzeniu i w znoszeniu trudów i niewygód. Szliśmy zawsze oddzielnemi grupkami, z każdą profesor, (kierownik grupy), a prócz niego nauczyciel francuz i przewodnik zawodowy. Poznali więc uczniowie następujące góry: *Rochers de Naye* (2045 m), *Grammont* (2200 m), skąd podziwiać mogli okoliczne Alpy, góry Jura i rozciągające się u stóp jezioro genewskie. — Następnie z *Champéry* wsi górskiej, leżącej w dolinie Val d'Illier, wyszliśmy na szczyt *Dent du Midi* (3286 m), z *Les Plans* zaś (powyżej *Bex*) na *Grand Muveran* (3061 m). Równocześnie zwiedzili słabsi *Croix de Culet* (2000 m) i *Croix de Javernar* (2100 m). Odmienny charakter miała wycieczka w góry Jura, ponad jezioro *Lac de Jaux* (1000 m), na szczyt *Dent de Vaullion* (1500 m). W tej wycieczce (ostatni tydzień pobytu) chwycił nas po raz pierwszy w ciągu całego czasu ulewny deszcz, poprzedzony wielką burzą. Zgodnie jednak przyznali wszyscy uczestnicy wycieczki, że mimo ulewy nie żałują tego dnia, po raz pierwszy bowiem poznali pełny i groźny majestat burzy, szalejącej wśród gór nad jeziorem...

Pomiędzy wycieczkami dzierżyły prym dwie większe, trzydniowe wycieczki. Stanąwszy kwaterą w *Chamonix* w przepięknej dolinie u stóp *Mont Blanc'u*, spoglądali młodociani turyści zrazu z daleka, bo ze szczytów *Flegère* (1877 m) lub *Mont Brévent* (2525 m) na pola lodowe, pokrywające cały łańcuch *Mont Blanc'u*; wnet jednak pokusili się śmielsi na zdobycie lodowca Bossons, poczem — 3-go dnia — już wszyscy przeszedłszy *Montanvert* (2009) weszli na lodowiec *Mer de glace*, a przeszedłszy go szczęśliwie, udali się przez t. zw. Mauvais-pas do najbliższej stacyi kolejowej, skąd dumni z odniesionych tryumfów wrócili do domu.

Drugą większą wycieczką była podróż w Alpy berneńskie do stóp *Jungfrau*. Kwaterą było urocze Interlaken, skąd przez Lauterbrunnental i Wengeralp dotarliśmy do Scheidegg (2064 m), leżącego u stóp trzech szczytów: Jungfrau, Mönch i Eiger, a zabawiwszy kilka godzin na lodowcu tegoż ostatniego i zwiedziwszy słynną grotę lodową, powróciliśmy przez Grindelwald do kwatery.

To były najważniejsze wycieczki, nie wspominam już o całym szeregu mniejszych, lubo nie mniej pięknych i uroczych.

31. sierpnia wróciliśmy do domu.

Zanim przejdę do krytycznego ujęcia całości, chciałbym podać parę dat, one bowiem rzucą na cały obraz światło bardzo charakterystyczne.

Do współudziału dopuszczono uczniów i abituryentów gimnazyów, gimnazyów realnych, szkół realnych i handlowych, akademii handlowych etc. w wieku 14—20 lat. Wyjątkowo pozwolono wziąć udział w wycieczce 4 akademikom młodym, a na mój wniosek przyjęto w charakterze uczestników: katechetę (rzym. kat.) z Brodów i prof. gimn. z Kołomyi. Ogółem wzięło udział w wycieczce 13 profesorów i 140 uczniów, a mianowicie:

Austrya:	z Wiednia, Austryi dolnej i Salzburga .	34	uczn.
	z Czech, Moraw i Śląska	22	„
	z Galicyi	**22**	„
	ze Styryi i Karyntyi	9	„
	Razem . .	87	uczn.
Węgry:	z Budapesztu	2	uczn.
	z innych miast węgierskich	9	„
	Razem .	11	uczn.
Niemcy:	z Berlina i okolicy	20	uczn.
	z Bawaryi	9	„
	z okolic nadreńskich	7	„
	z Baden	6	„
	Razem .	42	uczn.

Z tej liczby 86 przyjechało na 4, a 54 na 6 tygodni.

Podział uczniów:

a) pod względem religii:

religii rzymsko katol.	62	uczn.
„ grecko „	1	„
„ ewangiel.	39	„
„ grecko-oryent. . . .	2	„
z kośc. unickiego	1	„
wyzn. mojżeszowego	35	„

b) pod względem narodowości:

Polaków	22
Niemców	102
Węgrów	10
Czechów	4
Kroat	1
Serb	1

c) pod względem wieku:

poniżej 14 lat	1
14 lat	6
15 „	9
16 „	27
17 „	55
18 „	25
19 „	10
20 „	5
ponad 20 lat	2

d) według zakładów naukowych:

uczniów gimnazyalnych	67
„ z realnych gimn.	18
„ ze szkół realnych	25
„ „ „ handlow.	22
z innych zakładów	8

Najciekawszą jest statystyka według zawodu rodziców:

synów	urzędników państwowych	17
,,	oficerów	4
,,	urzędników prywat.	18
,,	handlowców	37
,,	przemysłowców	20
,,	obywateli ziemskich	2
,,	ludzi z „zawodów wolnych“ . . .	28
,,	rentyerów	14

Widzimy, ze największej liczby uczestników dostarczył świat przemysłowy i kupiecki, bo $28 + 18 + 20 + 37 = 103$ czyli 73.5%, a więc prawie $^3/_4$ ogółu uczestników!

Wreszcie *nervus rerum* — koszta wycieczki. Wynosiły one dla uczestników w Austryi:

345 kor. jeśli pobyt trwał 4 tygodnie
465 ,, ,, ,, ,, 6 ,,

Do tego doliczyć trzeba:

a) 25 kor. jeśli ktoś chciał jeździć kl. II. zam. III.
b) dla uczestników Galicyi cenę jazdy do Wiednia i z Wiednia do miejsca pobytu rodziców;
c) 30 kor. w razie uczestniczenia w jednej z dwóch większych wycieczek (t. j. Chamonix lub Interlaken);
d) 50 kor. w razie brania udziału w jeździe konnej.

Natomiast uczestnicy mieszkający w mniej luksusowych pensyonatach, płacili po 10 kor. tygodniowo mniej.

* * *

Przechodząc do krytycznego omówienia całej tej imprezy, zacząć mi wypada od materyalnej strony; nie dlatego, żeby to była najważniejsza strona dzieła, owszem przeciwnie, i jedynie w tym celu, aby z góry usunąć wszelkie wątpliwości w tym względzie i możliwe przypuszczenia.

Z góry więc zaznaczam, że wycieczka nie była wcale przedsiębiorstwem obliczonem na zysk. Prawda, że kwota

345 kor. za pobyt 28 dniowy tj. 12 kor. 32 hal. dziennie, lub
465 „ „ „ 48 „ tj. 11 „ 07 „ „ jest

dość znaczną, z drugiej strony jednak przyznać trzeba, że lwią część pochłonęły ceny jazdy koleją, statkami, przytem z kwoty tej pokryć trzeba było koszta urządzenia wycieczki samej, koszta wycieczek i t. p.

Gdybyśmy się ograniczyli li tylko do jazdy do Szwajcaryi i pobytu tamże, wyniosłyby koszta 40·3 K za każdy tydzień pobytu, *plus* 62·2 K (cena jazdy), a więc 223·4 za pobyt 28-dn., a 304 K za pobyt 42-dniowy. Uwzględnić jednak trzeba, że mieszkania i wogóle cały program musiał być ustalony na podstawie autopsyi, że tak nauczyciele szwajcarscy, jakoteż i kierownicy wycieczki musieli otrzymać wynagrodzenie za swój trud i pracę przynajmniej w zwrocie kosztów jazdy i utrzymania, że wreszcie koszta wycieczek, wstępów etc. pochłonęły też znaczną kwotę i w ten sposób podwyższyły wysokość udziału. Wymienię kilka pozycyi:

Ogólna suma dochodów wynosiła 60.311 Kor. 93 hal., czyli okrągło 60.312 Kor. Z tego:

Techniczna część urządzenia wycieczki, a więc jazda do Szwajcaryi dla wyboru miejsca, pensyonatów etc., koszta druków, ogłoszeń, korespondencya etc. pochłonęły 2.826 Kor. Honorarya dla nauczycieli szwajcarskich 1.670 Kor. Jeżeli dodamy, że na pokrycie wydatków połączonych ze sportami wydano 774 Kor., że wycieczki wraz z wstępami, hotelami etc. kosztowały 12.915 Kor. — pojmiemy, że udział w wycieczce musiał być wyższy.

Zwrócić warto uwagę na dwa momenta:

1. Za wycieczki do Chamonix i w Alpy berneńskie płacili uczniowie osobno. Otóż

na wycieczkę do Chamonix	wpłynęło:	3030 K.	— kosztowała	3107 K.
„ „ w Alpy bern.	„	1620 K.	— „	1683 K.
	Razem wpłynęło	4650 K.	— wydano	4690 K.

Wydanoby zaś jeszcze więcej, gdyby kilkunastu uczniów zapisanych nie cofnęło się w ostatniej chwili.

2. Czysty dochód całej wycieczki do Szwajcaryi wynosił 964 K. 27 h. Dochód ten rozdzielono w ten sposób:

450 Kor. przeznaczono na zasiłki dla 3 uczniów, którzy w roku przyszłym będą brać udział w wycieczce.

100 Kor. rozdano jako 2 nagrody (60 K. + 40 K.) dla tych uczniów, którzy prześlą najlepsze sprawozdania z wycieczki.

Resztę przelano na rok 1912 jako początek funduszu, mającego pokryć wydatki przyszłorocznej wycieczki.

Rachuby na zysk nie było. Natomiast były starania, aby przez uzyskanie stypendyów umożliwić i mniej zamożnym wzięcie udziału w wycieczce.

Starano się też i bardzo usilnie o wyjednanie u osób lub instytucyi pewnych kwot t. zn. stypendyów dla młodzieży mniej zamożnej. Uzyskano też w Wiedniu, w Grazu i Berlinie kilka znaczniejszych datków w łącznej kwocie 2.965 Koron i 880 marek, które rozdzielono między 17 uczestników, tworząc 2 stypendya 6-cio tygodniowe i 2 półstypendya 6-cio tygodniowe, oraz 4 stypendya 4-ro tygodniowe i 5 półstypendya 4-ro tygodniowe.

U nas, w Galicyi starano się też u Izb handlowych, w Dyrekcyi banków, w Radzie miasta Krakowa i Lwowa etc. o takie subwencye. Niestety starania były bezskuteczne; — jedna tylko Rada miasta Krakowa zajęła stanowisko wyczekujące, tłómacząc się późnem wniesieniem podania, pozatem nawet słowem zachęty nie obdarzono starań naszych. Mimo to, dzięki uprzejmości centralnego zarządu udało się wyjednać dla jednego z uczniów naszych zapomogę.

Co się tyczy dalszych udogodnień zaznaczyć należy, że Dyrekcye kolejowe służyły nam wszędzie z wielką uprzejmością wszelkiemi ulgami, jakiemi rozporządzały w ramach obowiązujących ustaw. Zaznaczyć jednak trzeba, że formalności nastręczają koleje szwajcarskie daleko mniej, niż nasze, tam bowiem wystarczy na ¼ godz. przed odjazdem pociągu zgłosić

się przy kasie, a już dla 8 uczniów z nauczycielem otrzymuje się 50% zniżki.

A teraz korzyści?

Niezaprzeczone i wielkie, o ile mówi się o poznaniu kraju, jego zabytków, piękności, zwyczajów i obyczajów. Wielkie — gdy mowa o wprawie w używaniu języka francuskiego. Nie trzeba sobie co prawda wyobrażać, żeby ktoś nieumiejący wcale mówić po francusku i nie znający zupełnie języka tego, posiadł go zupełnie, bo na to za mało byłoby 6 tygodni, ale każdy wsłuchał się w tę mowę, przyzwyczaił ucho i nałamał język, tak, że każdy jako tako mówić się nauczył, o ile przed podróżą był w tym kierunku profanem, a wprawił się bardzo dobrze, gdy przedtem posiadał pewne początki. Byłyby w tym kierunku daleko większe korzyści, gdyby uczniowie przestrzegali nakazu mówienia wyłącznie po francusku. Tymczasem — i to słaba strona wycieczki. Niemcy wzięli górę tak, że po większej części mówiono po niemiecku. Nasi uczniowie nabyli w ten sposób większej wprawy w języku niemieckim, jak we francuskim.

Największe atoli korzyści osiągnęliśmy na innem polu. Wprawdzie ani chwili nie spędziła młodzież sama, wszędzie bowiem, czy na wycieczkach i podróżach, czy wśród zabaw, gier, kąpieli, towarzyszyli jej profesorowie, mimo to jednak każdy, choć wiedział o opiece i czuł na sobie czuwające oko kierownika, zmuszony był radzić sobie sam tak, jak sam ponosić musiał trudy wycieczki. Zachęty do wytrwałości nie brakło, — cudne wprost krajobrazy i widoki, towarzystwo, nie milknący humor towarzyszy, — ale było i trudności wiele, jak np. noc pod gołem niebem, jaką idąc na Grand Muvèran musiała część uczestników przepędzić na wysokości 2800 m, — to okropne ciemności przy rozpoczęciu wspinania się na Dent du Midi, (wyszliśmy bowiem z schroniska o godzinie 1 w nocy) itp. Wskutek tego nabył każdy pewnej samodzielności, nauczył się radzić sobie, oryentować się, przezwyciężać siebie, dostrajać się do otoczenia... I przyznać trzeba, że w tym ostatnim kierunku prześcignęła młodzież nasza innych, podobnie, jak prym

dzierżyła wśród wszystkich uprzejmem i taktownem zachowaniem w domu czy poza domem.

Zawiedliśmy się na dwóch rzeczach. Po pierwsze mieszkania były dwojakiego rodzaju: 1) pensions de jeunes gens i 2) pensionnats. Te ostatnie to szkoły prywatne szwajcarskie, wyposażone należycie we wszystko, co do nauki i zabawy było potrzebne. Mimo to mniej odpowiedziały celowi naszemu, a to z dwóch powodów: po pierwsze nie były one wolne od młodzieży własnej mimo feryi, wskutek czego trudnem było nam korzystać z przyrządów zabawowych tych szkół. Powtóre surowy regulamin wewnętrzny, na miejscu w ciągu nauki szkolnej nie harmonizował z karnością naszych grup, na ogół bardzo poprawną, ale luźniejszą, bo wakacyjną, wycieczkową. Wreszcie i dyrektor szkoły chciał pierwsze skrzypce dzierżyć, a na to my nie mogliśmy się zgodzić. Mimo to przyznać muszę, że grupa np. do której i ja należałem, a która mieściła się w jednym z najsurowszych instytutów, bo w Lycée Janard, młodzież polska zyskała sobie poprawnem i taktownem zastosowaniem się pełną życzliwość i uznanie właściciela szkoły.

Drugim zawodem naszym była osobistość niektórych nauczycieli francuzów, którzy nie umieli się dostroić do tego stosunku uczniów, nie potrafili stać się prawdziwymi maitres-camerades.

Mimo to wszystko powiedzieć można i trzeba: wycieczka ma wszelkie warunki po temu, by ją popierać, zapewnia bowiem młodzieży tak wielkie korzyści, że drobne usterki, które zresztą wzbogaceni doświadczeniem zdołamy usunąć, nie przynoszą ujmy dziełu głęboko i szlachetnie pojętemu.

Życzyćby sobie jednak należało:

1. Wyodrębnić nieco więcej grupę polską, o ile pragnęłoby się wprawić ją więcej w języku francuskim, ewentualnie zobowiązać ją więcej do używania tegoż języka.

2. Przejąć myśl rzuconą przez komitet wiedeński i biorąc udział w zrealizowaniu jej łącznie z nim lub odrębnie, organizować podobne wycieczki w kraju naszym. Przeprowadzić zaś to należałoby z dwóch powodów: 1°) aby nasza młodzież po-

znała swój własny kraj, któremu nie brak też piękności, 2⁰) aby obcą młodzież: niemiecką, węgierską, francuską, angielską itp. oprowadzić po naszych uroczych zakątkach górskich, lub miastach. — Że podobna rzecz wymagać będzie trudów i pracy, to pewna, ale że współdziałanie w tak wzniosłej prayc opłaci sowicie wszelkie trudy — to rzecz pewna i niewątpliwa.

Dr. Roman Jamrógiewicz (Kraków).

Z PRZYSZŁEGO TOMIKU POEZYJ.

Dzień Paschy.

Kiedy nadejdzie dzień ów, dzień ów paschy mojej,
Gdzie w mrocznym wieczerniku, zmęczona i blada,
Wiecznie samotna dusza sam na sam biesiada,
W tęsknicy i milczeniu łamiąc chleb sierocy,
Wygnańczy chleb powszedni: lęku i niemocy —
Z gorzkością ziół pożywa, co już wczesną wiosną
Nad okwiecone ścieżki bujające rosną —
A dawno krzepiącego chce kosztować wina:
Gdy czarę do ust niesie, płacz jej usta ścina...
W dzień ów, w mroczny ten wieczór, w wieczór paschy mojej.

W ten dzień, o Panie, smętny, w ten dzień paschy mojej
Zestąp Ty, tam, gdzie, w cieniach wieczernika, blada,
U stołu swego dusza samotna biesiada
I chleb wygnania wziąwszy w przenajśw ętsze ręce,
Miłością twą przedwieczną nakarm dusze w męce.
I czarę weź, co wargom była jako pusta
I krwią twą przenajświętszą napój moje usta.
A na mej duszy oprzej twoje Boże oczy
I zdejm tę ciemność martwą, co ją w ziemię tłoczy
W ten dzień, Panie, ostatni, w ten dzień paschy mojej.

O niech w ten dzień ostatni, w ten dzień paschy mojej,
Niechaj z mrocznego swego ujrzę wieczernika,

Skąd się jedne drzwi tylko na wieczność odmyka,
Wieczernik twój daleki, uścielony bielą
Po niej lampy oliwne łagodny blask ścielą...
I przeźroczystość jasna boskich twoich dłoni...
I uczeń on, co głowę na twoją pierś kłoni...

. . . . . .

Niech świeci słodka wizya w mroki paschy mojej...

* * *

Piosenka skowrończa.

Skowronkowe śpiewanie wiosną, nad polami...

Nad ciszą szmaragdową pól wiosna wschodząca
Pogląda uśmiechniona przez drżące promienie, —
Młodziutkie piórko żyta powiew ciepły trąca.
I drżenie ros... na rzęsach dziecięcych łez drżenie.
Pieszczota pól... pieszczota macierzyńskiej dłoni...
Gdzieś osnuty w promienny blask skowronek dzwoni.

Skowronkowe śpiewanie wiosną nad polami...

Dalekoś mię odwiodła ty ścieżyno moja
Od dni dziecięcych wiosny słonecznego zdroja!
Dziś cichą twarz odwracam i z uśmiechem patrzę
Na dni te ścichające coraz dalsze, bladsze.
Widzę, jak źdźbła zbożowe drżą w słońcu na łanie...
Nad młodości polami skowrończe śpiewanie.

O łany! zboża łany! o białe do żniwa,
Które pokój spełnionej ofiary okrywa!
O biała aureolo, pod którą kłos gnie się!
Ku wam się dusza pełna utęsknienia niesie.
Co wiosną się poczęło, niech wieczność dokończa...
Słodka, w słońce spowita, piosenko skowrończa!

* * *

Przeklęte wody pychy.

Martwe morze. Wód ołów, — w niem światła odbicie.
Gorzkie i ciężkie wody. — Śmierć piasków dokoła
Wód śmierci — a w nich żadne nie wyżyje życie,
Żadne tchnienie błękitów podnieść ich nie zdoła.

Nad wodą, w dawno wyschłem wyrosłe korycie,
Drzewa — karły zgrzybiałe. — Jaskrawością woła
Z ich nędzy, owoc płomię, jak granat w rozkwicie:
Rozłam go, a w nim gorycz i nicość popioła.

Martwo się nieruchomy obszar wód rozlewa —
Nie przyjdą tu obłoków płakać słodkie zdroje,
Powiew niemieje młody i ptak nie zaśpiewa.

Bezchmurnych niebios zwarte milczące podwoje,
A z przeklętego, starczo skarlałego drzewa,
Jaskrawy owoc woła wieczne kłamstwo swoje.

A gdyś jest.

A gdyś jest, jak te w słońcu ugory leżące
W rozbłyśniętych tumanów powstającym dymie —
A gdyś jest, jak te w chwale ugory leżące,
O duszo! uwielbione, wielbij Jego Imię!

A gdyś jest, jak pszeniczne te łany grające,
Kiedy na nie wichr dalny swe dłonie położy,
A gdyś jest, jak organy tych łanów grające,
O duszo! pieśń więc swoją niechaj gra Duch Boży.

Twarz odwróci, i zgaśnie przepych twojej łuny —
Odejmie dłoń, i zmilkną rozegrane struny —
Więc pókiś cała w pieśni, w kadzidł srebrnym dymie,
O duszo, moja duszo! wielbij Jego Imię.

Karta z badań dyplomatycznych ks. Pierlinga.

W zeszycie majowym z. r. miesięcznika rzymskiego *Civiltà Cattolica* (6 Maggio 1911) poruszył Ojciec P. Pierling T. J. kwestyę bardzo ciekawą i dotychczas mało znaną: o projekcie unii Kościołów za panowania Cesarza Pawła I. [1]

Materyał historyczny, jakim rozporządzał Szanowny autor, był dosyć ubogi. Miał w rękach swoich Ojciec Pierling tylko parę listów O. Grubera i Gonsalviego,[2] parę listów rezydenta papieskiego w Petersburgu mgra Benvenutego i nuncyusza Arezzo, oraz relacye posła rosyjskiego przy Stolicy świętej Lizakiewicza, a jednak z właściwym sobie talentem potrafił nasz historyk całą kwestyę, o ile można, wyczerpująco przedstawić i uwzględnić pewne szczegóły i fakty, na które badacze tych dziejów należytej jeszcze nie zwrócili uwagi.

Projekt unii, zdaniem Ojca Pierlinga, wyszedł od kardynała Gonsalviego, sekretarza stanu. Jestto rzecz możliwa, ale jest rzecz prawdopodobniejsza, że główna zasługa w tym względzie należy się OO. Jezuitom. Gruber i jego dzielni towarzysze byli ludzie wielkiej miary. Żyjąc w stolicy Rosyi, poznali dokładnie miejscowe warunki, zrozumieli wyjątkowe

[1] Artykuł ten w skróceniu wszedł również do ostatniego piątego tomu monumentalnego dzieła O. Pierlinga: *La Russie et le Saint Siége*, Paris, 1912, str. 309 i nast.

[2] Niektóre z nich zostały ogłoszone drukiem przez Ojców Jezuitów w wydawnictwie: *Romana—Beatificationis et Canonisationis Ven. Servi Dei Joseph Mariae Pignatelli Sacerdotis Professi e Societate Jesu. Summarium Additionale et Novum Summarium Additionale.*

okoliczności, wśród których się znajdowali i postanowili skorzystać z nich dla dobra Kościoła katolickiego. Z wiadomości jakie otrzymywał z nad Newy, przeczuł niebawem Gonsalvi te ich myśli i zamiary i zaczął rzeczywiście energicznie i z całym zapałem je popierać. Pomimo tylolicznych zajęć, które dźwigać musiał na swoich barkach z racyi urzędu sekretarza stanu, choć wypadki we Włoszech i we Francyi mocno zaprzątały jego uwagę, ciągle jednak minister Piusa VII zwracał zwrok swój ku Rosyi, systematycznie słał Ojcom Jezuitom rady i wskazówki, krzepił ich słowami pociechy i przedewszystkiem usilnych dokładał starań, aby z dworem rosyjskim serdeczne utrzymywać stosunki dyplomatyczne. Sądził bowiem, iż tą drogą najskuteczniej pomoże Ojcom Jezuitom w ich pracy apostolskiej i będzie mógł się przyczynić w znacznej mierze do osiągnięcia tego, o czem Stolica święta marzyła od tylu wieków i czego sam pragnął gorąco.

Był to oczywiście optymizm, jakim dyplomaci rzymscy już niejednokrotnie grzeszyli w stosunkach z Rosyą, ale przyznać należy, że chwila, w której podejmowali dawne utopie, była dosyć szczęśliwa i odpowiednia.

Misya Wawrzyńca Litty, arcybiskupa Tebańskiego i nuncyusza apostolskiego przy dworze rosyjskim, jak wiadomo, celu nie osiągnęła. Skutkiem pewnych nieostrożności samego nuncyusza,[1] a głównie skutkiem intryg arcybiskupa Siestrzeńcewicza oraz niechętnych Littom: Bezborodki, Koczubeja etc. cesarz Paweł, uprzednio nader serdecznie usposobiony dla arcybiskupa Tebańskiego,[2] zmienił się nagle i dnia 14 kwietnia 1798 r. polecił Litcie natychmiast wyjechać z granic państwa. Wyraźnej woli monarchy nie mógł się oprzeć nuncyusz i niezwłocznie opuścił Petersburg, pozostawiając wszakże nad brzegami Newy księdza Benvenutego w roli oficyalnego agenta nuncyatury, aby się zajmował bieżącemi sprawami Kościoła

[1] Zwłaszcza w sprawie biskupów Dębowskiego i Sierakowskiego. Cfr. *Monumenta Ecclesiastica Petropolitana. I. 44.*

[2] Paweł mianował go Wielkim jałmużnikiem zakonu maltańskiego i dał mu z własnej szkatuły znaczną pensyę.

i zręcznie mu donosił o tem, co się działo w otoczeniu cesarskiem. Benvenuti odpowiedział w zupełności zaufaniu nuncyusza. Będąc człowiekiem obrotnym i spostrzegawczym, przez brata arcybiskupa Juliusza Littę i jego przyjaciół wszedł wkrótce w stosunki dworskie: poznał doskonale atmosferę dworu, poznał prądy, jakie zaczynały tam panować, konstelacye, jakie się ukazywały na horyzoncie, i niebawem, ku wielkiej swojej radości, mógł donieść Kuryi, że gniew cesarza na Littę i Watykan był krótkotrwały. Cesarz należy do ludzi dobrej woli; o tem, co było, już zapomniał; zgadza się znów na nuncyaturę w Petersburgu, bo chce zachować stosunki dyplomatyczne z dworem Reymskim, — tylko trzeba działać szybko, odważnie i nie zwlekać z przysłaniem nowego nuncyusza, Paweł bowiem ma charakter niestały i skutkiem tego można się łatwo obawiać wszelkich zmian gwałtownych w jego polityce. Całe Włochy, pisał później Benvenuti do Gonsalviego, winny pokładać nadzieję w Pawle. Listy Benvenutego, twierdzi Ojciec Pierling, żywo zajęły sfery duchowne w Rzymie, a zwłaszcza Kardynała sekretarza stanu. Nawet po nagłym wyjeździe arcyb. Litty z Petersburga nie tracił Gonsalvi nadziei, że stosunki Kuryi z rządem Pawła znów się naprawią, że rozdrażnienie cesarza szybko minie i dawna zgoda powróci, — i tym razem rzeczywiście się nie pomylił. Gdy więc nadeszły pomyślne wiadomości z nad Newy, postanawia Gonsalvi obrać niezwłocznie odpowiednią osobę i przy pierwszej sposobności wysłać nowego nuncyusza do Petersburga. Wybór sekretarza stanu padł na monsignora A. della Genga, późniejszego Leona XII — znanego naówczas w dyplomacyi papieskiej z taktu i umiarkowania. Ale della Genga propozycyi nie przyjął ze względu na słabe zdrowie i dla pewnych powodów natury ekonomicznej. Trzeba było wobec tego szukać innego człowieka, rozglądać się w Kuryi, konferować z rozmaitymi politykami — wreszcie skończyło się na tem, że za panowania nieszczęśliwego Pawła I. nikt nie przyjechał do Petersburga w roli posła papieskiego.

Obowiązki agenta nuncyatury spełniał dalej Mgr. Benvenuti. Jak mógł, tak ułatwiał stosunki duchowieństwa ze Sto-

licą świętą, służył radą biskupom i niejedną cięższą kwestyę szczęśliwie rozwiązał. Lecz bądź co bądź stanowisko Benvenutego, było, jak słusznie spostrzega Ojciec Pierling, bardzo niewyraźne i kłopotliwe. Jedni uważali go za osobę oficyalną, inni znów pomijali go stale; arcybiskup i jego „klika" (Sierpiński, Stankiewicz etc.) pilnie go śledziła i zręcznemi insynuacyami umiała uzbroić przeciwko niemu kanclerza księcia Bezborodkę i wice-kanclerza hr. Koczubeja.

Tymczasem zachodzą przy dworze petersburgskim wypadki nieprzewidziane, niesłychane, — rzec można, — cudowne! Benvenuti, pisząc o nich do Rzymu, nie może wyjść z podziwu; wybucha radością i zaczyna wierzyć, że nareszcie lepsza przyszłość zajaśniała w państwie rosyjskiem dla katolików. Rzeczywiście, różowe nadzieje agenta papieskiego miały swoją podstawę i to poważną. Stało się bowiem to, czego nigdy nie można było przypuszczać, co się nigdy jeszcze nie zdarzało na dworze carów, że obcokrajowiec i w dodatku ksiądz katolicki, zakonnik, Jezuita, został powiernikiem cesarza rosyjskiego. Tym człowiekiem był genialny Gruber. W ciągu paru miesięcy swoim wielkim taktem zyskuje Gruber sympatyę cesarzowej i przyjaźń Pawła. Cesarz nie może się obejść bez niego; codzień wygląda jego wizyty, zasięga jego rady i coraz większą otacza go serdecznością i względami. O pewnych szczegółach tego niezwykłego stosunku można się było dowiedzieć z obszernej korespondencyi Ojców Jezuitów Petersburgskich, którą miał w swych rękach historyk rosyjski Moroszkin (*Perepiska Otcow Jezuitow*), ale, niestety, te cenne dokumenty przechowywane w archiwum ministeryum spraw wewnętrznych, około 1860 r. zginęły bez śladu.

Nie ulega wątpliwości, że dzielny Ojciec Jezuita postanowił wyzyskać znajomość swoją z cesarzem i osiągnąć tą drogą jak można największe korzyści dla Kościoła i wiernych. Rzecz szczęśliwie mu się udaje. Siestrzeńcewicz dawny faworyt cesarza traci niebawem głos i wpływy u dworu, tracą je również i jego opiekunowie; na haniebną gospodarkę katolickiego kolegium zwraca Paweł I. pilną uwagę, — gani surowo

nadużycia, jakie się tam wkradły, i wreszcie 11 sierpnia 1800 r., chcąc dać dowód OO. Jezuitom swego uznania dla ich działalności w Rosyi, pisze list do Papieża Piusa VII, w którym go prosi nader serdecznie i gorąco o przywrócenie zakonu św. Ignacego w granicach państwa rosyjskiego.[1] Sukces Grubera, jak widzimy, był bajeczny. Żeby cesarza utrzymać w tem dobrem usposobieniu dla katolików i dla Ojców Jezuitów, trzeba było jak najprędzej uzyskać przychylną odpowiedź Papieża i działać w tajemnicy. — Niezwłocznie przeto prosi Ojciec Gruber ks. Filipa Badossiego, bawiącego podówczas w Petersburgu, podjąć się onej misyi i z listem cesarskim oraz z innymi ważnymi dokumentami w sprawach Jezuitów białoruskich pospieszyć do Rzymu. Filippo Badossi, protonatoryusz apostolski, kawaler złotej ostrogi i beneficyarz bazyliki S. Maria Maggiore, nie był obcy dyplomacyi papieskiej. Już w 1798 r. wiózł do cesarza Pawła I. jedno breve od Piusa VI; — w Rzymie miał wielu opiekunów, w Petersburgu znaczne porobił sobie stosunki i cieszył się ogólnem poważaniem; ale w rzeczy samej do misyi dyplomatycznych się nie nadawał, bo grzeszył lekkomyślnością i wielomówstwem.

W Wiedniu, gdzie nie miał najmniejszej racyi dłużej się zatrzymywać, pozostaje całe tygodnie, odwiedza ambasadę hiszpańską, zaprzyjaźnia się z posłem jego królewskiej katolickiej mości i popełnia szereg błędów, mogących mieć dla kuryi rzymskiej najopłakańsze skutki. Dopiero po energicznem wystąpieniu nuncyusza papieskiego opuścił Badossi Wiedeń i podążył do wiecznego miasta; — lecz niestety, to co tracił przez swe karygodne opóźnienie, było w danym wypadku stratą nie do powetowania. Serdeczny list Pawła I. sprawił w Watykanie wielkie i dodatnie bardzo wrażenie. „Nie może sobie wasza wielebność dostatecznie wyobrazić, pisał Gonsalvi do Grubera 18 stycznia 1801 r., tej uciechy i radości, jakiej doznał Ojciec Święty po otrzymaniu owego dowodu (listu z dnia 11 sierpnia)

[1] *Romana - beatificationis et canonisationis Ven. Servi Dei. Jos. Mariae Pignatelli Sacerdotis Prof. e Soc. Jesu. Pars. I.* p. 47.

przyjaźni i łaskawości, którą go otacza monarcha, tak potężny i tak znany ze swoich cnót". Po takim wstępie oświadcza sekretarz stanu, że Pius VII., współrodak, krewny Piusa VI., przez niego ukochany, pragnie tak, jak i jego poprzednik, najserdeczniejsze stosunki zachować z cesarzem Wszechrosyi. Prośba Pawła I. i wstawiennictwo Ojca Kareu, wikaryusza generalnego Towarzystwa Jezusowego, zajęły mocno Ojca Świętego. Chciał Papież zaraz załatwić tę sprawę, i jeżeli natychmiast tego nie uczynił, to jedynie dla tego, że mu stanęły na przeszkodzie święta Bożego Narodzenia i nieprzewidziane wypadki polityczne, jakie zaszły na półwyspie apenińskim po zwycięstwie Francuzów pod Marengo.

Ale jak słusznie zupełnie spostrzega Ojciec Pierling, Gonsalvi w liście swoim do Grubera nie był otwarty, bo pomijał najważniejszą racyę, która paraliżowała działalność Ojca Świętego w sprawie Jezuitów białoruskich, — stanowisko dworu hiszpańskiego. Panujący podówczas w Hiszpanii Karol IV, starszy syn Karola III, choć nie postępował tak ostro i bezwzględnie z Watykanem, jak jego ojciec, niemniej jednak nie chciał się żadną miarą zgodzić na jakiekolwiek ustępstwo w sprawie „ex-jezuitów"; żądał ciągle utrzymania breve „*Dominus ac Redemptor noster*" w całej swojej sile i od swego nie myślał odstąpić. Taki wytrwały opór gabinetu madryckiego krępował najbardziej Piusa VII. Pragnąc wszakże przyjść z pomocą Ojcom białoruskim, którym sprzyjał z głębi serca, zanim jeszcze nadeszła prośba Pawła I, napisał Papież list własnoręczny do króla katolickiego 28 lipca 1800 r. i w barwach nader ciemnych, z głębokiem wzruszeniem przedstawił mu opłakany stan ludów chrześcijańskich w danej chwili. Wszędzie na świecie, ubolewał Papież, wre walka; panuje anarchia, rewolucya i nieokiełznana swywola; mnożą się odstępstwa; szerzy się propaganda złego, ateizm zwycięża! I czemuż należy te klęski przypisać? Zdaniem Ojca Świętego, są to skutki zniesienia Towarzystwa Jezusowego, które padło ofiarą niecnych wrogów religii. Trzeba zatem je przywrócić, a skoro wielu monarchów, biskupów i zastępy wiernych tego żądają, to Głowa Kościoła

i Ojciec katolików takim żądaniom długo opierać się nie może. List i żale Piusa VII. pozostały bez skutku. W październiku tegoż roku (18 października 1800 r.) śle Karol IV. nowy akt oskarżenia przeciwko Jezuitom białoruskim i powtarza to, co już dawniej głosił, że breve Klemensowego pilnie przestrzegać będzie. Lecz tym razem cierpkie słowa króla hiszpańskiego na Piusa nie podziałały. 24 stycznia 1801 r., a więc w tydzień po otrzymaniu listu cesarza Pawła, odpowiada Papież Karolowi uprzejmie, ale stanowczo, że jego argumenty są błahe i dodaje zarazem, iż miał zamiar uznać istnienie OO. Jezuitów na Białej Rusi za kanoniczne, gdyż od czasów Klemensa XIV. nie przestawali tam pracować, i „nigdy ich nie ogłoszono za nieposłusznych" (*Senza che siano mai stati dichiarati refrattarii*).

Bez wątpienia, na krok Papieża wpłynęło wiele różnych powodów, które później Pius VII. wyłuszczył szczegółowo w znanej bulli: „*Sollicitudo omnium Ecclesiarum*", — ale obok nich istniał inny jeszcze wzgląd, — i bodaj czy nie najważniejszy w oczach Ojca chrześcijaństwa. Chciał Papież zadośćuczynić pragnieniom monarchy rosyjskiego i najlepsze zachować z nim stosunki, bo miał na widoku rzecz niesłychanej wagi dla Stolicy świętej i katolicyzmu: kwestyę unii kościołów, o której zaczynano wówczas coraz głośniej mówić nad brzegami Tybru i nad Newą. Czy rzeczywiście myślano wtedy o tej unii, i czy można było w tym względzie rachować na Pawła I? Ojciec Pierling zręcznie bardzo stara się tego dowieść, że tak było i przytacza w tym celu parę dokumentów oryginalnych, skrzętnie pozbieranych i ciekawych. Szczegóły te mają niezaprzeczenie znaczną wartość historyczną, bo znajdują w pewnej mierze swoje potwierdzenie w innem źródle zupełnie niezależnem od źródeł, z jakich czerpał Pierling, — w dzienniku Stanisława Siestrzeńcewicza-Bohusza, pierwszego arcybiskupa metropolity mohylowskiego. Dziennik Siestrzeńcewicza, odnaleziony przed dwoma laty, a oddawna poszukiwany przez historyków,[1] obejmuje 4 lata panowania cesarza Pawła I. Pi-

[1] Dziennik Siestrzeńcewicza miał w rękach swoich historyk rosyjski Moroszkin i obficie z niego czerpał. Od Moroszkina przeszedł dziennik arcybiskupa

sany był złą bardzo francuzczyzną, i sądząc z treści, musiał być rzeczą czysto osobistą, — rodzajem notatnika nigdy nie przeznaczonego do druku, w którym Siestrzeńcewicz *pro memoria* zapisywał sumiennie najdrobniejsze zdarzenia, tyczące się jego osoby. Dowiadujemy się z niego nieomal na każdej stronnicy o dolegliwościach fizycznych, na jakie cierpiał arcybiskup; [1] o lekarstwach, jakich używał; o kłopotach domowych i frasunkach gospodarczych. Dowiadujemy się również o znajomościach Siestrzeńcewicza, o jego bywaniu w świecie petersburskim, a w szczególności znajdujemy w dzienniku metropolity wiele bardzo wiadomości o jego stosunku do dworu i do osoby Pawła. Z prawdziwą pedanteryą notuje Siestrzeńcewicz każdą wizytę u cesarza, zapisuje wszystkie poufne z nim rozmowy i niejednokrotnie dosłownie je przytacza. Malują one wybornie charakter Pawła i tłumaczą dobitnie jego zamiary, chęci i niekiedy najtajniejsze myśli. Widać z nich przedewszystkiem, że cesarz początkowo miał wiele przyjaźni dla arcybiskupa i darzył go zupełnem zaufaniem. Każe mu bywać stale u dworu: na uroczystych ceremoniach dworskich, na zebraniach, na balach i wieczorach. Przy każdej sposobności go wyróżnia z pośród innych; czasem wprawdzie zażartuje z arcybiskupa, ale częściej jeszcze ma dla niego słowa uznania i pochwały i stara się zawsze przy spotkaniu się z nim nawiązać rozmowę o kwestyach religijnych, o kościele katolickim, który go widocznie mocno interesuje. Kiedy umarł Stanisław August, całemi godzinami konferuje cesarz z Siestrzeńcewiczem o porządku nabożeństwa żałobnego, jak o rzeczy niesłychanej wagi; sam wyznacza liczbę księży, mających brać udział w pogrzebie; orzeka, jak mają być ubrani, i pyta się skwapliwie arcybiskupa, jak ma okadzać i okrapiać ciało króla nieboszczyka, bo chce, aby pogrzeb odbył się jak można najwspanialej i liturgicznie. [2]

---

do historyka Popowa, a po jego śmierci wdowa Popowa darowała ów cenny rękopis wraz z innymi papierami męża klasztorowi Wydubieckiemu w Kijowie.

[1] Notuje między innemi, kiedy miewał krwotoki hemoroidalne, które nazywa menstruacyą (sic!)

[2] Dziennik Siestrzeńcewicza. Luty 1798 r.

Dyscyplina, posty i ceremonie kościoła katolickiego są ustawicznym tematem rozmów cesarza z arcybiskupem. Niema tygodnia, aby o tych rzeczach nie rozprawiali; — wreszcie sympatya Pawła dla gładkiego dworaka wzrasta do tego stopnia, że cesarz chce koniecznie całować ręce Siestrzeńcewiczowi. Podobnej rzeczy nie widziano jeszcze nigdy na dworze rosyjskim! Arcybiskup się opiera, uważa się za niegodnego takiej szczególnej łaski, ale cesarz nie ustępuje i między innemi daje arcybiskupowi do zrozumienia, że pragnąłby należeć do kościoła, w którym on pasterzuje. Czyż nie powinien był Siestrzeńcewicz wobec wyjątkowego usposobienia cesarza dla jego osoby choć cośkolwiek wyjednać dla katolików, dla swojej owczarni tak rozległej, tak skrępowanej ciężkimi warunkami, mającej tyle najrozmaitszych potrzeb. Ale arcybiskup się o to nie troszczy; myśli jedynie o sobie, o wzmocnieniu swoich wpływów i o załatwieniu osobistych rachunków.

Stanowisko Siestrzeńcewicza przy dworze objął, jakeśmy już wyżej o tem wspominali, Ojciec Gruber i postąpił inaczej. Dawne tematy i kwestye, poruszane przez Pawła w jego rozmowach z arcybiskupem, Gruber na nowo podnosi, — tylko je ujmuje głębiej i poważniej. Cesarz coraz bardziej się niemi przejmuje i coraz wyraźniej zaznacza swoją sympatyę dla Kościoła katolickiego, jego Głowy widzialnej. Wiadomości podane przez Ojca Pierlinga świadczą o tem wymownie. I tak naprzykład: na początku stycznia 1801 r. (2 stycznia) pisał Gruber do Marott'iego: „Na potwierdzenie tego, com pisał monsignorowi o poufnych zamiarach cesarza, dodam jeszcze, co mi mówił w czasie długiej audyencyi, jaką przed paru dniami miałem u niego. „Jeżeli Papież, są słowa imperatora, potrzebuje bezpiecznego schronienia, przyjmę go u siebie, jak własnego ojca, i wszystkich sił użyję na jego obronę, — w sposób zupełnie odmienny od pewnych monarchów, którzy obiecując mu pomoc, w rzeczywistości zamierzali jedynie go ograbić i zagarnąć mu najlepsze prowincye". „Zdaje się rzeczą nie do uwierzenia, ciągnie Gruber, to, co cesarz wyświadcza kościołowi rzymsko-

katolickiemu", [1] który usiłuje zachować w całości. Dotrzymuje wszystkich uczynionych obietnic,... a jakżeż pragnie połączenia swego kościoła z świętym kościołem rzymskim! Lecz o tem można tylko ustnie traktować i zarazem bardzo ostrożnie. Nadto jeszcze pragnie cesarz, aby nasz Ojciec Święty przysłał mu niezwłocznie, w charakterze legata apostolskiego, człowieka pobożnego, roztropnego i biegłego w prowadzeniu spraw. Ów legat nie napotka już dawnych przeszkód, gdyż główna przyczyna nieporozumień została usunięta".

W liście z dnia 20 stycznia do tegoż Marott'iego powraca znów Ojciec Gruber do poprzedniej kwestyi i donosi mu, że to, o czem do niego pisał, jest obecnie rzeczą powszechnie wiadomą. Cesarz ofiaruje Papieżowi schronienie w granicach państwa rosyjskiego,[2] gdzie Pius znajdzie „pełne bezpieczeństwo" na wypadek, gdyby nieszczęścia wojny zmusiły Ojca Świętego do opuszczenia państwa kościelnego. Owe dowody szczerej przyjaźni i sympatyi cesarza dla kościoła katolickiego i jego Głowy nie były u Pawła wybuchem chwili. Już od pewnego czasu, a zwłaszcza odkąd przyjął cesarz zakon maltański pod swoją najwyższą opiekę, losy papiestwa i kościoła katolickiego mocno go zajmowały; często rozprawiał i myślał o tych rzeczach, jak to widać wyraźnie choćby z pewnych uwag o Pawle w dzienniku pierwszego arcybiskupa mohylowskiego. W dwa tygodnie po wyjeździe metropolity z Petersburga, 30 listopada 1800 r. pisał Benvenuti, przyjaciel Grubera, do Gonsalviego, że cesarz w rozmowach z Ojcem Jezuitą miał niejednokrotnie oświadczyć, iż „z przekonania jest katolikiem"; że należy Ojcom „przekonać tylko biskupów rosyjskich". O ile te szczegóły były wiarogodne, nie wiemy, bo nie wiemy, co pisał sam Ojciec Gruber

[1] Ojciec Gruber ma na względzie „Nowy Regulamin" nader korzystny dla duchowieństwa katolickiego świeckiego i zakonnego w Cesarstwie, dzięki zabiegom OO. Jezuitów najwyżej zatwierdzony wkrótce po wyjeździe Siestrzeńcewicza z Petersburga. (Cfr. *Polnoje Sobranje zakonow.* 11 grudnia 1880 r. Nr. 19684.).

[2] Cesarz Paweł zapraszał Papieża do Połocka. Ciekawe listy w tym względzie Pawła do Piusa VII znajdują się w Archiwum Państwa w Petersburgu. (Lettres de Cabinet). Dotychczas jeszcze nie zostały ogłoszone drukiem.

o tem wszystkiem do Rzymu. Ojciec Pierling przypuszcza i tegoż zdania jest również i Moroszkin, że Gruber przy sposobności wręczył cesarzowi wyczerpujący memoryał [1] o unii kościołów i szeroko omawiał z nim tę kwestyę. Ów krok Grubera miał mieć, według Pierlinga, ten skutek, że hr. Rostopczyn na żądanie cesarza zwrócił się do przewielebnego Ambrożego, metropolity petersburskiego z prośbą o wypowiedzenie swej opinii w danej sprawie. Ale Ambroży,[2] nie chcąc może mieszać się osobiście do tej drażliwej kwestyi, zdania swego nie wypowiedział; polecił natomiast archimandrycie Eugeniuszowi, znanemu teologowi rosyjskiemu, odpowiedni referat ułożyć dla użytku cesarskiego i oddać go Rostopczynowi. Eugeniusz zastosował się niezwłocznie do woli Ambrożego i napisał obszerną rozprawę kanoniczną „o władzy papieskiej", w języku łacińskim i rosyjskim, która, jak sam o niej później świadczył, cel swój osiągnęła. Cesarz bowiem, pozyskany dla unii „przez intrygi papieskie" i jezuickie, po odczytaniu tej rozprawy nagle zmienił swoje poglądy: zrozumiał niebezpieczeństwo, jakie mu groziło, odwrócił

[1] Moroszkin twierdzi w swojej książce: „Jezuity w Rossii"... t. II., że memoryał Grubera pozostawał jakiś czas w rękach archimandryty Eugeniusza, późniejszego arcybiskupa kijowskiego (Bołchowitinowa); następnie miano go przechowywać w bibliotece kijowskiej Akademii Duchownej.

[2] Ambroży, pierwszy metropolita prawosławny petersburski (1749 1818), w świecie Andrzej Podobiedow, był synem ubogiego popa z gub. Włodzimierskiej. Karyerę swoją rozpoczął za panowania katarzyny II., która go mianowała biskupem Siewskim, następnie zaś arcybiskupem kazańskim i wreszcie w 1790 r. wprowadziła go do Synodu. Cesarzowa ceniła wysoko jego wymowę i gładkie obejście i hojnie obsypywała go łaskami. Nie przeszkodziło to jednak gładkiemu dworakowi cieszyć się później względami Pawła I. Cesarz rzeczywiście w ciągu krótkich swoich rządów okazywał mu wiele życzliwości, ozdabiał go orderami i godnościami i liczył się z jego zdaniem. Po śmierci Pawła miał Ambroży znaczny wpływ na jego żonę Marję Teodorównę, która często zasięgała jego rady i w ciągłej korespondencyi z nim pozostawała. W 1818 r przez intrygi księcia Aleksandra Golicyna oraz partyi „mistyków" został wydalony z Petersburga do Nowgorodu, gdzie niebawem żywota dokonał. Metropolita Ambroży utrzymywał serdeczne stosunki z Jezuitami i był zarazem przyjacielem Siestrzeńcewicza. W 1799 r. prowadził Siestrzeńcewicz układy z Ambrożym, celem wprowadzenia do „katolickiego Departamentu Justic-Kolegium" członka Synodu dla szybszego i skuteczniejszego załatwiania „Spraw mięszanych". Cfr. Moroszkina p. cit. tom I. str. 360

się od katolików i od Jezuitów i zabronił Grubera wpuszczać do siebie. Wszystkie te szczegóły, przytoczone przez Eugeniusza, są czystą fantazyą. Jest przecież rzeczą wiadomą, że Pius VII. „żadnych intryg" nie prowadził przy dworze rosyjskim, — jak również jest rzeczą wiadomą, że cesarz Paweł I. pozostawał zawsze w przyjaźni z OO. Jezuitami, a w szczególności z O. Gruberem: ciągle dawał mu dowody szczerej sympatyi i do końca życia najchętniej go przyjmował.

Ojciec Pierling sądzi i nie bez podstawy, że kopia owego memoryału czy też rozprawy Eugeniusza, została przez Grubera wysłana do Rzymu i tam rozpatrywana w Kuryi. Zdaje się, że Mgr. Litta wiedział o niej i miał ją na myśli w liście do Consalviego. „Zwracam wam depesze Benvenutego, pisał były nuncyusz warszawski do Sekretarza Stanu na początku marca 1801 r., a zachowuję jedynie pewne listy łacińskie; byłoby rzeczą pożądaną, gdyby na nie odpowiedział kardynał Gerdil, gdyż jest tam mowa o sprawach, któremi się już parę razy zajmował niesłychanie zręcznie; wreszcie należałoby się postarać koniecznie, aby ten, kto będzie musiał wyjechać do Rosyi, zaczerpnął światła od rzeczonego kardynała i dzięki temu był w stanie odpowiedzieć na zarzuty zawarte w pewnej rozprawce, nader podstępnej ale godnej uwagi w swoim rodzaju, choć złej"....

Wyżej wzmiankowane szczegóły i świadectwa o zamiarach cesarza Pawła I. w sprawie unii kościołów nie wystarczają Ojcu Pierlingowi. Aby przekonać czytelnika, że w Petersburgu była wtedy rzeczywiście mowa o unii, przytacza autor inne jeszcze źródła nie mniej ciekawe od poprzednich i charakterystyczne, jak listy naprzykład komandora hr. Litty oraz listy nuncyusza apostolskiego przy dworze Aleksandra I. Mgra Arezzo. Piękny Juliusz hr. Litta, faworyt cesarza Pawła i znany rycerz maltański, jeszcze przed wydaleniem jego brata Wawrzyńca, arcybiskupa Tebańskiego z granic państwa rosyjskiego, był zmuszony wyjechać z Petersburga i osiąść w dobrach swojej żony. Ale wygnanie nie trwało długo. Wspierany przez Ojców Jezuitów

i przez wpływowych emigrantów francuskich: hrabiego de St. Priest, hrabiego de Brissac, księcia de Broglie etc., odzyskał niebawem łaski monarchy i jesienią 1800 roku powrócił do stolicy. W liście z dnia 30 listopada donosił bratu, że Ojciec Gruber mieszka już przy kościele katolickim (świętej Katarzyny), że cieszy się wielkimi faworami i nadto jeszcze oczekuje swoich towarzyszów „*in breve*". Ojciec Gruber, z którym często rozmawiał, ma takie stanowisko, że może obracać się w najwyższych sferach i działać otwarcie. Jest jak najlepszych myśli i wierzy, że wielki projekt unii, nad jakim uprzednio już pracowano, da się przeprowadzić. „Owoc tych prac bez względu na to, kto go zbierze, będzie zawsze wielką pociechą dla ludzi dobrych, a w szczególności dla tych wszystkich, którzy brali udział w tej sprawie". Depesze monsignora Tomasza Arezzo,[1] arcybiskupa Seleucyi i następcy Litty, wysyłane do Rzymu w dwa lata później, są bardziej jeszcze optymistyczne i wymowne. W jego oczach kwestya unii jest nie tylko rzeczą możliwą, ale i prawdopodobną, gdyż społeczeństwo rosyjskie lgnie do kościoła łacińskiego i ceni wysoko kler katolicki. Rosyanki zwłaszcza czują pociąg do katolicyzmu: spieszą skwapliwie na uroczystości i ceremonie kościelne i słuchają ze skupieniem kazań katolickich. Toż samo da się powiedzieć i o duchowieństwie rosyjskiem. „Wielu biskupów, pisał Mgr. Arezzo w sprawozdaniu ze swego pobytu w Peterburgu, a głównie metropolita petersburski, przewielebny Ambroży, są rzeczywiście przywiązani do naszej religii. Czekają tylko zachęty ze strony dworu, aby rozpocząć upragnione układy o unii z kościołem łacińskim. Rzeczona unia oddawna już byłaby zawartą, gdyby nie przed-

[1] Mgr. Tomasz Arezzo, arcybiskup Seleucyi i późniejszy kardynał, bawił w Petersburgu od 1802—1804 r. Rząd Aleksandra I. zgodził się na jego przyjazd do Petersburga pod tym jedynie warunkiem, że Arezzo przybędzie do stolicy w charakterze posła nadzwyczajnego Jego Świątobliwości, nie zaś stałego nuncyusza papieskiego i nie zechce się mięszać do spraw Kościoła katolickiego w Cesarstwie. Intrygi Siestrzeńcewicza oraz głośna sprawa kawalera de Vernègues, która pociągnęła za sobą zerwanie stosunków dyplomatycznych pomiędzy Watykanem i Rosyą, zmusiły arcybiskupa Seleucyjskiego w sierpniu 1804 r. wyjechać z Petersburga Cfr. Moroszkin o. c. t. II. str. 95.

wczesna i gwałtowna śmierć cesarza Pawła I. Paweł bowiem był zdecydowany już raz położyć koniec długiej i upartej schyzmie. W tym celu, ciągnie dalej nuncyusz, przywołał do siebie cesarz posła neapolitańskiego w Petersburgu, księcia di Serracapriola [1] i oświadczył mu, co myśli i co ostatecznie postanowił w danej kwestyi, polecając mu zarazem napisać w jego imieniu do dworu neapolitańskiego i prosić rząd Ferdynanda IV, aby zechciał w sprawie unii kościołów stać się pośrednikiem i niezwłocznie nawiązał w tym przedmiocie rokowania ze Stolicą świętą. Książę di Serracapriola chętnie przyjął zlecenie cesarskie: zredagował odpowiednie listy i wysłał je natychmiast do Neapolu, lecz zanim listy doszły do miejsca przeznaczenia, cesarz życia dokonał". Bez wątpienia, listy posła neapolitańskiego byłyby dokumentem pierwszej wagi, bo zeznaniem naocznego świadka i tłumaczeniem bezpośredniem zamiarów i uczuć cecarza rosyjskiego. W Neapolu w archiwum państwa istnieje dotychczas korespondencya księcia di Serra-Capriola z Ferdynandem IV. i jego ministrami, ale niestety rzeczone listy się tam nie znajdują. Może zaginęły rzeczywiście, a może też zręcznie je usunięto, tak jak usunięto później inne dokumenty podobnej treści [2] i nie mniej doniosłe... Wobec tego niepodobna skontrolować dokładnie twierdzeń monsignora Arezzo. Mógł łatwo nuncyusz papieski jedne szczegóły silniej uwydatnić, a inne mniej, lub nawet pominąć zupełnie, jak się to zresztą

[1] Książę di Serracapriola, żonaty z księżniczką Wołkońską, był posłem Ferdynanda IV, króla neapolitańskiego w Petersburgu za panowania Pawła I. i Aleksandra I. Należał do osobistych przyjaciół Cesarza Pawła i Cesarzowej Maryi Teodorówny i cieszył się niezwykłemi sympatyami i uznaniem w najwyższym świecie petersbuskim Jego dom uważano powszechnie za jeden z najbardziej wykwintnych i najbardziej uczęszczanych domów w stolicy. Będąc gorliwym katolikiem i mając rozległe stosunki, starał się być pożytecznym katolikom, rzeczywiście niejednokrotnie znaczne usługi im wyświadczył. Książe di Serracapriola żył w blizkiej przyjaźni z Józefem de Maistre, z Litta, z Mgrem Arezzo i z Ojcami Jezuitami. Zostawił po sobie w rękopisie bardzo ciekawe pamiętniki o ważniejszych wypadkach, których sam był świadkiem.

[2] Takiemu losowi uległo później ciekawe bardzo sprawozdanie generała Michauda, adjutanta Cesarza Aleksandra I., z jego podróży do Rzymu i audyencyi u Papieża Leona XII.

często zdarza w korespondencyi dyplomatycznej, ale bądź co bądź w danym wypadku świadectwo przyjaciela i powiernika Serracaprioli ma zawsze co do istoty rzeczy niemałą wartość...

O tem, co się działo wówczas w Petersburgu, twierdzi Ojciec Pierling o „usposobieniu pojednawczem", które zaczynało się tam budzić dla katolicyzmu. Wiedziano w Watykanie i choć wiadomości, jakie dochodziły do Rzymu, były może zbyt niewyraźne, ogólnikowe, to jednak w Kuryi z tego powodu panowała radość i żywiono nadzieje na przyszłość. „Oby Ojciec Święty, — pisał Consalvi do Grubera w liście z dn. 10 marca 1801 r.—mógł mieć za sprawą waszej wielebności oraz waszego Towarzystwa radość ze stanowczego przystąpienia Jego Cesarskiej Mości do jedności z naszym kościołem. O jakżeżby ta okoliczność ułatwiła wszystko, jakąż chwałą nieskończoną opromieniłaby pontyfikat Jego Świątobliwości i nieśmiertelne dzieło w. wielebności! Ojciec Święty nie chce się wyrzec tak pięknych nadziei i ufa mocno, że kiedyś się ziszczą dzięki waszej pobożności, gorliwości i zręczności".[1]

Podobne pragnienia i nadzieje jeszcze wyraźniej występują w poufnych rozmowach, jakie w tym samym prawie czasie miewał Pius VII. z ministrem-rezydentem rosyjskim przy Stolicy świętej, senatorem Lizakiewiczem. Lizakiewicz był początkowo posłem w Turynie; gdy jednak wybuchła wojna z Francyą i wojska republiki zajęły Piemont, opuścił dwór Sardyński i przeniósł się na stanowisko ministra-rezydenta przy Papieżu. Był to awans dla Lizakiewicza, ale z awansem i kłopoty się zwiększyły. Misya bowiem, jaką mu poruczano w Rzymie, do łatwych nie należała. Obok wielu spraw dosyć powikłanych, które miał załatwić, musiał przedewszystkiem zręcznie wybadać sfery watykańskie i dowiedzieć się, co sądzono w kuryi o zamiarze cesarza rosyjskiego przyjęcia godności wielkiego mistrza zakonu św. Jana Jerozolimskiego, i czy ostatecznie

[1] *Romana-beatificationis et canonisationis Ven. servi Dei J. M. Pignatelli, sacerdotis professi e Societate Jesu. Summarium additionale. Pars. I. 79. p.*

można było mieć nadzieję uzyskania w tym względzie aprobaty papieskiej.

W swojej książce: „Jezuity w Rossii w carstwowanie Jekatieriny II" etc., utrzymuje Moroszkin, że zamiary Pawła obudziły w Kuryi rzymskiej wielki niepokój. Obawiano się protestu Hiszpanii, obawiano się intryg niemieckich i gniewu pierwszego konsula, słowem najrozmaitszych niepożądanych komplikacyi politycznych. Stopniowo jednak, może pod wpływem wiadomości przysyłanych z Petersburga przez hr. Littę i jego przyjaciół, niepokój ucichł i opinia kół miarodajnych zmieniła się na korzyść Pawła. Zaczęto upatrywać w jego postępowaniu znaczne korzyści dla kościoła katolickiego w Rosyi i postanowiono, o ile się da, popierać jego politykę.

W depeszy cyfrowanej z dnia 5 lutego 1801 r., doniósł poseł rządowi swojemu,[1] że Papież jest już gotów zadośćuczynić pragnieniom Jego Cesarskiej Mości, — chce tylko wiedzieć dokładnie, jakie w rzeczy samej są zamiary cesarza w danej kwestyi. W tym celu prosi Jego Świątobliwość dla szybszego porozumienia się z dworem petersburskim, aby mu przysłano „męża zdolnego, roztropnego, rosyanina z urodzenia, nie zaś cudzoziemca, a tem bardziej Włocha, i przeznaczonego jedynie do spraw zakonu maltańskiego, a umiejącego zachować tajemnice, „gdyż dwory wiedeński i madrycki pilnie śledzą każdy krok Papieża i mogą mu z tego powodu nowe zrobić przykrości".

Najciekawszym wszakże ustępem w depeszy Lizakiewicza jest to miejsce, w którem poseł przytacza słowa samego Papieża: „Byłoby dla mnie rzeczą nader przyjemną, miał mówić Pius VII do Lizakiewicza, widzieć cesarza Wszechrosyi wielkim mistrzem zakonu maltańskiego. Wtedy bowiem ów zakon zajaśniałby największym blaskiem; powtóre stałby się schronieniem dla prześladowanych. Na wypadek wojny z Francuzami, sambym się udał na Maltę, jeżeli zwrócą tę wyspę zakonowi, aby módz tam żyć spokojnie pod możną opieką cesarza rosyjskiego, wielkiego mistrza rycerzy św. Jana. Bądźcie

[1] Cfr. Moroszkin, op. cit. t. I. str. 324 i t. d.

przekonani, że pragnę najgoręcej załatwić tę sprawę w myśl Jego Cesarskiej Mości". Po takim wstępie przechodzi Papież nagle do innej kwestyi, a właściwie do tego, co mu głównie leżało na sercu i co stanowi punkt kulminacyjny owej słynnej rozmowy. „Moje zamiary, ciągnął Pius VII, sięgają dalej jeszcze, — unii kościoła greckiego z łacińskim. Dla rzeczy tak niesłychanej wagi, mającej imię wielkiego Pawła otoczyć na zawsze nieśmiertelną chwałą, gotów jestem osobiście jechać do Petersburga i prowadzić układy z waszym monarchą, którego charakter oparty jest na prawdzie, sprawiedliwości i wierności". W końcu swojej depeszy oświadcza wreszcie Lizakiewicz, że Ojciec św. niejednokrotnie nazwał cesarza przyjacielem ludzkości, bezinteresownym opiekunem i obrońcą ofiar rządu francuskiego, nakazał wszystkim biskupom i arcybiskupom zanosić gorące modły do Boga o spełnienie swych życzeń i zamiarów.[1]

Słowa Papieża były echem opinii kuryalistów. Marzono o jakiemś spotkaniu się Pawła z Piusem, o nowem kōncylium nad brzegami Newy, o dokonaniu tego, „co konające Bizancyum przed wiekami rozpoczęło we Florencyi"; ale w oficyalnych stosunkach, a zwłaszcza w stosunku do przedstawicieli obcych mocarstw dyplomaci rzymscy przestrzegali pilnie ścisłej tajemnicy i nie zdradzali niczem swoich planów i nadziei.

Gdy w pierwszych dniach marca 1801 r. wysyłał Gonsalvi do Petersburga odpowiedź Piusa VII. cesarzowi na jego list z dnia 11 sierpnia 1800 r. w sprawie OO. Jezuitów, na kopercie pominięto[2] zręcznie tytuł wielkiego mistrza zakonu maltańskiego. Był to krok dosyć śmiały, bo Paweł I., jak wiadomo, w 1798 r. (27 października) ogłosił się urzędownie głową zakonu rycerzy św. Jana Jerozolimskiego i dbał wielce o ten tytuł.

Ale Gonsalvi rachował na breve,[3] przywracające zakon św.

[1] Na wyraźne żądanie Piusa VII. wysłał Lizakiewicz niezwłocznie depeszę swoją sztafetą do Petersburga.

[2] *Romana seu Neapolitana. Beatificationis et Canonisationis Ven. Servi Dei I M. Pignatelli sacerdotis Professi Societatis Jesu. Novum Summarium Additionale* str. 94.

[3] Breve: *Catholicae fidei in amplissimis*, przywracające Zakon św. Ignacego w Cesarstwie Rosyjskiem, wydane zostało na imię Ojca Franciszka Kareu:

Ignacego w Rosyi, które do listu papieskiego dołączał, tak upragnione przez cesarza, i rachował nadto, a może najwięcej na samego Grubera, mającego ciągle wpływ na Pawła i umiejącego po mistrzowsku załatwiać sprawy najbardziej drażliwe.

Po otrzymaniu dokumentów i instrukcyi rzymskich za pośrednictwem rezydenta papieskiego w Petersburgu, Mgra Benvenutego, miał Gruber natychmiast wręczyć cesarzowi breve i list papieski i oświadczyć zarazem, że Ojciec Święty, pomimo ciężkich przeszkód, które musiał przełamać, czuł się jednak prawdziwie szczęśliwy, że mógł spełnić życzenie monarchy rosyjskiego. Przy tej sposobności winien był Gruber ostrożnie wytłumaczyć cesarzowi, dla czego w adresie listu pominięto tytuł wielkiego mistrza zakonu maltańskiego.

Przedewszystkiem list Piusa VII. był prywatny, pisany poufnie, po przyjacielsku, własną ręką Papieża i bez udziału sekretarzy. Wysłano go na ręce Ojca Grubera, a więc drogą nieurzędową. Tej samej procedury trzymał się sam cesarz, gdy przed rokiem wysyłał list do Papieża w sprawie Ojców Jezuitów nie przez swego ministra-rezydenta, lecz przez osobę prywatną, jaką był Mgr. Badossi. W takich zaś listach poufnych wszelkie oficyalne formalności i tytuły zostają zazwyczaj pominięte.

Jeżeli Ojciec Święty dotychczas nie przyznał cesarzowi Wszechrosyi tytułu wielkiego mistrza zakonu maltańskiego, stało się to nie z jego winy. Istnieją bowiem przeszkody kanoniczne nadzwyczaj poważne, a obok nich i racye polityczne, dla których Papież w obecnych warunkach nie może uczynić tego, czego od niego żądają. Papieża to boli niesłychanie, bo czci i poważa cesarza Pawła i pragnąłby zawsze w serdecznych stosunkach z nim pozostawać, ale z drugiej strony nie może być nigdy w niezgodzie z własnem sumieniem. Ma wszakże nadzieję, że wielki monarcha w szlachetności swojej zechce zrozumieć to ciężkie położenie, w jakiem się znajduje Stolica Apostolska,

---

Presbytero ac superiori Congregationis Societatis Jesu in Imperio Rossiaco. Cfr. *Romana seu Neapolitana o. c.* 118 p.

i nadal nie będzie jej odmawiał swojej wspaniałomyślnej opieki.

Słusznie bardzo uwzględnia Ojciec Pierling jeszcze jeden szczegół z instrukcyi przysłanej Benvenutemu i Gruberowi, charakteryzujący wymownie usposobienie pojednawcze kardynała sekretarza stanu w całej tej sprawie. Consalviemu tak chodziło o dobre stosunki z Rosyą, tak cenił wysoko przyjaźń Pawła I. dla Stolicy świętej, że gotów był nawet zgodzić się na pewną fikcyę prawną, byleby módz zadośćuczynić żądaniom cesarza. Ponieważ cesarz nie mógł piastować najwyższej władzy duchownej w zakonie św. Jana, skoro do kościoła katolickiego nie należał, więc też przypuszczał sekretarz stanu, że w ostateczności można będzie władzę świecką, jaką wielki mistrz posiadał w zakonie, oddzielić od właściwej mu władzy duchownej i uznać cesarza rosyjskiego głową zakonu maltańskiego w rzeczach świeckich, z tym wszakże warunkiem, aby najwyższa władza duchowna nad wszystkimi rycerzami św. Jana pozostawała koniecznie przy Papieżu. Zdaniem Consalviego był to projekt w danej chwili najlepszy i możliwy do przeprowadzenia.

Ale wszystkie te piękne plany i kombinacye nagle upadły i upadły bezpowrotnie, gdyż dnia 11 marca 1801 r. cesarz Paweł nagle życia dokonał.

Rewolucya pałacowa, która się zakończyła tragiczną śmiercią cesarza, dla Europy była wielką niespodzianką, ale nie dla Petersburga. Już w roku 1798, jak widać choćby z dziennika Siestrzeńcewicza, panowało niezadowolenie w kołach dworskich z rządów Pawła, i chodziły głuche wieści o konieczności wielkich zmian w państwie. Skutkiem ekscesów Pawła i niczem nieuzasadnionej jego surowości względem najwierniejszych sług tronu, ferment wzrastał stopniowo, aż wreszcie z fermentu wyłonił się spisek pod kierownictwem Pahlena, za współudziałem Withwortha, Panina, Zubowów i Beningsena, a ze spisku zamach na osobę cesarską dokonany brutalnie przez pijanych gwardzistów. Dla Ojców Jezuitów zgon Pawła I. był wielkim ciosem. Tracili, jak pisał sam Gruber do Ojca Kareu, „wielkiego opie-

kuna kościoła i Towarzystwa Jezusowego", a z nim stanowisko i wpływy, jakich już nigdy nie mieli odzyskać.

Po wyłuszczeniu faktów, które świadczyć miały o zamiarach pojednawczych Pawła w sprawie unii kościołów, zastanawia się jeszcze Ojciec Pierling nad genezą owych zamiarów. Jeżeli cesarz pragnął unii ze Stolicą Apostolską, — to co go skłaniało do tego kroku? Jakie racye pobudzały Pawła do porzucenia wiary ojców i przejścia na łono kościoła katolickiego?

O jakichkolwiek pobudkach nadprzyrodzonych, zdaniem sędziwego historyka, nie może być mowy. Do mistyków Paweł I. nie należał, w roztrząsanie dogmatów i ich różnic się nie zagłębiał; o postępy w cnotach, jak świadczą jego życie i czyny, nie dbał. Jeżeli więc chciał kiedykolwiek przejść na katolicyzm, to zapewne chciał tego dla innych powodów. Zdaje się, że na Pawła kościół rzymski wielkie robił wrażenie swoją silną wiekową budową, swoją dyscypliną sprężystą i wszechświatową działalnością. Widział dobitnie jego niespożytą żywotność i energię, jego wytrwałą i skuteczną walkę z ideami przewrotu, — mógł zatem przypuszczać i nawet nosić się z myślą, że stanąwszy na czele świętej milicyi maltańskiej, na którą tak rachował, i w razie unii kościołów, mając poza sobą katolicyzm i jego wpływy, potrafi zgnieść hydrę rewolucyjną, wzmocnić trony i przywrócić Europie upragniony spokój i porządek.

Ale to wszystko jest tylko hypotezą, o tyle możliwą, że się zgadza poniekąd z postępowaniem Pawła i ze świadectwami tych osób, które z cesarzem bliżej obcowały i dokładniej mogły poznać jego myśli i zachcianki.

Kończąc swój obszerny artykuł o rzeczonych układach i wysiłkach w sprawie unii kościołów, zapytuje się wreszcie Ojciec Pierling, czy unia z Rzymem byłaby długotrwałą, w razie gdyby się był cesarz Paweł zdecydował na ten krok stanowczy — i przychodzi do przekonania, że prysłaby niebawem ze względu na gwałtowny i autokratyczny charakter cesarza.

Jestto bez wątpienia uwaga słuszna i wyczerpująca. Wiemy z historyi, że cesarzowie greccy niejednokrotnie starali się zawrzeć unię z kościołem rzymskim. Tak się działo i przed

Grzegorzem X., i za Grzegorza X., i za Eugeniusza IV, — i wszystkie te unie, zawierane, zaprzysięgane i podpisywane, pozostawały zawsze literą martwą. Dlaczego? Bo je zawierał nie naród grecki, ale ten lub ów cesarz carogrodzki, najczęściej ze względów politycznych.

Społeczeństwa, narody, mające swoją kulturę i wiekowe tradycye religijne, nie porzucają z dnia na dzień wyznania, w którem się wychowały.

Do takiego kroku muszą się przygotowywać stopniowo i przez długie lata...

Dr. M. Gozdawa.

Po zamknięciu Wystawy Sztuki Kościelnej.

Dokończenie.

— Jedną z głównych przyczyn upadku sztuki — podchwyciłem — jest niewątpliwie lekceważenie gruntownej, sumiennej, systematycznej pracy. Niewiem czyście Panowie zwrócili uwagę na umieszczony przed rokiem w paryskiej *Opinion* artykuł Rodina. Sławny francuski rzeźbiarz przyznaje się tam otwarcie do wszystkich błędów, w jakie popadł uniesiony falą zgubnych, fałszywych prądów sztuki nowoczesnej. Artykuł ten wywołał w świecie artystycznym burzę, podobną tej, jaką spowodowała przed kilkunastu laty w świecie uczonym broszura Brunetière'a p. t. *La Science et la Religion*. Jak Brunetière wykazał w pracy swojej bankructwo współczesnej wiedzy, tak Rodin wykazuje bankructwo współczesnej sztuki, określając ją, jako „anarchię umysłów i wypływającą z niej anarchię form". „Większość współczesnych dzieł sztuki — mówi on — wykazuje przedewszystkiem brak opanowania techniki. Wszystko w nich jest fałszywe, ponieważ wola artysty nie dojrzała w bespośredniej obserwacyi i osobistem doświadczeniu. Każdy artysta winien, jak to było w wielkich epokach rozwoju sztuki, zaczynać od tego, by być terminatorem, nie uczniem sztuki. W czasach Renesansu adept sztuki zaczynał od tego, że zamiatał pracownię swego mistrza. Przytem uczył się patrzeć i obserwować. Zwolna budził się w nim instynkt twórczości.

Pomagał przy mniejszych robotach, umiał być skromnym, pokornym, cierpliwym, zdobywał powoli doświadczenie, nie wiedząc nawet, skąd mu ono przychodzi. I dnia pewnego uczuł się zdolnym wykonać swe dzieło, oblec swoją ideę w kształt plastyczny. Stał się dojrzałym do twórczości, a nazywał się Verrocchio lub Michelangelo. Dziś teoretyzuje się za wiele. Rzuca się dokoła za wiele słów; artysta niema sposobności na skoncentrowanie wszystkich swych sił i całego swego czasu do pracy. Tworzy się o wiele za prędko". W słowach Rodina tkwi głęboka prawda. Pamiętasz Władziu, jak kiedyś zwiedzaliśmy wspólnie w Wiedniu Albertinę i jak, przeglądając rysunki mistrzów, które nam dano do ręki, zdumiewaliśmy się nad olbrzymim wkładem pracy Rafaela, przy tworzeniu *Sposalizio* i „Złożenia do grobu". Do jednej tylko figury widzieliśmy tam szeregi studyów osteologicznych, myologicznych, modelów obnażonych i okrytych draperyą. To samo znajdujemy w pracach innych artystów Renesansu, a szczególniej u Lionarda. Pracy takiej wymaga wszystko, co ma nosić na sobie piętno geniuszu, wielkości, twórczości oryginalnej. O Skardze w mowie pogrzebowej Birkowski powiada: „I raz i drugi, czasem do trzeciego razu, kazanie jedno od słowa do słowa, ażby było ku smaku i pojęciu słuchacza pisywał. Nie lenił tedy palców swych do roboty, która go wielkiej i niepospolitej wymowy nabawiła." Forma tedy, choć ma być artyście środkiem tylko, nie celem, musi być jednak przez niego wszechwładnie opanowaną, by najwierniej oddała jego ideę, w niczem nie krępując swobody, polotu, natchnienia. Podobny do „Arcy-Mistrza", jak przepięknie Mickiewicz Stwórcę nazywa, winien w dziele tworzenia *igrać na każdy czas*[1] z formą, z trudnością techniczną. Porównajcie Panowie dwóch, wykończonych do pomnika Juliusza II. niewolników Michała Anioła w Luwrze z czterema innymi zaledwie zarysowanymi ogólnym konturem we Florenckiem *Giardino Boboli*. I tu i tam jednakowa siła, potęga, natchnienie; mistrz

[1] Przyp. VIII. 30

równie wielki w szkicu, jak w dziele skończonem. Dzisiejszy artysta instynktownie broni się przed wykończeniem pracy zaczętej; czuje, że ten błysk jego myśli, jego natchnienia, uwięziony przelotnie w szkicu zblednie, rozwieje się i rozpłynie, jak we mgle, w borykaniu się z trudnościami techniki, w zapasach o ujarzmienie nieuchwytnej dlań formy.

— Dodaj jeszcze — przerwał Czachórski — zupełny brak naturalnej prostoty, zastąpiony pozą. Kto chce być prostym i naturalnym, przedewszystkiem musi być sobą. O tem rzadko który z artystów dzisiejszych pamięta. Goniąc za oryginalnością, a nie znajdując w sobie nic, prócz źródeł kreacyi banalnych i pospolitych, jedzie on po receptę prostoty do hypogeów egipskich i assyryjskich zwalisk, lub cofa się o całe stulecia do kołyski i pieluch sztuki. To jednak, co tam przypomina bezradny wdzięk i naiwność dziecka, stawiającego pierwsze swe kroki, tu staje się koszlawem, niesmacznem, często nawet wstrętnem lub śmiesznem. Przetransponujmy wyraz twarzy i ruchy dzieci tańczących Donatella, albo nieporównanych *putti* Andrzeja della Robbia na postacie ludzi dojrzałych i w pełnym fizycznym rozwoju, będziemy mieli gotową karykaturę. Kiedy przed laty grupa młodych angielskich malarzy, zachęcona entuzyastycznemi pochwałami Ruskina zawiązała szkołę Prerafaelitów, *Pre-Raphaelite-Brothers*, to przejęła się duchem tej epoki odrodzenia, która szybkimi kroki zbliżała się do zupełnego roskwitu. Nie będąc nawskróś oryginalną, dała jednak potężne talenta zbliżone do ideałów, którym ślubowała hołdować, i można powiedzieć, że gdyby Sandro Botticelli urodził się w XIX. wieku, nazywałby się Edward Burne Jones. Prerafaelici wszelako byli wirtuozami techniki, a ta, jak już wyżej mówiliśmy wymaga wysiłku i pracy; wolą zatem dzisiejsi adepci sztuki uderzać w strunę pożyczanej prostoty i wzgardliwego lekceważenia formy, bo to im wszystkie największe przeszkody z drogi usuwa. A najłatwiejsze pole do popisu znajdują na gruncie sztuki religijnej, jak tego jawne tutaj mamy dowody.

— Jednym z takich dowodów jest św. Franciszek z Assyżu P. Borkowskiego — dorzucił Dzieduszycki — i wyznam, że

wolę martwy, ale przynajmniej szczery, hieratyczny kanon, przyjęty przez Beurońską benedyktyńską szkołę, jak takie udawanie Cimabuego lub Giotta w malarstwie, lub jakichś przedhistorycznych naczyń w kielichach kościelnych, przyprawione modernistycznym sosem. Stawia to sztukę w roli starej panny, udającej podlotka. Wobec tego doprawdy wątpić poczynam, czy tegoczesny umysł może zdobyć się na prawdziwą prostotę i szczerość.

— Może, i to na pewno — zaprzeczyłem; — proszę tylko przeczytać „Złotą legendę" Jakóba z Woraginu i „Pielgrzymki Franciszkańskie" Joergensena; jedno i drugie w świetnem tłumaczeniu Wyzewy. Ten sam wdzięk, prostota, szczerość, naiwność w obydwóch książkach, choć pierwsza pisana w XIII. wieku, a druga zupełnie świeżo.

— Potwierdza to tylko moją tezę — rzekł Czachórski — iż ktokolwiek pragnie być prostym, musi być sobą. Artysta ma dwa światy do zbadania: jeden, co go otacza, zewnętrzny; drugi, który nosi sam w sobie. O zewnętrznym mądrze już Dürer powiedział: „Będziesz artystą, o ile zdołasz przyrodzie wydrzeć jej tajemnice"; o wewnętrznym stanowi jego poziom moralny i umysłowy; ideały, jakie zamknął w duszy, jakim hołduje. Jakób z Woraginu i Johannes Joergensen, tamten przez pryzmat XIII., ten XX. wieku patrzyli tylko na te dwa światy, a odkrywali w nich prawdę, dobro i piękno; stąd, chociaż w innem zabarwieniu, z tym samym jednak nieporównanym wdziękiem stworzyli prawdziwe arcydzieła szczerości i prostoty.

— Naprowadza mię to na myśl — przerwałem — że jedną z najgłówniejszych przeszkód w rozwoju sztuki religijnej jest właśnie brak wniknięcia w te dwa światy, bez którego każde dzieło staje się martwe, bezduszne. Jak wielką rolę odgrywała przyroda w symbolizmie średnich wieków, świadczy o tem *Speculum naturale* Wincentego z Beauvais, uwiecznione w katedrach gotyckich XIII. wieku. Dziś artysta pragnie wnieść do kościołów żywioł swojski, rodzimy, ale nie rozgląda się za nim bespośrednio w otaczającej go przyrodzie; bierze

go z drugiej ręki, kompiluje z motywów ludowych: ze skrzyń malowanych w chacie wieśniaczej, z wielkanocnych pisanek, z samodziałów tkanych na warsztacie domowym, z haftowanego fartuszka, albo gorsetu wiejskiej dziewczyny. Pamiętam, jak trafnie powiedział Brat Albert jednemu z tych panów, zatopionemu po uszy w tak zwanym stylu zakopańskim: „Malujesz w kościele „raki", którymi góral wyszywa swoje spodnie i serdak i myślisz, że mu się podoba widzieć to samo na tabernakulum?!" Ta tendencya *miscendi profana sacris*, zlaicyzowania, mówmy jasno, sprofanowania miejsc świętych, wypływa stąd, że artyście nie mówi nic świat jego wewnętrzny. Nie można doszukać się religijnego polotu tam, gdzie wyschło jego najgłębsze źródło — wiara. Widzimy zatem nie wypieszczone i wymarzone ideały oddane pędzlem i dłutem, ale postacie nie mające nic wspólnego z twórczością religijną, ze sztuką kościelną.

— Żebyż to tylko — podchwycił Dzieduszycki — kiedy, niestety nie widzimy w tych wszystkich pseudo-religijnych kreacyach żadnego nawet zdrowego, normalnego człowieka. Hellada i Roma przyoblekały przynajmniej swoje ideały w doskonałe piękno fizyczne; bogom swoim nadawały kształty Antinousów i Galatei; dzisiejsza sztuka odźwierciedla to, co najwięcej chorobliwe, nienaturalne, niezdrowe; jakieś zwyrodniałe objawy psychopatyczne, podobne w dziedzinie estetyki do tych z dziedziny etycznej, o których ludzie między sobą mówią na ucho, a którym medycyna i prokuratorya sądowa nie może dać rady. Jestto znamienny wyraz epoki, i Goethe, choć panteista, bardzo charakterystyczną daje definicyę ideałów ludzkiego ducha:

— *Wie einer ist, so ist sein Gott,*

— *Darum ward Gott so oft zu Spott.*[1]

Można było te słowa, jako *motto* umieścić na katalogu waszej wystawy. Do piętna chorobliwości w utworach religijnych pędzla i dłuta przyczynia się jeszcze inna okoliczność.

[1] *Zahme Xenien*, IV.

Lat temu kilka jechałem do Insbruka z jakimś starozakonnym zbogaconym przemysłowcem z Wiednia. Przez całą drogę opowiadał mi o swoich wiedeńskich apartamentach i o swojej willi w Tyrolu. Na nieszczęście ustawicznie mieszał terminologię atmosferyczną z estetyczną: wychwalał jakąś komodę z brązami *Scirocco* i narzekał na dokuczliwy tyrolski wiatr *Rococo*. Otóż podobnie dzisiejszy artysta, doświadczający swych sił na polu sztuki religijnej słyszy dużo o mistycyzmie, a plącze mu się on w głowie z mistyfikacyą; wyobraża sobie, że mistycyzm to jakiś stan sztuczny, udany, jakiś rodzaj hallucynacyi, coś podobnego do wizyi mankietniczej trójcy, której drugą osobę, X. Kowalskiego chciano ukrzyżować. Gdyby był współpracownikiem encyklopedyi, to niezawodnie przy słowie „mistycyzm" umieściłby odsyłacz: patrz „hysterya". Nic zatem dziwnego, że widzimy w jego kreacyach jakieś kontorsye, dziwolągi, grymasy.

— Ma Pan zupełną słuszność — przyznałem. — Przypominam sobie, jak jadąc przed kilkunastu laty do Egiptu, nabyłem podręcznik Gayeta *L'art arabe*, celem gruntowniejszego przestudyowania meczetów w Kairze. Na każdej niemal stronicy mówi tam Gayet o mistycyzmie sztuki arabskiej. Nieustanne to łączenie mistycyzmu z Arabem, marzącym o raju Mahometa jest, co najmniej śmiesznem; fałszywe jednak pojęcie istoty mistycyzmu i ignorancya pod tym względem tam, gdzie on się znajduje na swoim właściwym gruncie, jest wprost nie do darowania. A jednak istnieje ona u naszych artystów widoczna i absolutna. Zdziwiliby się ci panowie niechybnie usłyszawszy, że mistycy odznaczali się po większej części wyjątkową trzeźwością sądu, szczególniejszym zmysłem praktycznym, równowagą, energią w działaniu, wielkim polotem myśli. Z kobiet zacytuję tylko Katarzynę Sieneńską i Teresę od Jezusa, z mężczyzn Ignacego Loyolę i Bossueta. Zdziwieni byliby jeszcze bardziej, dowiedziawszy się, iż jeden z najgłębszych mistyków, Jan od Krzyża, ostrzega przed widzeniami, ekstazami, objawieniami, uważając je za rzecz drugorzędną i dodatkową w życiu mistycznem, polegającem na doskonałem

połączeniu duszy, jej głównych władz rozumu i woli z Bogiem.[1]

— To, coście powiedzieli Panowie, najzupełniej zgadza się z wrażeniem, jakie odbieram, patrząc na ten szkic — zwrócił się do mnie Czachórski, ukazując na obraz Brata Alberta, przed którym zatrzymaliśmy się w czasie rozmowy. — Jedyna to kompozycya na tej wystawie, tchnąca nawskróś głębokim religijnym duchem: podnosi i uspokaja, przemawia a równocześnie wprowadza dziwną ciszę przez oderwanie myśli od zewnętrznego świata. Jeśli ją zestawimy ze sławnym freskiem Sodomy w kościele św. Dominika w Sienie, to niewątpliwie pod względem wniknięcia w ducha religijnego, musimy Bratu Albertowi oddać pierwszeństwo. Znajduję, że jako kompozycya religijna, szkic Brata Alberta stoi stanowczo wyżej. Rzecz prosta, iż kwestyę techniki zostawiamy całkiem na boku; sam Brat Albert pierwszy byłby zdziwiony, a nawet i zgorszony może, gdybyśmy chcieli jakąś paralelę pociągnąć między nim a Sodomą. Tam jest cała maëstria szkoły Lionarda i to u najlepszego z jej przedstawicieli: przepych akcesoryów renesansowych, oślepiający koloryt białych draperyi, traktowanych ze zdumiewającą śmiałością i pewnością siebie; niezrównany wdzięk figur i ugrupowania. Tu, trochę tylko podmalowany szkic, zdradzający nawet miejscami pewne zakłopotanie. Lecz porównajmy tylko postacie obu, tak zbliżonych do siebie tematów: Chrystus w „Omdleniu św. Katarzyny" niespokojny, z energicznym, niemal gwałtownym gestem rąk: z prawą wzniesioną ku górze, a lewą wyciągniętą w bok poprzez draperyę; prawie barokowy, jakby silnym prądem powietrza niesiony w obłokach tutaj idzie, albo raczej płynie łagodnie od stopni ołtarza, szlachetnym ruchem prawicy ukazując serce, lewą dłoń spokojnie opuszczając na fałdy sukni. Św. Katarzyna, pozbawiona zupełnie zmysłów usuwa się całym ciężarem ciała, bezwładnie na ręce podtrzymujących ją zakonnic. Ta przepiękna

[1] Cf. *Vie et oeuvres de Saint Jean de la Croix.* t II. *La Montée du Carmel,* liv. II. ch. 17 Paris. Oudin. 1893.

postać Świętej, owiana właściwą Sodomie *morbidezzą* przykuwa wzrok widza, nie puszcza go, pochłania, nie dozwala mu myślą odbiegnąć od siebie, czaruje. Inaczej postać Maryi Małgorzaty u Brata Alberta. Uniesiona, porwana, zatopiona w widzeniu, jakie ma przed sobą, z lekkiem pochyleniem wstecz głowy i korpusu, ruchem niewypowiedzianie wyrazistym i naturalnym wyciąga ku Chrystusowi błagalnie ręce. W ten sposób komunikuje nam własne myśli, uczucia, wrażenia; zwraca nas i odsyła, niejako do przedmiotu swej adoracyi. Z przedziwną miarą uchwycony dystans między obiema postaciami sprawia, że całkiem bezwiednie przenosimy wzrok z jednej figury na drugą bez zamącenia toku napływających myśli i uczuć. Jak freskiem Sodomy musi się roskoszować każdy wyrobiony esteta, tak przed obrazem Brata Alberta musi się modlić każdy wierzący człowiek.

— Dlaczego jednak, mój Profesorze, skoro tak umiesz wniknąć w ducha malarstwa religijnego, jak świadczy to, coś nam teraz powiedział, sam nigdy nie próbowałeś szczęścia na tem polu? — zagadnął Dzieduszycki.

— Przeciwnie — zaprotestowałem — mam doskonale w pamięci dwie prace Władzia w tym kierunku: przepyszną kopię „Ukrzyżowania" Altdorfera, i obraz św. Walentego.

— Mój drogi — przerwał Czachórski — można nie być zupełnie malarzem religijnym, a znakomicie kopiować religijne obrazy; dowodem kopie Lenbacha, które dały początek monachijskiej galeryi Schacka. Co zaś do obrazu św. Walentego, to wiesz, że to obraz malowany do kościoła *ex voto* w samych początkach mojej artystycznej karyery; rzecz całkiem słaba, o której zupełnie nie warto wspominać. Inna sprawa, czy nie pociągały mnie ku sobie religijne tematy. Otóż pociągały w istocie i to niejednokrotnie; lecz zawsze w takich chwilach powstawało równocześnie w duszy pragnienie porzucenia świata i zamknięcia się w murach klasztornych.

— Czy sądziłeś może, że jak Adam Chmielowski przemienił się we *Fra Adalberto*, tak Pan musiałbyś się był przemienić

w jakiegoś *Fra Ladislao*, by stworzyć podobną do jego obrazu rzecz religijną? — zagadnął Dzieduszycki.

— Nie — urwał krótko — lecz jeśli sztukę wogóle traktowałem zawsze poważnie, to równocześnie miałem najgłębsze przekonanie, że sztuka religijna winna być dla artysty świętością. Dlatego nie pojmuję lekkomyślności a raczej lekceważenia, z jakiem ją dzisiejsi artyści traktują. Wystawa ta najwymowniej zarzut mój potwierdza. Jej komitet, a przedewszystkiem całe duchowieństwo dali wielki dowód zaufania tym panom, projektując wystawę, popierając, rokując z niej wielkie nadzieje na przyszłość. Oczekiwanie w zupełności zawiodło: położonemu w nich zaufaniu artyści nie odpowiedzieli ani w najmniejszej części. Dając rzeczy tylko słabe, lecz nie pozbawione przynajmniej pietyzmu, mogli byli wywołać pewne pobłażanie, wyrozumiałość, co najwyżej bardzo oględne wytknięcie ujemnych stron; popisując się jednak z arogancką pewnością siebie i nieomal z cynizmem produkcyami, obrażającemi wszelkie religijne, a nawet najelementarniejsze estetyczne uczucia, musieli się spotkać z ogólnem oburzeniem, z posądzaniem nawet, choć nieumotywowanem, o jakieś ukryte złe zamiary i niskie tendencye zohydzenia religii i rzeczy świętych. Nie powinni się tedy dziwić, że choć znaleźli dla prac swoich drzwi wystawy tak skwapliwie i gościnnie otwarte, znajdą jednak, zapewne zamknięte podwoje naszych kościołów.

— Mój Profesorze myślisz, że to taka rzecz łatwa, jak ci łatwo było zamknąć przed nimi twoją monachijską pracownię — zauważył Dzieduszycki. — Z wykwintną nawskróś naturą i manierami wersalczyka nie mogłeś znieść, gdy ci który z tych panów stanął przed świeżo wykończonym obrazem, przed damą ulubionej tobie epoki *Régence* w atłasach i perłach, zrywającą roskwitłe w japońskim wazonie azalee i palił po swojemu koleżeński komplement: że masz „byczą“ paletę, „wściekły“ pędzel i „piekielny“ koloryt. Poznawałeś go już po chodzie, po gwizdaniu, z jakiem piął się na schody: nie wpuszczałeś do środka, podobnie, jak nie wpuszczałeś natrętnego *Kunsthaendlera* i basta. Byłeś u siebie. Inaczej się rzecz ma z kościo-

łem. Dzieje sztuki chrześcijańskiej od pierwszych jej zawiązków, aż po czasy najnowsze wykazują dobitnie i nieomylnie, że sztuka wogóle była zawsze, jest i być musi w usługach Kościoła, który, mówmy bez ogródki, dał jej byt, życie i rozwój w każdym kierunku. Tymczasem dzisiaj, naodwrót, chcianoby mieć Kościół w usługach sztuki. Kościoły coraz częściej uważane są za muzea, za historyczne pomniki przeszłości, za jakieś składy narodowych pamiątek mniejszej, albo większej wartości, za wszystko zresztą, co kto chce, tylko nie za to, czem są w istocie — za Dom Boży. Stąd każdy sądzi, że wolno mu tam gospodarować, jak się podoba i nie zaręczam, czy wasz Książę Biskup nie ujrzy, pewnego pięknego poranku, ze zdumieniem u progów swego pałacu deputacyi gminy izraelickiej Stołecznego Miasta Krakowa, domagającej się umieszczenia na Wawelu, obok Jadwigi, pomnika Esterki.

— No, no! jedziesz Pan bardzo szybkiem tempem naprzód — rozśmiałem się. — Bogu dzięki Kościół sam szczególniejszą opieką otacza swoje świątynie, a w rzeczach pędzla i dłuta nakazuje Biskupom czuwać, by nie wkradło się nic w Dom Boży, coby oko wiernych razić mogło, lub gorszyć. Znamienne są pod tym względem i bardzo wyraźne rozporządzenia Papieży, Soborów i Kongregacyi.[1] Możemy być zatem w tej mierze całkiem spokojni. Rzecz jedna mnie tylko zastanawia i dziwi, mianowicie, iż mimo ogólnego niezadowolenia, ostrych słów nagany i bardzo daleko idących zarzutów, z jakimi się spotykałem co chwila i na wszystkie strony, parę zaledwie głosów odezwało się otwarcie w pismach z krytyką i śmiałem wypowiedzeniem zdania o wartości całej wystawy.

— Boś zapomniał Ojciec o pewnym, niezmiernie ważnym psychologicznym momencie naszej epoki — zabrał głos Dzieduszycki. — Żyjemy w czasach Maffii, czarnych sotni i bandytyzmu. Publiczność wzięta gremialnie, rozporządza olbrzymim kapitałem,

---

[1]) Cf. *a)* Conc. Trid. Sess. XXV. *De sacris imaginibus; b)* Const. Bened. XIV. *Sollicitudini.* I. Oct. 1745. Bull. Bened. XIV. t. 1 p. 250; *c)* Const. Leon. XIII. *Officiorum ac munerum.* VIII. Kal. Febr. 1896. cap. VI. art. 15.

z którym się nie rozstaje, nawet kiedy idzie zwiedzać wystawy. Kapitałem tym jest prosty, zdrowy rozsądek. Robi on jednak bardzo niewygodną konkurencyę dzisiejszym artystom, którzyby chcieli mieć całkowity monopol na wyrabianie gustu, zaspokajanie wszystkich estetycznych potrzeb społeczeństwa, łatwy zbyt sypanych, jak z rogu obfitości, niedojrzałych owoców swego natchnienia, przypominających mocno owe „gruszki na wierzbie", o których kiedyś pisałem w waszym *Przeglądzie*. Biorą się zatem na sposób. Napadają bezbronną publiczność, grożąc każdemu browningiem najnowszego systemu: „Milcz, albo chwal: inaczej kula w łeb!" Browningiem jest opinia publiczna, a kulą prasa: gazety, czasopisma, broszury. Jeśli się kto nie daje ze zdrowego rozsądku ograbić, stawiając czynny opór gwałtowi i przemocy; jeśli słówko piśnie przeciw kierunkom, z którymi się w żaden sposób nie może pogodzić, tym samym już podpisał wyrok śmierci na siebie; niebawem uczuje zimną lufę na skroni: dowie się z artykułów, rozsianych po różnych pismach pod jego adresem, że jest ignorantem, wstecznikiem, zakutą pałką, mózgownicą ze wszystkiemi klepkami w nieładzie; że niema pojęcia o wyobrażeniu czem jest sztuka, piękno, zmysł estetyczny. Woli zatem, dla świętego spokoju albo swój kapitał zdrowego rozsądku milcząc zataić, albo pozwala od niego ściągnąć podatek osobisto-dochodowy, polegający na pochwale, zdaniu pochlebnem, a może nawet czynnem poparciu przez nabycie jakiegoś płodu nowych kierunków artystycznej twórczości, którą w duchu gardzi i lekceważy, a która go naprędce z konieczności i z przymusu uczyniła swoim mecenasem. Dodajmy jeszcze towarzystwa wzajemnej adoracyi adeptów sztuki, w których jedni drugim oddają koleżeńskie usługi przez nieustanne, hałaśliwe reklamowanie wydawanych na świat arcydzieł i suggestyonowanie w ten sposób bezkrytycznie na nie patrzących, a będziemy mieli jasną odpowiedź, dla czego nowe prądy sztuki współczesnej spotykają się częściej z niekompetentnem, lub nieszczerem uznaniem, jak z umiejętną i bezstronną krytyką.

— Nie umiem też sobie wyjaśnić, czemu wystawę złączono

z tegorocznym jubileuszem i zaszczycono Imieniem Piotra Skargi — dorzucił Czachórski.

— To znów jest czyste nieporozumienie — wyjaśnił Dzieduszycki. — O ile wiem, myśl nadania pierwszej w naszym kraju wystawie sztuki kościelnej Imienia Skargi powstała w łonie jej komitetu. Pragnął on tym sposobem zwrócić uwagę szerokich kół, zainteresowanych Skargowskim jubileuszem na rzecz tak wielkiej doniosłości, jak rozwój sztuki w najszczytniejszych jej aspiracyach; skojarzył zatem wystawę z imieniem tego, który swojem natchnionem, mistrzowskiem słowem dał najwyższy wyraz aspiracyom naszym religijnym i narodowym. Innego wszakże zdania byli artyści. Niechcąc, by wzlotom ich ideałów narzucano z góry jakikolwiek kierunek, umyślili niezależnie, na swoją rękę nadać wystawie piętno stuletniej, na ten sam czas przypadającej rocznicy kampanii Napoleona. Podobni bohaterowi z pod piramid, Marengo, Jeny, Austerlitz, zapragnęli potęgą swego geniusza podbić, opanować, ujrzeć u stóp swoich świat cały. Niestety, jak Mały Kapral, tak i oni nie przewidzieli wszystkich trudności i przeszkód, nie obliczyli się dostatecznie z własnemi siłami; jak na jego orłach zwycięskich, tak na ich rwących się do lotu rumakach spoczęła zimna, nieubłagana ręka dziejowej Nemezys. Rącze Pegazy popodbijały wszystkie kopyta, poodmrażały skrzydła: wystawa była ich Berezyną. Tradycya niesie, iż kiedy w odwrocie z wyprawy moskiewskiej Napoleon przejeżdżał przez Wilno i czekał, by mu przeprzężono konie u sani, któremi miał w dalszą drogę wyruszyć, natenczas ktoś go podsłuchał, jak, chodząc po samotnej komnacie, porównywał zawiedzione nadzieje wyprawy ze smutnym jej rezultatem i powtarzał ustawicznie to zdanie, które później poszło w przysłowie: *Du sublime au ridicule il n' y a qu' un pas*! I wasza wystawa jest taką nieudaną kampanią. *Le sublime* było to wszystko, czego od niej oczekiwano; *le ridicule* rezultat, jaki nam dała. Miejmy nadzieję, jeśli znów po latach otwartą zostanie druga z rzędu Wystawa Sztuki Kościelnej, że wówczas nauczeni przebytem doświadczeniem artyści nie zapragną uczynić z niej rocznicy bitwy pod Waterloo.

Zbliżaliśmy się powoli do drzwi przedsionka. Wtem Dzieduszycki uchwycił mnie pod ramię i niespodzianie zagadnął:

— A gdybyś tak, mój Ojcze rozmowę naszą umieścił w *Przeglądzie*: co o tem sądzisz?

— Chętnie — odrzekłem. — Miałbym trudności, gdyby chodziło o fachową krytykę z mojej strony, dawno już bowiem nie chwytałem pióra do ręki; lecz powtórzyć zrobione przez was uwagi nie zabierze mi wiele pracy, a może dla niejednego rzucić jaśniejsze światło na dodatnie i ujemne kierunki sztuki w dobie obecnej. Stawiam tylko jako warunek, byście mi Panowie jasno wreszcie wytłómaczyli zagadkowe dla mnie tutaj z wami spotkanie, boć nie mogę przecież podawać i opowiadać rzeczy, w które nikt nie zechce uwierzyć.

— Nie mamy pod tym względem najmniejszej trudności; tym bardziej, żeśmy oba z Profesorem przyrzekli to już Ojcu uczynić jeszcze na samym wstępie naszego spotkania. Sprawa jasna, jak słońce. Przecież...

Nagle drgnąłem! O uszy obił mi się silny, energiczny dźwięk mego budzika, który ze zwykłą, wierną dokładnością spełniał swój niezawodny mechaniczny obowiązek.

Zaczem cała nasza rozmowa była snem tylko; jedynie zamknięta już wystawa smutną rzeczywistością!

Postanowiłem jednak podać czytelnikom naszego *Przeglądu* tych kilka sennych refleksyi oceniając wrażenie, jakie wywołać mogą słowami, któremi La Bruyère zakończył swoje „Charaktery": „Jeśli się nie podobają, będę zdziwiony; a jeśli się podobają, będę również zdziwiony."[1]

Ks. Józef Tuszowski.

[1] *Les Caractères de La Bruyère.* T. II. ch. XVI. Paris, Firmin Didot, 1819.

„INDYWIDUALNOŚĆ TWÓRCZA SKARGI"

(C. d.).

III.

Niesprawiedliwe prawa. Nierówność. Nauka patryotyzmu.

Zaznaczyliśmy poprzednio przy omawianiu anarchii, która za czasów Skargi zaczęła się już groźnie objawiać, że niemało przyczyniły się do tego liczne niedostatki w prawodawstwie polskiem.[1] Jednym z najfatalniejszych był artykuł o mężobójstwie. Od r. 1588 wyznaczał on za morderstwo szlachcica karę 240 grzywien oraz rok i sześć tygodni więzienia. W razie zabójstwa z broni palnej podwajała ustawa karę, a gdyby go dokonano na zjazdach, biesiadach lub w sądzie, groziła infamią i śmiercią. Przepisy te odnosiły się jednak tylko do szlachty, głowę chłopa oszacowano zaledwie na 10 grzywien, bez żadnego więzienia. Rzecz naturalna, o ile jeszcze zabójstwo szlachcica przedstawiało pewne niebezpieczeństwo, to życie włościan pozostawało prawie bez żadnej ochrony prawnej. Ale mimo to wszystko, zwłaszcza w pierwszym wypadku, gdyby się trzymano nawet tych niewystarczających ustaw, kto wie, czyby to nie zapobiegło występkom przynajmniej w znacznej części. Niestety działo się inaczej. Sprawy uznane za kryminalne oddawano do sądów sejmowych, ponieważ zaś sejm zbierał się co dwa lata i to tylko na sześć tygodni, podczas których nawet własnych spraw nie umiał załatwić, dlatego też odwlekał się

[1] Ustęp ten jest oparty na dziele Władysława Łozińskiego „Prawem i lewem. Rozdział I: Niedostatki prawa".

wyrok w nieskończoność, a zabójca żył sobie tymczasem bezkarnie, bo od pojmania chronił go osławiony przywilej: *neminem captivabimus nisi iure victum*. Tem więcej, że istniała jeszcze inna zasada prawna: *nemine instigante reus absolvitur*, czyli, jeśli brakło oskarżyciela, to choćby czyjaś zbrodnia była jasna jak słońce, to władza nie mogła wystąpić przeciw jej sprawcy. Wprawdzie krewni zabitego mieli surowo nakazane wezwać mordercę przed sąd, ale w praktyce zdarzało się nieraz, że zabójca okupywał sobie milczenie ze strony rodziny i zawierał z nią układ, który nawet wciągano czasem do urzędowych aktów w księgach grodzkich, choć był to przecie karygodny wybieg. Nakoniec jeśli już sprawa dobiegła do ostatecznego rozstrzygnięcia, co wobec mnóstwa kruczków prawnych i szczwanych jak lisy obrońców, nie było rzeczą łatwą, to należało jeszcze wyrok wykonać, a o tę trudność rozbijało się właściwie wszystko. Zdarzały się wprawdzie porządne i energiczne egzekucye, ale jakże często starosta, do którego to należało, nie dbał o spełnienie swych obowiązków, zwłaszcza, gdy zasądzony miał na swą obronę cały szereg szabel, takich, jak on straceńców. Kończyło się więc na niczem, albo uciekano się do jakiejś wałęsającej się w pobliżu chorągwi wojska i przyłączywszy do niej kupę hajduków i szlacheckich włóczęgów ruszano na „wyprawę". „Toteż tak zwana egzekucya miewała niekiedy otwarte cechy gwałtu, wyglądała raczej na rozbójniczy napad niż na represyę z ramienia króla".[1] Nie lepiej działo się i wtedy, gdy pokrzywdzony szukał na własną rękę sprawiedliwości. Jaskrawym dowodem bezsilności władz państwowych była t. zw. „odpowiedź", polegająca na tem, że szlachcic przesyłał swemu wrogowi list z groźbą bezwzględnej walki i ostrzeżeniem, aby się miał wszędzie na baczności przed jego zemstą. Zwyczaj ten przeniósł się do nas z Niemiec około połowy XVI w. i stał się tak powszechny, że prawo musiało zająć wobec niego jakieś stanowisko. Zabroniło więc niby „odpowiedzi" pod karą 100 grzywien, ale równocześnie pozwalało na nią pod warun-

[1] „Prawem i lewem" T. I. str. 28.

kiem, że będzie zaniesiona przez woźnego i dwu szlachciców i zapisana do ksiąg grodzkich. Samo prawo było więc w sprzeczności ze sobą i to nie jeden raz.[1] Za łagodne w jednych wypadkach, karało niemiłosiernie złodziejstwo i szafowało hojnie a bez ważnego powodu infamią, bo wystarczyło nie zapłacić w terminie kary sądowej albo długu — a już było się narażonym na ten straszny wyrok. Ze strony państwa mógł się wprawdzie skazany niczego nie obawiać, ale gorzej było, gdy jakiś możny wróg czyhał na jego życie wyjęte wówczas z pod opieki prawa. Otwierało to drogę do różnych nadużyć i gwałtów, tem więcej, że urząd często przyjmował pozwy bezkrytycznie.

Niedostateczną była też procedura sądowa, polegająca jedynie na przysiędze stron interesowanych i zeznaniach woźnego, który nibyto reprezentował władzę państwa i miał naprawdę ważne zadania do spełnienia, ale w rzeczywistości był figurą komiczną, pogardzaną przez wszystkich, zwłaszcza, że na woźnych brano przeważnie chłopów albo obszarpańców szlacheckich.

Stosunki te, choć tylko ogólnie nakreślone, przedstawiają obraz bardzo smutny. To też narzekania na przeróżne braki w prawodawstwie ciągną się już od samego początku naszej politycznej literatury. Jeszcze Ostroróg dążył do reformy na tem polu, a na szczególną uwagę zasługuje myśl, że prawo powinno być w całej Polsce jednakie i dla wszystkich równe. Co prawda zadania równości nie podtrzymuje autor *Monumentum* stanowczo. Domaga się przecież, aby przeprowadzano dowód prawdy, aby przysięga woźnego nie decydowała i był przeciwnikiem zbyt niskiej kary za mężobójstwo. Głosy żądające śmierci za popełnienie morderstwa nie były wcale odosobnione. W r. 1538 wniesiono nawet propozycyę od tronu, w której taką karę zaprowadzano, ale wniosek upadł. Wtedy

[1] n. p. Ustawa z r. 1588 wzbraniała pod karą banicyi wszelkich stosunków z infamisem, pozwalała nawet takiego wywałanica bezkarnie zabić, ale zastrzegała, że „nie mają starostowie w dworzech szlacheckich wywołańców imać, chybaby im tego szlachcic dozwolił dobrowolnie. „A przecież ten szlachcic, wchodząc w stosunki z banitą, podpadał sam karze infamii!

wystąpił Modrzewski i uderzył na prawo o mężobójstwie z ogromną siłą uczucia i oburzenia, zwłaszcza na tę straszną niesprawiedliwość, że zabójstwo chłopa karano daleko mniej, niż zamordowanie szlachcica. Prawa powinny być równe dla wszystkich synów Rzptej! W obronie tej zasady stanął Modrzewski z całą stanowczością, żądał kary śmierci tak za morderstwo chłopa, jak i szlachcica i domagał się zniesienia *neminem captivabimus*. Niestety musiał sobie sam powiedzieć, że jego nawoływanie, to „jakoby groch o ścianę miotał".

Bardzo dokładną krytykę sądownictwa polskiego przeprowadził Górnicki w „Rozmowie Polaka z Włochem". Książkę tę napisał jeszcze w r. 1588, ale nie wydał jej za życia, tak, że ukazała się dopiero w r. 1616. Wpływu żadnego na Skargę mieć nie mogło, jednak warto pokrótce stanowisko Górnickiego naszkicować dla uprzytomnienia, że spostrzeżenia Skargi nie były wcale czemś wyjątkowem, ale natomiast odznaczały się śmiałością, na jaką się już Górnicki zdobyć nie mógł. Otóż Włochowi nie podoba się bardzo wiele w ustawodawstwie polskiem: zwalcza przywilej *neminem captivabimus*, zarzuca polskim sądom brak porządnego wymiaru kary i niedostateczną procedurę, polegającą tylko na przysiędze woźnego i stron interesowanych, co jest poprostu zachętą do krzywoprzysięstwa. Domaga się zatem Górnicki kar na krzywoprzysięzców, przysięgania w nieobecności stron, większej łagodności w skazywaniu na banicyę, ale gdyby już kogoś zasądzono, to niechby przeprowadzano egzekucyę szybko i energicznie. Wogóle wyroki należy wykonywać bez zwłoki. Urząd powinien mieć prawo pozywania zbrodniarzy i odbywać sądy karne bez przerwy. Narzekał dalej Górnicki, że prawo polskie jest „zawikłane", a urzędnicy dadzą się łatwo uwieść subtelnym wywodom obrońców, którzy umią doskonale „prostość prawa chytrością wynicować". Żąda też przywrócenia sądów duchownych, aby powstrzymać w ten sposób rozluźnienie obyczajów. Potępia wreszcie artykuł o mężobójstwie, rozumie nawet dobrze, jak wielką niesprawiedliwością jest prawo karzące niżej zabójstwo chłopa, ale ostatecznie śmierci domaga się tylko za morderstwo szlachcica,

„między chłopy niechaj płacenie głów będzie i magdeburskie prawo, które się też czartu godzi, niech zostanie".

Wiele ważnych uwag o prawach polskich zawiera „Propozycya" Powodowskiego, wydana w r. 1595. Jako grzech przeciw piątemu przykazaniu wymienia kaznodzieja niesprawiedliwe prawa, które niby pajęczyna silnym nie szkodzą, bo je złamią, ale słabszych łowią w swe sidła. Czasem układa się nowe ustawy tylko dla dogodzenia jakiejś prywatnej potrzebie, nie zważając na to, czy się poprzednie konstytucye z niemi zgodzą, czy też nie. Narzeka też Powodowski na urzędników: sami sędziowie namawiają do jednania się stronę, gdy się z obowiązku o karę dla zabójcy dopomina, a cóż mówić o prokuratorach! Ci dopiero naciągają prawo bez miłosierdzia. Grzeszy też Polska ciężko przez liczne a bezkarne morderstwa i najazdy, a grzech to tem straszniejszy, że „jeden człowiek w naszym prawie droższy niż drugi".

I Skarga uderza na „prawa i statuty złe a niesprawiedliwe", uważa je za ciężką chorobę królestw, dla której umierać i ginąć muszą, a Pan Bóg je wykorzenia. I on rozumie, że „panom i możnym rzadko prawa szkodzą",[1] a cała klątwa niesprawiedliwości spada na ubogich. Prawo definiuje z przedziwną jasnością, jako „regułę życia i sznur spraw ludzkich, którym prostują występki swoje" [2] i domaga się od praw, aby były sprawiedliwe, „wszystkim pożyteczne, cnoty a najwięcej bogobojność szczepiące, chwały i czci Boskiej ochraniające, a nakoniec dobrą egzekucyą i karnością opatrzone". Że określenie to wypłynęło ze stosunków polskich, widać na pierwszy rzut oka. Skarga wypowiada tu tę samą myśl, która taką chlubę przynosi Modrzewskiemu: równouprawnienie. Wprawdzie nie czytamy dosłownie, że prawa powinny być dla wszystkich równe, ale są zwroty, wskazujące na to dostatecznie. Wszak mają być „wszystkim pożyteczne"; „które też prawo jednej stronie, abo jednemu stanowi służy, a drugiemu wadzi i on psuje, nie ma

[1] VII. Kaz. sejm.
[2] Tamże.

być prawem nazwane, bo powszechne na pożytek wszystkich obywatełów mają być ustawy".[1] Jak wielu ówczesnych szlachetnych pisarzy, uważał Skarga moralność za nieodłączne zadanie państwa. I prawa mają też przedewszystkiem „cnotę ludzką szczepić i onę polewać i obronę jej wszelaką dawać". Oczywiście ze swego stanowiska uderzył przedewszystkiem na odebranie jurysdykcyi sądom duchownym, bo widział w tem bluźnierstwo i krzyczącą niesprawiedliwość. Wszakże po zawieszeniu egzekucyi tych sądów — powiadał — „wnetże heretycy kościoły wydzierać, katolikom imiona odejmować, dziesięcin bronić, na duchowne dobra najeżdżać, ministry heretyckie stawić i srodze prześladować Kościół Boży poczęli. I do tego czasu przeklęte prawo dusze ludzkie ministrami i herezyami zabija". To był główny powód. Oprócz tego dowodził Skarga podobnie jak i Górnicki, że „grzechy się też rozkwitnęły one, które się sądem duchownym karały: cudzołostwa, kazirodztwa, lichwy, czary i inne".[2]

Za „jeszcze daleko gorsze prawo" uważał nasz kaznodzieja konfederacyę warszawską; z jakich powodów, mówiliśmy już przedtem. Był głęboko przekonany, że otwiera ona szeroką drogę do ateizmu i wiedzie dusze polskie na wieczną zatratę, a tych, którzy na nią przyzwalają, obciąża grzechem „uczestnictwa". Na zarzut, że zniesienie jej może wieść do wojny domowej, czasem cofał się i powiadał o katolikach: „Wiedzą, iż konfederacya zła, ale wojna sąsiedzka gorsza",[3] jednak przeważnie domagał się zniesienia tej ustawy, zapewniając, że do żadnych zaburzeń przyjść nie może, bo katolicy ani myślą o jakimś gwałcie, oni to przecież „synowie posłuszeństwa", a różnowiercy grożą tylko, ale w istocie „sami się boją i wietrznemi straszydłami wystraszają".[4] Dowodził nawet, że lepiej szkodę mieć na tańszej rzeczy, niżeli na droższej, na pokoju i dobrem świetckim niźli na duchownym".[5] „Nie godzi się dla zatrzy-

[1] Tamże. [2] Tamże.
[3] Upominanie do ewangielików.
[4] Przestroga do katolików.
[5] Tamże.

mania policyjej Pana Boga obrażać i prawa Jego św. łamać, jako czynią poganie i tureccy tyrannowie, którzy dla monarchiej skoro na państwo wstępują, rodzoną bracię swoję zabijają, aby się cało przy jednym rząd zachował, a rozerwania i niezgody pod wielą panów nie było. I patrząc na rozum ludzki w policyjej, coś się zda grzecznego, ale patrząc na Zakon tego, który policyę postanowił i wszystkim, jako Pan ich władnie, uchowaj Boże, aby kto Boga znający takie okrucieństwa i mordy chwalił".[1] Co prawda nie wierzył Skarga, aby wypełnienie tego, co za prawa Boże uważał, mogło naprawdę szkodzić „doczesnej" ojczyźnie. „Umie Pan Bóg bez psowania Zakonu Swego policyę zachować i onych strzedz, gdy ludzie wolę Jego św. pełnią".[2] Owszem był głęboko przekonany, że „nigdy z krzywdy Bożej i kościelnej policya nie powstała i do swego pokoju nie przychodziła, ale raczej wszytki niepokoje cierpieć i upaść nakoniec musi, gdy się w niej Pan Bóg obraża".[3]

Domagał się więc zniesienia konfederacyi. Zahypnotyzowany myślą o jej szkodliwości, zapominał o pojawiających się już wśród „synów posłuszeństwa" wybuchach fanatyzmu, o krwawych wojnach religijnych za granicą, o zjazdach różnowierców polskich i o tem wreszcie, że sam przyznał, „iż zła konfederacya, ale wojna sąsiedzka gorsza".

Żądał dalej Skarga w swem określeniu, jakie prawa być powinny, aby je opatrzono „dobrą egzekucyą i karnością". Stało to naturalnie w związku z ówczesnymi stosunkami. Kaznodzieja nasz widział je dobrze i znał naturę polską: „Piszem prawa, a więcej tych, które żadnego wypełnienia nie mają: karty mażem, a papier ukazujem; po staremu w nierządzie żyjem; na czym to królestwo i ludzie w nim barzo chramie. Mówić, pisać, wywodzić umiemy, a czynić namniej".[4] Na odwlekanie spraw kryminalnych narzekał długo w „treo-

[1] Tamże.
[2] Tamże.
[3] Tamże.
[4] Kazanie sejmowe. VII.

pagu": „Co się u nas dzieje, żal się Boże! Kryminały na sejmy odkładają, to jest złym mężobójcom i zdrajcom i ojczyźnie zgubicielom, i innym zbrodniom, którzy świata tego i ludzkiego towarzystwa są niegodni, dają odwłokę do lat 30 i 50 drugdy i dalej. Bo na sejmie innem się bawiąc, sądy te opuszczają i od sejmu do sejmu odkładają i wedle praw, nie wiem, jako sprawiedliwych przed pozwem takiego zbrodnia nie więżą i pozwanemu wiele niesłuszny przeciągów czynią".[1] Jako środek mający temu zapobiedz, poleca Skarga powierzenie sądownictwa kryminalnego królowi: „Jakoby to trudno czas dać Panu na takie rządy, a nie bawić go innemi sprawami".[2] A dalej domagał się zniesienia *neminem cuptivabimus*, nazywając go „niesprawiedliwem" i „nie dobrem" prawem. Wreszcie wyrzucał sędziom, podobnie jak Górnicki, łakomstwo i przekupstwo, a prokuratorom wykrętne wybiegi. „Niemasz pilnych, niemasz ostrych, niemasz porządnych, nieodproszonych urzędników".[3] „Przysięgamy na krzyż i mękę Pańską sądzić według prawdy, nie brać upominków, nie przebierać w osobach: a przedsię niesprawiedliwości dosyć, i płakania i ucisku. Możny nas przemoże abo pieniądzmi abo postrachem".[4] Tymczasem sędzia powinien być bezstronny. „Prawa nie mają żadnych namiętności i uwieść się krzywo nie dadzą",[5] a dalej „dobrzy sędziowie na wymowne prokuratory wielkie baczenie mieć mają, a nie dopuścić im wiele i od rzeczy mówić i czas tracić, a gołą prawdę na piękrzenia przekładać".[6] Nakoniec potępiał Skarga, co prawda ogólnikowo — „potwarzy a prawa w pozwach" i krzywoprzysięstwa, gromił za składanie „fałszywych świadectw" i narzekał na zamęt panujący w ustawodawstwie. „Jurysdykcye źle opatrzone, rozerwane i rozmnożone: jedna drugiej przeszkadza".[7]

[1] Areopag. Kaz.
[2] Tamże.
[3] VII kaz. sejm.
[4] Areopag. Kaz. I.
[5] VII kaz. sejm.
[6] Areopag. k. I.
[7] VII kaz sejm.

Jak widzimy umiał Skarga i w zakresie sądownictwa polskiego uchwycić zasadnicze braki, a krytyka jego, jakkolwiek niezupełna (pomija zasadę *nemine instigunte*, odpowiedź, nierozstropne szafowanie banicyą, procedury sądowej ledwie, że dotyka i t. d.), zadziwia przecież wszechstronnością, jeśli zważymy, że to mówi nie polityk z zawodu, ale zakonnik. Przytem widać wszędzie jego szlachetne serce, bo nawet wtedy, kiedy żąda zniesienia konfederacyi warszawskiej i traci z oczu rzeczywistość, przejęty głęboką wiarą i uległością dla swych przełożonych (synod piotrkowski potępił konfederacyę), to przecież ma zamiary jak najlepsze: chciałby ratować dusze polskie od zguby i protestuje przeciw temu, co uważał za pogwałcenie praw Bożych. Jeśli zaś domagał się kary śmierci za mężobójstwo, energicznej egzekucyi i sprawiedliwego sądzenia, to czynił to dlatego, że bolała go krzywda słabszych i oburzała bezkarność zbrodniarzy.

Jeszcze piękniej świadczy o jego sercu stanowisko, jakie zajął wobec ustaw wchodzących już w dziedzinę społeczną: wobec niedoli chłopów. Pozostawali oni już wtedy zupełnie pod władzą swych panów.[1] Przepisy ograniczające swobodę wieśniaków, istniejące już przedtem, ale nie wykonywane tak bezwzględnie, spadły teraz całym ciężarem na ich barki. Ponieważ stosunki ekonomiczne wymagały powiększenia sił roboczych, zaczęto odejmować chłopom i resztę ich wolności, aż pan stał się niby udzielnym władcą w swych dobrach. Jeszcze w r. 1518 zrzekł się Zygmunt I. prawa roztrząsania spraw chłopów przeciw szlachcie. Pan wsi mógł odtąd podwyższać samowolnie czynsz i robociznę, wolno mu było pozbawić chłopa roli, którą uprawiał, i ścigać go po całej Polsce, gdyby zbiegł z jego posiadłości; prawo z r. 1588 zakazywało surowo pod karą aż do 500 grzywien, przyjmować zbiegłych poddanych. Był też pan wsi najwyższym sędzią w swych włościach; czasem odsyłała wprawdzie szlachta przestępców przed sąd miejski lub grodzki, jednak nieraz zdarzało się, że dziedzic sam był stroną

[1] „Prawem i lewem“ — rozdział ostatni p. t. Chłopi.

i sądem, sam prowadził inkwizycyę, sam wołał kata i skazywał winowajcę na śmierć w pierwszej i ostatniej instancyi.[1] Jedynie w dobrach królewskich i duchownych mogli chłopi skarżyć się na zarządcę wsi w sądach referendarskich lub duchownych, jednak najczęściej, żeby nie powiedzieć, zawsze — wyśmiewał dzierżawca uniwersały i upomnienia królewskie, a ze wsi wyrugować się nie pozwolił. W dobrach szlacheckich i tego nie było, to też ucisk wzrastał pod koniec XVI w. coraz bardziej. Przeciętny szlachcic uważał chłopa za swój inwentarz roboczy i był zdania, że wolności „chłopstwu nie potrzeba, bo wolność byłaby ku ich skazie. Kto dusze swej używać nie umie — dowodzi Polak u Górnickiego — temu lepiej, żeby jej nie miał, a był umarłym niż żywym, a jeśli potrzeba, żeby człowiek taki był żyw, tedy lepiej, żeby był niewolnikiem niż wolnym człowiekiem"!

Trzeba jednak przyznać, że głosy oburzenia na ucisk poddanych rozlegały się szeroko po Polsce. Spotykamy je nie tylko w politycznej literaturze, ale i w niejednym notatniku szlacheckim w t. zw. *Silvae rerum*.[2] Nawet Orzechowski, choć tak apoteozował rządy szlacheckie i złotą wolność, pisał przecież swego czasu, że „okrutna jest rzecz wyciskać podatki z tych, co sami nic nie mają, nakładać na nich te koszta obrony, kiedy już i tak upadają pod ciężarem robocizny i różnych służebności, które panom swoim składać muszą". Skarży się chłop u Reja, że „nam prostym zewsząd nędza"; również Górnicki wiedział o złych skutkach takiego ucisku, choć sprawę chłopską bojaźliwie pomijał, — silniej potępili „opressye poddanych" Warszewicki i Powodowski, ale najśmielej, najwymowniej stanęli w obronie uciśnionych kmiotków dwaj pisarze: Modrzewski i Skarga. Ujmował się nasz kaznodzieja niejednokrotnie za poddanymi, bo nietylko w kazaniach sejmowych, ale też w kazaniach na niedziele i święta,[3] w kazaniach przygodnych[4]

---

[1] „Prawem i lewem" I. str. 395.

[2] „Prawem i lewem". I str. 356.

[3] Kaz na n. i św. Na VI n. po Św. II. Na IX n. po Św. cz. I. Na X n. po Św Cz. II. Na dzień św. Michała Arch. etc.

[4] Kazanie czasu suchości i głodu.

i w Pobudce do pokuty. Wszędzie wyrzuca dziedzicom ich okrucieństwo, grozi gniewem Bożym i wzywa do poprawy. Jednak nie poprzestaje na tem. Wiedział, że ucisk płynął z niesprawiedliwego ustawodawstwa, uderzył więc na „złe i dzikie" prawo, „którym kmiecie i wolne ludki, Polaki i wierne chrześcijany, poddane ubogie, niewolnikami czynią, jakoby mancipia kupieni albo na wojnie sprawiedliwej pojmani byli".[1] — „Co się jeśli godzi i jeśli to prawo także ma jaką odrobinę sprawiedliwości, spytaćby praw i obyczajów wszystkiego świata chrześcijańskiego duchownych i świeckich". Otóż chłopi powinni mieć obronę prawną, Skarga oburza się na to, że „im obrony i forum żadnego o krzywdy ich" nikt nie dozwala, — domaga się dalej, aby im dziedzic „wrodzonej i chrześcijańskiej wolności" nie zabierał, protestuje przeciw przywiązaniu włościan do ziemi i żąda zniesienia sądów patrymonialnych. Były to myśli naówczas niezwykle śmiałe i szlachetne, a siła uczucia z jaką je Skarga wypowiadał, da się tylko porównać z oburzeniem Modrzewskiego. Różni się jednak nasz kaznodzieja pod jednym względem. Oto autor „Naprawy Rzptej" pragnął, aby włościanie mogli żyć ze szlachtą „jako sąsiedzi" i dlatego też pisał: „Pan na swej części ma przestawać, swoję rolę ma orać, a cudzych nie nachodzić, ani posiadać; bo czemużby oni, którzy rolą na swą część oddzieloną robią, nie mieli bezpiecznie rzec, że ich własna jest?" Skarga poprzestawał na żądaniu, aby z chłopami obchodzono się nie jak z niewolnikami, lecz jak z najemnikami, których wolno spędzić z roli, jeśli się źle zachowują". Co prawda nie trzeba zapominać, że stosunki przedstawiały się za Skargi daleko gorzej, że wieś była już faktycznie własnością pana i że niektórzy, jak Górnicki bali się odezwać z głośniejszą krytyką.

Przewaga szlachty dała się też przykro odczuć miastom i miasteczkom. Upadek ich [1] obok takich przyczyn, jak opanowanie Morza Czarnego przez Turków i odkrycie nowych dróg wod-

[1] Kaz. sejm. VII (w trzeciem wydaniu z r. 1610).
[2] Por. Kutrzeba. „Historya ustroju Polski" str. 92—98.

wodnych, spowodowały także ustawy podyktowe stanowym egoizmem posłów. Wprawdzie niektóre ograniczenia nie były w praktyce wykonywane, albo bardzo tylko pobieżnie, tak, że nie miały tak złego wpływu, jakby się to mogło zdawać (n. p. zakaz wywozu towarów z kraju i przywozu ich z zagranicy). Ale nie brakło ustaw bardzo szkodliwych. W r. 1538 ponowiono i tym razem wykonano prawo odsądzające mieszczan od posiadania ziemi. Konstytucya z r. 1565 oddała kontrolę dochodów miejskich starostom, którzy wyzyskiwali to naturalnie na korzyść swych herbowych współbraci. Także cenniki wojewodzińskie sprzyjały interesom szlachty, ale wpływały ujemnie na rozwój miast. Małe miasteczka znalazły groźnego konkurenta we wsi, gdzie pan i karczmarz stali się jedynymi pośrednikami w kupnie i sprzedaży towarów. Wobec słabości miast wzrastał coraz więcej wpływ starosty na ich wewnętrzne sprawy, bardzo często ze szkodą dla mieszczan.

Proces ten nie minął bez echa w naszej literaturze. Modrzewski zwalczał wytrwale prawo zakazujące mieszczanom nabywania roli i Górnicki widział również niejedną z tych ujemnych stron i wyrzucał Polakom przez usta Włocha, że „aż z Niemiec, a od nas z Włoch wam te rzeczy przywożą, któreby u was dobrze być mogli", że „kupców u was mało, a co są to nędzni" i zapewniał: „możesz mi wierzyć, iżby Polska była daleko bogatsza, gdyby miała miast więcej".

Tymczasem Skarga znaczenia miast w ustroju Rzptej nie rozumiał, nie mamy przynajmniej żadnych na to dowodów, ale czuł, że mieszczanom dzieje się krzywda. Za główną przyczynę uważał zajmowanie się szlachty handlem, przez co powstaje dla miast niebezpieczna konkurencya. Nie było to bezpodstawnem twierdzeniem, zwłaszcza małe miasteczka mogły na tem wiele ucierpieć. Otóż w obronie ich interesów nie zawahał się Skarga wystąpić z całą stanowczością: „Stan twój nie jest kupiecki, — wołał do takich szlachciców, — i masz z ziemiaństwa i ze wsi i z ról swoje pożywienie, próżno się wymiawasz zyskiem i kupiectwem, gdy bez takiego być możesz i jesteś winien, abyś kupcom chleba nie wydzierał, którzy innego

pożywienia nie mają, abyś miast nie gubił, które na tym samym zasiadły".[1]

Równocześnie zarysowuje się nam pogląd Skargi na stosunek różnych warstw społeczeństwa do siebie. Zupełnej równości podobnie jak i Modrzewski nie żądał, ówczesny stan musiał się mu wydawać naturalnym i koniecznym, tem więcej, że nierówność uznawali św. Augustyn i św. Tomasz, skutkiem czego pogląd ten osłonięty powagą kościelnych pisarzy przetrwał aż do czasów naszego kaznodziei. Nierówność w społeczeństwie być musi, ale nie powinno to wykluczać wspólnej zgody. Jak w ciele ludzkiem każdy członek różni się od drugiego i ma inne zadanie do spełnienia, tak samo i w wielkim organizmie społecznym: „w tej nierówności członków przedsię jest zgoda: bo jest usługowanie spólne i jednego członka pod drugim podleganie i posłuszeństwo i porządek wielki".[2] Wszystkie stany mają poprzestawać na swojem, wspomagać się wzajemnie i słuchać monarchy, który rządzi nimi, jak dusza ciałem. Stanów rozróżnia Skarga pięć: „korona ta ty stany, jako członki w ciele swoim, zawżdy miała: duchowny, senatorski, żołnierski (szlachta), miejski, oracki abo kmiecy".[3] Każdy z nich ma inne zajęcie, duchowni nauczają słowa Bożego, senatorowie radzą nad dobrem narodu, szlachta-rycerstwo broni Rzpltej, ziemianie pracują na roli, a mieszczanie zajmują się kupiectwem. Żaden z nich nie powinien zazdrościć drugiemu, ani też wdzierać się do jego zajęć. Dlatego to gromił Skarga szlachciców, którzy porzucając właściwy sobie zawód żołnierzy, porywali się do kupiectwa i lichwy. Podział na stany zdawał mu się wynikać koniecznie z podziału pracy, ale nie miał on nigdy prowadzić do ucisku jednej warstwy przez drugą. Ani nawet do lekceważenia niższych stanów przez wyższe. „W ciele uczciwszy członek, mówi Apostoł, nie gardzi podlejszym. Nie mówi głowa nodze, która po błocie depce: „co mi po tobie sprosna nogo, nie dbam o cię", ale jej szanuje, bo wie, że się bez nogi ruszyć z miejsca

[1] Kazania na niedz. i św. Na dzień św. Mateusza I.
[2] Kaz. sejm. III.
[3] Kaz. sejm. IV.

nie może: tak i w Rzeczypospolitej wyższe stany niech miejskimi i kmiecymi nie gardzą".[1]

Oprócz nierówności stanowej istnieje jeszcze inna, wynikająca z różnicy uzdolnień i majątku. Pierwsza jest konieczna, ale druga? Jakie zająć wobec niej stanowisko? Skarga zdaje się pytać sam siebie i przytacza różne poglądy pisarzy kościelnych na tę sprawę: „Jedni mówią, że na przodku, gdy była niepodzielna ziemia z pożytkami swemi, a wszyscy jej równo używali: chciwsi, a możniejsi więcej jej sobie z krzywdą drugich pospolitych nabrali i stąd jako z korzenia złością i nieprawością bogactwa zarażone są. A do tego św. Hieronim[2] mówi: bogaty, abo sam jest niesprawiedliwy, abo niesprawiedliwego dziedzic".[3] Było to zdanie zbyt radykalne, ażeby Skarga mając na oku otaczające go życie, mógł się na to zgodzić. Dodaje więc, że „nie każdy bogaty taki jest, i wiele świętych przy bogactwach zostało". Rozpatruje dalej jeszcze inne poglądy w tej kwestyi i dochodzi ostatecznie do kompromisowego wniosku: godzi się być bogatym, ale nie godzi się być skąpym.

W innem kazaniu zastanawia się znów Skarga nad przyczynami nierówności na świecie. Właściwie trudno je naprawdę odnaleźć. Pan Bóg najmędrszy i najsprawiedliwszy musiał już mieć ważne do tego powody. Można jednak przypuszczać, że nierówność istnieje dla dwóch rzeczy. Najpierw Stwórca wiedział co będzie komu do zbawienia potrzebne, a co szkodliwe i dlatego dał jednemu to, czego innym odmówił. Po drugie domagała się tego miłość. „Gdyby jeden wszystko miał, drugimby gardzić chciał, a miłości i wysługi z niej u Pana Boga nie było".[4] Otóż właśnie nierówność nie powinna prowadzić do pychy, ani do ucisku, lecz być węzłem miłości społecznej. „Musi bogatemu ubogi służyć, a bogaty musi ubogiego czcić. Bogaty ma pieniądze, a prawy ubogi ma królestwo niebieskie. Mądrego

[1] Kaz. sejm. III.
[2] Epist. ad Hebbidiam.
[3] Kazania na niedz. i św. Na VIII n. po Świątkach. Cz. I.
[4] Na dzień św. Mikołaja. Cz. I. (Kaz. na n. i św.)

głupszy miłować ma, bo jego rozumu potrzebuje, a mądry udzielając rady i nauki głupszemu, Panu Bogu się miłością ku bliźniemu przysługuje".[1] Późniejsze stanowisko Skargi jest jeszcze więcej chrześcijańskie. Nierówność istnieje nie dla wygody szlachciców, ani też nie dla jakiejś harmonii w państwie, ale po to, aby ją miłość przemieniała w równość, „aby mocniejszy słabszemu, mędrszy głupszemu, bogaty ubogiemu służył, ażeby było jakie porównanie dla wysługi u Pana Boga i miłości spólnej, aby było jednako i temu, co wiele i temu co mało".[2] Prawdziwy chrześcijanin powinien dzielić swe dochody na trzy części. Jedna miałaby służyć do zaspokojenia potrzeb życiowych odpowiednio do stanu, drugą należy odkładać dla ubezpieczenia przyszłości i poratowania w razie niespodziewanych przygód, a zresztą wszystko coby pozostawało, winno się oddać uboższym bliźnim, zwłaszcza, gdy się znajdują w niedostatku. Jakkolwiek więc Skarga podziału na stany nie znosił, to przecież starał się w ramach istniejących stosunków, ostre przeciwieństwa godzić, a czasem nawet zupełnie usunąć i przemienić je w promieniach miłości chrześcijańskiej w doskonałą harmonię. To co zalecał, było z pewnością rzeczą trudną do przeprowadzenia i niestałą, ale możliwą, przynajmniej dla niektórych szlachetnych jego słuchaczy. Poglądy te świadczą bardzo pięknie o wielkiem i chrześcijańskiem sercu Skargi, i o rozumie trzeźwym, oglądającym się na ówczesne życie. „To jest największe szczęście każdego królestwa, gdy ma w sobie ludzie, w poczciwości się kochające, wstyd i trzeźwość i mierność miłujące, posłuszne, karne, mądre i mężne, a miłością, jeden ku drugiemu zaprawione".[3] W słowa te wierzył Skarga niewzruszenie i był głęboko przekonany, że państwo, w którem moralność zginęła, nie może dalej istnieć. Z tej to myśli wypłynęło ósme kazanie sejmowe, poświęcone „ostatniej chorobie" Rzptej: „grzechom jawnym". A pomieścił wśród nich nasz ka-

[1] Tamże.
[2] Areopag k. III.
[3] Kaz. sejm. VII.

znodzieja, nietylko „bluźnierstwa“ i „złupienia kościołów“, „mężobójstwa“ i „złe nabywania majętności“, nie tylko lichwy i zbytki, ale też „opuszczenie i odwrócenie sprawiedliwości świeckiej“, „krew abo pot żywych poddanych i kmiotków, który ustawicznie bez żadnego pohamowania ciecze“, brak „miłosierdzia ku Rzeczypospolitej“. A wszystko to przejmowało go nietylko oburzeniem, ale i obawą, że Bóg całe królestwo, całą jego „najmilszą“ ojczyznę ciężko będzie karał. Z jednej strony widział zupełnie naturalne przyczyny, które Polskę do zguby muszą doprowadzić, z drugiej wierzył, że te wszystkie grzechy ściągną na niepoprawną ziemię straszny gniew Boży. I to napełniło jego serce przerażeniem i rozpaczą, która tak groźnie wybuchła w ostatniem kazaniu sejmowem.

„Nikt z serca Rzeczypospolitej nie miłuje“! „Wszytka Rzeczpospolita uboga, domy tylo pojedynkowe bogate“. Oto pierwsza, zasadnicza choroba narodu. Skarga umieszcza ją na samym początku, jakby chciał zaznaczyć, że wszystkie inne zatrważające objawy z tego właśnie źródła płyną. Główną zaś przyczyną tej oziębłości serc ku ojczyźnie „to chciwość domowego łakomstwa“. Stroje, huczne zabawy, pijaństwo i inne „utraty“, sprawiają, że „żaden się pieniądzmi, których nigdy więcej nie było nie nasyci; nikt nie mówi: „dosyć mam“, każdy przyczynić chce choć mu zbywa“.[1] Tak było niestety naprawdę. Zbytek rósł w wieku XVI coraz więcej, wszyscy szlachetniejsi ludzie tego czasu narzekają na to zgodnie; w r. 1605 myślano nawet o uchwale przeciw tym nadużyciom. Wśród tego zaś gasła coraz więcej ofiarna miłość ojczyzny. Nie brakowało jeszcze, co prawda gorących patryotów, którzy i życia się nie wahali dla swej matki poświęcić, ale jakże już często kończyła się miłość ojczyzny na pustych i chełpliwych frazesach. Nie rozumiano patryotyzmu bez nagrody, kurczyły się serca polskie w stanowym egoizmie i zamykały w czterech ścianach szlacheckiego dworku. Orzechowski, — moralista przecie i „nauczyciel narodu“, nie wahał się pisać do króla: „Rozważ sobie

[1] Kaz. sejm. VIII.

Greków i Rzymian historyę, co jak słyszę pilnie czynić zwykłeś, zobaczysz tam wielkich i niepospolitych ludzi, którzy, gdy pominięcia siebie znieść nie mogli, ojczyznę swoję z gruntu przewracali". Mniejsza o to, że w instrukcyach sejmikowych można się co krok spotkać z poleceniem, aby posłowie wystarali się o nagrodę dla jakiegoś szlachcica, smutniejszym objawem ideowy podkład tych żądań. „Panu szafarzowi, który ze swoją szkodą w Lublinie dla Rzptej mieszkał, — pisze n. p. szlachta na generalnym sejmiku w Warszawie — niech ma zapłaty po groszu od złotego, gdyż służąc R. P. nie tracić, ale nagrodę odnieść jest rzecz przystojna i podobna".[1] To też wielu uważało za swą ciężką krzywdę, pominięcie przy nagradzaniu, lub choćby tylko mniejszy wymiar nagrody. Taki n. p. Stadnicki walczył z nieustraszonem bohaterstwem w wyprawie moskiewskiej za Stefana Batorego, ale skoro nagrody nie wypadły po jego myśli, obraził się tem i zaczął odtąd żywić nienawiść do tronu. Nie on jeden zresztą. „Jedni kontenci dziękowali — pisze o tem jeden ze współczesnych [2] — drudzy bynajmniej, ledwie czapkę zdjęli, jako Stadnicki; ten jako wściekły się gniewa, za 1000 florenów podziękował. Nabył sobie p. kanclerz miłości u jednych, u drugich nienawiści"...

Jakże dziwnie pięknie odbija od tego tła szlachetna nauka Skargi! Obowiązek miłości ojczyzny opiera na przykazaniu miłości bliźnich. „Miłość ku bliźnim im jest szersza, tym jest lepsza. Dobrze miłować sąsiada, lepiej wszytki, którzy w mieście jednem są, a pogotowiu jeszcze lepiej wszytki obywatele królestwa tego, gdy im dobrego co czynim, abo dla nich co cierpiem".[3] I zaklinał Skarga posłów sejmowych, aby dla wszystkich mieli „wspaniałe i szerokie" serca, aby nie cieśnili swej miłości „w swoich domach i pojedynkowych pożytkach", ani też w granicach jednego stanu. Z boleścią narzekał, że „jeden stan ucisnąć, a drugi podnieść chcemy: duchowny stan poniżyć i zniszczyć,

[1] Script. rer. pol. XXI. str. 153.

[2] List ks. Jana Piotrowskiego do marszałka koronnego. Polkowski. „Sprawy wojenne" p. 351. Według „Prawem i lewem". II. 326.

[3] Kaz. sejm. II.

a heretycki abo ślachecki na górze postawić niektórzy usiłujemy; kmiotki i poddane gubić, a sami sobie folgować w poborach i innych ciężarach chcemy. Nie tak bracia! źle ręce, gdy jedna chora: obie zdrowe być mają".[1] Powinna być dalej miłość ojczyzny ofiarna, aż do zupełnego poświęcenia swego życia dla dobra innych „człowiek jeden, dla pożytku pospolitego żałować się i majętności swojej nie ma". Tych, co tylko o siebie dbali i nie rozumieli patryotyzmu bez osobistej korzyści piętnował Skarga z oburzeniem: to złodziejskie serca! „Cnota nie ma być najemna, ale sprawiedliwa i skłonna do tego, co Pan Bóg i dobry rozum każe".[2] Na tę wzniosłą naukę zdobył się tylko jeden Skarga, bo nawet Modrzewski nie protestował przeciw słowom Cycerona, że „jeśliby dobrym nie płacono, abo nie nagradzano, a złych nie karano, tedy Rzpta w swej całości długo stać nie może". Jednak mimo to nie wynosił Skarga ojczyzny do jedynego ideału na ziemi. Ponad ojczyzną są jeszcze prawa Boże i tych nie wolno łamać, choćby to nawet szkodę miało państwu przynieść. Jednakże konflikt taki wydawał się Skardze niemożliwy. Jeśli Bóg rządzi światem, to niepodobna, aby grzech mógł uchodzić bezkarnie, a wypełnianie przykazań Bożych wieść do zguby.

Rzućmy teraz okiem wstecz i spytajmy, jakie spostrzeżenia przynosi nam ten ustęp? Otóż o ile poprzedni rozdział o stanowisku rządu dowodził bystrego i przenikliwego rozumu, to ten świadczy pięknie o wielkiem i kochającem sercu Skargi. Gdy kaznodzieja nasz uderzał na niesprawiedliwe prawa, stawał w obronie włościan i miast i piętnował „nieżyczliwość ludzką ku Rzpltej", to kierował nim nie tak rozum, jak uczucie i głęboka wrażliwość etyczna, serce szczęśliwe już tem samem, że się przez nie innym dobrze dzieje. Patryotyzm płynął u Skargi głównie z miłości bliźnich, był ukochaniem wszystkich członków jednego narodu, zwłaszcza katolików. Świadczy o tem choćby i to, patryotyzm opiera się w II-giem kazaniu sejmo-

[1] Kaz. sejm. II.
[2] Tamże.

wem właśnie na przykazaniu miłości bliźnich. A przytem jakże często łączył nasz kaznodzieja pojęcia „ojczyzny“ i „ludu“ albo „braci miłej“; n. p.: „Patrzcie na przykłady świętych, jako w tej miłości ku ludu swemu t. j. Rzeczypospolitej gorący byli“.[1] Stąd płynęło rozróżnienie ojczyzny „ziemskiej“ i „wiecznej“, bo i życie Polaków da się podzielić na doczesne i „nieskończone w przyszłości“. Dlatego też wolał Skarga ponieść szkodę na rzeczy tańszej niż droższej, t. j. na doczesnem szczęściu Polaków niż na wiecznem. Choć na myśl o szkodzie także tej doczesnej ojczyzny napełniała go boleścią, i w możliwość takiego konfliktu między dobrem ojczyzny a tem, co uważał za prawa Boże, nie wierzył. Ojczyzna jakkolwiek pojęcie „ludu“ było w niej zawsze wyraźne, doszła przecież u Skargi do zupełnej idealizacyi, uczucie, jakie względem niej żywi, to niby serdeczna miłość do wspólnej matki wszystkich Polaków. Miłość ta nie zajmowała naturalnie całego serca naszego kaznodziei, była w niem wielka miłość ku Bogu, ale nie wykluczała patryotyzmu, owszem łączyła się z nim: wyobrażał sobie Skarga Polskę jako wierną strażniczkę katolicyzmu, a miłość ojczyzny uważał za obowiązek religijny.

Spostrzegawczość naszego kaznodziei okazuje się w tym ustępie wcale bogatą, choć ogranicza się tylko do faktów, które mogły jego etyczną wrażliwość boleśnie zadrasnąć. Czy wszędzie był Skarga oryginalny? — trudno odpowiedzieć; niewątpliwie wiele musiał zawdzięczać własnej obserwacyi, ale mógł istnieć wpływ pewnych osób lub książek n. p. „Propozycya“ Powodowskiego. W każdym razie wszystko, o czem w tym ustępie mówiliśmy, przyswoił sobie Skarga tak bardzo, że można to za jego zupełną własność uważać. Jednak spostrzeżenia te nie zorganizowały się w całkiem jednolitą całość; są one rozsypane częściowo w VII, częściowo w VIII kazaniu sejmowem, a także w innych dziełach. Ustęp z VII kazania, mówiący o kmie-

[1] Kaz. sejm II w temże kazaniu: „Bo nie tylo majętności dla braci miłej i Rzptej nie żałować. ale i umierać winni jesteśmy“ — albo „abyś ojczyźnie i braciej swej i Rzptej służył“ etc.

ciach, wpisał Skarga dopiero w trzeciem wydaniu Kazań sejmowych.

Wypada nam wreszcie jeszcze raz stwierdzić wielką uległość Skargi dla uznanego przez siebie autorytetu. Przyłącza się do tego pewien wpływ rzeczywistości, która już przez to, że jest wydaje się naturalną i konieczną. Jednak nie sięga ten wpływ zbyt daleko. Gdzie się kończyła przewaga jednego stanu nad drugim, tam występował Skarga śmiało, najśmielej z ówczesnych Polaków, kazał dawne prawa zmieniać, oglądać się nie „na stateczność, ale na pożytek ludzki".

(C. d. n.)

Stanisław Mitera.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Chopin: Życie i twórczość. *Ferdynand Hoesick.* Nakładem księgarni F. Hoesicka w Warszawie, 1911, 3 tomy. — **Chopin jako twórca.** *Henryk Opieński.* Nakładem M. Arcta, Warszawa b. r. (1911). — **Dzieje muzyki w życiorysach.** *W. Stefanowska-Tobiczyk* i *Lesław Jaworski.* Nakł. księgarni G. Altenberga, Lwów 1911, 2 tomy.— **Ryszard Wagner.** *Zdzisław Jachimecki.* Wydawnictwo „Nauki i Sztuki". Główny skład w księgarni H. Altenberga we Lwowie b. r. (1911). — **Wspomnienia... w podróży r. 1823.** *Karol Kurpiński.* Lwów 1911.

Już ogłoszony przed kilku laty I. tom biografii Chopina przez p. F. Hoesicka pozwolił nam przypuścić ,że autor licznych prac biograficznych wyda bardzo sumienne i na nieznanych a trudno dostępnych materyałach (listach) oparte dzieło o życiu Chopina. Prędzej niż można było się spodziewać ukazała się całkowita praca trzytomowa obejmująca niemal 1500 stron, zdumiewająca mnóstwem nieznanych faktów, prostująca lub wyświetlająca poglądy błędne lub wątpliwe. Wiele miejsca musielibyśmy poświęcić, aby porównywać dzieło p. Hoesicka z jego poprzednikami. Ograniczyć się musimy do stwierdzenia, że stoi ono pod każdym względem wyżej i tworzy pracę zasadniczą, na której muszą się opierać dalsze biograficznę badania. Na ogół umiał autor wybrnąć z trudności opanowania materyału i podał swe usiłowania i rezultaty w formie dla wszystkich przystępnej. Osobiście nie jestem zwolennikiem tej realistycznej metody, która swym wyznawcom każe wtłaczać w ramy jednej i tejsamej pracy wszystkie szczegóły z życia „bohatera" biografii, jego krewnych, przyjaciół i znajomych. W ten bowiem sposób z czasem musiałaby praca biograficzna przybierać rozmiary niebywałe, a jednak pojęcia nasze o Chopi-

nie, jako człowieku nie zmieniłyby się ani na jotę. Zwłaszcza w biografii dążenie do syntetycznego ujęcia pracy podnosi jej wartość przez to, że z chwilą, gdy odpadną szczegóły drugo- lub nawet trzeciorzędnego znaczenia charakterystyka głównych „aktorów" nabiera większej plastyki i życia. Psychologiczne zaś wyzyskanie tematu jest niewątpliwie rzeczą najtrudniejszą. Gdyby nam rozchodziło się o zebranie wszystkich wiadomości z życia Chopina, to w razie szczęśliwego zbiegu okoliczności ilość tomów jego biografii nie byłaby może o wiele mniejszą niż ilość lat życia Chopina. Metodą francuską posługując się obrał autor formę opowiadania, dzięki czemu czyta się jego sumienną i niewątpliwie wyczerpującą przedmiot pracę bardzo przyjemnie i bez znużenia. To zaleta wielka. Równocześnie z życiorysem kreśli p. Hoesick dzieje krytyki chopinowskiej w miarę, jak pojawiały się jego kompozycye, oraz ustala daty powstania tychże. To zaleta jeszcze większa i zasługa prawdziwa. Największą ciekawość obudza II. tom, zajmujący się przeważnie stosunkiem Chopina do p. George Sand i rehabilitujący tę ostatnią, o ile mi się zdaje, bardzo sprawiedliwie. Tu wyświetla p. Hoesick niejeden rys charakteru Chopina, nie zawsze pour l'avantage tegoż. W ostatnich dwóch rozdziałach III. tomu zebrał autor to wszystko, co dotąd napisano o twórczości Chopina. Mimo całego uznania dla szan. autora pozwolę sobie zauważyć, że już a priori kompilacyjne traktowanie tej kwestyi przedstawiałoby nawet dla muzykologa, (którym autor nie jest) znaczne trudności, a to z tego powodu, że o Chopinie napisano dotąd niewiele pozytywnych spostrzeżeń, a daleko więcej apryogmatywnych poglądów, najwięcej zaś frazesów. Tu więc należałoby zastosować bardzo daleko idącą krytyczną ostrożność, a przedewszystkiem nie cytować licznych rozprawek i artykulików tych autorów, którzy w „cichości ducha" nietylko nie powiedzieli nic nowego lub pozytywnego, lecz nawet obce poglądy powtórzyli. Autor powoduję się zapewne kurtuazyą, której prace mniej lub więcej poważne nie wymagają. Mimo to dla muzykalnego czytelnika polskiego i ta część pracy będzie przydatną.

Treściwe objaśnienia dzieł Chopina dał p. Henryk Opieński w swej broszurze, uzupełniając to, czego brak w jego syntetycznej pracy wydanej w *Nauce i sztuce*, o której swego czasu pisaliśmy w *Przeglądzie powszechnym*. Podobnie jak p. Hoesick uwzględnia autor literaturę chopinowską i daje zupełnie dostateczny obraz twórczości naszego mistrza, nie wchodząc oczywiście w szczegóły ze względu

na to, że praca jego ma cele popularne. Polecić możemy tę sympatyczną książeczkę, z której meloman może wiele skorzystać.

Już tytuł pracy p. Tobiczyk-Stefanowskiej i p. L. Jaworskiego, „Dzieje muzyki w życiorysach", budzi pewne obawy, czy autorowie zdają sobie dobrze sprawę z tego, co mają wspólnego dzieje sztuki z życiorysami, czy wogóle wiedzą, co to są dzieje muzyki. Czytamy tom pierwszy i dowiadujemy się tego samego, co z książki H. Riemana p. t. *Geschichte der Musik nach Beethoven*, najsłabszej z prac wielkiego uczonego. Na niej bowiem oparli się (prócz niewielu ustępów) autorowie, mimo że wśród „źródeł" znajdziemy szeregi prac, nawet takich, z których autorowie czerpać nie mogli, gdyż one ani jednem słowem nie dotykają przedmiotu wyłożonego w ich pracy. Styl i mnóstwo myłek, a nawet horrendów zmniejsza wartość pracy, której niewątpliwie towarzyszą dobre chęci. Dlaczego jednakże dyletanci zajmują się tak trudną wiedzą, jak historya muzyki? Zajmowałoby to zbyt wiele miejsca, gdybyśmy chcieli choćby tylko w najogólniejszych zarysach prostować ich błędy i nieporozumienia. Drugi tom jest lepszy, ale i w nim nie brak wielkich wad; wszędzie ma się wrażenie, że autorowie piszą o kompozytorach, których wcale lub prawie wcale nie znają. O istnieniu niektórych ważnych kompozytorów (n. p. M. Reger) prawdopodobnie nie wiedzą. Wielu mniejszym talentom poświęcają po słów kilka, zdawkową liczbą wierszy obdarzają epokowych geniuszów (C. Franck, Claude — a nie Karol Debussy). Styl ich pracy wkracza albo w zakres encyklopedycznej suchości albo w przeciwieństwo tejże, t. j. w impresyę fejletonową. Jak może w dziele poważnem ustęp poświęcony Humperdinckowi zaczynać się od słów: „Mam przed sobą fotografię Humperdincka..." ?! Miejmy nadzieję, że trzeci tom opracują autorowie nieco poważniej.

Autor monografii popularnych o Haydnie i Mozarcie, opracował obecnie życie i twórczość Wagnera, wydając swą książkę w cennej publikacyi *Nauka i Sztuka*. Na podstawie całej niemal wagnerowskiej literatury (niemieckiej przedewszystkiem, oparł autor swą pracę, ujętą w syntezę dobrze przemyślaną, nie pisaną dorywczo, tak że uznać ją musimy za najlepszą z dotychczasowych prac tegoż. Przyczynia się do tego i język literacki, bardzo wymowny i zręcznie ujmujący całość tematu. Życie Wagnera łączy autor z historyą jego twórczości, co udaje mu się zupełnie. Materyał illustracyjny jest bardzo bogaty i niemal bez wyjątku odznacza się wartością artystyczną. Jako pierwszą i tak szczęśliwie udaną polską pracę o Wagnerze

możemy z uznaniem polecić czytelnikom pracę p. dra Jachimeckiego.

Tenże autor wydał z rękopisu Biblioteki Jagiellońskiej „Wspomnienia z podróży w r. 1823" odbytej przez jednego z pierwszych polskich kompozytorów operowych, Karola Kurpińskiego, współczesnego Chopinowi. Autor tego dyaryusza nie rozwodzi się tylko nad muzycznemi zdarzeniami swej podróży, przeciwnie — pisze o wszystkiem, co mogło zwrócić jego uwagę. Nie jestto rzecz niezmiernie ważna, ani ciekawa' ale zasługuje na przeczytanie.

Dr. Adolf Chybiński.

Soból i panna. — Znaj pana i inne nowele. Ostatnie powieści *Weyssenhoffa.*

„Wsi spokojna — wsi wesoła". Jakże nam do ciebie daleko i jakże wzmaga się nasza ku tobie tęsknota!

Oto nasuwająca się refleksya, gdy przeglądamy literaturę powieściową czy poetyczną czasów najmłodszych, refleksya nasuwająca drugą.

Cała nasza literatura dawna z gruntu sielskiego wyrosła i sielską była, tylko zmieniały się niejako akcessorya. Zrazu była sielską tak zupełnie, że mówić sobie o tem nie potrzebowała; to Kochanowski, Szymonowicz; potem tchnęła cała szlachetczyzną, obyczajem dworskim, wiejskim przez usta Potockiego, czy Samuela ze Skrzypny; wreszcie udając dworszczyznę, francuzczyznę, modę, stała się madrygałem, ale z poczuciem dla malowniczości trawnika i pasterzy — choćby w jedwabiach. Wreszcie poprzez pryzmat tęsknoty, ukazała wieś polską, tę, jaka jest, i tę, jaka już nie będzie w „Tadeuszu".

Nie wiem, czy kiedykolwiek ktokolwiek docenić potrafi cały ogrom piękna, jaki zamyka ta księga; ale wiem, że nieodmiennie do każdego mówić musi potężnym rytmem czar polskiej wsi z niej bijący. Nie wiem, czy ogarnięty być może jednocześnie duch postaci Robaka, i mądrość sejmikowania w dobrzyńskim zaścianku, i Gerwazego wierność a zdrada, i romantyczność satyryczna w Hrabim, i kontrast między Zosią a Telimeną, i moment historyczny i wierność poprostu poematu przez to, że pomnikiem jest tej, która była, ale jaką — choć będzie — nie będzie już nigdy — lecz sądzę, że zawsze i wszędzie każde serce polskie potrafi odczuć uroki ogrodu i lasu, żniwa i polowania, wiosennych runi polnych i odmętu puszczy.

„O czem tu dumać na paryskim bruku"

mówi Mickiewicz; oto dwa kowadła jednej bryły złota: tęsknota i miasto.

Im dalej od ojczyzny — tem jaśniejszą jest postać miłowana; im dalej od wsi — tem droższą.

— Tak i z nami.

Jesteśmy coraz mniej jednolici — coraz bardziej złożeni; coraz mniej prości, coraz bardziej skomplikowani i coraz bardziej komplikujemy życie. A pragniemy tamtego; chcemy powrotu i stwarzamy go sztucznie, *via* literatura.

Dlatego tyle wsi w naszych utworach, dlatego tyle jej pragnienia, dlatego pewne „bałamucenie się z chłopska", zapał dla... Zakopanego, górali, góralek, dlatego — nie, nie mylę się — dlatego owe zadziwiające niektórych dotąd małżeństwa artystyczno- czy literacko-chłopskie.

„Do nich nie potrzeba iść, jak do biblioteki" — a bibliotek mamy za dużo w codziennem życiu.

Mam wrażenie, że Weyssenhoffa zmęczyli „Hetmani"; że zapragnął tchu szerszego w pierś wziąć, iść samotnie daleko, ostrą wonią ziemi rozoranej upoić się, ludzi swych omotać smętkiem jesieni i ukąpawszy wszystko w słonecznych omglonych blaskach, wskazać gdzie moc jego prawdziwa i gdzie razem źródło głębokich radości dla każdego Polaka.

„Soból i panna" to przedewszystkiem szereg obrazów rodzajowych i scen pysznych: jako młodzieńcy samotnie nocą w lesie polują; jako przy sposobności uciecha się trafi w dziewczyńskiem towarzystwie; jako śniegu zaspy paniczowi zagrożą, ale mu miłe serce zaściankowej córy drogę łuczywem płonącem rozświeci; jako na głuszce polowanie się odbywa — a jako inne — na dziki; jako bażanty bukietami wzlatują, a pieściwą barwą swych piór radują oko myśliwych; i jako otrąbywanie zwycięstw leśnych i polnych odbywało się ongi — i dziś jeszcze, po zamkach i dworach.

A jest i innych momentów wiele, z tych co rozgrywają się na terenie dusz ludzkich.

Oto cicha godzina wieczoru w sadzie zaścianka, gdy usta dziewczęce chylą się bezwiednie ku ustom panicza, boć takie już chyba przeznaczenie Warszulki. Oto żałosna chwila oczekiwania, kiedy to panicz nad jezioro przyjść miał, a nie przyszedł, bo — czego nie wiedziała Warszulka — zmógł się, by jej nie splamić. Oto moment uroczysty pożegnania, w obliczu znikającej za górką bryczki, gdy me-

dalik pozostał jemu, a jej nadzieja; i tego drugiego, które już świadomie ostatniem było, jakby oboje na młodości swej bujnej pieczęć kładli: „skończona".

Jest jeszcze w powieści owej moment jeden, ważny ze względów nie tyle artystycznych, nie tylko jako trafność obserwacyi, lecz mający wartość społeczną: to rozmowa Michała z młodym, wiejskim księdzem. Ciekawych odsyłam do książki, która zresztą ma licznych czytelników — i jedynie o powtórne odczytanie prosić mogę. Żeby powiedzieć słów kilka o samej fabule — to stwierdzam nadzwyczaj trafny instynkt, który kazał autorowi przeciwstawić sobie niejako dwóch młodzieńców, w dwóch odmiennych typach: jeden bywalec, światowy, choć szczery, prostym być już nie umie, więc i uczucie Warszulki i z nią rozmowy są mu trochę... oktawami *pour passer le temps*, których piękno zresztą odczuwa w pełni. Drugi żyje polem, lasem, tu oddycha, tu działa i tu się kocha i ożeni. Nie dla niego świat Michałowy — ani go pożąda — ani znać pragnie. I dobrze jest, że przyjaźń między młodymi jest fundamentalna, lecz że niema wzajemnego zrozumienia. Jakby to powiedzieć?

Ot — Michał i Stanisław k o c h a j ą s i ę, ale się n i e l u b i ą. I tak być może pomiędzy utworami Weyssenhoffa „Soból i panna" zajmą miejsce wśród naczelnych.

Sytuacye kreślone ręką pewną, obserwacya bystra, język świetny, umiłowanie natury, nadewszystko harmonia między ludźmi, rzeczami, przyrodą, każą stwierdzić, że pisarz ten idzie ku doskonałości.

O ile jej już nie osiągnął.

Po wielkich powieściach — jak H e t m a n i, S o b ó l i p a n n a, szereg drobiazgów, niby dla okazania, że okruchy szlifowane mogą mieć przecież wartość brylancików.

Zwłaszcza jedna z nowel może do owego tytułu mieć zupełne prawo: to „Pani Teodora", nagrodzona swego czasu na konkursie *Tygodnika Illustrowanego*.

Książę Józef i jego czasy, malowane pastelowemi barwami, wspominają stosunki, żyjącej pamięcią innych dni, bohaterskich czynów, dążeń jasnych choć chmurnych.

I tym wizyom przeciwstawioną jest charakterystyka teraźniejszości, tłumów, grających wielkość ojców — jedynie sukniami. A przecież i oni czegoś czekają. Zapewne przybycia księcia Józefa, bo słusznie należy się, aby „wódz powstał z pośród nas".

Daremno. Właśnie z pośród nas — nie wstanie. „Wyroki", to życie i śmierć milionera, co marzył zawsze o uczynieniu czegoś doniosłego, ale wykonać planów (cudzych) nie był zdolny. To też marzenie rozpłynęło się w takie ot — życie na żart — i dopiero śmierci godzina przyniosła falę powagi i żądzę czynu.

Zapóźno, ważność testamentu zaczepi oczywiście rodzina, i projektowana biblioteka nie stanie zapewne nigdy.

To połowa historyi; drugą wypełnia postać przyjaciela owego milionowego pana, bujna, młodzieńcza, artystyczna natura, która jednak — znowu — na czyn się nie zdobywa. Jest talent, są warunki do tworzenia, spokój, dobrobyt — i ot — rozlazło się.

Ów Bujnicki miał być kierownikiem budowy i rozwoju owej niedoszłej biblioteki, i oto w momencie dokonania na nią zapisu, sam umiera.

Dwa cienie ludzi, którzy przemarnili życie, spotykają się na miejscu, gdzie miało stać się ciałem ich „marzenie", i czekają godnie wyzwolenia. Szereg uwag głębokich, dowcipna, czasem złośliwa charakterystyka środowiska i jednostek, czynią rzecz bardzo zajmującą.

„Dwa sumienia" i „pod piorunami", znane są ogółowi z druku w pismach peryodycznych; to utwory niejako okolicznościowe, wywołane momentem tragicznym dla chełmskiej ziemi. Napisane gładko, nie bez nuty humorystycznej i satyrycznej, nie przynoszą przecież nic nowego.

Polemizować mogłabym z autorem o zakończenie „dwóch sumień". Kobieta uchodząca za świętą niemal między ludem, nie mogłaby równocześnie spotkać się z opinią wśród służby, „że się z chłopami całuje". Choćby nawet ów bratni pocałunek, dany nędzarzowi z lasu, co spowiedź przed nią czyni, miał stu świadków. Akord ostatni zatem, jest mojem zdaniem z fałszywego tonu.

Tomik nosi nazwę pierwszej noweli: „Znaj pana", najwięcej miejsca zajmującej w książce. Pan Konopacki, oczywiście hrabią tytułowany zagranicą, zjechał do Paryża na kilkotygodniowy wypoczynek, poprostu na hulankę.

Przywiózł kilka tysięcy, które „puścić" może sumiennie, żonę i dzieci natomiast zostawił na Podolu — i oddycha szeroko atmosferą Paryża.

Nagle — pełnię światła cień jakiś zamroczył: to Polak (a jakże, i tutaj!) t. z. prezes, stary p. Marchott, przychodzi z wieczną piłą,

t. j. z kwestą na tyle a tyle potrzeb polskich w Paryżu. Dwieście franków ostatecznie ofiarować można, ale to nie dość: p. Konopacki zostaje zaszczycony misyą opodatkowania podobnie hr. Granowskiego, mającego olbrzymi majątek, a większe jeszcze zaległości w spełnianiu społecznych, narodowych obowiązków.

No — i z tego można wykrzesać iskrę jasną. Zawszeć to splendor — u Granowskiego wizyta, i że Konopackiego właśnie proszą, drugi splendor!

Misya się udała, jako przyjęcie życzliwe, nawiązanie stosunków — rezultat rzeczowy zato okazał się nader słaby. Czek ofiarowany opiewał na całe 100 franków. — „Znaj pana". Pan Konopacki drżącemi rękoma sięgnął do serdecznego zanadrza i z koperty ukrytej na piersiach dobył potrzebne prezesowi na robotniczą szkołę polską pieniądze. Cztery tysiące franków, wszystko, co przeznaczył był uprzednio na Paryż i paryżanki — „Znaj pana!"

Oczywiście należy obecnie Paryż bez zwłoki opuścić. Ale p. Konopacki dziwnie tego nie żałuje. Ani wyścigów, ani zamorskiego Katapultosa, ani klubu, obiadów, ani Emilieny czy Berty. „Nieznana fala płynęła mu przez serce", „pośród znanych murów spotykał ludzi nowych", „wesołe, nerwowe plemię uderzyło go cechami nowego życia", „każdy gdzieś dążył celowo i zdobywczo".

„I nagle poczuł serce do rodaków, nie tylko błąkających się w odmęcie cudnego życia, lecz do tamtych, co siedzieli w podłym klimacie polskim".

I wrócił.

„Znaj pana" z tych racyi, które się czyta między liniami, i z tej jeszcze, że napisał ją właśnie Weyssenhoff, może mieć znaczenie dobrego czynu. *M. Ruszczyńska.*

Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794 roku. *Wacław Tokarz.* Kraków, Ak. Umiejętności, Nakł. Funduszu Bucewicza. Str. VII+328.

Od haniebnego sejmu grodzieńskiego r. 1793 popadł kraj w ruinę ekonomiczną, a w zależność zupełną od Moskwy i skutkiem tego wytworzyła się wśród wielu atmosfera niepewności o własną egzystencyę (str.77), wzrosła liczba malkontentów, oczekujących na wybuch rewolucyi jak na burzę groźną ale sprawiającą ulgę (str. 1). Burzę tę przygotowywała na pierwszem miejscu emigracya, która weszła w żywy kontakt z rewolucyą francuską i przejęta jej zasadami

pragnęła ją przeszczepić na grunt polski. Pomijając odezwy czyto króla samego, czy Igelströma (str. 106), pomijając dalej, że i później polscy rewolucyoniści z r. 1794, pragnąc się oczyścić przed Napoleonem z zarzutów Jakobinizmu, starają się zaprzeczyć jakoby między rewolucyą francuską a polską istniał związek ściślejszy — pomijając to wszystko, fakta same mówią, gdzie należy szukać wzoru dla czerwcowych zaburzeń i egzekucyi ludowych w Warszawie; dlaczego w akcie krakowskim nie było nawet wzmianki o konstytucyi 3. maja, dlaczego emigracya nawet nie myślała całkiem o wskrzeszeniu tej konstytucyi (str. 109). Owszem, wiemy napewno, że istniał zamiar emigracyi — wykraczający daleko poza granice aktu połanieckiego — zamiar wywołania jakiejś wielkiej rewolucyi ludowej, na wzór francuskiej, poruszenia całej ludności Prus i Rosyi! (str. 110). Dowodem dalej i wielka presya rządu polskiego i rosyjskiego, by zerwać wszelkie stosunki i łączność z Francyą, ściganie wszystkich dążeń wolnościowych, jako sprzyjania i krzewienia rewolucyi francuskiej (str. 116, nast.). Że zaś polscy jakobini nie mieli tej zaciętości, co francuscy, owszem, że cechowała ich pewna miękkość później w więzieniu i śledztwie, to może raczej położyć należy na karb zniewieściałej ówczesnej epoki Augustów, nie na brak przejęcia się teoryami z zachodu (str. 137).

Wzorem więc zachodnim zaczął się organizować spisek. Kościuszko chciał wzorem amerykańskim zawiązać kluby ziemiańskie, i czekać na odpowiednią sytuacyę polityczną (str. 130) — ale samo rozgałęzienie spisku, obawa zdrady, zmusiły do szybszego działania.

Z powodu braku ostrożności rozpoczęły się w Warszawie aresztowania — przedewszystkiem w marcu 1794 r., a chociaż one spowodowały przycichnięcie spisku, jednak redukcya wojsk i wypadki krakowskie rozbudziły sprawę.

Poruszenia Madalińskiego, które w tym czasie zaszły, były błędnemi, i przeszły bez wrażenia i wpływu nawet na Krakowskie (str. 151). Warszawę budziły dopiero rozruchy i powodzenia krakowskie.

Pierwsze wiadomości o krakowskich wypadkach przyszły tutaj dnia 29. marca. Zaniepokojona nadzwyczaj niemi Rada Nieustająca, czytająca w manifeście Kościuszki wyrok przeciwko sobie, pragnęła za jakąbądź cenę uchronić stolicę od wiadomości z obozu Kościuszki, a tem samem ustrzedz ją, by nie poszła śladem krakowskiego województwa. W tych zabiegach pomagał jej naturalnie bardzo pilnie

Igelström; środkami siebie godnymi: rewidowaniem poczty listowej, wzmożeniem liczby ajentów i szpiegów. Ale i to niewiele pomagało — ustnie podawane wiadomości rozszerzały się szybciej niż pisane, i wzburzyły umysłami tem bardziej, im więcej rząd starał się je łagodzić „urzędowemi" donoszeniami w pismach o nieznacznych tylko powodzeniach a właściwie klęskach krakowskich rewolucyonistów (sic). Wiadomości te, specyalnie zaś wieść o walce z 4. IV. — dzięki też akcyi kościuszkowskich emisaryuszy w Warszawie — obudziły do życia pogrzebany już prawie spisek. Pomogła do tego niemało i panika, jaka zapanowała wśród tych ludzi, którzy mieli coś do stracenia, a którym sumienie mówiło, że na wypadek wkroczenia Kościuszki do Warszawy musieliby być karanymi.

Tymczasem wydaje król uniwersał potępiający całą rewolucyę — ale dlatego, że jest nie w porę, nie wyrzekając się bynajmniej myśli, by „Rzeczpospolita... kiedyś do swojej wróciła świetności" (str. 223) — nakazuje wojskom polskim wspólnie z armią rosyjską działać około stłumienia rewolucyi (str. 222), organizuje sądy sejmowe przeciwko oskarżonym o spisek. Ale rozporządzenia te nie pomagają, owszem powodują tem prędszy wybuch rewolucyi w Warszawie. Pułki, w których agitacya rozbudziła patryotyzm gorący, coraz więcej okazywały przychylności dla powstania: na żadnym z nich nie mógł polegać Igelström i król, nawet na swych, specyalnie sprowadzonych ułanach królewskich. Na taki teren pada redukcya wojsk. W jaki sposób ją przeprowadzano, jak redukcya przysporzyła elementu wybuchowego, opisuje to autor od str. 254 bardzo szczegółowo, korzystając z tej sposobności do omówienia ówczesnych stosunków wojskowych. Wojsko polskie jest podówczas zwolennikiem najgorętszym może reform, a zwolennikiem szczerym o tyle, że reformy te (uchwała stutysięcznej armii) podnosiły bardzo zaniedbanego dotąd polskiego żołnierza. Wojsko też, specyalnie (z okazyi redukcyi wojsk) dymisyonowani oficerowie, przygotowali ostatecznie spisek, i przeprowadzili wybuch. Opinia publiczna — może dzięki mylnym, samochwalczym pamiętnikom Kilińskiego, temu właśnie człowiekowi przypisuje wybuch i przygotowanie całego powstania w Warszawie, jest to jednak mylnem, on „był tylko narzędziem spisku" (str. 297) aczkolwiek jego popularność w powstaniu nie mogła być bez przyczyny.

Rada cywilno-wojskowa, coś w rodzaju wydziału wykonawczego spisku, wypracowała cały plan napadu na moskiewski garnizon.

Każdy oddział wojska otrzymał dokładny rozkaz i plan działania. Sam wybuch powstania w dniu 17. IV. sprowadzili przedewszystkiem sami Moskale. Pomijając to, że spiskowcy wiedzieli, iż dla Kościuszki było jedynym ratunkiem posunąć się pod Warszawę, w której powinna powstać rewolucya, to jednak i coraz głośniejsze wieści o spisku groziły nowemi aresztowaniami i wieści, nie bezpodstawne, o jakiejś projektowanej rzezi i gwałtach rosyjskich, zdecydowały ostatecznie o dniu 17. IV. Decyzya ta zapadła zaledwie na dwa dni przedtem, i stąd to można rozumieć, dlaczego Igelström, mający tak dobre wiadomości o wszystkiem, oczekujący rewolucyi już od miesiąca, przecież został niespodzianie zaskoczonym, nie spodziewał się teraz wybuchu.

Zorganizowanie i wybuch powstania w Warszawie były dziełem prawie jedynie wojska choć moment czysto ludowy całego kwietniowego powstania nie powinien może na tem ucierpieć: co innego ruch w Krakowskiem, i lud walczący, biorący udział we walce czyto na ulicach Warszawy, czy na polach Racławic, co innego spisek i sprawa zawodowa redukcyi wojsk, która odegrała w przygotowaniu rozruchów pierwszorzędną rolę.

Wśród tych dziejów przygotowującego się powstania występuje mnóstwo osobistości scharakteryzowanych tutaj bardzo wybitnie — chociaż nieraz kilku tylko liniami. Naturalnie na pierwszym planie staje Igelström, przedstawiony bardzo obszernie jako typowy niemiec w służbie rosyjskiej (str. 230); dalej spotykamy cały szereg polskich Jakobinów; (ks. Meiera i Jelskiego, Konopki), Rady Nieustającej, szpiegów i ludzi upadłych moralnie, w rodzaju Ankwicza czy Kossowskiego. Osobną uwagę zwraca autor na wybitną osobistość wśród emisaryuszy Kościuszki Maruszewskiego (str. 163), dalej na działalność duchowieństwa (str. 172) na rozliczne warstwy ludowe, o ile brały udział w ruchu (str. 187). Kilińskiemu, tak bądźcobądź wybitnemu, niewielką poświęca wzmiankę, zostawiając zupełnie tę rzecz do późniejszego omówienia. O bardzo wielu ludziach ze sfery wojskowej, znajdujemy wzmianki na str. 293, 294 przedewszystkiem.

Praca opiera się na źródłach pierwszorzędnych znajdujących się w archiwach rządowych rosyjskich: na protokołach Rady Nieustającej, Departamentu spraw zewnętrznych Komisyi policyi, aktów Deputacyi indagacyjnej, na współczesnej korespondencyi i relacyach dzienników owych czasów. Te ostatnie przedewszystkiem pozwalają uchwycić ówczesne codzienne życie, jakie wrażenia wywoływały na

ludziach wypadki owych dni, skutkiem tego też książka naukowa ma niezmiernie wiele żywych szczegółów i pozwala na dokładne odtworzenie owych czasów i ludzi.

Zaletą — jeszcze nie zawsze cenioną w naszej literaturze naukowej — bardzo wielką książki jest oprócz dokładnego spisu rzeczy alfabetyczny spis osób, bardzo obszerny i wyczerpujący.

Ks. K. Konopka.

Z piśmiennictw obcych.

De prototypo quodam romano adorationis Magorum. *Petrus Bieńkowski.* Seorsum impressum ex Commentariis „Eos", vol. XVII 1. 1911 pag. 45—56.

Zapisujemy na tem miejscu doniosły przyczynek, jaki wzniósł w jedno, a żywo dziś omawianych zagadnień archeolohii chrześć. p. Bieńkowski, prof. archeologii klasycznej na krakowskim Uniwersytecie. Mamy tu ta myśli adoracyę Dzieciątka Jezus przez Trzech Króli — scenę, tak często przedstawianą przez sztukę chrześcijańską. Spotykamy się z nią tak często, zwiedzając freski katakumb rzymskich, lub przeglądając liczne sarkofagi w muzeum lateraneńskiem. Ale nie tylko chrześcijański rzymski artysta lubował się w tej scenie. Zdobyte w ostatnich latach zabytki chrześcijańskiej sztuki koptyjskiej i syryjskiej stwierdzają również, jak często pierwotna sztuka służyła onemu szczegółowi z życia Chrystusa Pana.

Licznym tym przedstawieniom adoracyi Magów poświęcił przed dwoma laty obszerną monografię Hugo Kehrer p. t. *Die heiligen drei Könige in Literatur und Kunst*, Lipsk 1909. Jest to niezwykłej wartości dzieło, ale nie dało nam jeszcze ostatniego słowa w naszem zagadnieniu. Nauka późniejsza przyniesie jeszcze wiele poprawek. Próbą takiej poprawki jest artykuł prof. Bieńkowskiego.

Kehrer wygłosił zdanie, które zresztą było już i dawniej przez wielu wypowiadane, że artystom chrześcijańskim w charakterystyce stroju i postawy Magów w scenie adoracyi służyły za pierwowzór przedstawienia kapłanów Mithry, stojących z pochodniami lub z darami po obu stronach ofiarowanego wołu. Prawie że jedynym dowodem powyższego twierdzenia było podobieństwo uderzające stroju kapłanów Mithry i stroju Magów w scenie adoracyi. Prof. Bieńkowski

zachwiał bardzo poważnie ono tłómaczenie przez zwrócenie uwagi na zabytek sztuki rzymskiej, po raz pierwszy przez siebie publikowany. — W Rzymie w Villa Borghese znajduje się czworoboczny z białego, dość ziarnistego marmuru, postument, którego boki zdobią następujące płaskorzeźby: *a)* Uskrzydlona Victoria podąża zwycięskim krokiem na lewo, zwracając równocześnie twarz w przeciwnym kierunku; *b)* z prawego boku kroczy ku niej młodzieniec, w stroju barbarzyńskim, z frygijską czapeczką na głowie, w długiej tunice z rękawami. W rękach trzyma ozdobny krater. *c)* Z lewej strony również postać barbarzyńcy z brodą, w czapeczce frygijskiej, z wawrzynowym wieńcem w rękach, kroczy ku Victorii. O reliefie czwartego boku nie wspominamy, bo jest najwidoczniej dodany z innego zabytku.

Prof. Bieńkowski datuje ów ciekawy zabytek na wiek I. po Chr. i widzi w nim opisaną przez C. Pliniusza adoracyę Nerona przez Tiridatesa i magów czyli kapłanów z dalekiego Wschodu. Ten zatem zabytek i jemu podobne miały, zdaniem autora, służyć artystom chrześcijańskim za pierwowzór w charakterystyce Magów w scenie adoracyi Bożego Dzieciątka.

Co sądzić o tem? Najpierw, zupełnie przekonywująco obala prof. Bieńkowski zdanie Kehrera. Magowie Mithry są zazwyczaj przedstawiani w postawie spokojnej i stojącej, podczas gdy artysta chrześcijański przedstawiał Magów, kroczących ku Madonnie z Dzieciątkiem z wielkim pośpiechem, lub klęczących. Toż i dary swe niosą Trzej Królowie w rękach a nigdy nie trzymają ich w zanadrzach, jak Magowie Mithry.

Niemniej przemawiająco przedstawia się pozytywna część wywodów. Istotnie, postacie zabytku z Villa Borghese zbliżają się i strojem i ruchami i rodzajem darów niezwykle uderzająco do postaci Trzech Króli na zabytkach sztuki chrześcijańskiej. Zwłaszcza postać, opisana przez nas pod literą *c* jest jakby wyjęta, z któregoś z przedstawień adoracyi Bożego Dzieciątka. — Szkoda tylko, że nie przechowało się do naszych czasów więcej podobnych zabytków z przedstawieniem adoracyi cesarzy rzymskich przez ludy Wschodu; wówczas moglibyśmy jeszcze jaśniej zagadnienie oświetlić. A że takich zabytków było dużo, to słusznie wnosi prof. Bieńkowski z mało dotąd uwzględnianego tekstu św. Grzegorza Naz. Od siebie możemy dodać, że podobne — choć niezupełnie — dwa postumenty z przedstawieniem Maga wschodniego można widzieć w Poli w świątyni Augusta. Niewątpliwie zatem przedstawień podobnych adoracyi cesarzy było więcej w sztuce

klasycznej; mogły one zatem bardzo łatwo służyć artyście chrześcijańskiemu za model do przedstawienia adoracyi Magów chrześć. Wiadomo bowiem, że sztuka chrześcijańska, zwłaszcza w swych gorszych czasach, bardzo chętnie posługiwała się modelami dawniejszej sztuki klasycznej.

Za zapatrywaniem prof. Bieńkowskiego przemawiałby może jeszcze następujący moment. Literatura staro-chrześc. tak często nazywa Chrystusa Pana władcą, królem całej ziemi. W zabytkach sztuki występuje ta idea jeszcze częściej i namacalniej. Stąd to przedstawia się Chrystusa Pana tak często z globem ziemskim w ręku, podobnie jak cesarzy rzymskich na monetach; stąd to na dyptychach umieszcza się popiersie Chrystusa na tem miejscu, gdzie na dyptychach konsularnych umieszczało się popiersia cesarzy; stąd też na mozaikach przyobleka się Zbawcę w płaszcz purpurowy — strój zastrzeżony wyłącznie monarchom w czasach bizantyńskich. Jest zatem bardzo możliwe, że i scenę adoracyi Magów pojmowała sztuka chrześc. pod kątem owej wielkiej idei o królestwie Chrystusa Pana, by zaznaczyć, że Dzieciątko Boże, adorowane przez Magów — to Król i Władca całej ziemi. Żeby zaś tem dobitniej tę ideę Chrystusa Króla podkreślić, przejęto umyślnie ze sztuki klasycznej scenę powszechnie znaną i rozumianą — adoracyę cesarzy.

Tak więc, dzięki pracy prof. Bieńkowskiego, zyskujemy nowy punkt patrzenia na przedstawienia adoracyi Magów w sztuce chrześc.

Ks. Karol Feliś T. J.

Un Newman Russe: Vladimir Soloviev, par *Michel D'Herbigny.* Paris 1911, p. 336+XVIII.

Znakomitym filozofem rosyjskim interesowano się nieraz już i na Zachodzie, lecz dotąd poprzestawano na omawianiu poszczególnych stron bogatej jego działalności pisarskiej; wyczerpującej wszechstronnej monografii Sołowiewa nikt nie kusił się opracować. Pierwszą próbą takiej monografii jest książka O. D'Herbigny T. J., który niedawno dał się poznać i w naszym kraju, występując we Lwowie z odczytami o stosunkach francuskich.

Dlaczego autor nazwał Sołowiewa rosyjskim Newmanem? W pierwszym rozdziale przytacza pewne analogie, zachodzące między znakomitym angielskim konwertytą, a potem kardynałem, a rosyjskim filozofem; lecz te analogie nie dość, naszem zdaniem, usprawiedliwiają tytuł nadany. Natomiast to, co rzeczywiście Sołowiewa czy-

niło najbardziej pokrewnym w duchu do Newmana, nie zostało przez autora wyzyskane: mianowicie prawie w najdrobniejszych szczegółach identyczne u obydwóch pojmowanie rozwoju dogmatycznego w kościele. To niewyzyskanie tak ważnego punktu z teologii Sołowiewa, choćby nawet bez oglądania się na Newmana, stanowi ważny brak w książce O. D'Herbigny i dlatego i jego pracy za doskonałą i całkowitą monografię uważać nie można.

Ale i to, co nam dał, posiada wielką wartość. O. D'Herbigny kreśli historyę formacyi umysłu i poglądów Sołowiewa i bardzo słusznie zaznacza genetyczny związek między jego wielu poglądami, a poglądami Czaadajewa, zajmuje się następnie działalnością profesorską Sołowiewa, szkoda, że tak krótką, gwałtownie przez rządowe sfery przerwaną, przedstawia nam dalej go, jako krytyka literackiego, jako poetę, publicystę, grupuje systematycznie i rozbiera jego filozoficzne utwory, prezentuje nam w Sołowiewie niepospolitego teologa, który wielką część swej energii wkłada w zabiegi o pojednanie Kościołów, wreszcie kończy, rysując wysoce sympatyczną sylwetkę ascety w prywatnem życiu. Najwięcej miejsca udzielił O. D'Herbigny Sołowiewowi, jako teologowi i jego propagandzie idei Zjednoczenia Kościołów. Zasady i dążności Sołowiewa pod tym względem zbyt są znane, żebyśmy mieli je tutaj przypominać, uznanie wyrażamy tylko autorowi, że bardzo wyraźnie podkreślił te właśnie momenta działalności Sołowiewa, które przez jego rosyjskich biografów są albo zupełnie pomijane, albo lekceważone. W tym punkcie praca O. D'Herbigny znakomicie uzupełnia braki odnośnej literatury rosyjskiej.

Inną zaletą książki O. D'Herbigny jest jej przejrzysta jasność, tak właściwa francuskim pisarzom. Z taką jasnością została naprzykład ujętą cała filozofia Sołowiewa, zwłaszcza logika i metafizyka. Szkoda tylko, że może właśnie staranie się o tę jasność sprawiło, iż autor nie dość wyzyskał znaczenie mistycznych przeżyć Sołowiewa dla jego gnozeologii, w czem obecnie uzupełniają O. D'Herbigny rosyjscy pisarze, jak np. Ern.

Zbytnią łatwowierność okazuje autor, gdy skłania się do wiary w zapewnienia wątpliwej wartości N. Tołstoja o formalnem przejściu Sołowiewa na katolicyzm, łatwowierność zresztą, którą okazały nawet pewne polskie pisma, przyjmując bezkrytycznie opowiadania Tołstoja, choć łatwo ich wiarogodność można było sprawdzić.

Darowując autorowi zaznaczone braki, możemy śmiało zgodzić

się na to, że książka jego może jednak służyć za dobrego przewodnika dla każdego, kto chce lepiej poznać Sołowiewa. Życzyćby wypadało, by autor pracę swą dla drugiego wydania uzupełnił i udoskonalił. Do tego rozporządza wszelkiemi danemi.

Ks. J. Urban.

„La route du bonheur". *Yvonne Sarcey.* Librairies des Annales politiques et littéraires. Paris — rue A. Georges 51. — 1911. Quinzieme edition.

Szczęście — to rzecz wątła i krucha — ludzie gonią za niem, szukając go najczęściej tam, gdzie nigdy nie bywa. Wyciągają w dal spragnione ręce, nie mogąc dosięgnąć mary szczęścia, które przez ten czas, ciche i skromne, u stóp ich leży i czeka, by je podjąć, ogrzać przy sercu i do wzrostu dopomódz. Ale ludzie nie patrzą blisko siebie i tych drobnych, lecz prawdziwych okruchów szczęścia nie dostrzegając, nie umieją przetopić ich w jedną, wielką złotą bryłę.

Autorka z macierzyńską troską i uczuciem zwraca się do idących w życie młodych dziewcząt i pragnie wskazać im drogi, któremi chadza szczęście — szczęście, złożone z czystego sumienia, z radości pracy — z umiłowania ludzi i przyrody. Uczy je znaleść, a potem pielęgnować w duszy własnej, aby starczyło na życie długie, aby je rozjaśniało, aby się dwoiło, mnożyło stokrotnie, obdzielając innych, których dola szara i smutna, serce światła i ciepła spragnione.

Młodzież dzisiejsza nudzi się — odegnać tę nudę od progu duszy, to jedno z najpierwszych zadań wychowawców. Trzeba otworzyć oczy młodych na piękno życia, nauczyć kochać je jak skarb bezcenny.

W około ludzie rodzą się i umierają, radują się i płaczą — nauka święci zdobycze myśli twórczej — sztuka stwarza dzieła nieśmiertelnego piękna — przyroda napełnia się radością życia i przemawia do tych dusz młodych wspaniałością zjawisk — a one odwracają się znudzone!

Aby stworzyć sobie dolę jasną, trzeba w nią wierzyć, iść naprzód, wzwyż, usuwać przeszkody, a zamierzonego celu ani na chwilę z oczu nie tracić.

Pełen serdecznego ciepła rozdział poświęca autorka przyjaźni, inny dobroci, tej prawdziwej, głębokiej, wolnej od chwilowych poruszeń nerwów i czułostkowości, czerpiącej siły w szczerem uko-

chaniu ludzi, w poczuciu obowiązku dawania im najlepszej swojej treści duchowej.

Indyjskie przysłowie mówi, że najmniejsza kropla, zespolona z wodami oceanu, nie wyschnie, ale żyć będzie. Istnienie nasze — to taka kropla wody. Samo przez się jest atomem w nieskończoności, ale te atomy na nią się składają. Na geniusz wielkiego człowieka złożyły się przez ciąg stuleci tysiące myśli, uczuć — wchłaniane przez szereg pokoleń. Choćby więc życie nasze najskromniejszem było, godnem jest szacunku i miłowania, jeżeli u jego kresu możemy sobie powiedzieć: Pracowaliśmy wedle sił, rozwijaliśmy w sobie święty pierwiastek Dobra, dawaliśmy go innym, — jeżeli nie zdołaliśmy uczynić więcej, to dlatego, bo byliśmy tylko małą kropelką, — ale z kropli powstają oceany.

Helena Skolimowska.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Wierzę w święty Kościół powszechny. *Ks. Dr. Adam Kopyciński.* Nakł. księg. Z. Jelenia, Tarnów 1912, str. 101.

Kartki te poświęcone dziewiątemu artykułowi Składu Apostolskiego, czyta się z zajęciem i z przyjemnością, bo, jak i inne utwory autora, tak i ta książka stare prawdy podaje w szacie nowej, wolnej od wszelkiego szkolnego szablonu, a owianej ciepłem głęboko wierzącego serca. Niech się przyczynia do wzmacniania wśród naszej inteligencyi przywiązania do Kościoła świętego.

J. U.

Zbiór wykładów apologetycznych. Pod redakcyą *X. Dr. Trzcińskiego.* Poznań, nakł. księgarni św. Wojciecha 1912, str. 174.

Zbiór szkiców, napisanych przez dziesięciu różnych, przeważnie znanych już w naszem piśmiennictwie autorów, ułożony systematycznie przez wspólnego redaktora, może się nadać znakomicie tak na materyał dla apologetycznych konferencyi i pogadanek na najbardziej żywotne tematy, jak i na lekturę prywatną.

J. U.

Pisma Adama Mickiewicza, wydał, objaśnił, wstępami poprzedził *Józef Kallenbach.* Brody, 1911. Nakładem księgarni F. Westa. 16-ka. (Dotąd 4 tomy.)

Dotychczasowe tanie wydania pism Mickiewicza były mniej lub więcej nie krytyczne — i co lepsze z nich — wyczerpane. Podjęte przez prof. Kallenbacha wydawnictwo pragnie być w dobrem tego słowa znaczeniu popularnem, t. j. dostępnem dla mas najszerszych, a mimo niskiej swej ceny edycyą staranną, opartą bądź to na autografach Mickiewicza, bądź też na pierwszych wydaniach z uwzględnieniem badań krytycznych tekstu. Wstęp zwięzły do każdego tomu objaśniać ma najważniejsze kwestye, dotyczące treści i czasu powstania utworów, obję-

tych danym tomem. Wydanie prof. Kallenbacha zrywa z dowolnością i dorywczym bezładem „popularnych“ przedruków. Daje ono pisma Mickiewicza w ich chronologicznem następstwie, osiągając przez to naturalny i zgodny z rzeczywistością obraz duchowego rozwoju poety, tj. ewolucyi jego natchnień i jego techniki artystycznej, językowo-stylowej. Co więcej — roztoczy przed umysłem tego, który po raz pierwszy czyta całego Mickiewicza, obraz prawdziwy powolnego wzrostu geniusza; od prób studenckich poczynając i dochodząc przez wzloty młodzieńcze aż do arcydzieł. — Chronologicznego układu przestrzegano tutaj ściśle, tak samo dołożono możliwych starań, aby tekst był jak najpoprawniejszy z zachowaniem wszelkich właściwości poetycznych języka Mickiewicza.—Po raz pierwszy weszły w skład wydania popularnego nieznane dotąd utwory młodociane Mickiewicza, wydane w „Archiwum Filomatów“, jak nie mniej przemówienia i wiersze z obchodów imieninowych (naturalnie tylko najcharakterystyczniejsze). — Szata zewnętrzna wydawnictwa skromna, ale artystycznie bramowana ozdobami rysunku St. Pichora. Każdy tom zdobny w podobiznę Mickiewicza z tych lat, do jakich odnoszą się utwory umieszczone w danym tomie.

Zet.

Henryka Pustowójtówna. Sylwetka biograficzna; 1838—1881. *Fr. Rawita-Gawroński* Lwów. 1911. 8-ka; str. 40.

Po wydaniu „Roku 1863 na Rusi“ pozostał zasłużonemu historykowi obfity materyał, niezużytkowany wcale lub bardzo mało z powodu zbyt ściśle określonego planu pracy. Pozostało raczej dużo ubocznych niejako tematów, które domagały się osobnego opracowania. Na początek otrzymaliśmy wymienioną rozprawę o jednej z najpiękniejszych i najciekawszych postaci, co — mimo słabych dłoni — nie wahała się chwycić za szablę. Z licznego szeregu niewiast, których uczucie patryotyczne dosięgło wysokiego napięcia. Henryka Pustowójtówna nie ostatnie zajęła miejsce. Tem więcej należało się jej dokładne rozpatrzenie biograficzne, jako że imię jej i pamięć otaczają z jednej strony lekceważenie lub nawet oszczerstwa, a z drugiej — legendy idealnego poświęcenia się i bohaterstwa. Wszystko to splątało się w węzeł zagadek, tembardziej zagmatwany, bo należała do rodziny, w której krew polska mieszała się z rosyjską.

Kwestyi spornych powiodło się p. Rawicie - Gawrońskiemu rozstrzygnąć kilka. Stwierdził ponad wszelką wątpliwość: rok narodzin Pustowójtówny, wyznanie rzymsko-katolickie (Rosyanie uważają ją za prawosławną), wydobył ciekawe szczegóły o jej rodzeństwie, z których na uwagę zasługuje brutalstwo brata Pustowójtówny, okazywane więźniom politycznym z r. 1863 w fortecy kijowskiej, o jej ojcu, zmuszającym dziecko do uczęszczania do cerkwi. Barwnie nakreślono tutaj udział młodej panienki w manifestacyach narodowych, dzięki czemu została skazana na wygnanie do klasztoru prawosławnego, co równało się skazaniu na śmierć mniej lub więcej powolną, oraz ucieczkę jej za granicę. Najwięcej miejsca poświęcił autor opisaniu czynności Pustowójtównej w powstaniu, rozpraszając plotki, jakich nie szczędzono bohaterce pomawianiem jej o romans z Langiewiczem. Koleje tułactwa emigracyjnego, zakończone małżeństwem z drem Lewenhardem i zgon niespodziewany mogą rozrzewnić nawet najtwardsze serce.

Zet.

Die Fülle der Gnaden. Ein Handbuch der Mystik. Von *August Poulain S. J.* Freiburg, Herdersche Verlagshandlung, 1910. Tom I. str. XXII + 416, tom II str. XIV + 462.

We francuskim oryginale dzieło to p. t. *Des grâces d'oraison*, w kilku latach doczekało się 6 wydań i zasłużyło sobie na pochwały wielu biskupów i Ojca św. Piusa X. W teologii niema działu trudniejszego nad zagadnienia teologii mistycznej. Jest to pole, na które tylko niewielu uczonym bezpiecznie zapuszczać się można. Jeżeli się bowiem stany mistyczne duszy ściśle odgraniczy od zwyczajnego życia łaski, a mistykę od ascetyki, jak to przejrzyście uczynił O. Poulain, to całe traktowanie zagadnień mistycznych musi się oprzeć nie na powszechnem doświadczeniu ascetycznem, ale na wyznaniach tych stosunkowo niewielu uprzywilejowanych dusz, które miały szczęście owych wyższych sposobów zjednoczenia się z Bogiem już na tej ziemi doświadczyć. Przedrzeć się przez pisma takich wybrańców wszystkich czasów, wyrażenia ich i opisy, często o własnej terminologii, sprowadzić do jakiejś jedności, oprzeć na tem teoryę owych stanów mistycznych duszy, podać pewne reguły odróżniania stanów wywołanych specyalną łaską Bożą od stanów chorobliwych, od różnych złudzeń — oto trudne zadanie, jakie postawił sobie autor podręcznika mistyki. Ścisłość teologiczna, trzeźwość sądu aż do pewnej surowości posunięta, ogromna erudycya i bezstronność historyczna, nie ukrywająca przed czytelnikiem błędów i złudzeń, jakim nawet święci niekiedy ulegali — oto cechy, zalecające tę książkę. Choć stany mistyczne, jakie są przedmiotem tego dzieła, są dość rzadkie w Kościele, a przytem nie przedstawiają z siebie stopnia doskonałości, do któregoby pewnymi wysiłkami dojść można, mimo to podręcznik A. Poulaina może czytać z wielkiem zainteresowaniem i nie z mniejszym pożytkiem każdy kapłan, a nawet wykształcone osoby świeckie, interesujące się objawami życia wewnętrznego. Zwłaszcza literaccy krytycy-psychologowie znaleźć mogą niejedną do swych celów wskazówkę, a jeszcze bardziej przestrogę, by w omawianiu przeróżnych nastrojów i natchnień, wizyj, poetycznych nie utożsamiali ich z tym mistycyzmem, który zna Kościół i o którym traktuje teologia katolicka.

J. U.

Euchiridion liturgicum in asum clericorum et sacerdotum in sacro altaris ministerio, collegit *Josephus Erker*, editio altera, Labaci 1910, pag. 503. Cena 4 K. 60 h.

Po łacinie napisany ten podręcznik liturgiczny dla duchowieństwa traktuje o wszystkich częściach Służby Bożej publicznej. Zaletą jego jest zwięzłość przy jasności i systematyczności, jako też wykorzystanie wszystkich, aż do najnowszych, dekretów Stolicy świętej w kwestyach liturgicznych.

J. U.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Walne zgromadzenie katolickie w Krakowie.

Niedawno założona Polska Rada Katolicka, będąca wyrazem centralizacyi związków katolickich Krakowa, zwołała w niedzielę palmową do sali Sokoła pierwsze walne zgromadzenie. Przepełniona sala i cały przebieg wiecu wykazały, że doprowadzając do centralizacyi sił, akcya katolicka znajduje się na dobrej drodze. Hasło: Katolicy Polacy łączmy się! znalazło posłuch i zrozumienie u wszystkich warstw społeczeństwa katolickiego. Już samo poczucie siły wśród uczestników, które tak liczne i z entuzyazmem podjęte zgromadzenie musi w nich wywołać, jest cennym zyskiem dla dobrej sprawy; co zaś może jeszcze ważniejsze, to uświadomienie sobie, że usiłowania choćby najszlachetniejsze jednostek albo pojedynczych organizacyi nie mają widoków szerszego wpływu i pożytku, jeśli nie nastąpi ściślejsze porozumienie się i zjednoczenie wszystkich sił w interesach wspólnych podstawowych, w kwestyach żywotnych kościoła i narodu.

Świetne zgromadzenie zagaił mową zasłużony Radca dworu prof. Dr. Wicherkiewicz, prezes Pol. Rady Kat. Była ona treściwą odpowiedzią na zapytanie: Czego od nas katolików wymaga duch czasu i o ile jego wymaganiom mamy odpowiedzieć? Gorącą wiarą i wielkiem uwielbieniem dla kościoła przejęte słowa prezesa, piętnowały niemoralność i bezbożność dni na-

szych i wzywały obecnych do wspólnej i zgodnej pracy nad odrodzeniem społeczeństwa w duchu zasad Chrystusowych. Znaczenie tej wspólnej akcyi i łączności katolików dla kościoła i narodu podniósł w znakomitym referacie Radca wyższego sądu kraj. Dr. E. Schnayder.

W dyskusyi zastanawiano się nad najgłębszemi ranami naszej doby: nad szerzącą się pornografią, nad antyreligijną i antyspołeczną agitacyą, uprawianą wśród młodzieży, przyczem Radca szkolny p. A. Mazanowski wygłosił cenny referat, w którym wskazał na znaczenie obrad wiecu monistów w Hamburgu i z nim wiążącą się destrukcyjną agitacyą Dr. Augustyna Wróblewskiego, misyonarza monizmu. Podnoszono potrzebę wydatniejszej pracy społeczeństwa w celu podniesienia stanu robotniczego, oraz piekącą konieczność stanowczej obrony przed plagą żydowską. W odpowiednich rezolucyach powierzono komitetowi Polskiej Rady Kat., aby obmyśliła środki zaradcze i sposób ich wykonania.

Trudno w tem poważnem zgromadzeniu 50 związków katolickich Krakowa, nie upatrywać zapowiedzi lepszej przyszłości dla akcyi katolickiej w naszym kraju, szczególnie, jeżeli się uwzględni, że Rada Pol. Kat. zamyśla z czasem objąć organizacye katolickie całego kraju i połączyć się z Unią katolicką całej Austryi. O historyi dotychczasowej Pol. Rady Kat., o zamierzonem zjednoczeniu katolickiem w Austryi i o regulaminie P. R. K. poucza nas broszurka pod tytułem: Polacy katolicy łączmy się! Była to myśl szczęśliwa tą drogą zaznajamiać szersze warstwy z przewodnią ideą P. R. K. i w ten sposób starać się o spopularyzowanie jej jak najrozleglejsze. Zaraz pierwsze walne zebranie okazało, że sposób był praktyczny. Z broszurki tej pozwalamy sobie wyjąć słowa, które Dr. Edward Schnayder umieścił w swoim referacie o potrzebie łączenia się katolików do wspólnej działalności: „Akcyi katolickiej nie możemy pozostawiać tylko duchowieństwu i wygodnie na jego barki wyłącznie zwalać tę pracę. Duchowieństwo samo sobie zostawione rady nie da, ksiądz nie jest w stanie dotrzeć wszędzie i bezwarunkowo potrzebuje pomocy świeckich. Kiedy miasto w oblę-

żeniu, a załoga wojskowa nie wystarcza do obrony, mieszkańcy-patryoci nie ociągają się z ofiarowaniem swych rąk ku pomocy". Zamienić tę myśl w czyn i do czynu natchnąć szerokie warstwy społeczeństwa, będzie zaszczytnem zadaniem Pol. Rady Kat.

Położenie katolików belgijskich.

Byliśmy przyzwyczajeni uważać Belgię za kraj, w którym katolicyzm znajduje się w zadziwiającym rozwoju swojej działalności na każdem polu. Tymczasem raz poraz zaczęły odzywać się głosy w prasie, które dawały do zrozumienia, że raczej należy mówić o upadku katolicyzmu w Belgii. Przytaczano nawet pewne fakta, mające świadczyć o rozkładzie wśród katolików belgijskich. Trudno było dla mniej obeznanych z stosunkami belgijskimi stwierdzić prawdę tej opinii, dlatego cenne są w tej kwestyi objaśnienia lowańskiego profesora uniwersytetu Maurycego Defourny'ego, ogłoszone w *Oxford and Cambridge Reviev*, które jasno wykazują bezpodstawność owej opinii.

Odnośnie do utraty kilku mandatów, jaką poniosła polityczna partya katolicka w Belgii, zwraca Defourny uwagę na fakt, że od roku 1900 został w większych miastach zaprowadzony proporcyonalny system wyborczy i zawarty sojusz między liberałami i socyalistami, co spowodowało wprawdzie utratę kilku mandatów, ale liczba głosów katolickich bezustannie rośnie. Zresztą fałszywem jest wnioskować z upadku kilku mandatów katolickich o upadku katolicyzmu i z tego względu, że liczba praktykujących katolików jest o wiele większą, aniżeli zwolenników partyi katolickiej, t. j. katolików dostatecznie politycznie uświadomionych. Bo rzeczywiście zdarza się, że jakaś liczba katolików z poczucia pewnej solidarności oddaje głos na kandydata socyalistę, albo dla pewnych tradycyi i względów towarzyskich na kandydata liberała.

Najlepszym dowodem rozwoju katolickiego w Belgii jest statystyka szkoły. W Belgii istnieją dwa typy szkół ludowych: wyznaniowe i bezwyznaniowe. Pierwsze są prowadzone w duchu katolickim i znajdują się głównie po wsiach i w mniejszych miastach; bezwyznaniowe zaś znajdują się tylko w wielkich

miastach i w okręgach przemysłowych, gdzie przeważają socyaliści. Otóż okazuje się, że $^3/_4$ dziatwy w całej Belgii uczęszcza do szkół wyznaniowych, a tylko $^1/_4$ pobiera naukę w zakładach bezwyznaniowych. 31 grudnia 1910 r. uczęszczało 929.347 dzieci do szkół ludowych. Z tych wypada na szkoły wyznaniowe 733.987 a na bezwyznaniowe tylko 195.360 dzieci.

Podobny rezultat wykazują szkoły średnie. Państwo, prowincye i gminy utrzymują 170 szkół bezwyznaniowych, do których uczęszcza 35.656 uczniów, kiedy tymczasem katolicy posiadają 453 szkół średnich z liczbą 66.649 uczniów.

Dwa państwowe uniwersytety w Gent i Lüttich liczą 3880 słuchaczów imatrykulowanych, z nich 1000 cudzoziemców. Tu trudno skonstatować liczbę praktykujących katolików. Za to katolicki uniwersytet lowański liczył w roku 1909 imatrykulowanych 2510 słuchaczy, podczas gdy wolnomyślny uniwersytet bruxelski w tym samym czasie liczył tylko 1236 słuchaczy. Cyfry te wykazują jasno, że większość katolików belgijskich dba sumiennie o dobro i przyszłość religii katolickiej w kraju i uważa ją za potężny czynnik w życiu publicznem.

Profesor Defourny zastanawia się także nad socyalną i charytatywną akcyą katolicką w Belgii i wykazuje, że organizacye zarówno flamandzkie jak i walońskie ograniczają działalność socyalistów na miasta i środowiska przemysłowe, a nie dopuszczają ich na wieś; w miastach zaś i w środowiskach przemysłowych przeciwdziałają agitacyi socyalistycznej organizacye takie jak: Liga demokratyczna, licząca 200.000 członków, chrześcijańskie związki zawodowe, mające 50.000 członków, narodowy związek chrześcijańskich stowarzyszeń, liczący więcej niż 500.000 członków, patronaże, gromadzące około 175.000 młodych ludzi i wiele innych organizacyi katolickich.

Wiadomość więc o coraz większym upadku katolicyzmu w Belgii jest bajką. Obecnie cała walka obraca się około szkoły, co wobec podanej statystyki szkolnej jest rzeczą zrozumiałą. Liberalni i socyaliści widzą dobrze, że na tem polu leży siła i przyszłość katolickiej Belgii. Przyszłość pokaże, po której stronie stanie zwycięstwo.

Nowe zawikłanie w łonie kościoła ormiańskiego w Turcyi.

Donieśliśmy już na innem miejscu o zatargach carogrodzkiego katolikosa Mgra Terziana ze zgromadzeniem narodowem, powstałych stąd, że ostatnie przywłaszcza sobie za wielką ingerencyę w rządach kościelnych. Widocznie katolikos ma słuszność za sobą, kiedy Rzym stanął po jego stronie. Na niedawno odprawionym synodzie ormiańskim w Rzymie Pius X gorąco zajął się sprawami kościoła ormiańskiego; należało się spodziewać, że powaga Papieża położy kres wszelkim waśniom i nieporozumieniom carogrodzkim. Tymczasem sprawa wzięła gorszy obrót. Rządowi młodotureckiemu zależy na tem, aby osłabić siłę i znaczenie innych wyznań w kraju i dlatego chętnie popiera każdą schyzmę w ich łonie. Już bardzo niechętnem okiem patrzał rząd na synod rzymski, a gdy po powrocie katolikosa do Carogrodu spór się wznowił, rząd skorzystał ze sposobności, ogłosił energicznego katolikosa za pozbawionego swego urzędu i wzywa zgromadzenie narodowe do wyboru następcy, narodowości tureckiej. Z duchowieństwa ormiańskiego, z wyjątkiem biskupa z Malacyi, nikt nie był obecny przy odczytaniu ukazu rządowego, gdyż delegat papieski Sardi osobnym cyrkularzem oznajmił, że każdy duchowny czy świecki stosujący się do rozporządzeń rządu zostanie exkomunikowany. Grozi więc na dobre schyzma w kościele ormiańskim, a ponieważ rząd oświadczył się za zgromadzeniem narodowem, przeto niema nadziei, żeby ono od swych pretensyi ustąpiło. Wobec tego Rzym znalazł się w bardzo trudnem położeniu. Powaga ostatniego synodu i papieskiej decyzyi wymaga, aby nie ustępować żądaniom zgromadzenia narodowego, grożąca zaś schyzma radzi coś innego. Duchowieństwo ormiańskie stoi po stronie katolikosa, wśród świeckich zaś zdaje się przeważać opozycya. Z tego wszystkiego widać, że autonomia taka, jaką rząd turecki przyznał różnym wyznaniom chrześcijańskim w państwie, jest mieczem obosiecznym, zwłaszcza, że na Wschodzie bizantyńska uległość wobec rządu może łatwo sprowadzać konflikty. Katolikos Terzian nie wygląda na człowieka, któryby łatwo miał złożyć broń przed trudnościami, więc z ciekawością oczekujemy, jaki obrót

weźmie ta gorsząca sprawa i czy energiczne wystąpienie Rzymu zdoła przywieść zgromadzenie narodowe do upamiętania.

Skutki religijnego upadku Francyi.

Biedna Francya, która sądziła, że bez Boga i Kościoła sama da sobie radę, w coraz rozpaczliwszem znajduje się położeniu. Objawy najdzikszego bandytyzmu wzrastają gwałtownie, a że współczesny bandyta umie zręcznie korzystać z najnowszych wynalazków, przeto policya francuska niejednokrotnie zaczyna się okazywać bezradną wobec mnożących się gwałtów publicznych; na wojsku polegać nie można, bo karność jego bardzo podminowana duchem socyalistycznym i rewolucyjnym wśród żołnierzy. Jeszcze większym kłopotem jest wciąż malejąca liczba ludności, która dotkliwie odczuwać się daje wobec wzrastającej potrzeby pomnożenia wojska. Ale geniusz Francyi nie rozpacza. W ostatnim czasie zrobiły patryotyczne niewiasty francuskie rządowi propozycyę, aby zaprowadził krzyż legii honorowej dla macierzyństwa. Senator Ariège, któremu powierzono referat o rzeczonej propozycyi, orzekł, że zaprowadzenie krzyża legii honorowej dla macierzyństwa z pensyą roczną dla matek licznej rodziny, odpowiada zupełnie gustowi Francyi, która lubi wyróżnienia. Ponieważ zaś żądana pensya nie przedstawia wielkiej sumy i nie obciąży zbytnio budżetu, przeto sądzi, że petycya powinna być uwzględniona i przekazana ministerstwu spraw wewnętrznych do dalszego załatwienia. Czy ta nowa lex Julia francuska zastąpi dostatecznie brak religijnych przekonań i zagwarantuje większą moralność w małżeństwach, o tem po smutnych doświadczeniach upadającego państwa rzymskiego słusznie można wątpić. Tylko głębokie przekonanie religijne i silne pragnienie spełnienia prawa bożego we wszystkiem są w stanie zmusić rodziców w najtrudniejszych warunkach wziąć na siebie ciężar wychowania licznej rodziny. Rosnący upadek narodu zmusi kiedyś Francyę do szukania pomocy w kościele, który obecnie znajduje się jeszcze ciągle w stanie prześladowania.

Są też i wśród katolików francuskich pewne niepocieszające objawy. I tak jedna z największych gazet francuskich,

która wielkie położyła zasługi około obrony Kościoła, choć może w ostatnim czasie zajmowała zbyt skrajne stanowisko, *Univers*, organ sławnego Venillota, z powodu kłopotów finansowych przeszła w inne ręce. Wprawdzie jej katolicki charakter i nadal jest zagwarantowany, ale katastrofa tak zasłużonej gazety wskazuje, że w łonie katolickiego obozu Francyi dość silny istnieje ferment i nie dozwala na poprowadzenie bardziej stanowcze sprawy katolickiej.

Katolicki Kościół w Stanach Zjednoczonych.

W kraju dolarów i interesu — rzecz dziwna! — kościół katolicki wciąż zyskuje na znaczeniu. Dygnitarzom kościelnym oficyalne oddaje się hołdy i prezydent Taft raz po raz występuje z publicznymi oświadczeniami o wielkim szacunku dla zbawiennej pracy Kościoła. W ostatnim miesiącu znowu szeroko zajmowano się tą działalnością i gazety najrozmaitszych odcieni umieszczały długie artykuły w tej sprawie. Okazyę do tego dały rekolekcye, które odbywały się w poście po większych miastach Stanów Zjednoczonych. Wielkie zwłaszcza wrażenie wywarły konferencye postne O. Vaughana w katedrze nowojorskiej o chrześcijaństwie i socyalizmie. *New Jork Times* tak między innemi pisze: Nie było dość miejsca, aby pomieścić masy cisnące się do katedry św. Patryka na kazania O. Vaughana. Jego wpływowi przypisują nawrócenie się szwagrowej prezydenta Tafta do katolicyzmu. Wobec stosunków społecznych i ekonomicznych Ameryki północnej nie dziw, że zestawienie ich ze zasadami chrześcijaństwa przez znakomitego kaznodzieję wielkie musiało wywołać zajęcie. O. Vaughan jasno przedstawił słuchaczom, że obecne położenie Unii albo domaga się dla sanacyi stosunków powrotu do zasad chrześcijańskich, albo prowadzi do wątpliwego bardzo raju socyalistów.

Tak samo szerokimi komentarzami zaopatrywano po gazetach postne kazania innych kaznodziejów, jak n. p. Mgra Brauna o niemoralności teatru i dzisiejszych tańców, albo Benedyktyna w Brooklynie o zbytnim przepychu doby obecnej, albo kazania w Chicago na temat wyludnienia i jego przyczyn.

Materyalistyczne Stany czują, że brak im siły równoważącej zgubne wpływy materyalizmu i coraz więcej zaczynają upatrywać jedyne zbawienie w potężnym wpływie prawdy chrześcijańskiej.

Ks. A. Starker.

Międzynarodowy ruch kobiecy katolicki.

Pół wieku mija odkąd ruch kobiecy coraz to żywszem bije tętnem. Złożyły się na to różne przyczyny, przyczyny tak doniosłe, że każda kobieta naszej epoki powinna się niemi zająć i starać się poznać zasadnicze linie wytyczne tego ruchu. Patrząc na postępy i rozwój ruchu kobiecego w wszystkich krajach ziemi, śledząc ujawniające się coraz silniej skutki tego ruchu, przyjść musimy do przekonania, że w grę tu wchodzą nie idee i dążenia osób poszczególnych, lecz, że początków tego ruchu szukać należy w przyczynach poważnych i faktach żywiołowych. Stosunki gospodarcze stworzone rozwojem maszyn i wielkiego przemysłu, a co za tem idzie pracą zbiorową, nadto zmiana zapatrywań i obyczajów wywołana prądami duchowymi, stojącymi w służbie życia praktycznego, sprawiły, że pod względem gospodarczym i społecznym począł się usuwać z pod nóg kobiety jej dotychczasowy grunt życiowy, a przed jej oczyma nowe zaświtały widnokręgi.

Początki organizacyi kobiecej w Niemczech przypadają na rok 1865, a już w roku 1894 liczba rozmaitych stowarzyszeń kobiecych była tak wielką, że można było założyć „Związek stowarzyszeń kobiecych niemieckich“ (*Bund deutscher Frauenvereine*), liczący dzisiaj około 40 zjednoczeń.

I inne kraje nie pozostały w tyle. W roku 1888 wyłoniła się w Ameryce myśl założenia „rady kobiecej międzynarodowej“. Rada ta, znana dzisiaj powszechnie pod imieniem „związek kobiecy światowy“, liczy obecnie 22 związków narodowych, które się do niej przyłączyły i oznacza zespół około 10 milionów kobiet. Rada ta głosi swoją neutralność i pragnęłaby zagarnąć pod swoje skrzydła stowarzyszenia kobiece wszelkich odcieni. Ponieważ jednak niestety w przeważnej liczbie krajów kobiety obozu liberalnego, czy też nawet niereligijnego wcześniej i lepiej się zorganizowały, aniżeli kobiety

katolickie, jasną jest przeto rzeczą, że one to tworzą miarodajny czynnik w tym związku światowym.

Łączenie się kobiet katolickich w stowarzyszenia postępywało żółwim krokiem.

Dopiero w początkach bieżącego stulecia założono stowarzyszenia, nawołując do pracy społeczno-karytatywnej na wszystkich polach i stworzono tem samem ruch kobiecy, oparty na katolickich zasadach.

W roku 1903 założono w Niemczech Związek kobiecy katolicki, którego celem jest: „Skojarzyć ku celowemu współdziałaniu czynność stowarzyszeniową niemieckich kobiet katolickich, objawiającą się na najrozmaitszych polach, objaśniać kobiety o współczesnych kwestyach, obchodzących ród niewieści i skłonić je do pracy nad rozwiązaniem tychże zagadnień w myśl światopoglądu katolickiego, a to w drodze czynności społecznej i dobroczynnej".

W tymże roku powstała „liga patryotyczna francuska" (*Ligue patriotique des francaises)* stowarzyszenie o wzorowej organizacyi, liczące dziś już pół miliona kobiet, a jego to głównie zasługą, jeśli w znękanej walkami Francyi zdołały się ostać po dzień dzisiejszy wiara i obyczaje. W Anglii kobiety katolickie dopiero w roku 1907 się zorganizowały, tworząc związek kobiecy, liczący dziś okrągło 6000 członków. Związek ten poczyna już odgrywać ważną rolę w życiu publicznem.

Równie dawną — czy też właściwie równie młodą — jest organizacya kobieca katolicka w Austryi, obejmująca obecnie kraje koronne Dolnej Austryi, Styryi, Solnogrodu, Tyrolu, Czech, Galicyi i Śląska. Organizacya ta zyskała wiele na znaczeniu i powadze także i poza granicami kraju, odkąd urządziła „Pierwszy ogólno-austryacki zjazd kobiecy", odbyty w roku 1910.

Na ziemiach polskich od całego szeregu lat pracuje wiele Związków katolickich kobiecych, między innymi w Galicyi Polski Związek Niewiast katolickich, który od 11 lat swego istnienia obejmuje coraz szersze pola pracy społecznej.

Dzisiaj istnieją już związki kobiece katolickie, większe lub mniejsze, wszędzie, gdzie żyją katolicy. Nawet młoda Portugalia poszczycić się może młodą, ale dzielną organizacyą kobiet. Toteż z szybkim wzrostem i rozwojem tych stowarzyszeń, zjednoczeń, organizacyi i związków, wyłoniła się naturalnie myśl stworzenia katolickiej in-

stytucyi, któraby przeciwdziałała dążeniom liberalnego związku światowego kobiet.

Inicyatywa wyszła z łona ligi patryotycznej francuskiej, która w sierpniu 1910 r. zaprosiła związki kobiece katolickie wszystkich krajów do wysłania delegatów na wspólne obrady w Brukseli. Jedenaście organizacyi, między temi austryacka poszły za tem wezwaniem, a wynikiem obrad było założenie „międzynarodowej ligi związków kobiecych katolickich“ o wspólnym sekretaryacie generalnym z siedzibą w Paryżu przez pierwszych lat pięć.

W lecie roku 1911 w czasie kongresu Eucharystycznego zebrali się w Madrycie delegaci, reprezentujący już 20 organizacyi, między nimi i polski Związek Niewiast Katolickich.

W roku bieżącym zbierze się międzynarodowy zjazd delegatów w Wiedniu, a mianowicie znowu w czasie kongresu Eucharystycznego, obrady jednak delegatów rozpoczną się kilka dni przed obradami kongresu (prawdopodobnie 7 września) tak, że najpóźniej do dnia 12 września będą one ukończone, a delegaci będą mogli wziąć udział w kongresie.

Program tegorocznego zjazdu delegatów ułożony już został w głównych zarysach w Madrycie t. zn. rozdzielone zostały na poszczególne kraje następujące referaty: „Obecne prądy nieprzyjazne wierze“. „W jaki sposób może się przyczynić międzynarodowa liga do podniesienia poziomu sceny?“ „Co mogą uczynić związki kobiece dla utrzymania nauki religii w szkołach *a*) tych krajów, w których nauka ta jest jeszcze obowiązkową? *b*) w tych krajach, w których naukę tę usunięto?“ „Jaką powinna być nauka wyższa dla dziewcząt, by ich wiara nie była zachwiana?“ „Sprawa organizacyi robotnic“. „Sprawy organizacyjne“. „Współczesna moda, jako czynnik demoralizujący obyczaje“. Referaty wygłoszone będą częściowo w języku niemieckim, częściowo w języku francuskim. (W wypadku ostatnim doręczony będzie słuchaczkom przekład niemiecki). Nad każdym referatem przeprowadzoną będzie dyskusya.

Prócz zgromadzeń publicznych, na które wydawane będą bilety wstępu, odbędzie się także kilka poufnych posiedzeń, w których wezmą udział tylko delegaci, a na których toczyć się będzie dyskusya nad zagadnieniami organizacyjnemi ligi międzynarodowej.

Trzeci międzynarodowy zjazd związków kobiet katolickich, jak już z programu obrad wynika, będzie wysoce interesujący i oddziała użyźniająco na całokształt katolickiego życia kobiecego wszystkich

krajów. Zjazd ten będzie nowym węzłem między tysiącami kobiet katolickich, które dzięki tej organizacyi tworzą niejako jedną całość. Kobietom tym przyświeca jeden tylko cel: mężna i nieznająca żadnych trudności walka o najświętsze dobra, jakiemi są, wiara, obyczaje i rodzina; uznały one również za swój obowiązek wspierać, chronić, oświecać i ratować pracujące i zarobkujące swe siostry.

Grecko-madyarska Cerkiew.

Surma bojowa szowinizmu madyarskiego zwołuje coraz liczniej swe zastępy do walki o „narodową grecko-madyarską Cerkiew". Walka ta już rozpoczęta i to z większą zawziętością niż lat temu dwadzieścia, gdy magnat Szabó Elmér był głównym poplecznikiem podobnego, po raz pierwszy powziętego zamiaru. Dzisiaj wszystkie węgierskie stronnictwa polityczne domagają się stanowczo założenia nowej prowincyi kościelnej obrządku grecko-katolickiego, ale z językiem madyarskim. Minister oświaty, hr. Zichy zaznaczył nawet publicznie, że uskutecznienie tego projektu uważać należy za główne zadanie obecnego rządu. Dzienniki skrajne ogłaszają bezustannie domniemane postanowienia episkopatu, nuncyatury i Stolicy św. W budżecie państwowym wyznaczono sumę 240.000 kor. na tłumaczenie ksiąg liturgicznych greckich. *Budapesti Hirlap*, organ rządowców, nie może się powstrzymać od radości na myśl, że „za kilka miesięcy język madyarski rozbrzmiewać będzie zwycięsko przy ołtarzach, a tysiące madyarów sławić będą mężów, którzy im wywalczyli uprawnienie liturgiczne narodowego języka w państwie madyarskiem".

Aczkolwiek, zdaniem naszem, jeszcze daleko do urzeczywistnienia tego marzenia, to przecież sama myśl wzmocnienia i pomnożenia żywiołu narodowego przez nagłe zmadyaryzowanie kilku milionów katolików obrządku greckiego uśmiecha się „Alkótmany'emu" i dobrze myślącym Węgrom. W pierwszym rzędzie postanawia program akcyi rządowej zaprowadzenie liturgii w języku madyarskim w przeszło stu parafiach ruskich dyecezyi Munkaczu i sąsiedniej, oraz w liczniejszych jeszcze parafiach rumuńskich unickich dyecezyi W. Waradynu i Gherly, w których jako język towarzyski, mniej więcej przeważa język węgierski. Później ma przyjść kolej na zmadyaryzowanie wszystkich innych parafii obrządku wschodniego na

Węgrzech. Nie tają się też z celem swej reformatorskiej akcyi: to cel czysto polityczny, mianowicie wynarodowienie i zmadyaryzowanie obcych sobie narodowości.

Doświadczenie wiekowe przekonywuje nas jednak, że podobne, podstępne usiłowania prowadzą zwykle do wbrew przeciwnych wyników. Ta sama obawa zachodzi, jak słusznie zauważył Zichy z początkiem bieżącego roku, w obecnej kampanii prowadzonej pod zasłoną religijnej gorliwości. Uświadomienie narodowe się wzbudzi, zaciekłość szowinistyczna ogarnie tłumy, obłuda wyjdzie na jaw, a nikt prócz Madyarów, którym istotnie grozi zwyrodnienie i wyparcie przez pozornie asymilowanych żydów, nie przyjmie za swoje ich hasła: *pereat justitia, fiat Hungaria*!

W tej walce grozi inne jeszcze niebezpieczeństwo dla kościoła katolickiego. Ustanowienie grecko-madyarskiej Cerkwi zależy ostatecznie od aprobaty Stolicy św. Z Rzymu wydano wprawdzie za p. Leona XIII. dekret, zakazujący używania języka węgierskiego w liturgii, mimo jednak zakazu nadużycia szerzyły się tak, że nie należy do rzadkości słyszeć księży ruskich, odprawiających liturgię w języku węgierskim, zachowując jedynie konsekracyę w staroslowiańskim języku. Skoro więc Stolica św. ponowi zakaz, wówczas Rusini, madyaryzujący o ile się da przewidzieć, przechylą się raczej do otwartego odszczepieństwa, zapowiedzianego wcale nie dwuznacznie przez Gizę Pietraszewicza, moskalofila. Stanie się to tem łatwiej, ponieważ rząd węgierski nie chce, z obawy odmowy, znieść się wcale w przedsięwziętej madyaryzacyi ze Stolicą św., ale, przeciwnie, zamierza, jak nam ostatnie tamtejsze dzienniki donoszą, przeprowadzić ją na drodze parlamentarnej i zmusić monarchę do zatwierdzenia projektowanej ustawy, jak to uczynił z ustawą o małżeństwach cywilnych. Przytem przedstawiciele cerkwi odszczepionej chętnie godzą się na zamiar rządu i gotowi są do wyrzeczenia się w liturgii swojej dotychczasowego języka. Projektowana autonomia i wyższe uposażenie duchownych Cerkwi grecko-madyarskiej mają w przyszłości „upornych“ t. j. grecko-katolickich księży zjednać dla dobrej sprawy.

Rzecz dziwna! Zdradziecki zamach żydowsko-masońskich stronnictw politycznych na kościół katolicki nie natrafia na wielką opozycyę nawet u łacinników. Jedynie Rumuni katolicy obrz. gr. świadomi groźnej burzy bliskiego madyarskiego *Kulturkampfu*, z synowską ufnością udali się o pomoc do Stolicy św. Biskup W. Wa-

radynu, dr. D. Radu, imieniem całego rumuńsko-unickiego episkopatu przedkłada Ojcu św. odpowiedni memoryał. Ich zaś organ kościelno-polityczny *Unirea* uświadamia tymczasem swych czytelników o zdradzieckich zabiegach madyaryzmu, poucza i zachęca do wytrwania w przywiązaniu do Opoki Piotrowej, do obrządku i narodowości swojej.

Ks. M. Hellon S. J.

Restauracya krużganków kościoła OO. Franciszkanów.

Każdy z mieszkańców, kto uważniej śledzi życie Krakowa, zauważyć musiał ożywiony ruch, jaki stale wzrasta od kilku lat na polu budownictwa. Wznoszą się szeregi budynków prywatnych i publicznych, powstają całe dzielnice i miasto rzeczywiście zaczyna się zwolna powiększać i rozwijać. Nie mniej także ożywiony ruch zapanował na polu restauracyi zabytków dawnej sztuki budowniczej. Ogół mieszkańców Krakowa zaczyna coraz lepiej rozumieć, pojmować piękno i specyficzny charakter miasta. Budzi się poważnie coraz większa miłość dla tych zabytków ze strony ich obecnych właścicieli. Widać to w staraniu, a także w znacznych wydatkach, byle taka restauracya wypadła jak najlepiej. Bardzo przytem pocieszającym objawem jest pewna zmiana, jaka zaszła w pojęciach. Restauruje się i konserwuje stare zabytki już nie tylko ze względów czysto-idealnych, ale także i praktycznych. Przesąd, że dawne domy zupełnie nie odpowiadają zmienionym warunkom nowoczesnego życia, zaczyna zwolna ustępować. Coraz więcej przekonywują się wszyscy o jego bezmyślności. Wystarczy bowiem chwila zastanowienia, aby to poznać.

Przecież warunki życia codziennego, a zwłaszcza prywatnego nie uległy tak radykalnej zmianie, ażeby dawne mieszkania nie mogły ich zaspokoić. Właściwie zmiany tu żadnej niema. Kamieniem obrazy w starych domach jest często brak łazienek i światła elektrycznego, które zupełnie wystarczyły do urobienia przesądu o nieużyteczności starych domów dla nowoczesnego życia. Najpierw braki te dość łatwo usunąć, powtóre zaś stare domy mają taką przewagę nad nowymi, ciasnymi i przeważnie zawilgoconymi, właśnie w przestronności i wygodzie swych ubigacyi, że domy wznoszone w ostatnich latach już nawet wzorują się pod tym względem na starych.

Nie mniejszą uwagę i staranność przywiązuje się do restauracyi zabytków kościelnych. Kraków zwany „polskim Rzymem" pojmuje dobrze ten ciężar i odpowiedzialność przed całym narodem, jaka na nim spoczywa. I to jest właśnie cechą naszych czasów, że nie mogąc często sprostać w sztuce dzisiejszej dawnym wiekom, staramy się z największą pieczołowitością podtrzymywać dawne zabytki. Pod tym względem każdy rok przynosi coraz piękniejsze owoce. Z każdym rokiem wzrasta suma doświadczenia, powiększa się zastęp architektów-restauratorów, artystów-malarzy, a nawet murarzy. Odkrywają się i ustalają coraz to nowe techniki i metody w kierunku konserwacyi dawnych pomników sztuki.

Świetnym, może najlepszym przykładem takiej celowej, pod każdym względem doskonałej restauracyi jest klasztor OO. Franciszkanów. Należąc do najstarszych zakonów w Krakowie, przedstawia niezmiernie ciekawie ukształtowany kompleks zabudowań klasztornych. Z jednej strony granicząc z murami fortecznymi Krakowa, z drugiej oparty o pałac margrabiów Myszkowskich-Wielopolskich (obecny magistrat miasta) klasztor franciszkański zwolna, w miarę potrzeby zabudowywał swą posiadłość. Dlatego właśnie nie widzimy tu jednolitego planu całości, jaki można spotkać w innych klasztorach krakowskich. Już sam plan kościoła potwierdza to zupełnie. Świątynia ta w połowie gotycka, w połowie barokowa, różni się bardzo od innych gotyckich kościołów w Krakowie. Nie spotykamy tu ani naw bocznych, ani kaplic symetrycznie rozłożonych po bokach kościoła. Kaplice coprawda istnieją, ale o ileż większe, niż gdzieindziej. Stykając się bokami z główną świątynią, robią wrażenie jakby mniejszych, filialnych. Taką właśnie jest kaplica Męki Pańskiej, kaplica Matki Bożej Bolesnej, kaplica t. zw. włoska, św. Ducha i inne. Z tych zaś zaledwie pierwsze dwie graniczą bezpośrednio z kościołem. Następne zaś rozłożyły się dokoła krużganków i są przez to mniej dostępne dla szerszych warstw, tembardziej, że znajdują się obecnie w stanie opuszczenia.

Klasztor OO. Franciszkanów jest — jak wspomniałem — przykładem wzorowej i celowej restauracyi. Postępuje ona zwolna, ale bez przerwy naprzód, obejmując coraz to nowe części budowli. Zaczęto ją od samego kościoła. I tu trzeba przyznać i podnieść to wysoko, że zakon ten właśnie umiał pogodzić dawny pomnik architektury z dzisiejszą sztuką. Przez polichromię Stanisława Wyspiańskiego i jego przepiękne witraże, nabrał ten kościół wielkiego roz-

głosu w całej Polsce i zagranicą. Tylko tej miary dzieła dzisiejszej sztuki wolno wprowadzać do dawnych zabytków. Z chwilą kiedy nas nie stać na nie, przestańmy tylko na starannej restauracyi.

Tę metodę szczególnie zastosowano przy odnowie krużganków. Krużganki franciszkańskie tworzą — jak zwykle — wielki czworobok, przyczem jeden bok ich północny zamieniony jest na kaplicę Matki B. Bolesnej. Czasem powstania sięgają w gotycką epokę t. j. w piętnaste stólecie. Wyróżniające swoje stanowisko zawdzięczają one przypadkowej czysto okoliczności: sąsiedztwu pałacu biskupiego. Od samego bowiem początku swego powstania stały się jakby wielką salą portretów biskupów krakowskich, który to zwyczaj zachowano ściśle aż do naszych czasów. Tą drogą powstała w krużgankach franciszkańskich jedyna w swoim rodzaju galerya portretów biskupich, złożona z dwudziestu ośmiu wielkich obrazów. Początek tej galeryi trzeba odnieść — jak wspomniałem — do czasów powstania krużganków. Równocześnie z budową pomyślano także o ich dekoracyi zapomocą fresków, obierając za temat do nich przedstawienie biskupów krakowskich z poprzednich czasów. Naturalnie, że tego rodzaju portrety musiały mieć charakter szematyczny, tembardziej, jeśli się uwzględni jeszcze pewną naiwność tych czasów, niewolniczość form liturgicznych i brak fantazyi malarskiej. Dlatego te „portrety" nie robią na nas większego wrażenia i raczej budzą uśmiech pobłażliwy i ciekawią, jako zabytek malarski tych czasów: na jedną płaszczyznę ściany, nakrytej ostrołukowem sklepieniem, przypada mniejwięcej aż sześć takich potretów. Są to niewielkie postacie, w stroju pontyfikalnym, siedzące koło siebie, każdy ze swym herbem u dołu, po których domyślamy się kogo mają one wyobrażać.

Obok tych fresków są jeszcze inne: duże figuralne kompozycye. Te przedewszystkiem ściągają na siebie uwagę i mają już nie tylko wartość historyczną, jak tamte, ale przeciwnie artystyczną, jako nie powszednie dzieła malarskie. Do najstarszych należą tu przedstawienia: Zwiastowanie Najśw. Maryi Panny, scena stygmatyzacyi św. Franciszka i tłoczenie winogron. Wszystkie trzy freski pod względem szczerości i siły uczucia, z jaką do nas przemawiają, są rzadkiemi dziełami sztuki. Znać na nich wcale wybitnie wpływy ówczesnego malarstwa włoskiego, zwłaszcza w dwóch pierwszych. Mają one przytem ogromny wdzięk prymitywów i ogromną prostotę wyrazu. Do późniejszych już kompozycyi należy przedstawienie Matki Bożej i Ukrzyżowanie. To ostatnie nosi datę 1585. Freski te były

dotąd niedostępne dla oka: ukryte pod warstwą tynku i zakryte wiszącymi na nich portretami biskupów. Chodziło o ich restauracyę. Zadania tego podjął się i świetnie je wykonał artysta-malarz p. Julian Makarewicz. Polegało ono na zdjęciu kilku warstw tynku i pobiałek, odczyszczeniu i przywróceniu kolorom dawnych ich walorów. Na pozór może to wydawać się łatwem, w rzeczywistości zaś jest jednem z najtrudniejszych zadań dzisiejszej restauracyi. Trudność leży w niemożności wyuczenia się sztuki restaurowania, którą nabywa się jedynie drogą ciągłej praktyki i doświadczenia. Dlatego każdą taką restauracyę fresków trzeba uważać za ryzykowny eksperyment i tem wyżej należy cenić wartość tak świetnie udanej restauracyi, jak ta. Kraków rzeczywiście może być dumnym, że wysokiej wartości artystycznej tej fresków, odpowiada zupełnie jej równa umiejętność restaurowania p. Makarewicza.

Tą drogą właśnie postępuje odnowa krużganków franciszkańskich. Jak widzimy ten niezwykły klejnot dawnego Krakowa odzyska wkrótce cały dawny przepych. Obok restauracyi fresków postępuje stopniowo restauracya portretów biskupich. I wśród nich są także dzieła przeważnie niepośledniej, a nawet wprost wyjątkowej wartości malarskiej, np. portret biskupa Andrzeja Trzebickiego, arcydzieło pendzla Frechera. Portrety te są to duże obrazy, z których najwcześniejsze należą do XVI. w., malowane na drzewie, techniką „tempery". Na pierwszy rzut oka widać w nich osoby portretowane z natury, tyle bezpośredniej siły i indywidualnego charakteru każdy z nich wyraża. Tu szczególniej należy podnieść portrety biskupów Gamrata, Tomickiego i Krasińskiego. Późniejsze portrety, malowane na płótnie mają bardzo piękne, olbrzymich rozmiarów, barokowe ramy. Kilka z nich wraz z portretami zostało już odnowionych i te przedstawiają się naprawdę interesująco: portret kardynała Lipskiego, biskupa Denhoffa i biskupa Myszkowskiego. Parę następnych pozostaje jeszcze w restauracyi.

Rzeczywiście radość ogarnia umysł na widok tak doskonałej, celowej restauracyi. Tem wyżej należy cenić pracę gwardyana zakonu O. Alojzego Narwackiego. On bowiem jest duszą całej restauracyi. Ubogi zakon nie waha się zupełnie poświęcać znacznych funduszów, byle ta restauracya wypadła jak najlepiej. Niestrudzony umysł gwardyana rozważa wszystko i mimo cofniętej subwencyi ze strony rządu, prowadzi nadal pracę.

Obecnie kończą roboty koło odnowienia kaplicy t. zw. włoskiej,

pod wezwaniem św. Jana Chrz. W niej pomieszczoną zostanie część portretów biskupich, dla których wskutek odnowienia fresków w krużgankach już niema miejsca. Kaplica ta, tworząca ogromną, niegdyś o pięciu, a dziś o czterech oknach, sklepioną salę, powstaniem sięga w czasy gotyckie. Wówczas pozostawała ona w rękach Węgrów, osiadłych w Krakowie. Następnie w ciągu XVI. w. przeszła w posiadanie konfraterni włoskiej. Ta z czasem zajęła się jej dekoracyą i korzystając z pobytu w Krakowie Baltazara Fondany, poleciła mu przyozdobienie kaplicy zapomocą stiuków. Dekoracya ta ogranicza się do beczkowego sklepienia. To zaś ujęte w system łukowych pasów, przeciętych poziomemi gurtami, ożywionych owalnymi medalionami, dozwoliło w niewielkich polach na skromną dekoracyę stiukową o motywach roślinnych. Miejsca w medalionach zajęły delikatne figurki malowane *en grisaille*. Przy restauracyi ich, której dokonał świetnie p. Makarewicz, ukazały się pierwotne freski sklepienia kaplicy, lecz te odsłaniać było już niepodobieństwem.

Taką drogą sumiennej i starannej pracy Kraków przywraca swe klejnoty do dawnego blasku. Klasztor OO. Franciszkanów może nas uczyć tej miłości dla żywej historyi narodu, jaka powinna cechować każdego szczerego Polaka.

Franciszek Klein.

Druk ukończono dnia 18 kwietnia 1912 r.

Ks. Antoni Tyczyński z Albigowej.

(Z powodu 25-letniej działalności na parafii).

We wrześniu 1911 r. obchodził ks. Antoni Tyczyński razem z parafianami 25-tą rocznicę objęcia probostwa w Albigowej w pow. łańcuckim. Wzmiankę o tem umieściła tylko lwowska *Gazeta Kościelna*, słusznie tedy będzie jubileusz ten zaznaczyć na łamach *Przeglądu Powszechnego*, najpoważniejszego organu dla spraw katolickich.

W naszem społeczeństwie jest jeszcze mało duchownych, którzy rozumieją konieczność rozszerzenia sfery swej działalności poza urząd kapłański i szafarstwo sakramentów, poza ołtarz, ambonę i konfesyonał. Brak zrozumienia całokształtu potrzeb społecznych i narodowych, a jeszcze większy brak do pracy i umiejętności pracy w tych kierunkach. Działalność ks. A. Tyczyńskiego może służyć za wzór godny naśladowania dla polskiego duchowieństwa parafialnego. Nie chcę przez to powiedzieć, aby to był wzór jedyny, owszem stwierdzam wyraźnie, że na szczęście dla społeczeństwa i kościoła tak nie jest, ale osoba ks. proboszcza Tyczyńskiego i jego działalność jest tak charakterystyczna i typowa, że może najsilniej zwróciła na siebie uwagę, może najlepiej nadaje się do zademonstrowania, co można i jak należy działać na parafii. *Exempla trahunt.* Wzorów, żywych przykładów nam potrzeba jak najwięcej, z drugiej zaś strony uznanie i cześć należy się dla pracy i zasługi; tem powodowany piszę o ks. A. Tyczyńskim. Byłoby bardzo pożądane, aby i o innych pracownikach, o ich dziełach i metodach pracy, pojawiały się jak najliczniej opisy, bo to krzepi,

zachęca, poucza, przyczynia się do zmniejszenia tak wielkich u nas przestrzeni między ideami a czynami.

Jedną z takich idei powszechnie znanych, do których mało się stosują czyny, jest idea zależności życia religijnego i moralnego od rozwoju gospodarczego i umysłowego. Wprawdzie jednostki mogą się podnosić na wyższe stopnie uczuć religijnych i moralnych, (typ zakonników-żebraków i pustelników jest znany nawet i w społeczeństwach niechrześcijańskich) niezależnie od oświaty i dobrobytu, ale masy mogą to uczynić tylko równolegle z ogólnym rozwojem umysłowym i ekonomicznym. Im bardziej walka o byt fizyczny pochłania człowieka, im więcej czasu i sił musi poświęcać na uchronienie się od głodu i chłodu, tem mniej możności samodzielnego życia duszy, tem bardziej bezpłodna praca nad podnoszeniem religijno-moralnem. Kto chce na tem polu pracować ze skutkiem, musi mieć grunt przygotowany pod względem gospodarczym i oświatowym, a gdy ten grunt nie jest przygotowany, musi równocześnie pracować nad wyzwoleniem ludu z nędzy ekonomicznej. Nie przeczy tej prawdzie fakt, że wyżej oświecone i wyższym dobrobytem się cieszące warstwy społeczne mają tendencye do rozluźnienia swego stosunku do ustalonych form życia religijnego, bo to już inna sprawa. Akcya religijna nie licząca się z tym paralelizmem życia duchowego i ekonomicznego bardzo szybko natrafia na przeszkody nie do przezwyciężenia i przeradza się na świadome lub nieświadome „urzędowanie". To się tyczy stosunku religii do życia, ale z tem łączy się druga kwestya, t. j. kwestya stanowiska duchowieństwa w społeczeństwie. Ograniczanie się do działalności w kościele przy roli przodującej, a przynajmniej najwyżej cenionej klasy społecznej, obojętność dla całej reszty życia społecznego albo spoglądanie na nie jedynie z ambony, utrudnia ogromnie tę rolę przodującą, naraża często na zarzuty nadużywania ambony i wpływania niewłaściwymi sposobami na tok spraw świeckich; obronę swej rangi ogólno-społecznej trzeba także na gruncie ogólno-społecznego życia podjąć i prowadzić.

* * *

Ks. Antoni Tyczyński urodził się w r. 1856 w Krzemienicy pod Łańcutem, gdzie ojciec jego był karbownikiem na folwarku. Ciężkie ofiary, jakie musiała ponosić rodzina, aby go utrzymać w gimnazyum w Rzeszowie, odczuwał głęboko i już wtedy zaczął przemyśliwać nad sposobami zwalczania biedy wśród ludu. Po egzaminie dojrzałości (1876) zapisał się na wydział prawniczy na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale po roku wstąpił do seminaryum duchownego w Przemyślu. Wyświęcony na kapłana 1882 r., otrzymał w r. 1886 prezentę na probostwo w Albigowej, które należy do dosyć dobrze uposażonych (150 morgów ziemi). Z początku stosunki między młodym, towarzyskim, przybywającym z miasta (Rzeszowa) proboszczem a parafianami układały się niepomyślnie, bo parafianie pragnęli mieć plebanem tymczasowego administratora, który nie miał jeszcze prawa ubiegać się o parafię.

Albigowa należy do grupy osad niemieckich, założonych razem z Łańcutem w XIV w., w których do końca XVI w. utrzymał się język niemiecki, jak o tem świadczą księgi sądów-ławniczych w niektórych z tych wsi dotąd przechowanych. W czasie objęcia stanowiska przez ks. A. Tyczyńskiego była to wieś zaniedbana pod każdym względem. Cechowały ją analfabetyzm, pijaństwo i lenistwo, kurne chaty, nędzne bydło i konie, a przytem zarozumiałość i skłonność do awantur. Zwłaszcza podkopywały dobrobyt a raczej rujnowały do szczętu ludność długotrwałe a kosztowne uroczystości familijne (wesele trwało tydzień, chrzest 3 dni, pogrzeb łączył się z tak sutą stypą, że często wszyscy od starców do dzieci byli pijani). Ludność taka, nie posiadająca przytem wśród siebie jednostek zdolniejszych i pojętniejszych, nie mogła mieć w sobie żadnego pędu do zmian w swoim trybie życia i wszelkim usiłowaniom zmiany tego starego porządku, „starych zwyków", jak mówiła, musiała z początku stawić bierny opór, tem bardziej, że do tego dołączył się brak zaufania do osoby nowego plebana.

Ks. Tyczyński zrozumiał wobec tego, że musi działać wszechstronnie i otoczyć opiekę nad całem życiem parafian, że musi podnosić ich duchownie, umysłowo i materyalnie. Zrozumiał także, że musi się ze swymi parafianami zetknąć na te-

renie życia praktycznego, wykazać im tutaj swą sprawność, użyteczność a zarazem i wyższość, aby niechęć do zmian przełamać i wpływ swój ugruntować.

Zaczął pod dobrym znakiem, bo w dzień instalacyi poświęcił nowy budynek szkoły jednoklasowej, która istniała już od r. 1880 [1]. W ciągu pierwszej zimy przy sposobności tak zwanej kolendy zwiedził całą parafię (t. j. wieś Albigową z przysiołkiem) szczegółowo z notatnikiem w ręku i poznał dokładnie warunki życia swoich parafian, ich stan ekonomiczny, ich obyczaje i kulturę umysłową.

W r. 1889 założył Kółko rolnicze i Czytelnię Tow. Oświaty ludowej. W początkowej tej pracy oświatowej dopomagali mu dzielnie administrator folwarku albigowskiego, należącego do ordynacyi łańcuckiej, tudzież świeżo przybyły nowy kierownik szkoły ludowej p. Andrzej Mazanek, który dotąd na stanowisku swem pozostaje. Czytelnia nie była tylko wypożyczalnią, ale istotnie w dni świąteczne ks. Tyczyński albo p. Mazanek albo inna osoba uproszona odczytywała książeczki, objaśniała treść i kierowała dyskusyą. Kółko rolnicze nie ograniczyło swej działalności do sklepiku, jak to zwykle bywało, bo go wcale nie założyło, aż dopiero w r. 1910, natomiast poparło w tym kierunku inicyatywę prywatną (powstały 3 sklepiki włościańskie). Kółko albigowskie zajęło się urządzaniem co niedziela pogadanek. Pogadanki rolnicze miewał administrator folwarku 2 razy w miesiącu, po razu ks. Tyczyński pogadanki treści etycznej i politycznej, a p. Mazanek treści historycznej lub ogólno-kulturalnej. W porze letniej pogadanki odbywały się raz na miesiąc. W ten sposób Kółko rolnicze było poniekąd szkołą zimową dla starszych włościan; było to dla wsi i dla ks. Tyczyńskiego okresem przygotowawczym. Włościanie stracili nieufność do zmian w swoim bycie i do swego plebana, którego zaczęli wzywać na rozjemcę w sporach między sobą, i to z biegiem lat coraz częściej tak, że przeważna część sporów kończy się na plebanii zamiast w sądzie.

[1] Przedtem była tu szkółka parafialna, w której w porze zimowej organista lub pisarz gminny uczyli nieliczne dzieci czytać (za pensyę 80 K rocznie).

Bardzo ważnem uzupełnieniem a raczej ugruntowaniem tej działalności oświatowej była działalność katechetyczna w szkole ludowej, albowiem dzieci szkolne przejmowały się jego poglądami etycznemi i społecznemi i szerzyły je wśród starszych tak, że ojcowie mówili mu: „Jegomość, te dzieci nasze to całkiem Wami przeszły".

Właściwy wpływ i rzeczywista twórcza działalność rozpoczęła się od budowy nowego kościoła murowanego w miejsce starego drewnianego. Sprawie tej oddał się ks. Tyczyński z zapałem, a pod jego wpływem zapaliła się też do niej cała wieś Jest to bowiem sprawa, do której włościanie biorą się — co prawda po dłuższym namyśle — bardzo chętnie, bo potrzebę domu bożego odczuwają, a z drugiej strony oddziaływa na nich przytem urok zbiorowego, twórczego czynu. Wspólne umiłowanie tej sprawy i wspólna praca nad jej urzeczywistnieniem stały się prawdziwym łącznikiem między parafianami a ich przewodnikiem, oddały mu, rzec można, całkowitą władzę nad ich duszami. Albigowianie nauczyli się pracy zbiorowej i przekonali się, że ich proboszcz ma „inżynierską głowę" t. j. umie obmyślać i przeprowadzać rzeczy potrzebne i pożyteczne, ale dla ich umysłów zbyt trudne.

Kosztorys tego pięknego kościoła (murów i dachu), którego plan pochodził od prof. Sławomira Odrzywolskiego, opiewał na 70.000 kor. Budowę prowadził we własnym zarządzie komitet parafialny a właściwie ks. Tyczyński. Przygotowania do niej rozpoczęły się 1892 r., sama zaś trwała półtrzecia roku (1895—1897). Wydano gotówką tylko 32.000 koron, bo resztę zastąpiła bezpłatna robocizna ciągła i piesza całej ludności od dzieci szkolnych począwszy do starców, bo oprócz wyznaczonych dni roboczych przy wyrobie cegły i przy budowie, pomagał ile kto mógł. Ogółem dostarczyła ludność dobrowolnie i bez uszczerbku dla własnych gospodarstw przeszło 10.000 pieszych i 3000 ciągłych [1].

[1] Dumna ze swego dzieła chętnie poniosła ludność koszta wewnętrznego urządzenia i polichromii artystycznej (przez 3 artystów-malarzy z Krakowa), które razem wyniosły 30.000 K.

W rok po ukończeniu budowy kościoła otwarta została pracownia i szkoła koszykarska (1898). Pomysł ten wywołany został spostrzeżeniami, ile to czasu tracą włościanie bezpożytecznie z braku sposobności do zarobku, przy czynnościach przygotowawczych do budowy kościoła w 1893 r. Ks. Tyczyński zastał jeszcze w Albigowej przemysł tkacki, ale niestety już w zupełnym upadku; nie wziął się jednak do jego dźwigania i reformowania nie wierząc w jego zdolność konkurencyjną z tkactwem mechanicznem, natomiast wolne od konkurencyi mechanicznej i świeżo bujnie rozwijające się koszykarstwo uznał za najodpowiedniejszy rodzaj przemysłu domowego, aby niedostatecznie w ziemię uposażoną ludność wsi hamować w pędzie emigracyjnym i w rozdrabnianiu gospodarstw. Przedkładał to ludności i doradzał, ale nie czekając aż ludność pójdzie za jego radą, sam zabrał się do roboty. Wysłał swego chłopca do posług do krajowej szkoły koszykarskiej w Czerwonej Woli pod Jarosławiem, potem dla wydoskonalenia się w zawodzie do Lwowa i za granicę. Wróciwszy do wsi p. Andrzej Albigowski znalazł gotową pracownię, materyał i uczniów. Z początku przez 3 lata zakład prowadzony na rachunek ks. Tyczyńskiego, przynosił deficyt, później, zwłaszcza kiedy pracownię przejął na swój rachunek Albigowski, poszło zupełnie dobrze. Kierownictwo szkoły (i dbanie o ogólne wykształcenie chłopców) pozostawił sobie ks. Tyczyński, nauki zawodowej udziela Albigowski. Kraj i państwo dają na ten cel 900 kor. subwencyi rocznie. Szkoła i pracownia mieszczą się w murowanym domu piętrowym na końcu wsi, obok domu znajduje się obszerny magazyn na wyroby (kosze i meble) i materyał surowy. W porze zimowej pracuje obok uczniów 40—50 byłych uczniów szkoły, w lecie znacznie mniej. Wynagrodzenie (od sztuki) wynosi dziennie od kilkudziesięciu halerzy (uczniowie) do 2 koron, niekiedy więcej (robotnicy starsi).

Organizacya szkoły i pracowni jako przedsiębiorstwa prywatnego okazała się zupełnie odpowiednia. Szkoła jako instytucya publiczna (krajowa) kosztowałaby bezwarunkowo więcej, nie dając więcej, niż obecnie, przedsiębiorstwo zaś koszykar-

skie, jako spółkowe prawdopodobnie wskutek niedbalstwa lub zawiści szybko pochyliłoby się do upadku. Nauka w szkole trwa normalnie 4 lata, liczba uczniów wynosi 22—28 (od r. 1905). Wartość wyrobionego towaru wynosiła 1902 r. 15.000 koron, w r. 1910 33.000 koron, wynagrodzenie za pracę w 1902 r. 5000 koron, w 1910 r. 13.000 koron.

Jak wielkie ma znaczenie koszykarstwo dla Albigowej można stąd wywnioskować, że zarobki robotników w r. 1910 równały się wartości zbioru pszenicy (brutto) z przeszło 100 morgów (licząc wartość 1 cetn. metr. pszenicy po 23 kor., a zbiór z 1 morga szacując na 7 cetn. metrycznych). Jest to bardzo wielka pomoc dla biedniejszej ludności jako uboczny zarobek, główną podstawą bytu jednakże jest koszykarstwo zaledwie dla paru rodzin; na emigracyę oddziaływa ono hamująco, na rozdrabnianie gospodarstw nie mogło oddziałać.

Obok starań o rozwinięcie przemysłu we wsi zachęcał ks. Tyczyński włościan do oddawania chłopców do szkół zawodowych i rzeczywiście do r. 1910 około 30 chłopców zdobyło wykształcenie w rzemiośle; przyczyniło się to nieco do ograniczenia dzielenia ziemi, ponieważ większość tych chłopców opuściła wieś na stałe. Do szkół średnich niema pędu w Albigowej.

Z kolei przyszła „Szkoła gospodyń wiejskich". Założona pierwotnie przez Radę powiatową łańcucką we wsi Gorliczynie (w dziś. pow. przeworskim), po 2-letniej tam wegetacyi przeniesiona została w r. 1900 do Albigowej i oddana pod opiekę ks. Tyczyńskiego, pod którego kierunkiem wybudowany został doskonale odpowiadający przeznaczeniu budynek szkolny, obliczony na 30 uczennic, których w ostatnich latach mieści się około 40. Kierowniczką szkoły jest od początku p. M. Gostkowska, łącząca doskonałe wykształcenie zawodowe z duchem prawdziwie polskim i pracująca ze szczerem zamiłowaniem nad rozwojem prostych umysłów dziewczęcych.

Budżet szkoły wynosi obecnie (1910/11) około 15.000 kor., z czego pensye i renumeracye (obok kierowniczki uczą w szkole 2 nauczycielki fachowe — jedna robót ręcznych, druga gotowania — instruktorka, 2 nauczyciele miejscowej szkoły lu-

dowej — do przedmiotów ogólno-kształcących — i ksiądz katecheta) wynoszą 5800 kor., żywność 41 uczennic w zimie, 12 uczennic w lecie, 4 hospitantek i nauczycielek — tylko 6362 kor., opał, światło, pranie 2789 kor., inne wydatki 967 kor. Dochody szkoły (1910/11) stanowią: opłaty uczennic 3721 kor. (większość uczennic jest w całości lub w części uwolniona od opłaty), zwrot za wikt hospitantek 720 kor., dochód z gospodarstwa szkolnego około 850 kor. Resztę dopłacają Wydział krajowy, Rada powiatowa łańcucka, a Tow. gospodarcze lwowskie od kilku lat daje subwencyę.

Ze szkołą była od początku związana mleczarnia, albowiem mleczarstwo jest głównym przedmiotem nauk w półroczu letnim. Mleczarnia ta przeszła już różne fazy rozwoju. Założona w r. 1900 jako mleczarnia zbiorowa (przedsiębiorstwo ks. Tyczyńskiego), od r. 1906 do r. 1911 była prowadzona na rachunek szkoły. W r. 1912 przekształcono ją na spółkę mleczarską, pozostającą pod patronatem Wydziału krajowego. Podnietę do ostatniej zmiany dał dopiero pomyślny rozwój spółki mleczarskiej w sąsiedniej wsi Handzlówce, którą założyli dzielni włościanie tamtejsi. Od kilku lat odstawiali oni śmietankę do mleczarni albigowskiej, ale niezadowoleni z cen, płaconych przez szkołę (3 hal. za 1% tłuszczu w litrze mleka w zimie, a 2·7 hal. w lecie), samodzielnie zorganizowali wyrób masła. Mleczarnia albigowska, mieszcząca się w osobnym budynku murowanym, przerobiła w 1904 r. 157.000 litrów mleka, później mniej, w r. 1911 163.000 litry. Dalszy stosunek mleczarni do szkoły nie jest na razie określony.

Między zapatrywaniami ks. kuratora a pani kierowniczki na zadania i potrzeby szkoły istnieją pewne różnice. Obydwoje noszą się z planami reorganizacyi szkoły: ks. Tyczyński chciałby położyć większy nacisk na wykształcenie zawodowe (techniczne), kierowniczka raczej na ogólne wykształcenie i podniesienie poziomu życia duchowego. Jest mowa także o przedłużeniu nauki na cały rok. Krytyczne usposobienie obudziła szkoła, (nazwano ją z przekąsem „akademią") w tych sferach, które organizują po kraju liczne parumiesięczne kursy gospodarstwa kobiecego.

Moim zdaniem głęboko sięgająca reforma ani w jednym ani w drugim kierunku nie byłaby pożądana, nie widzę powodu do zmian zasadniczych w ustroju szkoły, wzorowanej na doskonałych wzorach zachodnich, przedewszystkiem skandynawskich. Specyalnie problematycznej wartości wydaje mi się przedłużenie nauki na cały rok zamiast dzisiejszego kursu zimowego, ogólnego i letniego kursu specyalnego. Gdybyśmy przynajmniej 10 szkół tego rodzaju, co albigowska, mieli w kraju, to wprowadzenie w jednej z nich obszerniejszego kursu, postawienie nauki na wyższym poziomie, uważałbym za pożyteczne.

Wyszło dotąd ze szkoły albigowskiej około 350 uczennic z całego kraju pochodzących, uświadomionych narodowo, rozwiniętych kulturalnie, dobrych gospodyń wiejskich. Z samej Albigowej jest co roku po parę uczennic, początkowo było więcej niż obecnie; jest to zwykła kolej stosunku ludności miejscowej do każdej szkoły fachowej.

Kiedy się w kraju rozpoczął ruch w kierunku zakładania Spółek oszczędności i pożyczek systemu Raifaisena, wziął się także ks. Tyczyński do utworzenia takiej spółki w r. 1901. Liczba członków spółki wynosiła początkowo 53, obecnie doszła do 235, a więc więcej niż połowa gospodarstw do spółki należy. Fundusz rezerwowy wzrósł do 6105 koron, ponieważ cały czysty dochód przyłącza się do niego. Już w trzecim roku istnienia spółki (1903) było wkładek oszczędności 40.000, w roku 1907 — 76.700, w r. 1911 — 115.500 koron (na 1 mieszkańca wsi 51 kor. oszczędności). Pożyczki od r. 1904 wahają się między 30—45.000 kor., zapotrzebowanie kredytu w Albigowej jest więc znacznie mniejsze niż zdolność oszczędzania. Spółka albigowska należy do silniejszych spółek w kraju, od wkładek daje 4½%, od pożyczek bierze 6%.

Spółka drenarska, obejmująca wszystkie grunta włościańskie we wsi (2000 morgów) została zawiązana w r. 1903 z niesłychaną łatwością po jednym osobno tej sprawie poświęconym zgromadzeniu. Już w r. 1904 krajowe biuro melioracyjne wykonało plan drenowania połowy obszaru. Zamiast kupować rurki drenarskie postanowił ks. Tyczyński nakłonić ludność do

założenia fabryki drenów, dachówki i cegły. Aby wyzyskać w pełni motor parowy w zimie, kiedy musi spoczywać praca w cegielni, postanowiono dołączyć do fabryki młyn, którego, jak i cegielni, brak odczuwała Albigowa i wsie sąsiednie.

Do prowadzenia obu tych przedsiębiorstw powstała r. 1905 Spółka przemysłowo-rolnicza, do której przystąpiło od razu 195 członków. We wrześniu r. 1906 (20-letnia rocznica probostwa ks. T.) odbyło się przy udziale parutysięcznego tłumu, z sąsiednich wsi także przybyłego, poświęcenie fabryki drenów i dachówek, tudzież młyna, wybudowanych kosztem 100.000 kor.

Drenowanie postępuje odtąd w szybkim tempie, do jesieni r. 1911 już połowa gruntów została zdrenowana. Na gruntach tych włościanie stosują już orkę płaską zamiast zagonowej.

Chociaż oba zakłady opierają się na zaspokojeniu potrzeb miejscowych, młyn szedł zupełnie dobrze, a tylko rozwój cegielni natrafił na pewne trudności. Aby je pokonać i uniknąć dalszych strat, trzeba było nowych znacznych wkładów, nie chciał się jednak starać o dalsze kredyty ks. Tyczyński, nie widząc między mieszkańcami Albigowej ludzi zdolnych do kierowania tak wielkiem przedsiębiorstwem, gdyby jego brakło na posterunku, bo wtedy upadek przedsiębiorstwa naraziłby członków na wielkie straty. Wobec tego zdecydował on się na odstąpienie całego interesu Bankowi melioracyjnemu ze Lwowa. Transakcya dokonana została w maju 1910 r. Stan bierny wynosił 137.000 kor., w tem udziały 237 członków wynosiły blisko 13.000 kor., fundusz rezerwowy 5000 kor. Spółka przemysłowo-rolnicza straciła tylko fundusz rezerwowy, wszystkie udziały zostały członkom wypłacone, za to Bank melioracyjny przejął wszystkie długi, ciążące na interesie. Spółka została zlikwidowana dzięki energii ks. Tyczyńskiego w sposób najkorzystniejszy dla kraju i dla wsi. Udziałowcy nie ponieśli straty, a wielkie i pożyteczne przedsiębiorstwo pozostało, pomnaża produkcyę krajową i daje zarobek ludności miejscowej (zatrudnia około 50 ludzi), a w przyszłości jeszcze większe będzie mieć znaczenie po ukończeniu rozszerzenia.

Dalej założył ks. Tyczyński przytułek dla bezdomnych.

Wcześnie rozwinął się w Albigowej ruch w kierunku zastępowania starych chat kurnych i małymi okienkami opatrzonych, dużemi nowemi chatami, z lepszym rozkładem wewnętrznym, z dużemi oknami i z kominami, dotąd jednak wyjątkowo tylko murowanymi. Zaczęto dalej stawiać studnie zamiast brać wodę z potoka płynącego przez wieś. Zaczęto się zwracać o poradę lekarską do lekarzy zamiast do znachorów; zdecydowała się wreszcie gmina wyznaczyć płacę akuszerce egzaminowanej, wszystko pod bezpośrednim wpływem ks. Tyczyńskiego. Nosi on się obecnie z myślą założenia łaźni ludowej, co będzie olbrzymim krokiem w stosunkach zdrowotnych i kulturalnych Albigowej; gdyby wieś nie czuła jeszcze potrzeby tego nowego zakładu, ks. Tyczyński będzie umiał nakłonić ją i przyzwyczaić do takich „zbytków".

Drugim, równie ważnym projektem jest dom ludowy, mieszczący w sobie obszerną salę na przedstawienia teatralne, odczyty i zgromadzenia, tudzież lokale dla sklepu kółkowego, kasy raifaisenowskiej i kółka rolniczego. Plan tego domu jest już przygotowany, a niewątpliwie i budowa nie ulegnie dłuższej zwłoce.

Pozatem doprowadził ks. Tyczyński do założenia w Albigowej składnicy pocztowej, która następnie zamieniona została na urząd pocztowy. Nie mało też przyczynił się on do przekształcenia szkoły ludowej na dwuklasową od r. 1897, a od r. 1904 (stale i oficyalnie od r. 1907) na czteroklasową, do której musiano w r. 1910 dodać klasę eksponowaną na przysiołku. Nowy piękny budynek o 4 klasach szkolnych postawiono już w r. 1904, ponieważ (nie bez ukrytej myśli ks. Tyczyńskiego) pozostało po budowie kościoła sporo cegły, a resztę nie trudno było dorobić. Oczywiście i szkolny budynek kosztował znacznie mniej niż opiewał pierwotny kosztorys [1]. Obecnie w szkole ludowej (1911/12) uczy 7 sił nauczycielskich, a uczęszcza 366 dzieci, prócz 60 obowiązanych do nauki nadobowiązkowej. Już w r. 1887

[1] Wybudowano także nowy dom murowany na pomieszczenie organisty i wikaryusza, którego nareszcie udało się ks. Tyczyńskiemu *ad personam* uzyskać z powodu wzrostu pracy katechetycznej w szkołach.

należało do szkoły 108 dzieci, w 1890 r. 163, w 1895 r. 207, w 1900 r. 269, w 1905 r. 316. Dzisiaj liczba dzieci nie uczęszczających do szkoły nie przekracza tuzina. Za chlubę sobie mają ks. Tyczyński z kierownikiem p. Mazankiem, że doprowadzili do tego bez stosowania przymusu szkolnego, bez kar za nieposyłanie dzieci do szkoły, jedynie przez sumienną pracę w szkole i przez agitacyę poza szkołą (głównie z ambony).

Przy Kółku rolniczem w ostatnich latach powstał szereg nowych instytucyi: najpierw straż pożarna (1907), następnie Kółko kobiece (1909), wreszcie (1910) sklep Kółka rolniczego, ale jako spółka spożywcza, nie jak ogół sklepów Kółek rolniczych. Równolegle płynął z Kółka postęp w zakresie gospodarki rolnej, przedewszystkiem przez użycie maszyn jak tryery, śrótowniki, młockarnie ręczne i kieratowe, weszło dalej w zastosowanie nabywanie nawozów sztucznych na wspólny rachunek i maszyn rolniczych na wspólny użytek; między innemi z inicyatywy Kółka sprawiła gmina wagę pomostową dla ważenia bydła, wskutek czego mogą teraz włościanie uniknąć strat przez sprzedaż „na oko". Nauczył ks. Tyczyński Albigowę korzystać z pomocy Zarządu głównego Tow. Kółek rolniczych i z pomocy lwowskiego Towarzystwa gospodarskiego, które dało dla wsi oborę zarodową bydła rasy oldenburskiej, 2 chlewniki zarodowe świń rasy Yorkshire, 2 kurniki zielononóżek.

Wreszcie ks. Tyczyński dał wzór, jak można łączyć obchody narodowe z podnoszeniem kulturalnem ludności, przeprowadzając w radzie gminnej uchwałę, aby dla uczczenia 500-letniej rocznicy Grunwaldu obsadzić 5 km. bitego gościńca, przechodzącego przez terytoryum wsi, drzewami owocowemi (jabłoniami w 2 odmianach), które należą do właścicieli przyległych gruntów. Bez wątpienia jest to bardzo piękny „pomnik grunwaldzki". Sadzenie drzew dla upamiętnienia ważnych rocznic i zdarzeń jest powszechnie znane, ale oryginalne i godne naśladowania jest przeprowadzenie tej idei na tak wielką skalę, że ma ona już nie tylko symboliczno-uczuciowe znaczenie, ale także gospodarczo-kulturalne. Oprócz tego również dla uczczenia tej wielkiej rocznicy — udało mu się zachęcić ludność do od-

dania aż 7 chłopców do szkół zawodowych (z tego 5 do szkoły kołodziejsko-kowalskiej w Grybowie), celem wykształcenia na rzemieślników. W r. 1911 poszło znowu 3 chłopców do szkół zawodowych.

Jak się przedstawia obecnie Albigowa? Według ostatniego spisu ludności (1910) liczyła Albigowa 2291 mieszkańców (w r. 1900—1990), 426 domów, (w r. 1900 — 373 domów, przed 25 laty było niewiele więcej nad 300 domów). Wśród mieszkańców jest 64 żydów. W r. 1911 było w Ameryce na zarobku 134 osób, około 20 na Węgrzech i w dalszych stronach kraju, a 17 na służbie w okolicy, emigracya zarobkowa jest więc stosunkowo mała. Stan zdrowotny ludności jest tak korzystny, że liczba urodzonych w ostatnim 10-leciu jest 2 razy większa (35%) niż liczba zmarłych (17%). Emigracya stała jest mała, wynos bowiem zaledwie 3%, a przyrost rzeczywisty ludności w tym dziesięcioleciu 15%. Zdumiewająco mała jest ilość dzieci nieślubnych we wsi, bo wynosi zaledwie 2% ogółu urodzonych. Chat kurnych pozostało zaledwie kilka, zaczęto budować domy murowane. Jaskrawą illustracyą zmiany jest, że gdy między r. 1870—1890 żydzi nabyli od chłopów około 150 morgów gruntu często za bezcen (tak n. p. jeden za 30 morgów zapłacił tylko 3200 koron), to od r. 1891 nie nabyli już ani jednego morga, przeciwnie w ostatnich 12 latach wykupili chłopi straconą przez pijaństwo ojców ziemię, oczywiście po cenach kilkakrotnie wyższych, w końcu nawet najlepsze grunta płacili po 2800 koron za mórg. Jest jeszcze dwóch żydów posiadających ziemię (jeden 12 a drugi 8 morgów), ale ci już nie myślą jej sprzedawać, bo ją własnymi rękami uprawiają.

Taki jest stan Albigowej, takie owoce pracy ks. Tyczyńskiego, który dla podniesienia ludności włościańskiej wyzyskał wszystkie środki, jakiemi można rozporządzać w Galicyi. Wieś bardzo zacofana stanęła obecnie w rzędzie nielicznych najkorzystniej się przedstawiających wsi. Należy przyznać, że nie cały postęp, którego dokonała w tym czasie Albigowa, jest dziełem jej plebana, bo niewątpliwie Albigowa podlegała tym korzystnym wpływom i znajdowała się w tych samych warun-

kach ogólnych, w których znajdowała się w ostatniej ćwierci wieku cała masa naszej ludności włościańskiej, nie mogłaby więc do dziś dnia pozostać taką, jaką była przed 25 laty, wszak nie ma w kraju ani jednej wsi, któraby w tym czasokresie nie zrobiła znacznego kroku ku lepszemu. Ale nie można także odmówić pracy ks. Tyczyńskiego kolosalnej doniosłości; bez niego nie byłaby zrobiła Albigowa tak wielkich postępów, nie zdobyłaby się na tak wiele pożytecznych, ekonomicznych i kulturalnych, instytucyi, nie posuwałaby się tak gładko naprzód.

Co to za człowiek ten ks. Tyczyński? Jest to bezwątpienia człowiek dużej miary, człowiek rozumu praktycznego i wytrwałej woli. Z usposobienia racyonalista chłodny, ale obcy wszelkiemu doktrynerstwu, biorący rzeczy tak, jak są, daleki od przesadnego entuzyazmu i optymizmu, ale pełen ofiarności, zapału i wewnętrznego pędu do czynu twórczego, który wyraża się w sposób typowy i bezpośredni zamiłowaniem do budownictwa [1]. Nad ogółem naszych działaczy społecznych góruje ks. Tyczyński tem, że pracował przez cały czas konsekwentnie i bez przerw, że pracował systematycznie według z góry obmyślanego planu, że przed trudnościami nieprzewidzianemi nie kapitulował, ale starał się je przezwyciężyć. A przeciwności nie brakło i jemu. Jak mieliśmy sposobność przedstawić wyżej, nie wszystko mu szło, jak z płatka, nie wszystko mu się w równym stopniu powiodło; musiał przekształcać i zmieniać pierwsze projekty, ale między jego dziełami niema ani jednego poronionego. Nawet tam, gdzie się musiał cofnąć, cofał się tylko częściowo, zmieniał formę przedsięwzięcia, aby jego byt utrzymać.

Ks. Tyczyński umiał trafić włościanom do przekonania, przedstawiając im każdą rzecz w sposób praktyczny przedtem gruntownie obmyślaną i wystudyowaną. Często musiał się posługiwać dosadnemi słowami i ciętą ironią, często musiał traktować chłopów z góry, niemal despotycznie, narzucając im swą wolę, nie

[1] Obecnie buduje dużą i ładną plebanią według planu prof. S. Odrzywolskiego, na co zgodzili się chętnie paraf anie przed obchodem wspomnianego na początku jubileuszu — mimo oporu kollatora co do wysokości kwoty konkurencyjnej.

dając im czasu do namyślania się, aby się nie rozmyślili, ale nigdy tego nie robił dla dania folgi popędliwości, tylko zawsze dla osiągnięcia pewnego pożytecznego celu. Główny zarzut, jakiby mu można postawić to to, że może za dużo sam robił dla chłopów i za chłopów, że może za mało dbał o wyrobienie sobie z pośród nich współpracowników a potem samodzielnych pracowników. Teoretyczny ten zarzut nie zupełnie jest trafny, bo bo istotnie miał on do czynienia ze wsią bardzo zacofaną i z ludnością mało podatną, to jest zarozumiałą a mało pojętną i społecznie usposobioną. Zresztą obecnie jest już w Albigowej pewną liczba włościan dosyć inteligentnych i z instynktem społecznym na tyle wyrobionym, że byliby w stanie poprowadzić zupełnie samodzielnie wszystkie istniejące we wsi instytucye. Najlepszym dowodem, że ks. Tyczyński, posiadając zupełne zaufanie całej ludności wsi, nie stłumił samodzielności swoich parafian, jest to, iż wbrew jego życzeniom przeważna część ludności głosowała przy ostatnich wyborach do parlamentu na chłopa ludowca zamiast na powszechnie wysoko i przez włościan cenionego ks. A. Lubomirskiego (konserwatystę). Obok ludowców (obu odcieni dzisiejszych) są tu Stojałowczycy, a nawet zwolennicy narodowo-demokratycznej „Ojczyzny", choć ten kierunek polityczny zarówno jak i działalność Tow. Szkoły ludowej nie cieszy się sympatyą ks. Tyczyńskiego, który należał do założycieli konserwatywnej „Roli". Chociaż spraw narodowych i uczuć patryotycznych nie zaniedbywał wcale, to jednak lepiej byłoby, gdyby swą pracę ekonomiczną starał się zabarwić podniosłym nastrojem patryotycznym.

W rozwoju działalności społecznej ks. Tyczyńskiego odegrało dużą rolę współzawodnictwo, które on wysoko ceni. W 3 lata po objęciu przez niego parafii w Albigowej został proboszczem w sąsiedniej Handzlówce ks. Krakowski, który przed paru laty umarł. Jednakowym duchem ożywieni mimo różnic w usposobieniu (ks. Krakowski był „zapaleńcem", entuzyastą) zaprzyjaźnili się obaj, wspierali radą, a podniecali do pracy rywalizacyą. Wprawdzie ks. Krakowski z powodu słabego zdrowia (był suchotnikiem) mniej był czynny, ale za to Handzlo-

wianie okazali się daleko podatniejszym materyałem, zwłaszcza znalazł się tam dzielny chłop Franciszek Magryś, który współdziałał z proboszczem i znacznie przyczynił się do rozwoju wsi rodzinnej. Dziś ludność w Handzlówce przedstawia się może korzystniej pod względem ogólnego rozwoju kulturalnego niż w Albigowej. I obecnie nie brak ks. Tyczyńskiemu podniety we współzawodnictwie niektórych dalszych sąsiadów proboszczów [1].

Jego praca jest wielką dla niego chlubą i tytułem do wdzięcznej pamięci nietylko u parafian, ale i u całego społeczeństwa, dlatego też słusznie powiedzieć możemy, że stał się godnym naśladowania wzorem dla polskiego duchowieństwa parafialnego. Jego działalność wskazuje, że każdy proboszcz mógłby równie wielkie zasługi położyć dla rozwoju swoich parafian, gdyby tylko chciał ofiarnie dla nich pracować poza kościołem, a w pracy był rozważny i wytrwały. Sposoby pracy są mniejwięcej wyrobione i ustalone, nauczyć się ich łatwo, najważniejsza rzecz to czas, którego jedni nigdy nie mają, gdy drudzy w tych samych warunkach umieją go znaleść dosyć poza zawodowymi zajęciami i dla siebie i dla bliźnich.

Fr. Bujak.

[1] Wspomnieć można, że w okolicy Łańcuta, zwłaszcza w Błazowej, działał około 1880 świeżo zmarły szlachetny ks. Bronisław Markiewicz, twórca Tow. „Powściągliwość i Praca“ i zakładu w Miejscu Piastowem.

KWESTYA RELIGIJNA W CHWILI OBECNEJ.

Gdy w czasie wakacyjnej podróży zwiedzamy dzisiejsze miasta, uderza nas w nich raz po raz dziwny widok.

Wchodzimy w najstarsze dzielnice z ciasnemi uliczkami: grube mury rzucają tu pomrok półcienia; małe okienka i nizkie bramy przymykają źrenice przed światłem i powietrzem. Gdzie rzucisz okiem, tam jakiś inny a ciekawy szczegół, jakaś pamiątka historyi z dawno ubiegłych wieków. A nad tem wszystkiem unosi się jakiś dziwny urok malowniczości, głębokiej nieraz poezyi, jakaś tajemnicza obecność wiekowej powagi, jakieś tchnienie rodzimego ducha.

Wśród zgrzybiałych mieszkań ludzkich to ukrywa się podobnie wiekiem schylony skromny przybytek boży, to wznosi się w niebiosa pomnikowa katedra.

I gdy w zadumie stajemy przed tymi kościołami, zaczynają opowieść ze swych lat młodości. Słyszymy, jak razem powstały z otaczającą gromadką ludzkich domostw, jak wespół z mieszkańcami przeżyły wiele bólów i cierpień, lecz także wiele pociech i radości, jak się zrosły z całem ich życiem, jak towarzyszyły ich przyjściu na świat, ich wesołej a niewinnej młodości, ich walce życiowej, ich odpoczynkowi w starości. A gdy spojrzymy na owe tumy i katedry o niezrównanych kształtach, podziwiamy tę głęboką wiarę licznych generacyi, podziwiamy ofiarność i zapał religijny, który w dziełach swych przeżył niezliczone burze.

Jakąś nieopisaną błogością przepełnieni opuszczamy te miłe

zakątki, a przed nami roztwierają się w świeżo wystawionych dzielnicach wspaniałe przestronne ulice, gdzie promienie słoneczne swobodnie bujają, gdzie oko spoczywa na cudnych dywanach kwiatów i zieleni, gdzie przywyknienie do wygód łechcą z królewskim przepychem urządzone pałace hotelowe, koncertowe ogrody, wystawy sklepowe i muzea sztuki, wygodne powozy, prędkie tramwaje i prędsze jeszcze automobile.

Wszystko tu znajdziesz, czego serce ludzkie zapragnąć może.

Czy rzeczywiście wszystko?

A gdzie ulotniło się owo błogie uczucie swojskości i rodzimej poezyi?

Wprawdzie wszystko tu piękne, wspaniałe, pańskie — lecz także zimne, sztywne, obce, obojętne. Tylko temu tu dobrze, kto ma dużo pieniędzy a więcej jeszcze ochoty do zabaw i rozrywek.

Jesteś ciężkim krzyżem dotknięty i chciałbyś wstąpić do uroczych hal kościelnych, lecz świątyni Pańskiej tu nie widać. Wśród olśniewającego bogactwa materyalnego wzrok twój napróżno szuka wskazówki do życia wyższego. Niema tutaj tych wysmukłych wież gotyckich, tych majestatycznych kopuł renesansowych, pod któremi tętni życie Boskiego Mistrza.

Niemasz Tego, co te prześliczne wyrzekł słowa: „Pociechą moją jest, przebywać z synami ludzkimi“...

Ile razy widzę ten kontrast w dzisiejszych miastach, tyle razy nasuwa mi się z jakąś nieprzepartą siłą myśl, że mam przed sobą obraz całej naszej kultury, w jakiej się dzisiaj obracamy. Może rzadko kiedy kontrast między wiarą a niewiarą, między ideałami religijnymi a kulturą materyalną był tak wyraźny, tak ostry, tak nieugięty w swoich zasadach i konsekwencyach jak obecnie.

Rozglądnijmy się tylko po dzisiejszym świecie.

Posiadamy kulturę materyalną, o jakiej dawniejsze czasy nawet marzyć nie mogły. Wynalazki następują po sobie co raz to świetniejsze; technika otoczyła całe życie nasze niezliczonemi wygodami; najróżnorodniejsze środki komunikacyjne prze-

noszą nas niemal w okamgnieniu na krańce ziemi. Nauki pozytywne obejmują cały świat doświadczalny, począwszy od ledwo dostrzegalnych mgławic kosmicznych a skończywszy na najdrobniejszych przemianach we wnętrzu żywej komórki, od kamiennych zabytków pierwotnej kultury ludzkiej aż do najsubtelniejszej analizy życia psychicznego.

Tak cieszymy się dzisiaj niesłychanem bogactwem i rozmaitością życia.

Lecz wśród gorączkowej gonitwy za coraz to nowszymi wynalazkami i wygodami, wśród denerwującego niepokoju, w jaki nas mimowoli całe dzisiejsze życie wprawia, czujemy jakąś dziwną pustkę w duszy i w sercu.

Olśniewający blask kultury zewnętrznej nie jest w stanie w zupełności zaspokoić dotkliwego braku głębszej treści życiowej, jaki raz po raz w sobie odczuwamy. Całe nasze życie jest jakimś gorączkowym ruchem odśrodkowym bez silnej, niezachwianej podstawy. Rzucamy się w ślepej gonitwie za urojonemi bogactwami na błyskotliwe zadania zewnętrzne, a zaginęła po wielkiej części refleksya o rdzennem, istotnem centrum całego naszego bytu.

Zatarła się, jednem słowem, świadomość, jakie zasadnicze, jakie centralne miejsce w życiu ludzkiem zajmują czynniki idealne, a zwłaszcza religijne...

Był czas — niedawno dopiero minął — że chciano zastąpić religię kulturą czysto intelektualną. Nauka i filozofia, mówiono nam, jest jedyną drogą do uzyskania jednolitego na świat poglądu; ona powinna nam zastąpić treść religijną, będącą dzisiaj rzekomo tylko rudymentarnym organem dawniejszych epok mitologicznych. Budowano systemy filozoficzne co raz to nowsze, co raz to oryginalniejsze, co raz bardziej sprzeczne z całem naszem życiem praktycznem i zdrowym rozumem.

Lecz wkrótce świat się przekonał, że w kształceniu czystego rozumu, w nauce, nie masz dla niego zbawienia.

I nastąpiła reakcya za dni naszych, reakcya czuciowa, woluntarystyczna i pragmatyczna. Treścią życia jest teraz czyn

jest wola, jest uczucie. Rozum według uprawianej dzisiaj prawie powszechnie filozofii pozytywistycznej i idealistycznej ma jako jedyny przedmiot swój zjawiska sfery doświadczalnej; nie może dotrzeć do istoty bytu, do treści niezmiennej. A więc niech się zadowolni badaniem naukowem, niech na innych polach ustępuje miejsca czynnikom czuciowym, praktycznym.

Filozofia racyonalistyczna zamieniła religię w jakieś myty dziecinne lub w jakąś abstrakcyę czysto logiczną, która nie jest w stanie wywrzeć wpływu na życie i czyn. Więc precz z podkładem intelektualistycznym w religii.

Religia to pęd ku dobru i pięknu.

Religia to zapał do czynu; to uczuciowe, wewnętrzne, bezpośrednie łączenie się z pierwiastkiem bożym w nas i koło nas.

Tak głoszą dzisiaj apostołowie mistycyzmu, moralizmu, woluntaryzmu i pragmatyzmu.

Inni znowu chcieli zupełnie wyrugować pierwiastek religijny z kultury ludzkiej.

Lecz pokazało się, że ani pojedynczy człowiek a tem mniej cała ludzkość bez religii żyć nie może. Człowiek pozbawiony podkładu religijnego staje się albo automatem rozumowym, albo częściej jeszcze dziką a niebezpieczną bestyą, idącą li tylko za popędami swych rozhukanych namiętności.

To też widzimy dzisiaj z najrozmaitszych stron idące próby odrodzenia religijnego.

Byli i są wykształceni nawet katolicy, którzy się cieszą z tej regeneracyi religijnej, z tego odrodzenia potrzeby wiary. Oto znak — powiadają — że myślący ludzie dochodzą powoli do przekonania, iż ludzkość bez chrześcijaństwa żyć i pomyślnie rozwijać się nie może.

Lecz czy taki pogląd nie jest zbyt optymistyczny?

Gdy się tym wszystkim usiłowaniom odrodzenia religijnego dokładniej przypatrujemy, dochodzimy do przekonania, że próby te wyrastają z nowych a mglistych pojęć, z nowych a nader zmiennych teoryi filozoficznych, z nowych dogmatów pseudonaukowych. Ścisła analiza tych podstaw poucza nas, że religia, w prawdziwem i jedynie pełnem tego słowa znaczeniu, na takim

gruncie powstać nie może. Roślina wyrastająca z tych nowych teoryi jest tylko surrogatem religii, jest płodem, który w samych zaczątkach swego życia nosi zarodek niechybnej śmierci.

Uzasadnienie tego twierdzenia wyniknie z dalszego ciągu niniejszych rozważań.

W każdym razie już sama prawda i szczerość naukowa domagają się zakreślenia dokładnej granicy między religią wyraźnie chrześcijańską, katolicką, z jednej strony — a wszystkiemi formami religii, jakie wyrastają z filozofii pozytywistycznej lub idealistycznej, z poglądu na świat woluntarystycznego, pragmatycznego lub przyrodniczego.

I w rzeczy samej niemal wszyscy ci pisarze i uczeni, którzy się dzisiaj tyle rozwodzą nad potrzebą religijnego odrodzenia, stoją już to w nieświadomej, już to w zupełnie świadomej opozycyi do chrześcijaństwa.

Jedni nie śmieją się wprost targnąć na zasadnicze nauki Kościoła, lecz sądzą, że należy zamilczeć pewne nauki katolickie niemiłe dzisiejszym uszom, że należy podkreślić cnoty aktywne i społeczne a zaniechać cnót bardziej passywnych, jak cierpliwości chrześcijańskiej, posłuszeństwa i pokory.

Inni występują już śmielej i hołdując zasadzie bezwzględnej autonomii ludzkiej żądają od Kościoła katolickiego wyrzeczenia się hierarchii i nieomylnej powagi kościelnej.

Znowu inni żądają od Kościoła, by się wyrzekł swego kultu i swej ascezy, żądają wprowadzenia pewnego parlamentaryzmu i równego prawa głosowania dla wszystkich w sprawach nawet rdzennie i wyłącznie kościelnych.

Jeszcze inni zapatrzyli się tak ślepo w nowożytną kulturę, że chcieliby za wszelką cenę religię katolicką z nią pogodzić, i wskutek tego żądają, by katolicyzm wyrzekł się pewnych nauk i dogmatów niezgodnych z nowożytną filozofią, a zwłaszcza z nowożytnym ewolucyonizmem, relatywizmem i subjektywizmem.

I jak gdyby niedość jeszcze było na tem, posuwa się cały współczesny ruch modernistyczny tak daleko, że żąda od Kościoła wyrzeczenia się wszelkiego objektywizmu i intelektualizmu

na rzecz jakiegoś mglistego, mistycznego monizmu lub panteizmu. —

Rzecz jasna, że już obiema nogami w obozie przeciwników stoi ten, kto w swoich żądaniach reformy dochodzi aż do zupełnej negacyi osobistego Boga. Jest to przecież w systemie teistycznym pojęcie centralne. Usuńmy je, a katolicki pogląd na świat przestaje istnieć, bo niemożliwem staje się wtedy objawienie, niemożliwym cały porządek nadprzyrodzony.

Opłakanego stanu rzeczy nie zmienia okoliczność, że bardzo często ci sami pisarze nad etyką chrześcijaństwa się unoszą.

Katolicka teorya moralności jest nierozdzielną od dogmatyki katolickiej. Niedorzecznością byłoby zniszczyć korzenie a chcieć utrzymywać przy życiu piękny kwiat. Kto burzy fundamenta, tem samem powoduje ruinę całego gmachu.

A jednak na tem stanowisku stoi niemal cała dzisiejsza kultura, wyjąwszy jedynie szczerych katolików i nieliczną garstkę wierzących protestantów i prawosławnych. Od czasów nominalizmu na schyłku średniowiecza, od czasów reformacyi w szesnastym stuleciu, a najdobitniej i najkonsekwentniej od czasów idealizmu kantowskiego wytworzyło się powoli pojęcie, że religia jest li tylko życiem moralnem, że Kościół jest tylko złączeniem ludzi moralnie żyjących, że religia może się zupełnie obejść bez spójni dogmatów, bez widzialnych instytucyi, bez kultu, hierarchii i sakramentów, że może się nawet obejść bez pojęcia Boga, bez pojęcia bytu nadprzyrodzonego, bez pojęcia objektywnej i niezmiennej sankcyi moralnej.

A jeżeli już ci wszyscy muszą być zaliczeni do przeciwników katolickiego pojęcia religii, cóż mam powiedzieć o pozbawionych wszelkiej głębszej myśli zwolennikach tak zwanego dekadentyzmu, o teoryach moralnych — lub raczej niemoralnych Beaudelaire'a, Nietzschego i Stirnera?

Tutaj spotykamy się już zupełnie wyraźnie z tezą wprost przeciwną wszystkiemu, co wyznaje i uczy chrześcijaństwo.

Tutaj mamy już ubóstwienie najniższych namiętności: zbrodnia jest tu czynem bohaterskim, bluźnierstwo przeciwko Bogu największą cnotą a człowiek sam jedyną miarą swej religii.

W każdym razie stoimy wobec niezbitego faktu, że religia chrześcijańska, jaką Jezus Chrystus założył, jest tylko jedna, jaka się mianowicie po dziś dzień w Kościele katolickim zachowała, a w różnych sektach chrześcijańskich o tyle tylko, o ile są zgodne z nauką katolicką. Z drugiej zaś strony stoi nieskończony prawie szereg najrozmaitszych teoryi i poglądów, począwszy od pewnych filozofematów, teistycznych jeszcze, a skończywszy na najskrajniejszym kulcie szatana.

Otóż zachodzi pytanie: czy można te formy antagonizmu nurtującego wśród całej dzisiejszej kultury sprowadzić do jednej, jasnej, wszystkim wspólnej, a istotnej wszystkim treści?

Tak jest.

Głębsze zastanowienie się nad tą różnorodnością, nad jej podstawami i zasadniczemi założeniami doprowadza nas do przekonania, że katolicyzm jest z istoty swej poglądem na świat przewyższającym całą doświadczalną rzeczywistość, podczas gdy wszystkie inne formy religii wyrastają z pozytywizmu lub siłą rzeczy do niego dochodzą. Innemi słowy: religia katolicka stoi i przestaje być wraz z uznawaniem bytu nadprzyrodzonego. Wszystkie inne religie muszą ostatecznie zatrzymać się w sferze bytu przyrodzonego. Początkiem i końcem, treścią i sumą, podstawą i koroną religii katolickiej jest Bóg osobisty i troisty zarazem, Bóg, który z nieskończonej dobroci swojej ludzkość całą podniósł do nadprzyrodzonej sfery łaski; wszystkie inne natomiast religie muszą konsekwentnie ten porządek nadprzyrodzony odrzucić, muszą prędzej czy później dojść do kultu świata i człowieka. Więc katolicyzm z jednej strony — nowożytne pogaństwo z drugiej strony: oto dwa obozy, między którymi pośredniego ogniwa niema. Można w przeciwnym obozie stać bardziej po prawicy lub bardziej skrajnej trzymać się lewicy; lecz jak przed dwudziestu wiekami, taksamo i dzisiaj jeszcze, w całej naszej bogatej kulturze spełnia się do joty słowo Zbawiciela: „Kto nie jest ze mną, przeciw mnie jest, a kto nie gromadzi ze mną, rozprasza“ (Luc. 11, 23).

Nie potrzebuję jednak chyba zaznaczać, że powyższemi

słowami nie potępiam bynajmniej wszystkich tych, którzy się znajdują po tamtej stronie. Jest tam wielu ludzi jeszcze dobrej woli i szczerej wiary. Nie mówię tu o zwolennikach wspomnianych poglądów, mówię o teoryach jako takich. Nie mówię o ludziach, lecz o zapatrywaniach; mówię o tem, jakie są ich logiczne i realne podstawy, ich wewnętrzne związki i konieczne konsekwencye.

Lecz czy tak jest w rzeczy samej? Czy rzeczywiście przysługuje nam prawo, by ustanowić taki ostry rozdział i wszystkie zapatrywania niekatolickie zapędzić na tamtę stronę granicy?

Przypatrzmy się więc bliżej jednemu i drugiemu na świat poglądowi.

* * *

Faktem jest historycznie pewnym, że za czasów Cezara Augusta i Tyberyusza żył w Palestynie wielki prorok, cudotwórca i nauczyciel ludu żydowskiego Jezus z Nazaretu. Ten Jezus uważał siebie za obiecanego przez starych proroków Mesyasza, głosił nową, doskonalszą od żydowskiej religię, wyznawał się synem Bożym i jednym z Bogiem Ojcem. Tego faktu nie potrafiła żadna krytyka w imię nauki zaprzeczyć lub obalić. Kto przeczy historyczności tego faktu, ten burzy wszystkie podwaliny zdrowej krytyki historycznej, ten musi konsekwentnie odrzucić także historyczność cesarzów rzymskich, klasyków greckich i łacińskich, ten nie może przyjąć nawet istnienia Karola Wielkiego, króla Jagiełły lub Napoleona. Tutaj nic nie wskórają żadne teorye mitologiczne, astralne, panbabylonistyczne, buddystyczne lub lamaistyczne. I faktem również niezbitym jest, że ten Jezus zgromadził koło siebie dwunastu apostołów i wielu uczniów, że w ten sposób założył pierwotny Kościół, który w nieprzerwanej ewolucyi rozwinął się aż po dziś dzień w wspaniały, obejmujący świat cały Kościół katolicki. I dalej jeszcze faktem niezbitym jest to, że w osobie Jezusa z Nazaretu wszystkie proroctwa, wypowiedziane przed wiekami o przyszłym Mesyaszu, dosłownie się spełniły, że ten Jezus z Nazaretu na udowodnienie prawdziwości i boskości swej nauki

zdziałał rozliczne i niewidziane dotąd cuda, że przedewszystkiem po bolesnej śmierci na krzyżu rzeczywiście zmartwychwstał. Jest to fakt podstawowy w religii katolickiej, fakt tak niesłychanej doniosłości, że słusznie zupełnie apostoł narodów mógł powiedzieć: „Jeżeli Jezus nie zmartwychwstał, próżną jest wiara nasza“ (1 Cor. 15, 14). Jeżeli Jezus nie zmartwychwstał, wszystkie inne dowody na jego bóstwo prysnąć muszą jak bańki mydlane.

To też nic dziwnego, że cała krytyka niewiary zwartymi szeregami przypuszcza szturm do tej pierwszorzędnej twierdzy naszej religii. Ale czy krytyka za Reimarem i Lessingem przyjmuje oszustwo apostołów, czy z Paulusem ogłasza teoryę pozornej tylko śmierci, czy wreszcie za Pfleidererem, Harnackiem i całą plejadą ich uczniów zmartwychwstanie rozumie w znaczeniu przenośnem tylko, jakoby Jezus odżył tylko w naszej wierze, miłości i nadziei: w każdym razie musi się niechybnie zawikłać w gęstą sieć sprzeczności; w każdym razie musi dla dowolnie przyjętego apryoryzmu stanąć w opozycyi do zdrowego rozumu, do faktów niezaprzeczalnych, do najbardziej krytycznej metody, historycznej nawet.

Cała geneza i ewolucya Kościoła katolickiego wśród najtwardszych warunków, przy nieustannych prawie a różnorodnych prześladowaniach, wobec głębokich przewrotów kulturalnych i politycznych, w których wielkie mocarstwa runęły a starodawne państwa w perzynę się rozleciały: cała ta geneza i ewolucya jest niezbitym dowodem na to, że Kościół katolicki wraz z jego religią nie jest dziełem człowieka tylko, lecz dziełem bożem, dziełem tego, który miał prawo wyrzec te niesłychane dotąd w historyi ludzkiej słowa: „Bramy piekielne nie przezwyciężą go“ (Mt. 16, 18).

Który monarcha, który geniusz polityczny, który założyciel religii lub twórca systemu filozoficznego mógł powiedzieć jak Jezus: „Oto ja będę z wami aż do skończenia świata“? (Mat. 28, 20).

Lub czy istnieje umysł ludzki tak potężny i przenikliwy, żeby mógł bez przesady o swojej nauce powiedzieć: „Niebo

i ziemia przeminą, a słowa moje nie przeminą"? (Mat. 24, 35).

Który myśliciel był w stanie wycisnąć na swojej nauce piętno takiego szczytnego uniwersalizmu, jakim chlubi się religia katolicka? Jestto nauka wyrastająca z najgłębszych potrzeb natury ludzkiej a zarazem nauka najbardziej przeciwna wszystkiemu, do czego człowiek sam sobie zostawiony dąży. Najbardziej oddalone od kultury ludzkiej narody kąpią się w ciepłych blaskach jej promieni i dochodzą w krótkim czasie do wysokiej kultury etycznej i religijnej. Małe już dzieci i upośledzeni przez wszystkich prostaczkowie otwierają swe serca jej zapładniającej ciepłocie; a najwięksi geniusze myśli i czynu nie są w stanie wyczerpać wszystkich jej skarbów, nie są w stanie dotrzeć do ostatnich jej głębin. Wszelka inna nauka może zostawić i zostawia w rzeczy samej miliony ludzi w najzupełniejszej obojętności; kto się raz zetknął z nauką Chrystusa, ten nie może dłużej być obojętnym, ten musi się albo oświadczyć za nią albo stać się jej nieprzyjacielem. Żadna inna religia nie wydobyła z ludzkości tyle skarbów myśli i piękna, tyle czynów bohaterskich, tyle cnót cichych a heroicznych, tyle krwi męczeńskiej, tyle ofiar całopalnych.

Ale chociaż ta religia Chrystusowa na wskróś przeniknęła serca i uczucia milionów i miliardów, nie jest ona li tylko uczuciem, porywem, zapałem.

Religia Chrystusowa napełniła najszczytniejsze dusze tą tajemniczą obecnością bożą, z której wyrastała tęsknota za nadziemskiemi krainami — lecz nie jest ona mglistym mistycyzmem, w którym człowiek czuje się utożsamiony z bóstwem i bytem całem.

Religia Chrystusowa daje wszystkim zwolennikom swoim niewysłowione szczęście wewnętrzne i niezmiernie treściwe spełnienie najgłębszych ich pragnień, lecz nie jest ona tylko wytworem pragmatycznego dążenia do coraz pełniejszej doskonałości.

Religia Chrystusowa roztoczyła wobec całego świata najpiękniejsze kwiaty wysokiej moralności — lecz źle ją ocenia,

ktoby sądził, że w tej moralności cała jej treść się wyczerpuje.

Religia Chrystusowa jest to wszystko, ale jest jeszcze nieskończenie więcej.

Albowiem w tej religii zawiera się zarazem podniosły system ideowy, obejmujący powszechność myśli i bytu, system spinający w jedną całość dwie wielkie, niewyczerpalne sfery, przyrodzoną i nadprzyrodzoną.

Obecność Boga w kornie wierzącej duszy nie jest pantestyczną fantasmagoryą, lecz najprawdziwszem w świecie schyleniem się łaskawego ojca ku kochającym go dziatkom. Prócz uczuć i porywów szlachetnego serca są tu dziwnie tajemnicze a płodne w łaski obrzędy, które w te dziczki młodych istot ludzkich wszczepiają szlachetną krew boskiego powinowactwa. Te to obrzędy pasują je dalej na walecznych rycerzy do boju ze wszystkiem, co moralnie upadla; one goją rany w potyczce życia wskutek słabości lub nieostrożności otrzymane; one orzeźwiają spragnioną i zgłodniałą duszę anielskim pokarmem; one dają pełnomocnictwo do dalszego szafowania temi bożymi darami; one dają nieprzezwyciężoną moc na najkrytyczniejszą życia naszego chwilę; one podnoszą nieokiełznane prawo natury do rzędu najświętszych obowiązków społecznych. Jednem słowem, te obrzędy, w języku kościelnym sakramentami zwane, stanowią tyleż złotych nici, łączących naszą sferę czysto naturalną z nadprzyrodzonym bytem bożym, stanowią tyleż przewodów, którymi jakby życiodajnemi żyłami płyną zdroje bożego miłosierdzia, bożej hojności. Lecz jeżeli religia Chrystusowa daje treść życiową i obfitość wewnętrznego szczęścia, to daje ją tylko tym, którzy są wszczepieni w organizm mistyczny chrystusowego ciała i którzy starają się na seryo żyć według chrześcijańskiej moralności. I dlatego też zarzuty podniesione przeciwko religii i moralności chrześcijańskiej ze strony tych, którzy stoją poza Kościołem albo przynajmniej według jego zasad nie żyją, nie mają żadnego znaczenia, dlatego, że takowym brak wszelkiego pod tym względem doświadczenia. Tylko kto Chrystusa przyjmuje całego, bez ogródki i ograniczeń, bez

subjektywnego wyboru i samowolnej krytyki, może się stać uczestnikiem wszystkich tych skarbów, jakie nam Chrystus w swoim Kościele złożył. I dlatego to religia Chrystusowa nie ma nic wspólnego z mętnym mistycyzmem religijnym, jaki wyrasta z duszy Boga samopas szukającej, z duszy nie chcącej schylić się przed powagą nieomylnej prawdy, z duszy, która sama sobie chce być źródłem szczęścia i zbawienia.

Innemi słowy: religia, jaką nam Chrystus dał, jest potęgą objektywną od zachciankowej filozofii lub nauki naszej niezależną.

Ta religia nie jest wytworem człowieka, i dlatego nie podlega zmiennym fazom kultury i myśli ludzkiej. Ona przedstawia się nam jako klasyczny posąg, który wyszedł z warsztatu mistrza bez najmniejszej zmazy. Tutaj nie można niczego dodać, niczego odjąć. Tu należy całość przyjąć lub wszystko zburzyć. Tu trzeba kornie się poddać lub rzucić pochodnię buntu. Albo uznamy potęgę i mądrość bożą, albo musimy z rozpaczą wyznać: nie masz prawdy na świecie.

Która z tych alternatyw słuszna? która życiodajna?

Pytajmy się historyi. A ta mistrzyni życia otworzy księgę dziejów ludzkich z ostatnich dwutysięcy lat, i wskaże palcem na postęp ludzkości, na rozwój cywilizacyi, nauki i sztuki, wskaże na walki i boje, na krwawe rewolucye, na czarne plamy i bolesne rany — i powie: religia chrześcijańska jest drogą do najwyższych szczytów kultury; sprzeniewierzenie się jej zasadom jest zarodkiem wszelakiego przewrotu.

Najwięksi nawet nieprzyjaciele chrześcijaństwa przyznać muszą, że Jezus Chrystus dając nam swą religię uczynił dla ludzkości niezmiernie dużo dobrego. Gdy im jednak powiadamy: a więc poddaj się powadze Chrystusa i jego Kościoła, spoglądają na nas z szyderczem uśmiechem litości, uderzają się dufni w pierś i wołają: my wolni, my synowie światła i gór, my dzieci nowożytnej kultury! Uznajemy powagę, lecz jedną tylko na całym świecie: to my, to nasza autonomia, to nasza nauka!

Czy taka samowolność jest cechą Chrystusową?

Czy można czerpać z obfitości Chrystusowej a równocze-

śnie stać przy swojej niebotycznej a jednak tak karłowatej niezależności?

Czy nie powiedział Jezus do swoich pełnomocników: „Kto was słucha, mnie słucha; kto wami gardzi, mną gardzi“? A to drugie słowo: „Kto Kościoła nie słucha, ten niechaj-ci będzie jako poganin i jawnogrzesznik“? (Mat. 18, 17).

Dzieło Jezusowe stoi na granitowej opoce. Jest to powaga boskiego posłannictwa, bożej prawdy, bożej nieomylności. I tę powagę złożył Jezus w swoich zastępcach na ziemi, w apostołach i ich księciu na czele Piotrze i wszystkich prawych ich następcach. I znowu spotykamy się tutaj z faktem niezbitym: tylko jeden jedyny na całym świecie Kościół katolicki sięga w swoich papieżach nieprzerwanym szeregiem aż do pierwszego papieża Piotra. Tylko on jeden dźwiga się na tej opoce, na której Jezus Kościół swój postawił.

Nie tutaj miejsce na wyczerpującą charakterystykę katolickiej religii. Obecnie chodzi nam o jaknajtreściwszy obraz poglądu na świat katolickiego w przeciwstawieniu do poglądu modernistycznego, naturalistycznego, nowopogańskiego. Każda religia zrasta się z czynników przedmiotowych i podmiotowych; z pewnych nauk i obrzędów z jednej strony, z rozumnego uznawania oraz praktycznego wykonywania z drugiej strony. Otóż ze strony przedmiotowej najgłębszą treścią naszej religii jest rzeczywistość nadprzyrodzonego bytu bożej łaski, schylającej się do naszych nizin przez Zbawcę naszego Jezusa Chrystusa, przez Jego Kościół, przez Jego pełnomocników, przez Jego sakramenta, jednem słowem przez Jego całe objawienie i kościelną instytucyę. A ponieważ rozum nasz nie jest w stanie o własnych siłach dotrzeć do tajemnic nadprzyrodzonych szczytności, dlatego to właśnie Bóg przyjął postać ludzką w osobie Jezusa z Nażaretu, dlatego przyniósł nam radosną nowinę niebieskiego królestwa, dlatego wysłużył nam osobiście niezrozumiałe czystym rozumem synowstwo dzieci bożych. Kto w szukaniu prawdy jedynie na ludzkim opiera się rozumie, temu Chrystus ukrzyżowany musi być głupotą i zgorszeniem, jak już Paweł św. pisał do Koryntian (1 Cor. 1, 23). To uznawanie bo-

żego objawienia, ta wiara dziecięca w bożą naukę, to skwapliwe lgnięcie do bożego serca jest jedyną bramą do królestwa Chrystusowego, jest religią w rozpatrywaniu p o d m i o t o w e m. Możemy i powinniśmy się starać na podstawie danego nam objawienia głębiej zrozumieć naukę Chrystusową, możemy ją ująć w system teologii naukowej, zespolić z filozofią i z życiem praktycznem, lecz zawsze i wszędzie musimy pamiętać o tem, że tutaj staje wobec nas sama powaga nieomylnego Boga, że tu mamy do czynienia nie z wytworem ludzkiej mądrości, lecz z niezasłużonym darem hojności bożej.

Każda zatem teorya, któraby choć jedną cegiełkę z tego gmachu wyłamać chciała, musi prędzej czy później dojść do zupełnej abnegacyi, do zupełnego ateizmu.

Wiem, że wielu nie zgodzi się na ten wniosek, i rozumiem dobrze, dla czego. Niejeden uczony katolicki głosił lub głosi teorye modernistyczne, a jednak w życiu praktycznem był lub jest gorliwym katolikiem; istnieje dużo wierzących jeszcze protestantów i schyzmatyków, którzy nie mają nic wspólnego z nowożytnem pogaństwem. Wiem o tem dobrze.

I cieszę się, że tak jest. Bo rzadko kiedy dociera człowiek choćby najbystrzejszego umysłu do skrajnych ostateczności swych teoryi. Lecz inną jest rzeczą, że różni ludzie usiłują pośredniczyć między jednym a drugim obozem, a inną jest rzeczą, czy teorya jakakolwiek może pogodzić religię katolicką z przeciwnymi poglądami. Dlaczego próby reformy katolickiej, rozpoczęte w imię nowożytnej kultury przez Ollé-Laprune'a, Laberthonnière'a, Blondel'a i Balfour'a doprowadziły w powolnych a nieznacznych prawie krokach aż do zupełnego zaprzeczenia nie tylko boskości, ale nawet historyczności Jezusa Chrystusa, ba nawet do zupełnej negacyi pojęcia teistycznego we filozofii? Skąd to dziwne doprawdy zjawisko, że taż sama szkoła zaczęła od drobiazgowej krytyki filologicznej, a skończyła na zupełnem bankructwie zmysłu historycznego? Jak sobie to tłumaczyć, że ten sam prąd, który w pierwszem stadyum chciał tylko uwolnić naukę katolicką od pewnych rzekomych naleciałości, dzisiaj doszedł do skrajnego monizmu na-

turalistycznego? Oto logika faktów, silniejsza od logiki serca a nawet od logiki pojedynczego rozumu. Żelazna konsekwencya historycznego rozwoju nie da się wstrzymać dobremi postanowieniami, a tem mniej pięknemi słowami.

Jeżeli zatem bez wahania się różne poglądy teistyczne a nawet wiele poglądów na pozór zupełnie katolickich zaliczam do nowożytnego naturalizmu, czynię to właśnie prawem tego rzeczowego pokrewieństwa, logicznego związku i nieubłaganej konsekwencyi historycznej. Nie my więc takie teorye wypychamy do przeciwnego obozu; one same wyrzekły się żywotnej spójni z winną macicą Chrystusową. Czy naszą to winą, że wielu modernistów rozpoczęło tragedyę swych doktryn od najzbawienniejszych na pozór projektów reformy, a skończyło na otwartem uznawaniu agnostycyzmu lub monizmu? To nie przypadek, to nieubłagane prawo logiki.

Gdzie więc tkwi najgłębsza przyczyna tego tak zgubnego fatalizmu dziejowego? Oto w tem, że kto choć jeden kamień w gmachu Chrystusowej religii z miejsca ruszyć usiłuje, tem samem zamiast nieomylnej powagi Bożej swój własny stawia rozum. Najmniejszej tutaj nie stanowi różnicy, czy w autonomicznej krytyce naszej chcemy tylko usunąć dogmat o wieczności kar piekielnych lub nieomylności papieża, albo czy żądamy wprost od Kościoła wyrzeczenia się wszelkiego intelektualizmu na rzecz czynników czuciowych. Kto z dekalogu choć jedno tylko przykazanie ruguje, podnosi bunt przeciwko całemu prawodawstwu bożemu. I dlatego mniej niebezpiecznym dla religii katolickiej jest otwarty renegat, niż wierny niby syn, który w udanem posłuszeństwie tylko tam się powadze Kościoła poddaje, gdzie sam to uznaje za odpowiedne. W królestwie bożem samowolna reforma dogmatów jest również ciężkim buntem jak grzech z podniesioną pięścią popełniony. Tu jak tam ostateczną powagą nie jest Bóg, lecz człowiek. Tu jak tam ukrywa się ta sama autonomia bezwzględna. Tu jak tam przyznajemy się do zasady wszelkiego naturalizmu, pozytywizmu i sekularyzmu: wszystkiego miarą i normą ostateczną jest człowiek (πάντων χρημάτων μέτρον ἄνθρωπος).

Albo więc przyjmujemy objawienie Boże w Kościele złożone, a wtedy musimy przyjąć wszystko, bo wszędzie staje wobec nas taż sama powaga nieomylności Bożej; albo wzywamy na sędziego nasz własny rozum, a wtedy człowiek staje się uzurpatorem odwiecznych tronów. „Chwały mojej nikomu nie dam", powiada Bóg przez Izajasza (42, 8). Albo czy zbrodnia buntu staje się mniejszą, jeżeli powstaniec zrzuconemu monarsze jeszcze zostawia łaskawy kawałek chleba?

Teraz już zupełnie jasną jest rzeczą, dlaczego przedtem powiedziałem: każdy bez wyjątku, kto nie przyjmuje nauki katolickiej w całości, bez ogródek i ograniczeń, albo nie na podstawie nieomylnej powagi bożej, lecz na gruncie własnego krytycyzmu, temsamem staje po tamtej stronie granicy. Albowiem punktem wyjścia i osią, około której cała religia katolicka się krystalizuje, jest Bóg, jego powaga, jego objawienie. Natomiast we wszystkich innych formach religii kamieniem węgielnym jest człowiek, jego rozum, lub, co gorsza, jego namiętność.

Jeszcze raz więc powtarzam z całym naciskiem i z całą świadomością o olbrzymiej doniosłości tego słowa: nie ma pośredniej drogi między religią katolicką z jednej strony a poglądem na świat wolnomyślnym z drugiej strony. Wszelkie usiłowania modernistyczne, wszelkie próby pośredniczenia między jednym a drugim poglądem stają w połowie drogi. Jest to bawienie się mieczem obosiecznym.

* * *

Mówiono i pisano w ostatnich czasach dużo o tem, że Kościół katolicki powinien zrobić pewne ustępstwa ze swej dogmatyki lub nauki moralności, a wtedy cała nowożytna kultura garnąć się będzie pod jego sztandary. To jest optymistyczne, lecz zasmucające krótkowidztwo, nic więcej. Na samem dnie takich zapatrywań leży słuszne zupełnie przekonanie naszych przeciwników: skoro Kościół katolicki choć na jedno tylko ustępstwo w rzeczach istotnych się zgodzi, filozofia i kultura nowożytna, a właściwie zupełna samowola zagarnie wkrótce

wszystko. Nie kultura nowożytna stałaby się katolicką, lecz Kościół katolicki przestałby istnieć. Nie widzimy tych strasznych poprostu konsekwencyi dlatego tylko, że za mało znamy podstawową strukturę naszej religii, a natomiast dużo, zbyt dużo przejęliśmy się już naturalistycznemi zasadami współczesnej kultury. Stykamy się mimowoli ciągle z najzgubniejszymi wpływami, oddychamy poprostu ich powietrzem, a za mało w nas krytycznej refleksyi, za mało samodzielności rozumowej, by wszędzie dopatrywać się ukrytych związków logicznych i ostatecznych konsekwencyi.

Bo też jakie są te konsekwencye?

Z godną zaiste podziwienia gruntownością i z niezmierną znajomością rzeczy skreślił Pius X. w sławnej encyklice o modernizmie „*Pascendi dominici gregis*“ z dnia 7. września 1907 r. tak punkt wyjścia jak ostateczne wyniki dzisiejszych prądów modernistycznych. Podstawą całego systemu modernistycznego jest filozofia pozytywistyczna i agnostyczna; ostatecznym wynikiem jest nie tylko zaprzeczenie wszelkiego bytu nadprzyrodzonego, ale wogóle wszelkiej istności pozadoświadczalnej. Według tego systemu poznajemy tylko to, co podpada pod nasze doświadczenie; a więc przedmiotem naszej wiedzy jest tylko świat widzialny. Wszelki byt przestępny jest dla nas niepoznawalny (*inknowable*), by z Spencerem się wyrazić, jest jakieś nieznane, ignotum x, by użyć terminologii Kanta.

Lecz nie dość na tem.

Ponieważ według innego a również dowolnego założenia nowożytnej filozofii tylko taki byt jest rzeczywisty, którego istnienie doświadczeniem naszem stwierdzić możemy, więc wszelki byt przestępny, jak Bóg, substancyalność i duchowość duszy ludzkiej, wolność woli, nieśmiertelność, jest nie tylko czemś niepoznawalnem, lecz jest wogóle niczem. To wszystko jest tylko transcendentalną iluzyą zbutwiałej już dzisiaj metafizyki. A więc precz z takiemi urojeniami z naszej nauki, precz z nimi z naszej filozofii, z naszego poglądu na świat. Gmach dawnej metafizyki religijnej runął, powtarzają raz po raz zwolennicy nowego poglądu na świat, a na gruzach rozbitych zam-

ków idealistycznych wznoszą się hasła materyalnej kultury. Nauki doświadczalne, etyka niezależna, religia bez Boga i bez wiary, krytyka pseudohistoryczna, usuwająca za wszelką cenę nadprzyrodzone czynniki z dziejów ludzkości: oto podwaliny nowożytnego na świat poglądu.

I jakby niedość jeszcze na tem było, nowe działa się toczą, by wszelki ślad dawnych przekonań z oblicza ziemi doszczętnie zgładzić.

To tak zwane prawo zamkniętej przyczynowości przyrodniczej. Innemi słowy możnaby je tak wyrazić: istnieją tylko skutki doświadczalne, a więc są tylko przyczyny doświadczalne. W całokształt bytu doświadczalnego żaden czynnik pozadoświadczalny działaniem swojem wkroczyć nie może.

A teraz niema już najszczuplejszego nawet miejsca dla wyższych czynników. Bóg nie może już w takim poglądzie na świat znaleść sobie mieszkania, jak bluźni Strauss.

Na odwiecznym tronie bożego majestatu zasiadł więc obecnie — człowiek. I szałem swej apoteozy przejęty rozgląda się po świecie i woła: jam król, jam jedyny pan, jam Bóg! I biada temu, kto się nie poddaje nowemu bożkowi; biada temu, kto z tęsknotą wstecz się ogląda za minionymi ideałami. To renegat, to zacofaniec, to niewolnik, to barbarzyniec niegodny grzać się w blaskach nowożytnej kultury. To nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego, to wcielenie antychrysta. Na stos z nim, w kajdany go okuć, rzucić go do lochów podziemnych! Czy nie doznaliśmy świeżo jeszcze tych błogosławieństw nowożytnej kultury w Portugalii, a nieco dawniej we Francyi? Czy nie czeka nas katolików klątwa na całej niemal kuli ziemskiej?

Może przyjdą jeszcze czasy, że w podziemnych katakumbach kryć się będziemy. Boski nasz Mistrz powiedział niegdyś te słowa: „Prześladowanie cierpieć będziecie". Ale odwieczna prawda dodała zarazem: „Lecz ufajcie; jam zwyciężył świat!"

Czem więc w takim naturalistycznym poglądzie może być wiara i religia?

Jeżeli nie jest zjawiskiem doświadczalnem i li tylko doświadczalnem — niczem nie jest. W tej filozofii religia jest tylko od-

ruchem czuciowym; wiara jest uznawaniem swej własnej absolutnej powagi. Jak podmiot poznający jest źródłem i miarą wszystkiego, tak też cała religia składa się z czynników podmiotowych tylko. Treść powszechna, powaga przedmiotowa nie ma tu już prawa do bytu. W miejsce hierarchicznej monarchii występuje na widownię życia religijnego demokratyczny indywidualizm. Niedorzecznością jest dogmat, prawo moralne lub jakakolwiek instytucya przedmiotowa i ogólnie obowiązująca; albowiem ile umysłów ludzkich, tylu samowładców. Jedyną i nieograniczoną powagą jest własna wolność, jeźli nie wyuzdany libertynizm. Wszędzie postęp, wszędzie zmiana, rozwój, walka o byt, prawo pięści. Wspomnij dzisiaj w jakiejkolwiek dziedzinie a zwłaszcza na polu religii i moralności o niezmiennej, odwiecznej prawdzie, a spotkasz się natychmiast z litościwym uśmiechem, jak wobec nowożytnej nauki można być jeszcze tak zacofanym. Mówisz o łasce, o potrzebie zbawienia przez Boga-człowieka? Tak, można ostatecznie jeszcze na takie wyrazy się zgodzić. Lecz zbawienie nie przychodzi już od Boga, któryby był czemś poza mną. Autosoteryologia — to jedynie modne, naukowe zapatrywanie. Człowiek sam jest dla siebie zbawcą. Niech się tylko jak najradykalniej wyzuwa z wszelkich pozostałości dawnej religii, a będzie wolny, wielki, szczęśliwy!

Oto podstawowe dogmaty nowoczesnej religii bez Boga!

A jakie wynikają z nich zasadnicze cechy jednego i drugiego poglądu na świat?

W katolicyzmie supranaturalizm, istnienie bytu nadprzyrodzonego — w przeciwnym poglądzie czysty naturalizm.

Tam objektywizm, stawiający się wobec nas z powagą bożej prawdy i nieomylności — tu krańcowy subjektywizm, mający jedyną normę w każdej jednostce z osobna.

Tam autorytet boży, wcielony we widzialną instytucyę kościoła i papiestwa — tu libertynizm głoszący hasło bezwzględnej niezależności.

Tam niezmienna, pełna prawdy treść dogmatów — tu krańcowy ewolucyonizm przechodzący fazy po fazach.

Pojedyncze te cechy stanowić będą treść następnych rozdziałów. Przy bliższem rozpatrywaniu tych cech jeszcze lepiej się przekonamy, że pogląd naturalistyczny jest pod każdym względem negacyą poglądu katolickiego.

A że poglądy i zapatrywania naturalistyczne dziś coraz bardziej się szerzą a nawet międzynarodowe organizacye stwarzają, nie pozostaje zatem najmniejsza wątpliwość, że dzisiejsza kultura antichrześcijańska toczy walkę o byt i niebyt. Naszem zadaniem jako katolików, stanąć mężnie i otwarcie pod chorągwią Boskiego Mistrza. I jak przeciwnik się jednoczy w zwartych szeregach, tak i my podajmy sobie bratnią dłoń. Boć chodzi nam o obronę najświętszych skarbów. To też stańmy z otwartą przyłbicą pod sztandarem tego, który jedynie miał prawo i moc ku temu, by powiedzieć: „Ufajcie, jam zwyciężył świat".

Ks. Fr. Klimke T. J.

Problem Społeczno-agrarny Vogelsanga W Stronnictwie Chrześcijańsko-społecznem.

Obok socyalistów wystąpiła z gotowym programem agrarnym szkoła Vogelsanga, która dała początek i wytknęła kierunek chrześcijańsko-socyalnemu ruchowi ludowemu w Austryi [1].

Dwie cechy znamienne charakteryzują tę szkołę: nieprzejednana walka z zżydziałym kapitalizmem i wprowadzenie w dzisiejsze życie gospodarcze chrześcijańskich zasad moralnych. I dwa te hasła stanowią największą jej zasługę i torowały jej drogę do żywotnego powodzenia i zwycięstw politycznych.

---

[1] Jeden z wybitnych przedstawicieli tego kierunku tak charakteryzuje początek tej szkoły: „Założycielem chrześcijańskiej reformy społecznej i twórcą chrześcijańsko-socyalnego ruchu ludowego w Austryi był baron Vogelsang. Gdy ucisk ludu duchowy i materyalny pod panowaniem żydowskiego liberalizmu osiągnął stopień najwyższy, głównie w mieście stołecznem Wiedniu, zjednoczył baron Vogelsang razem z garstką, duchem mu pokrewnych, przyjaciół, rozbite szeregi ludu chrześcijańskiego, zrazu pod nazwą „Związek chrześcijański“ i zapoczątkował chrześcijański ruch ludowy. Pismo zaś przezeń założone i redagowane p. t. *Monatsschrift für christliche Sozialreform* miało świeżo rozwijającemu się i dużo obiecującemu ruchowi i ustawodawstwu socyalnemu wytknąć drogę i kierunek.

W akcyi zwycięskiego zmagania się z Żydami, w ich, jak się zdawało, niedostępnej warowni, Wiedniu, ma baron Vogelsang pierwszą i w pewnej mierze największą zasługę. Czynnym agitatorem wprawdzie nie był baron Vogelsang nigdy, ale on stworzył dla katolickich polityków socyalnych duchowe ognisko, gdzie agitatorzy i wodzowie chrześcijańskiej partyi socyalnej kształcili się na dobrze uzbrojonych i zwycięskich zapaśników“.

Patrz: Dr. Aemilian Schöpfer, *Verschuldungsfreiheit oder Schuldenfreiheit* str. 123.

W rozumieniu barona Vogelsanga i jego szkoły w dzisiejszym kapitalistycznym porządku gospodarczym tkwi główna przyczyna i korzeń wszystkich niedomagań i nieporządków społecznych.

A na czem polega ten kapitalizm? „Pojmować wszystkie rzeczy, jako kapitał, tłomaczy Vogelsang, przynoszący właścicielowi procenty i wynikająca stąd tendencya, że wszelką produkcyę nie dla jej celu przyrodzonego prowadzić należy, ale dla procentu i czystego dochodu, że przedmiotów produkcyjnych, które są w prywatnem posiadaniu, używać i nadużywać wolno według widzimisię, choć one są włodarstwem, poruczonem nam przez Boga i społeczeństwo: oto istota systemu kapitalistycznego".

„Absolutystyczne rządy pieniądza: oto przyczyna niedomagań ludów, przyczyna, która rozsadza organizmy państwowe i pozbawia wolności społeczeństwa i podbija je w moc wielkiego kapitału" [2]. System ten znalazł wyraz najdoskonalszy w „dzisiejszem europejskiem gospodarstwie pieniężnem", które rozszerza się na świat cały i stanowi największe niebezpieczeństwo czasów naszych, jako rewolucya ekonomiczna, socyalna i polityczna, groźniejsza niż wszelkie rewolucye socyalistyczne i anarchistyczne...

Jest to chaos ekonomiczny, w którym kapitalizm za łupem goni, w którym największy kapitał pieniężny kojarzy się z najmarniejszą moralnością i zagarnia sobie jako łup owoc pracy i zarobkującej własności ludzkości całej" (str. 546).

„Całe dzisiejsze europejskie gospodarstwo pieniężne niczem innem nie jest, jak najogólniejszym objawem owego ducha antysocyalnego i dumnego egoizmu i niezdrowego zapału dla fałszywego rozumu i fałszywej oświaty, które owe przeobrażenia straszne ostatnich czasów ubiegłych wywołały" (str. 411).

W mniemaniu tedy Vogelsanga i jego zwolenników bez-

[1] Dr. Klopp: *Sozialen Lehren des Frh. v. Vogelsang.* St. Pölten 1894 str. 534.

[2] Patrz: von Vogelsanga, *Die Consolidierung des Bodenwertes,* Wien 1885 str. 9.

względne panowanie pieniądza i międzynarodowych potęg finansowych jest główną przyczyną wszystkich dzisiejszych niedomagań społecznych pod względem moralnym i materyalnym i najstraszniejszym wrogiem całej wogóle kultury chrześcijańskiej. A ponieważ największymi potentatami w świecie finansowym są Żydzi, więc przeciwko Żydom zwracają się zarazem wszystkie ataki gwałtowne szkoły chrześcijańsko-socyalnej.

„To, co kulturze chrześcijańskiej podcina korzenie, to duch kapitalistycznego gospodarstwa pieniężnego i kredytowego. Czy to prosty przypadek czy też osobiste zuchwalstwo Żydów, że z wzmożeniem się panowania kapitału wzmaga się przewodnictwo ich we wszystkich sprawach publicznych? Taki jest poprostu wyraz logiczny związku przyczynowego rzeczy“ [1].

Taki jest pogląd ogólny barona Vogelsanga na dzisiejszy problem socyalny i jego przyczyny. A teraz jaki jego pogląd na kwestyę agrarną i jej rozwiązanie?

Największe w mniemaniu barona Vogelsanga spustoszenie poczynił system i duch kapitalistyczny w dziedzinie rolnictwa. Kwestya agrarna, zdaniem jego, to węzeł gordyjski kapitalizmu. Kto przetnie ten węzeł, złamie jego potęgę niszczącą i wyzwoli społeczeństwo z niewoli finansowej i z pod wpływu potęg rewolucyjnych.

W dziedzinie rolnictwa kapitalizm najpierw wciągnął ziemię w ruch handlowy i spekulacyjny. Ziemia jest narodowym i społecznym kapitałem żelaznym i najpotężniejszym szańcem obronnym przeciwko wszelkim ruchom rewolucyjnym.

Otóż, ażeby ją wciągnąć w ruch handlowy i spekulacyjny, kapitalizm zniósł i pozrywał wszystkie spójnie i zapory feudalne i obronne i uczynił ją towarem. I odtąd każdemu wolno żywy warsztat rolny kupować, dzielić, sprzedawać, wydzierżawiać według własnego widzimisię, bez względu na żywotność i wydajność gospodarstwa i obowiązki narodowe i społeczne.

Powtóre ziemia jest z istoty swej źródłem renty i dlatego

---

[1] Vogelsang: *Die sozialpolitische Bedeutung der hypothekarischen Grundbelastung*, Wien 1881, str. 8.

obciążenia hipoteczne i wszelkie formy kredytowe, stworzone dla przemysłu i handlu, są niezgodne z jej naturą i zgubne dla rolnictwa pociągają następstwa. Zapoznanie tego prawa fundamentalnego sprawiło, że długi, ciążące na ziemi, rosną z przerażającą szybkością przy każdej transakcyi, przy każdej regulacyi spadkowej, przy każdem podrożeniu pieniądza, że ziemia z nieodmienną koniecznością idzie w moc i niewolę ruchomego i handlowego kapitału.

Wszystkie bowiem transakcye i podziały i sprawy pożyczkowe odbywają się według wartości i ceny sprzedażnej, według miejscowych cen ziemi obliczonej, która bardzo różni się od wartości jej rzeczywistej i użytkowej. Wartość sprzedażna np. jakiegoś majątku ziemskiego wynosi 100.000 koron przy 4% stopie procentowej. Gdy stopa procentowa podniesie się o jeden stopień do 5%, wartość sprzedażna majątku obniży się odpowiednio do 80.000 koron. Otóż fluktuacya ta i chwiejność podstawy kapitałowej ceny ziemi, zależnej od zmiennej stopy procentowej jest następstwem uruchomienia ziemi i wciągnięcia jej w wir spekulacyi handlowej.

Ale bo też, zdaniem barona Vogelsanga, pomiędzy ziemią a kapitałem pieniężnym istnieje przeciwieństwo i nieprzejednana walka, która skończyć się musi na niekorzyść rolników zwycięzkim podbojem ziemi przez kapitał pieniężny. I pogląd ten stał się zasadniczą podstawą i dogmatem nowej szkoły.

A teraz środki zaradcze.

Ażeby więc przeciwdziałać temu rozstrojowi gospodarczemu i społecznemu i moralnemu, należy podjąć walkę nieprzejednaną z kapitalizmem i ożywić znowu i wznowić w życiu gospodarczem panowanie chrześcijańskiego prawa moralnego. Ponieważ zaś kapitalizm największe spustoszenie wyrządził w rolnictwie, które jest koniecznym warunkiem i podstawą reorganizacyi porządku socyalnego, reforma rozpocząć się powinna od uzdrowienia niedomagań agrarnych. Gdy reformę na tem polu się przeprowadzi „absolutyzm bankierów... znacznie osłabnie i skruszone zostanie panowanie potentatów finansowych nad własnością i pracą, nad społeczeństwem i państwem".

„Za nieodzowną podstawę reorganizacyi porządku socyalnego w duchu chrześcijańskim uważamy reformę agrarną, opierającą się na prawie przyrodzonem“ — brzmi w duchu barona Vogelsanga zredagowana rezolucya agrarna czwartego z rzędu austryackiego kongresu katolickiego w Salzburgu w roku 1896.

Za najpilniejszą zaś reformę w dziedzinie agrarnej uważa baron Vogelsang przedewszystkiem „wyzwolenie ziemi z długów hipotecznych i ustawowy zakaz obciążenia ziemi wogóle długami“ [1].

Nadto ażeby uchronić rolnictwo przed niszczącemi falami gospodarstwa pieniężnego, należy koniecznie wytworzyć w obrębie państwa jakiś „zamknięty w sobie teren gospodarczy“ (str. 546), o który fale finansowe bezsilnie rozbijałyby się jak fale morskie o brzeg skalisty wyspy, oraz „należy powrócić o ile możności w przyspieszonem tempie do umiarkowanego gospodarstwa naturalnego w rolnictwie“. Po uwolnieniu zaś ziemi z długów należy wznowić i „przeprowadzić słuszny kanoniczny zakaz pobierania procentów“ (str. 566).

Zniesienie obdłużenia ziemi wyobraża sobie baron Vogelsang w ten sposób: Najprzód należy zamknąć księgi hipoteczne i utworzyć przymusowe związki rolnicze, które pod kierunkiem władz autonomicznych przeprowadziłyby gruntowną rewizyę stanu długów własności ziemskiej.

Następnie długi mają być upaństwowione: hipoteki bezpieczne mają być zamienione na obligacyę państwowe t. z. wierzyciel otrzymałby zamiast skryptu hipotecznego obligacye państwowe; hipoteki wątpliwe mają być zamienione tylko do pewnej wysokości (n. p. 80 albo 60%) na obligacye państwowe. Wierzyciel poniósłby tu pewną stratę, ale za to otrzyma w zamian bezpieczne papiery państwowe. Długi natomiast hipoteczne nie mające żadnego pokrycia, należy poprostu skreślić.

Po przeprowadzeniu zaś upaństwowienia już państwo pobierać będzie od właścicieli-dłużników roczne procenty i raty amortyzacyjne i zaspokajać wierzycieli. W miarę wpływają-

[1] *Die Consolidierung der Bodenwertes* str. 17.

cych rat corocznie odbywać się ma losowanie pewnej liczby obligacyi i realizacya ich według nominalnej wartości.

Po objęciu wszystkich długów gruntowych przez państwo, należy obniżyć, gdy ryzyko odpadnie, stopę procentową do wysokości dyskontu bankowego w Amsterdamie i Londynie i równocześnie podwyższyć nieco kwotę amortyzacyjną, aby co prędzej wyrzucić z wnętrzności ziemi cały jad kapitalizmu. Następnie wypada ręką kata publicznie na rynku uroczyście spalić foliały dłużne wszystkich ksiąg hipotecznych, podobnie jak ongi bezczeszczono ręką kata, niszczono i palono książki, kalające wiarę w Boga i dobre obyczaje. Od początku świata bowiem nie było niebezpieczniejszych dla dobra ogółu ksiąg od ksiąg hipotecznych" (str. 421).

I odtąd rozpocznie się dla rolnictwa nowa era w obrębie i pod kontrolą przymusowej organizacyi zawodowej rolników przy pomocy krajowych kas pożyczkowych kultury rolniczej.

Z programem agrarnym barona Vogelsanga łączą się ściśle projekty t. zw. inkorporacyi hipotecznego kredytu v. Steina (*Bauerngut und Höferecht*, 1882) i Schäffle'go (*Die Incorporation des Hypothekarcredites* 1883).

Projekty te podobnie jak program agrarny barona Vogelsanga opierają się na teoryi Rodbertus'a o ziemi, jako źródle renty i mają na celu wytworzenie przymusowych związków rolniczych, któreby miały wyłączne prawo i obowiązek dostarczania uzasadnionego kredytu członkom w drodze sprzedaży związkowych listów zastawnych.

Myśl zasadnicza i przewodnia projektów tych jest ta: chcąc ratować rolnictwo z niechybnej ruiny, trzeba je przedewszystkiem wyłączyć z kapitalistycznej organizacyi gospodarczej i z pod działania dzisiejszego mechanizmu finansowego. I pod tym względem nie różnią się one zgoła od programu barona Vogelsanga.

W tym celu państwo całe ma się pokryć siecią związków, które same sobie mają udzielać kredytu i czuwać nad rozumnem jego użyciem i bronić się przed nadmiernem obdłużeniem

i wykonywać prawo egzekucyi za długi wyłącznie tylko korporacyjne.

A teraz kilka uwag krytycznych co do zasadniczych podstaw tych projektów.

Najprzód czy pogląd barona Vogelsanga na rozwój życia gospodarczego i stosunków agrarnych jest słuszny i zgodny z rzeczywistością?

W najogólniejszych i przyćmionych chyba zarysach i pod tym względem nie różni on się wiele od teoryi i krytyki socyalizmu, który dąży do przeobrażenia radykalnego dzisiejszego porządku społecznego i gospodarczego.

Przedewszystkiem wieje z niego jakiś ogromny pesymizm, który wielce zaciemnia prawdziwy stan rzeczy i wszystko w groźnych przedstawia rysach i ponurych barwach. Kapitalizm, zdaniem jego, wżera się jak rak straszliwy w organizm społeczny i podbija w moc swoją wszystkie dziedziny gospodarstwa społecznego i karmi się sokami żywotnemi całego społeczeństwa. Na jego usługach jest całe ustawodawstwo i cały rozwój gospodarczo-komunikacyjny i gospodarczo-kredytowy. Panami zaś i kierownikami tego mechanizmu finansowego, który podbił w niewolę ludy i państwa są Żydzi.

Ażeby się tedy wyzwolić z pod wpływu kapitalizmu, który wyrósł z krwawicy robotników, i złamać jego potęgę nie ma innego sposobu i innej drogi, jak uspołecznić wszystkie źródła i środki dochodów, mówią socyaliści.

Nie, to niezgodne z prawem przyrodzonem i chrześcijańskiem, które domaga się indywidualnej własności produkcyjnej, odpowiada baron Vogelsang. Chcąc przeciwdziałać rozstrojowi gospodarczemu, moralnemu i społecznemu, wystarczy wyłączyć rolnictwo z kapitalistycznej organizacyi gospodarczej i odgrodzić je murem nieprzebytym od ogólnego rozwoju gospodarczego. Ale ten środek jest konieczny, ażeby uratować rolnictwo od niechybnej ruiny. „Wszystkie bowiem ulepszenia, wprowadzone do gospodarstwa rolnego, pogarszają tylko położenie rolnictwa. Inwestycye te mają się rentować i przynosić procenty. Rolnictwo atoli opiera i niestosuje się do obcych i wro-

gich sobie praw kapitalizmu. Wszelkie ulepszenia i zapomogi państwowe i intenzywne gospodarstwo, wszystko to nie zdoła wypełnić naczynia danaidowego. Naczynie to jest podziurawione i wszystkie te środki jako długi hipoteczne przelewają się w ogniotrwałe kasy kapitalistów. I gdyby rząd podwoił cła zbożowe albo potroił, gdyby przychylny rolnictwu rząd wszystkie nawet podatki darował rolnictwu, środki te nie zdałyby się na nic: w ciągu jednej generacyi wszystkie zapomogi te i przywileje i monopole zostałyby jako listy zastawne i hipoteczne znowu skapitalizowane i wpłynęłyby do ogniotrwałych kas kapitalistów, a własność ziemska znalazłaby się w gorszem niż kiedykolwiek położeniu“ [1].

Nie potrzeba chyby dodawać, że pomyślny rozwój rolnictwa z lat ostatnich rozbił w puch pesymistyczne wywody barona Vogelsanga. Rolnictwo bowiem obecnie wszędzie żwawo i potężnie dźwiga się z upadku, wprowadza techniczne ulepszenia i podnosi przez intenzywne gospodarstwo swoją produkcyę i wyzwala się powoli z długów przez organizacye kredytu do natury ziemi i potrzeb rolnictwa dostosowane i potęguje swoje siły produkcyjne i organizuje zbyt swoich produktów przez spoiste i coraz sprężystsze zrzeszenia zawodowe.

Ale bo też całe rozumowanie barona Vogelsanga na błędnym opiera się poglądzie. Dzisiejszy problem agrarny streszcza się w pytaniu: czy dzisiejsze gospodarstwo pieniężne wraz z ruchem handlowym i targowym i organizacyą kredytową rozszerzyło swoją działalność na kraj cały po to tylko, żeby podbić ziemię w moc swoją i obciążyć ją wieczystym haraczem i wciągnąć produkcyę rolniczą w wir ruchu handlowego i spekulacyjnego? Czy dzisiejsze obdłużenie i ciężkie niedomagania rolnictwa koniecznie i nieuchronnie łączą się z dzisiejszym systemem kapitalistycznym, czy też są to tylko objawy i niedomagania czasu i przesilenia przejściowego, z których rolnictwo niebawem się wyzwoli drogą postępu w technice i organizacyi rolniczych?

---

[1] *Die sozialen Lehren* str. 419/20.

Na zasadnicze pytanie to odpowiada baron Vogelsang i jego szkoła w obozie chrześcijańsko-socyalnym przecząco i usiłuje rolnictwo wydzielić z obrębu gospodarstwa światowego i odgrodzić murem nieprzebytym od światowej organizacyi pieniężnej i destrukcyjnych wpływów dzisiejszego systemu kapitalistycznego.

Pesymizm barona Vogelsanga i współczesnych mu uczonych tłomaczy się rozpaczliwem naonczas położeniem rolnictwa.

Ostre i długie nader przesilenie agrarne z niebywałym spadkiem cen zbożowych przywiodło setki i tysiące rolników wielkich i małych do ruiny. A przesilenie to przyszło nagle i nieprzewidzianie i przypadło na czas wszechwładnego panowania liberalizmu.

Był to czas świetnego rozwoju ekonomicznego pod hasłem wolności nieograniczonej w dziedzinie produkcyi i handlu. Rolnictwo rozwijało się pomyślnie, częstokroć świetnie, zwłaszcza wielka własność. Z budową dróg i rozszerzeniem się środków komunikacyjnych wytworzyły się korzystne konjunktury handlowe i przemysłowe. Dla produkcyi rolniczej otworzyły się szerokie rynki zbytu, ceny zboża idą w górę i przez szereg lat utrzymują się na tym samym poziomie. Razem z cenami zboża idzie w górę wartość sprzedażna ziemi. Rolnik, zadufany w bogatą rentowność ziemi, brnie w długi ponad możność i wartość majątku przy kupnie, przy robotach meliorącyjnych, przy spłatach rodzinnych, aż tu nagłe przesilenie ukazuje mu bliską ruinę.

Przesilenie to, jak wzwyż wspomnieliśmy, przypadło na czas wszechwładnego panowania liberalizmu ekonomicznego, kiedy we formie dekretów rządowych cały szereg t. zw. wolności agrarnych wywołał w świecie rolniczym zupełny przewrót.

A więc liberalizm ekonomiczny zawinił powiedziano sobie. Liberalizm rozpętał burzę agrarną, liberalizm spowodował upadek rolnictwa, liberalizm zapomocą wolności agrarnych utorował drogę i otworzył pole międzynarodowym potęgom finansowym, które za pomocą organizacyi finansowych i handlowych i targowych podbiły w niewolę finansową rolników i nałożyły haracz wieczysty na ziemię.

Niewątpliwie, gdyby przesilenie nie było przypadło na czas

panowania nieograniczonych i szerokich wolności ekonomicznych, nie byłoby przybrało charakteru tak ostrego i nie byłoby wywołało takich nieporządków i nie sprawiło takich spustoszeń agrarnych.

Ale też z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że gdyby rolnictwo, które najprzedniejsze zajmuje miejsce w światowej produkcyi i organizacyi gospodarczej, umiało było dostosować się do nowego porządku i postępowych wymagań i potrzeb gospodarczych, wszystkie ułatwienia komunikacyi, wszystkie uproszczenia ruchu targowego i handlowego, wszystkie udogodnienia organizacyi kredytowej łatwo obróciłyby się na jego dobro i korzyść.

Jak bowiem z jednej strony na tle nieograniczonych i szerokich wolności gospodarczych krzewi się bujnie anarchia i panuje wszechwładnie zasada bezwzględna większego zysku i pieniądz razem z bezwzględną walką o byt i brudną chciwością, trzymaną w ryzach tylko kodeksem karnym, tak z drugiej strony „złota" wolność, ujęta stosownie do potrzeb i wymagań społecznych rozwoju gospodarczego w szersze lub ciaśniejsze ryzy porządku gospodarczego i socyalnego jest warunkiem koniecznym i podstawą wszelkiego postępu gospodarczego i kulturalnego.

Ale bo też rozumna i szeroka wolność gospodarcza i inicyatywa przedsiębiorcza to najcenniejsze liberalnej ery gospodarczej zdobycze i warunek i najlepsza rękojmia zarazem wszelkiego postępu, ale wolnościom tym należy przeciwstawić z naciskiem ustawą określone, konieczne obowiązki społeczne i każdą własność odpowiednio obciążyć koniecznym serwitutem publicznym.

Ująć bowiem twórcze siły gospodarcze i społeczne i żywotne i życiodajne siły kapitalizmu w żelazne ryzy społecznego porządku gospodarczego i socyalnego i zmusić je także do pracy na rzecz dobra ogółu i do służby publicznej: oto cel i zadanie dzisiejszej polityki socyalnej.

Zasadniczy błąd w poglądzie i rozumowaniu barona Vogelsanga polega na niedostatecznem i niejasnem rozgraniczeniu organizacyi i porządku kapitalistycznego od zasady bezwzględnego

zysku większego i ducha częstokroć lichwiarskiego, który go przenika i w nim panuje.

Co innego jest gospodarczy porządek kapitalistyczny a co innego nadużycia, które z tym porządkiem się łączą i z niego wyrastają. Utożsamiać system kapitalistyczny z lichwiarskim duchem, który częstokroć w nim panuje, to znaczy mieszać dwie rzeczy różne i nie koniecznie idące ze sobą w parze.

Rozwój dzisiejszych stosunków ekonomicznych wytworzył sobie różne, stosownie do nowych potrzeb i wymagań gospodarczych drogi i formy i organizacye w dziedzinie techniki produkcyjnej i stosunków komunikacyjnych, kredytowych i handlowych. I te formy i stosunki i organizacye stanowią gospodarczy porządek kapitalistyczny. Dążyć zaś do pomnożenia, spotęgowania i zrzeszenia sił produkcyjnych, do uproszczenia i racyonalnego urządzenia całego gospodarstwa produkcyjnego, do jak najlepszego spieniężenia swoich produktów, słowem do osiągnienia jak największych zysków w granicach sprawiedliwości i etyki chrześcijańskiej, to wielkie prawo postępu i kultury chrześcijańskiej.

Zwalczać i burzyć ten porządek i tłumić inicyatywę i ducha przedsiębiorczego, to znaczy burzyć gmach ekonomiczny naszej cywilizacyi i podwracać zasadnicze jego podstawy.

Ścigać natomiast zapomocą środków odpowiednich i skutecznych nieukróconą i krzywdzącą bliźniego chciwość i tłumić wciąż na nowo odradzającego się, lichwiącego ducha kapitalistycznego to rzecz i prosty obowiązek rozumu państwowego i sumienia chrześcijańskiego.

Ale kapitalizm to nie tylko nadużycia chciwości, nieukróconej i buszującej dziko na gruncie wolności ekonomicznych, ale to nadto błędna doktryna o lichwiącym kapitale pieniężnym, odpowie baron Vogelsang, której groźnym objawem i wyrazem jest rozwielmożniony system kredytowy, opierający się na pobieraniu procentów. „Pobieranie procentów... to kamień węgielny całej kwestyi socyalnej". Z jadowitego źródła tego ulewają się brudne fale, „które straszliwe szerzą spustoszenia po wszystkich krajach cywilizowanych. Tu tkwi przyczyna dzi-

siejszego ogólnego niedomagania ekonomicznego, dzisiejszej drożyzny, upadku rolnictwa, rzemiosł i wszelkiej pracy produktywnej. Tu tkwi przyczyna, dla czego Żydzi panują nad wszystkimi ludami chrześcijańskimi, dla czego przed nami groźne otworzyły się perspektywy socyalizmu... Widzimy tedy, że zaniedbanie boskiego i przyrodzonego prawa, potępiającego lichwę, konsekwentnie doprowadziło do absurdu". (str. 591, 593).

Ażeby więc zatkać to jadowite źródło, należy znowu powrócić do dawnej praktyki średniowiecza i wznowić dawne zakazy kanonów pobierania procentów.

I tu znowu ileż przesady i nieznajomości historycznego rozwoju gospodarczego i mylnej interpretacyi zjawisk ekonomicznych

Że żarłoczna lichwa *usura vorax* jest jedną z najgłówniejszych przyczyn dzisiejszych jaskrawych niedomagań społecznych, nie podpada wątpliwości. Leon XIII to bardzo dobitnie i z wielkim naciskiem zaznaczył w słynnej swojej encyklice *Rerum novarum.*

Ale problem lichwy nie ogranicza się na lichwie pożyczkowej, ani nie koniecznie wiąże się z kwestyą pobierania procentów.

Lichwa zawsze jest zabroniona, bo kłóci się z rozumem i uczuciem, z prawem przyrodzonem i Bożem, ale pobieranie procentów nie zawsze jest lichwą. Zależy to od rozwoju stosunków ekonomicznych danej epoki czyli lichwa we formie pobierania procentów od pożyczek pieniężnych jest kategoryą historyczną, zależną od rozwoju podłoża ekonomicznego danej epoki.

Ustawy antylichwowe wprowadzono po raz pierwszy w życie pod koniec 8 wieku za rządów Karola Wielkiego. Nie weszły one w życie bez pewnej uprzedniej praktyki kościelnej i życiowej i odpowiedniej atmosfery intelektualnej, a jednak w ówczesnem życiu państwowem były one czemś nowem bez związku organicznego z dawnem społeczeństwem i bez ciągu historycznego z dawnem chrześcijaństwem.

Wprawdzie pierwszy kapitularz antylichwowy (789) powołuje się w tej mierze na uchwały synodu nicejskiego, na dekret Leona Wielkiego, papieża i na konstytucye apostolskie i prawo

Boże, ale wszystkie te dekrety kościelne odnoszą się wyłącznie tylko do kleru. Kapitularze zaś Karola Wielkiego zakaz pobierania procentów rozszerzają na całe społeczeństwo i z prawa kościelnego czynią prawo kościelno-państwowe frankońskiej potęgi światowej.

Z prawa Bożego też żadnego w tym kierunku czynić nie można obowiązku dla całego chrześcijaństwa, gdyż społeczne prawo Mojżesza wyraźnie pozwala pobierać od obcych procenta pożyczkowe, choć zabrania ich przyjmować od swoich (Db. 23, 20). Prawo więc Mojżeszowe w gruncie rzeczy nie było absolutne, tylko względne. Od pożyczek, udzielanych obcym, wolno było, zdaje się, pobierać procenty dla tego, że życi z lichwą obcokrajowcy tylko w społeczeństwie żydowskiem na wskróś rolniczem zajmowali się handlem, a pieniądze, pracujące w handlu, przynoszą dochody. Pobieranie więc procentów przestawało być lichwą. Pobierać zaś procenty od swoich od wiktuałów i artykułów potrzeb gospodarczych i pożyczki pieniężnej — biedny musiał żyć a pracę trudno było znaleść — sprzeciwiało się miłości bliźniego i idei solidarności u Żydów i było najczęściej bezlitośnym i krwawym wyzyskiem najbiedniejszych. I,pod tym względem epoka Karola Wielkiego była najzupełniej podobna do fizyognomii ekonomicznej społeczeństwa żydowskiego. Nowy testament żadnego w tej mierze nie przynosi nowego zakazu.

Ale lichwa nie jest tylko grzechem przeciwko miłości bliźniego. Istota jej tkwi w pogwałconej sprawiedliwości i polega na naruszeniu prawa ekwiwalencyi w dziedzinie i wymianie dóbr ekonomicznych, na przywłaszczeniu sobie owoców cudzej pracy na podstawie uprzedniej ugody w transakcyach i wymianie dóbr i usług różnych. Prawo zaś ekwiwalencyi zawsze zależne jest od stosunków i warunków ekonomicznych danej epoki czyli podłoża ekonomicznego czasu.

Istota lichwy pozostanie zawsze ta sama, ale treść jej i strona materyalna inaczej przedstawiać się będzie w okresie gospodarstwa domowego, gdzie pieniądz jest rzadkością i odgrywa przedewszystkiem tylko rolę miary szacunkowej i rachunkowej, inaczej w okresie budzącego się ruchu pieniężnego, gdzie rzecz —

miejscami przynajmniej — staje się towarem, a pieniądz jest nie tylko miarą wartości lecz nadto reprezentuje różne dobra ekonomiczne, a inaczej w okresie rozwiniętego gospodarstwa pieniężnego i międzynarodowego, gdzie pieniądz jest nie tylko reprezentantem różnych dóbr ekonomicznych, lecz przedewszystkiem środków produkcyjnych, słowem, warsztatów pracy i wytwórczości ludzkiej.

W pierwszym wypadku lichwą będzie wszelkie naruszenie prawa ekwiwalencyi pomiędzy dobrami ekonomicznemi co do ich wartości użytkowej [1]. w drugim i trzecim co do wartości pieniężnej, chyba, że wskutek specyalnych warunków pożyczki lub podłoża ekonomicznego prawo ekwiwalencyi nie zostało naruszone. Lichwa tedy pożyczkowa zmienia swoje oblicze stosownie do porządku i warunków ekonomicznych czasu.

Ona inną miała fizyognomię w epoce Karola Wielkiego i wogóle izolowanego gospodarstwa domowego, inną za papieża Aleksandra III i w późniejszych wiekach średnich i inną w czasach obecnych. W wiekach średnich jeszcze powszechnie pobieranie procentu od pożyczki pieniężnej ma wszystkie cechy i piętno lichwy, ale już podówczas raz po raz warunki pożyczki i stosunki ekonomiczne toczą zasadę jej prawną tak, że lichwa przestaje być lichwą wskutek nienaruszenia prawa ekwiwalencyi (*damnum emergens, lucrum cessans, periculum sortis, poena conventionalis*). Później z rozwojem gospodarstwa pieniężnego władza państwowa uogólnia te warunki i stosunki pożyczek i podłoża ekonomicznego i ujmuje je w prawo cywilne, normujące stopę procentową.

W czasach obecnych natomiast, gdzie pieniądz automaty-

[1] Wartość użytkowa dóbr ekonomicznych nie idzie w parze z ich wartością pieniężną. Na przednowku n. p. lub w czasie klęski głodowej lub wojny zboże jest drogie, czyli wartość jego sprzedażna jest dużo wyższą niż wartość jego użytkowa, która pozostaje zawsze ta sama. Otóż w epoce Karola Wielkiego, gdzie ruch handlowy i pieniężny miejscami tylko nader słabo był rozwinięty, pojmowano prawo ekwiwalencyi w ten sposób, że zwrot wszelkich pożyczek odbywać się winien według równej wartości użytkowej a nie pieniężnej „*si commodaverit pecuniam, pecuniam accipiat, si speciem, eandem speciem, quantum dederit, accipiat*".

cznie wciela się w środki produkcyjne i przyczynia się do wytwarzania nowych wartości (w postaci warsztatu i narzędzi produkcyjnych razem z pracą ludzką i twórczemi siłami przyrody) lichwa pożyczkowa w rozumieniu średniowiecza przestała być lichwą, bo prawo ekwiwalencyi pozostało nienaruszone [1].

Ks. Leonard Lipke.

[1] Patrz: „Walka z lichwą w epoce Karola Wielkiego", *Przegląd Powszechny.*

Znaczenie odkryć na Wschodzie,
a szczególniej w Palestynie od r. 1888—1911 wobec nauk biblijnych.

Jeżeli kiedy, to dzisiaj oczy całego świata zwrócone są na Wschód. Państwa europejskie wzajemnie ubiegają się o zagarnięcie jak największych wpływów w Azyi i Afryce. Dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie te kraje, które niegdyś były środowiskiem cywilizacyi i kultury, gdzie najpierw powstawały pierwsze w całem tego słowa znaczeniu potęgi wszechświatowe, stanowią dzisiaj jabłko niezgody różnych potęg europejskich, pragnących wciągnąć zachodnią Azyę w sferę swoich interesów. Ale więcej jeszcze pociąga Wschód bogactwem swoich dziejów, zwłaszcza od czasów jak udało się wniknąć w tajemne dokumenta, których kilkaset tysięcy porozmieszczano w muzeach w Konstantynopolu, w Kairze, w Berlinie, Paryżu, Londynie, Nowym Yorku itd. Jeżeli kiedy to dzisiaj sprawdza się słynne adagium *ex oriente lux* [1].

Do niedawna jeszcze bardzośmy tylko skąpe posiadali wiadomości o starożytnym wschodzie. Najwięcej jeszcze stosunkowo przechował nam Herodot w. I. i II. księdze swojej historyi, lecz o ile książka jego stanowi pierwszorzędne źródło do czasów współczesnych Herodota, to wszelako wszystkie prawie jego podania o początkach cywilizacyi w Egipcie i Ba-

[1] Pod tym tytułem wydał Ks. Dr. Korzonkiewicz w sprawozdaniu gimnazyum św. Jacka w Krakowie na r. 1908 bardzo udatną pracę, gdzie poraz pierwszy zapoznał czytelników polskich ze znaczeniem dokumentów egipskich i babilońskich dla Biblii.

bilonii są raczej legendarnemi opowieściami, jakie mógł zebrać w ciągu swoich podróży, gdyż bogata literatura ówczesna była dla niego niedostępną. Podobnież książka Ktezyasza o Persach daleko mniejszą przedstawiała wartość. Jedyne wiadomości autentyczne, jakie o starożytnym wschodzie posiadali pisarze hellenistyczno-rzymscy, czerpane były co do Egiptu z dzieła Manetona, kapłana egipskiego, żyjącego w III. w.[1]; co do Babylonii natomiast bardzo cennem źródłem była książka Berozusa, kapłana babilońskiego, żyjącego w tym samym czasie [2]. Ale niestety obydwa te dzieła zaginęły bez śladu, a stosunkowo największe fragmenta przechowały się w Archeologii Józefa Flawiusza i w Chronikon Euzebiusza, biskupa z Cezarei. Poza tem jedynem źródłem było Pismo św., gdyż przechowało nam ono zwłaszcza co do Babilonii cały szereg znakomitych informacyi. Szczególniej dużo trafnych uwag znajdujemy co do początków cywilizacyi w Babilonii w X, r. Genesis.

Naturalnie wiadomości biblijnych nie można było skontrolować, to też nic dziwnego, że nauka zwłaszcza od w. XVIII z wielką nieufnością odnosiła się do dat Pisma św.; tem więcej, że racyonalistyczny pogląd na świat, jaki odtąd panował w nauce, stał w rażącej sprzeczności z światopoglądem biblijnym; przeto też poczęto Pismo św. atakować ze wszystkich stron. Ataki

---

[1] Manetho żył około r. 270 przed Ch., był kapłanem egipskim i pochodził ze Sebennytos. Dzieło jego p. t: „Αἰγυπτιακὰ ὑπομνήματα" wprowadziło podział historyi egipskiej na 31 dynastyi. Opiera się ta książka na pierwszorzędnym materyale historycznym, gdyż Manetho spożytkował w swojej historyi królów egipskich takie listy: 1) tablicę królewską, mieszczącą na płaskorzeźbie z XVIII dynastyi nazwy 61 Faraonów, którym składał hołd Tutmosis III; 2) Tablicę królewską z Abydos, na której Seti I. wraz z synem Ramzesem II. adoruje 76 swych poprzedników. 3) Listy z grobowca XIX dynastyi w Sakkara, na której są wyliczeni 52 monarchowie. Niestety dzieło Manethona zaginęło, tylko listę królewską z Manethona przechował nam Józef Flawiusz w swem piśmie, *Contra Apionem*. Na Flawiuszu opierali się potem chronografowie chrześcijańscy; Juliusz Africanus i Eusebiusz z Cezaryi przechowali nam dwie odrębne recenzye dynastyi Manethonowskich cfr. Steindorff, *Hauck's Real-Encyklopedie*, ed 3. I, 207.

[2] Berossus był kapłanem Bela i ułożył swoją historyę Babilonii na podstawie kronik złożonych w świątyni Bela. Berossus dedykował swe dzieło Antyochowi Soterowi koło r. 275.

racyonalistyczne t. z. epoki oświecenia, tego rodzaju, jak wycieczki Voltaire'a, encyklopedystów, były zbyt płaskie i powierzchowne, żeby mogły wielką szkodę wyrządzić księgom św. Jednakże w w. XIX racyonalizm otrząsnął się ze swojej pierwotnej płytkości i dyletantyzmu, zaczął postępować sposobem więcej metodycznym i naukowym, a dzięki śmiałości, z jaką stawiał swoje tezy, zyskiwał coraz to więcej zwolenników. Powaga historyczna i naukowa ksiąg świętych zaczynała coraz to więcej blednąć, nawet uczeni katoliccy pierwszej połowy XIX w. z pewną nieśmiałością bronią Pisma św. Racyonalizm nie miał oczywiście, oprócz swych filozoficznych poglądów na świat, żadnych nowych dowodów przeciwko historycznym księgom Pisma św. Wychodząc z negacyi porządku nadprzyrodzonego, a przyznając się otwarcie do deizmu, do systemu filozoficznego, gdzie Bóg zupełnie biernie zachowuje się wobec rozwoju wszechświata i historyi, zwracał się w pierwszym rzędzie przeciwko wszystkim faktom nadprzyrodzonym, zanotowanym w Piśmie św., do czego ostatecznie stosownie do swego światopoglądu mógł mieć pewną racyę. Popełnił wszelako wielki błąd metodyczny w tem, że odrzucając fakta nadprzyrodzone Pisma św. razem z nimi odrzucił i wszystkie dane historyczne. Błąd ten srogo się na nim pomścił. Wiemy np., że co do Nowego Testamentu, mianowicie odnośnie do powstania ewangelii jak to racyonalizm w ostatnich 70 latach musiał opuścić jedną po drugiej ze swoich dotychczasowych pozycyi i ostatecznie przyznaje Harnack, dzisiaj jeden z największych krytyków liberalnych, cofnięto się w opiniach o początkach Ewangelii i chrześcijaństwa do wszystkich tych tez, które przed okresem krytyki racyonalistycznej podtrzymywała tradycyjny nauka kościelna. Niedawno temu powstanie Ewangelii umieszczano w kołach teologów liberalnych między rokiem 120 a 180, ale dzisiaj wobec oczywistych faktów historycznych nawet najliberalniejsza krytyka musi przyznać, że najdalszy termin *ad quem* powstania ewangelii synoptycznych to rok 90. W przeważnej także części umieszcza krytyka liberalna powstanie Ewangelii synoptycznych około r. 70, a zatem tak samo jak utrzy-

mywano w epoce przedracyonalistycznej. Tenże sam błąd metodyczny popełniono wobec ksiąg Starego Testamentu. Dzisiaj wre najzaciętsza walka o Biblię. Krytyka liberalna jeszcze wciąż tryumfuje, ale wobec coraz to nowych dokumentów, jakie przynosi starożytny wschód, musi ustawicznie poprawiać swoje teorye. Już Hommel [1], jeden z najznakomitszych znawców starożytnego wschodu, a zaliczający się także do szeregów liberalnej krytyki, od r. 1898 ustawicznie nawołuje do gruntownej rewizyi teoryi o powstaniu pism Starego Testamentu. Wiadomem jest dzisiaj powszechnie, że krytyka liberalna w Niemczech począwszy od De Wette i Reussa [2], nie mogąc przyjąć religii Pisma św., rzekomo jako wręcz sprzecznej zasadom ewolucyi historyi religijnej, spróbowała dokumenta biblijne tak dopasować i rozczłonkować, aby one dały pogląd na początki narodu izraelskiego, zupełnie analogiczny do poglądu o początkach innych ludów historycznych. Szczególniej nie mogła się zoryentować krytyka racyonalistyczna biblijna w monoteizmie izraelskim. Religia Izraelitów tak wybitne zajmuje stanowisko wobec wszystkich innych kultur religijnych starożytnego wschodu i odznacza się nie tylko niezmierną głębokością, ale jest na wskróś oryginalna tak, że nauka nie mogła

[1] Książka Fritz Hommel'a nosi tytuł: *Die Alt-Israelitische Überlieferung* 1897 stanowi ona znakomitą obronę historyczności relacyi w Pentateuchu, tem cenniejszą, że wychodzi z ust krytyka liberalnego: ale niestety wobec wszechwładnie panującej teoryi Wellhausena, którą w jej punktach zasadniczych zwalcza nie doczekała się należytego uznania.

[2] Sam Wellhausen, który nadał teoryi o kompozycyi Pentateuchu formę dzisiaj prawie jednomyślnie przez niezależną krytykę za klasyczną uznaną, przyznaje, że właściwie wypowiedział tylko jasno to, co już odczuwali De Wette i Reuss. Podwalinę pod teoryę Wellhausena położyli: a) Wilhelm Martin Lebereiht de Wette: *Beiträge zur Einleitung in das Alte Testament.* Halle 1807 i 1806. I. F. L. George: *Die älteren jüdischen Texte.* Berlin 1835. Vatke: *Die biblische Theologie wissenschaftlich dargestellt.* Berlin, 1835. R. H. Graf: *Die geschichtlichen Bücher des Alten Testamentes*, 1866, i to na podstawie 12 tez, wygłoszonych przez nauczyciela Grafa, Reussa w uniwersytecie w Strassburgu jeszcze r. 1833. Tezy Reussa opublikowano dopiero w r. 1879 w dziele: *La Loi sainte.* Paris 1879. cfr. Wellhausen: *Prolegomena* r. 1899 str. 8. W doskonałem skądinąd wydaniu Biblii Kautscha wzięto jako podkład teorye Wellhausena, która cieszy się ogólnem uznaniem obecnie w Niemczech, Hollandyi, Anglii i Ameryce.

sobie wytłomaczyć tego zjawiska, jak naród, który pod każdym innym względem stał niżej od swoich sąsiadów, mógł już w tak odległej starożytności wypielęgnować w swojem łonie tak szczytną i głęboką wiarę. A pojęcie o Bogu jest tak wysoce uduchownione, że nie mamy prawie analogii w całej literaturze starożytnego Wschodu. Odrzuciwszy więc pierwiastek nadnaturalny, który według Pisma św. stanowi jedyną przyczynę, wyjaśniającą ten nadzwyczajny objaw, nie pozostało nauce liberalnej nic innego, jak zaprzeczyć historyczności dokumentów izraelskich, odnieść je do epoki takiej, gdzieby analogie historyczne pozwalały na rozwój tego rodzaju monoteizmu, jak to jest u Izraelitów. W Niemczech poświęcono w ostatnich 70 latach cały zasób pracy i całą moc geniuszu krytyce źródeł biblijnych. Stworzono iście genialną teoryę, opartą jednak li tylko na pewnych obserwacyach, zaczerpniętych z samych ksiąg św. Teorya ta twierdzi, że Pentateuch t. j. księgi mojżeszowe i dalsze księgi historyczne jak Jozuego, Sędziów i Samuelowe, są wytworem pewnych szkół kapłańskich po niewoli babilońskiej. Podania umieszczone w Piśmie św. miały się tworzyć zwolna tylko. Jedne legendy grupowały się koło starożytnych świątyń w Hebronie i Bersabe, inne natomiast koło miejsc świętych w Gilgal, Sichem, Penuel itd. W jednych występuje Bóg pod nazwą Jahwe, w innych pod nazwą Elohim. Naturalnie ten pierwotny Jahwe i Elohim nie mają się niczem różnić od innych bóstw semickich. Byłyby to zrazu tylko opiekuńcze bóstwa dwóch państw izraelskich: judzkiego na południu, a izraelskiego na północy. Pierwsze początki tych legend sięgać mają najwyżej VIII w. przed Chr. P., poczem ulegały one różnem zmianom, aż ostatecznie w IV lub V w. przed Chrystusem przybrały formę tę, którą dzisiaj posiadają. [1]

Wobec tego dokumenta biblijne naturalnie nie posiadają żadnej albo tylko małą wartość historyczną. Dla krytyki liberalnej do niedawna jeszcze dogmatem było, że czasy historyczne narodu izraelskiego rozpoczynają się najpóźniej w X w.

---

[1] cfr. Kautzsch: *Die Heilige Schrift.* Tübingen 1909, str. 1-6.

przed Chrystusem, a wszystko, co pozatem Pismo św. opowiada, to gubi się w pomroku legend i mitów i nie posiada żadnej wartości historycznej.

Tymczasem krytyka przedwcześnie rozpoczęła swoją pracę, gdyż nadspodziewanie obfite źródła, których dostarczył wschód w ostatnich latach, tak silne światło rzuciły na podania biblijne, że wszędzie prawie, gdziekolwiek się one stykają z dokumentami starożytnego wschodu, zyskały na nowo stwierdzenie swej wartości. W treści niniejszego szkicu będziemy mieli sposobność podkreślić ogólnie trafność spostrzeżeń historyografów starożytnego Izraela. Nie dawno temu jeden z pierwszych koryfeuszów liberalnej krytyki ksiąg Starego Testamentu Wellhausen wygłosił zdanie: *wenn die biblische Geschichte auch nur möglich ist, so wäre es eine Torheit ihr eine andere Möglichkeit zuzuschreiben* [1]. Jednak dokumenta starożytnego wschodu niejednokrotnie stwierdzą, że istotnie tak jest; „historya biblijna jest możliwa". Naturalnie nie leżał tu błąd w naukowych metodach, któremi posługiwała się krytyka, ale błąd ten tkwił jedynie w tem, że dawała się powodować swym subjektywnym poglądem na świat, który zepsuł w znacznej części jej dzieło, i okazał się niedostatecznym do wyjaśnienia starożytnej historyi.

Tymczasem pozwolimy sobie dać krótki rzut oka na Wschód, i zaznaczyć w ogólnych rysach znaczenie odkryć dla Pisma św., a zwłaszcza dla ziemi Kanaan czyli Palestyny. Jeżeli rzucimy okiem na mapę starożytnego wschodu, to spostrzegamy, że stanowi on ścisłą i organiczną całość geograficzną. Centra starożytnej kultury znajdują się jedno nad Nilem, drugie nad Eufratem. Stąd promieniami rozchodzi się cywilizacya po całym olbrzymim płaskowyżu, odgraniczonym od północy górami Taurus, a dalej jeszcze potężnym grzbietem gór armeńskich, dochodzących do 5000 metrów wysokości, a od których rozchodzą się odnogami szeregi pasm górskich w kierunku południowo-wschod-

[1] Wellhausen: *Komposition des Hexateuch* 346. cfr. A. Jeremias: *Das Alte Testament im Lichte des Alten Orients.* 1909 str. 227.

nim, równolegle do rzeki Tygrys, a kończących się nad zatoką Perską, w okolicach Suzy. Od zachodu natomiast granice stanowią, góry Libanu i cały system gór Palestyńskich, będących jakby przedłużeniem Libanu, a wpadających potężnym granitowym grzbietem Synaju do morza Czerwonego. Środkiem olbrzymiego tego płaskowyżu ciągnie się potężna pustynia syryjska, przechodząca na południu w prawie zupełnie pustynny półwysep arabski, który tylko w pasie południowym i zachodnim przedstawia warunki do rozwoju większych systemów państwowych i narodowych. Egipt, a raczej ta olbrzymia oaza, którą przepływa Nil, łączy się prawie organicznie ze wspomnianym płaskowyżem, jednakże wielkie pustynie, odgraniczające go od Syryi, sprawiły, że cywilizacya egipska i jego kultura jest zupełnie izolowana wobec wpływów babilońskich. Pomostem wiążącym Egipt z Babilonią jest Syrya, a zwłaszcza południowa jej część, nazywana w Piśmie św. i na pomnikach egipsko-babilońskich Kanaan [1].

Właśnie ta część starożytnego wschodu, ziemia Kanaan, przypadła w udziale Izraelitom. Już samo położenie Kanaanu między temi starożytnemi państwami: Babilonii i Egiptu wskazuje, że tutaj musiały się krzyżować wpływy obydwóch cywilizacyi. Istotnie najstarsze pomniki babilońskie i egipskie jak najdowodniej to stwierdzają.

---

[1] Dzisiejsza Palestyna nazywa się w Biblii stale Kanaan cfr. Jud. V. 19 Gen. XI. 31; XII. 5. Tę samą nazwę nosi w tablicach El Amarna, gdzie występuje jako kinahhi lub kinahna: hebrajskiemu Kanaan odpowiada babilońskie Kinahna. Pisarze greccy jeszcze znają ten kraj pod nazwą χνᾶς lub χνᾶ tak u Herodiona i Stefana z Bizancyum. Tak samo nazwał swój kraj ojczysty Philo z Biblos. cfr. Eusebius: *Praeparatio evangelica* I. 10, 39. Również w napisach egipskich jak Ramzesa III i Menefty nazywa się Palestyna Kanaan. Tymczasem w starszej literaturze egipskiej nosi południowa Syrya nazwy: Haru lub Retenu. W najstarszych zaś pomnikach babilońskich na oznaczenie Syryi służy idyogram Martu, który do niedawna czytano jaka Mataharu; dzisiaj jednak wiemy, że ideogram Martu należy czytać Amurru. Według O. Dhorme'a Revue biblique, r. 1908 str. 501, Amurru to Syrya północna, a Kanaan to Syrya południowa. Nazwa Amurru przechowała się jako gentilitium w Biblii; w czasach Jozuego bowiem zamieszkują Amorejczycy góry judzkie i płaskowyż moabski. cfr. Guthe. *Real Encyklopedie*, IX, 732.

Liczne nici wiązały Egipt ze ziemią Kanaan [1]. Według nowszych badań Naville'a, Morgana, Flinders-Petrie, Amelineau, którzy szczególniejszą uwagę poświęcili początkom Egiptu, jest bardzo prawdopodobnem, że Egipcyanie nie byli autochtonami nad Nilem, ale, że przed nimi zamieszkiwały tę ziemię szczepy libijskie, prawdopodobnie spokrewnione z resztkami dzisiejszych Kabylów i Breberów północnej Afryki [2].

Archeologiczne wykopaliska stwierdziły, że różnili się oni sposobem życia od szczepów najezdczych, które wtargnęły najprawdopodobniej z Arabii przez Wadi Halfa do południowego Egiptu. Dopiero te szczepy pochodzenia semicko-chamickiego spowodowały świetny rozwój kultury egipskiej, która bardzo prędko dochodzi do nadzwyczajnego rozkwitu. Język, wyobrażenia religijne, literatura i sztuka przybierają odrazu formy, które bez widocznych zmian, trwają aż do czasów grecko-rzymskich. Ta stałość form tłomaczy się z jednej strony odosobnieniem Egiptu wobec innych kultur, jako też stałością wielką klimatu, oraz charakteru narodowego, brzydzącego się wszystkiem, co nie jest rodzime, co jest obce. Jednakże Egipcyanie z konieczności musiel wyglądnąć z poza granic swojej ojczyzny. Wygórowana kultura potrzebowała dużo materyału surowego, a przedewszystkiem miedzi, służącej do wyrobu naczyń bronzowych. Również musieli się Egipcyanie ustawicznie liczyć z najazdami koczowniczych szczepów, zamieszkujących Horu i Tenu t. j. południową Palestynę wraz z półwyspem Synaju, a nęconych bogatemi a urodzajnemi niwami nad Nilem. Toteż widzimy, że już faraonowie pierwszej dynastyi, jak to

[1] Ważniejsza bibliografia do stosunków Egiptu do Kanaanu. Maspero: *Histoire ancienne des peuples de l'Orient*, Paris 1905 r. V, str. 210-277. Steindorff: *Die Blüte-Zeit des Pharaonenreiches* 1900 str. 40. Ernest Lidl: *Entstehung und Blüte der altorientalischen Kultur-Welt* 1903. A. Mallon S. J.: *Egypte w Dictionnaire de la Foi Chretienne*. Paris 1910, 1301-1343. Kayser Friedrich u. Ernst Roloff: *Aegypten einst und jetzt*. Herder 1908. Ks. Szczepański w swej pięknej książce *Na Synaju* nakreślił historyę eksploatacyi kopalń w Synai przez Egipcyan w Morara i Sarebit-al-Hadem.

[2] A. Mallon S. J. Egypte str. 1301 *w Dictionaire de la Foi Chretienne*, Gressmann: *Altorientalische Texte u. Bilder*, 1909 część II, str. 117, rycina 235, gdzie Starzy Egipcyanie występują w stroju libyjskim.

stwierdziły badania Petrie [1] nad kopalniami miedzi i turkusów, położonych w wadi Sarabit-el-Hadem u stóp granitowych szczytów Synaju, podejmują wyprawy do tych kopalń. Znajdujemy tam mnóstwo stel i napisów różnych faraonów, począwszy od dynastyi III aż do XII, jakoteż i późniejszych z XVIII dynastyi aż do XXII.

Raz po raz muszą także przedsiębrać faraonowie karne wyprawy wojenne przeciwko rozbójniczym szczepom Szosu [2], niepokojącym granice egipskie.

Oprócz stel na Synaju mamy jeszcze kilka tekstów historycznych, pokazujących nam, jak baczne oko zwracali faraonowie na Syryę. I tak posiadamy w muzeum w Kairo napis grobowy jakiegoś Weni, urzędnika królewskiego z czasów panowania Teti II, i Phiops I i Menere. Sprawował ów Weni ważne urzędy a między innymi powierzono mu dowództwo kilku wypraw wojennych, w których raz po raz pokonywał mieszkańców piasku (cfr. Gressmann: *Altorientalische Texte und Bilder zum Alten Testament*. Tübingen 1909, str. 233, 234.). Również Sebekchu oficer Usertesena III (około r. 1887—1849) na swoim napisie grobowym w Abydos chlubi się ze swych czynów wojennych w czasie wypraw do Syryi (Gressmann: *Texte* str. 235).

Szczególniej jednak interesującemi są relacye Ahmose, kapitana okrętowego za faraonów Amosisa, Amenhotepa I i Tutmosisa I, który na swoim grobowcu w el-Kab szczegółowo opowiada swe przygody i waleczne czyny we wojnach, prowadzonych w północnej Syryi. Ahmose odznaczył się już w czasie wojen z Hyksosami pod miastem Awaris (cfr. Steindorff: *Die*

[1] Petrie: *Researches in Sinai*. London. 1906. Na podstawie tego dzieła i własnych badań na miejscu skreślił O. Szczepański T. J. profesor Instytutu biblijnego w Rzymie gruntowne rozdziały swej książki *Na Synaju*: Kopalnie Turkusów w Morara, Egipcyanie w Sarabit-el-Hadem, Na terenie turkusodajnym, str. 278-305. z dołączeniem własnej mapki tego terytoryum, wysoce historycznego.

Według badań Petrie już 9. Faraon I. dynastyi Semerhet szukał turkusów w Morara. Stela Semarheta odkryta na Synaju byłaby według Petrie najstarszym historycznym pomnikiem na ziemi, miał panować Semarhet według obliczeń Petrie 5291-5273. Ale data jest z pewnością zawczesna. cfr. Szczepański: *Na Synaju* str. 279 i 350.

[2] Tak nazywali Egipcyanie Beduinów synajskich: Szosu albo Mentiu.

Blütezeit str. 18), potem walczy przeciwko Mentiu t. j. Beduinom na Synaju.

Na pograniczu między dzisiejszą Ismaila i jeziorami słonemi budują przeto Egipcyanie pas forteczny tak pilnie strzeżony, że nawet jeden człowiek z trudnością tylko potrafi się przemknąć przez ten kordon graniczny. Że te środki ostrożności nie były zbyteczne, okazało się po upadku średniowiecznego państwa egipskiego. Koczownicze szczepy Hyksosów [1], będących Semitami, jak wskazuje przedewszystkiem nazwa jednego z ich królów, Jakob-El, który się narzucił jako faraon Egiptowi, Toteż po wypędzeniu Hyksosów XVIII i XIX dynastya, starają się przez zupełny podbój Syryi raz na zawsze ubezpieczyć Egipt przed podobnymi najazdami. Już zwycięzca Hyksosów, Amosis, staje podczas swoich odważnych wypraw wojennych nad brzegami odwróconej wody t. j. Eufratu, który Egipcyan interesował tem, że nie płynął ku północy jak Nil, ale ku południowi. Szczególniej baczne oko na Syryę zwracał Tutmosis III. W kilkunastu wyprawach utrwalił zupełnie hegemonię i zwierzchność Egiptu nad Syryą, każąc sobie płacić haracz przez pokonanych królików [2]. Jednakże już za rządów jego następców bezpośrednich nabawiło posiadanie Kannaanu i Syryi faraonów Amenofisa III i Amenofisa IV bardzo wielkich kłopotów. Znakomitą charakterystykę fizyognomii politycznej Syryi daje nam w tej epoce korespondencya odnaleziona w archiwum pałacu Amenofisa IV w El-Amarna. Od tej miejscowości tablice te noszą nazwę „tablic z El-Amarna". Jesteśmy około r. 1450. Otóż korespondencya ta obejmuje niemniej nie więcej jak 300 tabliczek glinianych zapisanych pismem klinowem [3].

[1] cfr. Wilhelm Spiegelberg: *Der Aufenthalt Israels in Aegypten*. Strasburg 1904, str. 29.

[2] Historya wypraw Tutmosisa III do Syryi jest wyryta na wewnętrznych ścianach świątyni Amona w Tebach. Roczniki te, wysławiające czyny Amona, opiekuna faraonów, są wyciągiem z dzienników i relacyi wojennych. Pierwszą wyprawą skończył świetnem zwycięstwem pod Megiddo. cfr. Unguad: *Texte* str. 236-240. Mamy tam nadto opisy zdobycia miasta Arwad, Kadesz Simirry w północnej Syryi.

[3] Według wydania Knudtzona we: *Vorderasiatische Bibliothek* z r. 1910 mamy obecnie 358 numerów. Tablice te przypadkowo odnalazła kobieta ko-

Są to listy różnych królików kananejskich jak Abdčhiby z Jeruzalem, Ribadi z Biblos, Zimridy z Lakisz, a nawet listy władcy babilońskiego Burna-Buriasza, skarżącego się przed faraonem, że w kraju jego zwierzchności podległej obrabowano jedną z jego karawan handlowych. Burna-Buryasz ustawicznie się targuje z faraonem o przysłanie sobie jak najwięcej złota, za co obiecuje posłać swe córki do jego haremu. Toż samo czyni król asyryjski Asurmubalit. Są tam nadto listy hetyjskiego króla Tuszraty i różnych władców państewek hettejskich, jak Nuhasze, Ni, Katna, a nawet dwa listy pisane po aryjsku. Korespondencya ta rzuca jasne światło na stosunki w Kanaanie, a omawiając czasy podboju Kanaanu przez Izraelitów, będziemy mieli sposobność bliżej jeszcze się zapoznać z jej treścią. W ostatnich latach uzupełniono dokumenta te zupełnie analogicznymi listami z tego czasu, znalezionymi w Lakisz [1], w Taanek [2] w ziemi kananejskiej i Boghazkeui w pobliżu Angory w Małej Azyi, a będącem prawdopodobnie stolicą państwa hetejskiego, jak pokazuje odkryty tam pierwowzór traktatu pokojowego, zawartego między Ramsesem II a Hattusilu, królem hetejskim, po 20-letnich wojnych między sobą prowadzonych.[3]

---

piąca w polu, wieśniacy egipscy posprzedawali je różnym antykwarzom. Z powodu takiego ich odnalezienia doszły te tablice w bardzo smutnym stanie do rąk uczonych. Odnaleziono te tablice w miejscowości Et-tell, którą przezwano od koczującego obok plemienia arabskiego tell el Amarna.

[1] cfr. W. M. Flinders Petrie: Tell el Hesy (Lachish) in 4°, 62 pp. 10 tablic i dużo rycin. Londres 1891.

[2] Sellin, któremu kilku bogatych mecenasów nauki dostarczyło funduszów potrzebnych w latach 1903 i 1904 przedsięwziął szereg systematycznych wykopalisk w starokanaanejskiem Taanek: odkrył tu archiwum króla Istar Wassura, w którem znajdowało się 8 tablic klinowych. cfr. Sellin: *Tell Taannek: Bericht über eine Ausgrabung in Palästina*, 4° 123 str. 13 tablic, 13 illustracyi stanowi 4. fascykuł 50 tomu wydawnictwa akademii wiedeńskiej. Wien 1904.

W r. 1905 ukazał się u Höldera we Wiedniu dalszy ciąg odkryć w Taanek pod tytułem: *Eine Nachlese auf dem Tell Taanek in Palästina* a w dodatku opracował Dr. Hrożny nowo odkryte teksty klinowe.

[3] Z polecenia ottomańskiego muzeum w Konstantynopolu zaczęto r. 1906 pod kierunkiem Makridy-Bey'a wykopywać w Boghaz-keui koło Angory dawną stolicę Hetejczykow. Z ramienia instytutu archeologicznego w Berlinie wzięli udział w poszukiwaniu za napisami Winckler Curtius, Kohl, Kremcker, podczas gdy Puchstein zajął się architekturą zabytków. Odkryto mnóstwo cennych

Z korespondencyi tej widzimy, że lubo Kanaan zostaje w XV w. pod zwierzchnictwem egipskiem, jednakże cywilizacya babilońska zupełny odniosła tryumf w tym kraju. Wszystkie te listy pisane są w języku babilońskim z licznymi jednak kanaanizmami, pokazującymi, jak trudno było się oswoić ówczesnym pisarzom nadwornym w Egipcie z obcym sobie językiem babilońskim. Popełniają nie tylko duże błędy ortograficzne, ale także gramatyczne i leksykograficzne. Także treść tych listów stwierdza, że wyobrażenia religijne oraz literatura babilońska bardzo głęboko zakorzeniły się w umysłach Kanaanitów. Nietylko akta dyplomatyczne objęte są korespondencyą z El-Amarna, lecz mamy tu także znaczny fragment babilońskiego mitu o Adapie. Dowiadujemy się więc z tej korespondencyi, że za czasów Amenofisa IV groziła faraonom zupełna utrata Kanaanu, gdyż od wschodu wpadały ciągle hordy Habiri i „Sagas", które jak pokazuje korespondencya Abdchiby z Jeruzalem już nawet zaczęły się stale osiedlać w ziemi kanaanejskiej. Ale daleko groźniejszym wrogiem dla Syryi było państwo Hatti. Wprawdzie restauracya Egiptu dokonana przez Setiego I także rozciągnęła się na ziemię Kanaan. Seti I w kilku wyprawach poskromił hordy Habiri, ale nie potrafił osłabić potęgi państwa Hatti. Jego syn, potężny Ramzes II przez 20 lat ciągłych wypraw do Syryi północnej również nie złamał potęgi hattejskiej mimo świetnych zwycięstw, z których się chlubi na murach Rameseum w Tebach; a ostatecznie jakeśmy wspomnieli wyżej musiał zawrzeć z królem hettejskim traktat zaczepno-odporny, na mocy którego rozdzielono sfery wpływów wzajemnych. Ramzes musiał zrezygnować z północnej Syryi na rzecz Hetejczyków, a zadowolić się tylko posiadaniem właściwego Kanaanu, położonego na południe od rzeki Nahr-el-Kelb. Traktat Ramzesa jednakże nie zażegnał burzy zawisłej nad

---

dokumentów; między innemi pierwszy szkic traktatu zaczepno-odpornego między Hattusilem królem hetyjskim i Ramzesem II, a także bardzo ciekawy dokument, będący traktatem między Mitawazą, królem Mitani i Subbiluliuma, królem Hattu z XV w. przed Ch. cfr. Revue biblique 1908 str. 313; *Conférences de St. Etienne* str. 6.

ziemią Kanaan. Widzimy z napisów jego syna Mernefta, że Egipt wycofał się prawie zupełnie ze ziemi Kanaan. Wprawdzie chlubi się Mernefta na steli zwycięskiej, na której kazał w 5 r. swego panowania wyryć wspaniały hymn na swoją cześć, że rozgromił zupełnie wrogów, którzy się zmówili na zniszczenie jego państwa [1]. Stamtąd dowiadujemy się, że za jego panowania zawiązuje się wielka koalicya różnych ludów małoazyatyckich, kanaanejskich i libijsko-egejskich. Najważniejszem jednak jest, że właśnie na tej steli występują po raz pierwszy w historyi Izraelici, o których powiada Mernefta: Izrael i jego ludzie są nieliczni, nasienie jego nie istnieje już więcej. Podobnież chlubi się, że spustoszył całą Libię, uspokoił kraj Hetta i zdobył ziemię Kanaan. Ale jest to tylko czczy frazes, gdyż jeden z jego następców Ramzes III musi zezwolić na osiedlenie się w ziemi Kanaan, wrogich szczepów Pulasata t. j. Filistynów; nie odmówił sobie jednak przyjemności przedstawienia siebie na świątyni w Medinet-Habu, jak skrępowanych powrozami ciągnie za sobą wojowników filistyńskich, uzbrojonych w okrągłą homerowską tarcz i oszczep, oraz przyodzianych kołpakiem podobnych do tych, jakie znamy z opisów Illiady, gdyż Filistyni to lud pochodzenia aryjskiego, który się jednak zupełnie skanaanizował w Palestynie, a który, jak wiemy z dziejów biblijnych, przez 200 z górą lat był jednym z największych wrogów, zagrażających samodzielności Izraelitów [1].

Egipt ostatecznie uległ i to pod wpływem najazdów różnych szczepów, które od zachodu i północy wciskały się do delty. Wprawdzie wysiłkom Ramzesa III i Mernefty II udało się powstrzymać ludy semicko-keftyjskie od samych granic Egiptu. Ale Kanaan i cała Syrya raz na zawsze zostały stracone. Także wpływ Egiptu na wyspy morza Śródziemnego, jak Kretę i Cypr, znikł zupełnie. W jakim zaś stanie osłabienia znalazł się Egipt

---

[1] Stelę tę z hymnem na cześć faraona Mernefta odnalazł w r. 1896 Petrie w ruinach świątyni Mernefty w Tebach. Znajduje się w muzeum w Kairo cfr. tekst jej Dr. Gressmann *Altorientalische Texte* 191-195.

[2] cfr. Maspero: *Histoire ancienne* 312-320 i Lagrange: *La Crete ancienne Paris* 1908 str. 136-138.

w XI w. to najlepiej pokazuje to opowiadanie Wen-Amona, który z polecenia Smendesa, księcia Tanis za rządów niedołężnego Ramzesa XII udaje się na Libanon po drzewo, potrzebne na sporządzenie barki Amona w Tebach. Wtenczas już królikowie kanaanejscy nie lękają się potęgi Egiptu [1].

Widzimy więc z tego krótkiego szkicu starożytnych dziejów Kanaanu, jakim był jego stosunek do Egiptu; pokazuje się, że w epoce, kiedy Izraelici zamierzali na stałe osiedlić się w Kanaanie, jest ziemia palesteńska widownią ustawicznych wędrówek różnych szczepów semickich, hettyjskich a nawet może aryjskich, pragnących wzajemnie wydrzeć sobie ten kraj. I na takiem tle dokona się ostatecznie podbój jego przez Izraelitów.

W jakiem świetle występuje Kanaan na pomnikach babilońskich?

Otóż pozwolimy sobie tutaj dać krótki rzut oka na historyę starożytnego Babilonu zanim przedstawimy jego stosunek do Syryi.

Historya babilońska, a zwłaszcza najstarsza jej doba, dopiero w latach ostatnich zaczyna nabierać pewnych konkretnych kształtów. Wprawdzie Assyrologia ma za sobą już bogatą bardzo literaturę, lecz pierwsze badania poświęcono przedewszystkiem najmłodszym państwom babilońskiem. Nie zajmowano się jej dziejami najdawniejszemi z tej prostej przyczyny, że dopiero wykopaliska, dokonane w ostatnich 30 latach, dostarczyły nowych źródeł. Początkowe wykopaliska konsulów francuskich Botty i Place'a, jako też angielskich uczonych Lajarda, Loftusa, Rawlinsona, miały na celu nagromadzić jak najobfitszy materyał inskrypcyjny, aby tak tem łatwiej odcyfrować zagadkowe dokumenta klinowe. Wiemy, że klucz do nich stanowi olbrzymia inskrypcya Daryusza, umieszczona na skałach w Behistanie, gdzie w trzech językach: perskim, anzanickim i babilońskim,

[1] Interesujące te relacye podróży po Palestynie znajdują się na papirusie, będącym własnością Goleniszowa w Petersburgu, cfr. tłomaczenia najnowsze Dr. Gressmann *Altorientalische Texte* 225-230

w piśmie klinowem, opisano zwycięstwa Daryusza[1] Udało się najpierw odcyfrować napis perski i anzanicki, gdyż znajomość języka perskiego rzecz tę bardzo ułatwiały; przy ich pomocy po mozolnych pracach Rawlinson odczytał także tekst babiloński. On jako też Hick i Oppert ostatecznie zrekonstruowali zaginiony język babiloński, a to głównie dzięki obfitym zbiorom gramatycznym, alfabetycznym i leksykograficznym, odnalezionym przypadkowo w pałacu Assurbanipala[2]. Już te pierwsze badania odsłoniły dokumenta i roczniki władców assyryjskich, takich, jak Salmanasar II, Tiglatpilezar III, Salamanasar IV, Sargon, Sennacheryb, Asarhadon, których ręka tak twardo zaciężyła nad państwem izraelskiem, i roczniki tych władców stwierdziły tylko to, co już historyografowie izraelscy byli napisali o ich stosunku do Izraelitów. Historyi tej jednak nie chcę dotykać, jako zbyt dobrze znanej. Natomiast ważniejszymi są pomnik starożytnej Babilonii, które się już zajmują ziemią Kanaan.

---

[1] Kosztem akademii petersburskiej wydał Kajetan Kossowicz r. 1872 wspaniałe illustrowane dzieło, w którem opublikował wszystkie dotychczas znane inskrypcye historyczne staro-perskie a szczególniejsze studyum poświęcił napisowi perskiemu Daryusza w Behistanie. Dzieło to nosi tytuł: *Inscriptiones palaeo-persicae Achaemenidarum.* Petropoli 1872.

[2] Odcyfrowanie zagadkowego pisma klinowego odbyło się w zupełnie podobny sposób jak odczytanie napisów hieroglificznych. Jeszcze r. 1802 uczony Westfalczyk Grotefend wpadł na pomysł, że w napisach tych muszą się znajdować imiona własne; przypuściwszy więc, że tam znajdują się imiona Daryusza i Xerxesa szczęśliwie dotarł do odczytania kilu znaków. Po niezmiernym wysiłku umysłowym udało się powoli odczytać całą kolumnę perską a potem na podstawie tego powoli *odcyfrowano i kolumnę babilońską.*

Pismo klinowe to szereg znaków ułożonych z jednego lub kilkunastu klinów. Jednakże nie było ono nigdy alfabetycznem. Właściwość pisowni babilońskiej stanowi 100 zasadniczych znaków wyrażających kolejno zgłoski jak: *bi, ba, be, gi, gu, ga,* lub *ub, ib, ab, ig, ug, ag,* ale ponadto na cały szereg ideogramów na oznaczenie pojęć ogólnych jak: brat, król, miasto, kraj, osieł, drzewo itd; także imiona bóstw są pisane ideograficznie, za pomocą znaków, zaczerpniętych jeszcze z dawniejszego języka sumeryjskiego, n. p. bóstwo *Sin* pisze się przez ideogram *Enzu*; podobnież dzieje się z wielu rzeczownikami np. deszcz, po babil. *Zunnu,* pisze się ideograficznie a-an, co po sumeryjsku znaczyłoby woda z nieba. Lekturę jednakże ułatwiają t. zw. determinatiwy; np. ile razy występuje imię własne poprzedza je pionowy klin, ile zaś razy imię bóstwa lub też nazwisko, złożone z imienia jakiegoś bóstwa, poprzedza sume-

Jeszcze z tego powodu zasługują wykopaliska najnowsze w Babilonii na specyalną uwagę, że rzucają one silne światło na historyę ludów semickich. Kwestya to niesłychanie doniosła dla zagadnień biblijnych, gdyż naród izraelski jako jeden z członków rasy semickiej, może dopiero wtenczas być zrozumianym w swoich początkach, jeżeli jasnym będzie jego stosunek do Semitów. W Piśmie św. wprawdzie mamy dużo odnośnych uwag, ale są tak ogólnikowe, że na ich podstawie nie podobna nam sobie przedstawić jasnego obrazu tych stosunków. Otóż wykopaliska, jakie kosztem rządu francuskiego prowadzili w ostatnich 30 latach Sarzec a po nim kapitan Cros w Tello (Lagasz) i O. Scheil w Babilonii i w Suzie, dalej badania uniwersytetu pensylwańskiego w Nippur, kierowane przez Hilprechta, a wreszcie wykopaliska niemieckie w Hilleh pod kierunkiem Coldevey, jako też i analogiczne poszukiwania w Sindżerli w północnej Syryi, a wreszcie Wincklera w Boghazkeui wydobyły na światło dzienne mnóstwo najstarszych dokumentów, dających nam dopiero należyte pojęcie o ludach semickich. Wykopaliska zaś w Sendżirli i w Boghazkeui stwierdziły wpływ cywilizacyi babilońskiej na Syryę a nawet na Małą Azyę, i one także dopiero oświetliły wiele ciemnych punktów odnośnie do historyi ludów aryjskich, o której również w niektórych miejscach wspomina Pismo św. Otóż dzięki tym wykopaliskom, w należytem dopiero świetle ukazali się znani już z po-

---

ryjski znak *an*; imiona miast, okręgów poprzedzają determinatiwy *ki* (alu), *matu* albo *sadu*. Imiona ludów determinatiwy: *amelu* zaś królów determinatiwy *sarru* itd. Jest jednak wielka trudność w tem, że często jeden i ten sam znak może mieć kilka wartości fonetycznych np. znak *ne* może brzmieć także *te, bil, kum, lam;* a w babilońskim także *bi*. Wtenczas zwykle o brzmieniu rozstrzyga następujący znak:—, który rozpoczyna się od spółgłoski tej samej, którą się kończy zgłoska poprzednia, np. po znaku *ne* następuje znak *mu* wówczas będzie znaczył albo lam-mu, albo kum-mu, o czem ostatecznie rozstrzyga kontekst, jeżeliby nie poprzedzał jakiś determinatiw bliżej określający znaczenie wyrazu. Jeżeli zaś zgłoska kończy się samogłoską wówczas zazwyczaj jeszcze w razie wątpliwym określa się bliżej samogłoskę, np. ma się czytać *bi* a nie *be*, to następuje jeszcze znak i. Z tego widać jednak, że bardzo często lektura i sens będą problematycznemi, i co do niektórych tekstów wątpliwości może nigdy w zupełności nie będą usunięte.

przednich odkryć najstarsi królowie babilońscy: Sargon z Agady, jego syn Naramsin. Ale również pokazało się, że bynajmniej nie byli oni pierwszymi historycznymi władcami Babilonii, gdyż już przedtem znajdowało się tam szereg dobrze zorganizowanych państw, jak o tem świadczy kilkadziesiąt nazw różnych władców, wyprzedzających jeszcze Naramsina i Sargona z Agady. Na podstawie tych pomników zebranych i przetłomaczonych w dziele: Thureau Dangin p. t.: *Les Inscriptions de Sumer et Akkad*, wydane również w języku niemieckim u Hinrichsa, jako pierwszy tom wydawnictwa: *Die Vorder-Asiatische Bibliothek* [1].

(C. d. n.)

Ks. W. Michalski C. M.

---

[1] Thureau Dangin: *Die Sumerischen u. Akkadischen Königeinschriften.* Leipzig 1907. W napisach tych częściowo pisanych w języku sumeryjskim, a częściowo po babilońsku przechowało się około 87 imion różnych władców starobabilońskich, żyjących około r. 3200 i 2300 przed Chr. Według tego wydania będę cytywał.

ITA – PATER![1]

Ty mnie pytasz Królu, me kochanie,
Czy przyjmę chętnie krzyż, cierpienia, męki?
Jakto? Czyż zawsze, cokolwiek się stanie,
Ja nie uwielbiam wszystko, co z Twej ręki?...
O nie, mój Panie, o nie pytaj więcej,
Rań serce moje i to nędzne ciało:
Sługa Twa padnie w zachwytu podzięce,
Że coś przeznaczył, to się we mnie stało.
Pamiętam chwilę, o chwilę tak błogą,
Gdyś tak wyraźnie przemówił do duszy...
„Gotowaś córko iść tą samą drogą,
„Co ja... twój zbawca, wśród ciągłych katuszy?"
I młode serce na chwilę zadrżało:
Jam taka słaba, tak mało cierpiąca;
Cóż trzeba czynić, by się wykonało
To, co Twa wola zeszle miłująca?
I usłyszałam słowo, co wśród ludzi
Zgrozą i wstrętem przejmuje, przeraża:
„Gotowaś na trąd, co na zawsze brudzi
„I w długie lata wciąż życiu zagraża?!"
O przebacz Panie, słabości godzinie!
O! ja słyszałam, rozumiałam Ciebie,

[1] Wiersz ten wypłynął z pod pióra zakonnicy Polki, która poświęciła się posłudze trędowatych, na wyspie Trinidad i od szeregu lat tamże pracuje. Pod prostotą słów kryje się taka głębia bohaterskiej ofiary, że wiersz ten należy zaliczyć do najpiękniejszych wzlotów chrześcijańskiego natchnienia.

Redakcya

Ale sądziłam, że ten głos zaginie,
I bez mąk tylu, zobaczę Cię w niebie.
O! słabe serce... wzdrygało się, bało
Mniej własnych cierpień, co matki łez drogich
I na pytanie upornie milczało,
Lecz niespokojne wśród udręczeń srogich.
Tyś czekał Panie! Zapytania słowo
W uszach mych, w sercu straszliwie mi brzmiało,
O, dość mój Panie! Nie pytaj na nowo,
O! nic dla Ciebie *za wiele...*, *za mało*!
Za mało bolu, za mało cierpienia,
Choćby trwać miało aż do dnia sądnego.
Gotowam Panie dla Twego Imienia
Dać wszystko — wszystko — co jest we mnie mego!
Gotowam patrzeć na łzy i na bole,
Gotowam strasznych słuchać słów potwarzy
Na wszystko, co jest na tym łez padole;
Serce me odtąd — o Tobie li marzy!

. . . . . .

Minęły lata od tej wielkiej chwili,
Z Boskim Żeglarzem ocean przebyłam.
Wiem, że w oddali On życie umili,
Z Nim i z niedolą na zawsze się zżyłam.
Jeśli potrzeba, by to, coś zażądał,
W rzeczywistości strasznej się spełniło,
By świat mnie trądem okrytą oglądał:
O przybądź! przybądź wykonania chwilo!
Prawda, jam słaba, lecz na Twoje dary,
Na pomoc Twoją niemoc moja liczy.
Tyś mierzył Panie wpierw krzyża rozmiary,
Zanim go dałeś Twojej służebnicy.
W wyrokach wszystkich, bądź uwielbion Panie!
W unicestwieniu mojego istnienia —
We mnie we wszystkiem niechaj się to stanie!
Co z większą chwałą Twojego Imienia!

Wyspa Św. Trójcy. S. M. S. 1906.

KWESTYA DROŻYZNY.

Dokończenie.

Zarządzenia administracyjno-prawne, zmierzające do złagodzenia drożyzny, są przeto uprawnione, a w odpowiedni użyte sposób mogą nader skutecznie oddziałać na politykę kartelów, powstrzymując je od zbyt egoistycznego wyzyskiwania swej przewagi. Środków tych jednak można używać tylko ostrożnie, w wypadkach jaskrawszych nadużyć, inaczej akcya publiczna mogłaby łatwo przybrać pozory systemu, który przy pomocy szykan pragnie wymusić ustępstwa w dziedzinie ekonomicznej. Dlatego też samo władztwo administracyjno-prawne wystarczyć nie może. Czynniki publiczne, chcąc sprowadzić kartele do właściwej ich roli organizatorów produkcyi stosownie do potrzeb konsumcyi, muszą rozwinąć prócz tego działalność ściśle gospodarczą. Wówczas normalnym regulatorem egoizmu materyalnego przedsiębiorstw skartelowanych będą warunki ekonomiczne, państwo wystąpi jedynie w razach wyjątkowych, przyczem często wystarczy sama zapowiedź zarządzeń administracyjnych na wypadek oporu.

Trzy główne można tu wymienić sposoby oddziaływania gospodarczego: utworzenie przez związki publiczne własnych przedsiębiorstw, popieranie prywatnych zakładów produkcyjnych, o ile nie należą do kartelu, wreszcie ułatwianie w wypadkach drożyzny, spowodowanej kartelem dowozu z zagranicy. Związki konsumentów, a potem miasta weszły już od dawna na drogę zakładania własnych przedsiębiorstw, ażeby uwolnić

się od zależności od producentów prywatnych. Doświadczenia poczynione przez te instytucye są na ogół dodatnie. Wprawdzie nie da się zaprzeczyć, że produkcya prywatna, obliczona wyłącznie na zysk indywidualny, okazała się w wielu razach oszczędniejsza i sprężystsza, lecz to nie przechyla bynajmniej szali na jej korzyść. Właśnie fakt, że wytwórczość zbiorowa jest najczęściej mniej gospodarna od indywidualnej dowodzi najlepiej, że interes ogólny domaga się stworzenia w wielu gałęziach zakładów, prowadzonych na rachunek publiczny. Pomimo bowiem większych kosztów własnych, dostarczają one publiczności tańszych wytworów, poprzestając na mniejszym zysku. Dzięki temu zaspokojenie potrzeb ludności staje się łatwiejszem i dokładniejszem, a tego właśnie domaga się interes ogólny. Przedsiębiorstwa prywatne dają większe zyski indywidualne, zakłady publiczne większe korzyści społeczne — i na tej różnicy opiera się uprawnienie gospodarcze ich egzystencyi. Tam gdzie chodzi o wytwory, służące potrzebom, które powinniśmy zaspokoić, należy w razie drożyzny przeciwstawić przedsiębiorstwom prywatnym — publiczne; prywatne bowiem wytwarzają wprawdzie tanio, lecz sprzedają drogo, a chodzi właśnie o to, ażeby każdy konsument mógł nabyć dostateczną ilość owych towarów.

Zasady te można zastosować także do państwa, skoro chodzi o produkcyę artykułów powszechnie używanych, a wytwórczość prywatna związana w kartele nadmiernie utrudnia konsumcyę. Państwo w takim razie, stając do konkurencyi z kartelem, jest tak potężnym „*outsiderem*“, że kartel musi się liczyć z jego stanowiskiem. Albo więc przedsiębiorstwo państwowe pozostaje stale poza kartelem i przez ustanawianie właściwych cen na swe wytwory nie dopuszcza do nadmiernej drożyzny, albotéż wszedłszy do kartelu oddziaływa na kształtowanie cen kartelowych, uwzględniając interes ogólny. W tym razie zwalcza się nadużycia kartelu jego własną bronią. Możność podnoszenia cen uzyskał kartel przez zmonopolizowanie i ograniczenia produkcyi krajowej. Państwo stając z nim do konkurencyi, obala te podstawy; niszczy monopol i zwiększa produkcyę, kartel więc, który nie może mieć nadziei doprowadzenia takiego

przeciwnika do upadku, musi się albo rozwiązać, albo godzić na jego żądania.

Drugim sposobem jest popieranie przedsiębiorstw prywatnych, które do kartelu nie należą. Jest to niewątpliwie środek już mniej radykalny, bo pomiędzy kartelem, a zakładami stojącymi poza nim, może przyjść do cichego układu, albo choćby tylko do faktycznej zgody, polegającej na tem, że przedsiębiorstwo wolne będzie sprzedawało swe wytwory po cenach kartelu. Jednakże państwo nie zawsze może produkować we własnym zarządzie; w licznych wypadkach okazałoby się to zbyt kosztowne, a tem samem bezskuteczne. Odnosi się to przedewszystkiem do tych gałęzi produkcyi, w których przedsiębiorstwa nie mogą być zbyt wielkie, tak że każde z nich pokrywa nieznaczną tylko część zapotrzebowania. Państwo chcąc w tym razie oddziałać na ceny, musiałoby utrzymywać większą liczbę zakładów, może nawet rozrzuconych w różnych okolicach, coby utrudniało znacznie administracyę i podnosiło koszta produkcyi. W takim razie założenie przedsiębiorstw publicznych byłoby niewłaściwe, bo dla zwalczania drożyzny użytoby środka nazbyt kosztownego, a więc niegospodarnego. W tym razie lepiej jest skorzystać z inicyatywy prywatnej, ale bardziej liczącej się z interesem społecznym. Niebezpieczeństwo faktycznego współdziałania z kartelem da się uniknąć, jeżeli państwo uczyni swe poparcie zależnem od przestrzegania pewnych warunków, np. pewnego stosunku ceny do kosztów produkcyi. Państwo jest dzisiaj tak wielkim odbiorcą wszystkich niemal artykułów, a zarazem dostawcą tylu niezbędnych usług, że podobny układ nie spotkałby z pewnością żadnych trudności. Sposób postępowania mamy już nakreślony w przepisach, które ustanawia się przy dostawach publicznych. Państwo, kraje, gminy i t. p. oddając przedsiębiorcom prywatnym dostawy publiczne, nakładają na nich niejednokrotnie obowiązki, które z samem wykonaniem tych robót nie stoją w żadnym bezpośrednim związku, a stanowią dla przedsiębiorców pewien ciężar, nieraz wcale znaczny. Mimo to nie brak nigdy chętnych do przyjęcia takich ofert, bo tylko pod tym warunkiem można

otrzymać korzystne zamówienie. W ten sposób państwo, lub inny większy organizm publiczny może zapewnić sobie wpływ na ceny i wytworzyć konkurencyę dla kartelu, dostatecznie silną, bo podtrzymaną zapotrzebowaniem publicznem. Co więcej, polityka tego rodzaju oddziała niewątpliwie także na kartel bezpośrednio. Dostawy publiczne posiadają dzisiaj tak wielką doniosłość dla przeważnej ilości przedsiębiorstw, że kartel będzie się starał wszelkiemi siłami otrzymać również odpowiedni udział w tych zamówieniach. Skoro warunkiem ich uzyskania będzie zastosowanie swej polityki targowej do żądań władz publicznych, kartel zgodzi się na to we własnym interesie. W tym wypadku jednak państwo musi i nadal popierać zakłady nie należące do kartelu, inaczej bowiem upadek ich lub przystąpienie do związku mogłoby nadać kartelowi ponownie monopoliczne stanowisko, coby sprowadziło z łatwością powrót do dawniejszej, egoistycznej polityki.

Wreszcie poważną bronią w ręku państwa winna być polityka celna i taryfowa. Nie ulega wątpliwości, że wytwórczości krajowej należy się w zasadzie uprzywilejowane stanowisko w stosunku do zagranicy. Uprawnienie to jednak nie może szkodzić interesowi ogólnemu, t. zn. jest ograniczone dobrem ogółu. Jeżeli producenci wyzyskują opiekę przed konkurencyą zagraniczną dla namiernego podwyższania swych zysków, protekcya celna staje się szkodliwą, bo nie służy produkcyi, tylko indywidualnym interesom nielicznych przedsiębiorców. W takim wypadku powinno się poprzeć dowóz z zagranicy, któryby sprowadził ceny do właściwej wysokości. Można to osięgnąć, obniżając chwilowo cła, albo też wprowadzając takie taryfy przywozowe, któreby ułatwiły import zagraniczny. Zarządzenia tego rodzaju miałyby wpływ nader doniosły, a korzystny. Widzieliśmy, że kartel utrzymuje się głównie dlatego, że dzięki protekcyi celnej, nie obawia się konkurencyi zagranicznej. Zawieszenie działania ceł ochronnych groziłoby mu rozbiciem, stąd też chcąc nie chcąc musiałby zmienić swe postępowanie w taki sposób, ażeby państwo uznało, że nie ma już potrzeby stosowania przeciw niemu wyjątkowej polityki celnej. Możność

chwilowego wprowadzenia zasad wolnego handlu, w wypadkach nadmiernej drożyzny jest niczem innem, jak odnowieniem w innej formie, znanych dawniej ceł różniczkowych. Ochrona celna działałaby, skoro ceny nie byłyby zbyt wygórowane; uchylanoby ją w czasach, w których pojawiałaby się nadmierna drożyzna. Cła regulowałyby ceny stosownie do potrzeb ogółu i produkcyi, nie służyłyby natomiast, tak jak to się dziś aż nazbyt często dzieje, interesom prywatnym. Ponieważ ochronę celną wprowadza się w interesie ogółu, więc zasada dopuszczająca w razie potrzeby czasowego ich zawieszenia lub obniżenia, odpowiada ich istotnemu celowi.

Przeciwdziałanie polityce kartelowej zmierza do obniżenia cen w wiekim handlu. Jednakże osiągnięcie tego celu nie chroni jeszcze bynajmniej przeważnej ilości konsumentów przed drożyzną. Pomiędzy cenami wielkiego handlu i małego istnieje bowiem bardzo wielki przedział, wypełniony kosztami i zyskami pośredników handlowych. Chcąc więc zwalczać drożyznę skutecznie, chcąc mniej zamożnym warstwom ludności zapewnić możność tańszego zaspakajania potrzeb, musi się przystąpić do uregulowania sprawy pośrednictwa handlowego.

Widzieliśmy już poprzednio, że pośrednictwo handlowe w odpowiedniej ilości, potrzebne, a więc użyteczne, staje się w wielu krajach szkodliwem, gdy zamiast zbliżać konsumenta do producenta, oddala ich od siebie coraz więcej. W pierwszej przeto linii zdrowa polityka gospodarcza musi dążyć do usunięcia nadmiaru pośrednictwa, t. zn. wszystkich zbytecznych zakładów handlowych i kupieckich. Funkcya ekonomiczna kupca polega na wyszukaniu dla wytwórcy odbiorców, a dla konsumenta potrzebnych towarów, kupiec przeto jest niejako ajentem tak producentów jak i spożywców, ale ajentem spełniającym swe zadanie na własny rachunek. Za usługi, które oddaje, płacą mu obie strony i płacą dobrze, stąd też stan kupiecki wzrasta zwyczajnie bardo szybko. Zysk w handlu zależy przedewszystkiem od szybkości obrotu; im prędzej uda się wysprzedać towary, tem wyższy dochód przyniosą włożone w gospodarstwo zasoby pracy i kapitału. Stąd też tak ze stanowiska społecznego

jak i indywidualnego, najbardziej wskazanym jest system nielicznych sklepów o wielkim odbycie. W takim razie kupiec ma wielkie dochody, a więc odpowiednie wynagrodzenie za swe usługi, mimo że nie wielka będzie różnica między ceną, za którą sprzedaje swe wytwory producent, a tą, którą płaci konsument. Inaczej natomiast układają się stosunki, gdy handel rozkłada się na wielką ilość małych przedsiębiorstw. Szczupła klientela zmusza kupca do domagania się za każdy akt sprzedaży wysokiej zapłaty, inaczej bowiem nie mógłby się utrzymać; zarazem podnoszą się koszta prowadzenia sklepu i wzrasta niebezpieczeństwo, że nabyte towary nie znajdą odbiorców. Pośrednik musi w tym razie podwyższyć znacznie swój zysk na każdej jednostce towaru, a zarazem obciążyć w wyższym stopniu jej cenę zwrotem własnych kosztów i premią ryzyka. Ma on tu w zasadzie do wyboru dwie drogi: przerzucić wszystkie te pozycye na dostawcę t. j. producenta lub wielkiego kupca, kupując tanio, albo na konsumenta, sprzedając drogo. Pierwszy sposób wyjątkowo tylko da się użyć, bo kupiec nabywa swe towary najczęściej u gospodarzy, którzy zwykle zdołają odeprzeć jego żądanie obniżenia ceny i to tem łatwiej, im on sam jest pośrednikiem mniejszym, a więc od nich słabszym. W praktyce więc kupiec musi przerzucić cały ciężar na konsumenta, czyli sprzedać drogo. Im bardziej podnosi się ogólna skala życia w kraju, tem więcej rosną wymagania pośredników handlowych; im mniejszą jest odporność wobec ich żądań — a widzieliśmy, że konsument, nabywając towary w drobnych ilościach, broni się niezbyt energicznie — tem większy dostrzegamy napływ do zawodów handlowych, jako zapewniających najłatwiej dostateczne dochody. Wskutek tego nawet jednostki, wyposażone w bardzo małe kapitały, otwierają sklepy, licząc na kredyt i znowu z konieczności podnoszą ceny, ażeby prócz dochodu dla siebie, wydobyć jeszcze procent dla swych wierzycieli.

W ten sposób handel — a to przedewszystkiem handel drobny — samą siłą rzeczy sprowadza drożyznę, i to najgorszą, bo dotykającą warstw najmniej zamożnych. Żadna więc akcya przeciw drożyźnie nie może być rzeczywiście skuteczną, jeżeli

ograniczy się jedynie do walki z producentami. Chcąc istotnie ułatwić konsumcyę, musi się powstrzymać nadmierny rozwój pośrednictwa, utrudniając powstawanie zbytecznych przedsiębiorstw handlowych.

W pierwszej linii winna się tu zaznaczyć organizacya współdzielcza, o której mówiłem już poprzednio. Lecz i czynniki publiczne nie mogą pozostać bezczynne. Zadanie ich jest dwojakie, winny bowiem z jednej strony popierać związki współdzielcze, z drugiej zaś nie dopuszczać do nadmiernego rozrostu handlów indywidualnych.

Stan kupiecki prowadzi oddawna już w wielu krajach walkę ze stowarzyszeniami spożywczemi, a przedewszystkiem zwraca się z całą gwałtownością przeciwko jakimkolwiek ulgom lub przywilejom, któreby ustawodawstwo lub administracya przyznawały związkom konsumentów. Handel broni w ten sposób swoich zawodowych interesów, nie można mu więc z tego tytułu uczynić żadnego zarzutu. Z drugiej jednak strony nie można zapominać, że pośrednictwo handlowe nie jest bynajmniej samodzielną funkcyą gospodarczą, lecz raczej nie dającą się usunąć złą stroną specyalizacyi ekonomicznej i wymiany. Podobnie jak koniecznem złem produkcyi są jej koszta i postęp techniki pracuje bezustannie nad ich zmniejszeniem, tak handel jest kosztem wymiany i winniśmy również dążyć do jego ograniczenia. Najlepszem byłoby zupełne uchylenie pośrednictwa pomiędzy producentem a konsumentem, przy zachowaniu wszystkich zalet podziału pracy; skoro osiągnięcie tego celu w zupełności jest niemożliwe, należy się przynajmniej jak najbardziej do niego zbliżyć, a więc pozostawić pośrednictwo tylko tam, gdzie ono jest rzeczywiście niezbędne.

Zasadniczą ideą stowarzyszeń spożywczych jest właśnie wyeliminowanie pośrednictwa, wprowadzenie bezpośredniego stosunku pomiędzy wytwórcą a konsumentem. Wobec tego cel ich zgadza się najzupełniej z zasadami polityki ekonomicznej i postulatami dobrobytu ogólnego, stąd też należy im się właśnie w imię dobra ogólnego wszelkie poparcie ze strony czynników publicznych. Oczywiście wymiar tego poparcia musi uwzglę-

dniać także rzeczywisty stan rzeczy w dziedzinie handlowej, t. zn. liczyć się z faktem, że w danej chwili liczne jednostki opierają swój byt materyalny na dochodach, które czerpią z zapłaty za swe usługi handlowe. Akcya więc na rzecz stowarzyszeń spożywczych nie może być tak radykalna, ażeby doprowadziła istniejący stan kupiecki do upadku; nie powinna sprowadzać w dziedzinie wymiany gwałtownych zmian, lecz zmierzać do racyonalnej ewolucyi, któraby po upływie odpowiedniego czasu doprowadziła do usunięcia z organizmu gospodarczego niepotrzebnego pośrednictwa handlowego. Tak więc o ile stan kupiecki ma prawo bronić się przed podobnemi przemianami, o tyle czynniki publiczne nie mogą oglądać się na jego opozycyę, lecz muszą popierać powstawanie i rozwój zdrowych stowarzyszeń spożywczych.

Poparcie to może być nader różnorodne. Najpierw więc związki publiczne mogą wystąpić w roli konsumentów i nabywać potrzebne towary o ile możności w stowarzyszeniach spożywczych. Żądanie to jest tem więcej uzasadnione, że związki publiczne czerpią swe dochody z danin, składanych przez całe ludność. Słuszniejszą przeto jest rzeczą, jeżeli zwróci się ją w kształcie ceny towarów liczniejszej ilości osób, aniżeli gdy posłużą na powiększenie obrotu i dochodów mniej licznych zakładów prywatnych. Kupując w spółkach spożywczych, związki publiczne dostarczają im odbiorców silnych i wielkich, umożliwiają przeto hurtowne, a tem samem tańsze nabywanie towarów i ustalają ich byt na targu. Powtóre czynniki publiczne winny stowarzyszeniom spożywczym przyznać pewne przywileje materyalne, jak ulgi podatkowe, zniżki opłat przewozowych, dostarczyć im tańszego kredytu, ewentualnie i tańszego lokalu i t. d. — pod warunkiem, że wpływ tych ułatwień przejawi się w cenach towarów. Postulat ten jest wynikiem zasadniczego stanowiska, zajętego poprzednio. Skoro uważa się ewolucyę, zmierzającą do usunięcia pośrednictwa prywatnego za zdrową, należy ją poprzeć i przyspieszyć. Nie można już w tym wypadku uważać kupca, sprzedającego dla własnego zysku i spółki, opartej na wzajemności, za podmioty równouprawnione, nie można

ich przeto traktować jednakowo. Ewentualne zarzuty, podnoszące niesprawiedliwość takiego różniczkowania nie wytrzymują tem więcej krytyki, że w dziedzinie ekonomicznej mamy liczne przykłady dowodzące, że polityka ekonomiczna nie może się kierować zasadą bezwzględnego równouprawnienia, które daje niejednokrotnie wyniki społecznie szkodliwe. Najlepszem tego dowodem jest cały system ochrony celnej. Producentów krajowych i obcych odróżnia się tu bardzo ściśle i obciążając cłem towar zagraniczny, zapewnia się wyższość targową wytworom rodzimym. Wskutek tego konsument musi najczęściej płacić wyższe ceny, a jednak uważamy to za zupełnie usprawiedliwione, skoro tylko ochrona celna przynosi wytwórczości krajowej rzeczywiste korzyści. Jakiem przeto prawem mamy uważać zastosowanie tych samych norm za niesłuszne, jeżeli mają chronić uprawnione interesy konsumentów, gdy mają umożliwić im uwolnienie się od ciężarów, nakładanych na nich przez pośrednictwo targowe? W jednym i drugim wypadku wprowadza się ulgi dla jednych, a tem samem utrudnienią dla drugich dlatego, że w ten sposób ułatwia się rozwój dobrobytu i działa na rzecz pierwszorzędnych potrzeb ogółu.

Drugą grupę zarządzeń powoduje konieczność powstrzymania zbyt szybkiego powiększania ilości przedsiębiorstw handlowych. Producent może najłatwiej podnieść ceny swych wytworów, uzyskawszy faktyczny monopol, stąd też cała akcya przeciw kartelom musi zmierzać albo do odebrania im monopolicznego stanowiska przez wytworzenie dostatecznie silnych konkurentów, albo do takiego ukształtowania stosunków, ażeby kartel we własnym interesie nie nadużywał swej przewagi. W handlu mamy do czynienia z objawem wręcz przeciwnym. Mniej tu jest niebezpiecznym monopol niż nadmiar konkurencyi, która pomiędzy producenta a konsumenta wprowadza cały szereg zbytecznych pośredników. Stąd też w interesie społecznym należy utrudnić zakładanie nowych przedsiębiorstw handlowych, ażeby nie podrażać cen wynagrodzeniem usług, w gruncie rzeczy zbytecznych.

Wprowadzenie utrudnień dla handlu i to ustawowych np.

w formie koncesyi, przepisów o wykształceniu zawodowem, rozszerzenia na wszystkie zakłady handlowe ustaw socyalnych, lub jakiejkolwiek innej — jakoteż administracyjnych, głównie przez ograniczenia kredytowe w instytucyach, podlegających wpływowi władz publicznych — leży w interesie nie tylko konsumentów, lecz i narodowej produkcyi. Rozwój produkcyi możemy zabezpieczyć tylko pod warunkiem, że zapewnimy jej dostateczną ilość sił wytwórczych, a więc pracy i kapitału. Siły ludzkie jednak i zasoby materyalne zwrócą się ku produkcyi o tyle, o ile nie otwiera się inny sposób ich zużytkowania, ze stanowiska indywidualnego korzystniejszy. Tymczasem tak ustrój społeczny jak i nowoczesna technika nakładają na produkcyę najrozmaitsze ciężary. Mały wytwórca musi wykazać się zawodowemi wiadomościami, wielki ze względów technicznych musi zatrudniać wysoko wykształcony personal; producent potrzebuje stosunkowo znacznego kapitału, ażeby założyć gospodarstwo; prowadząc je, podlega licznym przepisom ustawodawstwa robotniczego, powodującego znaczne koszta, opłaca podatki, które trudno mu przerzucić na kupca, a których wymiar technicznie jest łatwy tak, że możność defraudacyi podatkowej jest dość ograniczona. Wszystko to jest z pewnością koniecznem i podyktowanem dobrem ogółu, lecz niemniej stanowi poważny ciężar. Jeżeli więc z produkcyą konkuruje zawód, w którym takich utrudnień i kosztów nie ma wcale, albo przynajmniej są znacznie mniejsze, a zawód ten daje równe lub większe nawet korzyści materyalne, wówczas nie można się dziwić, że mając obrać sobie gospodarczą przyszłość, znaczna ilość osób zdecyduje się pójść po drodze łatwiejszej, nie zwróci się więc do produkcyi. Takim niebezpiecznym dla produkcyi konkurentem jest handel. Już poprzednio podnosiłem, że znajduje się on w znacznie lepszem położeniu od właściwej działalności wytwórczej, gdyż wykształcenia zawodowego nabiera się w nim znacznie prędzej i łatwiej, zapotrzebowanie kapitału jest wobec szybkości obrotu i naszej organizacyi kredytowej bez porównania mniejsze, ciężary społeczne o wiele lżejsze, a jednak zyski co najmniej równie wysokie. To też jak widzieliśmy handel rozwija się dużo prędzej niż pro-

dukcya i to właśnie w krajach ekonomicznie zaniedbanych. Przez swój wzrost odciąga on od niej znaczną część sił gospodarczych, a więc powstrzymuje rozwój właściwej działalności wytwórczej, która stanowi główną podstawę dobrobytu narodowego. Stwarza on wprawdzie dochody indywidualne, lecz nie odpowiada im bynajmniej wzrost dochodów społecznych, bo nie podnosi się ekonomiczna twórczość, tylko te same rezultaty produkcyi przesuwają się przez większą ilość szczebli gospodarczych. Społeczeństwo płacąc coraz więcej za usługi handlowe, a nie podnosząc odpowiednio swej produkcyi, ponosi zawsze szkodę, bo czerpie na to środki z kapitału, albo też odbiera zaspokojenie innym potrzebom. W interesie więc ogólno-gospodarczym należy się starać o rozwój produkcyi, przynajmniej równy rozwojowi handlu, skoro zaś zawód handlowy, dzięki swej obecnej sytuacyi wywiera większą atrakcyę, należy go utrudnić.

Tak więc z każdego punktu widzenia mamy prawo domagać się zarządzeń, któreby zapewniły właściwy rozdział sił społecznych pomiędzy produkcyę a pośrednictwo handlowe. Nie ulega wątpliwości, że praktyczne urzeczywistnienie tego postulatu jest trudne, szczególniej w naszym kraju, przy mało rozwiniętej jeszcze produkcyi przemysłowej, przy technicznem zaniedbaniu rękodzielnictwa, wreszcie wobec znacznego procentu żydów, żyjących przedewszystkiem z pośrednictwa handlowego. Trudności te jednak, jakkolwiek znaczne, nie mogą decydować. W dziedzinie gospodarczej najskuteczniejszym środkiem jest w każdym razie przymus materyalny. Produkcyi nie rozwiniemy tak długo, dopóki nie zamkniemy dróg, któremi odpływają potrzebne jej siły; nie ułatwimy konsumcyi, a tem samem nie powiększymy zbytu wytworów, jeżeli nie ukrócimy pasożytnictwa niepotrzebnych pośredników. Zarzut, że w ten sposób doprowadzi się do opanowania targów przez wielkich kupców, nie wytrzymuje krytyki. Taki monopol, choćby nawet się pojawił, byłby zawsze jeszcze lepszym od obecnych stosunków, bo wygórowane nawet oznaczenia zapłaty za swe usługi przez wielkiego kupca będzie zawsze niższe, od żądań małych i śred-

nich pośredników, którzy chcąc zarobić na swe utrzymanie, muszą wysoko oceniać swe usługi.

W końcu wypada jeszcze zająć się najważniejszem zagadnieniem polityki przeciwdrożyźnianej, t. j. sprawą złagodzenia drożyzny środków żywności i mieszkań. Nowoczesne poglądy domagają się takiego ustroju gospodarczego, w którymby każdy użyteczny członek społeczeństwa mógł znaleść dostateczne utrzymanie dla siebie i swojej rodziny. Całe ustawodawstwo ochronne, cały system ubezpieczeń społecznych, wszystkie zarządzenia, zdążające do wytworzenia i rozwoju średnich gospodarstw wszelkich gałęzi — powstały tylko dlatego, że dla każdej jednostki pragniemy wytworzyć możność odpowiedniego zaspokojenia potrzeb życiowych.

W ustroju wymiennym jednak można znaleść utrzymanie tylko pod warunkiem, że się posiada dostateczną siłę kupna. Zależy ona od środków, którymi się rozporządza — i właśnie ustawodawstwo robotnicze i t. zw. polityka stanu średniego zdążają do zapewnienia ich gospodarstwom słabszym — lecz zależy także od ceny towarów, które musimy kupić i dlatego polityka przeciwdrożyźniana jest niezbędnem uzupełnieniem całej polityki socyalnej. O ile rozchodzi się o szerokie warstwy ludności, które potrzebują najwięcej pomocy i opieki, głównym ich wydatkiem, zabierającym co najmniej trzy czwarte całego dochodu, są koszta wyżywienia i mieszkania. Jeżeli te będą wysokie, cała akcya socyalna pozostanie bezskuteczną, bo przeważająca część ludności nie będzie miała dostatecznego utrzymania. Stąd też utrzymanie miernych cen mieszkań i środków żywności jest poważnym obowiązkiem czynników publicznych.

Niewątpliwie można powiedzieć, że w pierwszej linii winna tu wystąpić samoobrona interesowanych. Jest to twierdzenie zupełnie słuszne, lecz nie uprawnia bynajmniej władz publicznych do bezczynności. Konsumenci, a przedewszystkiem konsumenci słabi, winni się jednoczyć, ażeby taniej pokrywać swe potrzeby. Jeżeli jednak tego nie zrobią albo zrobić nie mogą, akcyę ich musi zastąpić działalność publiczna, bo tego domaga się dobro całego społeczeństwa. Wszak całe ustawodawstwo

robotnicze wprowadza tylko takie normy i instytucye, które powinniby właściwie wytworzyć sami robotnicy. Nie da się przecież zaprzeczyć, że robotnicy mogliby się dobrowolnie ubezpieczać na wypadek choroby, kalectwa i starości; że w umowie o pracę mogliby żądać hygienicznego urządzenia pracowni, spoczynku niedzielnego, ograniczenia dnia roboczego do niezbyt wielkiej ilości godzin, że mogliby nie pozwolić na pracę swych dzieci i t. p. A jednak to wszystko, co w zasadzie da się przeprowadzić drogą dobrowolnego układu, narzuca się dziś prawie wszędzie ustawą. Czyż można jednak uważać te ustawy za zbyteczne? Byłyby zbyteczne tylko w dwu wypadkach: gdyby rzeczywiście kontrakt pracy uwzględniał zawsze wszystkie te postulaty, albo też gdyby przeprowadzenie tych zasad leżało wyłącznie w interesie robotników, a było obojętnem dla całego społeczeństwa. Skoro jednak wiemy, że interes ogółu domaga się ochrony robotników, a nie możemy się spodziewać, żeby oni sami w każdym konkretnym wypadku zdołali ją umową w dostatecznych rozmiarach zabezpieczyć — musimy wkroczyć i ustawą wymusić to wszystko, co uważamy za niezbędne.

Zupełnie tak samo należy się zapatrywać na ceny mieszkań i środków żywności. Tam gdzie organizacya konsumentów wystarcza, akcya publiczna jest zbyteczna; gdzie jednak interesowani są za słabi lub nieudolni, nie można zadowolić się twierdzeniem, że drożyzna jest zasłużoną karą ich niedołęstwa, bo chodzi nieylko o nich, ale i o ogół. Dlatego też na czynniki społeczne spada w ostatniej linii obowiązek regulacyi cen niezbędnych środków utrzymania szerokich warstw ludności.

Od dawna już toczy się spór o kwestyę, czy władze publiczne mogą oznaczać z góry ceny żywności, a więc najpierw czy mają do tego prawo, a powtóre, czy wprowadzając takie normy, mogą je w praktyce utrzymać. Przeciwnicy takiej regulacyi podnoszą przeciw niej zarzuty rzeczywiście bardzo poważne i to tak gospodarczej jak i etycznej natury. Ustanowienie cen przez władze publiczne jest, ich zdaniem, przedewszystkiem naruszeniem prawa własności, które zapewnia każdemu swobodne rozporządzanie swoją rzeczą. Nie można nikogo

zmusić, ażeby swój towar komukolwiek sprzedał, tem bardziej przeto cenę jego może ustanowić tylko właściciel. Powtóre oznaczenie ceny przez władze publiczne, jeżeli ma być celowe, musi być zawsze dla posiadacza towaru niekorzystne, a więc niesprawiedliwe, liczy się bowiem jedynie z interesem nabywcy, jakkolwiek przy wymianie rywalizują dwa interesy zupełnie równe — sprzedającego i kupującego. Ze stanowiska ekonomicznego znowu unormowanie cen z góry przedstawia się jako niewłaściwe, gdyż czynnik publiczny nie będąc ani producentem ani pośrednikiem handlowym nie może wiedzieć jak wielkie koszta poniósł rzeczywiście posiadacz towaru; opiera się przeto w najlepszym razie na pewnych przeciętnych obliczeniach od których jednak mogą znacznie odbiegać od istotnych wydatków w każdym konkretnym wypadku.

Określenie ceny przez władze publiczne, mówią dalej, prowadzi raczej do utrwalenia, aniżeli uchylenia drożyzny, gdy stwarza nie maximum ceny, którego przekroczyć nie wolno, lecz minimum, poniżej którego nie zejdzie żaden sprzedawca. Wprawdzie w chwilach wyjątkowych, gdy ceny pod wpływem konjunktury doszły do bardzo wysokiego poziomu, władze, ustanawiając ich wysokość, mogą na razie ukrócić drożyznę, lecz korzyści tej, występującej tylko rzadko i krótko, należy przeciwstawić szkody, o wiele donioślejsze. Po pewnym czasie stosunki handlowe umożliwią znaczne obniżenie cen, lecz przeszkodzą wprowadzeniu ich owe taksy publiczne. Jasną bowiem jest rzeczą, że ustanowione przez czynniki publiczne ceny będą obie strony mieniające uważały za *iustum praetium* — konsument przyzwyczai się do nich i nie będzie domagał się zniżki, posiadacz towaru, nie wprowadzi jej, pragnąc jak najwięcej zyskać. Podobnie jak minimum płacy, staje się normą wynagrodzenia robotników, tak maximum ceny stanie się zwykłem wynagrodzeniem producentów lub pośredników handlowych, t. zn. ceną zawsze żądaną i zawsze płaconą.

W końcu należy jeszcze podnieść, że idea normowania cen nie jest nowa, że system ten panował długo w ubiegłych wiekach i wydał jak najgorsze owoce. Nie chronił on bowiem nabywców

przed drożyzną, gdyż nie stosowano się bynajmniej do taks publicznych, gdy wartość towarów szła w górę, a wprowadzał w życie gospodarcze nieszczerość, bo wszyscy milcząco godzili się ze stanem, w którym praktyka była inną, aniżeli się ją oficyalnie w taksach towarów przedstawiało. Wracać do czegoś podobnego, wprowadzać normy, o których wie się z góry, że będą albo szkodliwe, albo niewykonalne — rzeczywiście nie warto.

Tak się przedstawiają główne argumenty, przeciwników ingerencyi władz publicznych w dziedzinie ceny. Niewątpliwie skreślone w nich niebezpieczeństwa i trudności istnieją rzeczywiście, lecz z tego bynajmniej nie wynika konieczność porzucenia myśli oddziałania prawem na ceny. Zarzuty wiążące się z ochroną prawa własności i etyki są tak widocznie dyalektyczne, jeżeli nie sofistyczne, że nie ma potrzeby dokładniej nimi się zajmować. Wszystkie te wątpliwości z tytułu wolności i równouprawnienia interesów podnoszono zawsze, skoro tylko chodziło o obronę ekonomicznie słabszych przed naporem silniejszych. Chodzi tylko o to, że istotna, w rzeczywistem życiu przejawiająca się wolność i równość materyalna da się nieraz przeprowadzić tylko drogą przymusu lub ograniczeń narzuconych silniejszym. Większą doniosłość mają zarzuty natury czysto ekonomicznej, lecz i tutaj widać wielką przesadę i jednostronność. W gruncie rzeczy wszystkie te twierdzenia opierają się na dwóch przypuszczeniach, mianowicie, że czynniki publiczne skorzystają w niewłaściwy sposób z przyznanych im uprawnień, a powtóre że prawo oznaczania cen artykułów niezbędnych uważa się jako niezawodny środek usunięcia drożyzny raz na zawsze. Z pewnością taksy średniowieczne okazały się nieraz bezużyteczne lub nawet szkodliwe, a i dzisiaj nie jest wykluczone niebezpieczeństwo nadużyć na tem polu, bądź to, że czynniki publiczne podyktują ceny, nie licząc się z uprawnionym interesem producentów, bądź też, że ludność nie zastosuje się do ogłoszonych norm. Lecz są to trudności techniczne, które z istotą rzeczy nie mają nic wspólnego. Nikt nie utrzymuje, ażeby normowanie maximum cen przez władze i kontrola, czuwająca, aby tych granic nie przekraczano, były rzeczą łatwą. Lecz trzeba przecież przyznać, iż

dzisiejsze związki prawno-publiczne rozporządzają zupełnie innym aparatem administracyjnym i zupełnie innymi środkami, aniżeli ustroje średniowieczne. Wskazywać na ujemne, zresztą nie zawsze, rezultaty z przed kilkuset laty i na tej podstawie sprzeciwiać się wprowadzeniu podobnych urządzeń dzisiaj, jest co najmniej zbyt śmiałą rachubą na brak krytycyzmu. Dzisiejsze państwo i dzisiejsza gmina są przecież dostatecznie wyszkolone, ażeby wydać zarządzenia wykonalne i pożyteczne, a wyposażone w dostateczną władzę, aby zapewnić ich wykonanie.

To samo da się powiedzieć o twierdzeniu, że unormowanie cen przez władze publiczne uchyla tylko wyjątkową drożyznę, a popiera ją w czasach normalnych. Tutaj należy się porozumieć co do samej istoty walki z nadmiernemi cenami. Zwalcza się je w imię dobra ogółu, t. zn. gdy stają się szkodliwe dla całego społeczeństwa, lecz nie dąży się bynajmniej do jakiegoś uprzywilejowania konsumentów. Gdyby więc nawet przyjąć, że taksy, oznaczone z góry, powstrzymają spadek cen, wywołany konjunkturą, to nie możnaby się w tem dopatrzeć żadnej szkody. Władze publiczne normują ceny uwzględniając uprawnione interesy posiadaczy towarów i nabywców. Jeżeli stosunki handlowe, jednostronnie korzystne dla producentów i kupców sprowadzają zwyżkę cen, taksy publiczne powstrzymując ją, chronią konsumentów; gdy konjunktura gospodarcza zwraca się ku drugiej stronie, te same taksy działając na rzecz produkcyi, nie pozwalają na zbytni spadek cen; w obu przeto razach utrzymują równowagę gospodarczą, czyli wydają korzystne dla ogółu rezultaty. Argument przeto, że maximum ceny przemienia się w praktyce w minimum, przemawia raczej za uprawnieniem związków publicznych do normowania cen, aniżeli przeciw niemu. W rzeczywistości jednak stosunki mogą złożyć się inaczej. Niema bowiem powodu przypuszczać, że czynniki publiczne będą zawsze utrzymywały ceny na tej samej wysokości. Uwzględniając warunki produkcyi i obrotu można przecież normować ceny rozmaicie — i to właściwie dlatego, że liczy się z interesem obu stron. W takim razie, gdy warunki targowe i produkcyjne

pozwolą na potanienie towarów, maximum ceny oznaczy się w niższej kwocie, tak, że konsument nie będzie ponosił zbyt wysokich kosztów, a producent otrzyma w cenie zysk odpowiedni.

Tak więc niema żadnej zasadniczej przeszkody, któraby uniemożliwiała wprowadzenia taks maksymalnych na niezbędne artykuły. Nawet dzisiejsze ustawodawstwo przyznaje uprawnienie władzom publicznym do regulowania w ten sposób cen towarów niezbędnych w pewnych wyjątkowych wypadkach, niema więc powodu, ażeby do nich nie wliczyć także drożyzny, gdy stanie się zbyt dotkliwą dla szerokich wartsw ludności. W takim razie czynniki publiczne — najbardziej powołane byłyby tu przynajmniej w większych miastach organy gminne — postanawiałyby po zbadaniu stosunków wytwórczych i targowych co pewien przeciąg czasu n. p. co miesiąc granicę, której ceny przekroczyćby nie mogły. Przy zastosowaniu odpowiedniej kontroli przez funkcyonaryuszy policyi targowej, ceny te dałyby się niezawodnie utrzymać w praktyce. Wystarczyłoby zagrożenie karami pieniężnemi. Sprzedaż artykułów codziennego życia odbywa się przeważnie w drobnych ilościach, stąd też mierna nawet grzywna powstrzyma kupca od przekroczeń. Przy zakupnach przez większych konsumentów niebezpieczeństwo nadużyć jest i tak bardzo małe, gdyż konkurencya dostawców z jednej strony, a znajomość u kupującego zarządzeń władzy z drugiej, uniemożliwi umowy po cenach przewyższających każdoczesne maximum. Naturalnie władze publiczne nie mogą występować jednostronnie, li tylko w interesie konsumcyi, muszą więc liczyć się z konjunkturą gospodarczą. Gdyby ceny obniżono przesadnie tak, że wytwórcy lub pośrednicy nie mieliby dostatecznych dochodów, wpłynęłoby to niekorzystnie na całe gospodartswo narodowe, bo powstrzymałoby rozwój produkcyi i użytecznego handlu. W ostatniej linii ponieśliby przez to szkody także konsumenci, bo brak towarów lub brak dostatecznej ilości pośredników, podniósłby siłą rzeczy ceny i utrudnił zaspakajanie potrzeb. Natomiast umiarkowana, licząca się z faktycznymi stosunkami ekonomicz-

nymi ingerencya władz okazałaby się pożyteczną nawet dla wytwórców i kupców. Powszechnie wiadomą jest rzeczą, że bardzo ważną przyczyną drożyzny wielu artykułów masowego zapotrzebowania, jak n. p. mięsa, jest spekulacya pośredników pieniężnych na brak dostatecznego kapitału u gospodarzy, stykających się bezpośrednio z konsumentem. Kapitalista udziela takim wytwórcom czy kupcom kredytu na zakupno surowców, lub gotowych towarów, wymawiając sobie procent, przewyższający znacznie zwyczajną stopę. Dłużnik, wobec tych wygórowanych żądań wierzyciela, nie okazuje dlatego dostatecznej odporności, że ofiarowujący pożyczkę wskazuje na możność przerzucenia całego ciężaru na konsumenta. Wystarczy przecież odpowiednio podnieść ceny. Skoro ten środek będzie niemożliwy, bo władze publiczne ustanowią dla ceny nieprzekraczalną granicę górną, kapitalista będzie musiał zadowolnić się niższym procentem, bo dłużnik nie zdoła płacić więcej. Lecz producent i kupiec, właśnie dzięki mierniejszym cenom, rozszerzy swój zbyt, będzie więc miał większe dochody ogólne.

W końcu pozostaje jeszcze sprawa mieszkań. Jest to problemat tak wielki i doniosły, że mogę tu tylko naszkicować najgłówniejsze postulaty, odnoszące się do tej sprawy. Wskutek coraz dalej idącej koncentracyi ludności w miastach, jakoteż wskutek podniesienia we wszystkich warstwach wymagań co do jakości mieszkań, ceny ich w ostatnich czasach wzrosły w stopniu tak wysokim, że drożyzna mieszkań stała się wielką klęską dla wszystkich mniej zamożnych klas miejskich. Jest ona tem dotkliwsza, że czynsz mieszkań oblicza się na dłuższy okres czasu — miesiąc, kwartał, półrocze — tak, że każda podwyżka stanowi już stosunkowo znaczną kwotę, którą należy naraz zapłacić. W ten sposób ludność uboższa znachodzi się w położeniu niemal bez wyjścia. Przepisy budowlane i sanitarne zabraniają budowy lub używania mieszkań nie odpowiadających pewnym warunkom hygieny i bezpieczeństwa; ogólny wzrost kultury i dobrobytu skłania właścicieli domów do wprowadzania najrozmaitszych urządzeń, zapewniających wygodę i komfort; indywidualne żądania pod wpływem tych samych

czynników podnoszą się również — a wszystko to sprawia, że ceny mieszkań zwiększają się w taki sposób, że rodzina mniej zamożna nie może uiszczać zwyczajnego czynszu bez uszczerbku dla swych innych, pierwszorzędnych potrzeb. Do tego wszystkiego dołącza się prawie wszędzie pojawiający się brak mniejszych mieszkań. Jest to zjawisko zupełnie naturalne, którego nie usuniemy tak długo, dopóki czynniki publiczne nie przystąpią z większą jak dotąd energią do urugulowania kwestyi mieszkaniowej. Miasta gromadzą dzisiaj trzy grupy ludności, z których każda w inny sposób oddziaływa na stosunki mieszkalne. Przedewszystkiem do miast ciągną liczne rzesze ludności szukającej zatrudnienia, t. j. warstwy robotnicze. Środki ich są bardzo skromne i niepewne, bo zależne od każdoczesnego zarobku, stąd też ta grupa szuka mieszkań małych i tanich.

Następnie powiększyła się w miastach bardzo znacznie liczba urzędników wszelkich kategoryi. Ogromnemu rozrostowi zadań państwa i innych związków prawno-publicznych towarzyszy szybszy jeszcze wzrost aparatu biurokratycznego; wytężona wszędzie akcya oświatowa stworzyła prawdziwą armię nauczycieli; przemiana mniejszych zakładów przemysłowych, a przedewszystkiem finansowych w olbrzymie przedsiębiorstwa, zmusiła je do utrzymywania urzędników w ilościach, zbliżających się do cyfr biurokracyi państwowej. Z natury rzeczy rzesze te skupiają się głównie w większych miastach, gdzie szukają mieszkań specyalnego typu — szczupłych, a urządzonych z pewnym komfortem — bo urzędnicy należą przeważnie do klas mało zamożnych, posiadają jednak dość wygórowane wymagania stanowe.

Wreszcie trzecią grupę stanowią osoby zamożne, przybywające do miast dla swych zajęć i interesów, albotéż ze względu na to, że w dużem mieście mogą pędzić życie przyjemniejsze i zbytkowniejsze. Sfery te żądają mieszkań obszernych i zbytkownych, choćby przyszło płacić za nie czynsz bardzo wygórowany.

Stosunek właścicieli domów, którym chodzi przedewszystkiem o uzyskanie jak największych dochodów ze swych realności,

do różnych typów lokatorów, uległ w ostatnich latach bardzo znacznej zmianie. Najpierw coraz więcej na pierwszy plan wysuwa się użycie lokali na wszelkiego rodzaju zakłady przemysłowo-handlowe, sklepy, hotele, kawiarnie, biura, banki i t. d. Wskutek tego pewne dzielnice, a przynajmniej pewne ulice tracą niemal zupełnie swój charakter mieszkalny; przestrzeń i ilość domów, przeznaczona na mieszkania prywatne, zmniejsza się stale, o ile tej tendencyi nie równoważy ożywiony ruch budowlany. Co gorsza ceny lokali publicznych zaczynają w coraz wyższym stopniu wpływać na oznaczanie czynszów. W handlu i przemyśle, jakoteż w pewnych działach zawodów liberalnych — n. p. u adwokatów i lekarzy — odpowiednie umieszczenie zakładu czy pracowni ma tak wielkie znaczenie, że najmobierca raczej godzi się na wyższy czynsz, aniżeli na opuszczenie lokalu, bo chodzi mu o dobre położenie lub o przyzwyczajenie klienteli, która może go opuścić, gdy nie znajdzie go tam, gdzie go szukała dawniej. Wskutek tego właściciele mogą łatwo i często powiększać tam czynsze, a to naturalnie wpływa i na inne domy, na mocy ogólnej tendencyi wyrównawczej dochodów, płynących z takich samych źródeł. Podnosi się więc cena mieszkań prywatnych, a zarazem objawia się coraz silniejszy prąd ku przemianie pewnej ich części na lokale publiczne. Rozwój handlu, przemysłu i komunikacyi miejskich ułatwia tę ewolucyę. Coraz większa liczba ulic czy dzielnic przybiera charakter handlowy; zakłady publiczne wszelkiego typu mnożą się i powiększają bezustannie swe rozmiary; najpierw parter, potem coraz wyższe piętra przeznacza się w różnych domach już z góry na cele tego rodzaju. Jasną jest rzeczą, że rywalizacya mieszkań prywatnych jest tu prawie wykluczona, bo czynsz za nie stanowi dla gospodarza rzeczywisty wydatek, podczas gdy cenę lokalów biurowych i przemysłowo-handlowych przerzuca się na klientelę.

Na właściwe mieszkania pozostają więc w miastach tylko te domy lub części domów, których użycie na inne cele na razie nie jest możliwe. Tutaj oczywiście właściciele domów pragną wejść w stosunek z lokatorami dla siebie najdogodniejszymi. Dawniej cechą tą odznaczała się ludność uboższa; domy dla

niej budowane i przez nią zajmowane były najrentowniejsze. Obecnie stosunki uległy radykalnej zmianie. Napływ warstw bogatych i wysokie czynsze za większe mieszkania sprawiły, że najbardziej pożądanym lokatorem jest najczęściej człowiek zamożny. Przejawiło się to bardzo wyraźnie w ruchu budowlanym. Nowe domy odznaczają się przeważnie zbytkownym wyglądem i urządzeniem, choćby tylko zewnętrznie; dzieli się je na mieszkania większe, przeznaczając je z góry dla tych, którzy mogą dużo zapłacić. Pewność pobrania umówionego czynszu, tudzież lepsze i tańsze utrzymanie domu w dobrym stanie przy małej ilości partyi nadaje takim budowlom wyższość nad domami ludowymi. Skoro czynsz jest stosunkowo równie wysoki, niema dla właściciela żadnego powodu, ażeby budować domy dla sfer uboższych. To też odczuwa się coraz dotkliwiej brak mieszkań ludowych w domach, dostępnych tym warstwom.

Zapotrzebowanie średnich mieszkań wzrasta, jak widzieliśmy, głównie pod naciskiem sfer urzędniczych. Ruch budowlany liczy się już w wyższym stopniu z tą potrzebą, mimo to jednak cena mieszkań idzie stale w górę, gdyż z jednej strony ten typ mieszkań odczuwa najsilniej konkurencyę lokali publicznych, z drugiej zaś wewnętrzne urządzenia wygody i komfortu przeprowadza się w nim najczęściej kosztem wymiarów właściwych części mieszkalnych. Należą tu, jak powszechnie wiadomo, mieszkania trzy, cztero i pięcio-pokojowe. Zmiana pałacowych pokoi lub mieszkań bardzo obszernych i zbytkownie urządzonych na biura, sklepy czy restauracye nie zawsze jest możliwa i nie zawsze się opłaca. Natomiast większą nierównie szansę ma właściciel wynajęcia średniego mieszkania kupcowi, adwokatowi lub lekarzowi, którzy zapłacą bardzo dobrze. Obawa zniszczenia, która przy domach zbytkownych ma wielkie znaczenie, tutaj nie wchodzi w rachubę, bo w przeważnej ilości mieszkań średnich, niema większych wkładów na kosztowniejsze i delikatniejsze urządzenia. To też tutaj wpływ czynszów, opłacanych przez sklepy i biura działa trwale, groźba przemiany na lokal publiczny jest bezustanna. Przytem, mimo wygórowanych czynszów, ludność zajmująca te mieszkania, musi szukać

coraz większej ilości pokoi, a tem samem płacić coraz więcej. Urządzenia wewnętrzne bowiem — przedpokój, łazienka i t. p. — które oczywiście pdnoszą wysokość czynszów, nie powstały jako powiększenie rozmiaru mieszkania, lecz wręcz przeciwnie przez zmniejszenie przestrzeni ubikacyi mieszkalnych. Dziś buduje się pokoje znacznie mniejsze niż dawniej, stąd też, ażeby się pomieścić, musi się szukać mieszkania pozornie obszerniejszego, t. zn. liczącego większą ilość pokoi. W ten sposób klasa średnia przeszła u nas z typu czteropokojowego do mieszkań o pięciu pokojach. Nie jest to powiększanie stopy życia, tylko konieczne przystosowanie się do wewnętrznego rozdziału mieszkań w nowych domach. Wysokość czynszu jednak oznacza się nietylko w stosunku do rozmiaru wynajętej przestrzeni, lecz także w stosunku do ilości pokoi; mieszkania przeto o mniejszych, lecz liczniejszych pokojach są droższe.

Tak więc ceny najmu w domach prywatnych idą siłą rzeczy w górę. Coraz większe zapotrzebowanie na cele gospodarcze podnosi ceny wszystkich mieszkań; mieszkania zbytkowne stają się droższe wobec napływu do miast warstw bogatszych, mniej odpornych wobec wygórowanych żądań; średnie mieszkania stają się kosztowniejsze, bo pożądanie jest znaczne, nacisk czynszów handlowo-przemysłowych silny, a sposób budowy dla lokatorów niekorzystny; wreszcie szerokie sfery ludowe muszą płacić więcej, bo stosunkowo jest coraz mniej mieszkań im dostępnych. A oczywiście w tym samym kierunku działa jeszcze cały szereg czynników natury ogólnej lub gospodarczej, podnoszących właściwy koszt budowy i utrzymania domów — wzrost cen placów budowlanych, kosztów materyałów i robocizny, ciężarów podatkowych, opłat gminnych i t. d.

Wskutek tego rozwiązania kwestyi mieszkaniowej nie można pozostawić inicyatywie prywatnej, ani też wyłącznie samopomocy interesowanych. Właściciela domu, liczącego się tylko ze swoim interesem, skłonią powyżej skreślone okoliczności do podwyższania czynszu; drożyznę mieszkań odczuwają sfery tak mało zamożne, że własnemi siłami nie mogą jej zaradzić. A sprawa ta staje się dla ogółu tem bardziej piekącą, im silniej występuje doniosłość

ludności miejskiej dla dobrobytu narodowego, im znaczniejszyjest rozwój przemysłu i handlu, im większe łączy się znaczenie z rozwojem oświaty i prawidłowego funkcyonowania najróżnorodniejszych instytucyi państwowych. Stąd też i na tem polu należy rozwinąć działalność publiczną, a powołane do tego są państwo i gmina. Poprzednio już podniosłem, że sprawa mieszkań jest tak wielkiem zagadnieniem, że niepodobna jest wchodzić tutaj w bliższe jego rozpatrzenie. Poprzestaję więc na naszkicowaniu głównych wytycznych linii, których winna się trzymać akcya publiczna.

Do państwa możemy zwrócić się z dwoma żądaniami: najpierw, ażeby nie przyczyniało się do stworzenia drożyzny, a powtóre, ażeby użyło całego swego wpływu dla zapewnienia warstwom robotniczym odpowiednich mieszkań za przystępne ceny. Pomijam tu kwestyę podatkową, jako powszechnie znaną, lecz zwracam uwagę na szkodliwy wpływ państwa, spowodowany gromadzeniem po miastach wielkiej liczby swych funkcyonaryuszy i najmowaniem prywatnych domów na instytucye państwowe. W ten sposób państwo wywołuje wzrost czynszów, podnosząc zapotrzebowanie mieszkań, a zmniejszając ich ilość. Dla tego też należy się domagać przedewszystkiem, ażeby państwo równomiernie z rozwojem swego zapotrzebowania, brało odpowiedni udział w ruchu budowlanym. Najpierw więc winno państwo przystąpić do budowy dostatecznej ilości gmachów publicznych, tak, ażeby wszytskie jego instytucye i zakłady mieściły się we własnych budynkach, powtóre winno dostarczyć swemu personalowi mieszkań, podejmując na wielką skalę budowę domów dla urzędników i służby. Naturalnie nie chodzi tu bynajmniej o to, ażeby tym warstwom dać mieszkania bezpłatnie, a tem mniej, ażeby nałożyć na nie przymus zamieszkiwania domów państwowych. Akcya państwowa zmierzałaby tu do dwu celów. Jeden, który możnaby nazwać wewnętrznym, polega na zasadzie, że państwo winno swemu personalowi umożliwić najem odpowiednich mieszkań, uwalniając go od konieczności bądź płacenia czynszów w stosunku do ustawą unormowanych płac za wysokich, bądź też poprzesta-

wania na mieszkaniach nieodpowiednich. Drugi, o szerszem znaczeniu, miałby na oku interesy całej ludności miejskiej, bo uzyskanie mieszkań byłoby łatwiejszem dla wszystkich, gdyby zniknęła lub znacznie zmniejszyła się konkurencya personalu państwowego. Zyskałyby na tem przedewszystkiem warstwy mniej zamożne, bo urzędnicy i służba szukają głównie mieszkań średnich i małych. Z jednej przeto strony czynsze tych typów musiałyby się obniżyć wskutek ograniczenia popytu, z drugiej zaś zniknąłby ten niezdrowy objaw, który występuje we wszystkich miastach, w których gromadzi się znaczniejsza liczba funkcyonaryuszy publicznych, mianowicie zastosowanie wysokości czynszów do każdoczesnych ich poborów. Każde polepszenie płac a szczególniej t. zw. kwaterowego lub dodatków aktywalnych sprowadza, jak powszechnie wiadomo, w bardzo krótkim czasie wzrost czynszów. Wskutek tego położenie personalu państwowego nie polepsza się mimo wzrostu wydatków na biurokracyę, a tem samem i ogólnych ciężarów publicznych, a nadto cierpi przez to dotkliwie cała ludność miejska, bo oczywiście podnosi się cena wszystkich mniejszych i średnich mieszkań, a klasy robotnicze, rzemieślnicze i t. p. nie korzystając ze zwyżki poborów, stają wobec zwiększonych kosztów bez odpowiedniego pokrycia.

Państwo ma wreszcie jeszcze jedno zadanie do spełnienia, mianowicie winno skłaniać pracodawców prywatnych do budowania domów dla swych robotników. Jeżeli dzisiejsze ustawodawstwo nie pozwala otworzyć zakładu przemysłowego, w którym bezpieczeństwo i hygiena przy wykonywaniu pracy nie są dostatecznie poręczone, to z większą jeszcze słusznością można się domagać, ażeby przedsiębiorca dostarczył swym robotnikom mieszkań, odpowiadających warunkom sanitarnym. Wszystkie bowiem wysiłki ku polepszeniu stosunków hygienicznych będą tak długo niedostateczne, dopóki bardzo znaczna część ludności będzie musiała gnieździć się w niezdrowych i przepełnionych lokalach, nie mogąc opłacać czynszu za lepsze mieszkania. Urządzenia hygieniczne pracowni, dostateczna tam ilość powietrza i światła, to tylko jedna i to mniej ważna część całego zaga-

dnienia, główną uwagę musimy zwrócić na miejsce, w którem robotnik przebywa najdłużej i w którem wychowują się przyszłe generacye, a więc na jego mieszkanie. W jakiej formie państwo wpłynie na rozwój akcyi w dziedzinie budowy domów robotniczych jest pytaniem zbyt skomplikowanem, ażebym się niem mógł zająć, szkicując tylko całą kwestyę, wystarcza tu stwierdzenie, że na pracodawcach cięży w pewnej mierze obowiązek dostarczenia mieszkań swym robotnikom za miernem wynagrodzeniem i że rozmiar tego obowiązku winien być określony przez państwo.

Drugim czynnikiem publicznym, który musi się zająć uregulowaniem kwestyi mieszkań jest gmina. Obok analogicznych obowiązków z państwem, o ile chodzi o zakłady i personal gminny, miasta powinny jeszcze zająć się dostarczeniem mieszkań ludowych, jakoteż powstrzymaniem drożyzny, o ile ją wywołuje cena gruntów i materyałów budowlanych. Polityka municypalna całego szeregu miast zagranicznych wstąpiła już od dawna na tę drogę w dobrze zrozumiałym interesie całej swej ludności. Sposoby i środki, których użyto są tak powszechnie znane, że mogę poprzestać na streszczeniu zadań gminnych w kilku zdaniach. Chodzi tu przedewszystkiem o trzy rzeczy. Gmina winna sama przystąpić do budowy znaczniejszej liczby domów przeznaczonych dla mniej zamożnej ludności, ażeby stworzyć typ mieszkań zdrowych, odpowiednio urządzonych, a zarazem nie drogich. Takie przedsiębiorstwo gminne musi mieć charakter ekonomiczny, a nie filantropijny lub spekulacyjny, t. zn. wysokość czynszów należy oznaczyć w ten sposób, ażeby włożony kapitał oprocentowywał się odpowiednio do panującej stopy papierów lub instytucyi lokacyjnych. Powtóre gmina winna powstrzymać niezdrową spekulacyę gruntową, bądźto podejmując się sama parcelacyi gruntów budowlanych, bądź też przeciwdziałając systemem podatkowym prywatnym tendencyom spekulacyjnym. W tym celu winny gminy miejskie wytworzyć dostateczną sieć komunikacyjną, ażeby zmniejszyć różnice wartości poszczególnych parcel, spowodowane ich położeniem; objąć w swe posiadanie większe przestrzenie gruntów w różnych

dzielnicach i pozbywać je po umiarkowanych cenach osobom budującym albo dla siebie, albo domy czynszowe, lecz w takich warunkach, określonych przez gminę, które skutecznie przeciwdziałają drożyźnie. Naturalnie sprzedaż jakimkolwiek spółkom budowlanym o charakterze spekulacyjnym musi być zasadniczo wykluczona. Obok tego miasta powinny wprowadzić podatek od przyrostu wartości gruntów i specyalne opłaty od parcel budowlanych, które w nadziei zwiększenia ich wartości nie zabudowuje się przez dłuższy okres czasu, ażeby zmniejszyć ewentualne zyski spekulacyi. Lecz system opodatkowania parcel budowlanych może być tylko uzupełnieniem bezpośredniego udziału gminy w ruchu budowlanym i parcelacyjnym. Tam bowiem, gdzie gmina jest bezczynna, obciążenie przyrostu wartości podatkiem podnosi jedynie koszt budowy domu i wpływa przez przerzucenie na podrożenie mieszkań. W końcu wobec panujących dziś stosunków kartelowych, gmina powinna zająć się urządzeniem i prowadzeniem przedsiębiorstw, dostarczających głównego materyału budowlanego, t. zn. cegieł i cementu, ażeby powstrzymać nadmierną ich cenę właśnie w czasach ożywionego ruchu budowlanego. Koszt materyałów bowiem, jakkolwiek chwilowo może tylko zbyt wygórowany, wytwarza nieraz trwałą drożyznę mieszkań. Właściciele domów zbudowanych w czasie, gdy ceny były wysokie, muszą bowiem żądać znacznych czynszów, a inni z chęcią zastosowują się do tego, bo w ten sposób uzyskują wyższe dochody.

Na tem kończę moje uwagi o drożyźnie. Przewodnia ich myśl streszcza się w twierdzeniu, że drożyzna, bez względu na to, jakie wywołały ją przyczyny, jest klęską ogólno-społeczną, o ile dotyczy artykułów niezbędnego użycia, lub powstrzymuje rozwój dobrobytu szerszych warstw ludności i wytwórczości narodowej. Stąd też czynniki publiczne winny z całą siłą jej przeciwdziałać w imię dobra ogółu. Działalność ich ma złagodzić te niedomagania, które wynikają z tego, że zaspokojenie najważniejszych potrzeb życiowych odbywa się na polu walki pomiędzy konsumentem a dostawcą. Najostrzej

przejawiają się skutki tego ustroju przy nabywaniu środków żywności i wynajmie mieszkań, jakoteż pod wpływem karteli i nadmiernego rozrostu pośrednictwa handlowego. Stosownie do tego też musi się ukształtować obronna akcya związków publicznych i samopomocy.

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

„INDYWIDUALNOŚĆ TWÓRCZA SKARGI"

(C. d.).

IV.

Wojskowość. Rodzina i wychowanie.

W XVI. wieku zastanawiano się u nas często nad pytaniem, czy można ze stanowiska etyki chrześcijańskiej zezwolić na prowadzenie wojny, a jeżeli można, to w jakich warunkach i w jakim celu. Przeciw wszelkiej wojnie występowali aryanie, przynajmniej znaczna ich część, nauczając, że Chrystus zakazał dochodzić swych krzywd bronią i wogóle chwytać się gwałtownych środków. Potępiali oni służbę wojskową i wierni swym zasadom usuwali się od niej, godząc się co najwyżej na spełnianie zwykłych posług w obozie. Były to jednak poglądy zbyt skrajne, zbyt sprzeczne z ówczesnem życiem, aby mogły znaleźć silniejszy oddźwięk w społeczeństwie. To też nawet wśród aryan nie cieszyły się powszechnem uznaniem. Wogóle przyjmowano wojnę, jako nieuniknioną konieczność, która nie sprzeciwia się nauce Chrystusa, o ile pozostaje w granicach sprawiedliwości. Modrzewski pozwalał walczyć w obronie własnego kraju, albo dla pomszczenia i powetowania krzywd, wyrządzonych przez nieprzyjaciół, podobnie pisał też współczesny Skardze Petrycy. Natomiast obaj piętnowali wojnę zaborczą, podjętą tylko dla zdobyczy lub sławy, i uczyli, że rozlewowi krwi należy ile możności zapobiegać, po bitwie litościwie obchodzić się ze zwyciężonymi i ustawicznie dążyć do pokoju, któryby zabezpieczał od dalszych ataków ze strony wrogów. Skarga zajmuje podobne stanowisko.

Okrucieństwo wojny i jej moralną ohydę rozumiał dobrze i w kazaniach [1] wyliczał z głębokiem odczuciem, ile okropności i nieszczęść wlecze za sobą bratobójcza walka. „Nie masz tak wielkiej nędze, którejby wojna nie przynosiła". Ludzie, związani z sobą najdroższymi węzłami, mordują się nawzajem, a przecież Chrystus zostawił swym wyznawcom wielkie przykazanie miłości i przebaczania krzywd: „po tym poznają, żeście uczniowie moi, jeśli się spólnie miłować będziecie". Dlatego to — powiada Skarga — „nastraszniejsza i nanieprzystojniejsza między pany chrześcijańskimi wojna". Mają przecież jedną religię i jednego zwierzchnika w osobie papieża, i jemu powinniby oddawać sporne kwestye do rozstrzygnięcia. Marzył więc nasz kaznodzieja o międzynarodowym sądzie i powszechnym pokoju, a chciał to oprzeć na podstawie, która mu się wydawała najpewniejszą, t. j. na religii. Ale nie łudził się, że to ideał bardzo daleki od rzeczywistości, na wojnę zezwalał, lecz z podobnem zastrzeżeniem, jak Modrzewski i Petrycy. Musi mieć ona niewątpliwie słuszny a przytem poważny powód, bo drobne krzywdy lepiej darować. Zanim się jednak chwyci broń do ręki, należy próbować wszelkich pojednawczych środków, a także później wśród szczęku oręża nie wolno zapominać, że jedynym celem wojny to sprawiedliwy i pewny pokój. Jeżeli więc wojna jest zupełnie słuszna i konieczna, wtedy żołnierze mogą śmiało iść do walki, a nawet powinni do ostatniego tchu bronić swej ojczyzny. Gdyby jednak zachodziły jakieś wątpliwości, wówczas wolno się bić tylko żołnierzom krajowym, ale nigdy najemnym, których nic do tego nie zmusza. A na wojnę niesprawiedliwą, zaborczą nie pozwala Skarga iść ani jednym ani drugim. Jedynie walka z Turkami jest zupełnie bezpieczna i słuszna, bo wszystko, co w Europie posiadają, pochodzi z rabunku, zresztą powinniby chrześcijanie unikać wszelkiego rozlewu krwi. W każdym zaś razie nie ma się wojna mścić na niewinnych i bezbronnych; nietylko, że nie wolno zabijać niewiast ani dzieci, ale wogóle każde łupiestwo i zdzierstwo to ciężki grzech, o pomstę do nieba wo-

[1] „Pobudki czasu wojny". W kazaniach przygodnych.

łający. I tutaj przechodzimy już z ogólnych roztrząsań, do uwag Skargi, opartych na stosunkach panujących wówczas w wojsku polskiem. Przedstawiały się one niestety w bardzo smutnem świetle [1]. Organizacya wojskowa polegała wtedy w zasadzie na pospolitem ruszeniu, ale w praktyce uciekano się do niego tylko w najcięższej potrzebie. Był to rzeczywiście system przeżyty Szlachcic zmienił się z rycerza w wygodnego ziemianina i tylko niechętnie dawał się odrywać od swych zajęć gospodarczych, a jeżeli na wyprawę pociągnął, to ruszał z całym taborem sprzętów obozowych, które tamowały swobodę ruchu. Przytem stanowiło pospolite ruszenie bardzo niepewny materyał: brak karności i ścisłej organizacyi to jego nieodłączne znamiona. Dlatego przeniósł się punkt ciężkości do wojsk najemnych. Ale utrzymywanie ich było połączone z wielkimi wydatkami, którym ubogi skarb polski nie mógł podołać i wypłacał żołd nie regularnie. Wobec tego trudno było utrzymać wojsko w karności i powściągnąć je od rabunku. Mimo to nie dochodziłoby do tak jaskrawych objawów swawoli żołnierskiej, jak je w tych czasach napotykamy, gdyby zważano więcej na organizacyę armii. Działo się to jednak w ten sposób, że król dawał rotmistrzom t. zw. „list przypowiedni", to jest zezwalał na formowanie pułków, umawiając się równocześnie o liczbę żołnierzy i wysokość żołdu. Pieniądze wypłacano do rąk dowódców, którzy pozostając w bardzo luźnej zawisłości od władzy naczelnej, nadużywali swej swobody, chowając część żołdu do swej kieszeni i utrzymując daleko mniej żołnierzy, niż to umowa z królem wyznaczała. Zdawaćby się mogło, że starano się temu zapobiedz przez ostrożne wydawanie listów przypowiednich. Ale gdzież tam! Szafowano nimi z niesłychaną lekkomyślnością i powierzano formowanie pułków ludziom, którzy się ledwie otrząsnęli z zadekretowanej na nich infamii, głośnym awanturnikom i co najgorzej cudzoziemcom podejrzanej wartości, którzy okradali skarb żołnierzy i byli powodem ustawicznych zdzierstw i często się powtarzających buntów. W województwie ruskiem na po-

[1] „Prawem i lewem" I str. 185—204.

czątku XVII stulecia nie było — jak pisze historyk tej ziemi — „takiego roku, w którymby akta województwa nie były przepełnione protestacyami i pozwami przeciw rotmistrzom swawolnych chorągwi i nieskończenie długimi wykazami szkód i gwałtów, dokonanych przez nich nie tylko w dobrach królewskich i duchownych, ale nawet i w nietykalnych szlacheckich“ [1]. Najwięcej zaś cierpiał lud, dla którego przejście takiej swawolnej bandy równało się niemal napadowi tatarskiemu. Król był wobec tych nadużyć zupełnie bezsilny i musiał patrzeć z założonemi rękoma, jak mu żołnierze jego własne dobra pustoszyli. Jakże smutno świadczył o tej bezsilności taki n. p. fakt, że w r. 1591 prosił król szlachtę w uniwersałach, rozesłanych na sejmiki, o ratunek, żaląc się, że żołnierze zniszczyli mu dobra samborskie i postawili żądania, które tylko z największym wysiłkiem mógł zaspokoić, obiecując między innemi zniesienie zbyt ostrej niby ustawy o karności [2]. Co prawda, wojska te odnosiły równocześnie świetne zwycięstwa, o ile się znalazł wódz, któryby mógł osobistym wpływem brak organizacyi i dyscypliny wynagrodzić, ale w czasie pokoju były one straszliwą plagą, zwłaszcza dla chłopów.

Naturalnie, wszyscy pisarze, którzy o tę sprawę potrącili, potępiali te zdzierstwa w najostrzejszych słowach: „Abyś miał i jedną suknię przedać, w drugiej się do domu wrócić — napominał Rej — tedyć to lepiej będzie, niż głos niewinny na się puścić“ [3]. Oburzał się też na swawolę żołnierską Modrzewski, pisał, że „ów obyczaj ma być ganiony, gdy żołnierze z ludu ludzi zbierają tylko dla wypełnienia liczby“ [4] i domagał się regularnej wypłaty żołdu oraz roztropności w wyborze dowódców [5]. Nawet wśród tłumów szlachty pojmowano czasem, jakiem niebezpieczeństwem grozi Rzptej bezkarność panująca w wojsku, tak n. p. sejmik radziejowski poleca w r. 1591 swoim posłom

[1] Tamże str. 185.
[2] Script. rer. pol. XXI str. 101.
[3] „Żywot człowieka poczciwego“ str. 56. Btka Turowskiego.
[4] „O naprawie Rptej“ str. 274. Błka Tur.
[5] Tamże 285.

„opatrzyć, aby taka konfederacya (wojskowa), którą przeszłego roku (żołnierze) uczynieli, nie była *perpetuis temporibus in usu*“ [1]. Szlachta sochaczewska żądała nawet wbrew propozycyi króla, który przyrzekł żołnierzom znieść niewygodną im ustawę, aby „konstytucyę przeszłego sejmu *de disciplina militari in executionem de facto* przywieść,“ [2] a także inne województwa, choć zgadzały się na jej zniesienie, to zastrzegały jednak, żeby się to stało „*salva disciplina militari*“.

Skarga rozumiał dobrze niebezpieczeństwo takich buntowniczych związków, a bezkarne łupiestwa i niedola pokrzywdzonych bolały go serdecznie i oburzały do żywego. Widział, że wina leży w nieregularnej wypłacie żołdu, dlatego też gromił niesumiennych poborców, którzy obdzierali niemiłosiernie skarb państwa. W chwilach największych tryumfów polskiego oręża nie zapominał o niedostatkach, wołał o poprawę stosunków póki czas i kazał się starać o dobrych rotmistrzów [3], którzyby świecili swym podwładnym dobrym przykładem i karali surowo wszelkie zdzierstwa. Do samych zaś żołnierzy zwrócił się z gorącem napomnieniem, w krótkiej i prostej, a serdecznie napisanej książeczce p. t.: „Nabożeństwo Żołnierskie“. Naucza ich tu Skarga, aby przestawali na swej zapłacie i strzegli się wszelkiej krzywdy, jak ognia, aby hartowali duszę i ciało, bo człowiek oddany swym namiętnościom, nie może być nigdy prawdziwym rycerzem. „Śmiałym z pijaństwa i desperatem być może, a nie żołnierzem, który rozumem i cnotą żołd swój prowadzi“ [4]. Przedewszystkiem zaś zaleca im posłuszeństwo bezwarunkowe i ślepe. Należy się wprawdzie zastanowić przed wzięciem udziału we wojnie, czy jest sprawiedliwa, czy nie, ale gdy się już kto znajdzie w obozie, to „jeśli źle, abo dobrze hetman rozkazuje... już go nie sądzi“ [5]. Męstwo powinno być przymiotem każdego żołnierza, jednak nie ma wykluczać ła-

[1] Script. rer. pol. XXI str. 127.
[2] Tamże str. 133.
[3] Na zwycięstwo inflanckie.
[4] Nab. żoln. r. IX.
[5] Tamże.

godności. „Doma i w ciągnieniu — nauczał Skarga — winniście być jako owce, a w polu i potrzebie jako lwami nieustraszonemi“ [1]. Z boleścią narzekał na bezkarną swawolę żołnierzy podczas pokoju: „Tuby było na co płakać, jako niektóra szlachta nasza, która się żołnierskim stanem pokrywa, wszystką moc swoję na mężobójstwa i rozboje domowe obraca, rzadko swej krzywdy cierpi, rzadki się do prawa, gdy ma moc jaką odzywa“ [2]. Nauczał więc, że nikt z poddanych nie może sobie samowolnie wymierzać sprawiedliwości, że tylko legalny rząd ma prawo miecza i napominał żołnierzy, aby porzucili „brzydkie zabawy nad kuflami“, a spędzali czas pożytecznie, ćwicząc się w sztuce wojennej i kształcąc umysł czytaniem dzieł historycznych i Żywotów Świętych. Równocześnie wyśmiewał zbytek, huczne biesiady i zniewieściałość szlachty. „Owoż *eques polonus* w pierzach i poduszkach owiniony wozownik, nie jezdnik, piechota uboga nie ozdobny na koniu szlachcic“ [3].

Sprawami wchodzącemi już w zakres samej wojskowości nie zajmował się, sądził, że wykracza to już poza granice jego „profesyi“. Ogólnikowo tylko wzywał do zabezpieczenia granic przed nieprzyjacielem, a musiał też rozumieć, że pospolite ruszenie straciło już swą wartość, kiedy powiada, że się „już wieków naszych, z odmianą czasu i obyczaju nie powodzi“ [4].

Wszystkie te spostrzeżenia i uwagi nie są wprawdzie nadzwyczajne, ale w ustach kaznodziei-zakonnika świadczą bądź co bądź o rozległym horyzoncie zainteresowania, o bogatej stosunkowo obserwacyi, jasnym praktycznym rozumie i szlachetnem sercu. Uczucie litości dla niewinnie pokrzywdzonych i miłości ojczyzny, która ginęła bezkarnością, było tu także zawiązkiem jego pojęć.

Do podobnego wniosku prowadzą nas poglądy Skargi na rodzinę i wychowanie. Opierają się one po części na przepisach Kościoła katolickiego, (cała nauka o Sakramencie małżeństwa),

[1] Tamże. VIII.
[2] Tamże. XV.
[3] Tamże. XV.
[4] Tamże. VIII.

po części są wyrazem ówczesnych stosunków i wyobrażeń panujących w oświeconej warstwie społeczeństwa.

Rodzina zajmowała w dawnej Polsce bardzo wybitne i wpływowe stanowisko. Życie, które się mogło silnie zorganizować około wspólnych ideałów i potrzeb, i falowało niespokojnie w rozległych granicach Rzpltej, znajdowało w rodzinie najsilniejszą ostoję [1]. Jej etyczna siła była długo jedynym ratunkiem spraw publicznych i obejmowała swym zakresem wiele rzeczy, które właściwie powinny należeć do kompetencyi państwa. Kto napróżno szukał obrony w instytucyach rządowych, mógł ją znaleźć w rodzinie; z potęgą jej związków musiał się liczyć i zuchwały bannita, drwiący sobie bezkarnie z dekretów sądowych. Głową rodziny i panem domu był mąż; żona pozostawała pod jego władzą, a prawo pozwalało ją nawet ukarać; jednak mimo to nie było stanowisko kobiety tak bardzo upośledzone. Uważano ją wprawdzie za niżej rozwiniętą od mężczyzny tak pod względem umysłowym, jak i fizycznym, Rej n. p. pisał o niewiastach, że to jest „naród mdły, a na wszystko nałomny“ [2]; żonie zalecano powszechnie uległość i pokorę, wykształcenie dziewcząt nie wychodziło poza praktyczne wskazówki gospodarskie, a wychowanie polegało na tem, aby młodą pannę uczynić wstydliwą i małomówną, bo taka „przychodzi w podziwienie ludziom“, jak twierdził Petrycy [3], ale z drugiej strony najmniej podejrzane źródła obyczajowe przeszłości, akta sądowe, intercyzy, testamenty, listy poufne i pamiętniki świadczą, że ten stosunek pewnej uległości nie wykluczał głębokiego poważania dla matki domu, ani doniosłego wpływu żony [4]. Nazywano ją „klejnot drogi“, „ozdoba mężowi“, „miły i wdzięczny, a tobie równy towarzysz“, a nie były to tylko puste frazesy, ale odbicie ówczesnych stosunków.

Pojęcia Skargi nie wiele różnią się od tego tła. Jak inni

---

[1] Władysław Łoziński „Życie polskie w dawnych wiekach“ Lwów 1912. str. 141.

[2] „Żywot człow. pocz.“ str. 15.

[3] „Oekonomiki Aristotelesowej ksiąg dwoje“. 1602.

[4] „Życie polskie w dawnych wiekach“ str. 143 i 4.

pisarze [1] tak i on przyznaje mężowi dominujące stanowisko: „Mąż rodzi się z więtszym rozumem i więtszą siłą", a więc nie powinien „być niewieściuchem i nie ma od Boga zapisanej zwierzchności swej lżyć i pod nogi niewieście podmiatać" [2]. Choćby go nawet żona przewyższała rozumem, co się czasem zdarzyć może, to i tak nie powinien swego prawa tracić. Skarga zaleca takim mężom przebiegłą dyplomacyę: mogą niby to żonę przypuścić do rady i korzystać z jej uwag, ale nie dawać po sobie poznać, że sami nic lepszego wynaleźć nie umią. „Niewieścia powinność" to uległość mężowi. Kaznodzieja nasz posuwa się nawet tak daleko, że zaleca żonie uważać się za niewolnicę, „nie iżby nią była", lecz ponieważ taka pokora jest silnym węzłem zgody domowej. Ale mężowi nie wolno nigdy nadużywać swej przewagi: jest silniejszym, a więc powinien bronić domu i starać się o utrzymanie, a równocześnie być wyrozumiałym dla żony, kochać ją szczerze i przebaczać chętnie urazy.

Zgodnie z nauką Kościoła katolickiego przenosił Skarga dozgonną czystość ponad małżeństwo, jednak daleki był od wszelkiej skrajności. Świadczy o tem między innemi kazanie na śmierć Anny Jagiellonki, w którem poczytuje jej nawet za wielką zasługę, że panieństwo z miłości ku ojczyźnie porzuciła: „cokolwiek dobrego i sławnego i tej Rzpltej pożytecznego, Stefan król wielki, dzielny i mądry małżonek jej uczynił, to się słusznie przyczytać ma, jej takiej ku ojczyźnie miłości".

Za główny cel małżeństwa uważał nasz kaznodzieja, podobnie jak inni pisarze tego stulecia, „pomoc towarzyską", powstrzymanie od nieczystości, a przedewszystkiem dobre wychowanie dzieci. Nie zabrania wprawdzie na dostatek, urodę, ani nawet na „zacność stanu", ale pierwszą myślą osób zawierających ślub, powinno być postanowienie, że zaszczepią w sercach swych dzieci gorącą miłość Boga, Kościoła i Ojczyzny. „Toć jest pierwszy i jedyny koniec świętego małżeństwa" [3].

[1] np. Jan Młowiński Płoczywłos. Stadło małżeńskie. r. 1561. str. 19. Rej. „Żyw. człow. pocz". Jana Seklucyana „Oeconomia" 1546. cap. 8. etc.

[2] Kaz. o siedmiu Sakr. O małż. IV.

[3] Kaz. na niedz. i św. Na II n. po Trzech królach. I.

Skarga rozumiał wielką rolę wychowania w życiu indywidualnem i społecznem, wszak twierdził, że „z wychowania wszystek żywot ludzki idzie", i że zeń „wiele dobrego idzie Kościołowi Bożemu, Rzpltej i samym rodzicom i domom, w których się rodzą" [1]. Ale czy zajął się tą sprawą gorliwie? Najobszerniej mówi jeszcze o wychowaniu domowem, choć i tutaj rzuca nie wiele myśli: obszernością przewyższają go i Rej i Kwiatkowski i Petrycy [2]. Brakowało mu tu widocznie obserwacyi i doświadczenia. W każdym razie jednak nie zapomniał o tej sprawie i wyrobił sobie o niej sąd nie nadzwyczajny, co prawda, ani dostateczny, ale zasługujący na uwagę.

Punkt wyjścia stanowią jego ogólne pojęcia o naturze ludzkiej. Człowiek rodzi się z grzechem pierworodnym na duszy, z usposobieniem skłaniającem się raczej do złego niż do dobrego. „Tylo iskierki, mówili filozofowie, cnót dobrych daje nam natura; jeśli się nie podymają, gasną, a gdy im wiatru i drzew to jest ćwiczenia pobożnego dodajemy, piękny i wielki z nich ogień się wznieca" [3]. Tutaj właśnie zaczyna się obowiązek rodziców, których Bóg przeznaczył do tego, aby wypleniali z dzieci złe skłonności, a w miejsce ich szczepili zamiłowanie do cnoty. Za najważniejszy środek w tym celu uważa nasz kaznodzieja dobry przykład i uzasadnia to psychologicznie popędem do naśladownictwa. „Dziecinne serca są jako zwierciadła chędogie, co ukażesz, to się w nich ukaże. Przetoż żadnych złych rzeczy ukazować im i od przykładów niedobrych bronić ich barzo mają. I sami rodzicy nie mają im po sobie nic złego udawać i w mowie i w uczynku. Co u ojca usłyszą i ujrzą, to radzi dzieci czynią. I próżno mówisz: córko nie czyń tego, gdy córka rzec może: a wy pani matko czemu to czynicie" [4]. Drugi środek to karanie cielesne; o jego użyteczności mają świadczyć różne cytaty zalecające surowe karcenie dzieci. Nareszcie radzi Skarga jak naj-

[1] Tamże. Na XX n. po Św. II.

[2] Rej Żywot człow pocz. część I. Petrycy „Oekonomika" Kwiatkowski M. „Książeczki rozkoszne o poczciwem wychowaniu dziatek". 1564.

[3] Na XX. n. po Św. II.

[4] Tamże.

wcześniej rozpocząć pracę wychowawczą, bo póki różczka młoda, daje się łatwo nachylić i nawieść gdzie potrzeba, a urosłą trudno ciągnąć“ [1]. Bardzo smutną wadą ówczesnego wychowania było przyuczanie młodych jeszcze paniątek do stanowej zarozumiałości i pogardy wobec niższych. „Ojciec swej woli dopuści synowi doma, — żalił się Petrycy — szablę do boku przypnie: da syn słudze w gębę, choć jej nie dosięgnie, pochwala mu to: czysty mówi będzie chłop“ [2]. Otóż te nieszczęśliwe wyobrażenia będące podstawą buty szlacheckiej, chciał Skarga zgnieść w samym zarodku. „Nie tak ma być — powiada z oburzeniem — ale jako apostoł mówi: póki dziecie mały, niech nie będzie od sługi różny“ [3]. I królewicza Władysława kazał nasz kaznodzieja uczyć, „aby się pierwej człowiekiem być poznał, niźli panem i synem królewskim“ [4]. Pragnął dalej wykorzenić zamiłowanie do zbytku i pociąg do marnotrawstwa, a zaszczepić hart i wyrobić zaradność. Dlatego polecał dziecko zaznajamiać z ciężką walką życiową: „Lepiej mu ukazować nędze i przygody ludzkie, aby się ich lękał, a umiał sobie w nich pomagać, gdy się przypadną, niźli mu ukazować szczęście ludzkie, którym się wnet do pychy i zapomnienia samego siebie i do głupstwa przywodzi: i sam siebie i natury swej ludzkiej nigdy tak nie pozna“ [5].

Skoro dzieci podrosną, nie należy ich z fałszywej samolubnej miłości zostawiać w domu, bo „przy rodzicach trudno dobre wychowanie mieć mogą“ [6]. Uwaga to niewątpliwie słuszna. Nie można było przecież nabyć głębszych wiadomości i szerszego poglądu na świat w czterech ścianach szlacheckiego dworku, przy pomocy „preceptora“, który nie wiele więcej umiał od ucznia i nieraz tylko zły wpływ wywierał, bo nauczycieli domowych przyjmowano przeważnie bez wyboru [7]. Do jakich

[1] Tamże
[2] w „przydatkach“ do „Polityki“
[3] Na XX n. po Św. II.
[4] Przedmowa do kazań na n. i św. z r. 1597.
[5] Na XX n. po Św. II.
[6] Tamże.
[7] Maciejowski W. P. „Polska do pierwszej połowy XVII w. pod względem obyczajów i zwyczajów“. Peters. 1842. Część. III. str. 24 etc.

jednak szkół posyłać, o tem Skarga milczy. Przestrzega tylko przed wyjazdem młodzieży do Niemiec „między heretyki", ale nie wspomina nic, ani o metodzie ani o systemie nauczania. Jeżeli kazanie uważał za nieodpowiednie do tego miejsce, to czemu nie poświęcił tej sprawie jakiej osobnej broszurki? Był przecież jakiś czas nauczycielem Tenczyńskiego, w Warszawie kierował kolonią uniwersytecką, a w Wilnie piastował nawet urząd rektora nowozałożonej akademii. Powody tego obojętnego stanowiska były naszem zdaniem następujące. Jakkolwiek akademia krakowska i jej kolonie chyliły się coraz więcej do upadku, tak z braku wybitniejszych profesorów, jak i wskutek zupełnego zastoju w metodzie i planie nauki, to jednak powstawały w Polsce liczne szkoły o charakterze ściśle wyznaniowym, które starając się o jak największy wpływ na społeczeństwo, wprowadzały wiele ulepszeń i stały rzeczywiście wyżej od kolonii. Zwłaszcza kollegia jezuickie cieszyły się nadzwyczajnem uznaniem, do tego stopnia, że nawet różnowiercy posyłali tam swą młodzież. W istocie udzielano tu nauki systematyczniej i lepiej niż gdziekolwiek indziej[1]; wśród nauczycieli znajdowało się wielu wykształconych ludzi, a organizacya i karność mogły służyć za wzór. Co prawda nie były wolne od zarzutu, na co już niejednokrotnie zwracała uwagę historya. Wyznaniowy ich kierunek stanowił w oczach zakonnika-apologety pierwszorzędną ich zaletę, cieszyć go też musiała karność i przyzwyczajanie do posłuszeństwa, innych zaś braków nie widział. Nauka „świecka", jakby ją nazwał, ciekawiła go niewątpliwie, lecz nie przywiązywał do niej wielkiego znaczenia, a sile rozumu ludzkiego nie ufał. „Mogą mówić filozofowie, iż wiedzą skąd deszcze, skąd śniegi, skąd wiatry i trzęsienie ziemie, tylo z domysłu troche się wiedzieć zdają, a z fundamentu do pewnej wiadomości nie dochodzą".[2] „Szukali filozofowie prawdy w rzeczach widomych i przyrodzonych w słońcu i biegach jego i innych gwiazdach, w poznaniu natury zwierząt, ziół i drzew, jako też

[1] Dr. Roman Pilat. „Historya liter. pol." Warsz. 1911. T. II str. 51.
[2] Kaz. na I. niedz. po Bożem Nar. I.

i Salomon szukał, ale jej nie znaleźli“ [1]. Łatwo więc zrozumieć, że szkoły jezuickie musiał uważać za bardzo dobre i rzeczywiście w „Próbie zakonu“ wyraża się o nich z ogromnem uznaniem. Wobec tego nie myślał o żadnej reformie. Takie były poglądy Skargi na wychowanie. Niedostawało im wiele do ogólnych choćby zarysów jakiejś całości, widać w nich pewną jednostronność w ocenie watrości wiedzy ludzkiej, brak obfitszych spostrzeżeń i głębokiego zainteresowania, ale jeśli uprzytomnimy sobie, że kaznodzieja nasz nie był przecież specyalistą na tem polu, że zajmował się tylu innemi rzeczami, a uwagę zwracał głównie na kwestye religijne, moralne i polityczne, wtedy musimy uznać w nim umysł ruchliwy i wielostronny. Jego uwagi o wychowaniu domowem świadczą o jasnym praktycznym rozumie i szlachetnem sercu, a równocześnie wskazują, jak różne spostrzeżenia dążyły u Skargi do zespolenia się z jego podstawowemi pojęciami i uczuciami.

Rzućmy teraz okiem wstecz. Pierwsza i druga część naszej rozprawy miały za główne zadanie przedstawić, jak szeroko i głęboko sięgał Skarga swą myślą, jak rozległy był horyzont jego zainteresowania i o ile dążyły u niego pojęcia do jednolitej organizacyi. Widzieliśmy, że były to poglądy bardzo wszechstronne, rozumne, nieraz niepospolicie mądre, chociaż filozoficznego zacięcia brakowało im zupełnie. Skarga nie posiadał tej niespokojnej ciekawości, co wszystko pragnie wiedzieć i poznać, wystarczała mu nauka Kościoła, a zresztą skupił całą uwagę na otaczającem go życiu i dochodził na tem polu do wspaniałych wyników. Przewodnikiem jego wszystkich spostrzeżeń i myśli była miłość Boga, szczere ukochanie ludzi i litość dla ich niedoli, gorące przywiązanie do Kościoła i głęboki patryotyzm. Uczucie to stawało się czynnikiem jedności i sprawiało, że poglądy Skargi na polu życia praktycznego tworzą wcale jednolicie powiązaną całość.

Do zupełnej jednak oceny, jak bogaty był jego umysł i jak

[1] Na IV n. po Wknocy. I.

wielką pojemnością się odznaczał, nie wystarcza to, cośmy dotychczas powiedzieli. Kaznodzieja nasz odznaczał się jeszcze zdumiewającą eruducyą, znajomością wielu dzieł z literatury teologicznej, klasycznej i historycznej. Dalsze uwagi o tem odkładamy do następnego rozdziału.

(C. d. n.)

Stanisław Mitera.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

M. Tullius. Cicero, życie i dzieła. Przez *Kazimierza Morawskiego*, Kraków 1911. (Nakładem Akademii Umiejętności) 8⁰ str. VII+329.

W gronie uczonych, kupiącem się w drugiej połowie XVI wieku około Piotra Myszkowskiego i Filipa Padniewskiego, krakowskiego biskupa, rozprawiano często o Cyceronie, a w tych „grach rozmownych" brali udział prócz poety Jana Kochanowskiego dwaj przyjaciele filołodzy: Jakób Górski i Andrzej Nidecki, z których pierwszy był chlubą Wszechnicy Jagiellońskiej i wzorowym nauczycielem, drugi zaś zajaśniał jako znakomity krytyk i dziś jeszcze uznawany wydawca fragmentów cycerońskich. Co Górski pisał o przyjacielu (K. Morawski: Jakób Górski, jego życie i dzieła. Kraków 1892, str. 9), że jego „rozum i naukę i znajomość tak wielką pomników starożytności, jakiejby po Polaku nigdy się nie spodziewała, Italia podziwia i publicznie w księgach uznaje", to w całej pełni potwierdzają nowsze badania, wykazując zarazem, jak ścisłą i naukową metodą posługiwał się Nidecki w swej trudnej pracy wydawniczej. (K. Morawski: Andrzej Patrycy Nidecki, jego życie i dzieła. Kraków 1892). W Polsce szesnastego stulecia, gdzie powszechnie zajmowano się Cyceronem, ten hołd niepospolitego latynisty, złożony wielkiemu mowcy rzymskiemu, był najświetniejszym i obfituje też w trwałe owoce. Los zrządził, że biograf Nideckiego, pełen jakby w spadku po nim odziedziczonej miłości i podziwu dla starożytnego pisarza, poświęcił mu niedawno osobne dzieło, jako drugi tom Historyi literatury rzymskiej,

aby wyjaśnić czytelnikowi zasługi Cycerona głównie w zakresie piśmiennictwa i rozwoju kultury. Dwie pomnikowe prace o Cyceronie, Andrzeja Nideckiego i Kazimierza Morawskiego, chociaż odmiennego rodzaju, pokrewne są przez głęboką, wszechstronną znajomość przedmiotu, przez historyczny zmysł i zdrowy, subtelny sąd krytyczny.

Był czas, kiedy historycy niemieccy znęcali się nad mowcą, filozofem i politykiem w jednej osobie. Drumann oceniał Cycerona przeważnie na podstawie listów poufnych i zwierzenia osobiste mylnie, złośliwie lub wykrętnie tłómaczył. Gdybyśmy mieli korespondencyę n. p. Caesara, zdobywca Gallii wydałby się w jej świetle niewątpliwie znacznie gorzej. Według Mommsena był Cycero, jako mąż stanu niedołężnym i krótkowidzem, jako pisarz dziennikarzem najpośledniejszym, jako człowiek istotą bez serca. Wielbiciel cezaryzmu poniża niesprawiedliwie konserwatywnego republikanina i zapomina, że już sam Caesar w piękny sposób chwalił w Cyceronie siłę literackiego artyzmu i przypisywał mu rozszerzenie granic ducha rzymskiego, co więcej znaczy, niż zwycięstwa wojenne. Toż rychło nastąpiło otrzeźwienie i obecnie przeszła nauka do porządku dziennego nad ową nienawistną i niehistoryczną oceną. U nas po Tadeuszu Zielińskim stanął w zaszczytnym szeregu obrońców prof. K. Morawski i uczynił nam Cycerona jeszcze droższym i zrozumialszym. Między innemi mówi z zapałem, ale bez przesady, o bezinteresownym, gorącym patryocie, o najczystszym i najmoralniejszym człowieku w starożytności, dla którego znój był powołaniem, praca rdzeniem i ozdobą żywota. Opromieniony światłem kultury greckiej, miał Cycero wiarę w dostojeństwo i szlachetność ludzkiej natury i może być uważany za przedstawiciela towarzystwa, wyznającego zasady humanitarne. W tem kole wybranych obowiązywało hasło: *Inter bonos bene agier oportet*, tutaj zachwycano się jednością harmonią i wspaniałością świata, krzywdy i wykroczenia wobec bliźnich piętnowano, oddawano cześć i winne uznanie kobietom, żywiono przekonanie o nieśmiertelności duszy, a na wypadek klęski lub zawodu w życiu publicznem nie doradzano samobójstwa, bo polityka nie wypełnia całej skali potrzeb i uczuć człowieka, i poza nią są jeszcze cenniejsze skarby: rodzina, przyjaciele i nauki, którym oddać się godzi. Starożytny humanista dalekim jest od epikurejskiego egoizmu i ma dla dzieci szczerą, czynną miłość, chętnie nawet stara się o ich nauczanie. Wiemy, że Cycero gorliwie zajmował się nauką syna, w przeciwstawieniu do empiryków pojmował ją δεττικώτερον, to

jest od wypadków konkretnych i szczegółów przechodził do podstawowych kategoryi i ogólnych, filozoficznych rozważań. Takich złotych nici, zdobiących bujne pasmo duchowego życia Cycerona, możnaby znacznie więcej wydobyć. O wielu z nich, gdzie nadarzała się sposobność, wspomina prof. K. Morawski, wszystkie zaś objawy tu należące zbiera w całość M. Schneidewin: *Die antike Humanität* (Berlin, 1897). Książka ta, uzupełniona ciekawemi uwagami T. Zielińskiego (*Die antike Humanität*) w I. tomie Ilberga *Neue Jahrbücher für das klassische Altertum*, jest sama przez się apologią Cycerona. Stanowczo również odparto zarzuty przeciw publicznej działalności klasycznego mowcy. Pomawiano go o brak zasad politycznych, ale potępiający nie uwzględniali tego, że „w bezmiernie ciężkich, przełomowych chwilach każdemu człowiekowi zoryentować się trudno. Nie myślano o tem, że Cycero był z urodzenia literatem i intelektualistą, *homo novus* bez politycznego spadku i tradycyi, a przedzierać się musiał przez takie męty i zamęty polityczne, jakie rzadko w dziejach się spotyka" (str. 116). Zresztą, jeśli się Cycero mylił w doborze środków, nie znaczy to, że politycznie myślał dzisiaj tak, jutro inaczej, on tylko w swej bezsilności szukał oparcia o inną wielkość, by przez nią bronić wolności ojczyzny. A bronią w tej walce była mu gromowładna wymowa. Dar słowa potęgowała miłość sprawy, a jak dalece to słowo było oddźwiękiem duszy, świadczą mowy po powrocie z wygnania. Dlaczego właśnie o tej grupie mów najbardziej powątpiewano, czy jest autentyczną? Bo w tym okresie Cycero był targany niepokojem, nie mógł się swobodnie poruszać i nie miał już dawnego przypływu nowych idei. W ślad za tem mowa jego ma w sobie coś wymuszonego, jest często sztuczna i przesadna. I ta właśnie odmiana stylu skłoniła zwłaszcza Anglików do niedowierzania.

Przedstawienie zasług Cycerona w dziedzinie literatury, n. p. wymowy, teoryi wymowy i filozofii, jest w omawianym tomie pogłębieniem niezrównane, formą ponad wyraz wytworne. Nieraz odnosi się wrażenie, jakobyśmy z autorem odkrywali dopiero Cycerona w Cyceronie. Pierwszorzędny mowca próbował sił i na polu dziejopisarstwa, ograniczając je do opiewania własnej osoby, a więc do zakresu monograficzno-publicystycznego; na napisanie oczekiwanych od niego dziejów na szersze rozmiary nie zdobył się. Wiadomo, że Cycero prosił historyka Lucceiusa o przekazanie potomności jego konsulatu i wypadków dalszych aż do powrotu z wygnania, przyczem nie koniecznie ma być ścisłym i może lekceważyć prawa hi-

storyi: *leges historiae negligas* (ad fam. 5, 12, 3), a temi *leges historiae* mają być według samego Cycerona (De orat. 2 § 62): unikanie fałszu, śmiałe wypowiadanie prawdy. Jednostronne zapatrywanie Cycerona zganił autor (str. 252—5) i całkiem słusznie, przeciwne zaś zdanie prof. B. Kruczkiewicza (Eos XVII 245) nie bierze pod uwagę faktu, że Cycero nie tylko w tym specyalnym wypadku, ale wogóle zalety dziejopisarstwa upatrywał w charakterze retorycznym, a zatem w pewnej ozdobności, teatralnem napięciu, przesadzie i wymysłach kosztem rzeczywistego stanu rzeczy — a nawet tam, gdzie wyraźnie mieni historyę *testis temporum, lux veritatis, magistra vitae* (De orat. 2, 9, 36; por. 2, 15, 62), nie zapomina o konieczności przyozdobień i upiększeń oratorskich. Takie teorye głosiła współczesna grecka nauka, n. p. Asklepiades z Myrleia, który uczył w Rzymie za Pompeiusa i tak samo jak Dionysius z Halikarnassu prawdomowność w historyografii stawiał na podrzędném miejscu. Nazwanie historyi *lux veritatis* wydaje się w tych warunkach nieomal pustym frazesem. Por. H. Peter: *Wahrheit und Kunst, Geschichtschreibung und Plagiat im klassischen Altertum*; Lipsk 1911, str. 330—333 i 420. Dotnyślano się, że niewłaściwą definicyę historyi przejął Cycero z wykładów gramatyka M. Antoniusa Gniphona (por. H. Peter, tamże str. 331 uw. 1). Dalsze uwagi krytyczne autora (str. 260—9) rzucają na poetyczną produkcyę Cycerona należyte światło — niekorzystne. I nie ma powodu ujmować się za poetyckim dorobkiem naszego mowcy. Świadectwo Tacyta (Dial. de orat. 21), że inni współcześni (Caesar i Brutus) tworzyli wiersze *non melius, quam Cicero*, nie może przecież być poleceniem Muzy cycerońskiej (Eos XVII 245). Cały odnośny ustęp Dialogu jest najwidoczniej niepochlebnym wyrokiem na poezyę Brutusa, Caesara i Cycerona. Rozdział VII zawiera wiele psychologicznych spostrzeżeń i bystrych rozważań nad listami Cycerona, porusza także nie zupełnie wyjaśnioną sprawę wydania poszczególnych zbiorów korespondencyi. Najserdeczniejsze listy do przyjaciela Atticusa budzą tu bardzo żywy interes. Są one — jak pięknie się wyraża autor — rodzajem Pompei codziennej, powszedniej myśli ludzkiej, a jakkolwiek odsłaniają niejedną małostkę w osobie Cycerona, świadczą o jego wielkiej miłości ojczyzny, której wiernie służył wysiłkiem, cierpieniem i troską. Jeżeli czytamy o retorycznych przepisach i teoryach epistolograficznych, myśleć przedewszystkiem trzeba o prawidłach greckich. Lecz zależność od nich sięga jeszcze dalej. Ołowiana tabliczka Mnesiergosa z IV wieku przed Chr. przechowała nam jeden

z najstarszych listów greckich. Otóż następujące słowa tabliczki: Μνησίεργος ἐπέστελε (= ἐπέστειλε) τοῖς οἴκοι χαίρεν (= χαίρειν) καὶ ὑγιαίνεν καὶ αὐτὸς οὕτως ἔφασκε ἔχειν dowodzą, że łacińska epistola wzięła nietylko nazwę i formułki, ale także użycie czasów (ἐπέστειλεν, ἔφασκεν) z greckiej ἐπιστολή. Por. uwagi Kukuli w wydaniu listów Pliniusa; nadto S. Witkowski, *Epistulae privatae graecae*; Lipsk 2 wyd. str. 135.

Kończy książkę rzut oka na losy pośmiertne Cycerona. W lapidarny sposób kreśli w nim autor wpływ jego na oświatę późniejszych pokoleń. Dotkniemy tu tylko kilku momentów. Z pisarzów chrześcijańskich Lactantius przypomina Cycerona stylem, św. Augustyn wzrusza się i buduje Hortensiusem, św. Ambroży polega na jego dziele *De officiis*, a przypomnieć można, że i św. Hieronim usilnie rozczytywał się w Cyceronie i za to w śnie fikcyjnym miał go spotkać wyrzut: *Ciceronianus es, non Christianus*. Tak już w tych wiekach zespala się wykształcenie chrześcijańskie z klasycznem, a to zbratanie jest i obecnie celem pełnego życia. Humaniści słyną wprawdzie z naśladowania Cycerona, ale nie znali znamiennego rysu jego języka, mianowicie klauzul rytmicznych. Co prawda, badanie praw dźwięczności w prozie łacińskiej na końcu zdania i jego części (str. 114) podjęto dopiero z końcem ubiegłego stulecia. Purytanizm reformacyi był wrogim pięknej formie, ale ciekawa, że sam Luter czcił filozofię Cycerona i spodziewał się dla niego łaskawości Pana Boga. Kontrareformacya dopuszcza Cycerona do szkół; w szkolnictwie Jezuitów cieszył się on zawsze wielkiem uznaniem. Jak dalece wiek „oświecenia" zależnym był od Cycerona w religijnym i filozoficznym kierunku, jak niektóre zdania Cycerona (n. p. o rozumie, jako jedynem prawie zobowiązującem człowieka) przygotowywały rewolucyę, jak jej działacze brali z mów Cycerona pioruny i zwroty, wszystko to wyjaśnia piękna praca T. Zielińskiego (*Cicero im Wandel der Jahrhunderte*). Wreszcie stawia prof. K. Morawski pytanie, jaki wpływ miał Cycero na naszą polską kulturę? Wyczerpująca odpowiedź wymagałaby osobnych, szczegółowych poszukiwań. Autor, którego studya rzuciły dużo światła na tę kwestyę, daje w tej mierze cenne wskazówki (str. 318—320), niejako tematy do przyszłych wypracowań. Aktualnem jest żądanie, by zbadać, o ile wzór Cycerona odbił się na mowach Skargi.

Dr. Adam Miodoński.

Konfederacya narodu polskiego, w roku 1876. *Fr. Rawita-Gawroński.* Lwów, 1910, 8⁰ mn., str. 109.

Ustęp z dziejów naszych, tak niedalekich, pokryty był dotąd mgłą gęstą fałszów i plotek, tak, że nie łatwo było zoryentować się w lesie intryg, wzajemnych potępień, oszczerstw niejednokrotnie. Wcale niełatwego zadania, polegającego na wydzieleniu z plew patryotycznych ziarna czystego, podjął się niestrudzony na polu dziejopisarskiem autor dzieł szeregu, a to na podstawie materyału dotąd nieznanego i bardzo trudno dostępnego. Zważyć bowiem należy, iż materyał ten składał się z garści dokumentów w formie odezw i instrukcyi, pamiętników Karola Brzozowskiego i Ksawerego Gebharda, korespondencyi Wł. Kulczyckiego z Gebhardem i Konfederacyą N. P., wreszcie z wspomnień majora Sokulskiego.

Co prawda — materyału pierwszorzędnego brakło zupełnie. Co stało się z korespondencyą w tej sprawie: Sapiehy, Gołuchowskiego, Ujejskiego, Guttrego, Johnstona, hr. Brédy, z protokołami posiedzeń K. N. P., papierami po Koszczycu — nie wiadomo. Tyle tylko jest pewnem, że większa część wymienionych dokumentów zaginęła niepowrotnie. Stąd tem większa była trudność w przedstawieniu całokształtu działań K. N. P., a zatem tem większa zasługa p. Rawity-Gawrońskiego.

W r. 1876 wisiała znowu nad Europą wojna wschodnia. Napoleon I. zatruł nasz naród ideą możliwego odzyskania samodzielności państwowej przy pomocy „wojny europejskiej". Olśnił nas sławą swoją, wyzyskał nasze nieszczęście i miłość ojczyzny i zastrzyknął truciznę nadziei. To też prawie w każdej wojnie szukaliśmy zbawienia dla siebie, a gdyśmy udziału w niej nie brali lub brać nie mogli, uważaliśmy, że t a właśnie wojna byłaby przyniosła nam wyzwolenie.

Jak wszystkie spiski polityczne, tak też K. N. P. powstała z inicyatywy kilku ludzi gorącego serca, ale tak zapalnych, że rozwaga przychodziła dopiero — po czynie. Założyciele K. N. P. we Lwowie należeli nietylko do pokolenia 1863 roku, ale do tej kategoryi ludzi, którzy uważali ostatnią nieszczęśliwą walkę za nieskończoną jeszcze. Tymczasem gromadzące się na horyzoncie europejskim chmury, zapowiadały wojnę rosyjsko-turecką. Idea zaś państwowości polskiej była tak silna, że naród protestował przeciwko istniejącymu porządkowi rzeczy przez usta najgorętszych jednostek, fanatyków miłości

ojczyzny, którzy stanowisko, mienie i życie składali na ofiarę wielkiej idei. Nie brak ich było w Polsce od końca XVIII wieku.

Możliwością wojny rosyjsko-tureckiej zajmowano się w Galicyi goręcej niż gdzieindziej, gdyż Galicya była najbliższą terenu spodziewanej wojny. Nastrój położenia politycznego w Europie dał impuls Teofilowi Szumskiemu, współpracownikowi *Gazety lwowskiej*, do podniesienia myśli zawiązania K. N. P. Pozyskawszy dla niej Gebharda, Koszczyca, i Riedla postanowił przystąpić do ukonstytuowania komitetu. Jeżeli Szumski reprezentował zapalny element bombastycznego patryotyzmu, Riedel i Gebhard byli przedstawicielami umiarkowanej rozwagi, to Koszczyca można śmiało nazwać maniakiem na punkcie konspiracyi. Człowiek niespokojnego ducha, podejrzliwy, bezwzględny w sądach, zarozumiały i ambitny, nie znosił koło siebie nikogo — oprócz posłusznych wykonawców. Polskę miłował wprawdzie gorąco, ale dziwną Polskę i w dziwny sposób: on ją sobie wyobrażał jako bryłę martwego ciała, z którą można było robić bezkarnie różne eksperymenty — w imię dobra. Wszędzie widział szpiegów i zdrajców, a hrabiów i książąt gotów był mordować za jakieś winy przodków, o których on jeden „wiedział najlepiej". Z takim niezrównoważonym człowiekiem praca nie zapowiadała się spokojnie, zwłaszcza z uwagi na jego bezgraniczną zarozumiałość, oraz na despotyzm skrajny i upór.

Grupka ta osób zabrała się do organizacyi, w czem przyszedł jej z pomocą wypadek. W maju 1876 r. miał w parlamencie niemieckim gorącą mowę w obronie praw języka polskiego Wł. Niegolewski. Postanowiono tedy wysłać do niego adres, co istotnie uskuteczniono, zebrawszy sumę potrzebną na koszta ze składek. Adres zawieźli w Poznańskie Szumski i Riedel, przy tej zaś sposobności nie omieszkali przedstawić pewnych szczegółów o K. N. P. Jednakowoż odczuto brak poważnych osobistości, któreby dodały powagi całej organizacyi, o ile ona miała zyskać posłuch u społeczeństwa. Bez trudu udało się naszej czwórce zjednać sobie hr. Artura Gołuchowskiego, organizatora wyprawy na Wołyń w r. 1863 i hr. Wł. Kulczyckiego, który wziął na siebie obowiązek poruszenia sprawy polskiej w prasie włoskiej.

Gorzej poszło z odezwą, puszczoną w świat przez pocztę ze stemplem „Warszawa". Większość nie uwierzyła w szczerość roboty anonimowej, ludzie zaś tej miary, jak: Romanowicz, prof. Hirszberg, Lam i Rewakowicz głośno oburzali się na podburzanie umysłów do

nowych nerwowych czynów, niektórzy dopatrywali się nawet w tem wszystkiem prowokacyi. Było to tragicznością losów naszych: obawiano się cienia własnego, podejrzywano się wzajemnie, w każdej robocie patryotycznej doszukiwano się raczej złośliwej ręki, niż miłości ojczyzny, kierowanej rozpaczą...

Ale nie brak też było entuzyastów, którymi „czwórka" umyśliła wzmocnić Komitet, dla którego zjednano majora Thirmego, radnego m. Lwowa Moszczeńskiego i b. kapitana wojsk rosyjskich Kulwieca. Szerszych kręgów społeczeństwa nie zdołano wszakże zainteresować. Dla nawiązania stosunków wyjechał do Warszawy Wład. Sabowski, do Pesztu Moszczeński. Zabiegi obydwu delegatów spełzły na niczem. Zwłaszcza w Warszawie dowiedziano się o powszechnej niechęci do udziału w całej tej robocie. Pomimo to Koszczyc snuł daleko sięgające fantazye, przeznaczając za pomoc, udzieloną K. N. P. — dla Austryi rekompensatę na Turcyi oraz sekundogeniturę w odbudowanej Polsce, dla Turcyi — Kaukaz, dla Anglii wyspy na Bałtyku i Krym. Odbudowane zaś Królestwo Polskie miało otrzymać część dzisiejszej gub. Chersońskiej między Dniestrem a Dnieprem aż do morza Czarnego celem stworzenia własnej floty.

Nawiązano też stosunki z Stambułem, gdzie pełnomocnikiem mianowano artura Zimmermana, pułkownika w służbie tureckiej, a temu udało się pozyskać dla K. N. P. znanego przyjaciela Polaków Midhata-paszę, po jego ustąpieniu zaś Edhema-paszę. Stanęło na tem, że, gdy Turcy przekroczą Prut i wkroczą na Podole, wybuchnie w Polsce powstanie, na co miała dać Turcya 10.000 funtów sterl. i 100.000 broni z artyleryą. Jedynie dzięki interwencyi przewidującego Karola Brzozowskiego, udało się zapobiedz ziszczeniu szalonych planów Koszczyca, występującego kryjomkiem poza plecyma K. N. P.

W rozgorączkowanej bowiem głowie Koszczyca powstawały coraz to oryginalniejsze projekty: jemu wydał się Londyn gwiazdą zbawienia. Trzeba było posłać tam kogoś, a tu ani człowieka, ani pieniędzy! Wykołatawszy sumę potrzebną wyruszył Koszczyc nad Tamizę, skąd doniósł wkrótce kolegom, że Anglia ofiaruje pół miliona karabinów i 6 milionów funtów pożyczki, ale wpierw żąda przysłania specyalisty celem ułożenia planu kampanii oraz gwarancyi obywateli, których kapitały złożone są w banku angielskim. Wydelegowano tedy po powrocie Koszczyca jenerała Kruka do Londynu, ten wsze-

lako dał tak pochlebną opinię o stanie armii rosyjskiej, iż Anglicy przekonali się o bezpodstawności liczenia na Polskę.

Wypowiedzenie wojny Turcyi przez Rosyę poruszyło ognisko emigracyjne w Stambule, zwłaszcza, gdy wyznaczono koszary dla formującego się legionu polskiego. Nie mniej pamiętne przyjęcie pielgrzymki polskiej przez Piusa IX. wychodziło na korzyść moralną sprawy polskiej, zwłaszcza, że echa przemówienia papieskiego odbiły się głośnem echem nad Bosforem. A że tam nie zdawano sobie dobrze sprawy z tego, czem jest właściwie K. N. P., wysłano tedy poselstwo sułtańskie do Lwowa, gdzie dowiedziało się ono o istotnym stanie rzeczy, t. j. że o powstaniu niekt na seryo nie myśli.

K. N. P. spostrzegła, że nie może nadal kierować ruchem, wywołanym przez siebie. Postanowiła tedy oddać kierunek sprawy w ręce popularnego, zręcznego i bardzo ambitnego ks. Adama Sapiehy, z powodu demokratyczności swojej nazwanego „Czerwonym księciem". Przezorny wszelako książę wymówił się od tego wątpliwego zaszczytu.

Epilogiem tej całej działalności spiskowej był zjazd wiedeński „przyjaciół Polski". Tymczasem Plewna została wzięta. Marzeniom położono kres... a rozpoczęto szereg wzajemnych posądzeń i oskarżań, którym długo nie było końca.

Oto główne ramy, w jakich zawarł p. Rawita-Gawroński swoje dociekania, tem smutniejsze wywołujące refleksye, ile, że przywodzą na myśl apostrofę Słowackiego: „Pawiem narodów byłaś i papugą, a teraz jesteś służebnicą cudzą"...

Widmo, ukazane nam przez Napoleona, nie przestawało nas łudzić lat dziesiątki długie...

Dr. St. Zdziarski.

Biskupi przemyscy obrządku łacińskiego. *Ks. Władysław Sarna.* Cz. II., 1624—1900. Przemyśl. Nakł. Redakcyi „Kroniki Przemyskiej", r. 1910. str. 351+31.

Przez tę drugą część zostało ukończonem dzieło o przemyskich biskupach. Gdy część pierwsza, wydana osobno w r. 1903 jeszcze, była już omówioną w łamach naszego pisma, [1] należałoby dziś wspomnieć już tylko o części drugiej, dla całości jednak trzeba się może będzie cofnąć tu i ówdzie nieco wstecz.

Część druga obejmuje może ciekawsze jeszcze postacie histo-

ryczne, niż część pierwsza. Bo gdy w pierwszej najwięcej interesującemi byli początkowi biskupi katedry przemyskiej, w drugiej, w czasach dla polskiej historyi więcej burzliwych, więcej też ujawnia się działalność pasterzy przemyskich na bieg spraw współczesnych. Zazwyczaj do stolicy przemyskiej przywiązaną była godność kanclerza lub wicekanclerza koronnego (13 biskupów przemyskich piastowało tę godność) — stąd więc już osobistości przemyskich pasterzy są bardzo ważne dla dziejów całego kraju; mnóstwo też osób, czasem bardzo wybitnych w historyi, (n. p. Gamrat, Gembicki, Trzebicki, Tomicki, Ramkowski, Młodziejowski i i.) przesunęło się przez stolicę przemyską w czasie od r. 1375—1900, bo aż 62 — liczba niesłychana w porównaniu z innemi dyecezyami. Przyczyną tego było, że biskupstwo przemyskie należało do gorzej uposażonych; przecież w konstytucyach sejmowych nieraz spotyka się uchwałę, by „księdzu biskupowi przemyskiemu dać obszywkę", t. zn. by mu dodać jakieś inne beneficyum, czy opactwo bogate dla powiększenia dochodów — było to więc biskupstwo przejściowe, na którem nikt długo nie pozostawał, gdyż rychło posuwano go na inną, dostatniejszą stolicę. Dlatego też to mnóstwo osób, przedstawia dość barwną mozaikę. Przeważna liczba to mężowie prawdziwie apostolscy, święci biskupi, co tylko o swych owieczkach pamiętali, a zbawieniu własnej duszy, że wymienię tylko n. p. A. Gołaszewskiego lub Achacego Grochowskiego, który umarł w r. 1633 z powodu melancholii na wieść, że sejm z r. 1632 pozwolił na żądania dyssydentów w sprawie swobodnego wyznawania religii, albo jego poprzednika Jana Wężyka, późniejszego prymasa, który, dopóki obłożnie nie był chory, codziennie wieczór o ósmej w pokoju się zamykając, trzy godziny bez przerwy przepędzał na modlitwie; od jedenastej do trzeciej, a często tylko do drugiej zażywał snu, a powstawszy z niego, do piątej nikogo nie budząc, modlitwą, rozmyślaniem się zabawiał, przyczem często go krzyżem leżącego domownicy zastawali. Pacierze kapłańskie dopóki tylko mógł, odprawiał klęcząco, a w ciężkiej chorobie kazał się do nich podnosić z łoża. W niedzielę i święta pieszo do kościoła chodził i z największem nabożeństwem Mszy św. parafialnej i kazania słuchał". Obok tak wzniosłych postaci — znajdują się jednak i ciemniejsze, chociaż nieliczne i ciemne nawet bardzo, jak n. p. bkpa Antoniego Betańskiego (1783—1786), który żyjąc w czasach józefizmu, był też typowym księdzem swej epoki, Należał on do tych Czechów, zesłanych do Galicyi, którym przedewszystkiem leżało na sercu *altissimas*

Cesareae Sacrae Regiae et Apostolicae Maiestatis Ordinationes omni meliori modo effectuare. Był to biskup, który zachwycał ówczesnych urzędników, jako *malleus validissimus ultramontistarum*, który zaraz swym pierwszym listem pasterskim zwiastował „nową erę w Galicyi", o którym panowało przekonanie wśród sfer urzędniczych, że pójdzie za rządem nawet na wypadek bardzo radykalnych reform...

Nie wszystkich biskupów życiorysy są równie obszerne i wyczerpująco nakreślone — zależało to od ich działalności; niektórzy bowiem rządząc ledwie lat kilka dyecezyą, nie mogli nawet zacząć pracować. Ale podnieść należy, że życiorysy wybitniejszych osób — pod względem czyto ujemnym, czyteż dodatnim, skreślono obszerniej, starając się jaknajdokładniej opisać ich działalność. Tutaj miał Sz. Autor niemałą trudność w scharakteryzowaniu ich stanowiska. Ponieważ jak wspomnieliśmy, biskupstwo przemyskie było przejściowem, przeto trudno było na karb rządów dyecezyą przemyską kłaść tego, co zrobił dla innych dyecezyi, a więc działalność tę pomija Autor, wspominając zazwyczaj tylko o tem, co może rzucić jakie światło na duszę samej osoby. Dlatego samego może też powodu nie widzimy tutaj szeroko zakreślonej ich działalności politycznej — czy słusznie, zobaczymy niżej.

Życiorysy biskupów są prawdziwie życiorysami tylko — i to nie zawsze kompletnemi, ponieważ czasem zdarza się brak dokładny daty tak ważnej, jak n. p. urodzin (n. p. Wężyka J., A. Grochowskiego i i.), ale mimo to odbija się w nich żywem echem każde ważniejsze zdarzenie, czyto wojny moskiewskie, szwedzkie, tureckie, najazdy tatarskie, czy rozbiór Polski i reformy józefińskie, oraz późniejsza reakcya; wśród tych zdarzeń wiją się znowu rozliczne szarzyzny życia codziennego, jak spory między biskupem a kapitułą, biskupem a zakonami, heretykami, procesy o dziesięciny i t. p., prawie każda ważniejsza sprawa w Polsce, prawie każda wybitniejsza osobistość jest tu wspomniana — na przykład przytoczyć można, że nawet tak daleka sprawa, jak spór Jezuitów z Akademią krakowską, znajduje i w przemyskiej dyecezyi swoje dość wybitne echo. Skutkiem tego też, że tylu kanclerzy koronnych przesunęło się przez katedrę przemyską, książka staje się bardzo potrzebną dla badacza historyi polskiej.

Możnaby się nie zgodzić tylko na sposób pisania: Sz. Autor trzyma się porządku chronologicznego, osoby biskupów, ich czyny przesuwają się przed naszemi oczyma w tym porządku, w jakim

oni sami zasiadali na katedrze przemyskiej. W ten sposób niejedna sprawa powtarza się po kilkakroć, ustawicznie do niej wracać trzeba, o ile toczyła się za rządów kilku biskupów. W zasadzie jest to sposób błędny, ale nieunikniony, jeżeli się chce przedstawić działalność każdego biskupa, owszem jest to sposób konieczny, jeśli się zważy, że w Przemyślu zmieniali się biskupi bardzo często, nie było więc i pracy tak bardzo jednolitej. Tutaj możnaby też zwrócić uwagę na drugi zarzut: dlaczego w „Biskupach przemyskich" niema historyi całej dyecezyi? Tak, słuszna uwaga, ale odpowiada na nią sam Autor w domówieniu (str. 556), że dzieło swe pisał „według zlecenia Najprz. Arcypasterza w pierwszym rzędzie dla kapłanów dyecezyi przemyskiej, którzy znają dzieje dyecezyi swojej ze znakomicie obrobionego pod względem historycznym przez X. Pawłowskiego schematyzmu dyecezyalnego". Od siebie zaś dodać możemy, że nie było celem i Najprzew. Ks. Biskupa, by odrazu pisano historyę dyecezyi całej; wskazanem było pracować stopniowo. A więc miał Najprz. Ks. Biskup ten zamiar, by na łamach „Kroniki dyecezyi przemyskiej" częściami ogłaszać dzieje dyecezyi, dzieje biskupów, kapituły, historyę pojedynczych parafii i t. d., które dopiero razem dadzą całokształt historyi dyecezyi przemyskiej. A sposób takiej pracy, jest chyba racyonalniejszy i łatwiejszy i prędzej można dojść do wyników pewnych, jeśli się z opracowań szczegółowych dochodzi do złożenia całości.

Praca opiera się przedewszystkiem na aktach kapitulnych przemyskich, chociaż wspomaga się dawniejszą i współczesną literaturą historyczną, która jest bardzo dokładnie uwzględnioną, aż do kilku ostatnich lat. Ale Autor kontrolując źródłami wiadomości stąd czerpane, miał nieraz sposobność prostować szczegóły, jakie się mylnie zagnieździły w naszej nawet poważnej literaturze, (n. p. we Finkla „W uniwersytecie lwowskim", o bkpie Betańskim i bkpie Kierskim); mniej może udowodnioną zdaje się obrona bkpa Młodziejowskiego przez świadectwo kanonika Pstrokońskiego, który „znał z gruntu" Młodziejowskiego. Przecież, aby godzić się na twierdzenie, że Młodziejowski „był bardzo cnotliwym i pobożnym kapłanem i biskupem, który nie religię do polityki, ale politykę do religii stosował", na to trzeba może jeszcze inne argumenta przywieść — może z korespondencyi współczesnej — która wogóle do charakterystyki osób mogłaby tutaj oddać i zawsze oddaje znakomite usługi.

I strona zewnętrzna dzieła, korekta, pozostawiałaby wiele do

życzenia, ale pochodzi to z przyczyn od Autora niezależnych. Może także od Autora niezależało, by dzieło wyposażyć lepiej pod względem artystycznym, bodaj portretami Biskupów — o ile są autentyczne — jeśli nie i rycinami przedstawiającemi ich dzieła, czy współczesne nagrobki.

Ale trudno może żądać od Autora, by zajęty tak licznemi obowiązkami swemi proboszcza wiejskiego, mógł mieć do dyspozycyi tyle czasu i tak obfite źródła i środki pomocnicze, jak ci, co pracują przy pomocy rządowych instytucyi naukowych. Wdzięczność i uznanie należy mu się za to, co dał, z uszczerbkiem własnego zdrowia, jakie stracił przy tej pracy, która może stanąć obok podobnych mu prac Damalewicza, Łubieńskiego czy Korytkowskiego.

Ks. K. Konopka.

Z piśmiennictw obcych.

Die Kirchenbauten der deutschen Jezuiten. Beitrag zur Kultur- und Kunstgeschichte des XVI, XVII und XVIII Jahrhunderts. Von *Joseph Braun. S. J.* Freiburg im Breisgau. Herder. 1908. 1910.

W podręcznikach zarówno jak i w ększych dziełach naukowych, zajmujących się historyą sztuki, bardzo często spotkać się można ze zdaniem o przeważnym wpływie, jaki Jezuici mieli wywrzeć na charakter sztuki tych czasów, kiedy występują na widownię dziejową. Nawet utworzono osobną nazwę stylu jezuickiego, która ma oznaczać budowę kościelną o przesadnych kształtach, niespokojną i niesmaczną, wskutek przeładowania krzykliwemi ozdobami. Obwiniano ich, że zadali śmierć gotykowi, a pogardzając rodzimą sztuką, jako świecką, kacerską lub dziecinną — usiłowali wszędzie wprowadzić pompatyczny barok rzymski, bogactwem ozdób i przepychem fascynujący zmysły tych mas, które się w ich kościołach gromadziły.

O. Braun podjął się uciążliwego zadania sprawdzenia tych zarzutów, które już miały ustalone miejsce w historyi, jako pewniki, jako zasady, bez których nie mogła być zrozumiana historya rozwojowa sztuki, które każdy fachowy historyk czuł się w obowiązku zaraz na wstępie w historyi baroku podnieść i podkreślić. Miał śmiałość postawić znak pytania przy tych zapewnieniach naukowych po-

wag i specyalistów i rozpocząć badanie na własną rękę, by przekonać się, jak się mają rzeczy z wpływem jezuickim na rozwój sztuki.

Wszystkie te sądy, wypowiadane w uczonej formie z większą lub mniejszą animozyą, mają to do siebie, że zawsze są ogólnikowe i opierają się raczej na domniemanym charakterze zakonu, który się ocenia jednostronnie, aniżeli na faktach i zabytkach sztuki.

O. Braun właśnie postanowił rozejrzeć się po faktach i wprzód, nim się sformułuje ogólny sąd, dać rozbiór i analizę szczegółową zabytków działalności Jezuitów na polu sztuki. Zajął się zbadaniem kościołów jezuickich, wystawionych w czasie całego ich istnienia aż do kasaty zakonu.

W r. 1907 wyszedł szczegółowy opis kościołów belgijskich — w r. 1908 następuje pokaźny tom monografii kościołów zakonu w prowincyi nadreńskiej i (po podziale prowincyi) dolno-reńskiej, — zaś r. 1910 zjawia się podobne opracowanie, tyczące się kościołów prowincyi górnoniemieckiej i górno-reńskiej.

Metoda, jakiej się trzymał w swe pracy, jest ściśle naukowa, uchylająca się od wszelkiej polemiki, trzymająca się jedynie faktów. Na podstawie bogatego materyału archiwalnego kreśli zwięźle historyę budowy kościoła, by następnie poddać szczegółowemu rozbiorowi całą jego konstrukcyę oraz bogactwo form i ornamentów w nim spotykanych a wreszcie wskazać na wpływy, jakie się w tej budowie przebijają. W ten sposób przesuwają się przed nami całe dziesiątki kościołów w całej wyrazistości swego powstawania, oraz swoich kształtów, swych odnośni i warunków, jakie na nie wpływały.

Spotykamy się z całymi szeregami imion nietylko Jezuitów, którzy w jakiś sposób zajmowali się kościołem, ale także architektów, rzeźbiarzy i majstów, którzy kierowali budową, bądźto robili plany — bądź je wykonywali.

Rezultat tych wzorowych monografii — jeśli chodzi o owe ogólne zapewnienie i charakterystykę, jaką spotykało się w pracach o baroku — jest dla nich wprost druzgocący.

„Historya budowy i opis kościołów dowodzi zupełnej ich niedorzeczności i błędności, a pokazuje z całą oczywistością, że niczem innem nie są, jak tylko fantasmagoryą bez żadnej realnej podstawy". „Styl jezuicki, jakkolwiek się go pojmie, jest tylko bajką, jak również bajką jest, jeśli się przedstawia Jezitów jako wrogów gotyku, wrogów niemieckiego renesansu, a jako pionierów i apostołów baroku". „Dalecy od tego, aby wskazywać drogi tworzącym się prądom w sztuce,

płyną Jezuici spokojnie w tymże prądzie, co i inni. Nie oni nadawali ton twórczości artystycznej, ale spokojnie ograniczyli się do tego, by w chórze, razem ze współczesnymi jednakowo śpiewać. Taka jest logika faktów!"

Oczywiście taki rezultat, choć wielkiej doniosłości, jest jednak sam w sobie negatywny, ale żeby do niego dojść, trzeba było dać pozytywny obraz linii rozwojowej budownictwa kościelnego Jezuitów, podkreślić znaczenie rozmaitych napotykanych zjawisk w tej lub owej prowincyi, pokazać czynniki składowe, wykazać zależność od środowiska, omówić rozwó i uwarunkowanie szczegółów architektonicznych oraz ornamentacyjnych. Dlatego to zwykle każdy tom kończy się zetawieniem i przeglądem rezultatów poszczególnych monografii, związaniem ich w pewne grupy i określeniem znaczenia i stanowiska, jakie dana grupa zajęła w ogólnym rozwoju współczesnej architektury kościelnej. Tak więc korzystać z pracy O. Brauna mogą i powinni zarówno historycy sztuki zawodowi, jak również i ci, którym chodzi o wyrobienie sobie szerszego poglądu i poprawnego zdania w kwestyi stylów porenesansowych. Zarówno obfitość wiadomości nowych, umiejętnie dobrane illustracye opisywanych kościołów, jak objektywne, trzeźwe poglądy, głęboko uzasadnione wszelkiego rodzaju dokumentami dotychczas nie wyzyskanemi, nadają pracy O. Brauna pierwszorzędną wartość.

X. *Ludwik Rudnicki.*

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Chopiniana. *Ferdynand Hoesick.* Tom I. Korespondencye Chopina. Warszawa. Nakładem księgarni Fr. Hoesicka, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1912, in 8°, str. XII+469.

Cenna publikacya p. F. Hoesicka, zasłużonego biografa naszych poetów romantycznych i wielkiego romantyka muzycznego, Fryderyka Chopina, stanowi bardzo bogate źródło dla chopinologii; zawiera bowiem mnóstwo nieznanych listów Chopina i jego najbliższego grona, oraz poprawne wydanie tych listów, które wprawdzie M. Karasowski w swej monografii zużytkował, jednakże uczynił to w sposób niedostateczny przez ciągłe przeinaczanie sensu i autentycznego toku słów. P. Hoesick podaje je w całkowicie poprawnem brzmieniu. Całość jego wydawnictwa jest bardzo cennem uzupełnieniem ogłoszonych przez śp. M. Karłowicza „Niewydanych dotąd pamiątek po Chopinie". Treść i styl tych listów czynią lekturę istotnie zajmującą i zasługującą na wielką poczytność.

Dr. A. Ch.

Pastoralmedicin. Die Naturwissenschaft auf dem Gebiete der katolischen Moral und Pastoral. Ein Handbuch für den katolischen Klerus. Von *Dr. Ernst W. M. von Olfers.* Dritte, vermehrte und verbesserte Auflage. gr. 8 vo, (XVI+238) Freiburg 1911 Herdersche Verlagshandlung.

Nie wielka książka, w nader staranem wydaniu, bogata w treść i pożyteczne dla duszpasterzy wskazówki medyczne. Podział materyi osobliwy i logiczny. Autor zaczyna od bardzo treściwego poglądu anatomiczno-fizyologicznego na budowę i rozwój ciała ludzkiego, podaje w jaki sposób zachowywać je należy przy życiu i zdrowiu, poucza o jego stopniowym rozwoju i jego okresach. Następnie bardziej szczegółowo przechodzi całe życie ludzkie w przeróżnych jego objawach i przypadłościach chorobliwych, począwszy od życia płodowego aż do zgrzybiałej starości i zgonu. Na końcu podaje, z punktu widzenia lekarskiego, praktyczne uwagi o pielęgnowaniu chorych, o stanie i obowiązkach kapłańskich, o materyi sakramentów i sakramentaliów.

Rzecz cała szczęśliwie uchwycona, bardzo starannie i sumiennie opracowana, a co najważniejsza: praktyczna i trafnie dostosowana do celu. Medycyna bowiem pasterska ma być dalszem rozwinięciem i uzupełnieniem praktycznem teologii moralnej w niektórych jej działach, w których konieczna zachodzi potrzeba zasięgnięcia rad i wskazówek z dziedziny medycznej, dlatego autor te tylko kwestye, które wprost odpowiadaja temu celowi poruszył i opracował treściwie w wspomnianem dziele.

Szczególniej nadto podnieść należy swobodę naukową autora w wypowiadaniu swych myśli i przekonań w omawianych przez siebie kwestyach, bez względu na twierdzenia i opinie moralistów. I słusznie. Podobnie bowiem jak w kwestyach czysto moralnych, tj. wprost dotyczących sumienia, najwykształceńszy nawet lekarz na powadze i zdaniu moralistów opierać się winien, podobnie każdy moralista, w kwestyach moralnych, stojących w ścisłym z medycyną związku, o zdanie do powag lekarskich uciekać się powinien i na nich też spokojnie polegać może, albowiem: *medicis in re medenda credendum est*, powiada przyjęte w prawie przysłowie.

Wydanie trzecie dzieła Dra Olfersa świadczy wymownie o zaletach i pożyteczności książki, i chociaż już kilka posiadamy medycyn pasterskich, nie jest przecież wcale zbyteczną, albowiem wiele różni się praca Dra Olfersa od innych autorów, nietylko że nowe niektóre podaje rzeczy, ale nadto, że omawiane już przez innych autorów kwestye w odmiennej przedstawia i formie i świetle.

Ks. Jan Dragosz.

1. **Ein österreichischer Reformator.** Lebensbild des hl. Klemens M. Hofbauer von *P. A Innerkofler C. Ss. R.* Regensburg 1910, bei Fr. Pustet, str. 914 in 8°.
2. **P. Paul Ginhac S. J.** von *A. Calvet S. J.* deutsche Bearbeitung von O. Werner S. J. u Herdera we Fryburgu 1910, str. 412 in 8°.
3. **Die selige Magdalena Sophie Barat und ihre Stiftung** mit einem Vorwort von *Bischof Keppler* u Herdera we Fryburgu 1911, str. 566.

„Słowa poruszają — przykłady pociągają", dlatego to tak ważnym czynnikiem, wpływającym na wyrobienie charakteru mogą być żywoty Świętych czy świątobliwych, jeżeli tylko są odpowiednio skreślone. Mamy właśnie trzy takie przed sobą:

1. Pierwszy to żywot św. Klemensa Hofbauera, Redemptorysty, Morawianina, zwanego słusznie apostołem Warszawy, w której niestrudzoną apostolską działalność rozwinął między

rokiem 1786 a 1808. Temu apostołowaniu wśród Polaków poświęca autor znaczną część niniejszego dzieła. Sposób przedstawienia barwny, nader interesujący. Poszczególne wypadki osobnymi tytułami naznaczone ułatwiają korzystanie z tej książki. Żywot tak napisany nietylko zajmuje, ale i kształci, podając do ręki wzór pracy apostolskiej wśród narodu naszego, najwszechstronniej pojętej. Mamy tu opisaną działalność św. Klemensa w stowarzyszeniach różnych, jego pracę nad młodzieżą rzemieślniczą, jego opiekę nad chorymi, a przedewszystkiem żywy obraz świętego kapłana-zakonnika, który dla wszystkich umiał być wszystkiem.

2. W cztery lata po śmierci św. Klemensa, t. j. w r. 1824 przyszedł na świat we Francyi Paweł Ginhac. W młodości marzy zrazu o tem, aby dostać się do Paryża i tam rzucić się w wir życia światowego. Wtem widok krzyża misyjnego, niesionego na procesyi, otwiera mu oczy. Wstępuje do Jezuitów i tam buduje wszystkich życiem świętem i umartwieniem, jużto jako wychowawca w konwikcie, jużto jako rektor w Tuluzie, już też wreszcie jako kierujący młodszymi zakonnikami na probacyi w Paray le Monial.

O. Ginhac umarł dopiero w r. 1895, żyje więc jeszcze dużo z tych, którzy go osobiście znali i pod nim się kształcili. Wszyscy jednogłośnie wyrażają się o nim, jak o świętym. Nie dziw więc, że niebawem po jego śmierci z polecenia generała Martina rozpoczęto prace przygotowawcze do beatifikacyi O. Ginhaca. Autor tej biografii występuje jako *postulator causae*. — Ten żywot skreślony przez O. Calvet'a jest nietylko studyum psychologicznem życia świętego kapłana, ale zarazem praktycznym podręcznikiem ascetyki kapłańskiej, przypominającym na każdej niemal karcie, że świętość życia nie jest wcale jakimś monopolem dusz wybranych, ale że przy łasce Bożej dojść do niej może każdy, któremu na dobrej woli nie zbywa.

3. Kiedy św. Klemens Hofbauer apostołował w Warszawie zawiązało się w Amiens we Francyi zgromadzenie, poświęcone katolickiemu wychowaniu dziewcząt, które wzięło sobie za główny cel serca swych wychowanek wykształcić podług wzoru Serca Jezusowego, stąd poszła nazwa S. S. Sercanek (Sacré Coeur). Pierwszą przełożoną, która przez 50 lat stała na czele tego zgromadzenia była S. Magdalena Zofia Barat, która w r. 1908, a więc już w 43 lat po swej śmierci została przez Piusa X. w poczet Błogosławionych zaliczona. Na tle jej żywotu, napisanego przez O. Baunard, osnuł autor historyę całego zgromadzenia, które rozszerzyło się tak bardzo, że obecnie liczy koło 140 domów i zakładów wychowawczych, znanych nietylko w Europie ale i w Ameryce, Australii i na wybrzeżach Afryki, którym biskup Keppler w przedmowie niniejszej książki nie szczędzi największych pochwał za wychowawczą pracę. Dzieło to w swem 2-giem wydaniu ozdobione pięknymi ilustracyami, przedstawiającemi najważniejsze zakłady S. S. Sacré Coeur, zapoznaje nas bliżej z wielkiemi ich zaletami.

Bar.

Studier i svensk folklore. *Tobias Norlind.* Lund s. a. (1911). C. W. K. Gleemp. Lunds Universitets Arsskrift. 8°, XXVI+432+16 str.

Znany szwedzki badacz dziejów muzyki, prof. dr. Tobiasz Norlind (Tomelilla) poświęca jeden z rozdziałów tej książki polskim melodyom tanecznym poza Polską będącym w użyciu od XVI do XIX wieku, w szczególności zaś w krajach skandynawskich. Jeśli XVI wiek nie może zadowolnić,

zresztą bez winy autora, nie mającego z tej epoki dość oryginalnych źródeł, to począwszy od XVII stulecia opracowuje swój temat źródłowo i wyczerpująco, popierając swe poglądy zabytkami drukowanymi i rękopiśmiennymi. Pokrewny charakter melodyi skandynawskich i polskich znajduje tu wyjaśnienie całkowite, tak że praca prof. Norlinda jest uzupełnieniem i przekształceniem książki Valentina o pochodzeniu skandynawskich melodyi. Praca ta zasługuje na przekład polski; jest bowiem pod każdym względem doskonała i co do treści i co do metody. *Dr. A. Ch.*

Handbuch der Paramentik mit 150 Abbildungen von *Joseph Braun S. J.* Freibug im Breisgau. Herder. 1912.

W niniejszej książce daje O. Braun zwięzły podręcznik o szatach liturgicznych. Proszono go o to. Z różnych stron domagano się, żeby szeroką swą wiedzę na polu paramentyki, o której świadczyły dawniejsze jego prace, zechciał ująć krótko i ograniczając się do rzeczy najważniejszych, jednak możliwie wszechstronny dał pogląd na tę ważną dziedzinę. Mianowicie dopominali się o to profesorzy seminaryów kapłańskich, którzy mieli obznajamiać alumnów z liturgią i chcieli także podać im konieczne wiadomości o szatach liturgicznych. O. Braun przyrzekł przyjść im z pomocą i dać im podręcznik do tego celu.

Jakoż ledwie książka się ukazała, odrazu znalazła uznanie, tak, że kardynał Fischer, arcybiskup z Kolonii, polecił ją w liście pasterskim swemu duchowieństwu jako książkę, z której duchowieństwo jego powinno czerpać wiadomości odnośne do szat liturgicznych.

I rzeczywiście książka zasługuje na zupełne uznanie. Opierając się na obecnym stanie użytku szat liturgicznych omawia autor wszystkie zagadnienia, dotyczące zarówno szat liturgicznych w ścisłem słowa znaczeniu, jak również i liturgicznych w znaczeniu szerszem, jak n. p. biretu, kapy, mozzetty itd.

Więc najpierw zaczynając od strony materyalnej daje zwięzły pogląd na materye używane do wyrobu szat liturgicznych, tkaniny jedwabne, wełniane i bawełniane — ich odmiany i zdobnictwo. Następnie obznajamia z materyałami, służącemi do ozdoby szat liturgicznych, jakiemi są hafty, koronki, galony, frędzle, kutasy i t. d., o których podaje zarówno wiadomości historyczne jak techniczne. Oparty na przepisach kościelnych, wskazuje na znaczenie barw liturgicznych, symbolikę szat, podaje krótko sposoby przechowywania i obchodzenia się z niemi.

W dalszych rozdziałach przesuwa przed oczyma czytelnika cały długi szereg szat liturgicznych i bielizny kościelnej, począwszy od odzieży kapłańskiej do mszy aż do nakryć ołtarza kielicha, cyboryum, do poduszek, ręczników, dywanów, a nawet całunu pogrzebowego Każda część, każdy szczegół z paramentyki kościelnej występuje przed nami w świetle swej historyi, symboliki oraz ze znaczeniem, jakie posiada w dzisiejszym użytku kościelnem. Autor podaje najpewniejsze rezultaty dzisiejszej wiedzy, opuszcza tylko zbędny balast naukowy, odsyłając czytelnika chcącego pogłębić swe wiadomości do dzieł obszerniejszych. Rozumienie tekstu ułatwia mnóstwo doskonale wykonanych ilustracyi.

Książka ta w pierwszym rzędzie dla użytku alumnów i kapłanów, którym służyć będzie jako przewodnik w głębszem poznaniu i rozumieniu odzieży odświętnej kościelnej — oraz jako doradca w sporządzeniu i przechowywaniu jej racyonalnem. Dla liturgistów, archeologów i historyków

sztuki jest cennem źródłem szybkiej oryentacyi w tej dziedzinie stosowanej sztuki kościelnej.

Protestantismus und Toleranz im XVI. Jahrhundert, von *Nikolaus Paulus*, 8° (VIII+374) Freiburg 1911, Herder'sche Verlagshandlung.

Często się jeszcze spotkać można ze zapatrywaniem i to nietylko w pismach i broszurach ludowych, ale i niestety w rozprawach naukowych, jak się pokazuje z przytoczonych przez Paulusa faktów z *Frankfurter Zeitung* 1910 i *Protestantenblatt* 1911, że dopiero nowatorzy 16. w. poczęli torować drogę wolności myśli, przekonania i sumienia, a w szczególności, że Luter był gorącym zwolennikiem tego kierunku. Jak mylnemi i błędnemi są tego rodzaju twierdzenia, wykazuje praca Paulusa, który umiejętnie zestawił pogląd na tolerancyę najwybitniejszych przedstawicieli nowinek religijnych 16. w. jak Lutra, Melanchtona, Kalwina i t. d. Pokazuje się, że wszyscy oni byli zasadniczo wrogami wszelkiej tolerancyi, nie tylko dla kościoła katolickiego, coby zresztą było zrozumiałem, ale nawet i dla własnych swych wyznawców i innych sekt. Gdzież więc tkwi właściwe źródło tolerancyi 16 w., skoro ona nie jest i być nie może owocem reformacyi? To pytanie stawia sobie autor w ostatnim rozdziele swej pracy i dochodzi do następującego wniosku: tolerancya torowała sobie drogę samorzutnie siłą okoliczności, siłą stosunków społecznych, gospodarskich i kupieckich, które zmuszały do wspólnego, spokojnego pożycia ludzi odmiennych przekonań religijnych. Teoretycznego zaś uzasadnienia tej praktycznej tolerancyi dostarczyła nauka o przyrodzonych prawach człowieka, płynąca z humanizmu, który z powodu reformacyi, jak słusznie zauważa Paulus, został w swym biegu zatrzymany i dopiero w 17 w. z nową siłą ogarnął świat cały. *B. L.*

P. Antonio de Escobar y Mendoza als Moraltheologe in Pascals Beleuchtung und im Lichte der Wahrheit. Auf Grund der Quellen von *Dr Karl Weis* k. u. k. o. ö. Universitätsprofessor in Graz. gr 8° (336) Freiburg 1911, Herder'sche Verlagshandlung.

Celem niniejszej monografii jest rehabilitacya O Antoniego de Escobar, który wskutek oszczerstw Pascala i niesumiennej krytyki pozyskał sławę lekkomyślnego moralisty. Na podstawie źródłowej analizy jego zasad moralnych ogólnych i szczegółowych, wykazuje autor, że czas wreszcie zerwać z tym krzywdzącym sądem o człowieku, który dla swej gruntownej nauki i niepospolitej cnoty zasługuje raczej na naszą cześć i wdzięczność. Krytyka w imię prawdy dziejowej nie powinna spocząć, dopokąd nie wymaże z dzieł historycznych, popularnych i fachowych tego niepochlebnego sądu. Praca prof. Weisa zyskuje na znaczeniu jeszcze i przez to, że potrącając o Pascala, jego taktykę walki, wytrąca zarazem broń z ręki wszystkim tym, co się na nim jako na swym ojcu duchowym opierają w swoich niby to nowoczesnych zarzutach przeciw katolickiej teologii moralnej. *B. L.*

Wo ist das Glück? Aphorismen von *Arthur Maria Baron Lüttwitz* 8° (VIII+224) Freiburg 1910, Herder'sche Verlagshandlung.

Książkę tę warto przeczytać. Znajdzie w niej czytelnik szereg myśli, rodzaj aforyzmów, przeplatanych różnemi powiastkami i obejmujących całe życie ludzkie od kolebki aż do grobowej deski ze wszystkiemi jego bólami i radościami. Może ona niejednemu służyć za drogowskaz, jak nawet wśród ciężkich chwil i bolesnych przejść znaleść szczęście, ukojenie i pożądany spokój wewnętrzny serca. *B. L.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Szkolnictwo katolickie we Francyi.

Niemieckie czasopismo katolickie der Aar przynosi w numerach 6 i 7 bieżącego rocznika bardzo pouczający rzut oka na historyę i stan obecny wolnego szkolnictwa katolickiego we Francyi, napisany przez profesora uniwersytetu w Lille Jerzego A. Tournoux'a, który warto w streszczeniu na tem miejscu podać.

Do czasów rewolucyi znajdowało się francuskie szkolnictwo prawie wyłącznie w rękach kleru, dopiero konwent prawem z 25 paźdz. 1795 zakłada szkołę państwową, ale w artykule 300 konstytucyi z 22 sierp. 1795 pozwala przytem obywatelom na szkoły i zakłady prywatne, jakoteż na założenie wolnych stowarzyszeń w celu popierania nauki, literatury i sztuki. Napoleon, któremu bardzo zależało, aby nowe generacye wychować w duchu imperialistycznym, wnet przystąpił do zaprowadzenia monopolu szkolnego. 10 maja 1806 roku wyszło prawo, które pod nazwą Universite imperiale stwarza instytucyę rządową, i oddaje jej publiczne szkolnictwo i wychowanie w państwie. Odtąd było zabronione bez zezwolenia rządu zakładać szkoły lub instytuty; istniejące wolne zakłady zostały wcielone do akademii państwowych, bracia szkolni uczyli dalej po szkołach ale w charakterze urzędników państwowych, zakłady zaś prywatne, którym prowizorycznie dozwolono dalej istnieć, dostały się pod ścisły nadzór państwowy; ażeby zparaliżować konkurencyę istniejących jeszcze szkół wolnych, nałożono na ich uczniów dość znaczny podatek państwowy.

Z upadkiem pierwszego cesarstwa nie upadła Universite imperiale, ale wnet rozpoczęła się ze strony tak katolików,

jakoteż liberałów walka przeciw monopolowi państwowemu w szkolnictwie. Ze strony katolickiej znakomite zasługi położyli około tej ważnej sprawy Lamenais i Montalembert. Agitacya coraz szersze obejmowała koła, mnożyły się protesty. To złamało nareszcie opór rządu. W styczniu 1833 przedłożył Guizot sławne swoje prawo, które też przyjęto i w niem została proklamowana wolność szkół elementarnych (enseignement primaire). Było to p erwsze zwycięstwo we walce o wolną szkołę.

Z niesłychaną szybkością mnożyła się liczba elementarnych szkół katolickich i katolickich nauczycieli. Tak n. p. liczył instytut chrześcijańskich Braci szkolnych w roku 1789 tylko 800 członków, w 1845 roku 4000, a w 1899 roku 20000 członków; zakładów ich było w roku 1789 tylko 126, w roku zaś 1899 około 1500 z 5271 klasami i 214721 uczniami. To samo można stwierdzić o innych podobnych stowarzyszeniach szkolnych katolickich. Okoliczność, że szkoły katolickie starały się o najlepsze metody nauczania i jak najlepsze wychowanie, a szkoły państwowe mało się o nie troszczyły, budziła coraz więcej zaufania rodziców do szkół katolickich i tworzyła silną konkurencyę szkołom państwowym. Jeszcze niedawno mógł poseł Brard w Izbie deputowanych stwierdzić, że w pięciu departamentach jego prowincyi wyborczej szkoły państwowe straciły w latach 1907 do 1911 około 11300 uczniów, podczas gdy liczba dzieci w szkołach katolickich w tym samym czasie urosła o 25.326.

Uzyskawszy wolne ręce na polu szkół elementarnych w roku 1833, poczęli katolicy dopominać się o wolność szkół średnich i uniwersytetów.

Walka rozpoczęła się naprzód o gimnazya, ale do roku 1848, w którym upada lipcowa monarchia, nie doszła do żadnego skutku. Dopiero nowa Rzeczpospolita przyjęła znowu do swego programu wolność szkolnictwa. Pomimo przychylności rządu rozterka w samym obozie katolickim byłaby prawie udaremniła ich zabiegi. Partya, na której czele stał znany Ludwik Venillot, domagała się wolności dla planu nauki, egzaminów, ciała nauczycielskiego, dla metod i ducha szkoły czyli zupełnej niezależności od państwa i jego Universite. Tak daleko idące

żądania wydały się innym niezniszczalne, więc wytworzyła się partya umiarkowanych, która dla ratowania istoty sprawy spuściła trochę ze swoich postulatów. Komisya parlamentarna, którą ustanowił Falloux w roku 1849 i do której należeli Thiers i Dupauloup ułożyła prawo w roku 1850 przyjęte, na mocy którego wolno każdemu Francuzowi, nie wyjmując Jezuitów, założyć gimnazyum. Rozpoczęła się teraz konkurencya na polu szkół średnich, jak od roku 1833 na polu szkoły elementarnej. W latach 1850—1852 powstało 257 katolickich gimnazyów a dwa lata później już było 379 gimnazyów katolickich z 21195 studentami, podczas gdy w tym samym czasie dla braku uczniów zamknięto 52 gimnazyów rządowych. W roku 1866 zakłada Jan Mace wolnomularską Ligue de l'Enseignement, ale pomimo jej silnej agitacyi rosła wciąż liczba wolnych zakładów katolickich. W roku 1876 liczą rządowe gimnazya 72259 uczniów, podczas gdy katolickie liczyły ich 78650. W latach 1896—97 ubyło w rządowych gimnazyach 863 uczniów; w tym samym czasie pomnożyła się liczba w katolickich gimnazyach o 3682 uczniów. W roku 1900 podaje oficyalna statystyka dla rządowych gimnazyów 81.321, dla katolickich 91.140 uczniów.

Tajemnica świetnych rezultatów była i tu ta sama, co w szkołach elementarnych; nauczyciele byli zarazem wychowawcami. W szkołach rządowych bez ustalonej etyki wychowanie moralne było rzeczą niemożliwą, nie było zaś ustalonej etyki, bo nie było przekonania religijnego. Kwestya szkolna zawsze była i zostanie kwestyą etyki i religii, stąd rezultaty szkoły w rękach kościoła zawsze będą bez porównania większe i cenniejsze. Przyznali to najświetniejsi reprezentanci szkoły rządowej jak Ernest Lavisse: „Układamy mnóstwo nowych programów naukowych, uczymy, egzaminujemy, ale zapomnieliśmy o wychowaniu".

Wobec tych świetnych rezultatów w szkołach elementarnych i średnich, katolicy rozpoczęli akcyę także przeciw rządowemu monopolowi dla szkół wyższych. Pierwszą prośbę w tej materyi podano do senatu w roku 1867, ale odpowiedź była odmowna. Wtedy sławny biskup orleański Dupauloup poddał

sprawę publicznej dyskussyi wydając broszurę: Les Alarmes de l'Episcopat". W ponownej debacie przed senatem brali udział najsłynniejsi mowcy ówcześni, których przemówienia wyszły w osobnym tomie pod tytułem: l'Enseignement superieur devant le Senat 1868. Ale dopiero po siedmioletniej walce wyszło 13 lipca 1879 prawo orzekające także wolność szkół wyższych.

Pomimo olbrzymich ofiar, jakich domaga się utworzenie uniwersytetów, katolicy wzięli się rączo do dzieła. W krótkim czasie założono pięć uniwersytetów katolickich, które Pius IX kanonicznie instytuował. Rząd przerażony tem, już 1876 ograniczył im prawo wystawiania oficyalnych dyplomów, 1880 odebrał im je zupełnie. Pomimo tego rozwinęły się one bardzo szybko i dziś są wielkimi środowiskami religii i nauki.

Katolickie uniwersytety istnieją w miastach: Lille, Paryż, Angers, Lyon i Toulouse. Największy i najbogatszy z nich jest uniwersytet w Lille, posiadający wszystkie fakultety i nad 100 profesorów, między którymi znaczna liczba wybitnych uczonych. Wychodzą tu liczne czasopisma fachowe, jak *Revue des Sciences ecclesiastiques*, *Revue des Sciences medicales*, *Bulletin de la Societe anatomique*, *Revue de Lille*, *Revue du culte catholique*. Uniwersytet w Lille pierwszy założył szkołę dla nauk społecznych i politycznych, gdzie nie tylko profesorowie ale także politycy, posłowie, żurnaliści miewali wykłady i gdzie szerszym kołom przystęp stoi otwarty. Tu powstały także osobne działy dla studyów notaryalnych, przemysłowych, handlowych i innych. Przytem charakter uniwersytetu ściśle jest katolicki, tak, że ze względu na jego działalność, znaczenie, bogactwo i położenie Pius X słusznie nazwał go niedawno najpiękniejszym uniwersytetem katolickim w świecie.

Także uniwersytet paryski bardzo korzystnie się przedstawia. Liczy on 60 profesorów i sławnych uczonych jak D'Hulst, de Broglie, Duchesne, Jannet, de Lapparent, Baudrillart i innych. Znane są jego naukowe publikacye, zwłaszcza sławna encyklopedya nauk teologicznych *Dictionnaire de la Bible, de theologie catholique, apologetique, d'histoire et de geographic ecclesiastique*. Brak mu atoli fakultetu medycznego, skąd dają się

odczuwać niemałe niedogodności w planie nauk, a nadto wielką konkurencyą dla niego jest największy wszechświatowy uniwersytet Sorbonna.

Także inne uniwersytety w Angers, Toulouse i Lyon doskonale funkcyonują, choć tego znaczenia, co pierwsze dwa, nie mają.

Słusznie Francya może się szczycić z takiego mnóstwa szkół katolickich i z tej ofiarności, która zdołała dokonać tak olbrzymiego dzieła.

Umieściliśmy na tem miejscu nieco dłuższe sprawozdanie z pracy profesora Tournoux'a o wolnych szkołach katolickich we Francyi, bo o nich mało się wie, a rzucają one z pewnością na katolicyzm francuski inne światło, aniżeli wiadomości, które o nim do nas zwyczajnie dochodzą. Tournoux nie wspomina w swoich artykułach o klęskach dla szkoły katolickiej z powodu wypędzenia zakonów w latach ostatnich, widocznie więc spryt i ofiarność Francuzów umiały sobie także w tym wypadku poradzić.

Wobec tak olbrzymiej liczby szkół katolickich, wychowujących przez tyle lat całe generacye młodzieży francuskiej pozostaje nam tajemnicą, jak ten katolicyzm we Francyi w życiu publicznem tak małą odgrywa rolę i skąd się to bierze, że samo życie religijne katolików francuskich dużo pozostawia do życzenia. W każdym razie można i należy liczne szkoły katolickie Francyi uważać za dowód żywotności katolicyzmu francuskiego i za rękojmię, że naród takiej ofiarności i sprężystości także religijnie się znowu odnowi i stanie kiedyś z dawną sławą na czele katolickich narodów.

Po wyborach do rady miejskiej Wiednia.

Po dotkliwej klęsce partyi chrześcijańsko-społecznej przy wyborach do parlamentu w roku 1911 i przy nadzwyczajnej agitacyi bloku socyalistyczno-liberalnego, zachodziła uzasadniona obawa, że i przy tegorocznych wyborach uzupełniających do rady miejskiej Wiednia wynik dla partyi Luegera nie wypadnie pomyślnie. Dla partyi samej były wybory do rady miejskiej poniekąd ważniejsze, aniżeli wybory do parlamentu. Pomijając bowiem demoralizujący wpływ

ponownej klęski, hegemonia społeczno-chrześcijańskich w Wiedniu jest według całego historycznego rozwoju partyi warunkiem jej życia. Pomyślny więc wynik wyborów do Rady miejskiej ma dla niej o wiele większe znaczenie, aniżeli zwycięstwa przy wyborach do parlamentu. Pod tym względem nie było iluzyi ani w łonie partyi, ani w opozycyi. Stąd ta zacięta walka, przy której rozchodziło się już o upadek partyi Luegerowskiej, do której po przejściach ostatnich z pewnością byłoby przyszło. Partya z wyniku wyborów uzupełniających może być zadowolona, choć straciła kilka mandatów. Za to rozporządza doskonałą organizacyą, którą po klęsce w roku 1911 przeprowadzono i która przeszła dobrze przy tegorocznych wyborach próbę ognia, rozporządza także znakomitą prasą, której po większej części chyba zawdzięcza zwycięstwo swoje.

Nie wolno zaś przeoczyć, że wielką część mandatów zdobyli chrześciańsko-społeczni dopiero przy wyborach ściślejszych, przy których przyszła im tym razem w pomoc partya niemiecko-narodowa. Znaną jest rzeczą, że jest to przyjaźń tylko chwilowa, wywołana naprężonymi stosunkami między socyalistami i nacyonalistami, przyjaźń poniekąd niebezpieczna, bo mogła spowodować jeszcze silniejszą grawitacyę partyi chrześcijańsko-społecznej ku stronie nacyonalnej, aniżeli to do tego czasu miało miejsce. Tkwi w tem niebezpieczeństwo dla zasad chrześcijańskich i pewne zobowiązanie dla rady miasta Wiednia do ustępstw bardzo niekorzystnych. Wobec zażartej walki o wolną szkołę i wolne małżeństwo, trwała przyjaźń polityczna partyi chrześcijańskiej z nacyonalistyczną jest wykluczona. Wypływa stąd dla chrześcijańsko-społecznych poważna nauka, aby energiczną agitacyą urośli znowu w siłę tak, aby stanąć mogli na własnych nogach. *Ks. A. Starker.*

Ze świata nauk i wynalazków.

Najnowsza elektrownia.

Sto lat temu z górą, bo w r. 1808, cały Londyn biegł oglądać w sławnej Royal Institution niebywałą senzacyę, światło, które pię-

knością i blaskiem współzawodniczyć mogło ze słońcem. Było to światło łukowe elektryczne, które produkował sławny chemik Sir Humphry Davy. Kiedy pierwszy raz odkryto to zjawisko, nie jest rzeczą zupełnie pewną, najprawdopodobniej wynalazcą był sam Davy jeszcze w r. 1801. Zetknąwszy oba końce bateryi elektrycznej, złożonej z wielu ogniw pierwszorzędnych, czyli tak zwanych stosów elektrycznych, ujrzał on, że przy wyładowaniu między dwiema kończynami powstaje łuk świetlny nadzwyczaj jaskrawy. Po dłuższych doświadczeniach odkrycie to udoskonalił o tyle że mógł, w siedm lat później, zastosować je praktycznie w Royal Institution. Ustawił on tam bateryę elektryczną, złożoną z dwu tysięcy ogniw, od której druty poprowadził do dwóch prętów, czyli elektrod z drewnianego węgla, przyrządzonego poprzednio w ten sposób, że je ogrzano i następnie zanurzono do rtęci, by napoiwszy je tym metalem, uczynić je dobrymi przewodnikami elektryczności.

Pomimo zalet nowego światła, nie rozpowszechniało się ono na szerszą skalę, gdyż do jego wytwarzania potrzeba było kosztownych i bardzo kłopotliwych urządzeń, mianowicie wielkiej ilości ogniw, które wymagały ustawicznej obsługi i których wytwarzano prąd elektryczny na koszt drogiego materyału, bo cynku. Światłem tym zajmowano się jednak w pracowniach naukowych ustawicznie, i w r. 1843 Foucault ulepszył je znacznie, podając sposób robienia elektrod węglowych, owych kończyn, pomiędzy któremi powstaje łuk elektryczny, z węgla retortowego — lecz główna przeszkoda w rozpowszechnieniu, kwestya źródła prądu, ciągle jeszcze była nierozwiązana. Przełom stanowi też dopiero sławny wynalazek Gramma, który zbudował znakomite dynamoelektryczne maszyny, dające możność łatwego i taniego wytwarzania prądu elektrycznego na wielką skalę. Dynamomaszyny, jak je krótko i popularnie nazywają, wytwarzają prąd elektryczny nie kosztem energii chemicznej, jak ogniwa i baterye, lecz przekształcają one energię mechaniczną na energię elektryczną. Gdy nadto w kilka lat później Edison udoskonalił znaną już dawniej lampę elektryczną żarową, gdzie źródło światła stanowi rozżarzona pod wpływem prądu nitka węglowa, zamknięta w kuli szklannej, z której wyczerpano powietrze, i w ten sposób nastręczył możność oświetlania nietylko wielkich lokali i otwartych przestrzeni, lecz także postawienia lamp elektrycznych kilkunastoświecowych na stolikach pokojów, przemysł elektryczny rozwinął się jednym zamachem niesłychanie. Zakłady centralne elektryczne, w których wy-

twarza się prąd na wielką skalę, by go zapomocą drutów dostarczyć do dalekich mieszkań i warsztatów, czyli tak zwane elektrownie, rozszerzają się niezmiernie, a dziś w Niemczech, Anglii, Francyi trudno naprawdę znaleść średnie miasto, któreby nie miało swej elektrowni. I u nas w Galicyi ruch na tem polu jest coraz żywszy, miasta większe prowadzą elektrownie z wielkim własnym zyskiem a za ich przykładem idą miasta prowincyonalne.

Dotychczasowe elektrownie wytwarzały prąd tak zwany stały, to jest płynący stale w jednym kierunku, gdzie jeden i ten sam biegun dynamomaszyny jest stale dodatnim a drugi ujemnym. Dynamo te wprawiane są zwyczajnie w ruch zapomocą maszyn parowych, ogrzewanych prawie zawsze węglem, i ruch cały odbywa się w ten sposób, że maszyny dynamoelektryczne ładują w dzień tak zwane akumulatory, to jest ogniwa drugorzędne, gdzie zapomocą pewnych przemian chemicznych, dokonywanych przez prąd, gromadzi się, akumuluje energię, którą każdej chwili otrzymać znowu możemy w postaci prądu elektrycznego. Wieczór, gdy zapotrzebowanie największe, prąd zarówno z akumulatorów jak i wytwarzany przez dynamo, kieruje się wprost do kabli elektrycznych, zasilających miasto; w nocy maszyny stają, lecz mimo to konsumenci mogą otrzymać każdej chwili prąd elektryczny, mianowicie z naładowanych poprzednio akumulatorów.

Aż do ostatnich lat kilku typ taki elektrowni był, można powiedzieć, stały i powszechny. W ostatnich jednak czasach jesteśmy świadkami gwałtownego przewrotu w elektrotechnice, a jego owocem są elektrownie nowego typu, które nie wytwarzają prądu stałego, lecz tak zwany prąd przemienny. Po drutach nie płynie tu prąd stale w jednym kierunku lecz na przemian, to w jednym, to w drugim, bo raz jeden, a raz drugi biegun maszyny elektrycznej jest dodatni. A i w tem jeszcze często zachodzi komplikacya, bo na drutach tych samych snują się prądy różnorodne o różnych fazach, tworząc tak zwane prądy wielofazowe, których tutaj szczegółowo jednak tłómaczyć niepodobna. Wobec tego, że dynamo nie wytwarzają prądów stałych, w tym samym kierunku płynących, nie mogą ładować akumulatorów, których też elektrownie tego typu nie posiadają.

Przykład takiej elektrowni najnowszego typu przedstawia nam dopieroco otwarta elektrownia miejska w Nowym Sączu, projektowana przez dyrektora elektrowni miejskiej we Lwowie p. Tomnickiego, a wykonana z pewnemi zmianami pod kierunkiem jej obec-

nego dyrektora inżyniera Raucha przez dwie najwybitniejsze firmy elektrotechniczne, Siemensa i Schuckerta w Wiedniu i Sokolnickiego i Ski we Lwowie. Elektrownia ta nie należy rozmiarami swemi do największych, ale tem się odznacza, że od początku do końca, od motoru aż do lampy, stosuje wszędzie najnowsze wynalazki i udoskonalenia, podaje ona jednem słowem przegląd i demonstracyę praktyczną najświeższych metod elektrotechnicznych. Dlategoteż po dokładnem jej zwiedzeniu nabrałem przekonania, że opis jej, w głównych podany zarysach, zainteresować musi każdego, kto wogóle zwraca uwagę na techniczną stronę dzisiejszego życia cywilizacyjnego.

Pierwszorzędną kwestyą każdej elektrowni, od której rozwiązania szczęśliwego zależy nietylko cena, ale i stałość dostarczanego prądu, to kwestya popędu, motorów, które mają w ruch wprawiać wytwarzające prąd maszyny dynamoelektryczne. Najtańszem źródłem energii mechanicznej jest zwyczajnie woda, ale źródło to, o ile nie jest założone na bardzo wielką skalę, dosyć często zawodzi. Ten też wzgląd przemówił przeciw używaniu projektowanych turbin wodnych do poruszania maszyn elektrycznych w Sączu, a natomiast zwrócono się do maszyny, która wywołuje obecnie przewrót w całej technice motorowej, do motoru ropnego Diesela. Jako siły popędowej w nowej elektrowni użyto dwu takich motorów czterokolbowych, każdy o sile trzystu koni.

Motor Diesela, ta maszyna przyszłości, należy do grupy motorów cieplnych, gdzie na tłok, wykonujący pracę, nie działa prężność wytworzonej w kotle pary wodnej, lecz siła wybuchowa mięszaniny powietrza i gazu lub rozpylonego płynnego materyału palnego jak spirytus, benzyna, ropa. Motor Diesela jednak stanowi wśród tej grupy dział odrębny, istotnie od innych różny. Gdy bowiem w motorach zwykłych, n. p. poruszanych gazem świetlnym lub benzyną, mięszanina wybuchowa pod tłokiem musi być za każdym razem podpalana, czego dziś zwykle dokonuje się zapomocą iskry elektrycznej z małego motorku, znajdującego się tuż przy kolbie, to w motorze Diesela tego zupełnie nie potrzeba. Tu działanie jest następujące: tłok idąc ku górze, to znaczy oddalając się od dna kolby, w której się porusza, naciąga do kolby z zewnątrz powietrza, gdy zaś następnie pod wpływem koła rozpędowego się wraca, zgęszcza gwałtownie to powietrze aż do ciśnienia 36 atmosfer, ogrzewając je przezto do temperatury kilkuset stopni. W tej właśnie chwili największego rozgrzania otwiera się wentyl a pod tłok wpada do owego zgęszczonego

rozgrzanego powietrza prąd ropy, porwany i wtłaczany przez powietrze, zgęszczone w tym celu w osobnym zbiorniku aż do 40 atmosfer. Ropa ta, dostawszy się w tak wysoką temperaturę, zapala się natychmiast i gwałtownie wybucha, wyrzucając w górę tłok, który właśnie tej siły wybuchu używa do wykonania naznaczonej mu pracy, a więc w naszym przypadku do poruszania maszyny elektrycznej.

Z jaką precyzyą i stałością te motory pracują, dowodem tego najlepszym chociażby to, że światło lamp elektrycznych w Sączu wygląda jak malowane, to znaczy nie widać w nich żadnego drgania, jak to tak nieprzyjemnie narzuca się w elektrowniach dawnego typu. O znakomitości motorów Diesela wogóle świadczy ich coraz rosnące rozpowszechnianie, i dzisiaj budują już nawet na wielką skalę okręty, w których niema już miejsca dla maszyn parowych, a śrubę wprawiają w ruch wyłącznie motory Diesela. Tak n. p. w Anglii udał się z początkiem marca b. r. na swą pierwszą podróż okręt pasażersko-towarowy Selandia, należący do Towarzystwa wschodnio-azyatyckiego, wyposażony wyłącznie w motory Diesela. Okręt ten 370 stóp długi a 53 stopy szeroki, ma pojemności prawie 5 tysięcy ton, a oba motory Diesela, wprawiające w ruch śrubę okrętową, mają siłę 2500 koni.

Z pomiędzy wielu zalet motoru Diesela, wymienić przedewszystkiem należy jego prawdziwie nowoczesną, demokratyczną niezależność od obsługi. Puszczenie w ruch trwa kilkadziesiąt sekund, a motory tak olbrzymie, jak opisane wyżej Selandyi, potrzebują na zmianę kierunku obrotu, to znaczy, gdy będąc w pełnym obrocie w jednym kierunku, mają następnie poruszać śrubę w kierunku przeciwnym, 20 sekund! Gdy już zaś raz motor się w ruch puści, to on sam sobie czerpie ze zbiornika ropę, a wodę do chłodnicy, okalającej płaszcz walca, sam nietylko się smaruje, ale przepędza zaraz oliwę przez destylarkę, sam wreszcie zgęszcza do jakich 50 atmosfer powietrze, potrzebne do wpychania ropy pod tłok. Byle tylko przedtem należycie go opatrzyć, to już raz rozruszany motor Diesela pracuje jak zegarek, niewymagając żadnej zupełnie obsługi.

Ale zaletą jego największą i tą właśnie, która zjednała mu już teraz, po kilkunastu zaledwie latach istnienia (pierwszy motor Diesela puszczono w ruch w Augsburgu w r. 1897) powszechne uznanie, jest niezmierna taniość jego popędu. Na godzinę i konia zużywa on bowiem tylko 200 gramów ropy, co przy dzisiejszych niskich cenach tego materyału wynosi około półtora halerza! Nic też dziwnego,

że zainteresowanie się tym motorem w dzisiejszym świecie technicznym jest niesłychane, a ilustracyą jego najlepszą stanowi odczyt, jaki na zaproszenie londyńskiego Instytutu inżynierów-mechaników (*Institution of Mechanical Engineers*) wygłosił świeżo w marcu b. r. wobec olbrzymiego audytoryum, z najwybitniejszych złożonego fachowców, sam wynalazca dr. Diesel. Streszczając zalety tej maszyny, o jakich technika mogła się przekonać w ciągu lat czternastu i na wielu wielu tysiącach egzemplarzy, będących już w ruchu do najrozmaitszych celów wskazał na okoliczność dla węglodajnej i kolonialnej Anglii zwłaszcza niezmiernie doniosłą. Oto materyałem popędnym tego motoru może być nietylko ropa, ale jakikolwiek olej, czyto ziemny, czy pochodzenia zwierzęcego lub roślinnego, a może być nim także, co najważniejsza, ter, uzyskiwany przy abrykacyi gazu świetlnego. Diesel proponuje kopalniom węgla angielskim następującą kombinacyę, finansowo i technicznie, albo raczej energetycznie, niezmiernie korzystną: nie oddawać węgla kamiennego wprost w postaci naturalnej na targi, lecz przerabiać na koks, gaz i ter. Gazu można używać w miejscach bliższych kopalni, jako siły popędowej i do oświetlania, a na eksport przeznaczać koks do ogrzewania i ter, jako materyału do pędzenia motorów Diesela. W ten sposób użyje się owych nieocenionych skarbów energetycznych, jakie przyroda nagromadziła dla nas w formie węgla, w sposób najbardziej ekonomiczny. Gdy bowiem w maszynach parowych zaledwie cztery procent energii cieplnej ulega przemianie na energią mechaniczną, a reszta ulega rozprószeniu, to wydatność motoru Diesela jest dziesięć razy większą, bo dochodzi ponad czterdzieści procent.

Oczywiście dla Galicyi, gdzie ropa tak tania i prawie wszędzie jakby na miejscu, motory Diesela posiadają wprost pierwszorzędne znaczenie i gdybyśmy chcieli, to obecnie pod względem taniego źródła energii przewyższylibyśmy Anglię, której bogactwo właśnie stąd pochodzi. Toteż pomysł użyc a tych właśnie motorów do popędu maszyn dynamoelektrycznych w Sączu, gdzie ropa bardzo blisko i tania, na'eży uważać pod każdym względem za bardzo szczęśliwy i prawdziwie postępowy.

Przypatrzywszy się motorom Diesela, zwróćmy się teraz do maszyn dynamoelektrycznych, produkujących prąd elektryczny. Gość niefachowy rozglądać się zapewne będzie naokoło, szukając owych olbrzymich przyrządów, potrzebnych do wytworzenia tak wielkiej siły prądu, ale nic takiego nie ujrzy. Tylko przy kole rozpędowem

motoru Diesela, po dokładniejszym przyglądnięciu się, dostrzedz można drugie koło, na wspólnej z tamtym osadzone osi. Gdy przystąpimy bliżej, zauważymy, że to koło dosyć ciekawe, bo obraca się tylko jego oś i sprychy, robiąc, podobnie jak koło rozpędowe motoru Diesela, 186 obrotów na minutę, a obręcz zewnętrzna stoi zupełnie w spoczynku. Oto i cała dynamo-maszyna — objaśniają nas. Jest to dynamo najnowszej konstrukcyi, zbudowane przez firmę Brown-Boweri w Wiedniu, a wytwarzająca właśnie ów prąd przemienny, trójfazowy, którego napięcie wynosi trzy tysiące sto woltów, a energia 240 kilowaty (jak wiadomo, jeden kilowat wynosi niespełna półtora konia parowego). Takich dynamo jest dwie w elektrowni sandeckiej. Jak u wszystkich dzisiejszych maszyn elektrycznych, pole magnetyczne, w którem znajdują się cewki owinięte drutem, dostarczające prądu elektrycznego, wytworzone jest przez elektromagnesy, a nie przez magnesy stałe. Tu jednak jeszcze jedna jest cecha charakterystyczna tych dynamo, dostarczających prądu przemiennego: podczas gdy w dynamo o prądzie stałym wirują cewki w polu magnetycznym a magnesy stoją w spoczynku, tu przeciwnie, wirują elektromagnesy, poumieszczane na końcach sprych koła, a cewki stoją w spoczynku. Ma ten układ niezmierną jedną dogodność, mianowicie odpada potrzeba zbierania prądu zapomocą szczotek metalowych, jakie przy każdej dawnej dynamo widzieliśmy, a prąd bierze się z trzech końców zupełnie stałych.

Ale zachodzi jeszcze jedna trudność: w maszynie tej są elektromagnesy, a te trzeba ustawicznie podsycać prądem, bo inaczej zniknie pole magnetyczne i mimo obrotów, nie dostaniemy żadnego prądu. Otóż celem wytwarzania tego prądu dla elektromagnesów, który musi być stałym, nie przemiennym, umieszcza się w najnowszych dynamo, jak to widzimy i w Sączu, na tej samej osi, na której znajduje się główna dynamo, drugą, małą stosunkowo maszynę elektryczną, o prądzie stałym, której zadanie polega wyłącznie na dostarczaniu prądu stałego elektromagnesom głównej dynamomaszynie.

Jest to ciekawa cecha maszyn o prądzie trójfazowym, że z dynamo do sieci prowadzą nie dwa druty, lecz trzy, przyczem napięcie na nich ustawicznej ulega zmianie. Lecz tu nasuwa się uwaga, że wobec tego sieć taka musi być znacznie droższa od sieci prądu stałego, gdzie idą zawsze pod ziemią po dwa tylko druty czyli kable dwu rdzeniowe, podczas gdy tu musi być tych drutów aż trzy. Rzecz jednak ma się przeciwnie i ta taniość większa

sieci stanowi jedną z przewag prądu przemiennego nad prądem stałym. Chociaż bowiem liczba drutów o jeden większa, lecz zato grubość ich bez porównania mniejsza. Obciążenie bowiem drutu, a więc i konieczna jego grubość, nie zależy od napięcia prądu, lecz od jego natężenia, czyli nie od ilości woltów lecz amperów. Dynamo-elektryczne maszyny, produkujące prąd przemienny, można urządzać tak, że dadzą prąd o bardzo wysokiej ilości woltów, trzy, pięć, a w razie potrzeby można je z łatwością przekształcać nawet na prądy o kilkudziesięciu tysiącach woltów, a za to, przy tej samej energii prądu, o mniejszej liczbie amperów. Energia bowiem prądu jest, jak wiadomo, równa iloczynowi z napięcia i natężenia, a więc przy tej samej energii można zwiększać wolty na koszt amperów. To daje możność przesyłania prądu na odległości, wynoszące wiele dziesiątek kilometrów, jak to widzimy w dzisiejszych wielkich instalacyach elektrycznych, zwłaszcza amerykańskich. Tam przesyła się prąd, produkowany tanio siłą wodną nad brzegami rzek, i następnie jeszcze przekształcony do bardzo wysokiego napięcia, po nagich, nieizolowanych drutach, zawieszonych nad ziemią, prąd, którego napięcie dochodzi do 50 tysięcy woltów. Prądów stałych na taką odległość przesyłaćby nigdy się nie opłaciło, bo maszyn elektrycznych dla prądów stałych na tak wysoką ilość woltów budować nie można, chcąc zaś przesłać prąd o wielu amperach, albo potrzebaby do tego kabli niezmiernie grubych, a więc tak kosztownych, że cała instalacya zupełnieby się nie rentowała, albo też traciłoby się w drodze przeważną ilość prądu i instalacya znowu byłaby bez wartości. Dlatego też dopiero rozwój techniki prądu przemiennego, dokonany w ostatnich latach, umożliwił zużytkowanie na wielką skalę energii wodnej na miejscach bezludnych, zamieniając ją na energię elektryczną i rozprowadzając sieciami w dalekie strony.

Nie należy jednak sądzić, że odbiorcom do mieszkań dostarcza się prądu o tak wielkiem napięciu, byłoby to, mimo wszystkich środków ostrożności, prawdziwem niebezpieczeństwem dla życia. Prąd ten, zanim dojdzie do lamp i motorów, ulegnie przedtem przemianie w tak zwanych transformatorach. Są to owe wieże żelazne, swą postacią, panującym w nich ciągłym szumem i wreszcie tablicą, ostrzegającą o niebezpieczeństwie dotykania się ich, wzbudzające zawsze podziw i tajemniczy szacunek ulicznej gawiedzi. Transformatory, to znowu jedna więcej z zalet prądu przemiennego. Są to przyrządy,

w których zapomocą zwykłej indukcyi, bez żadnych motorów i bez żadnych ruchomych wogóle części, wymagających jakiejkolwiek obsługi, można przemieniać prąd o pewnym napięciu na prąd o napięciu innem i o odpowiedniem zmienionem natężeniu. Zwyczajnie, jak właśnie ma to miejsce i w Sączu, przemienia się prąd o trzech tysiącach woltów na prąd o napięciu wynoszącem 120 woltów, przyczem ta sieć, tak zwana drugorzędna, bo rozprowadzająca już prąd przekształcony, składa się aż z czterech drutów, z których jeden jest stale na potencyale zero. W ten sposób można zawsze z sieci brać dla motorów prąd o 210 woltach, i o 120 woltach dla lamp.

W sieci więc drugorzędnej płynie, jak widzieliśmy, prąd o wielkiem natężeniu, amperów jest w drutach wiele, toteż i straty na energii prądu byłyby tu znaczniejsze. Właśnie jednak transformatory temu zaradzają. Stawia się je bowiem nie w jednem miejscu, lecz rozrzuca po całym terenie zapotrzebowania prądu i ile możności jak najbliżej miejsc konsumcyi. W Sączu, gdzie długość sieci kablowej wynosi 12 kilometrów, takich transformatorów jest siedmnaście, rozstawionych po różnych miejscach sieci. Tak n. p. elektrownia miejska dostarcza prądu klasztorowi i pensyonatowi PP. Niepokalanek, o dwa kilometry odległemu, prowadzi tam więc zapomocą kabli prąd o wysokim napięciu do transformatora, stojącego tuż obok klasztoru, gdzie przekształca się na prąd o napięciu zwykłem 120 woltów. Drugi kabel, około 5 kilom. długi, idzie do wodociągu miejskiego na Świniarsko, gdzie prąd poruszać ma dwa wielkie motory elektryczne, o łącznej sile przeszło dwustu koni, służące do pompowania wody ze studzien i do rozprowadzania jej przez rury do zbiornika o kilka kilometrów odległego. Osobne zapotrzebowanie ma znowu kolej żelazna, której według kontraktu ma dostarczać gmina prądu do oświetlenia stacyi i do motorów. Wogóle charakterystyczną cechą Sącza jest kształt silnie podłużny, miasto zabudowane rozciąga się wązkim stosunkowo pasem, na bardzo długiej przestrzeni i dlatego też prąd przemienny jedynie tutaj nadawać się może. Prądu bowiem stałego nie opłaci się przesyłać na odległości większe ponad ośmset, najdalej tysiąc metrów, tu zaś sieć ciągnie się na kilka kilometrów w każdą stronę od centrali.

Ale cała ta sieć kablowa wraz z tranformatorami, wspaniale zbudowana przez firmę Siemensa i Schuckerta, ma jeszcze jedną ważną zaletę, która okaże się w niedalekiej zbyt może przyszłości. Oto od lat kilku toczą się już rokowania pomiędzy technikami i kapitali-

stami polskimi, by zużytkować na wielką skalę siłę naszych wód górskich, i gdzieś za Starym Sączem, może w Jazowsku, zbudować olbrzymie turbiny wodne, któreby wprawiały w ruch dynamomaszyny. Wytwarzany w ten sposób prąd, niezmiernie tani, częścią zużytkowaćby można na miejscu, zakładając tam elektrochemiczne fabryki, n. p. sztucznego wytwarzania związków azotowych z azotu atmosferycznego, częścią zaś rozprowadzać zapomocą drutów po okolicznych miastach, przyczem najśmielsi sięgają myślą i planami aż do Krakowa. Gdyby przedsiębiorstwo to przyszło do skutku, nieopłaciłoby się już w Nowym Sączu wytwarzać prądu, lecz byłoby rzeczą o wiele tańszą przyłączyć wprost całą sieć miejską do owej hydroelektrycznej centrali. I rzeczywiście cała sieć obecna jest tak urządzona, że odrazu, bez żadnych zmian, może być do tego celu użytą.

Zaznajomiwszy się w ogólnych zarysach z centralą i siecią, przejdźmy się jeszcze przez miasto i przypatrzmy się, w jaki sposób jest ono obecnie oświetlone. Także i pod tym względem uderzy nas pewna nowość. Prócz silnych żarówek, rozmieszczonych gęsto po ścianach kamienic, na placach większych zauważyć można wysokie, ładne swym rysunkiem, metalowe słupy, na wierzchu których widać wielkie lampy w kształcie bań szklanych. Niema tu jednak owego rażącego oko a przytem często niemile migotającego łukowego światła, którego dotychczas używa się wszędzie po miastach. Zamiast niego w każdej takiej bani świecą zupełnie spokojnym, nieruchomym blaskiem trzy lampy żarowe metalowe, o sile dwustu świec każda. Gdy do tego dodamy lampy, zwisające z dwu ramion słupa, to widzimy, że cała latarnia przedstawia potężne a mimo to dla oka nie rażące, owszem miłe, bo ciepłe w swej barwie źródło światła o sile ośmiuset swiec. Słupów takich jest 31 po placach i większych ulicach.

Te lampy żarowe metalowe są to tak zwane lampy wotanowe, wynalazek najświeższy, który prócz trwałości odznacza się ogromną ekonomicznością. Podczas gdy bowiem zwykłe lampki żarowe węglowe spotrzebywują trzy waty na świecę, to wotanowe zużywają tylko 1·1 watów, a więc światło z nich trzy razy prawie jest tańsze i dorównuje niemal pod tym względem światłu łukowemu. W lampach łukowych wprawdzie liczyć można pół wata na lampę, ale zato wymagają one ustawicznej i mozolnej obsługi, bo spalają się w nich węgle, które trzeba codziennie odnawiać, a nadto czyścić i opatrywać trzeba mechanizm lampy, bardzo złożony i łatwo ulegający zepsuciu.

Dlatego też lampy żarowe o wysokiej sile świetlnej, jakie widzimy w Nowym Sączu, są naprawdę lampami przyszłości w technice oświetlania ulic i placów.

W opisie powyższym elektrowni nowosądeckiej, tego prawdziwego cacka elektrotechnicznego, będącego wyrazem ostatnim, *dernier cri*, dzisiejszej techniki, opuścić oczywiście musieliśmy mnóstwo szczegółów, bardzo interesujących, lecz dla niefachowych niezrozumiałych. W każdym razie na elektrownię sądecką zazdrosnym okiem muszą spoglądać miasta inne, które zaprowadziły centrale według dawnych, kłopotliwych a czasem nieudolnych metod. A gdy za kilka miesięcy zapobiegliwość i żelazna wytrwałość dzisiejszego burmistrza dr. Barbackiego doprowadzi do skutku inne jeszcze dwie, niezmiernie ważne, owszem ważniejsze inwestycye, to jest kanały i wodociągi, które już są prawie ukończone, wtedy Sącz wejdzie z pewnością w nowy okres świetnego rozwoju, do jakiego na mocy tradycyi swej i szczęśliwego niezmiernie geograficznego położenia bezsprzecznie ma prawo. *Ks. F. Hortyński T. J.*

W Monte Carlo.

W muzeum oceanograficznem w Monaco, dziele obecnie panującego udzielnego księcia, niedaleko od przepięknej i bogatej katedry żyje w akwaryum stworzenie, o którem słyszeliśmy w czasach dzieciństwa, w którego istnienie przestawaliśmy wierzyć dorastając, a które żyje w głębinach morskich jako postrach zwierząt i ludzi. Ośmioma odnóżami chwyta upatrzoną ofiarę i w morze ściąga, podobno w gromadzie zatapia łodzie rybackie i małe statki, tak przynajmniej głoszą starożytni. I trudno wątpić o tem, by cokolwiek oprzeć się mogło tej strasznej istocie, gdy się widzi przez szyby oczy jej bystre, jakby szydercze o sile nieokreślonej, te straszne, giętkie metrowe, smoczkowate ramiona, tę czarną ciecz, którą mąci wodę, gdy zdaje mu się, że dłoń dozorcy wyciągnięta nad wodą zagraża jego bezpieczeństwu. Od widoku tego zwierzęcia pełnego grozy oderwać się prawie nie można. Jestto ośmiornica (*octopus vulgaris*) i to egzemplarz nie wielki — podobno są większe egzemplarze w Neapolu.

Ten octopus jest dla mnie wyobrażeniem potężnej siły złego ducha, który w obrębie tego samego udzielnego książątewka włada niepodzielnie w cudnie położonem Monte Carlo. Wspaniałe sale gry, zarówno przeznaczone dla szerszej publiczności, jak i dla wybranych,

płacących sutą wkładkę za należenie do *cercle privé*, opowiadają setki i tysiące tragedyi ludzkich. A wszędzie spokój, małomówność, dystynkcya. Niema może miejsca na kuli ziemskiej, na którem nagromadziłoby się tyle złego na tak szczupłej przestrzeni. Gdzieindziej przynajmniej w ustach jest cnota, złe mniej lub więcej ukrywać się musi; tu i w hotelach, w restauracyach i w salach gry kobiety upadłe wszelkich narodowości i każdego wieku są nietylko równouprawnione, ale co więcej odszczególniane przez miejscowych, przyjmowane i witane z respektem, póki mają pieniądze; tu defraudanci zapisują się bezkarnie pod fałszywymi nazwiskami i grają role baronów i hrabiów; ale nawet, jeśli pozorów tych w interesie bezpieczeństwa własnego nie zachowują, udzielne to państwo nie wyda władzom zagranicznym żadnego z tych łotrów, póki nie przegra ostatniej sprzeniewierzonej tysiączki.

P. Karol Gunsbourg, dyrektor opery nadwornej, najdroższych sprowadza do niej śpiewaków, w *Palais des beaux arts*, parę kroków od pałacu, poświęconego grze w ruletę i w trente et quarante, urządzają poranki teatralne, telefotogramy przynoszą w ciągu kwadransa rysy głównych osobistości z Paryża, w wspaniałych przedsionkach pałacu gry telegramy z wszystkich stolic europejskich donoszą o najważniejszych wypadkach, z portu w Monaco wznoszą się w powietrze hydro-aeroplany. Na pierwszem piętrze doskonale urządzona czytelnia zawiera masę pism politycznych i literackich we wszystkich najważniejszych językach europejskich. Z polskich jest: *Czas*, *Dziennik Poznański*, *Słowo*, *Kuryer Warszawski i Świat*. Napróżno szukałem pism czeskich, kroackich, serbskich, bułgarskich. Nie sądzę, aby to świadczyło o braku patryotyzmu członków tych narodów, tu przebywających, mniemam raczej, że dowodzi niezbicie, iż ze Słowian przyjeżdżają tu — oprócz naturalnie Rosyan — tylko nasi ziomkowie. Mowa polska rozbrzmiewa tu niemal na każdym kroku. Nawet te klasy naszego społeczeństwa, które dotąd jeszcze przypuszczają mylnie, że licha francuzczyzna, którą się posługują, odróżnia je i wyszczególnia wobec „szarego tłumu", tu na ziemi, w której lada robotnik lub pokojówka lepiej mówią po francusku od nich, posługują się chętnie i głośno rodowitym językiem, zapominając atoli, że wobec wielkiego tu zawsze zjazdu Polaków, także z kategoryi śmiertelników zwykłych, słowa ich mimo woli słyszą i rozumieją liczni ziomkowie.

Oddawna już Monte Carlo wywiera tak magnetyczny na nas

wpływ. Na wycieczkach na La Turbie lub po morzu spotykałem ich mało, jeszcze mniej na konkursie hydro-aeroplanów, odbywającym się w tym czasie przez cały tydzień, tudzież w muzeum oceanograficznem. Za to w „kasynie", jak nazywają eufemistycznie pałac gry, pełno naszych. Poradził nam kiedyś szyderczo Bismark wyjazd do Monaco — i pojechaliśmy i jedziemy ciągle! Bywa nas tu przynajmniej połowa tyle co Niemców, może i więcej. Ich jest 80 milionów, nas 20 mil.; wśród nich przynajmniej $10^0/_0$ może sobie pozwolić na taki wyjazd, a u nas nie wiem, czy $1^0/_0$, to jest razem stosunek przynajmniej taki jak 1: 20, a skoro liczba naszych na „lazurowym" brzegu dorównuje połowie liczby Niemców, to widocznie żyjemy bardzo nad stan i ogół nasz posiadający wydaje pięć razy więcej niżby wydawał w podobnych warunkach Niemiec.

„To trudno, odpowie mi zapewne ten albo ów, lubimy ryzyko, a *Qui ne risque rien, n'a rien*, zresztą to niewinna zabawa. Są ludzie, którzy tu pokryli koszta podróży, są inni, którzy zyskali tyle, ile wydali w ciągu całego roku, a ten legendowy Amerykanin, który rozbił bank, a tych setki, którzy zarobili bodaj po kilkaset franków?"

Czy ci, którzy tak rozumują a równocześnie chodzą pilnie do kościołów pod wezwaniem św. Dewoty w Monaco lub św. Rocha w Monte Carlo, poświęciliby bodaj część sumy, stawianej tu na *rouge* lub *noir*, *couleur* lub *inverse*, na założenie kooperatywy lub kasy Raiffeisena z tendencyą uczynienia zbędnym wiejskiego pośrednika i lichwiarza, na szpitalik lub ochronkę dla zmniejszenia cierpień fizycznych lub ratunku od moralnego zaniedbania uboższych swych braci, choć tu nie ryzykowaliby nic, bo tu każda stawka dałaby wygraną i może mniejszy byłby wówczas między słowami a czynami ich rozdźwięk?!

Ależ zyski te nie szłyby wszak dla własnej korzyści?! Kto zdaje sobie sprawę z tego, że czynienie dobrze drugim sprawia największą sumę rozkoszy, a wszelka namiętność podkopuje zdrowie i skraca życie, ten zrozumie, że tamte przyjemności nie tylko byłyby szlachetniejsze ale i zdrowsze.

Pozatem radziłbym każdemu, kto grę w ruletę lub w trente et quarante uważa za niewinną zabawę, aby zwiedził cmentarz samobójców w Monte Carlo, aby uważnie przypatrywał się fizyognomiom wytrwałych graczów, nerwowym ich ruchom, wypiekom na twarzach, błyszczącemu ich oku, zwróconemu z natężeniem ku kołu z liczbami, wśród których toczy się kapryśna a tak często złowróżbna biała

kulka ze słoniowej kości, temu czołu, pod którem myśli pracują z natężeniem, aby odgadnąć cyfrę zwycięską wedle poprzednich, a choćby nawet temu udanemu i dystyngowanemu spokojowi przegrywających, którzy po przegranej rzucają co raz nowe banknoty na numer, tuzin, kolor upatrzony. Ilu graczy, tyle tragedyi; nie chciwość bogaczy walczy tu o większe bogactwa, — terenem ich walk skuteczniejszych i obfitszych w plon bywa dla nich giełda, trusty i kartele — tu ścierają się wyrzuty sumienia defraudantów, którzy przyjechali po cud, umożliwiający im oddanie sum sprzeniewierzonych z bezdenną naiwnością uczciwych, ale słabych, którzy tracą fundusze własne i swych rodzin, aby w końcu albo przyjąć upokarzający wiatyk paruset franków od kompanii dzierżawców domu gry, albo w łeb sobie strzelić, albo zostać cichymi naganiaczami zacnej kompanii, czerpiącymi odtąd z mętnego tego źródła utrzymanie. Znałem kilku naszych rodaków, którzy na tem zajęciu skończyli, oprowadzając poza tem znajomych po sklepach w Nizzy i Monte Carlo za wynagrodzeniem, pobieranem od zalecanych przez nich magazynów.

Cmentarz samobójców! Te tysiące tu pochowane, to nie wszyscy, są i tacy, których ciała chowa się pospiesznie w podziemiach wil, w zamkniętych przewozi dorożkach za granicę Księstwa, tam powierza zaufanym żeglarzom, udającym się wrzekomo na połów ryb, lub najętym statkom, podpływającym wśród ciemnych nocy ku łodziom aż z Korsyki. Na pełnem morzu spuszcza się ciała nieszczęsnych ofiar na pożarcie rekinom i niemniej strasznym ośmiornicom.

W sali gry ogólne napięcie nerwów, gorączka, kieszeni pilnować trzeba, by ich sąsiad lub sąsiadka nie splądrowali, spory o wygrane są nierzadkie — gdy przyjezdny wygra przypadkiem, zwykle zgłasza się albo jejmość z pod ciemnej gwiazdy, albo alfons w tajnej służbie kompanii, stojący opodal, i choć nie postawił ani pięciofrankówki, spierać się będzie głośno, że to jego wygrana. Nielada trzeba energii i odwagi, aby oprzeć się przy swem prawie i znieść pełne nagany spojrzenia dystyngowanego bankiera, niemniej wspaniałych krupierów i wygrywających graczy, najętych do tej roli przez przewidujące „kasyno".

W salach gry można nawiązać i szereg dystyngowanych znajomości. Wspaniałe damy w najpiękniejszych toaletach, władające kilkoma językami, znające wszystkie stolice Europy, mieniące się hrabinami i markizami, proponujące grę na spółkę, naprawdę po większej części kokoty; czcigodnych panów o białych bokobrodach i czar-

nych smokingach, rozprawiających poważnie o polityce, rzekłbyś: dyplomatów, mających najwyższe stosunki, faktycznie awanturników i włamywaczy, ekspropryatorów-artystów *di primo cartello*; profesorów wyższej matematyki, którzy wynaleźli niezawodne sposoby rozbicia banku i ofiarujących je szlachetnie bliźnim za 10 lub 20 franków, wrzekomo dla braku własnych dostatecznych funduszów.

Kapitan marynarki Weihe z Hamburga wydał niedawno książkę, w której twierdzi, że zauważył, iż od woli krupiera zależy, w który przedział wpadnie puszczona kulka, że przeto rzucają tak, aby jak najmniej ludzi wygrało, i aby wpadła na liczbę zupełnie nie obsadzoną. Twierdzi, że wewnątrz kuli z kości słoniowej znajduje się stal, a pod stołem, pokrytym starannie zielonem suknem, znajduje się tyle małych, ale silnych elektromagnesów, ile jest liczb. Przez nacisk palcem lub kulką na przestrzeń, obracającą się tuż przy danej liczbie, krupier wprawia w ruch elektromagnes, umieszczony pod daną liczbą. Najlepiej funkcyonują oczywiście wielkie kule, zawierające dużo stali, a używa się ich zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o spłukanie bogaczy, namiętnych graczy lub defraudantów. Bliższe szczegóły i dowody warto przeczytać w zajmującej książce Weihego: *Das Falschspiel in Monte Carlo*, którą nabyłem na stacyi kolejowej w San Remo.

Na wznoszącej się dumnie z fal morskich skale stoi pałac udzielnego księcia Monaco, Alberta, uczonego badacza, potomka sławnych rozbójników Grimaldich, którego poprzednik Karol III, zręcznie licząc na namiętności ludzkie, pozwolił p. Kamilowi Blanc urządzić w państwie swem dom gry w zamian za sute apanaże i pokrywanie wszystkich kosztów utrzymania, administracyi, szkół etc. w Księstwie. Jak oficyalna cnota potrzebuje jako klapy bezpieczeństwa domu publicznego, tak oficyalna obłuda wielkich państw potrzebuje osobnego państwa, w którem istnieje dom gry dla wymówki wobec niewygodnych moralistów. W okrzyczanych za ciemne średnich wiekach taki n. p. Grzegorz VII państwo takie byłby obłożył interdyktem a panującego w niem klątwą, żaden monarcha nie byłby przyjmował go u siebie, traktowanoby go na równi z oszustem lub paserem, żyjącym z krzywdy ludzkiej, ale to byłoby w wiekach średnich, które nie były tak pobłażliwe, jak nasze wobec zła i takiej pobłażliwości nie nazywały jeszcze tolerancyą. Gdyby dziś Ojciec święty postąpił w sposób podobny, wobec rozpowszechnionej niewiary a nawet nienawiści do religii katolickiej wśród sfer rządzących

dziś we Francyi krok taki zupełnie chybiłby celu, co więcej: uczonego księcia i p. Blanca podniósłby o szczebel wyżej w poparciu wszechwładnej loży.

Dziś książę Albert pobierający utrzymanie swe z wielekroć mętniejszego źródła od lichwiarzy i królów giełdy, gorszy obłudą od swych przodków brygantów, zbiera honory uczonego, zasiada u stołu królów, a cesarz niemiecki Wilhelm II nazywa go swym przyjacielem. „Non olet".

Octopus vulgaris wpatruje się mądremi swemi ślepiami w ofiarę i ubezwładnia ją w swym uścisku. Więc i jemu należą się książęce honory, cześć octopusowi! A ty bezmyślna gawiedzi z Polski, płyń do Monte Carlo, znoś nadal ofiary bożkowi grzechu i wszelakiej zbrodni i piej nadal pochwalne na jego cześć hymny. *Evoë octopus*!

Leopold Caro.

Polemika o „Literaturę i religię u Żydów za czasów Chrystusa Pana".

W zeszycie lutowym b. r. umieściliśmy recenzyę książki ks. prof. St. Trzeciaka p. t.: „Literatura i religia u Żydów za czasów Chrystusa Pana", pióra ks. J. Wasilewskiego. Recenzya ta wywołała replikę ze strony autora, którą w imię bezstronności umieszczamy na tem miejscu, dając zarazem możność i recenzentowi wypowiedzenia się jeszcze raz, czem też zamykamy polemikę na łamach naszego pisma.

Replika autora książki.

Jest rzeczą ogólnie ludzkiej uczciwości, by nigdy nikogo nie sądzić z jego pojedynczych zdań powyrywanych z całości, bo wtedy każdą z góry powziętą tezę można udowodnić z każdego listu, nawet z każdego drobnego pisma, czy z wypowiedzianej mowy możnaby wykazać o każdym człowieku, że jest heretykiem albo nieukiem. Na tę zasadę kładzie się silny nacisk we wstępnych wiadomościach do Pisma św., bo różni ludzie wyrywanemi zdaniami nawet z Pisma św. chcą udowodnić swe błędy, albo też księgom św. usiłują różne błędy zarzucić. Tak n. p. pan Niemojewski, wyrywając „zdania rozsiane tu i ówdzie w obfitości" w całym Nowym Test. „powoli obudza w sobie myśli zupełnie naturalnego rozwoju chrystyanizmu z judaizmu i poganizmu" i używa tych powyrywanych zdań, „rozsianych tu

i ówdzie", jako jednego z dowodów, że Chrystus Pan nie istniał wcale.

Tą samą metodą posługuje się ks. Jan Wasilewski i usiłuje dowieść, że w mej pracy wyprowadzam „chrystyanizm z innych religii" (*Przegląd* str. 287), że „rozsiane tu i ówdzie zdania w obfitości powoli budzą w czytelniku myśli zupełnie naturalnego rozwoju chrystyanizmu z judaizmu i poganizmu" (str. 288). Wśród „najważniejszych" dowodów na poparcie swego twierdzenia podaje, że messyanizm Chrystusa Pana wywodzę z poganizmu. Ze zdziwieniem bowiem wyczytał poraz pierwszy w mej pracy, że w areopagu ateńskim wystawiono „ołtarz Bogu nieznanemu". Toteż wykrzyknikiem zaznacza to i przytacza jako dowód na ewolucyę religii. „Ateńczycy wznoszą ołtarz: Nieznanemu Bogu!" Gdyby jednak ks. Wasilewski czytał Pismo św., toby wyczytał owo zdanie w Dziejach Apost. roz. XVII. w. 13. Wprawdzie podaję źródło w mej pracy „Act. XVII. 13", ale widocznie mój krytyk nie zrozumiał. Dodam zatem jeszcze, że św. Paweł użył swego napisu, jako *motto* do swego kazania w areopagu ateńskim.

Jednym z „najważniejszych" dowodów ewolucyonizmu religii u mnie ma być traktat o oczekiwaniu Zbawiciela u pogan. Pisze mój krytyk: „Jako zapowiedź Chrystusa u Indów był bóg Agni, który uchodził za pośrednika między najwyższym bogiem Waruną a ludźmi, był on nadto arcykapłanem, prorokiem i zbawcą (II. str. 367); u Persów Agniego przedstawiał Caoshyana (II. str. 368). Cały świat pogański czekał na Messyasza: Sokrates, Plato, Epiktet, Seneka. Ateńczycy wznoszą ołtarz: Nieznanemu Bogu!" (str. 287).

Tymczasem w mej pracy tuż bezpośrednio przed podaniem nadziei messyańskich u Indów i innych narodów pogańskich znajduje się na samym początku rozdziału „Oczekiwanie Zbawiciela u pogan" następująca wzmianka: „Oczekiwania te (t. j. Messyasza) Żydów podzielali również w pewnej mierze nawet i poganie. Obietnicy danej Adamowi w raju strzegła w szczególny sposób Opatrzność Boża, w narodzie wybranym przez objawienia... Inaczej było u innych narodów. Te pozostawione siłom własnego rozumu, zatraciły powoli pojęcia o Bogu, popadły w wielobóstwo... Mimo to nadzieja obiecanego Zbawiciela przyświecała im zawsze. U starych Indów nadzieje messyańskie skupiały się około boga Agni" i t. d. (II. str. 367).

A zatem ks. Wasilewski albo nie zrozumiał, albo wprost świadomie przekręcił najdokładniej wypowiedziane myśli.

Dalszym zarzutem jest to, iż twierdzę, że „religia Chrystusa jest

rozwojem i wykwitem religii Mojżeszowej (II. str. 40). Zbawiciel pragnął uzupełnić i udoskonalić prawo Mojżeszowe (II. str. 61). Tu już nie poszczególne zdania powyrywane z całości, ale pojedyncze słowa powyrywane ze zdań i zaopatrzone później uwagą, że w mej pracy „Chrystus Pan stopniowo schodzi do roli religijnego reformatora i nic więcej" (str. 288). Zarzut powyższy wyrwany jest z następującego zdania (str 40. II.): „O ile religia Chrystusa jest uduchowniona i jako rozwój i wykwit stoi wyżej ponad pierwotną i materyalną religią Mojżeszową, o tyle również i znak zewnętrzny religii chrześcijańskiej przewyższa swą formą i duchownością odpowiedni obrzęd żydowski. Tu właśnie poznajemy najlepiej stosunek religii Chrystusa Pana do religii Mojżesza. Chrystus Pan podniósł, uduchownił i uwewnętrznił religię żydowską". Na ten zarzut jak i na następny, że „Zbawiciel pragnął uzupełnić i udoskonalić prawo Mojżeszowe" (II. str. 61), odpowiadam słowami samego Pana Jezusa, „Nie mniemajcie, abym przyszedł rozwięzować Zakon albo proroki: nie przyszedłem rozwięzować, ale je wypełnić. Zaprawdę powiadam wam: dopóki nie przeminie niebo i ziemia, jedna jota, albo jedan kreska nie odmieni się w Zakonie aż się wszystko stanie" Mat. VI. 7. „Łatwiej jest bowiem niebu i ziemi przeminąć, niż jednej kresce w Zakonie wypaść". Łuk. XVI. 17.

Przejdźmy jednak do innych zarzutów. Ks. Wasilewski pisze: „Najważniejszy zarzut następujący: Po przeczytaniu całości czytelnik spostrzega, że postać Chrystusa Pana znacznie w jego oczach zmalała. Autor porozrzucał w dziele zdania, jaskrawo mówiące o ewolucyi naturalnej chrystyanizmu z innych religii. Aristobul tu jest pomostem między filozofią grecką a teologią żydowską" (str. I. 114).

Uważam, iż nie potrzebuję tłómaczyć dla ludzi myślących, że pojęcia „religia" i „teologia" nie są tożsamościowemi. Mówiąc o Aristobulu dodaję zakończenie: „Z tego wszystkiego można zrozumieć, że Aristobul odegrał wybitną rolę w historyi tłómaczenia Pisma św.", jego „technika filozoficzno-teologiczna przeszła aż do naszych czasów. Ten filozof pierwszy daje podstawy do połączenia *hokma eloh'm* — σοφία τοῦ Θεοῦ — Mądrości Bożej starostestamentalnej z λόγος filozofii greckiej". W dopisku zaś dodaję: Według Aristobula σοφία jest „równorzędne z θεία δύναμις albo ἐνεργεία τοῦ Θεοῦ... wszystkie te właściwości Mocy Bożej na zewnątrz skrystalizowały się w pojęciu λόγος."

A zatem główny nacisk położony tu na to, że istotę pojęcia

λόγος czerpie Aristobul ze Starego Test., technikę zaś filozoficzno-teologiczną, formę zewnętrzną czyli wyszkolenie tych pojęć daje przy pomocy filozofii greckiej, gdzie λόγος było w użyciu. Czerpiąc ze St. Testamentu swe pojęcia o Objawieniu Bożem czyli o Mądrości Bożej lub o λόγος, odnoszące się do Syna Bożego, miał o Nim Aristobul zamglone pojęcia, wyszkolił jednak dla tych pojęć technikę filozoficzno-teologiczną. „A zatem Aristobul jest pierwszym teologiem monoteistycznym w całem tego słowa znaczeniu, jest pomostem między teologią żydowską a filozofią grecką".

Pisze dalej mój krytyk: „Filon tworzy formę chrześcijańską „Słowa", w którą Jan św. ubrał istniejące już pojęcia o Bóstwie Chrystusa Pana i na podstawie proroctw starostestamentalnych przedstawił jako Messyasza" (I. str. 133) (*Przegląd* 287). Jeśli nie można sądzić nikogo z jego zdań oderwanych z całości, to temwięcej jeszcze nie wolno tych zdań oderwanych przekręcać. Te zasady są stale obcemi dla ks. Wasilewskiego. Przytoczywszy filozoficzno-teologiczne pojęcia o „λόγος" Philona, zaznaczam, że czerpał je Philo ze Starego Test., wyszkolił jednak technikę filozoficzno-teologiczną, czyli formę dla pojęć o Bóstwie Słowa, które stało się Ciałem i mieszkało między nami. W tę filozoficzną formę ujął Jan św. istniejące już pojęcia o Bóstwie Chrystusa Pana i przedstawił Go na podstawie proroctw starotestamentalnych jako oczekiwanego Messyasza czyli Zbawiciela" (I. str. 133).

Dalszym zarzutem pod nagłówkiem „najważniejszy" jest następujący: „nie zostaje również bez wpływu pogańskiego i judaizm. Autor zgadza się z Grimmem, że kult babiloński Plejad przeszedł do Azyi, następnie przeniknął do Grecyi, a w Biblii, przybrawszy monoteistyczny podkład, dostosował się do pojęć i kultu Jehowy (Cz. II. str. 40)".

Muszę się zastrzedz, że ks. Wasilewski przekręca stale tekst i przedstawia go, jakoby tak z mej pracy wyczytał. Widocznie nie wie, w jakiej części świata jest Babilonia, bo twierdzi, że „kult babiloński Plejad przeszedł do Azyi" i to podaje, jako cytatę z mej pracy. Identyfikuje również „judaizm" z „religią żydowską". Następnie zarzuca mi, że zgadzam się z Grimmem, podczas gdy ja przytaczam jego teoryę w formie najzwyklejszego referatu i zaznaczam to trzy razy, że takiemi są zapatrywania Grimme'go.

Zaznaczyć tu wypada, że cytowane dzieło profesorów katolickiego uniwersytetu Grimme'go i ks. Kirscha wydanem zostało przy.

pomocy tak katolickiej i tak naukowej instytucyi, jaką jest towarzystwo Görresa.

Co do zarzutu: „spowiedź żydowska przedzierżga się w chrześcijańską pokutę (II. 399—400)", to ani takiego tekstu, ani podobnej myśli nie ma u mnie wcale. Omówiwszy formę wyznawania grzechów, zaznaczam na str. 406. II: „tę właśnie formę zastaje Pan Jezus w życiu, zachowuje ją i podnosi do godności sakramentu. Siła i znaczenie tej formy w sakramencie pokuty tkwi w zbawczej i przeblagalnej śmierci Jezusa Chrystusa". Dalszy zarzut: „z obrzędów paschalnych powstaje Msza św." (II. str. 88) mija się również z prawdą. Mówię tam wyraźnie, iż Chrystus Pan, obchodząc uroczystość paschalną, „nawiązuje do tej tak pięknej i wzniosłej chwili swe dzieło zbawienia i ustanawia Najświętszy Sakrament i Mszę św.". „W ofierze tej nowej Paschy Pierworodny i Jednorodzony Syn Boży ofiarowuje się Bogu Ojcu Przedwiecznemu". Dalej zazanaczam, że oprócz istotnej części Mszy św. i niektóre ceremonie pochodzą z czasów Chrystusa Pana.

Zarzuca mi dalej ks. Wasilewski, że twierdzę, iż „z ablucyi i obrzezania formuje się sakrament chrztu św." (II. str. 38, 39). Otóż w mej pracy tego zdania nie ma. Mówię o obmyciach wodą u narodów pogańskich, o obmyciu prozelitów żydowskich, o chrzcie św. Jana i zaznaczam: „chrzest przyjął Pan Jezus jako nieodzowny warunek należenia do jego wyznawców i podsunął mu wyższe duchowne znaczenie, zapewniając mu przytem swą łaskę i podnosząc go do godności sakramentalnej". Wskazując dalej na różnicę między chrztem Chrystusa Pana a innemi obmyciami dodaje, że były one „słabym cieniem, jakby jakiemś nieokreślonem przeczuciem konieczności zbliżenia się do Boga". Dalej zaznaczam, że „główną rolę przy chrzcie odgrywa oczyszczenie duchowne przez zasługi krwii zbawczej śmierci Chrystusa" (str. 40), który nadał formie, będącej w użyciu w religii Mojżeszowej wyższe, nadziemskie, duchowne znaczenie.

Przytaczanie kontekstu do wszystkich zarzutów zajęłoby zbyt dużo miejsca. Zarzuty bowiem są złożone z powyrywanych zdań a nawet i słów z całości mej pracy w dodatku bywają i poprzekręcane jeszcze. Ks. Wasilewski nie patrzy na treść ani na ducha pracy, jemu zależy jak sam wyznaje, tylko na „porozsiewanych tu i ówdzie zdaniach" i z tych powyrywanych zdań zarzuca mi szerzenie teoryi ewolucyonizmu chrześcijańskiej religii. Tymczasem ja silnie występuję w mej pracy przeciw owej teoryi. Zaraz na wstępie wskazując

na Bóstwo Chrystusa Pana, na nadziemskie pochodzenie Jego nauki i na objawienie Boże, zaznaczam: „Wszelkie usiłowania wytłómaczenia początków chrześcijaństwa sposobem naturalnym, ludzkim, okazały się bezpodstawnemi. Nie dają one nam również jasnych pojęć o Chrystusie Panu, wprowadzają nas tylko w zaczarowane koło niewytłómaczonych zagadnień i problemów bez wyjścia“ i t. d., (str. 7—8. I).

Nie mogę się tu rozszerzać wyliczaniem tych wszystkich miejsc, gdzie zbijam teoryę ewolucyonizmu. Zaznaczę jeszcze, że jakkolwiek nie wymieniam p. Niemojewskiego, to jednak często wykazuję bezpodstawność jego ewolucyonistycznych teoryi n. p. w I. Cz. str. 207—208, od str. 295 do 303, str. 313. W drugiej części str. 223—225, zbijając teoryę p. Niemojewskiego, wywodzącego „Ojcze nasz“ od żydowskiego „Kaddisz“, dodaję, że „z poszczególnych powyrywanych tu i ówdzie zwrotów czy wyrażeń nie można wcale wyprowadzać wniosków o podobieństwie całości, a tem mniej jeszcze o zależności jednej modlitwy od drugiej“. Tej jednak teoryi p. Niemojewskiego trzyma się ściśle ks. Wasilewski w swojej krytyce.

Co do naukowej strony mej pracy to znów ta sama metoda wyrywania zdań z całości. Zarzuca mi mój krytyk str. 284: „Nie wiemy, dlaczego etyopska księga Henocha nazywa się „kanoniczną“? W kanonie wszak takiej księgi nie mamy“ (Cz. I. 156). Tymczasem ja na poprzedniej stronie t. j 155 zaznaczam wyraźnie, że „kościół abissyński ma ową księgę wśród ksiąg kanonicznych“.

Dalej pisze ks. Wasilewski: „Nie rozumiem też, jak można z trzech małych fragmentów Filona starszego, Teodota i Ezechiela wnioskować: jak silnem tętnem biło życie umysłowe Żydów kolonistów?“ (*Przegląd* str. 284).

Znów wyrywanie zdań z całości. Kontekst wskazuje, że wyrwane zdanie odnosi się do dziesięciu pisarzy znanych (I. str, 78), a nadto jeszcze mówię „o księgach, których autorowie są niepewni“ (I. str. 79). Przypuszczam zatem, że każdy rozumny człowiek zrozumie, że z tych pism w owej epoce możemy wnioskować „o silnem tętnie życia umysłowego“. Co do zarzutu, że fragmenty są „małe“, wypada zaznaczyć, że wartość historycznych dokumentów nie zależy od ich wielkości. Jeśli owe fragmenty wspominają, że ci pisarze opracowali historyę Żydów lub na tle tej historyi podali utwory poetyczne, epopeję

lub tragedyę, to chociażby owe fragmenty były „małymi", to jednak zrozumiałą jest rzeczą, że można z nich wnioskować „jak silnem tętnem biło życie umysłowe Żydów kolonistów".

Zarzuca mi dalej ks. Wasilewski bezkrytyczność, że w mojej pracy „nawet przechwałkę Józefa Flawiusza, że pływał całą noc (I. str. 139) lub palenie się ptaków nad głową rabina Jonàtana etc. podano jakgdyby prawdę historyczną" (I. str. 262). Tymczasem owe wzmianki znajdują się w mej pracy w cudzysłowie, a każdy rozumny człowiek wie, jak taką wzmiankę rozumieć, nadto o Flawiuszu zaznaczam dla lepszej jego harakterystyki, że on tak mówi o sobie, wzmiankę zaś o Jonathanie podaję jako opinię Talmudu, zaznaczając: iż jego mądrość „nadzwyczajnie ceniono" i cytując Talmud i słowa, jakie wypowiedział o nim r. Chija bar Abba.

Co do zarzutu, że „Talmud nie ma nic wspólnego, ani z osobą Chrystusa Pana, ani z Jego czasami" (*Przegląd* str. 284), wskazuję w mej pracy od. str. 267—288 I., że podania starszych, przeciw którym Chrystus Pan tak często występował, zredagowano i skodyfikowano w następnych wiekach, i stąd powstał Talmud. A zatem Talmud ma i musi mieć wiele wspólnych kwestyi z czasami Chrystusa Pana. Co do uwag ks. Wasilewskiego o wartości Talmudu, to nie zawierają one nic nowego, bo od str. 292—303 I. w mej pracy zaznaczam, jakie niebezpieczeństwo zachodzi przy używaniu Talmudu do studyów biblijnych, jakie również potrzeba zachować ostrożności, ale mimo tego odpowiednio przygotowany umysł może wiele z Talmudu korzystać. Bez wątpienia Talmud nie jest książką dla dzieci!

Pisze dalej ks. Wasilewski: Kiedy się zaczęło mówić o literaturze żydowskiej wogóle, trzeba było uwzględnić cały kanon Starego Testamentu, tudzież Testament XII patryarchów" (*Przegląd* str. 287). Na to jasna odpowiedź, że St. Testamentu, jako pochodzącego z objawienia Bożego, nie można stawiać na równi z dziełami czysto ludzkiemi. Co do „Testamentu XII patryarchów", to zaznaczyć wypada, że dzieło to ma tytuł „Testamenty XII patryarchów i o tem dziele mówię na str. 364—365 II.

Te i tym podobne zarzuty „naukowe" stawia ks. Wasilewski. Z nieuprzedzonej jednak strony odezwały się kompetentne głosy w polskich i obcych pismach życzliwie o tej pracy. Ks. Dr. Wilhelm Michalski pisze: „Dopiero po przeczytaniu tej książki uprzytomni sobie czytelnik znaczenie licznych dysput Chrystusa Pana z fary-

zeuszami"... „trzeba powiedzieć, że autor wywiązał się ze zadania chlubnie i że wszędzie umiał zająć stanowisko przedmiotowe, a zarazem potrafił wszczepić zamiłowanie i poszanowanie ewangelii, zaczem także Boska postać Chrystusa Pana występuje wyraziściej, a czytelnik znajdzie tu mnóstwo materyału dla odparcia zarzutów, czynionych Now. Testamentowi rzekomo w imię nauki". (*Miesięcznik kościelny* 1911 VI. str. 400).

Tak pisze profesor Pisma św., a tymczasem ks. Wasilewski „obudza w sobie myśli zupełnie naturalnego rozwoju chrystyanizmu z judaizmu i poganizmu" i „spostrzega, że postać Chrystusa Pana w jego oczach zmalała". Widocznie napisał swe uwagi przed przeczytaniem mej pracy.

W fachowem piśmie niemieckiem *Biblische Zeitschrift* pisze Raczek: „Das Werk... vermittelt polnisch sprechenden Kreisen, was den Deutschen Schürer, Bousset u. a. lehren. Die Gründlichkeit des Buches, wovon die vielen Zitate aus zeitgenössischen Schriftstellern Zeugen, und seine lebhafte, interessante Darstellungsweise lassen es seiner Aufgabe, in dem jungen Klerus die Liebe zu biblischen Studien zu erwecken, ganz und gar gewachsen sein" (*Biblische Zeitschrift* 1911 S. 411). Jak inaczej wygląda objektywna krytyka od ludzi fachowych, a inaczej „obrachunki osobiste".

Ks. Dr. Stanisław Trzeciak.

Petersburg, 28 lutego 1912.

Odpowiedź recenzenta.

Pisząc swą recenzyę, chciałem poinformować szerszy ogół czytający, czem jest nowa książka: „Literatura i religia u żydów za czasów Chrystusa Pana". W recenzyi swej powiedziałem, że dzieło zawiera wiele materyału, z którego krytyczny czytelnik sporo może skorzystać, ale jako praca naukowa nie jest bynajmniej wzorowem, a nawet wprost niewiele wartem. Zarzuciłem z tego powodu autorowi chybienie celu — mianowicie, że postać Chrystusa na tle religii i ówczesnej literatury żydowskiej, zamiast zyskać na wyrazistości i plastyczności, wskutek słabego uwypuklenia powoli zeszła do roli tylko zwykłego reformatora religijnego, a chrystyanizm jakby rozwinął się naturalnie z judaizmu i poganizmu. Tego zdania, niestety, sprostowanie ks. Trzeciaka nie tylko nie obala, ale owszem potwierdza.

Zaczynam od tak zwanego zarzutu „najważniejszego", przed którym ks. profesor tak się broni, i który mu, jak widać, sprawia

największą przykrość. Pochodzi to stąd widocznie, że autor identyfikuje siebie z dziełem, które go kosztowało kilka lat mrówczej i mozolnej pracy; i dlatego uważa, iż wzniosłym i pięknym jego chęciom przedstawienia postaci Chrystusowej w boskim majestacie odpowiada rzeczywisty, realny skutek pracy — omawianej książki. Te jednak rzeczy, jak osobę i dzieło, chęci i skutki najściślej odróżniam i w recenzyi zaznaczam. Wiem i czuć to z książki całej, że sam ks. profesor chciałby widzieć postać Chrystusa i Jego dzieło na tle współczesnych stosunków żydowskich w świetle jak najwspanialszem i tak też widzi — innym jednak — czytelnikom swoim pomimo najszczerszych chęci pokazuje inaczej, gdyż w dziele zamiary się nie realizują.

Myśl przedstawienia Chrystusa i ewangelii na tle współczesnego świata jest nader cenną i zasługuje na uznanie, jednakże w wykonaniu wymaga wielkiego mistrzostwa w cieniowaniu i chwytaniu kontrastów, wielkiej delikatności i ostrożności. Chrystus zaś u ks. Trzeciaka rzeczywiście traci na wyrazistości — i maleje, albowiem występuje tylko jako zwykły działacz-reformator, idzie jako wódz na plac zaciętego boju z „tradycyami starszych" żydowskich i, pragnąc uzupełnić i udoskonalić prawo mojżeszowe, oczyszcza je od pleśni kazuistycznej i wykrętnej religii faryzeuszów, obmyśla całą strategię walki z nimi; jest nieustraszonym nauczycielem, kaznodzieją, który, nie cofając się przed niczem, walczy aż do śmierci, zadanej Mu przez wrogów. Podobne zdania w każdym niemal rozdziale, a więc nie zapełniające całego dzieła, lecz tylko bardzo często „tu i ówdzie rozsiane", nie będąc wcale wyrywanemi, mówią czytelnikowi, że „cała działalność nauczycielska Chrystusa Pana zmierzała głównie do oczyszczenia słowa Bożego od tradycyi ludzkich" (II, 264) przez walkę, polemikę i ścieranie się z przesądami. A więc gdzież tu w Chrystusie obok człowieka bojownika i niezaprzeczony majestat boski, ów spokój nie zdobywającego, ale władzę mającego? Obok pracy negatywnej uświęcania, podnoszenia, uduchownienia przez oczyszczanie, gdzież tu praca pozytywna w nauczaniu, gdzie owo *mandatum novum*, które przecież główne miejsce zajmuje w Ewangelii, gdzie cały Chrystus, jako nauczyciel, prawodawca i kapłan? Są wprawdzie o tem wzmianki „tu i owdzie", ale one nikną na jednobarwnem tle walki Chrystusa ze strupieszałą religią ówczesnych Żydów, tudzież przyjętych, uświęconych i podniesionych do godności sakramentów zwyczajów żydowskich. Przy-

toczone w sprostowaniu słowa Chrystusa: „Nie przyszedłem rozwięzować zakon, ale wypełnić", wcale nie mówią o tem, że Chrystus oprócz wypełnienia prawa (dekalogu) nic istotnie nowego na świat nie przyniósł; krótko mówiąc: słowa te nie zawierają całości zadania Chrystusa na ziemi. Dopełnienie jest rzeczą tylko dodatkową, nie istotną, a przecież Chrystus był niezaprzeczenie nowym istotnym prawodawcą.

Nie inaczej od osoby wygląda też i dzieło Chrystusa w pracy Sz. Ks. Prof. Trzeciaka. Autor, jakkolwiek uznaje potrzebę bacznego i ostrożnego zestawienia religii Chrystusowej z innemi (II, 339) i zaprzecza możliwości wytłómaczenia rozwoju chrześcijaństwa sposobem naturalnym, sam jednak bardzo niefortunnie chrystyanizm z judaizmem zestawia i naturalny rozwój pierwszego z drugiego przypuszcza, a broniąc się przed tym zarzutem, mówi, że religia chrześcijańska w stosunku do żydowskiej jest „rozwojem i wykwitem". Jeżeli tyle tylko jest wyższym chrystyanizm od judaizmu, to całkiem źle. Wszak rozwój i wykwit ma się do podstawy tak, jak kwiat i owoc do nasienia, t. j. potencyonalnie w niem się zawiera; i trzeba tylko odpowiednich warunków, by się rozwinął. A więc podług ks. Trzeciaka chrystyanizm jest tylko naturalnym rozwojem religii żydowskiej, Chrystus zwykłym tylko reformatorem religijnym i nic więcej.

Tę myśl obok wielu innych nieoględnych zdań potwierdza i to ze wstępu książki: „Wiele również z naszych dogmatów czy praktyk religijnych zupełnie w innem przedstawi się nam świetle, jeśli poznamy ich źródło, przyglądniemy się ich ewolucyi". Słowa „w innem świetle" bardzo są niewyraźne i niewiadomo czego chcą, a „przyglądniemy się ich ewolucyi" w danym wypadku całkiem błędne. O ewolucyi bowiem tego, co jeszcze się nie narodziło, mówić nie można. Dogmaty zaś chrześcijańskie za czasów Chrystusa Pana tylko powstają, rodzą się samoistnie, a nie rozwijają się z czegoś. O ewolucyi możnaby mówić potem, ale ks. Trzeciak nie pisze dzieła o rozwoju dogmatów, lecz o literaturze i religii za czasów Chrystusa Pana.

I tak mamy wnioski najmniej pożądane dla autora. Dlaczego? Czy dlatego że wyrywamy, przekręcamy i naciągamy zdania? Wcale nie. Stwarzajmy najwygodniejsze pozycye dla autora, zawsze doznamy takiegoż wrażenia. Nie nasza tu wina, lecz samego dzieła, zwłaszcza jego metody naukowej. Cechami bowiem studyum naukowego muszą być:

1 jasność i wyrazistość w postawieniu kwestyi i odróżnianie rzeczy istotnych od drugorzędnych;

2 spokój i logiczność w rozumowaniu celowem i pochodząca stąd ścisłość w wyrażaniu się;

3 krytycyzm w przyjmowaniu poglądów cudzych i stawianiu własnych. Tego wszystkiego, jak wspomniałem w recenzyi, brak w dziele ks. Trzeciaka. Autor kwestyi jasno nie stawia. Zamiast spokojnego wykładu, pisząc o literaturze i religii żydowskiej współczesnej Chrystusowi Panu, polemizuje z „pewnym judaizantem" z XX w., idzie niewolniczo w wielu razach za Schürer'em i Harnack'iem, wyraża się nieściśle i dlatego pomimo najszczerszych chęci nie daje nam jasnych pojęć o Chrystusie i o chrystyanizmie, a tylko wprowadza w zaczarowane koło zagadnień i problemów bez wyjścia. A szkoda wielka! Tak obfity materyał, jaki jest w dziele ks. prof. Trzeciaka, gdyby był opracowany naukowo i z pewnemi dystynkcyami, (których — jak widać — autor nie lubi, II, 50), mógłby być rzeczywiście wzorem i zachętą do pracy nad studyami biblijnemi.

Po tych uwagach natury istotnej uważam za zbyteczne odpowiadać na wszystkie punkty i zdania, zawarte w sprostowaniu, albowiem one niemal wszystkie albo zawierają się w powyższem, albo istotnego nic nie poruszają, albo wcale do rzeczy nie należą. Zaznaczam tylko, że autor zwykle sam potęguje moje zarzuty, by było łatwiej je odeprzeć i mnie zdyskredytować, i dlatego bardzo niesmacznie porównuje mię z Niemojewskim, udziela lekcyi rozumu, uczciwości, znajomości Pisma św., bezstronności, geografii i sam przez to sobie szkodzi. Tak n. p. każdy chyba rozumiał, w jakiem znaczeniu wspominałem o napisie „Bogu nieznanemu", każdy wie, że cudzysłów dla najrozumniejszego nawet oznacza tylko cudze słowa, że całej książki w recenzyi zacytować nie można, że Azyą Mniejszą dawniej w przeciwstawieniu do Babilonii nazywano tylko Azyą. Zresztą tak przecie rozumiał i sam ks. Trzeciak, kiedy w t. II, 93 wyraźnie napisał: „kult ich (Plejad babilońskich) rozszerzył się później w Azyi"...

Złośliwość jest mieczem obosiecznym i najczęściej szkodzi tym, co się nią posługują.

Ks. Jan Wasilewski.

Druk ukończono dnia 21 maja 1912 r.

Wobec propagandy schizmy w Galicyi.

(Na podstawie autopsyi).

Przed kilku miesiącami społeczeństwo zarówno polskie, jak i ruskie w naszym kraju stanęło wobec smutnego faktu masowej apostazyi od Kościoła kilku wsi unickich i wobec zapowiedzi, że schizma dalej szerzyć się będzie. Od czasów ugruntowania unii w dyecezyach ruskich obecnej Galicyi, t. j. od początku XVIII wieku, podobno to pierwszy groźniejszy zamach na jedność kościelną. Była wprawdzie w r. 1882 schizma hnilicka, spowodowana wichrzeniami z zewnątrz kraju i zdradą ks. Naumowicza, lecz dzięki energicznemu wystąpieniu władz kościelnych i świeckich, zbałamucony lud pod wpływem odprawionych dlań misyi pojednał się z Kościołem. Lat temu dziewięć zgłosiła pewna liczba ruskich włościan ze wsi Załucza nad Czeremoszem swoje przystąpienie do wyznania grecko-oryentalnego, lecz fakt ten nie miał żadnego ideowego podłoża ani usprawiedliwienia i nie groził dalszem szerzeniem się schizmy. Był on jedynie rezultatem zatargu ludności z Ordynaryatem w Stanisławowie o nominacyę nowego proboszcza [1].

[1] Podczas gdy po śmierci parocha Sabata zięć jego ks. Jurjewicz miał wszelkie nadzieje odziedziczyć po teściu probostwo i w tym celu czynił zabiegi w parafii, prezentę otrzymał ks. Salij, syn nielubianego we wsi ekonoma dworskiego, wywołując tym sposobem opór parafian wobec władzy kościelnej. Wyzyskał ten zatarg w swych celach radykał Trylowski i podszepnął ludowi sposób postawienia na swojem — przyjęcie schizmy, ale praca późniejszych zarządców parafii, misya odprawiona w r. 1904 przez OO. Bazylianów i najlep-

Lecz oto w jesieni zeszłego roku wybucha schizma naraz na kilku miejscach i to jako ruch z góry uplanowany i celowo zorganizowany. Zjawiają się jednocześnie popi schizmatyccy Hudyma, Iłeczko, Sandowicz, nieco później Cymbała, wszyscy pochodzący z Galicyi, synowie unitów i sami do niedawna unici, a Hudyma i Sandowicz — kandydaci do stanu kapłańskiego, i organizują ośrodki prawosławia w różnych punktach kraju. Iłeczko osiada w Sokalskiem, Sandowicz na Łemkowszczyźnie, Hudyma bierze pod swoją opiekę opornych Załuczan, Cymbała wreszcie agituje w Złoczowskiem. Starostwa zasypano zgłoszeniami o porzuceniu unii z Kościołem katolickim. Apostołowie owi obiecują, że w krótkim czasie zastępy ich się znacznie zwiększą przez przybycie nowych misyonarzy „prawosławia".

Sytuacya staje się zbyt poważną, by ją wolno było społeczeństwu katolickiemu bagatelizować. Pożar, jaki wybuchł, trzeba starać się ugasić. A nie tylko ugasić, ale i na przyszłość przed nową katastrofą trzeba się zabezpieczyć. Niebezpieczeństwu jednak nie da się zaradzić, dopóki nie uświadomi się sobie całego kompleksu przyczyn tegoż niebezpieczeństwa.

Skąd w Galicyi zjawiło się odstępstwo od Kościoła setek dusz? Z tem pytaniem zwracałem się osobiście do całego szeregu wybitnych przedstawicieli cerkwi ruskiej, zaliczających się przytem do różnych politycznych obozów. W odpowiedzi wskazywano mi niezmiennie, jako na dwa bezpośrednie narzędzia propagandy schizmatyckiej, na agitacyę idącą z Rosyi, zwłaszcza z monasteru Poczajowskiego i na szkodliwy wpływ Ameryki. Nie trudno spostrzedz, że dwa te źródła w gruncie rzeczy redukują się do jednego, w Ameryce bowiem działa też sama ręka, co i na Wołyniu lub Podolu rosyjskiem.

Zacznijmy od Ameryki. Pomimo, że emigracya rdzennych Rosyan do Ameryki nie jest zbyt wielką, a i ci Rosyanie, którzy tam idą, w wielkiej części należą do staroobrzę-

szy pacyfikator — czas uspokoiły wzburzone umysły i odstępcy jeden po drugim wracali do Kościoła, oprócz garstki zaciętych w swym uporze. W każdym razie zdawało się, że to zło, czysto lokalne, nie wyrządzi większego spustoszenia.

dowców, duchoborów i innych sekt, ustanowionemi zostały w samych Stanach Zjednoczonych przez Synod petersburski aż trzy biskupstwa prawosławne (arcybiskup i dwaj sufragani),[1] których zadaniem, jednem z ważniejszych, jest sprowadzić do owczarni wschodniej „oderwanych przemocą" przez łacinników Rusinów. Biskupi ci, choć na terytoryum obcem, stoją jednak w bezpośredniej zależności od Synodu petersburskiego zupełnie narówni z biskupami dyecezyi rosyjskich, z Petersburga otrzymują wskazówki i zasiłki, w liturgii swej wymieniają Synod i dom panujący rosyjski. Misya ta amerykańska poczęła spełniać swe zadanie „wozsojedinienia" unitów już około 1890 roku, kiedy ruski ksiądz z Węgier Aleksy Towt zdradził Kościół katolicki, oddając się ze swą parafią w Minneapolis pod jurysdykcyę prawosławnego arcybiskupa w San-Francisco. Odtąd dzieło „wyzwalania unitów z papieskiego jarzma" szło raźnym krokiem i już na początku 1906 r. liczono takich konwertytów 11 tysięcy, a do chwili obecnej liczba ich zapewne się podwoiła,

[1] Początek prawosławnej misyi w Ameryce Północnej sięga końca XVIII stulecia, kiedy po zbadaniu przez kapitana Beringa (w latach 1730—1740) nazwanej później jego imieniem cieśniny między lądami azyatyckim a amerykańskim, jak również wysp na morzu Beringa położonych, Rosya rozszerzyła na te kraje i zachodnio-północny kąt stałego lądu Ameryki swoje panowanie i operacye handlowe. W r. 1795 i następnych latach kilku mnichów klasztoru Balaamskiego (na wyspie jeziora Ładogi) wyruszyło na daleki ten Wschód w charakterze misyonarzy, ochrzciło kilka tysięcy Aleutów i pobudowało parę cerkwi na wyspie Kadjak i indziej. R. 1799 w Irkucku konsekrowano mnicha Joasafa na pierwszego dla tych krajów biskupa, który jednak zginął na morzu, nie dojechawszy do swej owczarni. Dopiero w r. 1840 misya otrzymała biskupa w osobie Innocentego (późniejszego metropolity moskiewskiego † 1879) i odtąd hierarchia prawosławna trwała nietylko do czasu odstąpienia przez Rosyę Alaski Stanom Zjednoczonym (w r. 1867), ale i później. Zresztą do biskupstwa tego, nazwanego Kamczatskim, Kurylskim i Aleuckim należała i Wschodnia Syberya z miastem Jakuckiem. W r. 1871 katedrę arcybiskupią już przeniesiono do San-Francisco, a r. 1903 do Nowego Jorku, dodając mu sufraganie jedną w Alasce, a drugą w Brooklynie dla prawosławnych Syryjczyków. Od. r. 1891—1898 arcybiskupem prawosławnym w Ameryce był Mikołaj, obecny arcybiskup warszawski, który niedawno zasłynął ze swej mowy w Radzie Państwa, gdzie powiedział, że powołaniem państwowości rosyjskiej jest sprawosławić wszystko, co nie jest prawosławnem i zrusyfikować wszystko co nie rosyjskie. Wiadomości dotyczące historyi i obecnego stanu misyi rosyjskiej w Ameryce czerpię z archim. Anatoliusza *Amerikanskije oczerki*. Odessa 1907.

jeśli nie potroiła, podczas gdy samych Rosyan prawosławnych w tymże roku 1906 liczono w archidyecezyi zaledwie 2138 dusz.

Co to są ci unici, porzucający w Ameryce unię, i dlaczego ją porzucają? Są to emigranci z Galicyi i Węgier, szukający kawałka chleba w Nowym Świecie. Są to przeważnie nasi Łemkowie, Huculi, Bojkowie, których nieurodzajna gleba Karpat masami za morze wypycha. Dlaczego odstępują Unii? Działały tu i działają różne przyczyny: początkowo brak kapłanów unickich, niekiedy zatargi z biskupami katolickimi, do których, jako obcych obrządkiem i narodowością, z nieufnością się odnoszono; w ostatnich czasach po daniu Unitom przez Stolicę św. własnego biskupa w osobie ks. Sotera Ortyńskiego, wyzyskano okoliczność, że biskup ten nie uzyskał niezależnej jurysdykcyi, lecz został postawiony w zależność od biskupów łacińskich, jak również, że bullą papieską odjęto kapłanom prawo bierzmowania. Wszystkich tych i tym podobnych pretekstów użyła wroga katolicyzmowi a posiłkowana przez misyę rosyjską prasa ludowa, by wykazać rzekome poniżenie unii i zwrócić lud ruski ku „cerkwi pradziadów". Ubocznie przygotowywała grunt pod posiew schizmy nawet radykalna prasa ukraińska w Ameryce, która lat temu kilka otwarcie wypisała na swoim sztandarze hasło: Precz z Rzymem! („Swoboda"), obiecując założyć jakąś niezależną tak od Rzymu jak i od Petersburga cerkiew. Niemały, niekiedy decydujący wpływ złego przykładu na lud musieli wywrzeć i ci kapłani uniccy, wyrzucone szumowiny ze Starego kraju, którzy śladami wyżej wzmiankowanego Towta zdradzili Kościół. Zrobiła wreszcie swoje i kwestya materyalna, tak wielką, jak wiadomo, w życiu i przekonaniach chłopa grająca rolę. Wiadomo, że w Ameryce utrzymanie kościołów i duchowieństwa wszelkich denominacyi wyznaniowych, nie posiadających ani żadnych dawnych nadań, ani subwencyi ze strony państwa, spada całkowicie na wiernych, zmuszonych wnosić opłaty czyto w formie stałego podatku, czy w formie taks za krzesła w kościele, lub za spełnianie poszczególnych funkcyi religijnych. Oczywiście i obrządek grecko-katolicki nie stanowi pod tym względem wyjątku. Pewien wyjątek jednak stanowi prawo-

sławie: subwencyonowane szczodrze przez Rosyę, może ono albo całkowicie albo w znacznej mierze zwolnić swych wyznawców od uciążliwych opłat na cele kościelne. Łatwo sobie wyobrazić pokusę, jakiej ulega dość zmateryalizowany chłop ruski, skoro mu obiecują, że na cerkiew nie będzie potrzebował płacić, a w dodatku chrzty, śluby i pogrzeby mieć będzie za darmo.

W rezultacie tych wszystkich przyczyn mamy fakt, że kilkanaście, czy nawet więcej tysięcy Rusinów unitów dało się oderwać od Kościoła, że są zorganizowani już w liczne parafie, że mają swoje szkoły, swoje bractwa, swoje dość liczne pisma, wydawane w języku ruskim, choć z przymieszką rosyjskiego, pisma takie jak *Amerykańska Ruś*, *Postup*, nawet niby humorystyczny *Mołot* i inne. A pisma te prowadzone jużto przez rosyjskich misyonarzy, jużto przez ex-unickich księży zieją nienawiścią do Kościoła katolickiego i jego nauki i przepełnione są napaściami na papieża, na biskupa Ortyńskiego, na księży unickich w Ameryce i w Starym kraju, zohydzając ich w najbrutalniejszy sposób słowem i karykaturą.

Otóż z tego najpierw źródła płynie schizma do Galicyi i na Węgry. Emigranci ruscy są w ciągłym kontakcie ze swemi rodzinami w Starym kraju, niektórzy przysyłają im pieniądze, inni sami po pewnym czasie wracają, komunikacya listowna nie ustaje nigdy. Razem z dolarami idzie na Łemkowszczyznę i w inne okolice Rusi i ohydna gazeta schizmatycka z Ameryki i książka opowiadająca o „podstępach", jakimi rzekomo unię kościelną zaprowadzano, a sławiąca wzniosłość prawosławia. Mówiono mi w Gorlickiem, że niektóre wsie Łemków są formalnie zasypane podobną literaturą. Antykatolickie broszury Małyszewskich, Naumowiczów i Kojałowiczów o Unii przychodzą z Petersburga czy Wilna *via* Ameryka. Pokazywano mi, jako *curiosum*, bogato oprawną księgę, w której kolumny tekstu jakiegoś dzieła katolickiego w języku angielskim powycinano w ten sposób, że usunięto sam tylko druk nie zaś czyste marginesy, do których powklejano karty z książek Małyszewskiego i Naumowicza obok pozostawionych z książki angielskiej katolickich ilustracyi. Obrazy Serca Jez., Matki Bożej i świętych

katolickich widocznie miały służyć agitatorowi do zalecenia wieśniakowi tej „harnoi knyżki".

Słyszeliśmy jednak, że propaganda schizmy idzie nie jedynie z Ameryki. Ma ona w rzeczy samej i bliższe drogi. Z Poczajowa zawsze żądnem okiem spoglądano na „Ruś podjaremną", pragnąc przytulenia jej do łona wspólnej matki Cerkwi synodalnej. Zakusy zaś propagandy zbiegały się z widokami politycznymi Rosyi i były i są popierane w odnośnych sferach. W latach ostatnich idea religijnego i politycznego wyzwolenia „Rusi zarubieżnoj" znalazła gorliwego opiekuna i niezmordowanego pracownika w osobie hr. Bobrińskiego, człowieka o charakterze impulsywnym, zapalnym, zdolnego włożyć całą swą duszę w sprawę, której się poświęcił. Pod jego egidą zakładane są w Rosyi oddziały Halicko-ruskiego stowarzyszenia, organizują się kółka niesienia pomocy pieniądzmi i książkami Rusinom galicyjskim, pragnącym zbliżenią się z Rosyą. Oczywiście na pierwszym planie stoją znowu wydawnictwa schizmatyckie, wymierzone wprost w Kościół katolicki i Unię. Propaganda idąca tą drogą ma swoich mężów zaufania w wielu miastach Galicyi, posługuje się uświadomioną w kierunku skrajnie rusofilskim młodzieżą akademicką. Zaręczano mi, że do wiosek unickich pod dokładnymi adresami chłopów, którzy żadnych bezpośrednich stosunków z Rosyą nie mają, nadchodzą pocztą przesyłki *Poczajowskiego Listka* i innych podobnych elukubracyi, nadawane w miastach galicyjskich. Jako jednego z takich propagatorów literatury schizmatyckiej wymieniano mi adwokata Kaczmarczyka w Gorlicach, uchodzącego zresztą urzędowo za katolika. Wyzyskując niewygasłe wśród ludu tradycye pielgrzymek do Poczajowa, z czasów kiedy ten ostatni był jeszcze w rękach katolickich, propagatorzy prawosławia organizują wycieczki zbiorowe chłopów do tego miejsca, jak również do kolebki ruskiego chrześcijaństwa Kijowa, gdzie pielgrzymi dowoli mogą się nasłuchać o wielkości i dobrodziejstwach wiary prawosławnej. Przy tak wytężonej agitacyi, jednocześnie z kilku stron prowadzonej, za cud największy trzebaby było poczytywać, jeśliby

lud nie był przygotowany na masowe przyjęcie schizmy w chwili sprzyjającej otwartej w tym kierunku akcyi.

Że masowe odstępstwo Unitów od Kościoła propagatorzy prawosławia uważają za całkiem możliwe a chwilę jego za wcale niedaleką, dowodzi narada, jaka, według urzędowych źródeł, które dostały się do naszych rąk, odbywała się w sekrecie 3-go sierpnia roku ubiegłego w klasztorze Poczajowskim. Radzono właśnie, już nie nad samą możliwością takiego odstępstwa, ale tylko nad sposobem wykonania tego zamysłu. W naradzie brali udział z Galicyi posłowie do Rady państwa Dr. Dudykiewicz i Dr. Markow (apostata, b. kapłan unicki), nadto redaktorzy *Prikarpatskoj Rusi* Dr. Hryniewiecki i Dr. Głuszkiewicz, z Rosyi zaś znany archimandryta Witaliusz, urzędnik ministeryalny do szczególnych poruczeń Razumowskij, prywatny sekretarz Bobrińskiego Bestużew i współpracownik *Nowawo Wremieni*, pochodzący z Galicyi Dr. Wergun. Podczas narady „Rosyanie galicyjscy" bez ogródki oświadczyli, że bez trudności możnaby mieć zaraz 20—30 gmin prawosławnych w Galicyi, jeśliby chodziło o demonstracyę, że jednak brak cerkwi i prawosławnego duchowieństwa krajowego, a niemożność wobec ustaw austryackich sprowadzenia duchownych z Rosyi pozbawiłyby prawosławie wszelkiej trwałości. Zgodzono się więc na to, że pierwszym realnym środkiem ma być przygotowanie w Rosyi wprawdzie, ale zwerbowanych z pomiędzy młodzieży galicyjskiej kadrów duchownych prawosławnych, którychby nie można było pozbawić prawa wyznawać i propagować jawnie swe przekonania religijne. Zaczątek takich kadrów misyonarzy tubylców już posiadano w wymienionych wyżej kilku popach, których też wkrótce wysłano do Galicyi; jednocześnie zaś poczęto werbować wśród ludu dziatwę na wychowanie i darmowe kształcenie w Rosyi, mianowicie w Żytomierzu, Poczajowie, Jabłoczynie i innych miejscach. Gazety lwowskie donosiły o paru takich wysyłkach chłopców do Rosyi; *Ruslan* podawał wstrząsający fakt ucieczki kilku takich wywiezionych chłopców z powrotem do domu, gdyż źle się im powodziło w rosyjskiej szkole, a właściwie u popa, któremu oddano ich w opiekę. To zresztą

ich uratowało przed tem, że może nie pomnożą już nigdy szeregów swojego rodzaju janczarów.

Z tego widać, że obietnice dotychczasowych misyonarzy prawosławia, iż wkrótce nadciągną posiłki w ludziach i pieniądzach, nie są czczą przechwałką. Mamy tu do czynienia z dobrze zorganizowanem najściem schizmy na lud unicki. Misya ta przytem rozporządza pieniędzmi na propagandę. Nie mając nadziei uzyskania na swą własność cerkwi unickich, gotowa jest budować własne świątynie. Tak n. p. zbuntowanym Załuczanom dostarczono już pieniędzy na budowę, parafian zaś z Gajów w Brodzkiem zapewniał sam Antoniusz, arcybiskup z Żytomierza, że na cerkiew dla nich znajduje się już u hr. Bobrińskiego suma 2.000 rub., którą ma pobrać Iwan Hnatiuk. Nietylko misyonarze: Hudyma, Iłeczko, Sandowicz, jak nas zapewniano, pobierają po 600 rs. kwartalnej zapomogi od nacyonalistów rosyjskich, ale i lud otrzymuje pieniężne zapomogi po 50—100 rubli, skoro oświadczy skłonność przyjęcia prawosławia.

Dotknęliśmy dotąd zewnętrznych źródeł schizmy. Lecz powstaje ważne pytanie, czy agitacya nacyonalistów rosyjskich z pod znaku Bobrińskiego, czy piśmidła schizmatyckie, czy ruble nawet zdołałyby wydrzeć ludowi wiarę, gdyby lud ten nie był już wcześniej w mniejszej lub większej mierze na to przygotowanym? Mówiliśmy o zgubnym wpływie wychodźców amerykańskich, którzy porzucili unię, na swych krewnych i sąsiadów w Starym kraju, lecz nasuwa się kwestya, jak mogli sami ci wychodźcy tak łatwo za morzem wiarę stracić, gdyby nie wynieśli jej osłabioną już z zagród swoich? Ruchy religijne nie zjawiają się jak *Deus ex machina* jedynie na skinienie ręki agitatora, choćby złotem sypiącej; jeśli w czem to w religii lud jest arcykonserwatywny i każda zmiana musi być powolnie i niewidocznie przygotowaną, zanim na zewnątrz się objawi. Musi, że zapożyczymy się u pewnego kierunku psychologii nowoczesnej — dokonywać się powolne przeobrażenie tam gdzieś w głębinach podświadomości duszy zbiorowej, zanim wybuchnie świadomym już siebie, ale naturalnym wynikiem. Tutaj pod-

chodzimy ku najprzykrzejszej części zadania — ku skonstatowaniu tych warunków i czynników, które zgotowały podatne dla propagandy schizmatyckiej podłoże.

— Moskalofile są winni temu, rozlega się z wielu stron oskarżenie, i nie tylko świeccy moskalofile, ale i duchowieństwo zaliczające się do tej partyi. „Chcesz widzieć schizmatyka? spojrzyj na moskalofila“ pisał *Misyonar* OO. Bazylianów. Moskalofile jednak protestują przeciwko temu oskarżeniu. Duchowieństwo zwłaszcza ze stronnictwa rusofilskiego uważa je za oszczerstwo. Wskazuje przytem na okoliczność, że wypadki masowego odstępstwa od wiary zaszły właśnie w parafiach, zarządzanych przez księży z obozu ukraińskiego. Załucze zostało zrewoltowanem przez ukraińskich radykałów i dopiero w ostatnich czasach ferment wyzyskała propaganda Bobrińskiego. W Grabiu na Łemkach proboszczem oddawna jest ukrainiec. W Cieląży w Sokalskiem przy staruszku proboszczu rusofilu faktycznie zarządza parafią pomocnik jego ukrainiec. Dlaczego, pytają, nie porzuca lud kościoła tam, gdzie pasterzuje kapłan o przekonaniach russkich? I gremium duchowieństwa lwowskiego, zaliczającego się do partyi rusofilskiej, w memoryale swym, podanym 2 lutego 1910 r. księdzu Metropolicie Szeptyckiemu zapowiadało, że Unii w blizkiej przyszłości grozi niebezpieczeństwo, jeśli ludność o przekonaniach russko-narodowych, jak rusofilstwo samo się określa, zostanie pozbawioną pasterzy tychże przekonań, na co się zanosi wobec zmniejszającego się ustawicznie procentu kleryków z tego stronnictwa.

— *Ex ore tuo te judico*, odpowiadają im antagoniści z obozu ukraińskiego. Właśnie najgorsze sobie świadectwo wystawiacie, ojcowie rusofile, jeśli lud tak usposobiliście, że skoro was zabraknie, gotów dla wszczepionej przez was chimery jedności narodowej z Rosyą wyrzec się wiary katolickiej. Widać, że polityka u was idzie przed religią. Że zaś w waszych parafiach niema odstępstw masowych, to dlatego, że nie chcąc was kompromitować wobec władzy dyecezalnej, agitatorzy przy waszem współdziałaniu całą energię wysilają w sąsiadujących z waszemi parafiach, gdzie proboszczami są ukraińcy, żeby

wzniecić zarzewie niezgody między pasterzem a parafianami. O was zaś mówią, że i tak należycie do nich, że czy „batiuszka“ z Rosyi, czy wy to wszystko jedno.

Słuchając tych wzajemnych zarzutów i potępiań, rzucanych przez przedstawicieli jednej partyi na przedstawicieli drugiej, obojętny i bezstronny słuchacz przychodzi wreszcie do przekonania, że ani na jednych ani na drugich całkowicie polegać nie może, że musi urobić sobie zdanie jakieś pośrednie, może więcej tej niż innej stronie sprzyjające, oparte jednak na głębszem wniknięciu w rzecz, bez zbytniego liczenia się z rzucanemi w ferworze polemiki oskarżeniami. Stanowisko takiego bezstronnego, obcego wszelkim politycznym czy innym wpływom i obrachunkom obserwatora i badacza, pragnęlibyśmy zająć i w niniejszym artykule. Jeśli temu stanowisku mimowolnie w czemkolwiek uchybimy, pragniemy, aby nam to wytknięto w spokojnej rzeczowej dyskusyi, niczego bowiem tak nie pragniemy, jak tego, żeby dyagnoza badanej przez nas choroby wypadła jak najzgodniej z prawdą.

Pragnący wziąć w obronę ogół rusofilskiego kleru przed zarzutem dążności czy choćby sympatyi ku schiźmie, natrafia na pewne dość wiele mówiące a niepomyślne dla tego obozu fakta. Przypomną mu się owi apostołowie prawosławia na Podlasiu w latach 1866—1875, którzy w pokaźnej, bo setki sięgającej liczbie wyszli z pośród kleru galicyjskiego i to właśnie z tych kół, których dogmatem jest jedność kulturalna i narodowa z Rosyą. Wzniecają również podejrzenia co do prawowierności księży rusofilów, zapewnienia ze strony nacyonalistów rosyjskich, że w Galicyi naliczyć można do 200 kapłanów unickich, gotowych na przyjęcie prawosławia, skoro warunki złożą się po temu. Dalej dają coś do myślenia fakta wysyłania przez niektórych księży rusofilów swych własnych synów i córek na wychowanie do Rosyi i to do środowisk nie obojętnych pod względem religijnym, ale wręcz między ludzi najbardziej wrogo usposobionych dla katolicyzmu, jakimi są nacyonaliści w rodzaju hr. Bobrińskiego lub biskupa Eulogiusza. Czy kto uwierzy łatwo, że ta młodzież dostatecznie została przygotowaną przez swych ojców, by zwy-

ciężyć pokusę odstępstwa od Kościoła, że tam, dokąd pojechała po nabycie wychowania iście rosyjskiego, będzie walczyć ze swem opiekującem się nią otoczeniem, by zapewnić sobie zaspokojenie swych potrzeb religijnych w kościołach katolickich, jakie tam są zarazem kościołami polskimi? A postępek takiego ks. Jaworskiego, który sam werbuje dziatwę wiejską, by ją wychować w Rosyi na apostołów prawdziwie „russkiej" wiary, czyż nie rzuca ciemnej plamy na cały kierunek i partyę, która takie okazy wydała? Możnaby tu mnożyć jeszcze zarzuty, n. p. przypomnieć gorliwe propagowanie czytelń im. Kaczkowskiego i wydawnictw tejże firmy, mimo że w tych wydawnictwach nie wszystko jest poprawne z punktu widzenia katolickiej ortodoksyi, patrzenie przez palce na takiego rodzaju literaturę ludową, jak *Russkoje Słowo*, jeśli już nie *Gołos Naroda*, na kalendarz *Hałyczanina*, gdzie historyę Unii przedstawiono w oświetleniu schizmatyckiem, na księgarnię Stauropigii lwowskiej, gdzie znajdują się książki nie samej tylko obojętnej treści (sam widziałem wystawione w oknie utwory schizmatyckie, n. p. książki Żukowicza o walce prawosławnej szlachty przeciwko unii) i t. d. Z tych i tym podobnych faktów łatwo wyprowadzić wnioski daleko idące, a obrońcy prawowierności rusofilstwa zamknąć usta. Mimo to nie chcemy uogólniać ani na najgorsze tłomaczyć tych objawów. Nie chcemy przypuszczać, aby ogół albo większość duchowieństwa rusofilskiego skłaniała się ku odszczepieństwu lub szczerze sprzyjała agitacyi schizmatyckiej. Pewne, bardzo poważne objawy, które niżej wymienimy, przemawiają przeciwko temu. Uważamy, że nie wolnem od złośliwości byłoby przypuszczenie, jakoby pewna obojętność i bierność przedstawicieli kleru z tego obozu na tendencye antykatolickie wśród świeckich żwolenników Rosyi była jakby rodzajem milczącego paktu, według którego działalność schizmatycka przechodzi w ręce świeckie, jako bardziej niezależne, przy cichej aprobacie zewnętrznie niby lojalnego kleru. Przekonani jesteśmy, że tak źle nie jest, że owszem ogromna większość kapłanów rusofilów w duchu potępia wszelką propagandę prawosławia, przez kogokolwiek prowadzoną i że jeśli nie dość energicznie ją zwal-

cza, to nie z sympatyi ku schiźmie, ale z pewnego oportunizmu, każącego klerowi nie zrywać stosunków z wybitnymi świeckimi wyznawcami tych samych politycznych przekonań.

Ale tu właśnie sedno kwestyi. Czy taki oportunizm w danym razie jest dopuszczalny, czy nie stanowi już zdrady powołania kapłańskiego? Czy nie w nim wreszcie kryje się częściowa przyczyna zła, o które nam chodzi, mianowicie powolnego przygotowania znacznej części ludu unickiego do odstępstwa od wiary ojców?

Nam się zdaje, że tak. Nie ostrzeganie, albo niedostateczne ostrzeganie ludu przed grożącem jego wierze niebezpieczeństwem, tembardziej, że to niebezpieczeństwo idzie od tych, których się uważa za oświatowych przewodników tegoż ludu, takie mówię zaniedbanie jest już pewną uboczną kooperacyą do złego, kooperacyą, której, gdy chodzi o wiarę, żadne względy oportunistyczne usprawiedliwić nie zdołają. A takie zaniedbanie się kleru rusofilskiego bynajmniej nie należy do legend. Z ust najpoważniejszych, od stojących ponad wszelkiemi podejrzeniami o stronniczość osobistości słyszeliśmy, że uświadamianie ludu o zasadniczej różnicy między Unią a rosyjskiem prawosławiem w kazaniach czy katechizacyach w parafiach rusofilskich należało a może należy jeszcze do wyjątków. Mówi się często „nasza russka wiara“ rozumiejąc oczywiście wiarę katolicką w obrządku wschodnim, czy jednak nie wywołuje taka zbyt ogólna nazwa fałszywych pojęć w umyśle prostaczków? czy nie przeciwstawiają oni wtedy russkiej wiary wierze polskiej, wnioskując, że to są chyba dwie różne wiary? czy znowu z określnika „russka“ nie skłonni są do wnioskowania o wspólności wiary z Rosyanami, zwłaszcza jeśli się przyzwyczaja lud do wnioskowania z tegoż określnika o jedności kulturalnej i narodowej? Może kto powie, że i księża ukraińcy nie grzeszyli zbytkiem uświadamiania katolickiego swych parafian. Na to jednak pozwolę sobie zauważyć, że w ich obozie już samo wpajanie w lud przekonania o odrębności narodowej Rusinów od Rosyan ubocznie służy poniekąd i wyrobieniu przekonania o różności wiary, podczas gdy w obozie rusofilskim

rzecz się ma odwrotnie. Nie zapominajmy bowiem, że lud z trudnością wielką rozróżnia między wiarą a narodowością; widzimy to wszędzie, nie tylko na Rusi. Dlatego już sam zasadniczy dogmat rusofilstwa, dogmat jedności narodowej z Wielkorosyanami, stanowi poważne niebezpieczeństwo dla wiary katolickiej. Wszak i z tamtej strony, w Rosyi, nie rozumieją tej jedności jako zespolenie się tylko językowe i kulturalne, ale żądają zjednoczenia religijnego. Wszak w imię jedności narodowej zniszczono w państwie carów unię brzeską. Oczywiście takie łączenie kwestyi narodowościowej z kwestyą religijną nie może się ostać wobec ścisłej myśli; my dobrze rozumiemy, że możnaby być najlepszym Rosyaninem, a jednocześnie najgorliwszym katolikiem, lecz pamiętać musimy, że masy nie tylko ciemnego ludu, ale i klas wykształconych nie zadają sobie trudu na ścisłe myślenie i dystynkcye, i że my nie z filozofami, ale z masami mamy do czynienia. Dlatego też śmiemy twierdzić, że do ciągłego podkreślania różności wiary unitów a schizmatyków, do ciągłego uzasadniania i nieustannej obrony zasad wiary katolickiej, w większej niż inni mierze byli i są obowiązani właśnie kapłani podzielający przekonania tego stronnictwa, które dzięki swemu zasadniczemu dogmatowi stwarza niebezpieczeństwo dla katolickiej wiary. Czy może ogół duchowieństwa rusofilskiego z czystem sumieniem powiedzieć sobie, że w miarę jak kładł na jednej szali swe wpływy i pomoc w kierunku uświadamiania o jedności narodowej Wszechrosyi, na drugą szalę rzucił wystarczający przeciwciężar dokładnego katolickiego uświadomienia ludu? Czytelnicy moi łatwo zrozumieją, że nie chodzi mi tutaj o sympatye dla tego lub owego ze stronnictw ruskich; pragnę pod tym względem być jaknajzupełniej neutralnym; rozpatruję rzecz tylko z punktu wymagań wiary i Kościoła katolickiego.

Bałamuctwo powiększa taki niewinny wyraz, jak „prawosławny", używany podczas liturgii świętej. Nie jestem bynajmniej za zmianą tego wyrazu na inny, jak to czyniono już tu i owdzie. Stolica święta również wyraźnie wypowiedziała już swe zdanie

negatywne. Ale czy niebezpieczeństwo, jakie i z tego wyrazu wynika dla ludu, który wie, że i cały naród rosyjski za prâwosławny się uważa, a zatem wnioskuje, że i tu i tam jedna wiara, tylko tam jeszcze „twardsza" — czy to niebezpieczeństwo — mówię — nie nakłada ścisłego obowiązku, by dwuznaczny wyraz często tłomaczyć ludowi w katolickim sensie? A nawet powiem więcej, czy nie zabrania to niebezpieczeństwo pewnego akcentowania „prawosławia" przez używanie tego wyrazu nawet tam, gdzie go nie żąda bynajmniej rytuał, n. p. w dodatkowych poza liturgią nabożeństwach, a tembardziej w prasie i przemówieniach, co jednak wielu księży czyni? Jaka potrzeba odróżniania się tą nazwą i od kogo? Chyba nie od Rosyan, boć oni na wyłączną własność w użyciu codziennem nazwę tę przyswoili. Chyba nie od łacinników, boć to byłoby już herezyą, więc od kogo? Czy nie należałoby raczej częściej używać nazwy „katolika", najlepiej odgradzającej od schizmy a podkreślającej jedność z Rzymem, i to używać nie w pisowni greckiej, brzmiącej odmiennie (kafolik), lecz tak, by ucho ludu odczuło, że to ta sama nazwa, jaką posługują się bracia po wierze łacinnicy? Są to drobiazgi, zapewne, ale nie możemy ich lekceważyć, jeśli one w oczach ludu ważną odgrywają rolę.

Przejdźmy teraz do kwestyi nowych nabożeństw, gdyż w stanowisku, jakie zajęła w niej większa część duchowieństwa rusofilskiego, upatrujemy również jednę z poważnych przyczyn zbyt niskiego katolickiego uświadomienia ludu. Kapłani rusofile, z nielicznymi wyjątkami, pod względem kwestyi obrządkowej stoją na stanowisku krańcowego konserwatyzmu i zasady czystości obrządku greckiego. Sprawiedliwość wyznać każe, że podobne stanowisko zajmują i niektórzy z szeregów duchowieństwa ukraińskiego, nie jest to jednak cechą znamienną ich partyi, jak jest cechą znamienną partyi rusofilskiej. Z tej zasady wychodząc, tacy kapłani-obrzędowcy, że nazwiemy ich tak, nie tylko że opierają się sami przyjęciu do swego obrządku takich praktyk, jak majowe nabożeństwa, jak kult Serca Jezusowego, jak różaniec i noszenie szkaplerzy, jak pewne bractwa i związki pobożne w rodzaju n. p. Apostolstwa modlitwy, upatrując

w nich skażenie obrządku greckiego, ale nadto, oglądając się na przeszłość, radziby usunąć z obrzędów świętych te i inne osobliwości, zapożyczone w ciągu ubiegłych wieków z obrządku łacińskiego, albo takie, które zapożyczonemi im się wydają, a powrócić do pierwotnej czystości obrządku greckiego. Tu i ówdzie coś się w tym kierunku czyni, że wspomnę jeden szczegół — usuwania puryfikaterza, a wprowadzania gąbki do wycierania kielicha i pateny.

(Dok. nast.).

Ks. J. Urban.

ŻYWY POMNIK NA ROCZNICĘ SKARGI.

Odpowiednio do charakteru i działalności Skargi postanowiono w łonie społeczeństwa naszego pamiątkę obchodu rocznicy Jego utrwalić pomnikiem żywym, odpowiadającym mianowicie potrzebom warstw, dla których orędował i działał praktycznie. Z powstałych projektów dwa wcielają się w życie: Bursa dla młodzieży we Lwowie i Dom dla młodzieży rękodzielniczej w Krakowie.

Dom w Krakowie to pierwszy ważny dokument kierunku, jaki na wstępie uwydatnił dosadnio nowo przybyły arcypasterz, znany już z dawnych lat z społecznej pracy w duchu chrześcijańskim; stanowi on i program i wzór pracy nad młodzieżą najliczniejszą, najwięcej dotąd opuszczoną, a decydującą pod wielu względami co do przyszłości społecznej i gospodarczej kraju.

Ale sprawa organizacyi młodzieży warstw pracujących to problemat pierwszorzędnej wagi dla katolicyzmu wogóle, a w szczególności dla katolicyzmu naszego kraju — problemat nie dość jeszcze, jak należy, traktowany i zrozumiany przez tych, którzy dla dobra Kościoła i społeczeństwa czują się zobowiązani działać i w imieniu ich występować.

* * *

Synowie warstw zamożniejszych, uczęszczający do szkół średnich, otrzymują w okresie dojrzewania naukę wiary i obyczajów, mają osobną duszpasterską opiekę dokładnie uregulowaną z nabożeństwami i peryodycznem przystępowaniem do Sakramentów — o ile — co się w znacznej ilości wypadków

zdarza, nie przebywają w gimnazyach pod zarządem zakonów. Na uniwersytecie mają czas potrzebny do praktyk religijnych i łatwość spotkania się z książką, traktującą problematy religijne, czy też z wykładem z dziedziny filozofii chrześcijańskiej lub aktualnych zagadnień religijnych — a jednak społeczeństwo nie uważa za rzecz zbyteczną, iż studenci i akademicy tworzą osobne stowarzyszenia celem rozwoju ducha religijnego i pielęgnowania obyczajów.

Synowie tychże warstw nie cierpią niedostatku, mają mieszkania uwzględniające wymagania hygieny, ochronione przed wpływem czynników niemoralnych, nie są narażeni podczas nabywania nauk na oddziaływanie wywrotu społecznego, a nawet mocą swego położenia gospodarczego i stanowiska społecznego nie są przystępni reakcyi na zgrzyty i fermenty społeczne: mają sposobność utwierdzić się w przekonaniu, że do naprawienia harmonii w ustroju społecznym potrzeba reform nie rewolucyi, sami mogą z łatwością zdobywać sobie upragnione stanowisko, wiedząc, że każde napięcie energii z ich strony spotka się z uznaniem i sukcesem — a jednak społeczeństwo w obawie, czy młodzież warstw inteligentnych wyjść zechce na użytecznych obywateli kraju, pragnie, aby łączyła się w związki akademickie o charakterze narodowym i programie pracy społecznej w obrębie obecnego ustroju społecznego, aby poznała prawa i obowiązki względem siebie, swego zawodu, społeczeństwa, kraju i gotowała się zarazem do ich wypełnienia.

Zupełnie inaczej zachowuje się dotąd społeczeństwo nasze wobec dorastającej młodzieży ludowej.

Z chwilą opuszczenia szkoły ludowej nie stara się ogół o specyalną opiekę i o rozwój pojęć społecznych tejże młodzieży. Chłopiec z warstw ludowych nie słyszy wykładów religii zastosowanych do pojęć jego w miarę ich rozwoju, nie ma częstokroć możności uczęszczać nawet na ogólne nabożeństwa, nie doznaje podniety do przystępowania do Sakramentów. Natomiast skazany jest na stykanie się codzienne z brutalnymi stosunkami życia, na życie w otoczeniu wręcz niebezpiecznem jego obyczajom, a najczęściej i na niedostatek. W latach, kiedy najwięcej światła i pomocy potrzebuje — najwięcej

jest opuszczony i zagrożony. W przeważnej liczbie wypadków mieszka i pracuje poza domem, w domu oparcia znaleść częstokroć nie może, a tam gdzie przebywa, oddziaływuje nań niekulturalność majstrów, cynizm współpracowników starszych, dokucza mu zależność od nich, przygnębia brak instancyi w razie doznania przykrości lub krzywd.

Upośledzenie, lekceważenie doznane, smutne widoki co do przyszłości, aby mógł zostać samodzielnym, założyć ognisko rodzinne, stworzyć własny warsztat pracy, wywołuje wrażliwość na nadzieje w inny ustrój społeczny.

To znów zapędza go w szeregi wydziedziczonych z dóbr kultury i szczęścia osobistego, zgorzkniałych, skrzywdzonych, obiecujących sobie tylko po zniweczeniu obecnego porządku społecznego lepsze warunki bytu i rozwoju dla jednostki i zawodu. I takiemu chłopcu ani Kościół matką, ani naród ojcem, ani inne stany braćmi, ani Bóg i ojczyzna gwiazdami przewodniemi — proletaryat staje się mu wszystkiem — proletaryat bez religii, bez ojczyzny, bez domu, bez własności... proletaryat staje się matką, bratem, przyjacielem, żywiołem, w który on się wciela, a przewodnikiem w życiu jego ten, kto jego bóle, smutki, niedostatki, tęsknoty zna, kto z ust wyjmuje mu skargi i w jeden okrzyk skupia goryczy, gniewu i zemsty razem z głosami tysięcy towarzyszy niedoli...

Czyż wobec tego strasznego faktu niema środka do zachowania tej młodzieży i tego stanu dla społeczeństwa, narodu, religii?! Czy tak będzie nadal, że coraz więcej tracić będziemy, a socyalizm i anarchia coraz więcej zyskiwać! — czy niema sposobu, aby ten stan rozwijał się prawidłowo z korzyścią dla siebie i dla ogółu?!

Taki środek istnieje i to środek znany i wypróbowany w społeczeństwach, w których katolicyzm dzisiaj coraz widoczniejszą staje się potęgą i w sobie i jako czynnik rozwoju kulturalnego w kraju.

Środkiem tym to osobne organizacye młodzieży rękodzielniczej. One dają sposobność dalszej nauki religii, wyro-

bienia charakteru, nabycia wedzy ogólnej i zawodowej wyższej, one uszlachetniają instynkty i obyczaje, szczepią cnoty zawodowe i społeczne, uzdalniają do wzięcia udziału w życiu publicznem, tworzą z każdego młodzieńca nowe ogniwo całości, skuwają je ze społeczeństwem, budzą i rozwijają świadomość współnależności z narodem wspólnością praw i obowiązków, dążności, interesów, bólów i zdobyczy.

Bo w organizacyach tych spotykają się interesy Kościoła z interesami jednostek, zawodów, społeczeństwa, narodu, kultury ogólnej.

Organizacya ta daje najsamprzód Kościołowi sposobność do wypełnienia swego zadania wobec jednostek należących do stanu rzemieślniczego i robotniczego względem apostolstwa prawdy.

Każdy człowiek podlega bezustannemu rozwojowi. Kościół więc nie może w szkole choćby przez szereg kilku lat dać pewnej sumy prawd, któreby starczyły na całe życie — nie wystarcza też, jeśli człowiek w dalszem swem życiu słyszy najważniejsze, ogólne prawdy: — im mniej jest inteligentny i im mniej ma czasu do zajmowania się i stosowania tych prawd, tem więcej prawdy głoszone muszą być ukształtowywane do jego pojęć i potrzeb, jeśli ma je strawić i obrócić na swoją korzyść. Niewątpliwie potrzebne są młodzieńcowi 16, 18, 20-letniemu w istocie te same prawdy, jakie słyszał w szkole, ale podane mu być one muszą z głębszą argumentacyą i w innem oświetleniu. Wiele prawd, jakie słyszał dzieckiem, nie miały jeszcze dlań tej aktualnej wartości jak później w życiu, gdy zaczął myśleć, walczyć i cierpieć, gdy uznał potrzebę steru i kotwicy i gwiazd przewodnich. Istnienie Boga, sprawiedliwość rządów Jego nad światem, Opatrzność, nieskończona dobroć Boża razem z istnieniem zła na ziemi, nieśmiertelność duszy, powstanie religii, bóstwo Chrystusa, charakter i działanie chrześciaństwa w dziejach, zadanie, zajęcie i życie duchowieństwa w obecnej dobie — te i dziesiątki innych kwestyi przystępują teraz do terminatora, czeladnika czy młodego robotnika i zupełnie inaczej poruszają duszę niż nierozbudzoną duszę dziecka. A te i tyle innych zagadnień muszą być traktowane, wątpliwości muszą być usunięte, prawdy przymocowane,

argumenty dane do ręki do walki z przeciwnikami religii, bo inaczej oni go pobiją i zabiorą w niewolę.

Że Kościół nie stracił obowiązku względem szerzenia wiary, gdy chłopiec wyszedł ze szkoły, że musi iść za nim, śledzić jego rozwój osobisty i światło słać do duszy — to rzecz jasna — tak jak rzeczą jest wiadomą, że trzeba te zagadnienia traktować w ścisłem uwzględnieniu stanu umysłowego i stosunków społecznych, w jakich się młodzież ludowa znajduje — do tego stosować nauki dogmatyczne i apologetyczne. A do tego niezbędną jest organizacya stanowa, powodująca zebrania o ile możności kompletne młodzieży całego miasta na konferencye czy na wykłady w stowarzyszeniu. Zebrania te zaś muszą mieć osobny własny przytułek.

I druga dziedzina działalności Kościoła: uobyczajenie, znajduje najodpowiedniejszy teren w stowarzyszeniu.

Dwa objawy mianowicie winny być traktowane szczegółowo: wzmagająca się z wiekiem chęć używania, oraz budzący się instynkt płciowy. Najrozmaitsze czynniki składają się na przeszkodzenie prawidłowemu rozwojowi obyczajów chłopca z ludu. Nędzne mieszkanie, złe odżywianie się, ujemne warunki pracy, niedostateczna odzież, zwyczaje napotykane prowadzą do używania narkotyków, tytoniu i alkoholu. To już drażni popędy płciowe i osłabia wolę. Następnie zajęcie przy pracy, wysoka atmosfera, połączona z wyziewami ludzkimi, z wpływem chemikaliów czy korzeni, wspólna praca w otoczeniu drugiej płci, częstokroć ubranie przy pracy, wpływy złych stancyi, rozmowy towarzyszy, opisy gazet brukowych, widoki przedstawień rozmaitości, kinematografu, pocztówek, fotografii, ilustracyi — powoduje wycieńczenie fizyczne, choroby płciowe lub tragiczne następstw konflikty i zobowiązania. Wszystko to zaś osłabia chęć odpowiedzialności za swoje czyny, obniża poczucie godności i ambicyi, a pod względem materyalnym powoduje koszta, przechodzące zwykle dochody młodzieży. Skutkiem tego rozrywki i przyjemności wywołują pokusę siągania po własność cudzą, a pokonanego przyzwyczajają i zniewalają do systematycznego okradania pracodawcy. Zdarza się to przedewszyst-

kiem w przedsiębiorstwach prowadzonych razem z otwartym sklepem, ale także i we wszystkich innych.

To odbieżenie od ogólnie przyjętych i przez chłopca dotąd wyznawanych pojęć moralnych ułatwiają mu oprócz złych przykładów zdania, będące w obiegu, a sprzeciwiające się odpowiedzialności za złe i dobre, głoszące niemożność lub szkodliwość hamowania popędów natury, to znów nieprawność własności prywatnej.

Wszystko to są kwestye, o których chłopcu ledwo można było wspomnieć w szkole, a które teraz w wieku dojrzewającym wymagają bardzo specyalnego traktowania przez osobnych pedagogów, psychologów i lekarzy i dziesiątków subtelnie opracowanych nauk i wykładów, na osobnych zebraniach, w osobnej sali.

Jeśli zaś już dogmatycznych spraw nie można w odpowiedniem zastosowaniu traktować z ambony wobec ogółu niedobranego słuchaczy, to tem mniej zagadnień moralnych, które w szczegółach przedstawione nie zajmują lub gorszą nie dotknięte nimi kategorye słuchaczy, w ogólnikach traktowane dla nteresowanych nie przynoszą potrzebnych korzyści.

Pomija się zaś już zupełnie fakt, że na kazania miewane o zwykłej porze przedpołudniowej wiele właśnie najwięcej interesowanej młodzieży z rozmaitych gałęzi produkcyi przybyć nie może.

Ale Kościół musi nie tylko działać w kierunku udzielania oświaty religijnej i chronić od upadków, lecz pozytywnie pielęgnować obyczaje.

Po nauce i po pracy potrzebne odpowiednie zajęcie wolnego czasu. Może ten czas być korzystnie lub szkodliwie użyty. Samopas puszczony młodzieniec może najlepsze nauki puścić mimo i całą troskę Kościoła zniweczyć. Więc Kościół winien się nim zająć — nie może uczynić tego osobno z jednostkami, musi uczynić z zrzeszeniem. Tam dopełni swego zadania względem uszlachetnienia obyczajów, tam doprowadzi rozrywki i zabawy do wyższego etycznego i estetycznego poziomu, wzbudzi upodobania wznioślejsze, spowoduje nawyknienia szlachetne.

I do tego organizacya i przybytek osobny potrzebne.

Ta organizacya zarazem najlepsze daje sposobności, by przedstawiciele i członkowie Kościoła wypełniali zadanie wobec najwięcej opuszczonych pod względem moralnym ale i materyalnym. Bo ona dociera do najtrudniejszych i najwięcej przez ludzi i los prześladowanych i wydobywa ich na powierzchnię. Więc chłopców źle odżywionych, cofniętych w rozwoju fizycznym, zagrożonych chorobą piersiową, zaniedbanych, nie mających nikogo, coby troszczył się o odzież i bieliznę — wystawionych na najrozmaitsze dokuczliwości. Ci chłopcy potrzebują troskliwej ręki kobiecej, macierzyńskiej, któraby zaspokoiła te potrzeby, potrzebują dobrodziejów pod względem materyalnym, potrzebują mianowicie powiernika, któremuby mogli zwierzać się z swoim niedostatkiem, z biedami wszelkiemi. Kto chce, aby oni poznali, że Kościół nietylko głosi się matką, lecz jest nią rzeczywiście, ten niech jako syn czy córka tego Kościoła zbliży się do nich z pomocą i zaufaniem. W ten sposób on ich zyska i przywiąże nietylko do Kościoła ale i do reszty braci.

Do tego oświecenia jak i uobyczajenia młodzieży ludowej, do jej wspomagania w codziennem życiu, w pracy, rozwoju, walce i do ułatwienia im doli ma wprawdzie Kościół środki nadprzyrodzone. Ale Kościół to nie tylko restauracya ani apteka duchowna, i zadanie jego nie kończy się też na zadzwonieniu zawiadamiającem, iż o tej a tej godzinie wydają pokarmy i lekartswa dla duszy. Dzisiaj gdy używanie tych lekarstw uchodzi za pewien rodzaj zacofania, a lekarzy duchownych się dyskredytuje, trzeba ludzi organizować poza Kościołem, aby zrozumiawszy tam już wartość Chleba żywota i lekarstwa dla duszy, mieli odwagę pójść do Stołu Pańskiego. Nie dość, że pokarm i lekarstwo są i są dobre i wypróbowane — trzeba wyjść z Kościoła i szukać tych co nie przyszli, trafić do ludzi, tam w świecie już ich pozyskać, złączyć ich i spoić, aby razem dali się pociągnąć do Eucharystyi. Organizacya ma przymiot magnesu, ona wynajdzie i pociągnie zatajonych, skrytych, wahających się. Ona daje przykład, ośmiela, zachęca. Jeden ogląda się na drugiego. Gdy młodzież

widzi, że najporządniejsi, najkulturalniejsi, najwięcej wyrobieni, największym cieszący się szacunkiem koledzy mają odwagę przystępować do Sakramentów i publicznie przyznać się do wiary, to pójdą w ich ślady.

A jeśli przerwa nastąpi po pierwszych Komuniach, to trwa ona nieraz bez końca — i człowiek taki wróci czasem do Komunii, ale nie do połączenia się z Bogiem — gdy mu wiara się zatraci i obyczaje nie pozwalają wrócić do Niego.

A to staranie się o stały stan zgody jednostki z Bogiem jest i do wypełnienia innych zadań Kościoła potrzebne. Wszakże winien Kościół przyswoić członkom swoim przymioty potrzebne w życiu społecznem i gospodarczem.

Paczyłby pojęcie Kościoła i krzywdę mu wyrządzał największą, ktoby chciał ograniczyć działalność Kościoła na wychowaniu pobożnych i wstrzemięźliwych ludzi, obawiających się ciągle grzechu, godzących się ciągle z wszelkiemi przeciwnościami, kwietystycznie zadowolonych z tego co posiadają, obojętnych o dobro stanu, o rozwój zawodu, o postęp w kulturze, o położenie kraju.

Zadaniem Kościoła jest wychowywać jednostki na ludzi świadomych celu niebieskiego ale i ziemskiego, dążących do rozwoju swych władz umysłowych i moralnych, do rozszerzenia wiedzy i umiejętności, przyczyniających się do rozwoju ogólnego ludzkości.

Państwo daje sposobność do zdobycia wiedzy, Kościół pobudzać winien do pozyskiwania tej wiedzy.

To się odnosi do wszystkich zawodów — nie najmniej do przemysłu.

Rządy stwarzają rozmaite szkoły i instytucye zawodowe celem podniesienia poziomu zawodowego warstw pracujących, wykwalifikowania młodzieży w zawodach przemysłowych, wyrobienia wśród niej specyalistów, mających dalej rozwijać poszczególne gałęzie produkcyi, — oraz celem nauczenia rzemieślników rachunkowości i kalkulacyi — a to wszystko tak dla podniesienia produkcyi krajowej, jak i podniesienia bytu i utrwa-

lenią żywotności średnich i drobnych przedsiębiorstw przemysłowych.

Do tego aby chłopiec korzystał z tych szkół, potrzeba podniety moralnej, potrzeba pobudek etycznych, wskazujących i na korzyści osobiste i pożytek społeczeństwa. A tych pobudek i zachęty do wytrwałości najlepiej dostarczyć może Kościół. Sposobność zaś najlepsza do nauk pobudzających do zyskiwania wiedzy i umiejętności zawodowej nadarza się na zebraniach stowarzyszeń młodzieży. Kościół musi tłómaczyć dokładnie obowiązki stanu, a do najpierwszych zalicza się nabycie odpowiedniej wiedzy.

Do tych obowiązków stanu należy także korzystanie odpowiednie z ustawodawstwa socyalno-politycznego, staranie się o rozszerzanie go na korzyść poszczególnych stanów.

Powstają ustawy dotyczące ochrony życia, zdrowia i moralności robotników zatrudnionych w przemyśle oraz zabezpieczenia na niemoc, kalectwo, starość, dla wdów i sierót, wchodzą w życie rozmaite instytucye dotyczące warunków pracy i życia warstw pracujących, nowe w ordynacyach procederowych ukazują się przepisy; młodzież pracująca w przemyśle nie tylko winna je znać, ale powinna otrzymywać wskazówki, jak ma szanować przepisy ochronne, stosować się do nich ze względu na siebie i bliźnich, jak zachować wobec kas wsparcia itd.

W całe ustawodawstwo socyalno-polityczne wkracza kwestya moralna; najlepsze z wielkim kosztem ogółu podtrzymywane ustawy nie wydadzą spodziewanych owoców, jeżeli będą nadużywane lub gwałcone przez tych, dla których są stworzone. Kościół ma w tym kierunku znów wielkie pole pracy i wykazania swej żywotności i wielkości. Tę działalność uznają i pracobiorcy i pracodawcy i społeczeństwo i rządy jakiekolwiekby było ich usposobienie do Kościoła. Za pomocą ustawodawstwa socyalnego rozwiązują się z dnia na dzień rozmaite kwestye socyalne, a Kościół biorąc udział w przeprowadzeniu skuteczności ich na korzyść interesów ogółu i jednostek niezaprzeczone skarbi sobie wobec nich zasługi. Zacząć swoją działalność w tym kierunku musi

od młodych — a działać tylko skutecznie może przez organizacye.

Potrzeba tego mianowicie w naszem społeczeństwie polskiem. Mimo wysiłków, jakie rządy i społeczeństwo łożą na korzyść warstw rzemieślniczych, faktem jest niski stopień rękodzielnictwa polskiego. Uwidocznia on się w nędznym częstokroć stanie materyalnym, w niezdolności do współzawodnictwa z rzemieślnikami innej narodowości, w niższej kulturze całej przeciętnej publiczności, a w codziennych przykrościach warstw zamożniejszych, które skutkiem niekulturalności rzemieślników naszych zaspakajają swoje potrzeby u obcych — ze szkodą własną, ze stratą rzemiosła polskiego i kraju.

Przyczyną tych ujemnych objawów jest prócz nieumiejętności technicznej brak potrzebnych do prowadzenia procederu specyalnych przymiotów moralnych.

Brak rzemieślnikom naszym częstokroć sumienności i rzetelności. Skutkiem tego, iż rzemieślnik nie prowadzi wcale rachunków albo tylko licho załatwia książkowość, majster polski krzywdzi siebie, odbiorców albo wierzycieli.

Brak im słowności, która odbiorców odstręcza a dostawców surowca powoduje do stawiania warunków trudniejszych, mianowicie zaś kredyt podraża i uzyskanie go utrudnia. Nikt niesłownemu rzemieślnikowi nie może udzielić kredytu. Bo on się nie umie z kredytem obchodzić. Zamiast narzędziem do pracy i mieczem do walki, staje się kredyt w jego niedołężnych rękach, kierowanych dziecinnym umysłem, brzytwą, którą podcina swoją egzystencyę i przyprawia o straty wierzycieli.

Brak im zrównoważenia wewnętrznego i oględności, zaparcia się swych skłonności i nałogów w traktowaniu publiczności.

Pracobiorcom zaś rzemieślników, a zwłaszcza młodzieży brak względności wobec przedsiębiorstwa, maszyn, surowca, współpracowników. Brak też oszczędności względem własnego zarobku, który powoduje niezdolność do stworzenia samodzielnego przedsiębiorstwa i nie doprowadza do kas

oszczędności kapitałów, mogących służyć potrzebom producentów wszelkiego rodzaju.

Jednym jak i drugim brak poszanowania dla pracy, brak godności własnej, brak zrozumienia ważności zawodu dla społeczeństwa jako środka mnożącego bogactwo kraju, ustalającego byt narodu, utrzymującego byt rodziny, powiększającego dobrobyt i kulturę osobistą jednostki — brak tej słusznej i godziwej ambicyi stanowej, równie dalekiej od zarozumiałości i pychy cechowej jak obojętności proletaryackiej.

Brak wreszcie ogółowi rzemieślników naszych zrozumienia wartości organizacyi wzajemnej pomocy.

Wszystko to dziedziny, w które kompetencya i działalność Kościoła wkracza. Nie najmniej w tę ostatnią. Kościół ma niezaprzeczony obowiązek uczenia swoich członków czynnej, skutecznej miłości bliźniego.

Najskuteczniej zaś pomódz może jednostka członkom tego samego zawodu przez wspólne solidarne postępowanie.

Szczególnie zaś solidarność jest potrzebna tym warstwom, w których jednostki same nie mają zapewnionego bytu i nie mogą, same sobie pozostawione, dopomódz sobie, poprawić swego położenia.

Do tych warstw należą robotnicy i rzemieślnicy. Dlatego czynnikiem najważniejszym ich rozwoju są dla nich organizacye.

Aby robotnicy przemysłowi umieli tworzyć i rozwijać stowarzyszenia robotnicze i związki zawodowe, a rzemieślnicy stowarzyszenia zajmujące się wspólnym zakupem surowca, narzędzi, maszyn oraz zbytem produktów i pozyskaniem taniego kredytu, potrzebne jest poczucie solidarności stanowej i zawodowej, odpowiedzialności jednego za wszystkich i wszystkich za jednego, duch podporządkowania się pod interes wspólny, karność wobec uchwał, poszanowanie zarządów wybranych i uległość wobec haseł danych przez centralne władze.

Tych cnót społecznych nie można udzielić stanowi rzemieślniczemu i robotniczemu przez samo ogłoszenie ich ani uznanie z ich strony, że to są rzeczy korzystne, potrzebne, konieczne.

Tych zalet trzeba ludzi nauczyć, a to się dziać musi metodycznie, systematycznie. przez całe lata, skoro przymioty te mają się stać własnością na całe życie.

Czyż zaś każdy brak choćby jednego z tych przymiotów moralnych nie woła na Kościół, aby jego usunięciem się zajął przez specyalne traktowanie go — i gdzie po temu najlepsza sposobność, jeśli nie na zebraniach młodzieży rękodzielniczej?

Zadanie Kościoła nie kończy się jednak wobec poszczególnego człowieka, jeśliby go tylko oświecił i wychował na wierzącą, moralną jednostkę, dążącą do szczęścia osobistego i podniesienia stanu i zawodu. Kościół ma obowiązek pouczyć każdego członka swego o jego prawach i obowiązkach jako członka społeczeństwa, narodu, kraju, państwa. wyrobić pojęcia obywatelskie, uzdolnić go do prawidłowej ewolucyi społecznej i dopomódz mu w słusznych jego dążnościach i usiłowaniach. Ta oświata i ta pomoc moralna stosować się musi znowu do istniejącego ustroju społecznego i położenia prawnego poszczególnych kategoryi ludności, każdorazowe stosunki musi Kościół uwzględnić i postępowanie swoje odpowiednio uwydatnić.

Dzisiaj istnieje żywiołowe dążenie w górę szerokich warstw ludowych w łonie państw nowoczesnych, a ruch ten coraz więcej okazuje charakter ruchu kulturalnego.

Celem ruchu jest nietylko lepsze utrzymanie, znaczenie większe w życiu społecznem, znaczniejszy udział w życiu politycznem, lecz w głębi rzeczy i dlatego tem silniej się uwydatniający — bogatszy samodzielny udział w pomnożonych duchowych i moralnych dobrach kultury. Lud nie żąda od przemożnej władzy politycznej lub klasy panującej pod względem gospodarczym dalekich koncesyi, skutkiem których położenie jego doznałoby automatycznie, mechanicznie poprawy.

Masy, wołające reformy socyalnej, żądają w pierwszej linii, żeby ich uznano za pełnoletnich, żeby przyznano im równouprawnienie do współdziałania z innymi stanami i klasami pod względem politycznym nad zyskaniem udziału w rozwoju kultury i wymiarze jej dóbr.

W tem objawia się idea przewodnia, której przywódcy,

unoszący się ponad tłum towarzyszy zawodowych, jasno są świadomi, a którą tłum instynktownie czuje. Nic to nie znaczy, że jednostki są ciemne i tępe. Jest i w nich rezonans na tę muzykę. Jest wrażliwość na te hasła, które kompozytorowie i wirtuozowie tłumom głoszą i wpajają. Ten objaw jest nowem obliczem kwestyi socyalnej. W tem leży problem wszelkiej owocnej społecznej pracy.

A drugiem jest ten fakt, że obecnie rzeczywiście też socyalnej reformy nie można w nowoczesnem społeczeństwie przeprowadzić wolą politycznego możnowładcy, ani jedynie pracą prawodawczej korporacyi, ani przez filantropijną działalność społecznie usposobionych przyjaciół ludu.

W państwie konstytucyjnem, którego prawodawstwo leży w rękach reprezentacyi ludowej, którego życie gospodarcze spoczywa na uznaniu osobistej wolności pojedynczego człowieka, pracującego w jakimkolwiek zawodzie, i na prawem uznanej własności prywatnej, można tylko za pomocą rozumnego, zorganizowanego i wyszkolonego, społecznego współpracownictwa szerokich mas ludowych przeprowadzić skuteczną reformę socyalną. Zasadniczą jej ideą, nadającą kierunek, musi być: co dzieje się dla ludu, musi się dziać przez współpracownictwo ludu. W takim zaś razie trzeba masom dać pojęcie o rodzaju, celach i sposobach tej pracy, wychować je do współpracownictwa, jednem słowem zapoczątkować, wdrożyć i ująć społeczny ruch ludowy, którego siły rządzące leżą w własnem jego łonie, ku dobru ogółu.

Niezmiernie ważną jest rzeczą, jaki udział w tym ruchu będzie miał lud katolicki w poszczególnych krajach, i dla Kościoła i dla odnośnego kraju i dla ludu, jaki będzie jego stopień oświaty społecznej, dojrzałości, odwagi, zdolności do pracy systematycznej w organizacyach.

Brać udział w rozwoju społecznym i gospodarczym kraju będzie lud zawsze — ale albo będzie oddziaływał on dodatnio albo ujemnie, destruktywnie, jeśli zamiast urodzonych jego

przewodników zajmą się nim i pozyskają go wrogowie obecnych podstaw społeczeństwa.

Chcąc aby ruch ludowy przyniósł pożytek warstwom pracującym, a ogółowi interesów kraju nie wyrządził szkody i nie wziął rozbratu z religią, trzeba mieć kontakt przedewszystkiem z temi jednostkami, które są kandydatami do tego ruchu, od których pozyskania zależy przyszłość tego ruchu — z pojedynczymi młodzieńcami, którzy w wieku dojrzewającym lub zaledwie dojrzałym do tego ruchu przystępują.

Za pomocą i w ciągu tego kontaktu trzeba szerzyć wśród młodzieży oświatę o zjawiskach życia społecznego, zadaniach poszczególnych stanów i warstw, środkach do osiągnięcia celów społecznych.

W tej pracy musi wziąć Kościół bardzo obszerny udział. Kościół nie może spokojnie patrzeć na to, że nie objaśnionemu i nie przygotowanemu społecznie młodzieńcowi 25-letniemu dostaje się do ręki miecz obosieczny w postaci prawa wyborczego. Okoliczność, że rząd ani ogół społeczeństwa czy narodu nie dba o wykształcenie młodzieńca ze sfer rękodzielniczych na obywatela kraju, tylko tem większy na Kościół nakłada obowiązek dopełnienia tego zadania. A do tego znów najlepsza i jedyna sposobność w stowarzyszeniu młodzieży.

Tam Kościół ma sposobność wykazać, że bynajmniej nie należy do nauki Kościoła, aby rzemieślnik czy robotnik kontentował się swoją nędzą lub ubóstwem, aby pozostawał w stanie społecznym i gospodarczym tym samym ujemnym, co ojciec i dziad, aby nie dążył do pomnożenia potrzeb kulturalnych ani do pozyskania większych zasobów i większych środków zaspakajania tychże potrzeb — tak, jak twierdzą wrogowie Kościoła.

Tam Kościół ma sposobność równość ludzi głoszoną przez Zbawiciela pod aktualną formą wypowiadać.

Tam oświadczyć tej młodzieży, iż stan jej rękodzielniczy dla społeczeństwa ludzkiego i życia gospodarczego zupełnie tak jest konieczny, jak t. zw. wyższe stany, które się tylko większem

wykształceniem, starszem imieniem i większą odpowiedzialnością od niego różnią.

Tam wreszcie sposobność przedstawić formy życia publicznego, prawa i obowiązki obywatelskie, wykonywanie ich, zasady, jakiemi się kierować winien chrześcijanin i patryota.

W ten sposób duch chrześcijaństwa przeniknie zapatrywania warstw pracujących na sprawy publiczne, a w dalszym ciągu powodować będzie uchrześcijanianie życia publicznego. A tego dotąd właśnie we wszystkich państwach brak.

To jest niezmiernie ważne dla Kościoła.

Warstwy rękodzielnicze i robotnicze mają na mocy obecnego ustroju politycznego i swojej liczebnej przewagi władzę decydowania o całości w ciałach prawodawczych.

A ciała te decydują także o stosunku państwa do Kościoła — w zasadzie i szczegółach — a więc i o rozłączeniu jednego od drugiego, a przed rozłączeniem o zależności administracyi Kościoła na wewnątrz i zewnątrz od władzy świeckiej — o ślubach cywilnych, o charakterze wyznaniowym szkół, o istnieniu zakonów...

Jeśli się czeladnika czy młodego robotnika odpowiednio oświeci w dziedzinie życia publicznego i przygotuje do wykonywania praw obywatelskich, to on w danej chwili znać będzie swój obowiązek i będzie umiał obronić się przed napaściami przeciwników i ich zarzutami na jego przekonania i hasła.

To samo dotyczy sfery jego stanowej organizacyi.

Jeżeli się chłopcem strona katolicka zajmie, to chłopiec ze stowarzyszenia katolickich uczniów przejdzie do towarzystwa czeladników, a później do stowarzyszenia rzemieślników i rękodzielników katolickich, a inny do stow. robotników i związków zawodowych chrześcijańskich i zawsze pozostanie w łączności z Kościołem.

Jeśli go Kościół równocześnie ze szkołą opuści, to wywoła wielkie niebezpieczeństwo utraty go, a przynajmniej stworzy nader uciążliwe zadanie dla tych, którzy go będą chcieli pozyskać na członka towarzystw rzemieślników czy robotników katolickich.

Lata najwrażliwsze, które on bez opieki Kościoła i jego

organizacyi spędzi wśród niebezpieczeństw najgorszych, sprawią, że głos Kościoła nie znajdzie posłuchu później i że z powrotem nie wróci do niego.

Przeciwnie: z tej młodzieży, która wychowa się w stowarzyszeniach, wyjdą majstrowie i robotnicy inni, aniżeli ci, o których nie dbano wcale, a którzy dzisiaj już odmienić się nie mogą i którzy nie rozumieją sprawy organizacyi stowarzyszeń ani swoich ani młodzieży i wrogo się na nią zapatrują, ci majstrowie dopomogą usiłowaniom ze strony społeczeństwa i Kościoła i wychowywać inaczej będą uczni swoich, aniżeli obecni, którzy nie zaznali żadnej opieki i dzisiaj satysfakcyę za doznane przykrości odbijają na umyśle i charakterze swoich uczniów i na reakcyi przeciw usiłowaniom uwzględniającym ich interesy.

Ta organizacya daje sposobność, aby członkowie rozmaitych stanów o tych samych zapatrywaniach religijnych i społecznych poznali się nawzajem.

Inteligencya nie zna warstw pracujących, a warstwy te nie znają inteligencyi — jedni i drudzy patrzą tylko nawzajem na zewnętrzne objawy, na pozory. A nie znając się, fałszywe zwykle i krzywdzące o sobie wydają sądy i nawzajem czują do siebie uprzedzenie, niechęć, pogardę, gniew, nawet wstręt, nawet nienawiść. Z tego wynikają kroki i czyny złośliwe. A wszystko to na szkodę i własną i wspólnej sprawy.

Do wyrozumienia wzajemnego najpierwszy krok: poznanie. A najłatwiejszem ono tam, gdzie jeszcze uprzedzeń mało, gdzie więcej tego, co łączy, niż tego, co dzieli ludzi: w młodości. W organizacyi młodzieży rękodzielniczej pozna akademik najlepiej usposobienie, pojęcia, dążności, potrzeby terminatora czy czeladnika i uczuje sympatyę ku warstwom pracującym, a pracujący przekonają się znów, że ten uczeń najwyższej szkoły, późniejszy sędzia, lekarz czy profesor pragnie ich dobra, ich oświaty, ich podniesienia się — podziwiać będą, że czas swój i wiedzę im oddaje, aby w życiu lepiej im się działo, niż ich ojcom i dziadom. I w ten sposób na dalsze życie, na wspólną pracę, obowiązki i cele połączą się te dwie dotąd obojętne, jeżeli nie wrogie sobie warstwy społeczeństwa.

To też i wrogowie porządku społecznego usilnie się starają o młodzież, ponieważ wiedzą, iż w młodości zapada decyzya co do przyszłego działania. Stąd walka o charakter chrześcijański szkoły. Stąd coraz usilniejsza praca nad pozyskaniem młodzieży ze strony socyalnej demokracyi. Stąd coraz liczniejsze organizacye młodzieży, powstające po stronie socyalistycznej. Socyaliści muszą się spieszyć, aby wyrugować to, co szkoła pod względem religijno-moralnego i obywatelskiego wychowania zbudowała, bo na tym gruncie posiewby ich nie przyjął się trwale. Oni rozumieją, że z grona młodzieży muszą sobie wyszkolić towarzyszy, agitatorów i przywódców. Inaczejby nie mieli przyszłości. Teraz pora do działania najlepsza. Dążności ich zaś tem szybsze będą wykazywać rezultaty, ponieważ duch opozycyi i radykalny charakter socyalnej demokracyi właśnie a młodzież w burzliwych latach musi oddziaływać więcej nęcąco aniżeli na dorosłych. A potem jeszcze im łatwiej pozyskać odzież aniżeli dorosłych dla swych organizacyi, a zwłaszcza związków zawodowych, gdyż młodzi potrzebują wskazówek i pomocy od starszych i przy pracy zupełnie są od nich zależni.

Samotnemu, niezorganizowanemu terminatorowi, czeladnikowi czy młodemu robotnikowi schlebia w dodatku, gdy starsi z nim rozmawiają i zapraszają, aby przystąpił do organizacyi ich, która bezwzględnie występuje na publicznej widowni za popieraniem interesów stanowych. Jeśli młodzieniec należy do organizacyi chrześcijańskiej i zawodowej, wtedy już nie imponuje mu tak dalece kaptacya starszego czeladnika lub robotnika — on przywykł, że nim się zajmują ludzie z wyższem wykształceniem i mówią o jego potrzebach i dążnościach. Dlatego m u s z ą socyaliści występować przeciw organizacyom katolickim młodzieży i przeciw duchowieństwu zakładającemu je i starającemu się o ich rozwój.

Tylko ptasie główki mogłyby się temu dziwić. Toby socyaliści nie mieli powstawać na księży i ich stowarzyszenia, gdy ci im chcą odbierać ich monopol, jaki sobie przywłaszczyli względem ludu, gdy ci chcą przeciwdziałać ich robocie i walkę wypowiadają w obronie każdego katolickiego chłopca i młodzieńca,

których oni już skutkiem gnuśności społeczeństwa uważali za swoich. Toć oni krzyczeć muszą! Gdyby nie krzyczeli, toby społeczeństwo katolickie powinna ogarnąć obawa, że te organizacye i działalność nic nie warte albo nie wiele znaczą.

Ani temu nikt nie może się dziwić, że socyaliści powstawali na księży, że z lenistwa nie dbają o dolę młodzieży — a gdy się księża intensywnie nią zajęli, to znowu i to tem głośniej wołają, że Kościół żądny jest panowania i zagarnia to, co do niego nie należy.

Któżby był tak naiwny, żeby od socyalistów wymagał logiki — przecież tu chodzi tylko o kwestyą władzy, o potęgę, a więc o zohydzenie i zabicie przeciwnika, a im więcej ten przeciwnik działa i większy znajduje wpływ, tem silniejszy.

Ani też razić nikogo nie powinno, że właśnie ciasne głowy wśród katolików to samo głoszą, co socyaliści: niech duchowieństwo dba przedewszystkiem o własną świątobliwość, o teologię i o nabożeństwo — niech cicho pracuje w kościele — niech się nie miesza do życia publicznego — niech sobie da pokój ze sprawami społecznemi, to nie rzecz księży. Idee, jakie w tych głowach pokutują, zatraciły miliony dusz i całe stanowisko silne i wpływowe Kościoła w krajach ongi na wskroś katolickich, przywiązując katolicyzm do litery i do budynku — więc nad niemi przejść trzeba do porządku dziennego. Ale wiedząc, że wróg prawdy i pracy i wśród nas samych mieszka, tem więcej musimy siły swoje skupiać i wytężać, by osiągnąć swój cel wielki.

Ks. K. Zimmermann.

GŁOS IZAJASZOWY do MŁODZIEŻY POLSKIEJ.

(URYWKI Z POŚMIERTNEJ TEKI DEOTYMY.)

W ciszy nocnej, szmer wionął podobny do jęku,
Płomień lampki czarownem zakręcił się kołem,
Jakby co skrzydlatego śmignęło nad stołem.
Pióro wypadło mi z ręku.
Podniosłam oczy, tknięta przestrogą tajemną,
Anioł stał przedemną.
Z roziskrzonym spojrzeniem, z rozsrebrzonym włosem,
W ręku trzymał miecz kręty, straszny miecz... Na biało
Rozpalone żelazo, jak żywe syczało.
Podał mi go i szepnął nieczłowieczym głosem:
Weź ten miecz płomienisty, weź nieustraszenie,
To głownia Izajaszowa.
Uderz mieczem rosnące dzisiaj pokolenie,
I powtórz te słowa:
Ojcowie wasi i pradziady wasze,
Dzielnie walczyli. Najprzód na pałasze,
Potem żelazem swych oków,
Milczeniem swoich ofiar, słowem swych proroków.
Dzisiaj przed ich majestatem nawet my cheruby
Kłaniamy się, bo wyszli tryumfalnie z próby,
Choć moc piekielna ich brała
Na podwójne tortury, i duszy i ciała.
Próbowano ich kolejno
Samotnością beznadziejną,

Płaczem rodziny sierocej,
Pragnieniem śledziowej strawy,
Postrachem bezsennej nocy,
Pochrzęstami rózgi krwawej,
I uśmiechem i podmową,
I niedźwiedzich pustyń morzem,
I wilgocią Spielbergową,
I szubienicznym powrozem.
Znaleźli się niektórzy, — mówić o nich wstrętno —
Co upadli pod biczem pogoni czartowskiej,
Ale takim natychmiast przez jawny cud boski,
Wyrastało na czole dotykalne piętno.
I tacy, nie jak żywe dusze, lecz jak rzecz
Nieczysta i zarażona,
Byli odrzucani z łona
Swojego narodu precz.
Naród zostawał czysty, jakby szczere złoto,
Z którego w ogniach zapału
Odlewał się powoli posąg ideału.
Więc czart się zniecierpliwił bezpłodną robotą.
„Zkąd — pytał — wytrzymałość znikomego ciała?
Z podłej gliny niewielka zazwyczaj rycerka,
Czyżby to owa tajemna iskierka,
Moc podtrzymywała?
Jeśli tak, trzeba zmienić plan wojenny. Oto
Ciału ich ulżę katuszy,
Maluczko, tylko na chwilę,
Ale i tem wytchnieniem ich czujność omylę,
A tymczasem się mądrzej zakradnę w głąb duszy.
Przystąpię do nich, mówiąc, z litością głęboką:
„Na co się przyda wodzić oczami po niebie?
„Czy chcecie dojrzeć sławne Opatrzności Oko?
„Ojcowie oszukali was i samych siebie.
„Jeżeli kto na świecie, to wy, mdłe ofiary,
„Stoicie w dziejach jako żyjące dowody,
„Że niema Opatrzności. Niema dla złych kary,

„Ani dla dobrych nagrody.
„Głupi ojcowie! Poszli na mękę i nędzę,
„Ufali i skonali, i nic się nie zmienia“.

* * *

Pieśni! Zerwij się, uderz orężem przestrogi,
Po czołach i sercach młodzi.
Możesz uderzać bez trwogi,
Niewinnym on nie zaszkodzi.
Tylko takich dźgnie i zrani,
Którzy chłodem są owiani,
Którzy przemarzli do kości
Snem obojętności.
Tacy zdradzą się nagłym rumieńcem na twarzy,
I sykiem, który powie, że prawda ich parzy.
Ale ci co sami płoną,
Wezmą w rękę głownię bożą,
I na piersi ją położą,
Bo ta ręka i to łono
Gorętsze są sto razy nad stal rozpaloną.
A więc dalej, mieczu, szalej!
Próbuj hartu serc i zbroi.
Ogień ognia się nie boi.
Połączony, tem wspanialej,
Snopem sypnie skry zapału,
I z pod żużli i z pod kału
Wyda posąg ideału.

Warszawa 1882.

Cel i zadanie szkoły dzisiejszej.

Jakie zadanie ma szkoła dzisiejsza? Pytanie to, rzucone w wir pojęć społeczeństwa naszego, w którem tak wiele zapatrywań odmiennych i prądów różnorodnych panuje, wywołać może tyle odpowiedzi, ile grup poszczególnych a nawet jednostek ono liczy.

Każdy ma swój osobisty pogląd na zadanie szkoły, swój ideał i żądania odmienne. Na jedno tylko godzą się wszyscy: szkoła powinna wykształcić dziecko na człowieka, przysposobionego do życia i spełnienia jego powinności, a zarazem tak wyrobić pokolenie dorastające, żeby przyszłość każdej jednostki była nietylko pożyteczną, lecz najwięcej zadowolenia i szczęścia przynieść jej mogła.

Lecz co stanowi ideał człowieka? jakie są jego obowiązki i cele? co jest warunkiem szczęścia, do którego ludzie z natury swej dążą? — Tu zapatrywania są różne. Inaczej podstawę szczęścia i cel wychowania pojmują zwolennicy pedagogicznego naturalizmu, którego przedstawicielem był Rousseau, inaczej wyznawcy rozpowszechnionego dziś u nas pedagogicznego eudemonizmu, głoszonego przez Basedowa w wieku 17-ym, inaczej zwolennicy ewolucyonizmu i materyalizmu, nacyonalizmu i pedagogiki społecznej, których przedstawicielami są Paweł Natorp, Bergemann i inni pedagodzy; inaczej znów chrześcijański sytem wychowania je rozumie.

Tę mnogość poglądów zasadniczych na zadanie życia ludzkiego a więc i szkoły streścić jednak można w pewne grupy i w taki sposób pozyskać jaśniejszy pogląd na cele, które szkole

przyświecać powinny. Określenie celu stanowi bowiem początek i podstawę wszelkiej racyonalnej pracy pedagogicznej. Gdzie niema planu i celu, tam niema wychowania, ani kształcenia w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, lecz tylko oddziaływanie dorywcze, często zaprzeczające się wzajemnie, a wskutek tego albo nie dosięgające tła charakteru dziecka, albo też łamiące je i narażające na przykre rozdźwięki.

Szkoła zatem powinna przedewszystkiem zdawać sobie sprawę, do jakiego celu zmierza. Określenie celu da kierunek stały jej pracy i piętno wyraźne, widoczne. Jak rzeźbiarz ma zawsze przed oczami wzór idealny i do niego dostraja swe dzieło, tak i artyści wychowawcy powinni cel swój mieć na względzie i podług niego kierować swe drogi. Dokąd szkoła ma doprowadzić swych wychowańców, nie może to być dziełem przypadku, ani zależeć od okoliczności chwili, tem mniej od każdego z nauczycieli z osobna. O ile cel ten ma być wysokim i godnym człowieka, powinien być z góry obmyślonym i konsekwentnie przeprowadzanym.

Do jakiego więc celu szkoła zmierzać może i powinna? Co ma stanowić tło kształcenia charakteru dziecka i wyrabiania zeń silniej osobistości, o wyraźnie zarysowujących się zasadach? Słowem, jaki duch ma panować w szkole?

* * *

W życiu narodów, w społeczeństwach i u jednostek, zawsze i wszędzie trzy główne kierunki zauważyć można, trzy drogi różne. Wskazuje nam to historya, potwierdzają własne spostrzeżenia. Drogi te idą równolegle, jednocześnie w społeczeństwach widzieć je można, a nawet u jednego człowieka w rozmaitych okresach jego życia trzy te kierunki zauważyć się dają. Do nich właśnie sprowadzić można wszelkie cele wychowawcze.

Pierwszy pogląd właściwy ludziom w stanie natury żyjącym, lub dzieciom. Jego nakaz kategoryczny głosi: „używaj życia!“ staraj się wyczerpać zeń jak najwięcej przyjemności, a uniknąć nieprzyjemności, wówczas zdobędziesz szczęście!

Nauka ta ma bardzo wielu zwolenników u wszystkich na-

rodów i po wszystkie czasy. Hołdował jej Epikur, który jednak nie twierdził bynajmniej, że przyjemności mają być tylko zmysłowe; nie kazał też ich nadużywać, bo nadużyciu towarzyszy uczucie nieprzjemne. Nietylko więc zmysłowe, lecz wyższe, szlachetne przyjemności, estetyczne, mają zapełniać życie. W tem delikatniejszem rozumieniu pogląd ten ma wiele pociągającego.

Epikureizm określany bywa często mianem eudemonizmu. Eudemonizm powołuje się na to, że uczucia przyjemne czynią życie miłem i pociągającem. Pochodzą one częściowo z wrażeń zmysłowych, częściowo z zajęcia się nauką i sztuką.

Przyjemności więc dzielą się na zmysłowe i duchowe, na niższe i wyższe. Właśnie te ostatnie, podług żdania eudemonistów, prawdziwie człowieka zadowolić mogą. Człowiek od początku swego istnienia ucieka od nieprzyjemności i dąży do przyjemności. W tem dążeniu spostrzega wkrótce, że umiarkowanie w użyciu stanowi największy warunek wrażeń przyjemnych, i że na tej drodze cel swój osiągnie, t. j. maximum przyjemności i minimum nieprzyjemności. Prawdziwa mądrość życiowa ma na tem właśnie polegać.

Eudemoniści twierdzą, że ich pogląd ma najwięcej zwolenników wśród ludzi ucywilizowanych i nieucywilizowanych. Lecz to nie jest jeszcze dowodem, że uważać go należy za prawidłowy i najlepszy ze światopoglądów. Ma też silnych przeciwników. Już w starożytności zwalczali go Platon i Arystoteles. W nowszych czasach największym jego przeciwnikiem był Kant, który przez swą krytykę starał się go zniszczyć, wykorzenić. Pomimo tego trwa on zawsze i wciąż się odradza. Co mamy mu do zarzucenia?

Pogląd ten jest przedewszystkiem egoistyczny. Byłby usprawiedliwionym, gdyby ludzie byli tylko egoistami. Egoizm stanowiłby wówczas jedyną możliwą zasadę moralną. Lecz ludzie nietylko są egoistami, nietylko o sobie myślą, ale i o drugich, są więc też altruistami. Człowiek zdolnym jest nawet narazić swe życie na niebezpieczeństwo dla uratowania życia innym. Lecz, zarzucą niektórzy, uratowanie życia bliźniemu

sprawia największą przyjemność; a więc jest to też czyn egoistyczny. Altruista jest zatem również egoistą! Zapomina się tu jednak o najważniejszem. Przy ratowaniu życia drugiemu nie własną przyjemność ma się na celu, lecz uchronienie człowieka od śmierci. Uczucie przyjemności, które z psychologiczną koniecznością towarzyszy każdemu powodzeniu, jest tu czemś dodatkowem, podrzędnem. Przedmiotem chcenia jest dobro innych; zadowolenie własne, jako dodatek mimowolny, nie gra tu żadnej roli.

„Wątpliwości nie ulega, mówi prof. Rein, że dążenie do coraz wyższego stopnia moralności jest drogą najpewniejszą, prowadzącą do coraz większego szczęścia. Ale to ostatnie jest tylko zjawiskiem, towarzyszącem pierwszemu; bo właśnie cechą istotną moralności prawdziwej stanowi to, że własnego zadowolenia nie ma się tu na względzie. Natomiast zdanie odwrotne, że w dążeniu do największego szczęścia zawiera się moralność najwyższa, nie ma wartości. Skoro dążyć będziemy do wyżyn moralnych tylko dla własnego zadowolenia, spostrzeżemy wkrótce, że szukanie przyjemności uczyni nas niezdolnymi wznieść się do tej moralności czystej, która jedynie dostarczyć może zadowolenia prawdziwego i trwałego.“ [1]

Nietylko egoistą jest człowiek, ale i altruistyczne poglądy ma z natury; pochodzi to stąd, że człowiek nie jest jednostką odosobnioną, lecz członkiem społeczeństwa. W życiu społecznem, obok właściwego wszystkim ludziom popędu samozachowawczego, rozwija się też troska o zachowanie gatunku, połączona z sympatyą, która się rozciąga najpierw na członków rodziny, potem na naród i ludzkość całą. Współczucie, wynikające z uczuć sympatycznych, nie może pochodzić z egoizmu, bo życzliwość czysta wyklucza myśl o własnych korzyściach lub szkodach. Życzliwość, jako podstawa altruizmu, istnieje samodzielnie.

---

[1] Wilhelm Rein. *Pädagogik in systematischer Darstellung.* Langensalza, 1911. I. 106—107.

„Egoizm i altruizm istnieją w duszy człowieka jeden obok drugiego, i z natury rzeczy pierwszy przeważa.“ [1]

Dlaczego?

Bo własne „ja“ szczególniej żywo odczuwa to, co bezpośrednio dotyczy jego życia osobistego, co jest przyczyną własnego powodzenia lub niepowodzenia. Każdy sam sobie jest zawsze najbliższym. Altruista zaś musi się wczuć w życie duchowe innych, swoje przeżycia wewnętrzne przenieść na drugich. To są jednak reprodukcye, które zawsze słabiej działają niż istotne na własne ja oddziaływujące zdarzenie. Mogę wprawdzie odczuwać silnie cudzą radość lub cierpienie, będzie to jednak tylko stawianiem siebie na miejscu drugiego, co nigdy nie dosięgnie mocy odczuwania przeżycia własnego.

Stąd się wyjaśnia, dlaczego człowiek natury i dziecko z samej istoty rzeczy są egoistami. Mają wprawdzie popędy altruistyczne, lecz słabo rozwinięte. Dopiero wraz z postępem kultury duchowej altruizm staje się silniejszym i czynniejszym. Prawo ducha walczy w nas z nakazami ciała. Przytem interes egoistyczny zbyt często przeważa. Ale z tego faktu, iż większość ludzi jest egoistami, fałszywem byłoby wnioskować, że egoizm uczynić należy zasadą moralną. Spowodowałoby to rozwiązanie węzłów społecznych; bo skoro kto dla siebie uzna egoizm za zasadę kierującą, musi i innym też ją przyznać. A gdy każdy jedynie egoistycznemi pobudkami zacznie się kierować, nastąpi rozkład życia społecznego, walka wszystkich przeciw wszystkim. Altruizm zatem ukazuje się jako czynnik, podtrzymujący społeczeństwo i utrzymujący w granicach właściwym egoizm naturalny.

Wreszcie zaznaczyć należy, że eudemonizm, który dobro własnego ja na plan pierwszy stawia, do takiego stopnia rozszerza zakres moralności, że w końcu wartości etyczne stają się prostemi wartościami przyjemności. Przyjemność i pożytek włącza eudemonizm do zakresu moralności. Zacierają się przez to granice pomiędzy postępowaniem etycznem, a czysto na-

[1] W. Rein. *Pädagogik.* str. 107.

turalnem. Eudemonizm ukazuje się więc niezdolnym do dania norm moralnych, a przez to nie może być celem wychowania. Kierunek ten jest zarazem anti-społecznym. Uniemożliwia wszelki postęp. Każde nowe pokolenie jednak należałoby wynieść ponad dawne!

Z tych wszystkich względów wychowawca nie może przyjąć tego kierunku. Stawia on cel zbyt niski; są wyższe poglądy na życie.

* * *

Drugi pogląd głębszy i poważniejszy. Jego nakaz kategoryczny: „pracuj dla cywilizacyi". Już tu się nie mówi „używaj", lecz „pracuj" dla postępu, dla nauki i w tem szukaj największego szczęścia, największego zadowolenia.

Za punkt ciężkości życia ludzkiego uważa się tu kształcenie intelektualnych zdolności człowieka i ich spożytkowanie. Najwyższem zadaniem ludzi — rozwój nauk i sztuk, przedewszytkiem poznanie sił natury i techniczne ich zastosowywanie dla opanowania ziemi, wzmocnienia potęgi narodu.

Pogląd ten, zwany energizmem, szerzy się szczególniej w naszych czasach. Lecz miał swych przedstawicieli już w starożytności, a z biegiem wieków przybierał rozmaite formy. I tak, Arystoteles najwyżej cenił kulturę naukową, a mniej uwagi zwracał na urządzenia państwowe. Ponieważ do tego najwyższego zadania człowieka, za jakie uważał naukę, nie wszyscy w równej mierze są powołani, więc żeby zdolniejsi mogli się mu oddawać, inni powinni za nich pracować. Z tego punktu widzenia niewolnictwo wydaje się instytucyą moralną i uzasadnioną.

Energizm był przekonaniem narodów. Rzymianie za cel najwyższy uważali panowanie nad światem i szerzenie swej cywilizacyi.

Coś podobnego widzimy we Francyi za czasów Ludwika XIV. Francuzi znajdowali szczęście w szerzeniu swego języka, cywilizacyi, obyczajów na cały świat. „Iść na czele cywilizacyi" stanowiło ich hasło najmilsze. Pod wyrazem „cywilizacya" ro-

zumieli przedewszystkiem ogładę zewnętrzną, wydoskonalenie sztuk i nauk.

U Anglików pogląd ten wyraża się w pragnieniu opanowania morza i handlu wszechświatowego. W tem widzą swą wielkość, cel największy i zadanie życia.

Na gruncie niemieckim widzimy niewiele praktycznego zastosowania tego kierunku. Lecz niektórzy filozofowie za główne zadanie moralne uważają szerzenie kultury technicznej, estetycznej i umysłowej. Fichte podnosi znaczenie kultury technicznej; przez nią samodzielność rozumu ludzkiego ma się wykazywać coraz bardziej. Schelling za cel najwyższy uważa kulturę estetyczną; najbardziej ceni piękno, bo przez nie duch i natura, idealne i realne najdoskonalej się przejawiają. Dla Hegla znaczenie największe ma poznanie naukowe; najwyższy stopień rozwoju stanowi filozofia.

Zwolennicy energizmu twierdzą, że w cywilizującej działalności człowieka właściwość natury ludzkiej ma wyraz najczystszy. Tu wznosi się ona ponad zmysłowe i materyalne, dąży do ideału, którego wprawdzie człowiek pojedynczy osiągnąć nie może, lecz całe pokolenia. Jednostka może jednak czuć się podniesioną ponad ciasnotę bytowania ziemskiego przez świadomość, że jest niezbędnym członkiem w potężnym łańcuchu pracy pokoleń, chociażby najskromniejsze miejsce zajmowała. A także ludzie wybitni muszą się zadowolnić świadomością, że są współpracownikami w tem, co stanowi wielkość ludzkości. O jednostki wszakże tu nie chodzi, lecz o posuwanie w kulturze całości społeczeństwa. Jednostka może ginąć, byleby cywilizacya szła naprzód! inni przyjdą na jej miejsce z nowemi siłami i nową odwagą służyć ideałowi postępu.

Z takiem pojmowaniem rzeczy niewolnictwo i poddaństwo dadzą się pogodzić. Z tego punktu widzenia okrucieństwo wojen zaborczych i ucisk słabych da się też usprawiedliwić. Dla cywilizacyi wszystko, co słabsze i mniej warte, powinno być poświęcone.

Kierunkowi temu hołdował Nietzsche.

Tu uczucie społeczne jest tak wybujałe, że przygniata swobodny rozwój indywidualności.

Szerzenie cywilizacyi z bezwzględnością dla jednostek nie może być jednak najwyższym celem życia ludzkiego.

Energizm, skoro sam jeden będzie panował, przedstawia poważne niebezpieczeństwo. Prowadzi bowiem do bezwzględnego poświęcania szczęścia jednostek dla dobra ogółu. Nietzsche dlatego właśnie nienawidził chrystyanizmu, że ten każe się opiekować słabymi.

Każdy jednak ma prawo do szczęścia, a zadaniem wychowania przysposobić młodzież do życia tak, żeby było ono pożytecznem, a zarazem szczęśliwem. Społeczeństwo ma obowiązek troszczenia się nietylko o dobro i pomyślność całości, lecz każdego z swych członków.

Energizm pomija też względy etyczne, podporządkowuje innym; zaniedbuje wyrobienie wewnętrzne. Prowadzi do narzucania swej kultury innym, a w tem jest coś brutalnego. Wynika stąd ucisk małych narodowości przez wielkie. Dla wychowawcy nie może zatem służyć za cel, bo wychowanie byłoby wówczas jednostronne i zewnętrzne, a przedewszystkiem nie uwzględniające szczęścia osobistego, do którego każdy człowiek z natury swej dąży.

* * *

Trzeci kierunek nosi nazwę moralizmu. Głosi on, że szczęście polega na wewnętrznem usposobieniu człowieka, a mianowicie takiem, które przenika duch miłości dla wszystkich i życzliwości. Szczęśliwym jest ten, kto kocha ludzi i wszystkim dobrze życzy. Życzliwość ta znajduje wyraz w czynieniu dobrze innym. Stąd jego nakaz kategoryczny: „Służ twym bliźnim bezinteresownie!“ Nie dlatego mamy się poświęcać dla dobra innych, że nam to przyjemność sprawia; nie dlatego, że są oni pożytecznymi współpracownikami w szerzeniu cywilizacyi, lecz dlatego, że oddanie się ludziom uważamy za najwyższe zadanie naszego życia, za właściwe nasze przeznaczenie.

Przedstawicielem tego kierunku był Chrystus. Dziś liczy

on wielu zwolenników. Tej drogi trzymał się też Pestalozzi, ów prawdziwy chrześcijanin, skoro się nie patrzy na czystość jego nauk, lecz na czyny; dalej Szyller, Herbart, a najbardziej Kant, który etykę swą przciwstawił eudemonizmowi, utylitaryzmowi, energizmowi.

W naszych czasach moralizm coraz bardziej się szerzy. Do zwolenników tego kierunku należą też znani pedagodzy współześni: Willmann, Foerster, Rein i ich uczniowie.

Pogląd ten jest najwyższy, lecz zarazem stawia wymagania najtrudniejsze. Nie jest to łatwem dla człowieka egoizmowi swemu przeciwstawić altruizm. Gdy jednak człowiek takim poglądom hołduje, staje się wolnym, chociażby się w okowach narodził. Kto jest czystym, ten prawdziwie jest swobodnym i szczęśliwym.

Moralizm, jakkolwiek go nazwiemy: altruizmem, uspołecznieniem, czy poprostu miłością bliźniego, może zapewnić szczęście jednostkom i społeczeństwu. Bo miłość, ogarniająca wszystkich: małych i wielkich, dalekich i blizkich, przyjaciół i wrogów; miłość zdolna do czynów wzniosłych i trudnych, a nadewszystko do przebaczenia, stanowi istotny warunek szczęścia osobistego i ogólnego.

„Miłujmy wszystkich, miłujmy nieprzyjaciół naszego narodu!“ woła Weinel, profesor uniwersytetu jenajskiego, i w tem widzi największe zadowolenie wewnętrzne i dobro ogółu.

Moralizm więc, zalecający szeroko pojmowaną życzliwość wzajemną, powinien stanowić tło wychowania w rodzinie i szkole, cel, do którego nauczanie wychowawcze zmierzać powinno.

Znaczenie moralizmu dla kultury zaznacza Foerster, gdy mówi: „Działać prawdziwie społecznie może tylko człowiek o wysokiem wyrobieniu duchowem.“ [1]

„Być uspołecznionym nie znaczy to zostać pachołkiem ludzi, ich namiętności i humorów, ich nieuzasadnionych zapałów i zbiorowego nierozsądku, lecz znaczy: w sobie i innych rozniecać siły

[1] Fr. W. Foerster. „Drogowskaz życia“. Przekład z niemieckiego. Warszawa, 1911, str. 12. Gebethner i Wolff.

i skłonności, które przygotowują grunt dla królestwa miłosierdzia; w niem to bowiem wszelka jedność społeczna znajduje swą podstawę i zrealizowanie".[1]

„Cały gmach społeczny powienien się wspierać na wysokiem wyrobieniu jednostki i na jej sile moralnej".[2]

Za podstawę współżycia z ludźmi Foerster uważa współczucie; bez współczucia bowiem rozwój społeczeństwa ludzkiego jest niemożliwym.

„Tam gdzie walka o byt wiedzie się zbiorowo, tam i zbiorowe uczucia, za pomocą ciągle okazywanej solidarności i pomocy, powinny się coraz więcej rozwijać"[3]

Obok społecznego uzasadnienia moralności istnieje jeszcze osobiste, a mianowicie, „w człowieku tkwi dążenie do wyzwolenia duszy z więzów cielesnych, do całkowitego panowania ducha nad światem ponęt zewnętrznych."[4]

Jasną świadomość tej potrzeby widzimy najpierw w filozofii indyjskiej, u Platona i w misteryach eleuzyjskich. Tam dusza poznaje, że ma swe istnienie odrębne i skupia wszystkie swe siły, aby opanować świat, zamiast mu być podwładną.

Z tego punktu widzenia potępione są te skłonności, usposobienia i czyny, które wzmacniają panowanie popędów i namiętności nad duszą, a siłę woli rozpraszają lub niszczą. Z drugiej strony, na poparcie zasługują dążenia, wiodące do ograniczenia i opanowania zmysłowości człowieka, i te, które przez wymagania bohaterskie hartują i uduchowniają wolę ludzką.

Sokrates w dysputach swych z sofistami uzasadnia właśnie moralność zawsze tylko przez wykazanie doniosłego wpływu, jaki wywiera ona na własne nasze dobro, oraz przez odmalowanie służalczego stanu, w jaki dusza wpada, poddając się popędom siły, chciwości i zmysłowości.

* * *

[1] Foerster, „Drogowskaz", str 12.
[2] „Drogowskaz", str. 11.
[3] „Drogowskaz", str. 11.
[4] „Drogowskaz", str. 15.

Trzy wyżej wymienione kierunki znajdować się mogą w duszy jednego człowieka i kolejno nim władać. Wywiązuje się stąd walka wewnętrzna. Ta sama jednostka w rozmaitych okresach swego życia podlegać może eudemonizmowi, to znów szukać szczęścia w swej potędze, lub w czynieniu dobrze innym, wówczas nawet, gdy to wymaga pewnych ofiar.

Goethe w Fauście przedstawia właśnie walkę, jaką przebyć musi duch człowieka, jeżeli owładnie nim żądza zdobycia wszechwiedzy, najwyższego piękna i wcielenia doskonałości w życie. Faust dąży najpierw do wiedzy, chce poznać tajniki świata i w tem widzi swe szczęście. Spotyka go jednak zawód. Spostrzega, że pomimo największych wysiłków umysłu nie może przeniknąć tajemnicy bytu. Skarży się zatem:

„Przebrnąłem więc wskróś fakultety
Prawny, medyczny, filozoficzny,
I w teologii (tak, tak, niestety)
Przysiadłszy fałd, brnąłem na gwałt.
Cóżem ja dziś? za znoje bez przerw
Szaleniec tak mądry jak pierw.
Magistrem dziś mnie, doktorem zwą już;
Dziesiąty to rok (płacz bierze i śmiech!)
Jak wprost i nawspak i wszerz i nawzdłuż
Ja wodzę za nos szkolików mych.
— I cóż my wiemy?... nic... nic... o katusze!
Myśl ta spali moją duszę..." [1]

Przyczyną cierpień i rozterek wewnętrznych Fausta nie była jednak czysta a niezaspokojona żądza wiedzy, lecz przedewszystkiem chęć znaczenia i potęgi osobistej, do czego wiedza miała być tylko środkiem. Faust też mówi dalej:

„Ha! tom wyzuty z radości promyków:
Nie marzę sobie, że pojęciem czystszem
Wiedzę zdobyłem, że dla śmiertelników
Światłem być mogę i mistrzem.
Ziem, złota, w spadku nie wziąłem,
Kornie przedemną świat nie bije czołem.
O! w takiej doli i psu żyć nie miło.
. . . . . .

[1] J. W. Goethe. „Faust". Przekład F. Jezierskiego. Warszawa. 1880 I. 30.

— Księżycu w pełni! oby twój blask bratni
Przyświecał mękom moim raz ostatni." [1]

Nie mogąc znaleść szczęścia w poczuciu swej wielkości, bo rzeczywistość strąca go wciąż z wyżyn wysokiego mniemania o sobie, każąc mu przyznać:

— „Bogom nierówien" — czuję, o! krwawo to czuję
Ja, równy robaczkowi, co w prochu koczuje
I w prochu żyjąc, prochem żywi siebie,
Aż go stopa wędrowca zniszczy i pogrzebie" [2]

Faust wpada w rozpacz, chce sobie odebrać życie. Usposobienie jego odzwierciadla też rozmowa z Mefistofelesem, gdy mówi:

„O nędzo!
Tom ja daremnie z dziedzicznej skarbnicy
Ducha ludzkości snuł przędzę za przędzą?
Czyż tam, we wnętrzach, przybrało w krynicy
Z siłą nowotną? cóż z walki wyniosłem?
Czy na szerokość włosa ja podrosłem
Nad zwykły poziom człowieczy,
A nieskończoność przybliżył ku oku?" [3]

Mefistofeles radzi mu porzucić próżne wysiłki ducha, twierdząc, że inni nie doszli do poznania prawdy, i on jej nie zgłębi. „Porzuć te księgi! Rzuć się w wir świata i używaj! Tu znajdziesz szczęście." — Mefistofeles zdaje sobie jednak sprawę z poniżenia, w jakie go przez to wtrąca, i mówi do siebie:

„Tylko ty wzgardź mi rozumem, a księgą,
Nauką, potęg potęgą,
W mgłach kuglarstwa i guślarstwa
Oddaj się duchowi łgarstwa:
O! toś zapadł w moje sidła" [4]

Po krótkiej walce Faust zawiera przymierze ze złem; rozpoczyna życie światowe i używa aż do dna. Prowadzi takie życie,

[1] „Faust", str. 30 i 31.
[2] „Faust", str. 38.
[3] „Faust" str. 70.
[4] „Faust", str. 71.

że zastosować do niego można słowa Mefistofelesa, który w prologu mówi do Boga o człowieku:

„Może i prędzej z życiem trafiłby do końca,
Gdybyś mu nie dał próbki niebiańskiego słońca!
Zwie ją rozumem, ale zyskał z niej nie więcej,
Jedno, by żyć nad wszystkie bydlęta bydlęcej." [1]

Czy na tej drodze Faust znalazł szczęście? Nie, wynik ujemny. Nauka nie dała mu szczęścia, używanie tem mniej. Zamiast zadowolenia, uczuwa wstręt, rozpacz, żal...

Wkońcu jednak Faust osiąga szczęście, za którem wciąż gonił. Gdy był już starym i ślepym znajduje pełnię zadowolenia i zaspokojenia swych pragnień, a osiąga je w pracy dla dobra ogółu. Czuje się wówczas tak szczęśliwym, że chciałby czas zatrzymać i woła do chwili:

„Wstrzymaj się — jesteś tak piękną, tak cudną".
„Ślad moich ziemskich dni w eonów pyle
Nie zatrze się — nie może zaginąć w bezmiarze...
I gdy o owem szczęściu najwyższem dziś marzę...
Teraz czuję dla siebie najpiękniejszą chwilę." [2]

To był szczyt jego szczęścia, altruizm!

Goethe, głęboki znawca życia i niezwykła potęga umysłowa, na podstawie własnego doświadczenia doszedł do tego wniosku. Przez całe niemal życie czuł w sobie ten poemat, tak, że część drugą dokończył dopiero na krótko przed śmiercią.

* * *

Ponieważ główne zadanie szkoły stanowi kształcenie w dziecku człowieka, czyli osobistości pełnej charakteru, powinna więc szkoła przedewszystkiem zdawać sobie jasno sprawę, do jakiego celu zmierza, t. j. w jakim kierunku ma wpływać na charakter dzieci, jakie zasady w nie wpajać. Cel wychowania nie może się zmieniać co godzina; jeden nauczyciel nie powinien zaprzeczać temu, co głosi drugi, bo zamiast siły i jednolitości charakteru wytworzy chaos i rozdwojenie w duszy dziecka.

[1] „Faust", str. 27.
[2] „Faust", str. 381.

Cel wychowania, jako ideał najwyższy, może być tylko jeden, bo ma na względzie stałe wartości życia i jest ponad zmiennością czasów. Ideały kształcenia są zmienne, bo sama treść kształcenia zmienia się z postępem czasu. A nawet, w ścisłem znaczeniu wyrazu, nie są ideałami, lecz odbiciem zmiennych prądów czasu, jakie się odczuwać dają w życiu narodów. Ideały zaś wychowania nie podlegają zmianie, tak, jak bezwzględnie wartościowe normy moralne, które tak długo zachowują swe znaczenie, jak długo wogóle będzie istniała kultura. Celu wychowania szukać zatem należy w etyce.

Eudemonizm, jak widzieliśmy z powyższego, za cel wychowania w szkole służyć nie powinien. Energizm również, bo nie uwzględnia dostatecznie potrzeb i szczęścia każdej z jednostek. Jedynie moralizm, cel chrześcijańskiego systemu wychowania, przedstawia zadanie dość wysokie i godne człowieka, a zarazem zapewnić mu może postęp w kulturze, a także prawdziwe i trwałe zadowolenie wewnętrzne, czyli szczęście osobiste.

Oto co mówi o moraliźmie jeden z najgorętszych jego zwolenników, prof. W. Rein: „Bóg jest miłością. Stosunek nasz do Boga pozostaje w ścisłej zależności od naszego stosunku do ludzi. Gdy się zdobędziemy na usposobienie pojednawcze i przebaczające względem ludzi — rzecz najtrudniejsza, której od nas żądać można — wówczas tylko stosunek nasz do Boga będzie należytym. Miłość bliźniego stanowi probierz miłości Bożej. Przyjemności, z powodu, że są przemijające i prowadzą do szukania siebie, zasługują na pogardzenie. Nauka i sztuka stoją poniżej miłości, która jako łagodność, spokojność, miłosierdzie i sprawiedliwość nazwaną jest światłem i solą ziemi. Miłość więcej znaczy niż poznanie i powinna niem kierować. Tylko miłość posiada siłę prawdziwie utrzymującą i budującą i ona to wynosi człowieka daleko ponad wszelkie nędze życia ziemskiego do bardziej czystego bytu. Na tem właśnie polega wiecznie trwała wielkość nauki chrześcijańskiej.“ [1]

---

[1] Wilhelm Rein. *Pädagogik in systematischer Darstellung.* 2 Langensalza, 1911. I. 112.

Czy szkoła posiada tak potężne środki wychowawcze, za pomocą których mogłaby dopiąć swych celów? Czy wogóle szkoła ma możność wychować młodzież i dać jej trwałe wyrobienie duchowe, zgodnie z powziętym planem?

Tak, niewątpliwie, posiada bowiem środek pewny, a nieodzowny, bez którego wychowanie w właściwem znaczeniu tego wyrazu nie jest możliwem; jest nim tak zwane nauczanie wychowawcze, które posiada swą historyę i metodykę odrębną.

Czem jest nauczanie wychowawcze? Pojęcie o niem, w całej jego sile i określoności, dał nam najpierw Herbart: „Nauczanie ma na celu wytworzenie koła pojęć; wychowanie zaś dąży do wyrobienia charakteru. Ostatnie nie jest możliwem bez pierwszego. To stanowi treść całej mej pedagogiki.“ [1]

„Nie pojmuję wychowania bez nauczania, jak również nie uznaję nauczania, które nie wychowuje. Jakich sztuk i umiejętności nauczy się młodzież dla swego pożytku od nauczyciela, to dla wychowawcy tak obojętne, jak kolor, który na suknię sobie wybierze. Ale jak się kształci jego koło pojęć, ma to dla wychowania największe znaczenie, bo pojęcia wpływają na uczucia, z nich wypływają zasady i sposób postępowania.“ [2]

Największą pomocą i siłą w nauczaniu wychowawczem jest czynnik religijny. Zastanówmy się więc nad nim nieco dłużej, bo pomimo że nie możemy jeszcze do wszystkich zastosować słów Rudolfa Euckena, prof. filozofii na uniwersytecie w Jenie, że „minęły te czasy, gdy zaprzeczanie wszelkiej religii uważano za coś najzupełniej uzasadnionego, za coś wielkiego,“ jednak coraz więcej ludzi dochodzi do przekonania, że religia stanowi jeden z najdzielniejszych środków postępu i podstawę kultury.

Kidd-Pfleiderer w dziele swym „Ewolucya socyalna,“ [3] stara się dowieść, że rozwój społeczeństwa ludzkiego zależy od

---

[1] *Hartensteins Werke*, XII. 241.

[2] Herbart. *Allgemeine Pädagogik*. Einleitung.

[3] B. Kidd-Pfleiderer. *Soziale Evolution*. Jena, 1893.

potęgi jego przekonań religijnych i moralnych. Do środków postępu, podług zdania autora, należy przedewszystkiem nie inteligencya i jej wzrost, lecz religia, która jedynie zdolną jest skłonić ludzi do podporządkowania swych interesów indywidualnych społecznym.

Houston Stewart Chamberlain twierdzi, że największe niebezpieczeństwo, zagrażające przyszłości Germanów, widzi w braku prawdziwej, naszym czasom odpowiadającej religii. Jest to ich pięta Achillesowa. Kto w nią trafi, przywiedzie ich do upadku.[1]

W najgłębszych zakątkach duszy każdego tkwi cześć dla niewidzialnych, a nie mniej realnych potęg duchowych, które najczystszy swój wyraz znajdują w chrystyanizmie.

„Religia chrześcijańska, mówi Goethe, jest potęgą, która upadłą, cierpiącą ludzkość dźwiga na coraz to większe wyżyny. W działaniu tem jest wyższa ponad wszelkie filozofie i nie potrzebuje od nich żadnej podpory. Chociażby kultura duchowa wciąż się zwiększała, a umysł ludzki się wznosił na coraz wyższe szczyty, nie prześcignie nigdy wysokości chrystyanizmu i jego kultury moralnej.“[2]

Prawdziwy postęp w kulturze może mieć miejsce jedynie pod kierunkiem norm moralnych, obowiązujących jednostki i społeczeństwo. Lecz normy te nabierają siły pod wpływem głębokich wierzeń religijnych.

„Wiara w Istotę wieczną i doskonałą usprawiedliwia i wspiera idealne poglądy sumienia, pogłębia świadomość winy, podtrzymuje każdą uzasadnioną nadzieję i wzmacnia wolę we wszelkich jej wahaniach się w chwili pokusy,“ mówi K. Konig.[3]

---

[1] Houston Stewart Chamberlain: *Die Grundlagen des 19 Jahrhunderts.* München, 1890. II, 750 i 859.

[2] Por. W. Bode, *Goethe, Vier Bücher über seine Persönlichkeit und seine Überzeugungen.* Berlin, 1903. W. Bode, *Stunden mit Goethe* Berlin. — Bielschowsky, *Goethe.* München, 1904. —

[3] Por. Karl König, *Im Kampf um Gott und um das eigne Ich.* Freiburg u. Leipzig, 1901, a także oprócz obszernej literatury katolickiej, nast. dzieła protestanckie: R. Eucken, *Geistige Strömungen der Gegenwart,* Leipzig, 1904, str. 344 i 357. — Drumond, *Das Naturgesetz in der Geisterwelt,* str. 148. — Allihn-Flügel, *Grundriss der Ethik,* Langensalza, 1898, str. 254. — W. Rein

Zapoznawanie znaczenia czynników religijnych w życiu i opieranie się tylko na moralnych stanowiłoby wielki brak i stratę w wychowaniu. Nie potrzebujemy dowodzić, że jedynie religia dać może odpowiedź na pytania o pierwszych przyczynach i celach ostatnich, a przez to nasz światopogląd i pogląd na życie doprowadzić do określonego systemu.

Kto w wychowaniu powstrzymuje się od dania tego całokształtu, kto się cofa przed zagadnieniami ostatecznemi, ten daje wiedzę bez należytego związku wewnętrznego, nie zwraca uwagi na uczucie religijne, domagające się praw swoich, a przez to własnowolnie się pozbawia możności istotnego kształcenia charakteru dziecka.

Osobistość pełna charakteru nie może mieć nic głębszego i subtelniejszego nad religię, z tęsknotą się zwracającą do tego, co nadzmysłowe i wieczne.

Pojęcia moralne otrzymują swą sankcyę w sumieniu naszem, lecz siłę swą czerpią z głębszego źródła. Wprawdzie pogląd etyczny może się obejść bez poznania religijnego; ale gdy chodzi o czyn etyczny, religia przedstawia tu dzielną pomoc. Człowiek, odrzucający religię, a opierający się jedynie na moralności, może też działać dobre i wielkie rzeczy. Kto jednak posiądzie moralność i religię zarazem, staje się lepiej przygotowanym do walki życiowej i prędzej zwycięztwo odnieść może. W tem połączeniu czerpie jednostka pełnię sił; to ją uzbraja przeciw przeciwnościom świata. Obcem jej nikczemne uchylanie się i pełzanie, gdy walka się zbliża; dziecinne jęki są od niej dalekie. Z radością odważna idzie w życie ze wszelkiemi jego przeszkodami: złem, cierpieniem, winą i grzechem, aby przez samodoświadczenie dojść do samopoznania i do swobody wewnętrznej.

W walce zwycięskiej wewnętrznie wyzwolony człowiek wznosi się ponad hedonizm, który patrzy na życie z punktu wi-

---

Grundrist der Ethik, Osterwieck, 1910. — Jahrbuch *der Glogau-Gesellschaft* 1910, 12. — W. Rein, *Pädagogik in systematischer Darstellung*, Langensalza, 1911, I. str. 160. —

dzenia przyjemności, i ponad ewolucyonizm, który chce posuwać cywilizacyę, nie pytając dlaczego? i dokąd?

Wyzwolony człowiek uważa świat taki, jakim jest, za dobry i stara wyciągnąć się zeń to wszystko, co może duszę jego podnieść do światła.

Człowiek swobodny zwycięża zło i cierpienie, jest ponad niem. Wszystko, co z zewnątrz przychodzi, uważa za swój zysk moralny; wszystko to zwiększa jego energię do czynu. Tu może dowieść, czy jest mistrzem, czy rzemieślnikiem życia.

Wewnętrznie wyzwolony człowiek jest mistrzem życia. Pochwały, godności i inne bożyszcza nie mają dla niego znaczenia; wewnętrzne jego życie jest dla niego wszystkiem. Poczucie swobody czyni go zdrowym, wesołym. Nie zwracając uwagi na poglądy i opinię masy, wiedzie swe własne życie indywidualne, oparte na wierze w Boga, który jest źródłem prawdziwie osobistego, wiecznie nowego bytu.

W taki sposób religijne uzasadnienie istnienia jednostki podnosi ją na wyżyny człowieczeństwa. Daleko poza nią pozostaje stopień człowieka natury, ślepo ulegającego popędom organizmu. Daleko poza nią też stopień wyrachowanego chcenia, mającego na względzie jedynie pożytek własny. Rządzi nią wola rozumna, czerpiąca siłę w prawach moralnych i zgodna z nakazami Najwyższego.

Tak więc, moralność i religia wpływają wzajemnie na siebie. Siła religii powinna się okazać w moralności, a moralność powinna być przeniknięta religią. To połączenie religii z moralnością czyni człowieka osobistością silną, jednolitą, bez rozterek i rozdwojeń.[1]

Najważnieszem więc zadaniem szkoły jest kształcenie charakteru pokoleń dorastających, bo jak mówi Ruskin: „Prawdziwą kulturę ma tylko ten naród, który posiada wiele ludzi, z silnie zaznaczoną osobistością, czyli z charakterem".

„Człowiek ma w sobie coś boskiego. Jest on centrem kul-

---

[1] Por. W. Rein. *Pàdagogik*, i K. König, Gott. *Warum wir bei ihm bleiben müssen.* Freiburg. Waetzel.

tury, a boskość w człowieku jest centrem jego osobistości".

Organizacye zewnętrzne są cenne i konieczne; nadają one kierunek czynnościom ludzkim, pobudzają do postępu. Lecz cenniejszą jest siła wewnętrzna w człowieku, która sprawia, że każdy jest osobnym światem zamkniętym, posiadającym światło i ciepło. Takie natury mocne i zamknięte, udzielające organizacyom siły i czynu, są prawdziwymi szerzycielami kultury.

Praca wychowawcza nie ma wznioślejszego zadania nad wyrabianie z pokoleń dorastających możliwie wiele takich szerzycieli kultury.

* * *

Powyższe zapatrywania nowoczesne na cel i zadania szkoły stanowią wielki postęp w zestawieniu z dawnemi, a szczególniej z ideałami szkolnemi stulecia pedagogicznego, czyli wieku 18-go, którego poglądy przestarzałe i dziś, niestety, w niektórych krajach i szkołach pokutują jeszcze.

Dzisiejszy świat pedagogiczny, stojący na wysokości chwili obecnej, w dążeniach swych i wymaganiach, stawianych szkole, wznosi się na szczyty, które dawniej, z powodu niedostatecznej znajomości metody psychologicznej, uważane były za niedostępne.

Szkoła dawna za punkt ciężkości uważała przekazanie dzieciom możliwie wielkiej ilości materyału naukowego, któryby mógł się im przydać w życiu późniejszem. Rys znamienny i cecha pedagogiki wieku 20-go stanowi, że szkoła dzisiejsza dąży do wyrobienia charakteru dzieci w określonym przez siebie kierunku, naukę zaś uważa za środek, do tego wiodący, słusznie wychodząc z założenia, że człowiek mający siłę woli i odpowiedni rozwój umysłowy, sam potrafi nabyć wiedzy, której potrzebować będzie, natomiast osobnik bez charakteru i zasad nie potrafi skorzystać z nabytych wiadomości, nie na wiele więc jemu nauka się przyda, nie posunie też kultury swego społeczeństwa.

Niektórym tak idealne pojmowanie celów szkoły może się

wydać niepraktycznem i do przeprowadzenia niemożliwem. Tak jednak nie jest. Wychowawca, władający metodą psychologiczną, potrafi wyrobić młodzież w każdym, obranym przez siebie kierunku, o ile konsekwentnie i wytrwale dążyć do tego będzie.

Są kraje, gdzie za pomocą panującego w szkołach nauczania wychowawczego, zdołano uczynić moralizm zasadą ogólną postępowania. Tam właśnie widzimy wyższy stopień kultury duchowej niż u narodów, gdzie dotąd panują stare formy w szkolnictwie i gdzie głównem zadaniem szkoły u c z e n i e dzieci, a nie ich wychowywanie za pomocą nauczania.

Wkroczmy więc odważnie na drogi nowe, a przedewszystkiem wymagajmy od uczących kształcenia się fachowego w pedagogice, aby te drogi mogli zrozumieć dokładnie i przystosować je umiejętnie do potrzeb i warunków swego kraju.

Kazimiera Proczkówna.

USTAWY AGRARNE W CZASIE PRZESILENIA W AUSTRYI.

W miarę, jak niedomagania w rolnictwie coraz ostrzejsze i groźniejsze przybierać poczęły formy zwłaszcza wśród włościaństwa, w społeczeństwie i w ciałach ustawodawczych budzi się akcya ratunkowa. Pierwszy impuls w tym kierunku wychodzi z krajów alpejskich.

Już w roku 1881 wydział krajowy w Solnogrodzie wystosował do sejmu memoryał w sprawie wydania specyalnego prawa agrarnego dla wielkiego księstwa solnogrodzkiego. Autorem zaś memoryału był marszałek krajowy hr. Chorinski. Specyalnem nadto krajowem prawem agrarnem zajmuje się równocześnie sejm w Vorarlbergu i w trzy lata później sejm w Krainie i w innych krajach.

Wszędzie znać wpływ idei barona Vogelsanga, które szerzone z dużym talentem publicystycznym poruszają masy ludowe i wciskają się do izb ustawodawczych. Wszędzie zgodnie uważano kapitalistyczny porządek gospodarczy i liberalne ustawodawstwo ekonomiczne za główną przyczynę wszystkich nieporządków i ciężkich niedomagań agrarnych wśród włościaństwa.

Liberalny porządek agrarny, powiedziano sobie, „uruchomił" ziemię i „uczynił ją towarem" i sprawił „że średni stan włościański wykupują z jednej strony wielki kapitał i właściciele latyfundyów, a z drugiej wśród włościan odbywa się proces proletaryzacyi przez szerzenie się biednych, długami przeciążonych posiadłości karłowatych" (Ertl). Liberalny porządek agrarny toczy stan włościański i prowadzi go nieuchronnie do ruiny.

Jeden tu tylko nasuwa się środek zaradczy: trzeba przekształcić liberalne i kapitalistyczne i z naturą ziemi niezgodne prawo w specyalnie włościańskie prawo agrarne. A więc trzeba znowu koniecznie wznowić dawne prawo niepodzielnych zagród i dawne włościańskie prawo spadkowe. Trzeba uregulować prawo sukcesyi beztestamentowej i stworzyć niepodzielne i nieodłużalne zagrody i włości rentowe, oczyścić ziemię z ciążących na niej długów hipotecznych, ograniczyć możność zaciągania długów i stworzyć obowiązkową organizacyę włościańską. Wszystkie te ustawy otoczą szańcem obronnym stan włościański przed zgubnymi skutkami liberalnego porządku gospodarczego i odgrodzą go murem nieprzebytym od zachłannych operacyi kapitalistycznego gospodarstwa pieniężnego.

Wybitny historyk polityki agrarnej w Austryi Walter Schiff ruch ten i akcyę sfer rządzących w obronie zagrożonego w egzystencyi stanu włościańskiego tak przedstawia:

Pod koniec ubiegłego wieku w dwu ostatnich lat dziesiątkach występuje w Austryi coraz wyraźniej i coraz silniej nowy kierunek agrarno-polityczny, który usiłuje zburzyć zasadnicze podstawy dzisiejszych włościańskich stosunków własnościowych i dla zanikającego stanu włościańskiego stworzyć nowe włościańskie prawo agrarne.

Kierunek ten opiera się na przekonaniu, że ciężkie, obecne niedomaganie stanu włościańskiego pochodzi stąd, iż obowiązujące dziś prawo agrarne stawia na równi rolnika z innymi przedsiębiorcami i posiadłość ziemską z kapitałem pieniężnym. Ażeby tedy dopomódz chłopom, trzeba stworzyć nowe prawo agrarne, zgodne z naturą ziemi i specyalnie ekonomicznemi właściwościami rolnictwa.

Wolność osobista włościan ma pozostać nietkniętą. Nie mówi się też o wznowieniu stosunku patrymonialnego. Robocizna i inne ciężary gruntowe minęły bezpowrotnie.

Nowy kierunek zwraca się raczej przeciwko wolności dzielenia gruntów chłopskich, którą w myśl konsekwentnej realizacyi zasadniczej idei liberalnej w latach 1867—69 w życie wprowadzono. Należy ograniczyć możność dzielenia gruntów chłop-

skich: najpierw w drodze dziedziczenia (przez prawo sukcesyi beztestamentowej, Anerbenrecht), następnie w drodze transakcyi pomiędzy żyjącymi (przez prawo zagrodowe, Höferecht).

Tak samo zwalcza się wolność nabywania własności chłopskiej. Trzeba chronić, mówią, ziemię chłopską przed pochłonięciem jej przez własność wielką, a z drugiej strony przeszkadzać, by ludzie nieudolni i nierolnicy nie nabywali ziemi. Własność chłopska ma być zastrzeżona wyłącznie rodzinom chłopskim (przez prawo zagród niepodzielnych i nieobdłużalnych, Heimstätte).

Najsilniejsze atoli ataki skierowano przeciwko dzisiejszemu systemowi kredytowemu. Zamiast obdłużenia ziemi kapitałem pieniężnym ma jedyną formą obdłużenia być dług rentowy. Wolność obciążenia ziemi dowolnie długami hipotecznymi ma uledz ograniczeniu, ziemia ma wogóle być oczyszczoną od ciążących na niej hipotek (prawo ograniczenia długów i włości rentowe). Przedewszystkiem domagają się zwolennicy tego kierunku skasowania albo przynajmniej ograniczenia t. z. kredytu gruntowego (przez prawo inkorporacyi kredytu gruntowego, włości rentowe i prawo sukcesyi beztestamentowej).

Do zrealizowania większości postulatów tych potrzebna jest władza nowa, zorganizowana, któraby nowe prawo agrarne w życie wprowadzała. Przytem atoli najczęściej nie myśli się o władzy państwowej ani wogóle urzędnikach politycznych, lecz o autonomicznych, rolniczych urzędach administracyjnych, wyrastających z przymusowej organizacyi całego stanu rolniczego (izby rolnicze, organizacya zawodowa rolników).

Dalszem uzupełnieniem koniecznem prawa agrarnego byłaby asekuracya przymusowa, celem pokrycia wszystkich potrzeb ekonomicznych bez zaspokojenia kredytowego, oraz publiczne pośrednictwo kredytu dla zaspokojenia uzasadnionych potrzeb (inkorporacya kredytu).

Wszystkie te reformy i plany najściślej wiążą się ze sobą. Stanowią one drugi etap w rozwoju agrarno-politycznych usiłowań w Austryi pod nazwą reformy prawa włościańskiego.

Nie idzie tu już, jak widać, o popieranie produkcyi rolniczej,

ale o ochronę pewnej klasy społecznej — ani o problemy gospodarcze, ale o problemy własnościowe.

I tem się tłumaczy, że kwestye o podzielności i pozbywaniu się własności, o obdłużeniu ziemi i równem prawie spadkowem własności chłopskiej, o rolniczej asekuracyi przymusowej i organizacyi zawodowej rolników i t. d. obecnie są przeważnie przedmiotem gwałtownej walki partyi politycznych".[1]

Wielkie plany te i zapędy reformatorskie usiłował rząd zrealizować choć w części ustawą z roku 1889 o włościańskiem prawie spadkowem w razie sukcesyi beztestamentowej i niepodzielnych zagrodach włościańskich, oraz projektem do ustawy z roku 1893 o obowiązkowej organizacyi zawodowej rolników i wyzwoleniu ziemi z długów hipotecznych w połączeniu z instytucyą włości rentowych. I tu kierunek ten osiągnął punkt swój kulminacyjny.

A teraz jaki jest rezultat tych wielkich planów i usiłowań?

Nikły bardzo. Ustawa z roku 1889 o prawie spadkowem i zagrodowem oprócz Tyrolu, gdzie już od wieków była w zwyczajach ludu, weszła w życie dopiero w dwu krajach koronnych, w Czechach i Karyntyi, i to we formie bardzo zmienionej. Ustawę natomiast o włościach rentowych i obowiązkowej rolniczej organizacyi zawodowej z roku 1893 i 94 rząd dobrowolnie wycofał z powodu oporu ludności i miażdżącej krytyki naukowej. Ukazała się ona w życiu publicznem dopiero później w całkiem odmiennej formie. Usiłowania więc, żeby stworzyć odrębne włościańskie prawo agrarne spełzły na niczem.

Ale bo też materyał faktyczny, na którym opierały się te ustawy, nie był zgodny z rzeczywistością i cel, do którego zmierzały, nie przypadał do miary dzisiejszej cywilizacyi i dzisiejszego życia konstytucyjnego.

Najprzód ciężkie niedomaganie rolnictwa było w części, jak to już gdzieindziej zaznaczyliśmy, tylko dziełem liberalnej polityki i liberalnego porządku gospodarczego. Jakąż łączność przyczynową mają n.p. gospodarcze ustawy liberalne z zanied-

[1] *Österreichs Agrarpolitik* t. I. str. 29/30.

baniem rolnictwa pod względem techniki i asocyacyi rolniczych lub gwałtownem obniżeniem się cen zbożowych i przemożną konkurencyą zagraniczną? Chyba luźną bardzo i pośrednią tylko.

Zresztą stan włościański i w najkrytyczniejszym czasie, jak naonczas powszechnie mniemano, nie był blisko ruiny i zatraty. Był to tylko stan przejściowy, ciężkie niedomaganie, ciągnące się przez szereg lat, wywołane głównie niskim stanem oświaty i techniki gospodarczej i kultury krajowej i konkurencyą zagraniczną i całym szeregiem bliskich przyczyn lokalnych, wśród których wadliwe ustawy najmniejszą odgrywały rolę.

A tu myślano tylko o reformie ustaw. Zamiast pracować nad podniesieniem moralnem i kulturalnem włościan, nad rozwojem kultury rolniczej i podniesieniem produkcyjności ziemi, narzucono włościanom ustawy spadkowe i zagrodowe, rentowe i cechowe, ustawy, ujmujące w jedne kluby i niemowlęce powijaki wszystkich chłopów według jednego szablonu, pracowitych i przedsiębiorczych i postępowych, ciemnych i leniwych i zaniedbanych pod każdym względem.

Na konferencyi agrarnej w Berlinie poddał Schmoller (1894) ostrej i miażdżącej krytyce włościański program agrarny Steina i Schäfflego: „Tego rodzaju, mówi on, utopijne programy mają prawo do bytu, ażeby się przekonać, jak opinia publiczna na nie reaguje. Są to szeroko pomyślane obrazy przyszłości, które w czasie krytycznym bardzo po przeobrażeniu opinii publicznej i po uprzednio przeprowadzonych próbach mniej skrajnych możnaby raz wziąć na seryo. Na razie atoli przekraczają one granice tego, co w najbliższych latach możnaby przedłożyć reprezentacyi ludu. One bowiem domagają się czegoś nowego i zupełnie niezwykłego."

Szorstkie słowa te stosują się w dużej mierze i do niektórych projektów rządowych. Są to szeroko pomyślane programy, które własność włościańską na innych oprzeć mają zasadach i chłopów podbić w moc posłuszeństwa. Bez wiedzy i woli władzy politycznej chłop nie mógłby się ruszyć na swojej ojcowiznie. I ten absolutyzm i biurokratyzm państwowy, który krępuje wolność obywatelską i gospodarczą i z chłopów chce uczynić posłuszną

armię poddańczą, kłócą się z rozumem i porządkiem przyrodzonym i jaskrawo odbijają od dzisiejszych swobód konstytucyjnych i rozwoju dzisiejszej cywilizacyi.

Przypatrzmy się bliżej tym ustawom. Najprzód ustawa państwowa z r. 1889 „zawierająca odrębne przepisy spadkowe dla posiadłości rolniczych średnich rozmiarów.“ [1]

Obecne prawo spadkowe kodeksu cywilnego w Austryi opiera się na zasadzie równości i stawia ziemię na równi z wszelką inną własnością. Właściciel n. p. ma prawo rozporządzać dowolnie tylko połową majątku, druga zaś połowa przypada z prawa w równych częściach ustawowym spadkobiercom. W razie zaś dziedziczenia beztestamentowego przyznaje prawo spadkobiercom równe działy i każdy z dziedziczących może zmusić w celu podziału drugich do sprzedania dziedzictwa. Gdy włościanin n. p. umrze bez testamentu, albo gdy testament zostanie uznany za nieważny, następuje realny podział ojcowizny. W razie zgody stron i obecnie sędzia może przekazać jednemu z spadkobierców ojcowiznę a reszcie spłaty, ale w praktyce wypadek taki zdarza się rzadko bardzo.

Następstwa prawa tego w rolnictwie, zwłaszcza dla włościaństwa okazały się na pozór zgubne bardzo. Podzielność gruntów i prawo równych działów przy dziedziczeniu, mówiono i żalono się, roztoczą nieuchronnie stan włościański. Nadmierne obdłużenie albo rozdrobnienie gruntów, gorączka parcelacyjna i emigracyjna, oto bezpośrednie owoce tych praw, niezgodnych z naturą warsztatu rolnego.

Na skutek skarg tych i żalów rząd w roku 1882 rozległą urządził ankietę, która urzędowała aż do roku 1886 i dużo w tej mierze zebrała materyału. Ankieta ta wykazała, że następstwa, jakie przypisywano podzielności gruntów, były dużo przesadzone i że wprowadzenie w życie prawa sukcesyi beztestamentowej do prowincyi południowych, jak np. Dalmacya i po części Kraina, byłoby wprost klęską ekonomiczną. Wogóle jednak przeważało zdanie, że specyalne włościańskie prawo spadkowe wpłynęłoby

[1] Patrz: *Grundriss des Agrarrechts* von Dr. Walter Schiff, str. 17.

dodatnio we wielu krajach koronnych na rozwój gospodarczy i ukształtowanie się stosunków własnościowych w rolnictwie. Rezultatem ankiety była ustawa z roku 1889, normująca sukcesyę beztestamentową, która jednak ze względu na odrębne stosunk poszczególnych krajów, miała wejść w życie dopiero po uchwaleniu jej przez sejmy krajowe.

Co zawiera ustawa ta?

Najprzód odnosi się ona tylko do własności średnich rozmiarów. Co zaś należy rozumieć przez własność średnich rozmiarów, oraz kto ze spadkobierców ma objąć w spuściznie gospodarstwo, ma określić ustawa krajowa. U nas w Galicyi więc, gdzie własności średniej prawie niema, ustawa spadkowa nie wielkie miałaby zastosowanie.

Powtóre idzie tu przedewszystkiem o uregulowanie dziedziczenia beztestamentowego bez naruszenia wolności testowania. „Właściciel zagrody — czytamy w § 3 — podlegającej przepisom ustawy niniejszej, nie jest bynajmniej przepisami tymi krępowany w swobodnem rozporządzaniu zagrody lub jej częściami ani między żyjącymi ani na wypadek śmierci".

A więc reforma ta prawa spadkowego w razie dziedziczenia beztestamentowego trzyma środek pomiędzy majoratem (fideikomisem) a podzielnością gruntów.

Myśl jej zasadnicza jest ta: Według obecnie panującego porządku, gdy włościanin umrze bez testamentu, albo gdy ostatnia jego wola zostanie uznaną za nieważną, następuje rzeczywisty podział ojcowizny.

Otóż na przyszłość w razie zmiany ustawy dziedziczyłby jeden ze spadkobierców. Nowa ustawa mówi: Nie wolno dzielić zagrody pomiędzy dzieci, ani sprzedawać jej celem podzielenia się pozyskanym kapitałem pieniężnym. Ojcowizna ma przejść niepodzielnie w spuściznie na jedno z dzieci (Anerben) z warunkiem spłacenia rodzeństwa.

Ażeby zaś gospodarstwa zbyt nie obciążać działami spadkowymi, trzeba dziedzica, obejmującego ojcowiznę, uprzywilejować, przeprowadzając ocenę majątku według korzystnych dla niego zasad, albo dodając do równego działu spadkowego nań

przypadającego nadto jeszcze ⅓ część całego majątku tz. *praecipuum*. I przywilej ten dziedzica stanowi istotną cechę prawa sukcesyi beztestamentowej.

Ale coś więcej jeszcze. Z reformą prawa spadkowego łączy się druga ustawa, którą rząd projektuje sejmom krajowym do zatwierdzenia, mianowicie, ograniczenie dowolnej podzielności gruntów włościańskich i określenie warunków, pod jakimi nabywać można zagrody włościańskie. Druga ustawa ta, będąca uzupełnieniem pierwszej, tz. ustawa zagrodowa (Höferecht) postanawia, aby zagrody, podlegające ustawie pierwszej, zostały zarejestrowane do osobnej w tym celu założonej księgi zagrodowej (Höferolle) jako niepodzielne i uprzywilejowane przy sukcesyi.

Ustawy te, jak już wspomnieliśmy, z wyjątkiem Tyrolu nie weszły w życie. Dlaczego? Przecież projektowana reforma włościańskiego prawa spadkowego w wielu krajach koronnych była, zdaje się, postulatem pożądanem? Bo rząd połączył ją niefortunnie z ustawą niepodzielnych zagród włościańskich. Na takie zaś ograniczenie wolności gospodarczej i wolności testowania lud nigdzie nie chciał się zgodzić.

W Tyrolu np., gdzie nowe przepisy spadkowe i postanowienia zagrodowe uwieczniły tylko dawne zwyczaje ludowe, obecnie nie wolno bez pozwolenia władzy tz. Höfebehörde ani wytwarzać, ani znosić, ani powiększać, ani zmniejszać nowych zagród, ani nawet parcelować posiadłości, które nie podlegają ustawie zagrodowej, słowem, cały obrót ziemią zależny jest tam od władzy politycznej. Do prastarych więc zwyczajów dziedziczenia przyszła w dodatku zależność od władzy politycznej. I tej zależności uląkł się lud.

Ale i włościańskie prawo spadkowe nie wszędzie przypada do rozwoju stosunków włościańskich. Tam, gdzie ono żyje w prastarych zwyczajach i nawyknieniach ekonomicznych ludu, rodzice zwyczajnie za życia gospodarstwo oddają jednemu z dzieci a sami idą na dożywocie. W okolicach natomiast, gdzie z dawien dawna przeciwny wyrobił się zwyczaj i tkwi głęboko w poczuciu sprawiedliwości a częstokroć i w żywotnych i nieodzownych

potrzebach ludności, tam prawo spadkowe spotka się na pewno z uporem ludu i nie wyjdzie na dobro kraju, jakto w ankiecie (1882—1886) w sprawozdaniach z południowych krajów wyraźnie zaznaczono.

Zresztą przeciwko przymusowym niepodzielnym zagrodom przemawiają i względy gospodarcze.

Celem ustawy o zagrodach niepodzielnych jest zachowanie dzisiejszych gospodarstw rolnych i, co zatem idzie, ustalenie i uwiecznienie dzisiejszego podziału własności rolnej. Chcąc zaś utrwalić ustawą dzisiejszy podział własności, trzebaby wpierw przeprowadzić komasacyę t. j. skupienie porozrzucanych częstokroć po obszarze gminy całej parcel, uniemożliwiających wydatne i racyonalne gospodarstwo.

Powtóre, jeżeli szablon wszędzie i zawsze podcina żywotną energię i szerzy martwotę, to dziś przedewszystkiem, kiedy włościanie dźwigają się pod względem gospodarczym, szablon działa poprostu zabójczo. Dziś przedewszytkiem potrzeba indywidualizacyi i wolności gospodarczej o szerokim zakroju, bo tu idzie o wyzyskanie wszystkich możliwości i warunków zarobkowych dzisiejszego targu olbrzymiego stosownie do położenia gospodarstwa i indywidualnego uzdolnienia gospodarza. I o tem ustawa pamiętać powinna, jeżeli jej idzie o podniesienie rolnictwa i wzmożenie dobrobytu włościańskiego.

A teraz jak się przedstawia reforma prawa spadkowego i prawo o zagrodach niepodzielnych w kraju naszym?

U nas odrazu, gdy kwestye te wysunęły się na porządek dzienny, pojawiły się dwa odmienne i nawzajem zwalczające się zdania i poglądy.

Jedni upatrują przyczynę rozdrobnienia ziemi oraz zaniku średniej własności przedewszystkiem we wzroście ludności. W ich rozumieniu, wobec silnego wzrostu ludności, która nie ma odpływu naturalnego do ognisk przemysłowych ani do miast ani innych zawodów, jedynym środkiem wyjścia, by zapewnić dzieciom jakiś punkt oparcia i źródło utrzymania, jest właśnie realny podział ojcowizny. Zastosowanie więc u nas w Galicyi nowego prawa spadkowego i zagrodowego najzgubniejsze miałoby dla

nas następstwa, zwłaszcza, że reforma ta spotkałaby się z głęboko zakorzenionym w ludzie zwyczajem starodawnym, który datuje się conajmniej od końca XVIII w. i już właściwą wytworzył sobie etykę w tym kierunku. „Włościanie — pisze prof. Bujak — gdy odumierają dzieci niepełnoletnie z reguły obdzielają wszystkie w równych częściach; jeżeli zaś umierają w późniejszym wieku, częściej się zdarza, że wyposażają pewną część dzieci pieniądzmi, gruntem dokupionym lub budynkami wystawionymi. Zwracają także uwagę na to, czy pewne dziecko dłużej niż inne pracowało w gospodarstwie lub też w inny sposób (przez zarobek) przyczyniło się do powiększenia gospodarstwa, i starają się takie dziecko lepiej wyposażyć. Włościanie obecnie raczej unikają podziału poszczególnych parcel zwłaszcza, gdy ich gospodarstwo składa się z kilku lub kikunastu parcel rozrzuconych, ale obdzielają, ile możności, poszczególne dzieci, poszczególnymi grupami parcel, „gruntami“ [1].

Inni prawo spadkowe z równymi działami uważają za główną przyczynę rozdrobnienia gruntów chłopskich i zaniku własności średniej i niezdrowego ruchu parcelacyjnego i emigracyjnego. Zwolennicy tego poglądu przytaczali na krajowej konferencyi agrarnej w roku 1897 szereg przykładów z praktyki zaczerpniętych a dowodzących, że z powodu obecnej, wadliwej ustawy spadkowej gospodarstwa się rozdrabniają częstokroć w sposób niegospodarczy i niczem nieusprawiedliwiony i sprzeczny z wolą rodziców. Na konferencyi tej spodziewano się też — rzecz dziwna — po reformie spadkowego prawa *ab intestato* zatamowania wzrostu ludności. I z naciskiem zwracano uwagę na punkt ten, wskazując na kraje alpejskie, gdzie systemowi niepodzielnych zagród „der geschlossenen Höfe“ towarzyszy słaby stosunkowo wzrost ludności. I tu doszliśmy do następstw prawa spadkowego pod względem narodowym i moralnym.

Najciemniejszą stroną włościańskiego prawa spadkowego jest tamowanie wzrostu ludności. Wobec uprzywilejowanego bowiem dziedzica, trudno bardzo rodzeństwu ze szczupłem wy-

[1] Galicya t. I. str. 498.

posażeniem założyć ognisko rodzinne lub wyjść za mąż bez ujmy dla swego położenia społecznego. Za prawem spadkowem więc wlecze się częstokroć bezżeństwo i pokolenie dzieci nieślubnych.

Z punktu narodowego w ruchu ludnościowym i w przesuwaniu się i mieszaniu różnych narodowości fakt ten wielką odgrywa rolę i nader doniosłe ma znaczenie w rozwoju historycznym ludzkości.

Wystarczy wskazać tu na dwa przykłady ciekawego ruchu ludnościowego i procesu narodowościowego, które odbywają się w oczach naszych.

Pierwszy odbywa się we Wiedniu i całej Cislitawii i Czechach północnych, gdzie liczne okolice i ogniska przemysłowe stały się punktem atrakcyjnym dla ludności roboczej sąsiednich i odległych krajów i prowincyi. I skąd płyną te fale ludności? Czy z sąsiednich krajów alpejskich, z Austryi górnej, z Tyrolu, Salzburgu, Styryi, Karyntyi? Nie, bo w tych krajach rdzennie niemieckich panuje prawo lub zwyczaj uprzywilejowanego dziedzica, więc przyrost ludności jest nikły. Z odległej tedy Krainy, z Morawii i głębi Czech płyną rok rocznie potężne fale ludności słowiańskiej do niemieckich ognisk pracy i wyciskają zwolna na krajach niemieckich charakter coraz więcej słowiański. Tak roczny przyrost przeciętny ludności w całej Cislitawii wynosił 0·817%, w górnej Austryi natomiast tylko 0·31, w Tyrolu 0·20, w Karyntyi 0·32. Liczba zaś Słowian, głównie Czechów w roku 1869 w dolnej Austryi wynosiła 310,414, a 20 lat później już 616,511. Wiedeń zaś w tymże roku liczył 35·21% Czechów a 34·91% tylko rodowitych Wiedeńczyków. Nie mam świeższych cyfr pod ręką, ale proces narodowościowy chyba nie ustał, skoro przy spisie ludności i w ciałach ustawodawczych i w agitacyi politycznej Niemcy tak gorączkową rozwijają akcyę obronną.

Drugi przykład tyczy się wschodnich prowincyi rdzennie niemieckich w Prusiech i ludu naszego głównie z Galicyi i Królestwa i Poznańskiego. W ciekawej broszurze p. t. *Die Verteilung des Grundbesitzes und die Abwanderung vom Lande* (Berlin 1910) wykazuje na oko prof. Sering na podstawie pracowicie zestawionych cyfr i dokładnych kart, że z wyjątkiem polskich

dzielnic wschodnie prowincye niemieckie w Prusiech stale się wyludniają wskutek rosnącej liczby majoratów i przeważających obszarów dworskich na rzecz wielkich miast i zachodnich prowincyi przemysłowych. Według jego obliczeń wschodnie rdzennie niemieckie okręgi wiejskie liczą obecnie prawie wszędzie mniej mieszkańców niż za czasów ostatniej wojny francuskiej. Ogołocone zaś z rąk roboczych obszary rolne i ogniska przemysłowe i miasta zalewają nasi obieżysasi z Galicyi i polskich prowincyi pruskich, którzy po różnych miastach i miasteczkach coraz liczniejsze tworzą kolonie polskie.

W roku n. p. 1911 za pośrednictwem centralnego biura robotników rolnych pracowało w Prusiech 386,000 zagranicznych robotników rolnych i 307,000 robotników przemysłowych. Tak dzięki naszym ustawom, nie tamującym naturalnego przyrostu ludności, lud nasz w procesie dziejowym zwolna ale niepowstrzymanie wyciska pracą swoją na krajach rdzennie niemieckich, ongi Słowianom wydartych mieczem i pracą kulturalną, pewne piętno słowiańskie.

Następstwa tedy prawa spadkowego z dziedzicem uprzywilejowanym pod względem narodowym, społecznym i ekonomicznym mogą być ujemne bardzo i częstokroć ludności dać się dotkliwie we znaki. Złe zaś skutki równych działów w prawie spadkowem są zawsze tylko lokalne i tego rodzaju, że można im zaradzić w inny sposób np. przez ustawowe określenie minimum parceli, uregulowanie dróg polnych, komasacyę gruntów i t. d. Podzielność gruntów zresztą zawsze ma potężną przeciwwagę w tendencyi przeciwnej, skupiającej grunta już to przez kojarzenia małżeńskie, już to przez oszczędność i zapobiegliwą pracę dzielniejszych jednostek i rodzin przedsiębiorczych.[1]

W obecnych warunkach najważniejszą, zdaje się, funkcyę i zadanie w sprawie spadkowej i konsekwentnie w racyonalnem kształtowaniu się włościańskich stosunków własnościowych mają do spełnienia sądy. Po wprowadzeniu bowiem nowej procedury cywilnej sądom z obowiązku przypadło w udziale łagodzić spory

[1] Do niepodzielnych zagród włościańskich powrócimy później.

rodzinne i przeprowadzać podziały spadkowe przed wydaniem dekretu dziedzictwa. I tu otwarło się szerokie pole dla służby społecznej i publicznej sędziów, pełnych poświęcenia dla ludzi i dobra kraju.

Dzielić jak najmniej i zawsze z uwzględnieniem potrzeb i wymagań ekonomicznych danej okolicy, dzielić zawsze racyonalnie z uwzględnieniem należytem potrzeb gospodarczych i kultury rolnej — oto hasła, które przyświecać i przewodzić winny kulturalnej, narodowej i zbożnej pracy sędziów, przeprowadzających sprawy spadkowe.

Obok sądów dużo zdziałać w tej mierze może i powinno duchowieństwo, przypominając ludowi zasady nauki moralnej, kiedy i pod jakimi warunkami nie wolno uchylać się od sporządzania testamentu[1]. Choć bowiem nikt nie jest zobowiązany

[1] Włościanie z reguły prawie czynią rozporządzenia ostatniej woli pisemnie lub ustnie wobec świadków, ale te rozporządzenia z nieznajomości ustawy wobec sądu prawie nigdy nie mają znaczenia testamentu, lecz tylko kodycylów. Dlaczego? Bo według ustawy austryackiej testament zawsze winien obejmować ustanowienie dziedzica. Włościańskie zaś rozporządzenia ostatniej woli zwyczajnie inne tylko zawierają postanowienia, odnoszące się do dziedziczenia, i dla tego przysługuje im tylko nazwa i znaczenie kodycylu. Co do ważności testamentu ustawa austryacka wymaga:

1) żeby testament, uczyniony na piśmie, (nie wobec sędziego) był własnoręcznie napisany przez testatora i podpisany. Data niekonieczna, lecz dla uniknienia sporów przydatna.

2) Testament, pisany przez osobę inną, winien nosić podpis i potwierdzenie testatora wobec trzech świadków, z których przynajmniej dwaj jednocześnie obecni być mają, ażeby zaświadczyć, iż okazane im pismo jest ostatnią wolą testatora. Świadkowie testament taki na końcu muszą podpisać. Osnowy jego znać nie potrzebują.

3) Kto nie umie ani czytać ani pisać podpisuje się krzyżykiem wobec trzech świadków, z których jeden winien napisać na testamencie nazwisko testatora z uwagą, iż podpisuje go.

Gdy testator czytać nie umie, testament ma być wobec 3 świadków przez jednego z nich odczytany, a przez 2 innych co do osnowy przejrzany, przyczem testator ma wobec wszystkich tych świadków potwierdzić, iż pismo to zgadza się z jego wolą. Piszący testament może być zarazem i świadkiem.

4) Testament ustny. Testator ma wolę swoją oświadczyć wobec 3 świadków jednocześnie obecnych, którzyby sądownie poświadczyć mogli, iż co do osoby testatora nie zaszedł podstęp lub omyłka.

Testament taki jest prawomocny, gdy zostanie zgodną przysięgą sądową wszystkich świadków, albo przynajmniej 2 świadków stwierdzony.

do sporządzenia testamentu z powodu istniejącego prawa sukcesyi *ab intestato*, wyjątkowo przecież obowiązek taki, nawet i ciężki może się okazać w wypadkach następujących: a) gdy trzeba długi spłacić albo restytucyę uczynić a w braku testamentu tego nie uczynionoby; b) gdyby groził ciężki spór przy podziale majątku, który łatwo testamentem możnaby usunąć; c) gdyby zasługi dzieci około rodziny były różne i jednemu dziecku więcej należałoby się niż drugiemu, albo gdyby dziedzic *ab intestato* albo jeden ze spadkobierców roztrwonił, albo nadużył swego majątku; d) gdyby w braku testamentowego rozporządzenia opiekunem dzieci został człowiek niezasługujący na zaufanie“ [1].

W tych i tym podobnych wypadkach nie wolno uchylać się od rozporządzenia ostatniej woli, a rzeczą duszpasterzy jest pouczać o tem włościan i przynaglać ich do spełnienia ostatniego obowiązku. Nieraz też i względy czysto gospodarcze wymagają rozporządzenia testamentowego, bo i pogwałcenie zasad gospodarczych może pociągnąć za sobą wielkie i smutne następstwa. A pod tym względem duchowieństwo nieraz to samo zadanie co sądy będzie miało do spełnienia.

(Dok. nast.).

Ks. Leonard Lipke.

---

5) Świadkami przy testamentach nie mogą być: osoby zakonne, kobiety, nieletni, niemający lat 18 skończonych, spadkobiercy testatora i zapisobiercy, ich małżonkowie, rodzice, dzieci, płatni domownicy, umysłowo chorzy, głusi, nierozumiejący języka testatora i skazani za zbrodnię oszustwa, lub inną z chciwości popełnioną.

[1] Göpfert, *Moraltheologie* II, 131.

„INDYWIDUALNOŚĆ TWÓRCZA SKARGI"

(C. d.).

CZĘŚĆ III.

Polemika.

Przy omawianiu poglądów Skargi na różnowierców, widzieliśmy, że chociaż czasem pisał o godziwości „penowania heretyków" i rozprawiał o pożytku płynącym z takiego karania, to jednak główny nacisk kładł na przekonywanie różnowierców „pismem, kazaniem, dysputacyą" i pragnął ich pociągnąć do katolicyzmu „przykłady, miłością ku nim i modlitwami za nie i gęstemi u świętych ołtarzów ofiarami". Życie jego było odźwierciedleniem tych pojęć. Jeszcze przed wstąpieniem do Jezuitów spowodował we Lwowie osobistą interwencyą, że jednego różnowiercę wydalono z miasta za głoszenie zasad protestanckich, przyczem mu jednak dano dość długi czas do namysłu [1]. Był to więc raczej środek zapobiegawczy, niż właściwa kara. Jeżeliby wiadomość podana przez Birkowskiego była prawdziwa, to mielibyśmy tu drugi, daleko jaskrawszy wypadek praktycznego zastosowania jego słów o „penowaniu" dyssydentów. Pozatem jednak walczył Skarga z reformacyą głównie za pomocą dzieł polemicznych i kazań, w których nieraz modlił się o nawrócenie swych przeciwników, a równocześnie świecił wszystkim życiem pełnem poświęcenia i trudu, „niby gwiazdy w ciemności". Walkę tę słowem i pismem prowadził wszędzie, gdzie tylko nadarzała się do tego sposobność, bo polemika jego nie zamyka się wcale

[1] Władysław Łoziński. „Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie" str. 25.

w dziełach temu celowi specyalnie poświęconych, jak *Pro Sacratissima Eucharistia* i inne, lecz też wiele kazań ma charakter apologetyczny. Jak cała uwaga naszego kaznodziei zwracała się w tym kierunku, o tem świadczą różne nawiasowe wzmianki, zaczepiające heretyków tam, gdziebyśmy się związku z reformacyą nawet nie dopatrzyli. Walka z różnowiercami nie wyczerpuje jego całej działalności polemicznej. Linia bitwy przedłużała się i na pole polityki. Tutaj także przyszło mu pokonywać różne uprzedzenia i fałszywe pojęcia i tu musiał uzasadniać swe zdania, tem więcej, że przemawiał do pierwszych w państwie dygnitarzy.

Wielkiej przyjemności w polemice nie znajdował, sądził, że lepiej z tajemnic Bożych i Sakramentów korzystać, niż się napróżno o nie spierać, wolał używać czasu na poprawę obyczajów, wykład etyki i nauki katolickiej i tutaj dopiero był w swoim żywiole. „O jakoby się najlepiej o dostojne używanie takich tajemnic starać, a niźli o osobę i smak wina, którego się doma napić możesz, swary zaczynać“ — pisze w jednem kazaniu [1]. „Błogo nam — powiada gdzieindziej — gdy na kazaniach naszych tę godzinę tak przebiegamy, aby w sercu słuchaczów naszych chęci się do pobożnego życia zapalały, a do pełnienia obyczajów, przez Chrystusa rozkazanych i jego przykładem zaleconych, wzbudzały“ [2]. Umysł Skargi zwracał się zawsze przedewszystkiem do życia praktycznego. Ale wobec tego, co się w Polsce działo, obojętnym widzem pozostać nie mógł, bo przecież pragnął zwycięstwa Kościoła, do którego się tak gorąco przywiązał, bo był głęboko przekonany, że wszyscy odstępcy od Rzymu narażają się na wieczną karę i ściągają gniew Boży na Polskę. Starał się więc zapobiedz temu wszelkiemi siłami, a czynił to z niesłychanem powodzeniem. Umiał bowiem jak nikt inny przemawiać do szerokich tłumów i dostosować polemikę świetnie do ich potrzeb. Jego dzieła pole-

[1] Na poniedz. Wknocny. II.

[2] Kazanie o Trójcy św. z r. 1604 i przy „Zawstydzeniu aryanów“ r. 1604, 1610, 1738.

miczne mają przeważnie charakter broszury, uczonej wprawdzie, ale dalekiej od zawiłych subtelności, od pedantycznej a nużącej dokładności. Pisał rzeczowo, lecz barwnie, żywo, zajmująco — i sprowadzał długie wywody swych towarzyszy w walce z reformacyą do najprostszego wyrazu. Nie chodziło mu — jak sam zaznacza — o popisanie się wymową czy erudycyą, ani też o nowe, oryginalne pomysły, czerpał więc pełną dłonią skąd się dało. W polemice z Wolanem posługiwał się książką p. t.: *Concilium Magnum*, gdzie zebrano około 315 cytatów przeciw nauce kalwińskiej, dzieło „O jedności Kościoła Bożego" przypomina w wysokim stopniu stanowisko Gennadyusza, w polemice z aryanami opierał się częściowo na dziełach Śmigleckiego. Wiele zarzutów, stawianych różnowiercom, mógł czerpać z licznych pism apologetycznych, tak n. p. Herbest wytykał dyssydentom, że uderzają na katolicyzm, a tekst biblijny i symbol nicejski wzięli z rąk znienawidzonego Kościoła [1], zdanie znowu, że aryanie opuszczając dogmat Trójcy św. zrywają tem samem z chrześcijaństwem, a łączą się z Żydami i Turkami, było wówczas powszechne; twierdzenie, że aryanizm wypływa konsekwentnie ze stanowiska protestanckiego, znajdujemy u Bellarmina [2] i t. d. Skarga, jak to słusznie podniósł prof. Chrzanowski, posiada umysł niezwykle receptywny. Jednak nie wyklucza to oryginalności: pomysł rzucony przez kogo innego, myśli, błąkające się niewyraźnie po głowie innych, umie doskonale rozwinąć i wykorzystać. Przytem pomijając uboczne kwestye, stara się trafić w samo jądro sprawy, w jej najaktualniejszą stronę. Polemika z Wolanem nie toczy się na całym froncie kalwińskiej nauki, ale przedewszystkiem na zagrożonym na Litwie punkcie t. j. o dogmat Wieczerzy Pańskiej. Skoro potem uderzył na aryan, to również skupia całą uwagę około tajemnicy Trójcy św., którąto rzecz uważał za najgłówniejszą, drobniejsze zaś różnice usuwa na bok. We wszystkich pismach uderza nas ton poważny, rzeczowość i umiarkowanie. Jeśli je porównamy z oskarżaniem

[1] p. Tadeusz Grabowski „Literatura aryańska" Kraków. 1908. str. 223.
[2] Bellar. T. I. Praefat. de Christo.

różnowierców o różne występki przeciw moralności, z obelgami miotanymi na nich w książkach, wychodzących nawet z pod ręki poważnych autorów [1], bo o falandze bezimiennych paszkwilistów niema co mówić, to potrafimy dopiero ocenić szlachetność Skargi.

Mówiliśmy już przedtem nieco o jego stanowisku polemicznem. Był nasz kaznodzieja przekonany, że herezya miała za punkt wyjścia pychę i obalenie powagi papieża i dlatego kładł wielki nacisk na konieczność uznania jego autorytetu, dowodząc, iż Pismo wykładać się nie umie, ale musi być do tego osobny urząd. Protestantyzm stał na gruncie racyonalistycznym i powierzał wykład Pisma św. właściwie każdemu z wierzących, Skarga, jak cała katolicka nauka, protestował przeciw stosowaniu „filozofii" do tajemnic religijnych i wskazywał na Kościół, jako jedynego sędziego w spornych kwestyach. W tem uniżeniu rozumu indywidualnego przed wiarą i powagą tradycyi można się dopatrywać, jak to czyni prof. Grabowski, wpływu św. Augustyna, w którego dziełach Skarga rzeczywiście z lubością się rozczytywał, chociaż mógł dojść do tego stanowiska inną drogą, a u św. Augustyna znalazł tylko potwierdzenie swych przekonań. Taką samą naukę głosił przecież cały zakon Jezuitów i wielu współczesnych apologetów. W każdym razie była to rzeczywiście najkrótsza droga do przezwyciężenia reformacyi, bo godziła wprost w podstawy, z których się cały ten ruch rozwinął.

Teraz przystąpimy do naszkicowania sposobu, w jaki Skarga polemikę prowadził. Poszczególnych pism rozbierać nie będziemy, bo nie chodzi nam o ich dokładną charakterystykę, lecz o wykrycie zasadniczych zdolności psychicznych z ich obja-

[1] Ks. Hieronim Powodowski u'rzymuje w „Wędzidle na sprosne błędy, a bluźnierstwa nowych aryanów", że słychać o nich, jakoby zawierali ślub nago w łaźniach lub ogrodach itp. Ks. Żebrowski nazywa aryan: „piekielny kruku, morderzu ciał i dusz ludzkich" pisze: „że cię czarci za te bluźnierstwa do tego czasu nie wzięli", etc. Również różnowiercy napadali na życie księży, przedstawiali ich życie jak w najczarniejszych barwach itd. Por. Grab. „Literatura aryańska". Brückner „Różnowiercy polscy" roz Aryanie.

wów i dlatego poprzestaniemy na wykreśleniu pewnych stałych form walki, aby z nich otrzymać wnioski o twórczej indywidualności naszego kaznodziei.

We wszystkich dziełach polemicznych miał Skarga przed sobą dwojakie zadanie: z jednej strony należało zbić zarzuty przeciwnika i obalić jego stanowisko, z drugiej zaś dowieść prawdziwości swych twierdzeń.

Ostatnią i jedyną wyrocznią dla wszystkich różnowierców było Pismo św., dlatego też walka toczy się głównie na tem polu. Protestanci oddalali się o tyle od Kościoła, że różne miejsca objaśniali po swojemu, a sprzecznie z jego nauką. Najprościej przedstawiało się więc zadanie, gdy przyszło zbijać twierdzenia, oparte na samowolnym lub naciąganym wykładzie Pisma św. Wtedy zarzuca Skarga sprzeczność z dosłownie pojętym tekstem i podcina tem samem dowody przeciwnika. Czasem jednak stawało się położenie trudniejsze. Argumentacya opierała się na cytatach w sposób nadzwyczaj zręczny i łudzący; należało wtedy sięgnąć głębiej i dowieść, że sam sposób postępowania jest niewłaściwy. Skarga nie cofa się i przed tem, oryentuje się szybko i umie w poplątanej kanwie myśli uchwycić zręcznie potrzebne mu nici, dając nieraz świadectwo niezwykłej bystrości i ruchliwości umysłu. Wolan starał się ugruntować kalwinizm, tłumacząc w przenośny sposób słowa ustanowienia Najśw. Sakramentu i powoływał się w tym celu na szereg podobnych przykładów w Piśmie św. Otóż Skarga oświadcza, że taki wykład jest niemożliwy, bo i przenośnie mają też pewną granicę — wyjaśnia, kiedy ich Chrystus używał, a kiedy nie, a więc sięga do samej podstawy i usiłuje ją obalić [1].

Bardzo często krytykuje argumentacyę różnowierców, dopatrując się różnic w rzeczy traktowanej przez nich jako jedna całość. Na tem opierała się częściowo polemika z Wolanem o transsubstancyacyę. Wolan uważał różne przykłady z Pisma św. za równoznaczne, a Skarga twierdził, że w jednych można się dopatrywać przenośni, w drugich nie. Także aryanom zarzucał

[1] Pro Sacratissima Eucharistia. Lib. I. cap. IV.

pomięszanie tych miejsc Pisma św., gdzie mowa o Chrystusie-człowieku, z miejscami, które odnoszą się do Chrystusa, jako Boga i t. d. Niejednokrotnie przekonujemy się przytem, że kaznodzieja nasz umiał uchwycić nieraz bardzo subtelne różnice, wykryć niedostrzegalne prawie podobieństwa, a czynił to swobodnie, jakby bez wysiłku.

Potężną bronią Skargi w walce z reformacyą była niezwykła zdolność wyszukiwania konsekwencyi, nieraz bardzo dalekich, a tak dobieranych, żeby godziły wprost w podstawy założeń, które miał zbijać. Czasem więc wysnuwa wnioski z różnych miejsc Pisma św. i ostrze ich zwraca przeciw zwalczanym zarzutom, kiedyindziej dowodzi, że postępowanie przeciwnika prowadzi do konsekwencyi niemożliwych nawet z protestanckiego stanowiska. W *Pro Sacrat. Eucharistia* przedstawia Wolanowi, jakiem niebezpieczeństwem grozi dowolne posługiwanie się przenośniami w Piśmie św. Bo jeśli słowa przeistoczenia wolno w ten sposób tłumaczyć, to cóż przeszkadza miejsca, świadczące o Bóstwie Chrystusa, uznać także za metaforę? Najświetniej wygląda ten rodzaj polemiki, gdy Skarga zaostrza konsekwencye z jakiegoś zwalczanego twierdzenia w formę dylematu, oświetlonego możliwie najjaskrawiej. Tak n. p. w „Siedmiu filarach", wychodząc z założenia, że ostatnia wieczerza Pańska była testamentem Chrystusa, a ustanowiony na niej Sakrament dziedzictwem, powiada, godząc w naukę kalwińską o komunii: „Nicby głupszego testator nie uczynił, jedno gdyby tak napisał: odkazuję synom 5.000 złr., a nie byłoby w skrzyni jedno pięć próżnych worków"[1]. Jeśli więc słowa: „To jest ciało moje" są przenośnią, to Chrystus nas... oszukał! Rzecz jasna: taki zuchwały wniosek odstraszał pobożnych czytelników od przyjęcia twierdzenia, któreby miało do takich konsekwencyi prowadzić. Kiedyindziej znowu wysnuwa wnioski z zarzutów przeciwnika i przeciwstawia im rzeczywistość zupełnie inną. Jeżeli papież jest antychrystem, toby się starał co sił, aby chrześcijaństwo

[1] „Siedm filarów na których stoi kalwińska nauka o najświętszym Sakramencie Ołtarza". Wilno 1582. I filar. V-ta podpora.

wytępić, a jego podstawę Pismo św. zniszczyć. Tymczasem... chrześcijaństwo rozszerzyło się na cały świat z Rzymu, a Pisma św. nie przechował nikt, jak tylko Kościół.

Równocześnie umie Skarga wykrywać niekonsekwencye w pismach przeciwnika, albo sprowadza jego twierdzenia do absurdu, przyczem zjawia się czasem lekka, ale cięta ironia. Wogóle przekonujemy się na każdym kroku, że mamy do czynienia z umysłem doskonale wyćwiczonym, przenikliwym i obdarzonym jasną logiką. A trzeba przytem dodać, ta zdolność wyszukiwania następstw nie ogranicza się u naszego kaznodziei do dyalektycznej tylko szermierki. Umie też nawiązywać węzeł przyczynowy w życiu, jakeśmy to zresztą przedtem dostatecznie widzieli, śledzi także za przyczynami w historyi. W dziele „O jedności Kościoła Bożego" wyszukuje powody powstania odszczepieństwa u patryarchów carogrodzkich [1], a choć czyni to naturalnie tendencyjnie, to nie można przecież odmówić jego uwagom wielkiej bystrości.

W podobny sposób przeprowadza też swoje dowody. Przedewszystkiem stara się zasypać przeciwnika całym szeregiem cytatów z Pisma św. Szuka ich w Nowym i Starym Testamencie i dobiera przeważnie bardzo zręcznie. Oprócz tego posługuje się ustępami z ojców i doktorów Kościoła, wreszcie z uchwał powszechnych soborów. Dowody oparte na tych cytatach stoją zawsze na drugiem miejscu i odgrywają raczej rolę pomocniczych argumentów. Skarga wiedział, że różnowiercy, którzy podawali w wątpliwość nawet niektóre części Pisma św., nie będą skłonni uchylić czoła przed powagą tych pisarzy, a więc nie wysuwał ich naprzód. Jeśli zaś ich stawiał w drugiej linii, to mógł to czynić śmiało, bo i protestanci uciekali się do niektórych ojców Kościoła, a po drugie było mu to potrzebne do wykazywania

[1] Wylicza cztery przyczyny: I. „hardość i próżnej czci pragnienie" u patryarchów; II. „kacerstwa częste i jadowite, które się w Grecyej, zwłaszcza w Carogrodzie, a co jeszcze gorzej od samych patryarchów rodziły". Powodem zaś tego była „bujność rozumów, a wrodzona jakaś pierzchliwość i nieustawiczność" III. tyraństwo zmięszane z heretyctwem cesarzów carogrodzkich; IV. pomsta cesarzy, że papieże sobie w Rzymie nowego króla ustanowili.

niezmienności i starodawności bronionych zasad, nakoniec sądził, że tak liczne świadectwa, a tak zgodne, tylu pisarzy i to ludzi wielkich, świętych, męczenników nieraz, muszą zachwiać nawet najzaciętszym. Jednak powagi ich dostatecznie nie uzasadnia, najczęściej powiada tylko, że przecież więcej należy wierzyć ludziom czczonym i poważanym przez całe stulecia, niż jakiemuś tam panu Hieronimowi (Moskorzewskiemu) lub wygnańcom z obcych krajów.

Opiera się także na pismach starożytnych pisarzy, filozofów i poetów. Naturalnie w dziełach teologicznych rzadko nadarzała się do tego sposobność, ale w kazaniach politycznych, przytaczał chętnie, że i ci klasyczni autorowie, poważani wówczas tak bardzo, mówią to samo co on. Często odwołuje się też do historyi, którą się ze szczególnem zamiłowaniem zajmował. Widział w niej mistrzynię życia i skarbnicę doświadczeń, zdobytych przez ludzkość w ciągu jej wiekowego rozwoju. „Bo historya jest mądrość, w kupę złożona i rozum ludzi wielu w jedno zebrany. Kto jej nie wie i w niej się nie kocha, jest jako dziecię, które ojca i matki nie zna“ [1]. Dlategoto zalecał Skarga swym czytelnikom lekturę pism historycznych, a sam streścił i przetłumaczył ogromne dwunastotomowe dzieło kardynała Baroniusza p. t.: „Roczne dzieje Kościoła“. W polemice ucieka się również do historyi. Przedewszystkiem książka „O jedności Kościoła Bożego“, może być pod tym względem dobrym przykładem, bo cała druga część jest poświęcona wykazaniu, kiedy się schyzma zaczęła i dlaczego, jak często patryarchowie błąd swój uznawali i łączyli się z Rzymem. Także „Wtóre zawstydzenie aryanów“ [2] zawiera krótką historyę tej herezyi w podobnym celu, jak dzieło „O jedności Kościoła“. Historyczna część miała być tłem i uzasadnieniem niektórych twierdzeń, zawartych w czysto polemicznych rozdziałach. Jeśli potem Skarga powiadał, że Kościół grecki prawdziwym być nie może, bo nie papież, ale patryarcha odstąpił od swego zwierzchnika, którego

[1] Kazania sejmowe. I.

[2] „Wtóre zawstydzenie Aryanów“ Kraków 1608, 1610, 1738.

pierwszeństwo na Wschodzie przed schyzmą uznawano, a także i po niej w czasie krótkotrwałych unii, albo gdy pisał, że aryanizm jest sektą dawno pogrzebaną, rozszerzoną niegdyś przez ludzi dalekich od apostolskiej świętości, to słowa nabierały, na tle historyi, niezwykłej siły przekonywującej. Podobną rolę, jak cytaty, odgrywały też w pismach Skargi sądy wówczas powszechnie przyjęte. Główna część dzieła *Pro Sacr. Eucharistia* polega właśnie na takim pewniku, że każda rzecz materyalna posiada swoją substancyę i „powierzchowne kształty" — species. Kształty mogą pozostać te same — tłumaczył Skarga — ale substancya chleba przemienia się w ciało Chrystusa. Wprawdzie są te dwie rzeczy zwykle nierozdzielnie złączone, zmiana kształtów dokonuje się ze zmianą substancyi i naodwrót, ale ponieważ Bóg jest wszechmocny, więc w Eucharystyi zmienia się substancya, a kształty zostają.

O czemże świadczą te cytaty? Najpierw o niezwykłej i zdumiewającej erudycyi. Nie można zaprzeczyć, że się posługiwał dziełami, które mu pracę ułatwiały, bo sam przecież odsyła nas [1] do „łacińskich książek Garecyusza" i do *Concilium Magnum*, gdzie właśnie zebrano 315 cytatów w obronie nauki katolickiej o Wieczerzy Pańskiej. Jednak inne dzieła przekonują nas, że poza Pismem św., które naturalnie znał niemal na pamięć, czytał prawie wszystkie dzieła ojców i doktorów Kościoła, wiele pism starożytnych [2] rzymskich i greckich pisarzy (po łacinie), wielu historyków nowszych i starszych, polskich i obcych, dalej współczesnych teologów katolickich i niemało protestanckich. Aby dać o tem jakie takie pojęcie dość wspomnieć, że w dziele „O jedności Kościoła Bożego" umieszcza spis doktorów i dziejopisarzy, z których w swej pracy korzystał i wymienia ich 25. Tylko w ⅓ części kazań na niedziele i święta spotykamy obok mnóstwa miejsc z Pisma św. cytaty z 60 mniejwięcej autorów i ze 130 przeszło dzieł! Cytaty te powiadają nam

[1] „Siedm filarów". I filar, 8-ma podpora.

[2] Niektórych znał, co prawda z drugiej ręki za pośrednictwem ojców Kościoła, lecz o wszystkich tego twierdzić nie można.

jeszcze coś więcej. Oto widać z nich wyraźnie, że Skarga oryentował się łatwo w tym ogromnym labiryncie nagromadzonych wiadomości i wybierał trafnie potrzebne mu argumenta. Nie są one postawione mechanicznie obok siebie, ale celowo, nieraz uzupełniają się nawzajem, a równocześnie wplatają się zręcznie w tekst, zwłaszcza w Kazaniach i tworzą z resztą treści harmonijną całość.

Wszystko to poucza nas, jak rozległą i trwałą pamięć posiadał nasz kaznodzieja, jak niezwykłą siłą i pojemnością umysłu się odznaczał, zwłaszcza, jeśli zważymy, ile innych zajęć miał na głowie. Wygłaszał kazania, nawracał, dysputował, zakładał kollegia, dbał o ich rozwój, piastował urzędy zakonne, opiekował się ubogimi, zawiązywał bractwa i t. d. Nie mówimy już o jego politycznej działalności, o staraniach około zawarcia unii brzeskiej, o bystrej obserwacyi ówczesnych stosunków. Mimo to wszystko, gdy zasiadł do pracy, ogromna siła woli i potęga umysłu pozwalały mu skupiać około głównej myśli szereg innych i tem to tłumaczy się jego łatwość w wyszukiwaniu odpowiednich cytatów i argumentów i układanie ich w szeregi, po mistrzowsku nieraz zbudowane.

Ważną rolę odgrywają w dowodzeniu Skargi przykłady. Jedne nie uzasadniały właściwie twierdzenia, ale sprawdzały je niejako na jednem konkretnem zdarzeniu. Spotykamy jednak inny jeszcze sposób zastosowania przykładów, będący jakby rozumowaniem przez częściową indukcyę. Gdy więc kaznodzieja nasz pragnie przekonać Wolana [1], że przeistoczenie musiało nastąpić po błogosławieństwie Chrystusa, to powołuje się na liczne miejsca z Pisma św., które powiadają, że Chrystus przed spełnieniem cudu błogosławił. Dowodząc dobroci rządu monarchicznego przytacza [2] szereg państw, które właśnie dzięki takiemu ustrojowi długo trwały. I w pierwszej części tej rozprawy widzieliśmy, że Skarga często w ten sposób do swych poglądów dochodził.

---

[1] „Siedm filarów" II filar, III. podpora.

[2] Kazania sejm. VI.

Naturalnie i w dowodzeniu występuje ta sama łatwość w wyszukiwaniu konsekwencyi, ta sama przytomność i ruchliwość umysłu i wogóle wszystko to, co mu dopomagało tak dzielnie do zwalczania protestanckich twierdzeń i zarzutów. Kaznodzieja nasz doprowadza czasem swą biegłość dyalektyczną do takiego stopnia, że dowodzi swego zdania słowami przeciwnika. A czyni to przytem z wielką żywością i lękkim uśmiechem pewności siebie i pobłaźliwej ironii. Dla przykładu przytoczymy jeden ustęp. Na zarzut, że słowa „Trójca" nie ma w całym Piśmie św., odpowiada Skarga: „Ależ na tym nic nie należy, gdyż rzecz sama jest, a o słowo spór być nie ma" i pisze dalej: „A też bez słowa tego Trójca i persony i jestestwa łacno nam Aryany pokonać. A to tak. Trzej są mówi Pismo św. (Joan 5): jeden Ojciec, drugi Syn, trzeci Duch św. Pytam się jeśli Ojciec jest prawym Bogiem? Mówi p. Moskorzewski: jest prawym Bogiem i Boską mu cześć wyrządzamy. To dobrze. Acz tu nie w szczerości mówi, jako się pokaże ale musi mówić. Bo Syna Pismo św. na wielu miejscach Bogiem wysławia. A Duch św. jestli też Bogiem? Na to kręci się p. Moskorzewski, sam jednak w sidło swe wpada. Mówi Duch św. zawżdy był w Bogu, zawżdy był a niestworzonym być własnością jest prawego Boga. Otóż z ich wyznania acz nieszczerego Duch św. Bogiem jest. A nie mogą mówić inaczej, bo Pismo św. Bogiem Go na wielu miejscach zowie, jak to będzie niżej. I w tych słowiech: Chrzcicie w imię Ducha św. bóstwo się Jego funduje, iż grzeszne odradza i zbawienie na chrzcie św.[1] daje, jako Ojciec i Syn: toć Bogiem jest. Jeśli Duch św. nie Bogiem, to i Ojciec nie Bogiem, z którym spólną tę moc ma i spólnie na św. chrzcie zbawienie daje. Postąpmyż dalej. Możemli to wierzyć, iż są trzej Bogowie? Nie możem bobyśmy spoganieli i w bałwochwalstwo sprośne wpadli. Jednego Boga chwalim, jeśli tedy trzej są, a w bóstwie jednym i niemasz trzech Bogów, ale jeden — otóżeś aryaninie i bez słowa persony przekonany"[2].

[1] Twierdzenia, że tylko Boża moc odradza z grzechów przyjmowali i aryanie.

[2] „Wtóre zawstydzenie Aryanów" Kraków 1608 str. 5 (rozdz. I).

Podobnie jak przy zbijaniu zarzutów, tak i tutaj przekonujemy się, że Skarga umie się oryentować trafnie nawet w delikatnych odcieniach, że odznaczał się umysłem ruchliwym, spostrzegawczością bystrą i subtelną. Pomagały mu wprawdzie wiele różne dzieła apologetyczne, ale nie sprzeciwia się to temu, cośmy powiedzieli, bo polemista nasz co najwyżej weźmie od kogoś jakiś pomysł, ale go samodzielnie rozwija i zastosowuje [1]. Zdaje się w lot chwytać myśl przeciwnika, ujmuje ją z najprzystępniejszej strony i sprowadza walkę do jak najkrótszej, zasadniczej formy. Wystarczy porównać jego rozumowanie z wywodami Moskorzewskiego, albo Śmigleckiego. Rozbierają oni dokładnie zdanie po zdaniu, niemal słowo po słowie, piszą jasno, rozumują logicznie, ale nie chcą utracić ani jednego szczegółu i dlatego ich książki, jako całość, są do pewnego stopnia rozwlekłe, on natomiast załatwia się w paru wierszach z tem, na co tamci zużyli kilka stronic. Kojarzenie myśli odbywało się u niego drogą krótką i zwyczajnie trafną, synteza przeważała nad analizą.

Pociągało to jednak za sobą niektóre ujemne skutki. Najpierw pewna nieścisłość, nie zawsze, ale czasem nie nakrywają się pojęcia u naszego kaznodziei zupełnie, zdawaćby się mogło, że Skarga w pośpiechu, czy w dążeniu do najprostszej formy nie wypowiedział się całkowicie, nie wszędzie rozpatrzył wszechstronnie to, co mówił. Zapomniał też czasem dowieść jakiegoś twierdzenia, zakwestyonowanego przez różnowierców i nie mógł się dostatecznie obwarować przeciw ewentualnym zarzutom. Nie odpowiadał też zawsze na wszystkie argumenty. Tak n. p. Moskorzewski w odpowiedzi na pierwsze „Zawstydzenie aryan" dowodził [2], że Skarga niesłusznie jego współwyznawców tak nazwał i że powód, dla którego ich zestawia z Żydami i Turkami, nie wytrzymuje krytyki. Antytrynitaryusze nie przyj-

[1] Por. np. Śmigleckiego „O Bóstwie przedwiecznym Syna Bożego", Wilno 1595, str. 3 i 4. gdzie Śmiglecki wyszydza cześć aryan dla Chrystusa, z ustępem podobnej treści we „Wtórem zawstydzeniu Aryan" rozdz. X str. 61.

[2] „Zniesienie zawstydzenia, które X. Piotr Skarga Jezuita wnieść niesłusznie na zbor Pana Jezusa Nazarańskiego usiłował" Raków 1607 str. 2—8.

mują wprawdzie dogmatu Trójcy św., podobnie jak Mahometanie i Żydzi, lecz także częściowe podobieństwo nie równa ich przecież z nimi. I wyszydzając zręcznie to rozumowanie, układa Moskorzewski ironiczny syllogizm, że skoro Jezuici wierzą we wszechmoc Bożą, jak Żydzi i Turcy, to muszą chyba koniecznie do nich należeć. Odpowiedź Skargi we „Wtórem zawstydzeniu" była krótka a dobitna, ale kwestyę fałszywego rozumowania pomija zupełnie. Wogóle Skarga usuwał na bok rzeczy, które mu się wydawają mniej ważne i dzięki temu uzyskiwał niezwykłą zwięzłość i przejrzystość, choć z drugiej narażał się na zarzut, że obchodzi trudne kwestye [1] i opiera się na założeniach, którychby najpierw należało dowieść [2].

Bardzo chętnie używa nasz kaznodzieja argumentów *per comparationem*. Nie zawsze, co prawda, należy brać jakieś porównanie za sam dowód, ma ono nieraz charakter unaoczniającego przykładu, a czasem trudno powiedzieć, co Skarga właściwie zamyślał. Czasem jednak są to rzeczywiście argumenty. Trzeba przyznać, że rozumowanie takie bywa dla umysłów prostszych bardzo przekonujące, ale w istocie brak mu silnej podstawy. Po części można je usprawiedliwić, bo zajmują zwykle drugorzędne miejsce, lecz w każdym razie znaczna ich część nie sprawia dobrego wrażenia, zwłaszcza w porównaniu ze świetnym gdzieindziej sposobem polemiki. Przyczyną była żywa plastyczna wyobraźnia, która z jednej strony ułatwiała jasny, naoczny wykład, ale z drugiej zacierała rysy między pojęciem a tłumaczącem je porównaniem. Nie są to jedyne wady. Możnaby dalej Skardze zarzucić, że nie wszystkie cytaty są zupełnie dobrze dobrane, ale pomijamy to, bo nie zdarza się to często, a i wtedy nawet stoją zwykle obok innych odpowiedniejszych, tak, że jako ich uzupełnienie całości dowodu nie bardzo szkodzą. Gorzej wyglądają, gdy polemista nasz dodaje do nich własny komentarz, dość dowolny, a więc robi to samo, o co prze-

---

[1] T. Grabowski „Literatura aryańska" str. 176.

[2] „Zawstydzenie Księdza Skargi uczynione przez szlachcica polskiego jednego z tych, które aryany X. Skarga niesłusznie zowie". Raków, 1606. str. 9.

ciwnika obwiniał. Co prawda w pismach polemicznych, zwróconych do różnowierców, jest pod tym względem daleko ostrożniejszy, niż w Kazaniach, przeznaczonych dla katolików, gdzie zbijał zarzuty protestantów tylko dla ostrzeżenia lub utwierdzenia czytelników.

Niektóre usterki w jego rozumowaniu pochodzą z jednostronnego, tendencyjnego stanowiska. Widzieliśmy to już przy omawianiu jego poglądów. I tutaj mamy także podobne wypadki. Ta to jednostronność tłumaczy nam też częściowo, dlaczego Skarga zapominał czasem dowieść swych założeń: oto nie umiał niekiedy stawić się w położenie różnowierców, którzy przecież stali na zupełnie innem stanowisku. O innych jeszcze rzadko zdarzających się błędach nie będziemy mówili, bo nie spotykamy ich często, a więc nie można z tego wyprowadzić żadnych ujemnych wniosków. Jeżeli omyłki są nie stałe, przypadkowe raczej, to potwierdzają tylko dodatnie rysy. Tak było u Skargi. Prawda, nie zawsze jest dokładny, czasem da się chwycić na sprzeczności, lub użyje niekiedy niefortunnie argumentów *per aversionem*, ale stosunkowo bardzo rzadko, tak że przez to właśnie uwydatnia się wielka jasność i silna logika w jego myśleniu. Są wreszcie niektóre słabsze argumenty, przejęte od ojców kościoła, a więc trudno Skargę o nie obwiniać, najwyżej o za wielką nieco uległość dla autorytetu. Prawdą było dla niego wszystko, co „wielki i święty" człowiek powiedział. Na samodzielne myślenie odważał się dopiero wtedy, gdy sami ojcowie Kościoła byli z sobą w niezgodzie; wówczas przechylał się na tę stronę, gdzie było rzeczywiście więcej słuszności. Uczucie — w tym wypadku — pokory, czci dla świętych, miało zawsze wielki wpływ na jego sposób myślenia.

Oprócz właściwych argumentów używał Skarga środków, które ich wrażenie potęgowały, działając nie tylko na inteligencyę, lecz na uczucie. Starał się więc przedstawić naukę przeciwnika w ujemnem świetle, że brak jej miłości Boga, brak prawdziwej wiary, szczerej pobożności, że widać w niej szatańskie usiłowania, dążące do zniweczenia Kościoła i t p. Z przedziwną zręcznością umie poruszyć uczucia religijne czytelnika i wyka-

zać, jak je bardzo nauka heretycka obraża. Gdy więc Wolan podawał przeistoczenie w wątpliwość, bo kształty chleba i wina pozostają te same, to Skarga odwoływał się do wszechmocy Bożej: Bóg może, co chce, a wy przez swe wywody przeczycie Jego wszechpotędze! Tę katolicką pobożność i prawowierność umie w nieporównany sposób zestawić z postępowaniem przeciwnika i odjąć mu przez ostry kontrast sympatye, a zwrócić serca ku katolickiej nauce. Kontrast ten przeprowadza także w tym celu, aby urok zwalczanych zasad unicestwić, a blask Kościoła tem jaśniej pokazać. Herezye upadają jedna po drugiej — a Kościół stoi ciągle niezachwiany, herezye rozrywają jedność chrześcijaństwa — a katolicy rozszerzają je po wszystkich krańcach ziemi. To, co Kościół głosi, uznało tyle biskupów, tyle soborów, przez tyle wieków — a protestanci jedni występują hardo ze swym rozumkiem! Takich kontrastów możnaby wyliczyć pełno, wszystkie sprawiają wrażenie. W ten sposób napisał Skarga *Duodecim Artes*, gdzie przeciwstawia wykrętom i sztuczkom kalwińskim silne i pewne, a prawdziwie pobożne zasady katolickie.

Nieraz zaprawia swą polemikę cichą, a jednak skuteczną ironią, czasem tylko w jednem słowie ukrytą, czasem drgającą w całym ustępie. Raz ośmiesza teorye przeciwnika n. p. gdy mówi: *De fide calviniana volante in coelum ad sumendam Christi carnem*, gdzieindziej znów jego postępowanie. Przytoczymy jeden przykład z „Wtórego Zawstydzenia Aryanów", gdzie Skarga porusza uczucia religijne, a równocześnie wywołuje na usta lekki szyderczy uśmiech. Czyni to także za pomocą kontrastu. Oto jak przedstawia cześć aryan dla Chrystusa i chwiejność ich nauki: „Owa ta cześć, którą oni na swego Chrystusa kładą, poszła na onę, którą żołnierze Piłatowi Panu naszemu oddawali, w purpurę go obłoczą, a nagiego krzyżują, koronując go cierniem. Toć go uczcili. Zbawia nas — mówią aryani — i grzechy nam odpuszcza, ale to nie z siebie ma jako i my. Toć go uczcili. Bogiem jest, ale nie dawno nastał, gdy się z Maryej począł. Toć go uczcili. Boską mu rękę czynią, iż daje żywot wieczny, a głowę nań glinianą stawią, iż uczyniony jest jako i inne stworzenie. Toć go uczcili. Iżali taka uprzejmość ku Bogu być ma? Co to

za szyderska cześć? Iżali to nie szczere pośmiewisko z Pana naszego? Niechże się tego wstydzą“ [1].

Wielką zaletą jego dzieł polemicznych jest niezachwiana wiara w prawdziwość bronionej nauki i ogromna pewność siebie, zmieniająca się czasem w pobłażliwe lekceważenie przeciwnika, albo w tryumfujący okrzyk zwycięstwa po zbiciu zasad, które zwalczał. To uczucie i jego głębokie przekonanie udziela się mimowoli czytelnikowi i nawet paraliżuje jego krytycyzm. Skarga nie przyznaje sobie jednak żadnej chluby ze zwycięstw [2], to tylko siła prawdy tak potężna, że wszystko obala.

Wspaniale wygląda polemika naszego kaznodziei, gdy zasypuje przeciwnika szeregiem dowodów w formie długiego łańcucha pytań retorycznych, wyglądający niby gwałtowny uparty szturm do nieprzyjacielskiej twierdzy. A siła Skargi i tajemnica jego powodzenia leżała nie tak w samej argumentacyi [3], jak w wymowie, która z jego polemiki przegląda. W jasnej logice dorównywał mu Śmiglecki, a nie ustępował w znajomości Pisma św., a przewyższał nawet dokładnością w rozbiorze tekstu i zbijaniu zarzutów. Natomiast Skarga unikał zbyt subtelnych i długich dociekań, pisał jasno, przejrzyście, bardzo zrozumiale, krótko a dobitnie, ożywiał treść gorącem uczuciem i upiększał przez barwny, potoczysty język.

(C. d. n.)

Stanisław Mitera.

---

[1] Wtóre zawstydzenie Aryanów I. Ks. str. 61.

[2] Pro Sacratissima Eucharistia. Lib. III. c. VIII. Arma, quibus te expugnamus, nobis praebes. Adeo veritatis vis ubique erumpit.

[3] T. Grabowski. „Lit. aryan.“ str. 184.

Znaczenie odkryć na Wschodzie,
a szczególniej w Palestynie od r. 1888—1911 wobec nauk biblijnych.

(C. d.)

Nietylko zebrano mnóstwo napisów ale także obfity materyał do historyi kultury tych krajów, jak: posągi, pieczęcie, wazy rzeźbione, wyroby gliniane itp. przedmioty. Otóż na podstawie tych odkryć pokazuje się, że starożytna Babilonia rozpadała się na dwie części, stojące na tym samym poziomie kulturalnym, a posiadające zupełnie podobne wyobrażenia religijne; były jednak różne zupełnie pod względem etnograficznym i językowym. Do niedawna jeszcze mniemano, że ludy Sumer i Akkad to jakieś ludy presemickie. Tymczasem właśnie nowe te dokumenta stwierdziły, że państwo Akkad, składające się z szeregu królestw, jak: Sippar, Kisz, Kuta, Agada, jest czysto semickiem. Wszystkie pomniki, pochodzące z Akkad, pisane są w języku babilońskim, który już jest zupełnie rozwinięty i prawie niczem nie różni się od języka późniejszych pomników. Również typ akkadejski jest jak najdoskonalej semicki, jak to można widzieć z wspaniałego posągu Naramsina, panującego około 2800 przed Chr., a znalezionego w Mardin w Syryi; posiada on wszystkie cechy typu semickiego, a więc silnie zbudowane kości policzkowe, nos długi, nieco zaokrąglony, włos głowy i brody obfity i starannie bardzo utrzymany. Pomnik ten nie tylko ma wartość etnograficzną, ale pod względem artystycznym niczem nie ustępuje najpiękniejszym pomnikom starożytnego wschodu. Państwo natomiast Sumer roz-

ciąga się na południe od Akkad, po obydwóch brzegach Eufratu, aż po zatokę perską, która w owym czasie wcinała się o 200 kilometrów głębiej w ląd niż dzisiaj. Obejmowało to państwo Sumer przedewszystkiem następujące miasta, które po kolei wyrywały sobie hegemonię, jak: Eridu, położone nad Eufratem i blizko morza, dalej ku północy Uruk, biblijne Erech, Uru, biblijne Ur, Larsa, biblijne Elasar, Lagasz, Umma, a najbliżej granicy akkadejskiej Nippur. Otóż pomniki zebrane w Nippur stwierdziły, że Sumeryjczycy są narodem pod względem językowym zupełnie różnym, to się pokazuje z licznych tablic dwujęzycznych, gdzie popod linią sumeryjską znajdujemy przekład babiloński często z uwagą „Akkadiszu", czyli tłomaczenie akkadejskie sumeryjskiego tekstu. W Tello czyli Lagasz odkryto 8 posągów znakomitego władcy Gudea', są one wyśmienicie wykonane, ale przedstawiają typ etnograficzny, jak najbardziej różny od typu semickiego. Przedewszystkiem uderza brak włosów, tak na głowie jak i na brodzie, które Sumeryjczycy starannie golili, również budowa twarzy nie przedstawia charakterystycznych cech rasy semickiej. Kości policzkowe słabiej rozwinięte, nos ku końcowi mocno zwężony i prosty, czoło bardzo nizkie [1]. O ile można wnioskować z pomników, najpierw wybiło się na czoło miasto Lagasz, które zagarnęło czasowo hegemonię nietylko nad ziemią sumeryjską, ale także nad ziemią Akkad. Odznaczyli się tutaj przedewszystkiem królowie Ente-

[1] Kwestya sumeryjska zaprzątała i jeszcze zaprząta umysły oryentalistów. Najwięcej wyczerpująco rzecz tę traktował Edward Meyer w książce: *Sumerier und Semiten in Babylonien*: Abhandlungen der königlich- preussischen Akademie der Wissenschaften in Berlin 1906. Wykazuje Meyer w tem dziele, że Sumeryjczycy nie są bynajmniej autochtonami w Babilonii ale przypuszcza, że oni podbili południową Babilonię, ujarzmiwszy pierwotną ludność semicką, a potem wytworzyli kulturę i pismo, które się przyjęły u wszystkich ludów ościennych, jak u Akkadejczyków czyli właściwych Babilończyków, Elamitów, później Anzanitów, Kanaanejczyków, Aramejczyków, Hetejczyków a wreszcie Persów. Zdanie Meyer'a podziela i dalej rozwija O. Dhorme w swem bardzo pouczającem dziele: *La Religion Assyro-Babilonienne* Conférences données à l'Institut Catholique de Paris. 1910 str. 318. Poświęca bardzo piękny rozdział w tej książce początkowej historyi ziemi Sumer Akkad str. 1—49. Cfr. także przepiękne studyum o początkach babilońskiej kultury ogłoszone *w Conférences de St. Etienne* na r. 1909—1910.

mena i Eanatum I i II, którzyto bardzo dużo pomników po sobie pozostawili, a zwłaszcza chlubią się jako fundatorowie różnych świątyń. Państwo to rychło jednak chyli się ku upadkowi, i jak widzimy z różnych napisów ostatniego władcy jego Urukagina głównie z powodu wielkich nieporządków w administracyi państwowej [1].

Wylicza w swoich dokumentach wszystkie nadużycia, jakie się pod tym względem zakradły, a zwłaszcza zdzierstwa, jakich się dopuszczali kapłani i możne rody książęce. I tak pożerali oni dobra ubogich, przywłaszczali sobie ogromne sumy z okazyi transakcyi testamentarnych, a to wszystko działo się w porozumieniu z dawniejszymi królami. Skomplikowana maszyna państwowa wywierała prawdziwy terror na poddanych. Państwo uzurpowało sobie nie tylko opiekę nad pastwiskami, rzekami, kanałami, ale przez swoich inspektorów kontrolowało nawet hodowlę bydła, przyczem nie obywało się bez szykan. Skarży się Urukagina, że panowała wówczas powszechna niewola. Toteż stara się przywrócić złoty okres wolności, reguluje renty i kupna, ażeby ukrócić samowolę książąt; usuwa instytucyę szpiegów królewskich; ustanawia szczegółowe taryfy płac, jakie mają pobierać kapłani za funkcye w świątyniach. Reforma nie przeszkodziła jednak upadkowi państwa, gdyż jeszcze za jego życia król z Erech, Lugal-Sag-Gisi, zawładnął państwem Lagasz. Równolegle z chyleniem się państwa Lagasz do upadku podnosi się na północy szereg silnych państewek akkadejskich. Zasługuje przedewszystkiem na uwagę Manisz-Tusu, król Kisz, sławny z niedawno odkrytego bloku granitowego, na którego 4 ścianach opisuje Manisz-Tusu kupna licznych posiadłości ziemskich, które oddaje w opiekę 40 obywateli miasta Aggady [2]. Szczególniej jednak sławnymi są dwaj królowie akkadejscy, wspomniani już Sargon I z Aggady i jego syn Naramsin.

---

[1] cfr. Thureau Dangin: *Die Sumerischen und Akkadischen Königsinschriften*, str. 42—58. Dhorme, *La religion Assyro-babilienne*, str. 9.

[2] cfr. Studyum Hrożny'go nad obeliskiem Manisz-Tusu, króla Kisz, ogłoszone w *Wiener Zeitschrift für die Kunde des Morgenlandes*. Wien, 1902, str. 11, etc.

Zdaje się, że Sargon, aby wzmocnić potęgę swego miasta rodzinnego Aggady, niszczy poraz pierwszy rozwijające się bardzo prędko sąsiednie miasto Babilon. Był to władca, który nietylko podbił ziemię sumeryjską, ale na swoich pomnikach nazywa siebie królem czterech stron świata, t. j. królem Akkad i Sumer, Elamu i ziemi Amurru czyli Syryi. Toteż wybitne stanowisko zajmuje syn jego Naramsin, i on przedsiębierze wyprawę do Syryi, a nawet do Magan po granity, to jest prawdopodobnie na Synaj, który już Egipcyan nęcił bogactwem swoich kopalń. Później widzimy jeszcze nowe odrodzenie się państwa sumeryjskiego Lagasz, którego władcy nie noszą jednak już tytułów królów, ale kontentują się skromną nazwą Patesi, książąt kapłańskich, a z nich najsławniejszym jest Gudea. Szczególniejszą troskę poświęcał restaurowaniu, budowie świątyń i organizowaniu ekspedycyi handlowych na zachód do ziemi Magan i Amurru. Już wtenczas jednak, t. j. około r. 2600 przed Chr. konstatujemy, że powoli Semici z Akkad coraz to więcej zalewają ziemię sumeryjską, toteż już królowie z Ur, a więc w ziemi czysto sumeryjskiej, już są Semitami, jak wskazują ich imiona: Pursin, Gimilsin. Toż samo ma miejsce w sumeryjskiem państwie Isin, gdzie także koło r. 2500 Semici zasiadają na tronie, jak Lipit-Isztar, Iszme-Dagan. Koło r. 2500 wreszcie przychodzi w Babilonii do wielkich przewrotów politycznych, a sprawcami tego są ludzie z Amurru, czyli Semici, należący do tego samego szczepu co klany, które się wdarły współcześnie do Syryi. I później nawet około r. 2150 udaje się jednemu władcy ze szczepu Amurru zagarnąć miasto Syppar, skąd powoli będą rozciągali swoje panowanie na całą ziemię akkadejską i na ziemię sumeryjską. Ta właśnie dynastya pochodzenia najprawdopodobniej arabskiego, jak pokazują imiona tych królów, oraz ich typ rasowy, daje Babilonii pierwszego władcę, który podnosi Babilon do rzędu pierwszej stolicy. Jest nim Hammurabi, według ogólnego zdania krytyków identyczny z biblijnym Amrafefel, współczesnym Abrahama (Gen. XIV). Już jego ojciec Sinmubalit zdobył miasto Ur, a on ostatecznie wyparł z południowej Babilonii Elamitów, którzy korzystając z prze-

wrotów politycznych potrafili koło r. 2280 przywłaszczyć sobie hegemonię nad Babilonią, jak również i tytuł królów Amurru. Hammurabi, jak pokazują jego liczne napisy, a zwłaszcza kodeks, przez niego wydany, był nie tylko sławnym wojownikiem, ale jeszcze lepszym administratorem, mądrym prawodawcą, a jak będziemy widzieli, później władcą w całem tego słowa znaczeniu nowożytnem. Dynastya jednak Hammurabiego już mniej więcej 150 lat później traci grunt pod nogami, chwilowo na rzecz dynastyi nazwanej Szech-Azag, a ostatecznie około r. 1800 przed Chr. zawładnęli Babilonią Kasyci, lud prawdopodobnie pochodzenia aryjskiego, który z wyżyn Iranu a mianowicie z gór Zagros, położonych nad Tygrysem, wdarł się do Babilonii i zagarnął tron babiloński, przy którym utrzymał się aż do r. 1100 t. j. aż do czasu Tiglat-Pilezara I, który pierwszy stworzył wszechświatową potęgę asyryjską [1]. Widzimy zatem jak Semici z Akkad, począwszy od r. 2800 stale coraz to silniej kolonizują ziemię sumeryjską, i ostatecznie około r. 2000 podbój semicki już jest w południowej Babilonii skończony. Odtąd języka sumeryjskiego używać się będzie tylko w tekstach religijnych, jakby języka świętego; natomiast teksty historyczne, pochodzące z południowej Babilonii, pisane są odtąd tylko

[1] Wyliczonych 87 władców w napisach sumeryjsko-akkadejskich, ogłoszonych przez Thureau-Dangin, nie można rozmieścić chronologicznie, gdyż rozdzielają się oni na 20 przeszło królestw, z których znaczna część była współczesną. Ale co do późniejszych władców Babilonii, zwłaszcza od czasów podboju arabskiego czyli amoryjskiego tj. od r. 2200 mamy już listy z dokładnem oznaczeniem następstwa i długości lat panowania poszczególnych królów. Na uwagę zasługuje t. z. lista wielka królewska ogłoszona, po raz pierwszy przez Th. G. Pinches w *Proceedings of the Society of Biblical Archeology* 1887 r. str. 193. Obejmuje ona 8 różnych dynastyi: pierwsza dała Babilonii 11 królów panujących przez 300 lat; druga 11 królów panujących 368 lat lecz według obliczeń *King'a Chronicles concerning early babylonian kings* druga ta dynastya była współczesną pierwszej i trzeciej. Trzecia dynastya Kassytów dała 36 królów, panujących 576 lat i 9 miesięcy. Czwarta dynastya Isin 11 królów, panujących 130 lat i 2 miesiące. Piąta dała 3 królów, którzy panowali 22 lat i 5 miesięcy, szósta panowała przez 20 lat i 3 miesiące, siódma miała hegemonię nad Babilonią 22 lata, a ósma doprowadzona jest aż do Asurbanipala, który panuje jako Kandelanu w Babilonii od r. 668-626 przed Chr. Tablice te chronologiczne oddają także ważne usługi w obliczaniu dat biblijnych. Cfr. Gressmann *Altor Texte* 109—104.

w języku babilońskim, gdyż najeźdcy arabscy, czy też amorejscy, reprezentowani przez dynastyę Hamurabiego, sami przyjmują kulturę babilońską, i prowadzą w dalszym ciągu dzieło babylonizacyi ziemi Sumer. W tym samym czasie rozpoczyna się ekspansya kultury babilońskiej na północ. To co mówi Biblia, że Nimrod, panujący naprzód w Babilonii, rozciągnął swoje państwo na północ, aż pod Niniwę i Kalanne, to okazuje się jako spostrzeżenie trafne pod względem historycznym. Kultura semicka, wziąwszy swój początek właściwie w Akkad, rozciąga się na Asyryę. Jestto kraj położony nad środkowem biegiem rzeki Tygrys, przeważnie górzysty, zaczem przedstawiający warunki klimatyczne i geograficzne, zupełnie inne od tych, jakie mamy nad dolnym biegiem rzeki Eufrat. Dzisiaj, na podstawie odkryć zwłaszcza w Kalaat-Sergat i Niniwe, znamy prawie wszystkich patesi czyli książąt kapłańskich, panujących w Assyryi. Jeden z najstarszych jest Ilu-Suma, współczesny z założycielem dynastyi arabskiej Ilu-Mailu. Z władców wcześniejszych żaden nie nosi nazwy semickiej, ale imiona zbliżone do języka aryjskiego. I wiemy teraz, że zanim Semici podbili Assyryę, pozostawała ona pod władzą Mitanitów. A założycielami miasta Assur są Uszpia i Kikia, a zatem władcy pochodzenia aryjskiego.

Na podstawie dotychczasowego materyału historycznego przedstawił znakomity znawca wschodu dalekiego Winkler następującą teoryę: Mniej więcej około r. 3000 przed Chrystusem rozpoczyna się wielka wędrówka ludów semickich, nazwana przez niego wędrówką kanaanejską, gdyż nie tylko objęła ona, jak to widzieliśmy, Babilonię, ale zdaje się, że wówczas Syrya po raz pierwszy otrzymała swoją ludność semicką. Właśnie Fenicyanie twierdzili, że Syrya nie jest pierwotną ich ojczyzną, lecz że przybyli oni z nad morza eretryjskiego, jak to notuje Herodot I. (I i VII, 80.) Ponieważ jednak według jego pojęcia morze eretrejskie to zatoka Perska wraz z morzem Czerwonem, więc prawdopodobnie także Fenicyanie zaliczeni przez Pismo św. do Kanaanitów, jak zresztą i sami siebie nazywali, należą do tej samej grupy ludów semickich, które powoli zajęły całą

Babilonię i Assyryę i także rozlali się po całym płaskowyżu syryjskim a zwłaszcza w Syryi i Kanaan [1].

Jeszcze słówko o odkryciach samej ziemi Kanaan. Aż do r. 1890 nie przedsięwzięto większych wykopalisk na ziemi kanaanejskiej, gdyż nie miano żadnych nadziei, żeby wobec licznych przewrotów, przez jakie przechodził kraj od 2000 lat i wobec ciągłego przebudowywania i przerabiania starożytnych miast kanaanejskich, można było znaleźć jakieś wybitniejsze ślady dawniejszych epok przedhistorycznych. Ale kiedy w r. 1887 odnaleziono przypadkowo tak liczną korespondencyę władców Syryi i Kanaanu z faraonami egipskimi, powzięto zamiar planowego zbadania najdawniejszych centrów kultury Kanaanu. Rezultaty wykopalisk w Kanaanie zebrał w znakomitej monografii O. Vincent, profesor instytutu biblijnego w Jeruzalem, i dał później na podstawie całego materyału archeologicznego syntentyczny rzut historyi Kanaanu [2]. Otóż to cośmy widzieli z pomników egipskich i babilońskich, okazało się jak najzupełniej słusznem. Kanaan już w czasach najdawniejszych był zamieszkałym. Epoka paleolityczna rozpoczyna się tutaj już około r 5000 przed Chrystusem. Najbogatsze wszakże zbiory posiadamy z okresu neolitycznego [3]. Lud zam eszkujący wówczas Kanaan posiada już znaczny stopień kultury, czego świadectwem najlepszem są liczne groty, służące mu za mieszkanie, ze starannie wyciosanemi ścianami, i to za pomocą narzędzi kamiennych. Również potrafili oni budować kanały głębokie

---

[1] Cfr. Guthe: *Die Sidonier Hauck's* P. R. E. t. 18 str. 296.

[2] P. Hugues Vincent: *Canaan d'après l'exploration récente*, Paris 1907 str. 494. z 11 tablicami i 309 ilustracyami, planami i rycinami. W książce tej daje nam wyczerpujący pogląd na budownictwo, kult, cześć umarłych a zwłaszcza na ceramikę, na podstawie odkryć od r. 1888—1907. Zakończył tę znakomitą pracę dwoma rozdziałami o geologii i archeologii przedhistorycznej Kanaanu, oraz o jego znaczeniu w historyi starożytnego wschodu.

[3] Ks. Germer-Durand zgromadził w muzeum OO. Assumpcyonistów w Jeruzalem koło 6000 okazów z epoki kamiennej Kanaanu. Zbiory te stoją zawsze otworem dla wszystkich, zajmujących się archeologią palestyńską, i dają może najlepsze zrozumienie poziomu kultury tych odległych czasów. Umiejętnie prowadzone wykopaliska przez Petrie, Macalister, Bliss, i innych dostarczyły jednak dopiero dokładniejszych dat do obliczenia różnych okresów historyi Kanaanu.

w skale, ażeby zaopatrzyć swoje siedziby w dostateczną ilość wody, umieli zarazem owe podziemne źródła ukryć przed okiem wroga. Ściany jaskiń tych troglodytów są często ozdobione bardzo udatnemi rycinami ze świata zwierzęcego. Ludność ta prawdopodobnie nie jest semicką, o czem świadczy przedewszystkiem sposób grzebania umarłych, których palono w osobnych na ten cel urządzonych krematoryach, w skale wykowanych. Ta okoliczność też utrudnia poznanie owej rasy, gdyż nie mamy szkieletów, a przedewszystkiem czaszek owych neolitycznych troglodytów. Wszakże są oni z pewnością różni od rasy, która najeżdża Palestynę, a która zaznaczyła się przedewszystkiem budowaniem licznych dolmenów, menchirów i kronlechów, a później wznoszeniem cyklopejskich murów dokoła fortec i miast. Jak O. Vincent przypuszcza, ta epoka megalolityczna jest już kanaanejską. W kotlinie Jordanu i na stokach gór spadających od wschodu doń, znaleziono tak liczne ślady tych pomników megalolitycznych, że na ich podstawie można sobie nakreślić drogę, którą się wciskały te ludy do Palestyny. Jeżeli weźmiemy te tysiące dolmenów za świadectwa tej wędrówki kanaaneńskiej, to widzimy, że Kanaanejczycy weszli do kraju od północy. Zajęli najpierw całą kotlinę Jordanu t. z. Ror, skąd najpierw wdrapali się na płaskowyż moabski, a potem także powoli zajęli całą Palestynę zachodnią. W każdym razie około r. 2500 osiedlają się Kanaanici na stałe w Syryi i od tego czasu datują się te liczne miasta, obwarowane potężnymi murami, częściowo z nieobrobionych kamieni, częściowo z cegły, a dochodzącymi do 10 m. grubości, a do 14 m. mniejwięcej wysokości. Maspero [1] w swojej archeologi egipskiej przypuszcza, że właśnie Egipcyanie dopiero od tych najezdców kanaanejskich nauczyli się budowania swoich obronnych fortów, gdyż z doświadczenia wiedzieli, jak trudno było zdobyć dla nich owe kanaaneńskie miasta, i widzimy, że najczęściej próbowali je zająć podstępem.

Jeżeli teraz otworzymy Pismo św., a przypatrzymy się

[1] Cfr. Maspero: *L'archeologie Egyptienne*, Paris 1907: Les grandes guerres qui livrérent l'Asie aux Pharaons de la XVIII dynastie leur revelérent des formes nouvelles de fortifications. Str. 33.

ludom, jakie zastał Abraham w ziemi Kanaan, gdy opuściwszy Haran do niej przybył, to widzimy, że sam nazywa się pielgrzymem na tej ziemi, sobie przez Boga obiecanej, gdyż w niej mieszkał Kanaanejczyk. Toteż nie może na stałe namiotów swoich rozbić ani w kotlinie Jordanu, widocznie wtenczas gęsto zaludnionej przez Kanaanejczyków, czego najlepszym dowodem te dolmeny, które tak starannie zbadali w ostatnich latach Schuhmacher, Dalmani i szkoła biblijna w Jeruzalem, ks. Musil i wielu innych. Widzimy, że pod Sichem zamieszkują patryarchowie dzięki tylko przymierzu, jakie ich łączyło z Sichemitami. Jedynie stalsze miejsce znaleźli w okolicach Betel i Hai, przedstawiające widocznie dawniej ten sam charakter stepowy, jaki posiadają jeszcze dzisiaj, zaczem mniej nadawały się do założenia większych miast. Również pobyt w okolicach Hebronu zawdzięczają tylko przymierzu i stosunkom przyjaznym, jakie zawarli z rodami Kiriat-Arba. Najwięcej jednak Abraham, Izaak i Jakób przebywają ze swojemi trzodami na południowych kresach Palestyny w t. zw. Negebie, między Gerarą i Bersabe i gdzie nie niepokojeni przez przepisy administracyi państwowej, mogą swobodnie żyć według swoich zwyczajów patryarchalnych. W Genesis znajdujemy również mnóstwo notatek i o przedkanaanejskiej ludności Palestyny, wspomniane są rozmaite ludy pod nazwami dla nas niezrozumiałemi, jak Emim, Anakim, Zamzumim, Refaim, a przedewszystkiem t. zw. Horim czyli troglodyci, którzy jeszcze w owych czasach licznie zamieszkiwali góry południowo-zachodniej Palestyny, a przedewszystkiem jaskinie gór Seir (Gen. XXXVI), rozciągające się na południe od morza Martwego.

Z tego przedstawienia uderza nas ten fakt, że kiedy pierwszy raz patryarchowie dostają się na tę ziemię, miała ona już za sobą przynajmniej 2000 lat kultury ludzkiej; już wtenczas ziemia ta żywiła przynajmniej dwie odrębne rasy, których ślady są widoczne w archeologicznych zabytkach, jakie w ostatnich 20 latach wydobyto z pod ziemi. Dalej widzimy, że ziemia ta stanowi szczególniejszą atrakcyę dwóch sąsiadujących potęg, które zrazu w celach handlowych przedsiębiorą wyprawy do

Palestyny, obfitującej w kopalnie poszukiwanego kruszcu, miedzi, bardzo poszukiwanej w starożytności, gdyż z niej przez zmieszanie z antymonem albo z cyną, otrzymywano bronz, z którego wyrabiano narzędzia domowe, a zwłaszcza oręż wojenny. Dalej nęciła Egipcyan i Babilończyków bogactwem swoich lasów. Już najstarsi władcy Babilonii wysyłają tam całe ekspedycye wojskowe, dla zaopatrzenia się w drzewo, gdyż palmy babilońskie i egipskie nie przedstawiały jako drzewo budulcowe żadnej wartości. Później także względy polityczne każą Egiptowi i Babilonii trzymać w szachu ziemię Kanaan. Właśnie tutaj skupiały się ustawicznie elementa wrogie, i zazdrośnie spoglądające na bogactwo Egiptu. Toteż względy polityczne powodowały faraonów XVIII i XIX dynastyi, że popróbowali rozciągnąć swoją zwierzchność nad całą Syryą, na której już wtenczas dzięki licznym stosunkom pokojowym, wiążącym Kanaan z Babilonią, prawie niepodzielnie panuje kultura babilońska. Przypomnijmy sobie nadto, że i na zachód od Syryi znajdowało się państwo, cieszące się już około r. 2000 przed Chrystusem bardzo wysokim rozwojem politycznym i cywilizacyjnym. Kanaan więc jest ze wszystkich stron otoczony krajami stojącymi bardzo wysoko pod względem cywilizacyjnym i kulturalnym. Wykopaliska bowiem, jakie od 10 lat prowadzą Amerykanie i Włosi na Krecie stwierdziły, że Kreta już w III tysiącleciu przed Chrystusem jest siedzibą i centrem bardzo silnej organizacyi państwowej, która zdołała wytworzyć kulturę bardzo oryginalną, tchnącą innym duchem niż cywilizacya Egiptu i Babilonii, a wykazującą w sztuce te same elementa, które później przyczyniają się do rozwoju klasycznej sztuki greckiej. Zatem jest rzeczą niezmiernie niebezpieczną podawać fakta biblijne jako mity i legendy, powstałe dopiero w IX albo X w. przed Chrystusem, skoro właśnie najstarsza historya Genesis w ogólnych zarysach doskonale harmonizuje z najnowszemi badaniami, i owszem dopiero w świetle tych odkryć nabierają podania biblijne jeszcze konkretniejszej postaci.

Wykopaliska w Kanaanie.

W poprzednim rozdziale nakreśliłem w grubszych rysach na podstawie historyi Starożytnego Wschodu stosunki, panujące w ziemi Kanaan. Szczególniejszy nacisk położyłem na wysoki rozwój kultury, jakim się cieszyły kraje położone dokoła Palestyny. Wskazałem również, że dwie kultury babilońska i egipska nawzajem ubiegały się o zdobycie dla siebie krajów Amurru i Kinahn, t. j. Syryi i Kanaanu. To, co mówi Pismo św. w Deuteronomium r. VIII, że Izraelici, zdobywając ziemię obiecaną, znaleźli tam cały szereg bogatych centrów kultury, to samo stwierdzają najnowsze odkrycia dokonane na wschodzie. Mojżesz obiecał Izraelitom, że w Kanaanie znajdą gotowe miasta, kamienne domy, cysterny, stawy, wodociągi, że nie będzie to kraj, który dopiero trzeba przygotować pod uprawę, ale że tam będą mieli gotowe ogrody, pola, z których będą mogli zbierać odrazu obfite żniwo. Izraelici mieli zatem wchłonąć w siebie odrazu cały zasób 2500-letniego rozwoju kultury w Kanaanie. W czasach Mojżeszowych ziemia Kanaan, według opowiadania Pentateuchu, zamieszkaną była przez cały szereg szczepów kananejskich, jak: Filistyni, Amoryci, Hewejczycy, Hetejczycy, Gergezejczycy, Kanaanici. Obok tego notuje także Mojżesz, jak już wspomniałem, że tu i ówdzie zwłaszcza w południ. Palestynie, tak wschodniej jak i zachodniej, przechowały się resztki autochtonów chananejskich, występujących pod nazwami: Anakim, Awim, Refaim, Zamzumim i Chorim. O ludach tych jednakże nie znajdujemy w Piśmie św. żadnych bliższych objaśnień. Za to szczepami chananejskimi, wymienionymi na pierwszem miejscu, zajmują się księgi historyczne bardzo szczegółowo.

Już wyżej wskazałem na ważność tablic z El-Amarna tak pod względem geograficznym, etnograficznym, historycznym jako też i religijnym. Rozumie się, że tablice z korespondencyami z El-Amarna nie we wszystkiem odpowiadają danym biblijnym, gdyż prawdopodobnie listy te opisują nam stosunki panujące w Palestynie przed jej zajęciem. Wspomniałem już,

że pod koniec panowania XVII dynastyi aż do dojścia dynastyi XX odbywa się na kraje kulturalne, t. zn na Palestynę, Babylonię i Egipt, napór najróżnorodniejszych ludzi. Od strony południowo-wschodniej wdzierają się w Syryę południową i północną rozmaite szczepy aramejskie, próbując wyprzeć tubylczą ludność Amorejczyków i Kanaanitów. Od północy tak na Palestynę jak i na Babilonię naciskają szczepy hetyjskie. Dynastyi XIX, t. j przedewszystkiem najpotężniejszym monarchom jak Seti i Ramzes II [1], udaje się na razie powstrzymać niebezpieczeństwo, grożące Egiptowi ze strony Palestyny. Seti i Ramzes łatwo poskramiają południową Palestynę, ale z Hetejczykami, napierającymi ustawicznie od północy, nawet potężni faraonowie nie mogą sobie dać rady. Walka rozpoczęta za Setiego prowadzona jest dalej przez młodzieńczego Ramzesa II, który na wszystkich świątyniach egipskich poumieszczał olbrzymie napisy, wysławiające jego zwycięstwa. Zadał wprawdzie straszną klęskę Hetejczykom pod Kades w Celesyryi [2], lecz bez większego rezultatu, bo po dwudziestu latach wojny zawiera ostatecznie z nimi traktat zaczepno-odporny, który rozgranicza sfery wpływów Egiptu i państw hetejskich. Ramzes zajmuje na rzecz swego państwa całą Syryę południową, t. j. dzisiejszą Palestynę z Fenicyą, czyli z Tyrem, Sydonem i miasto Arwad .[3] Hetejczycy zaś panują niepodzielnie nad Syryą północną.

---

[1] Obydwaj ci potężni faraonowie zostawili ślady swego pobytu w ziemi Kanaan w postaci pomników do dziśdnia istniejących. Mianowicie w Tell-es-Sihab w pobliżu El-Muzerîb za Jordanem odkrył prof. Smith w r. 1901 stelę Setiego I. Widzimy na niej monarchę, składającego ofiarę Amonowi, bóstwu opiekuńczemu Teb, a za nim stoi bogini Mort W tejsamej okolicy, a za'em na drodze z Kanaanu do Damaszku w Szech- Saad znajduje się stela Ramzesa II, na której też adoruje jakieś bóstwo nazwane według Maspero Agana Safon. Cfr. Vincent, *Canaan*, str. 131. Nadto Lipsius odnalazł trzy stele Ramzesa II, wykute na ścianach wąwozu Nahr-el Relb koło Bejrutu, pochodzące z 2 i 9 roku panowania Ramzesa. Cf. Maspero, *Histoire ancienne de peuples de l'Orient*, str. 263.

[2] Na pilonach Rameseum w pobliżu Teb po drugiej stronie Nilu widzimy, jak Ramzes walecznie i bohatersko działa przy oblężeniu warownego miasta, oblanego wodami rzeki.

[3] Traktat z Hetejczykami był pierwotnie spisany po hetejsku na srebrnej blasze. Cfr. Maspero I. c. str. 264.

Traktat ten jest pierwszym wzorem układu międzynarodowego; reguluje stosunki handlowe, zobowiązuje obydwa państwa do wydawania sobie wzajemnie zbrodniarzy i zbiegów, podkreślając jednakże, że nie należy uciekających z własnej ojczyzny poddawać dalszym karom. Póki Ramzes żył, urok jego sławy powstrzymywał napór szczepów barbarzyńskich, chciwie patrzących na bogactwa Syryi i Egiptu. Lecz skoro tylko sędziwy Ramzes po 70-letnim prawie panowaniu zamknął oczy, rozpoczyna się na nowo dokoła wszystkich brzegów morza Śródziemnego olbrzymia ruchawka. Szczególnie zaznacza się ona na wschodzie, gdzie ponownie plemiona aramejskie próbują osiedlić się wzdłuż wybrzeży morza Śródziemnego. Wtenczas to prawdopodobnie Żydzi wtargnęli do Palestyny.

Ale daleko większe niebezpieczeństwo zawisło nad Egiptem. Jak wnosimy z kronik egipskich, plemiona Libijczyków, Szardana, Turaiata (prawdopodobnie Etruskowie) przybywają z wybrzeży Mało-Azyatyckich i wdzierają się do delty nilowej. Inna zaś część plemion próbuje się dostać do Egiptu lądem, idąc wśród wybrzeży Małej Azyi i Syryi. Są to ludy karyjsko-keftyjskie. Z pomiędzy nich dwa szczepy Palasata i Zakala wdzierają się dalej na południe, osiedlając się na wybrzeżu od Karmelu po granice Egiptu. Są to biblijni Filistyni, a których Pismo św. nazywa często: Creti, Pelęti [1] i nawet Cari, a o Filistynach powiada w szczególności, że przybyli z ziemi Kaftor [2].

---

[1] Kreti i Plethi stanowili gwardyę przyboczną Dawida. Cfr. II Sam. VIII, 18; XV, 18; XX, 7, 23.; 1 Reg. I, 38. 14; I Par. XVIII, 17. Według Sofoniasza II, 5. oznaczają Kreti Filistynów, tosamo u Ezechiela XXV, 16. Nieco później zamiast Krethi występują Kari, jako straż przyboczna. 2. Reg. XI, 4, 14, także tekst massorecki już 2 Sam. XX, 23, czyta Kari zamiast Krethi. O. Lagrange zwraca uwagę, że właśnie dzięki tej opinii Gaza miała otrzymać swą nazwę od Minosa, a port koło Gazy miał tytuł Μινώα. Cfr. Lagrange, *Les Juges*, str. 234.

[2] cfr. Jer. XL, 4, Amos IX, 7. Jeremiasz nazywa Kaftor wyspą. Gen. X, 14 gdzie Kaftorim są oznaczeni jako synowie Misraim, t. j. jako spokrewnieni z Egiptem, w jakiem znaczeniu, zobaczymy później. Herodot od Filistynów dał całej ziemi Kanaan nazwę Παλαιστίνη, Her. II, 104, VII, 89, bo z miastami filistyńskiemi, jak Dora i Jaffa, już Ateńczycy utrzymywuli stosunki handlowe.

Coby wyraz Kaftor znaczył, nie można dzisiaj określić z całą pewnością. Tyle tylko wiemy, że w języku egipskim keft oznacza krety, a później także Egipcyanie nazywają Fenicyan Keftyjczykami. Dlaczego, niżej pokażemy.

Tablice z El-Amarna sprawiły, że zwrócono się obecnie z wykopaliskami do samej Palestyny, spodziewając się, że ziemia ukrywa w swojem łonie niejeden cenny zabytek z czasów przedizraelskich. Nadto dlatego jeszcze zwrócono baczniejsze oko na Palestynę, że spodziewano się wyświetlić związek kultury greckiej z Palestyną. Do niedawna bowiem mniemano, że Grecy stworzyli oryginalną sztukę, że sobie samym tylko zawdzięczają ten potężny rozkwit we wszelkich gałęziach wiedzy i kultury. Ale już prace Schliemanna, podjęte w Grecyi i na wybrzeżach mało-azyatyckich, przekonały, że długo przed rozkwitem klasycznej Grecyi kwitło na wyspach morza Jońskiego i Egejskiego bujne życie kulturalne. Odkrycia Schliemanna stwierdziły, że Iliada Homerowa wiernie odzwierciedla epokę trojańską i mykeńską. Poemat nabrał swego znaczenia. Postacie mytyczne Homera zaczęły w ostatnich dziesiątkach lat ożywiać się i przybierać kształty realne, historyczne. Nie tylko w Grecyi, Małej Azyi, ale także w Egipcie znaleziono ślady kultury zwanej mykeńską. Pomniki Egiptu wskazują na Kretę jako na jej centrum. Już Schliemann, powodując się różnemi legendami o Minosie, pragnął poczynić wykopaliska na Krecie. Nadzieje te nie zawiodły. Dotychczas zdołano odkopać Knossos, Festos i przekonano się, że około r. 1500 przed Chr. Kreta stanowiła potężne państwo, z bogatą sztuką i literaturą; prawda, że znać na niej wpływ Egiptu, ale zarazem przejawia się w tych dziełach tasama świeżość, bujność i oryginalność, jaką podziwiamy w klasycznej Grecyi [1].

To też podania biblijne o ziemi Kaftor, o pochodzeniu karyjsko-keftyjskiem Filistynów przybierają coraz to wyrazistszą postać. Nic przeto dziwnego, że od r. 1888 rozpoczęto na wielką

[1] cfr. Lagrange, *La Crète ancienne*, Paris 1908, gdzie daje piękny rzut oka na kulturę, sztukę i religię Agejsko-keftejskie, zestawiając ciągle z danemi zaczerpniętemi z archeologii innych ludów.

skalę eksploatować i przetrząsać ziemię palestyńską. Z tego więc powodu zwrócono się najpierw do miejscowości zamieszkałych przez Filistynów.

Na wiosnę 1890 roku towarzystwo angielskie „Palestine Exploration Fund" powierzyło znakomitemu egiptologowi Flinders-Petrie misyę, aby odszukał położenie staro-kananejskiego miasta Lakisz, stanowiącego klucz do gór judzkich od strony Szefeli. Miejscowość ta znana dobrze z Pisma św., zwłaszcza z klęski, jaką poniósł Sennaherib w okolicach tego miasta[1]. Ogólnie mniemano, że wioska Umm-Lakisz znajduje się na miejscu biblijnego Lakisz. Ale Flinders Petrie odrazu zauważył, że należy raczej szukać tej miejscowości na sąsiedniem w Tell-el-Hesy. Prace około odkopania tego miasta ciągnęły się przez dwa lata od marca 1891 do stycznia 1893 r.[2] Po Flindersie Petrie objął dyrekcyę wykopalisk Bliss, który też z polecenia Towarzystwa ang. w latach 1894—1897 przetrząsnął Jeruzalem. Następnie odkopywano jeszcze miejscowości Tell-Zacharia, Tell-Sandahanna, Tell-es-Safy, wszystko kosztem Tow. „Exploration Fund".[3] Równocześnie staraniem akademii wiedeńskiej w połączeniu z Tow. „Deutscher Palaestina-Verein" rozpoczęto wykopaliska na innym punkcie Palestyny. Prof. Sellin i architekt Schuhmacher zebrali bardzo obfity materyał archeologiczny w Megiddo i Tanaak. Z wszystkich wszakże wykopalisk osiągnęło największą sławę biblijne Gezer, dzięki nadzwyczaj umiejętnemu prowadzeniu wykopalisk przez prof.

---

[1] Już Jozue zdobywa Lakisz na Kananeńczykach. Jos. X, 30, 31. XII, 11. Roboam zamienił je na fortecę, 2 Par. XI, 9, cfr. Mich. I, 13. Amazyasz, król judzki uciekł tu przed spiskowcami, którzy go tu zamordowali. 2 Reg. XIV, 19; 2 Par. XXV, 27. Sanherib oblega to miasto w r. 701 i stąd zmusza Ezechiasza do zapłacenia haraczu. 2 Reg. XVIII, 17; XIX, 8. Is. XXXVI, 2; i XXXVII, 8.; 2 Par. XXXII, 9.

[2] Rezultat wykopalisk złożony w dziele Petrie, *Tell-es-Hesy* (Lachisch) r. 1891.

[3] Bliss opisał całą kampanię exploracyjną w książce: *A Mound of many Cities* 8°, XII-201, z 2260 illustracyami, Londres, 1894. W tym okresie czynił Bliss również archeologiczne poszukiwania w Jeruzalem, idąc w ślady Sihicka, Guthego, Warrena, ale w Jeruzalem oczekiwanych wyników nie osiągnięto. Cfr. Bliss, *Excavativus at Jerusalem*, 8° XVI-374, Londres, P. E. Fund 1898.

Macalister [1]. Odkopano w całości jedno z największych miast staro-kananeńskich w latach 1902—1909. Od r. 1907—1909 prowadziło się prace w Jerycho; w 1909 roku towarzystwa amerykańskie rozpoczęły badania w Sebastije, zbudowanem na miejscu biblijnej Samaryi, a w r. 1910 ponownie w Jeruzalem. W ostatnim r. 1911 P. E. Fund polecił p. Mackenzie przetrząsnąć Ain-Sems, co się świetnie zapowiada.

Chciałbym więc w krótkich rysach tylko podać ostateczne rezultaty tych wykopalisk, prowadzonych przez lat 20 i ich znaczenie religijne dla Pisma świętego. Zaznaczam, że oprócz tych prac, podejmowanych kosztem publicznym, cały szereg osób prywatnych oddaje się pilnie studyom nad zabytkami archeologicznymi, a to w pierwszym rzędzie duchowieństwo i zakony katolickie. I tak w Jeruzalem Dominikanie przez lat z górą 20, rok rocznie wyprawiają dłuższe ekspedycye do Negebu, na Synaj, do Wadi Musa, El-Hidżr, koło Medain-Saleh. Szczególniej badają kulturę nabatyjską, ważną z tego względu, że Nabatyjczycy są ostatnim narodem semickim, który dopiero w IV wieku przed Chr. styka się z wyższą kulturą i zachowuje najdłużej stosunkowo swe zwyczaje religijne. Pomniki pozostawili po sobie w Abde, El-Hidżr, Wady-Musa [2]. W tymsamym kierunku pracował także wiele Ks. Musil [3] i także instytut protestancki pod kierunkiem prof. Dalmann'a; tutaj także należą,

---

[1] Macalister ogłaszał wyniki swych poszukiwań w kwartalniku *Quaterly Statements*.

[2] Jako rezultaty tych prac to najpierw książka O. Jaussen'a, profesora szkoły biblijnej w Jeruzalem: *Les coutumes des Arabes*, 1908. str. 402. W roku 1907 w marcu i maju podjęli się OO. Jaussen i Savignac profesorowie szkoły biblijnej w Jeruzalem misyi archeologicznej z polecenia akademii paryskiej. Bogate rezultaty tej pracy złożone są w dziele: „*Mission archéologique en Arabie*“ (mars-mai 1907); De Jerusalem an Hedżaz, Medair-Saleh 8°. XVI-507, 41 tablic i 228 illustracyj. Tu także wspomnieć należy bardzo sumienne prace, opisujące morze Martwe i jego okolice pod względem geograficznym, geologicznym i historycznym, przez profesora tej szkoły O. Abla: *Une Croisière autour de la Mer Morte*, Paris 1911, bogato illustrowane. Mnóstwo pierwszorzędnego materyału naukowego odnośnie do Palestyny, jej historyi, etnografii, filologii itd. mieści się w rocznikach *Revue biblique*, wychodzących od r. 1892

[3] Ks. Musil nabrał słusznego rozgłosu przez swoją mapę Arabii Skalist e i trzytomowe dzieło *Arabia Petraea*, wydane u Höldera we Wiedniu 1907—8.

po części prace, podjęte w latach 1896 i 1904 przez Brünnowa i Domaszewskiego. [1] Obok OO. Dominikanów zaszczytnie na polu archeologii pracują OO. Asumpcyoniści, którzy specyalnie zajmują się epoką neolityczną i w muzeum swoim zebrali bardzo bogaty zbiór różnych przedmiotów z epoki kamiennej Palestyny. OO. zaś Benedyktyni odkryli w okolicach Malcha i Betsachur w pobliżu Betleem dwa cmentarzyska staro-kananeńskie, w czem już był ich uprzedził Ks. Moretain, misyonarz patryarchatu łacińskiego w Jeruzalem, który właśnie w swej parafii Bet-Sachur zebrał pierwszą kollekcyę narzędzi kamiennych, z których niektóre zdobią muzeum Louvre'u w Paryżu (Vincent, Canaan 378). Również wymienić wypada prace OO. Białych, których muzeum należy do większych osobliwości w Jeruzalem. W ostatnich także czasach katolicy niemieccy, mianowicie „Görresgeselschaft" założyło osobny instytut archeologiczny, poświęcony badaniom Palestyny. Rozumie się, że i inne wyznania chrześcijańskie współzawodniczą w tem trudnem zadaniu.

Charakterystyka ogólna odkryć w Palestynie.

Bardzo często napotyka podróżnik na Wschodzie stożkowate pagórki, które na pierwszy rzut oka rozpoznaje się jako wynik działalności ludzkiej. Arabowie wzgórza te nazywają „Tell" pl. „tulûl" i nieraz ludność tamtejsza przechowuje pierwotną nazwę owej miejscowości. N. p. nazwisko Lakisz przeszło do nas w wiosce Umm-Lakisz, położonej w pobliżu Tell el Hesy, w którym Flinders-Petrie znalazł biblijne Lakisz. Podobnie Gezer przechowało się do dziś dnia w Weli-abudżazar, Tell-Tanaak itd. „Palestine Exploration Funde" starał się wszystkie te kopce rozkopać aż do żywej skały, żeby w ten sposób poznać całą historyę danej miejscowości. We wszystkich tych miej-

[1] Cfr. pomnikowe dzieło Brünnowa i Domaszewskiego: *Arabia Petraea* w 3 tomach in 4° Strassburg 1909, obejmuje cały materyał archeologiczny, topograficzny, historyczny, etnograficzny i epigraficzny odnośnie do Arabii Skalistej

scach, tak w Szefeli jakoteż na równinie Jezrael, znaleziono ślady działalności ludzkiej od zamierzchłej starożytności. Wszędzie znajdowano od 8—10 epok i przekonano się, że należy odróżnić cztery okresy odkopanych miast. Pierwszym z tych okresów jest okres neolityczny, czyli ten, w którym człowiek używa kamiennych narzędzi, ale już wypolerowanych i kształtnych. Tu i ówdzie, jak np. w okolicy Gezer, znaleziono ślady epoki paleolitycznej. Okres paleolityczny najwięcej zaznacza się na Wschód od Jordanu, ale tam jeszcze nie prowadzono systematycznych wykopalisk [1]. Przedmioty z tej epoki znajdują się w Palestynie najgłębiej. Obok tego pojawiają się już wówczas pierwsze próby keramiki starożytnej; podobnie jak w Troi gliniane naczynia z najgłębszych warstw przedstawiają nieraz w grubych zarysach ciało ludzkie lub zwierzęce, mamy tego rodzaju wyroby także w Palestynie. Naczynia te są wyrabiane ręką bez użycia kołowrotka, dlatego są zazwyczaj niekształtne. Dalszym znamieniem okresu neolitycznego w Palestynie jest, że palono zmarłych. Okres ten rozciąga się 3500—2500 r. przed Chr. Po nim następuje okres zwany kanaanejskim; ludność kanaanejska jest na znacznie wyższym stopniu kultury; nie mieszka w grotach jak w epoce neolitycznej, ale zakłada sobie miasta warowne. Okres kananejski przypada prawie równocześnie z dojściem do wszechwładzy w Babylonii dynastyi semickich. Cechy charakterystyczne tego okresu to najpierw olbrzymie mury cyklopejskie, jakimi mieszkańcy otaczali swe miasta. Najlepsze okazy takich murów odkryto w Gezer, Megido, Jerycho, a świeżo w Ain-Sems. Mury te częścią budowano z kamienia, częścią ze suszonej cegły. Wszędzie jednak mają one tensam prawie charakter i dochodzą do olbrzymich rozmiarów. W Megiddo mur miejski wznosił się w trzech terasach, najniższa zbudowana z nieobrobionych kamieni, szczeliny wypeł-

[1] Według opinii O. Vincent, najpierw zaludnionym został płaskowyż moabski, później dopiero ludność epoki staro-kamiennej przeszła Jordan i zaczęła się osiedlać w pobliżu morza. Jednakże w epoce neolitycznej z upodobaniem osiedlano się na nizkich kredowych wzgórzach Szefeli, a także gór Seir, gdzie liczne groty naturalne dawały łatwe schronienie Cfr. Vicent, *Canaan* str. 394, *diagramma des stations aux divers âges de la pierre en Palestine.*

nione są ziemią i zalewane pewnego rodzaju cementem. Ta terasa ma w Megido 10 metrów grubości. Na tym murze, zwężającym się zwolna ku górze, wznosił się mur ceglany prostopadle ku górze, grubości czterech metrów [1]. W Gezer odkopał Macalister mur kananejski, który się prawie cały dochował około miasta. Najpotężniejszy z odkopanych murów miejskich to mur kananejski w Jerycho. Wykopaliska Sellina udowodniły, jak słuszną była obawa Izraelitów, kiedy stanęli pod tem warownem miastem. W Jerycho przechowała się jednak tylko dolna część murów, gdyż z górnej, budowanej z cegły, tylko tu i ówdzie słabe dochowały się ślady. Jak widać z wykopalisk, Jerycho uległo jakiejś nagłej gwałtownej katastrofie, gdyż w murach znajdują się olbrzymie szczerby. Mamy tylko część zachodnią i wschodnią tego monumentalnego muru. Oprócz tego zewnętrznego miało to miasto jeszcze równolegle biegnący mur wewnętrzny [2]. Dalszą cechą charakterystyczną epoki kananejskiej jest powolny zanik narzędzi kamiennych, a coraz częstsze używanie bronzu. W epoce tej wyroby garncarskie keramiczne dochodzą do znacznej doskonałości. Znany już jest kołowrot, zaczyna się kolorowa dekoracya; często znachodzimy bardzo udatne desenie geometryczne lub też motywy zwierzęce [3].

Umarłych nie palą tylko grzebią i to albo w grotach, zamieszkiwanych niegdyś przez tryglodytów z epoki neolitycznej, albo też umyślnie w kutych w skale grobach. Aby obronić ciała zmarłych przed hyenami utrudniano dostęp do grobów. Grobowiec taki składa się zwykle ze studni, mającej w średnicy

---

[1] Cfr. Dr. Schuhmacher: *Eine grosse Burganlage aus kanaanitischer und prähistorischer Zeit. Mitteilungen und Nachrichten der Deutschen Palästina-Verein* i Vincent: *Canaan*, str. 7, 49 i Dr. P. Karge: *Resultate der neueren Ausgrabungen und Forschungen in Palästina*, str. 31. Również pięknie był budowany fort kananeński w Taanek, nazwany przez Sellina fortem zachodnim. Westburg-Vincent-l. c, 53—56.

[2] Cfr. Karge, l. c. 32 i 33.

[3] Wazy i naczynia kananejskiej epoki odznaczają się pięknością linij prawie przypominają wyroby mykeńskie. Cfr. Vincent, *Canaan* 326—344. O. Vincent nazywa ceramikę kananejską, egejsko-kananejską, bo trudno odróżnić w tym okresie wyroby mykeńskie, które prawdopodobnie za pośrednictwem Filistynów dostają się do Kanaanu z Krety i Małej Azyi

2 metry i na 3 metry głębokiej i stamtąd dopiero prowadzi małe, nizkie wejście do właściwej komory grobowej. Zmarli leżą zwykle w postaci skulonej, kolana skurczone aż pod podbródek. Zmarłemu dawano narzędzia, broń, amulety, ozdoby, przedewszystkiem zaś stawiano przy nim liczne naczynia gliniane z napojami i potrawami [1]. W grobowcach z epoki kananejskiej znaleziono bardzo dużo skarabeuszów z kartuszami faraonów i to od XII—XVIII dynastyi (Usirtasen'a III, Amenofis III). W miastach Szefeli znaleziono takich skarabeuszów 80 [2]. Dalszą cechą epoki kananejskiej to liczne masseby oraz małe figurki, przedstawiające prawdopodobnie czczoną powszechnie u Kanaanitów Astartę. Z materyału inskrypcyjnego tej epoki nie znaleziono wiele, tylko Flinders-Petrie odkrył w Lakisz tabliczkę z pismem klinowem, która się odnosi do czasów el-Amarna. Wymienione w tym liście osobistości Zimridi (Kundtron e-Amarna Nr. 329) i Szipti-Baal Kundtron Nr. 330.331 są znane także z korespondencyi el-Amarna. Treść według tłom. Ungnada. (Dr. Gressmann: Altorientalische Texte, 128):

„Powiedz wielkiemu, tak mówi Pabi: upadłem na twarz przed tobą! Masz wiedzieć, że Szipti-Baal i Zimridi spiskują i powiedział Szipti-Baal do Zimridi: Naczelnik miastá Jarami napisał mi: daj mi więc trzy łuki, trzy sztylety i trzy miecze! Gdy ruszę przeciwko krajowi króla, a ty staniesz po mojej stronie, wtenczas go napewno podbiję. Ten, który odwłóczy mój plan jest Pabu. Przyszlij mi go. Teraz posyłam ci Rapiela. On niesie list w tej sprawie". Z pomocą trzech łuków, trzech sztyletów i trzech mieczów chce Zimridi zrzucić jarzmo Egiptu! — jacy to królowie... tosamo widzimy z listów el-Amarna [3].

---

[1] Tego rodzaju groby znaleziono w Gezer, Taanek. Cfr. Vincent. l. c. 212—225 i także Bet-Sahur, według wiadomości prywatnych od OO. Benedyktynów z Jeruzalem.

[2] Skarabeus był amuletem, oznaczającym prawdopodobnie symbol życia przyszłego, był także symbolem słońca. Cfr. Masparo: *Archeologie Egyptienne*, 1902 str. 246. W Kanaanie są one najlepszymi chronometrami pomagającymi skutecznie w oznaczeniu dat poszczególnych warstw.

[3] List ten odkrył Bliss w r. 1892; wydał go Hilprecht w *The Babylo-*

Podobnie także w Gezer znaleziono dwie tabliczki kontraktowe w piśmie klinowem, ale pochodzą one dopiero z czasów Assurbanipala, t. j. z VII wieku. Najobfitszy zbiór inskrypcyjny wydobył Sellin w Tanaak z grodu starokananejskiego. Natrafił na czworoboczne gliniane pudełko i znalazł w niem 5 tabliczek klinowych, pisanych do Istar-Wassur'a, króla kanaanejskiego w Tanaak, współczesnego także epoce el-Amarna. Wszystkie te napisy są redagowane w języku babilońskim, ale z licznemi formami kanaanejskiemi.[1]

Przejdźmy do epoki izraelskiej. W miastach tych stosunkowo mało przedmiotów znajdujemy z tego czasu, gdyż miasta Szefeli zostawały w posiadaniu Filistynów, tylko w Megido i Tanaak znaleziono wyraźne ś'ady wpływu izraelskiego. W Megido mianowicie odkryto wspaniały pałac z epoki izraelskiej, budowany z regularnie obrobionych ciosów, których brzegi ze szczególniejszą starannością są wygładzone. Pałac ten leżał istotnie w piątej warstwie izraelskiej, a niezbitym dowodem, że go należy zaliczać do tego okresu, to dwie pieczęcie, jakie tam znaleziono, jedna z jaspisu a druga z lapis lazuli. Szczególnie pierwsza ma ogromną wartość artystyczną i archeologiczną. Wyrzeźbiony jest na niej wspaniały lew. Znawcy zachwycają się pięknością tej wklęsło-rzeźby, a dokoła czytamy napis „le Semea ebed Jeroboam", tylko nie wiadomo czy jest to dworzanin Jeroboama I czy II[2]. Druga pieczęć ma napis „le Asaf". W warstwie izraelskiej znaleziono również dużo wyrobów ce-

---

nian Expedition of the University of Pensylvania. vol I. Old Babylonian Inscriptions p. II. Nr. 147.

[1] Trzy z tych tabliczek, to spisy osób, dwie natomiast są listami, których treść bardzo jest niejasna. Wydał i przetłomaczył te dokumenta Hrożny: *Denkschriften der keiserlichen Akademie der Wissenschaften in Wien* tom 50. zeszyt 4: Tell-Taannek, r. 1904 str. 133.

[2] Cfr. *Revue biblique*, 1904 r., str. 587—589. Pieczęć była własnością jakiegoś Šema, sługi Jeroboama; może był to urzędnik Jeroboama II, żyjącego w latach 787—793 przed Chr. Druga pieczęć wycięta z lapis lazuli przedstawia herbowe zwierzę, skombinowane ze sokoła i lwa z koroną na głowie; była własnością Asafa. Obie te pieczęcie pochodzą z VIII lub VII wieku przed Chr. Cfr. Karge, *Resultate*, str. 47. Lidzbarski zna 36 pieczęci izraelskich. Cfr. *Altsemitische Texte*, 1907 str, I Heft, str. 10.

ramicznych, uszka waz i dzbanów zwykle mają pieczęć z nazwiskiem jednego z miast, jak Hebronu, Zif, Soko z dodatkiem Lemelech [1].

Do epoki izraelskiej odnoszą archeologowie powszechnie zabytek zwany dzisiaj „izraelskim ołtarzem kadzenia", a odkryty przez Sellina w Tanaak. Jest to istotnie nadzwyczaj interesujący pomnik archeologiczny, świadczący, że nawet pośród Izraelitów szeroko krążyły różne mity i legendy; czy jednak był to ołtarz kadzenia, to wielka kwestya. Może to tylko rodzaj wielkiego klosza glinianego, którym zasłaniano kominek domowy, celem dłuższego przytrzymania ciepła. Sellinowi udało się z ułamków złożyć cały ten przyrząd. Pozwolę sobie tu dać krótki opis interesującego tego zabytku, streszczając opowiadanie O. Vincent. Jestto cylinder 90 cm. wysoki, rozszerza się w dolnej części, tak iż średnica podstawy jest o 15 cm. dłuższa od średnicy otworu górnego, mającego 30 cm. średnicy. Ściany boczne są ozdobione płaskorzeźbami. Trzy fantastyczne postacie o głowach ludzkich bez brody a o tułowiach zwierzęcych, unoszą się jedna nad drugą — pomiędzy niemi zaś z obu stron znajdują się dwa lwy, które kłami swemi zdają się ujmować głowę każdej z tych trzech postaci, które przypominają sfinksy a może cherubiny. Całość sprawia wrażenie silne bardzo, tem więcej, że lwy pałają wściekłością i grozą. Na jednej ze ścian bocznych można zauważyć postać nagiego chłopca, duszącego silnie obiema rękami węża. A na samej podstawie z przodu widać wyraźnie stylizowane drzewo między dwoma koziorożcami, które się wspinają, aby uszczknąć jego gałązkę. Pomnik ten zdradza dużo oryginalności i siły w inwencyi i w całej swej kompozycyi. Według O. Vincent byłby on ważnym dowodem, jak silnie działały na Izraelitów zarówno Biblia jakoteż mitologia babilońska i ten ołtarz kadzenia byłby świadkiem syn-

[1] Archeologia przypuszcza, że lemelech oznaczałoby, że dane wyroby ceramiczne pochodzą z fabryk królewskich w Hebronie, Zif, Soko i Memšat. O. Vincent przypuszcza, że Memšat to biblijne Mareszet, Maresa, które pierwotnie pisało się Memsat, ale pod wpływem fonetyki aramejskiej przeszło w Maresa. *Canaan*, str. 339.

kretyzmu religijnego, który tak mocno groził religii Izraelitów. Rzecz zresztą tę niejednokrotnie stwierdzają pisma prorockie, grożące karami Izraelowi, gdyby się dał odwieść od czystości swej wiary. Z tego więc względu zabytek ten archeologiczny ma istotnie wysoką wartość historyczną. Jakież jego znaczenie? Zdaje mi się, że dobrze myśl tej kompozycyi ujął O. Vincent (Canaan, str. 184). Dla Izraelity, współczesnego prorokom, cherub jest nieodstępnym towarzyszem Jehowy; on świadczy o jego obecności, jest niejako jego podnóżkiem i widomym wyrazem nieskończonego Jego majestatu. Otóż najlepiej z tego punktu widzenia zrozumiemy fantastyczne postacie ołtarza z Tanaek. Geniusze skrzydlate o twarzach ludzkich, młodzieńczym wyrazie, lwy ryczące, natłoczone na ścianach i jakoby zdążające naprzód ku ołtarzowi, mają przerazić i przejąć grozą religijną ofiarującego, zbliżającego się do ołtarza; zdaje się jakby płonęły ogniem, który ma spalić kadzidło. Tak np. widzimy u Ezechiela w r. X cherubinów otaczających ognisko rozpalone i niosących tron Jehowy. Obok tego charakteru czysto izraelskiego mamy tu nadto motywy wprost wzięte z mitologii: drzewo otoczone koziorożcami, czyhającymi na jego owoc; bohater walczący z wężem. Pierwsza scena o drzewie przypomina liczne przedstawienia na płaskorzeźbach i cylindrach babylońskich, a dziecko duszące węża, czyż nie przypomina analogicznej sceny z epopei Gilgameš?

Widzimy zatem z tej krótkiej relacyi, że wykopaliska w Palestynie otworzyły nowe źródło, rzucające jasne światło na Biblię. Wprawdzie nie są one tak imponujące, jak pomniki egipskie i babilońskie, ale zato pozwoliły nam wniknąć w codzienne życie, jego potrzeby. Nigdzie niema ani śladu tej bogatej sztuki, którą ma Egipt i Babilonia, zaledwo drobne figurki, ryciny na pieczęciach i drobne kompozycye w płaskorzeźbie lub w kolorach na wozach. To charakterystyczne, że wazy z epoki izraelskiej nie posiadają tej bogatej polichromii, jaką konstatujemy na wyrobach kananejskich, nawet nie mają motywów, zaczerpniętych ze świata zwierzęcego, jakie wskazują pomniki z okresu neolitycznego.

Wykopaliska w Palestynie rzuciły także wiele światła na stosunki kulturalne z epoki helenistycznej, ale to nie należy do naszego tematu.

Z pewnością nie od rzeczy będzie zapytać, na jakiej podstawie dokonują archeologowie rozgraniczenia poszczególnych epok. Na jakich podstawach twierdzi np. Macalister, że początki historyczne miasta Gezer sięgają roku 3500 przed Chr., lub na jakiej podstawie Schuhmacher, Sellin, Flinders-Petrie, Bliss, Macalister i O. Vincent z ogromną precyzyą datują poszczególne odkryte monumenta. O. Vincent nawet twierdzi, że dane archeologii palestyńskiej są tego rodzaju, iż bez obawy pomyłki umie nauka dzisiejsza odnosić zabytki do ściśle oznaczonego wieku. Rozumie się, że w tych warstwach, gdzie odkryto pieczęcie i skarabeusy z kartuszami faraonów, było rzeczą stosunkowo łatwą oznaczyć daty przedmiotów obok leżących. Lecz możnaby tutaj zarzucić, że przedmioty z napisami są starsze niż warstwy, w których je znaleziono! Pomyłki tego rodzaju łatwo skontrolować, jeżeli zważymy, że bardzo często takie same pieczęcie i skarabeusy znachodzimy w grobowcach, które przechowały się nietknięte aż do naszych czasów. W grobowcach także zwyczajem starożytnym składano różne wazy, amfory, broń zmarłego, to też to wszystko służy archeologowi, jako drogowskaz dla oznaczenia poszczególnych okresów i epok. Wielką pomocą dla archeologa jest regularność warstw i szycht. Macalister w Gezer umyślnie dla przekonania widzów o trafności obliczeń, przeciął w jednym miejscu grubą warstwę nasypu, aż do samej skały. Gdy się uważnie przyjrzymy temu przekrojowi, to mamy przed sobą jakby otwartą książkę, której karty poszczególne znakomicie są od siebie oddzielone. Nawet archeologowie próbowali matematycznie oznaczyć grubość warstw poszczególnych wieków; lecz rzecz jasna, że tego rodzaju obliczenia będą zawsze czysto problematycznemi. Jakżeż jednak wytłomaczyć tą regularność warstw tych poszczególnych epok historycznych? Tym prostym faktem, że w starożytności, jak zresztą i dziś na wschodzie, przy zakładaniu jakiejś budowy nie kopie się aż do stałego gruntu, tylko ograniczają się do ni-

welacyi terenu, zakładając na nim nowy fundament [1]. Każdy zwiedzający ruiny obserwować to może na każdym kroku. Zresztą, jak już wspominałem, Pismo św., pomniki assyryjskie i egipskie, egejsko-mikeńskie, tablice z el-Amarna dostarczają nieomylnych wskazówek do oznaczenia daty. Klasycznym jednak chronometrem jest ceramika, która w każdej epoce przybiera odmienny typ, a że naczynia gliniane przechowały się we wielkiej bardzo ilości, stąd stanowi ona najbogatsze źródło dla chronologii pokładów archeologicznych.

(Dok. nast.)

Ks. W. Michalski C. M.

[1] Tensam proceder praktykowano w Egipcie. Ilekroć budowano dom na miejscu starego budynku, ograniczano się do powierzchownej niwelacyi parceli budowlanej w ten sposób całe miasta wznoszą się jedne nad drugiemi i nieraz w ten sposób powstało sztuczne wzgórze, dochodzące 20—30 metrów wysokości. Maspero stwierdził, że przy wszystkich swoich poszukiwaniach w Egipcie zauważył, że te wysokie podmurowania miast powstały wyłącznie w ten sposób, a nie jak utrzymywali pisarze greccy, z chęci zabezpieczenia się przed wylewami Nilu. Cfr. Maspero: *Archéologie Egyptienne*, Paris 1907, str. 10—11.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Klemens z Aleksandryi o siedmdziesięciu tygodniach Daniela proroka. *Ks. Dr. Władysław Hozakowski.* Poznań 1912. in 8°. (VIII+144).

Znany jako pisarz, ceniony jako profesor, niezmordowany jako redaktor X. Dr. Wł. Hozakowski, profesor nauk biblijnych w seminaryum duchownem w Poznaniu, obdarzył nas nową a cenną pracą z dziedziny historyi egzegezy. Studyum, którego tytuł umieściliśmy w nagłówku, jest niejako uzupełnieniem rozprawy tegoż autora o chronologii Nowego Zakonu w dziełach Klemensa z Aleksandryi, pracy, która, jak zawodowym kołom wiadomo, spotkała się z niemałem uznaniem w patrologicznej literaturze zagranicy, a o której u nas — niestety — zamało się pisało. Nie chcąc, aby podobny los spotkał i „Klemensa z Aleksandryi", który godnie a może nawet jeszcze wyżej stanął niż „Chronologia N. Z." — pragniemy bodaj krótko wspomnieć o nim tutaj. Główną treścią nowego dzieła jest zawiła bądź co bądź teorya Klemensa z Aleksandryi o 70 tygodniach Daniela proroka, która atoli dla historyi egzegezy posiada wielką wartość już z tego tytułu, że jest pierwszą niejako próbą, pierwszym krokiem, na jaki się zdobyła młoda jeszcze egzegeza pierwszych wieków chrześcijaństwa. Rzecz charakterystyczna, że już Klemens uważa przepowiednię Danielową za mesyańską, i odnosi ją do pierwszego zjawienia się Chrystusa na ziemi. Nie poprzestając na jasnem wykładzie swego tematu, (który niestety gdzieniegdzie szpecą niekonieczne neologizmy i prowincyonalizmy), autor gdzie może zagląda do źródeł, na których się Klemens opierał, bada je krytycznie i wyświetla metodą porównawczą stosunek Klemensa

do wielkich myślicieli chrześcijańskich owego czasu, jakimi byli taki Hipolit, Tertullian lub Juliusz Afrykański. Gruntowna znajomość całej nowszej literatury o Klemensie, a nadewszystko jej należyte a rozumne wyzyskanie należy także do wielkich zalet powyższego dzieła, które jest godnym podarkiem „na złote kapłaństwa, a srebrne biskupstwa gody" naszego najdostojniejszego a ukochanego Jubilata, Najprzew. X. Biskupa Likowskiego. Oby na jak najwięcej tego rodzaju prac zdobyła się nasza uboga bo młoda literatura patrystyczno-biblijna!

Ks. Wł. Szczepański

Badania doświadczalne nad pamięcią. *Edward Abramowski.* T. II.. Podświadomość.[1] Warszawa, księg. E. Wende i Ska. 1911. str. 134.

Telepatya doświadczalna, jako zjawisko kryptomnezyi. *Edward Abramowski.* (Praca z Laboratoryum Psychologicznego w Warszawie.) Warszawa. S. Orgelbrand, str. 41.

Znany na polu psychologii pracownik zarzuca w pierwszem dziele dotychczasowej psychologii, że w zakresie pamięci nie zajmowała się stanami podświadomymi, lecz sprowadzała je do „fizyologicznych potencyałów", odmawiając im „wartości psychicznej" lub przypisując „charakter metafizyczny psychiki nieświadomej, będącej poza obrębem doświadczenia wewnętrznego". Tę zatem zaniedbaną dziedzinę poddaje szeregowi badań, które doprowadzić mają do postawienia „nowej teoryi pamięci".

Zacznijmy od doświadczeń. Danej osobie pokazuje autor kartkę ilustrowaną, przez pewien czas i w określonych warunkach, poczem usuwa ją i żąda możliwie dokładnego opisu z pamięci. Po ośmiu dniach odbiera od nieprzygotowanej na to tej samej osoby powtórny ścisły opis i otrzymuje oczywiście szczuplejszy, ponieważ wiele szczegółów zostało zapomnianych. Jednak osoba ta świadomą jest zazwyczaj tego, że czegoś zapomniała, „czuje", że w jej opisie czegoś brak i to nie ogólnie tylko, ale szczegółowo; że tak rzeczywiście jest, dowodzi ten prosty fakt, że jeżeli się jej wtedy poddaje suggestye różnych obrazów lub wyrazów, to jedne odrzuca stanowczo, inne z wahaniem a inne przyjmuje jako prawdziwe. Widocznie istnieje jakiś

[1] Tom pierwszy wyszedł osobno w r. 1910.

związek pomiędzy danem wyobrażeniem a poszczególnem uczuciem, to ostatnie zajmuje jego miejsce, jako „czucie rodzajowe" i jest jego „równoważnikiem wzruszeniowym", który „przy wzmocnionej intenzywności i przy zwróceniu się uwagi" w jego kierunku, równoważy dla myśli naszej z temże wyobrażeniem. Ponadto — jak widzieliśmy — czucie to nie jest obojętne, ale stawia opór; ten „opór zapomnianego", jak doświadczenie wykazuje, prawie zawsze jest „pozytywnym", to jest sprzeciwia się podstawieniu fałszywych wyobrażeń, a tylko wyjątkowo, n. p. jeżeli spostrzeganie obrazu połączone było z wielkiemi przeszkodami i roztargnieniami, bywa „negatywny", to jest opiera się poddaniu prawdziwych wyobrażeń.

Pomijam tu cały szereg badań, myśli i wniosków, które w szczupłych ramach recenzyi przerwałyby tylko nić właściwej rzeczy i sprawiły zamieszanie, a przechodzę do ostatniej części rozprawy. Jeżeli każdy fakt, przechodzący przez świadomość, zostawia w niej swe „czucie rodzajowe", które w nas trwa, to znajdujemy się nieustannie wobec całej „masy zapomnianego", w której jednak poszczególne równoważniki uczuciowe zachowują swą odrębność. Zachodzić tu może pytanie, w jakim stosunku znajduje się ta „masa" czuć do naszej świadomości aktualnej. Przedewszystkiem zauważyć należy, że stoi ona jako jedna całość przed nami, ponieważ wszelkie „zróżniczkowanie" wychodziłoby już poza sferę uczucia, na które jedynie tu się ograniczamy; o rozróżnieniu mówić możemy dopiero wtedy, gdy „zaczyna działać myśl" i gdy na „masę zapomnianego" patrzymy nie jako na uczucie, ale jako na „potencyały myślowe". Współcześnie zaś wyraża się tak wielka ilość równoważników uczuciowych w tak zwanej „barwie wzruszeniowej"; stanowią ją „czucia rodzajowe", nagromadzone w naszej świadomości i służące za „tło", na którem przedstawia się nam dane wyobrażenie, aktualnie świadome. Dodać możemy, że w doświadczeniu naszem wewnętrznem cała „masa zapomnianego" jest „tem samem, co znamy pod nazwą cenestezyi, czyli czucia siebie".

Wreszcie przystępuje autor do spełnienia zapowiedzianego zadania. Nowość jego „teoryi pamięci" polega na tem, że uwzględnia szczególnie podświadomą stronę pamięci czyli kryptomnezyę. Pamięć składa się więc z dwóch części; pierwsza z nich to powszechnie znana pamięć „czynna, ujawniona", której zadaniem jest „postrzeganie czuć rodzajowych bezimiennych", zawartych w drugim głównym rodzaju pamięci „utajonej, biernej", czyli kryptomnezyi lub pod-

świadomości. Ta obejmuje trzy „postacie wspominania wzruszeniowego". Pierwsza, to odczuwanie „indywidualności" czyli pamięć utajona, będąca „odczuwaniem nieokreślonem całej „masy zapomnianego"; druga postać, to „wspominanie nastrojowe" czyli „wyczuwanie rodzajowe pewnej grupy faktów zapomnianych"; ostatnia wreszcie, to „wyczuwanie rodzajowe pojedynczego faktu zapomnianego".

Pomijając terminologię, którą wytykała już inna recenzya dzieł autora [1], właściwa nić myśli przeprowadzoną jest wcale ściśle i konsekwentnie, jakkolwiek powiązanie poszczególnych rozdziałów dość jest nieraz luźne, a podział mało przejrzysty, tak, że czytelnik sam dopiero wytworzyć sobie musi należny ciąg rzeczy. Podając pracę specyalną nad działem, który „w psychologii normalnej stanowi dziedzinę prawie zupełnie nieznaną", powinien autor trzymać się ściśle wyznaczonego tematu, a wszelkie poboczne myśli i kwestye zestawić zupełnie osobno i zaznaczyć je jako poboczne; tem bardziej, że poruszone tam są myśli zbyt liczne i zbyt obszerne, jak na pracę, która dopiero wprowadzić ma nas w zakres nowych badań. Również uderza od czasu do czasu brak ścisłości wyrażeń albo używanie nazw, których stosowności trudnoby uzasadnić. W podawaniu twierdzeń razi też zbyt absolutna i definitywna pewność, która powinna być, zdaje się, bardziej umiarkowaną, zarówno ze względu na doświadczalny charakter całej pracy, jak i dlatego, że przytoczone fakta nie wykluczają bezwzględnie możliwości wyprowadzenia częściowo przynajmniej innych wniosków.

Druga broszurka jest sprawozdaniem z prac osobistych, które zmierzają do wyświetlenia jednej z najbardziej zagadkowych nauk okkultystycznych. Opierając się na podstawach powyżej podanych, przeciwstawia autor właściwej telepatyi inną doświadczalną i przez wyjaśnienie tejże przyczynić się chce do rozwiązania niedostępnej dotąd zagadki.

Rzecz cała dzieli się na dwie główne części, z których pierwsza tylko, to jest psychologiczna strona zjawiska, stanowi właściwy temat tej pracy. Wychodząc z założenia, że zawartość świadoma zjawisk telepatycznych nie wychodzi poza granicę stanów, znajdujących się w świadomości odbierającego osobnika, usiłuje autor przez odpo-

[1] *Przegląd Powszechny*, tom LXXIX, str. 258.

wiednie działanie wywołać u danej osoby na próg świadomości tę rzecz, o której sam myśli. Tylko, że środkiem do celu nie jest, jak przy badaniach pamięci, poddawanie zapomocą słów lub obrazów, ale specyalna suggestya, polegająca na intenzywnem skupieniu uwagi i na dotknięciu odbiorcy, przy zachowaniu odpowiednich przepisów.

W ten sposób przeprowadzone i zestawione doświadczenia skłaniają większością dodatnich wyników do wniosku, że rozpoznanie przez odbiorcę danego pojęcia równoważy się prawie z rozpoznawaniem rzeczy zapomnianej. Tylko, że charakterystyczną cechą tego zjawiska jest tak zwane „piętno telepatyczne", określone jako czucie rodzajowe tego wyobrażenia konkretnego, które znajduje się w suggestyi. Piętno to dołącza się do słowa poddawanego myślą, a przechodząc do odbiorcy sprawia, że słowo przedtem nie aktualnie świadome albo zaprzeczane staje się wspomnieniem umiejscowionem. Wobec tego, że działanie telepatyczne przypomina nam pod wielu względami analogiczne zjawiska z dziedziny kryptomnezyi, wyprowadza autor ostateczny wniosek, że proces telepatyczny w istocie swej psychologicznej jest procesem kryptomnezyjnym; cała różnica polega tylko na sposobie tworzenia się „zapomnianego".

Dodatkowo tylko porusza autor fizyologiczną stronę zjawiska i rozstrzyga ją teoretycznie w ten sposób: ponieważ suggestya telepatyczna zjawia się u odbiorcy w postaci czucia rodzajowego rzeczy zapomnianej, więc wpływ telepatyczny działać musi na tę stronę organizmu odbiorcy, która jest siedliskiem „zapomnianego"; tem zaś jest cenestezya, „czucie siebie samego", a ze strony fizyologicznej odpowiadają jej pewne funkcye organizmu, zwłaszcza oddychania, krążenia i trawienia.

Czy i o ile badania te przyczynią się do wyjaśnienia właściwej telepatyi, nie wiemy, zarówno ze względu na ogromną różnicę, jaka zachodzi między zjawiskami tejże a doświadczalnej, jak i dlatego, że badania te operują siłami, które w obecnym stanie wiedzy pozostają dla nas zagadką; również strona doświadczalna objąć by powinna większy zakres tak osób jak badań. Nie mniej jednak uznać musimy pracę tę jako próbę na drodze do rozwiązania kwestyi.

St. Podoleński.

Z epoki Mickiewicza. *Władysław Bełza.* Lwów, 1911. Nakładem księgarni H. Altenberga. 8-ka; kt. nlb. 2, str. 166, kt. nlb. 1.

Zasłużony autor rozlicznych prac z zakresu historyi literatury, zajmował się p. Bełza od szeregu lat z szczególniejszem zamiłowaniem Mickiewiczianami, i to przeważnie takiemi, na które mało kto uważał za stosowne zwrócić uwagę lub też nie zwracał jej wcale. Dzięki rozgałęzionym stosunkom towarzyskim, powiodło się p. Bełzie zdobyć niejednokrotnie wyznania osób, które z Mickiewiczem łączyła znajomość, oraz oświetlić fakta, częstokroć drobne, ale ważne bodaj ze względu na potężniejący nieustannie kult Mickiewiczowski, zarówno w nauce, jak też w najszerszych warstwach narodu.

Szkice te w liczbie dwunastu oraz cztery wiersze okolicznościowe były dawniej drukowane na szpaltach czasopism peryodycznych. Dobrze tedy uczyniono, że obecnie zebrano je w jedną wiązankę, jako że częstokroć dostęp do tych wydawnictw, w których po raz pierwszy ukazywały się prace p. Bełzy, bywał połączony z trudnościami, jakich bliżej objaśniać chyba niema potrzeby. Co więcej — wartość ich nie do pośledniejszych należała.

Za najważniejszą zasługę szan. autora uważamy skrzętne prostowanie przez niego faktów nieścisłych lub wręcz zmyślonych, jakich namnożyło się z biegiem lat sporo około postaci Mickiewicza. Klasycznym tego przykładem *Król Hieronim w Nowogródku*, któremu fantazya Odyńca kazała stanąć kwaterą w roku 1812 w domu rodziców Mickiewicza. Tymczasem po bliższem zbadaniu sprawy okazało się, że król westfalski w pochodzie na Moskwę, zamieszkał w pałacu po-Radziwiłłowskim, a zatem wszystkie fantazye Odyńca na temat wrażenia, jakie pobyt osoby królewskiej miał wywrzeć na młodocianym umyśle Mickiewicza, odpaść muszą same przez się.

W *Notatce o Bürgerze* wydobyto z zapomnienia krótki artykulik Mickiewicza o życiu i pismach autora *Lenory*, drukowany w *Dzienniku wileńskim* z r. 1822.

Powrót Taty znowu — to nader trafna hipoteza powstania ballady Mickiewiczowskiej. Jak wiadomo — charakterystycznym rysem poety od lat młodzieńczych począwszy było ogromne umiłowanie dzieci. Wszak w Paryżu, sam podówczas znajdując się w przykrem położeniu materyalnem, przygarnął do swego domu koleżkę syna, małego Egipcyanina i traktował go, jako siódme swoje dziecko. A nie należy też zapominać, że wpływ wspomnień własnego dzieciństwa poety odbił się wyraźnie na znacznej części jego utworów.

To też dlatego może niemały interes budzi *Powrót Taty*, jako ballada napisana w tonie wierszy dla dzieci, nieprzekraczająca ani na chwilę granicy nakreślonej dla tego rodzaju utworów i mająca wyłącznie cel pedagogiczny na oku. Jest to jedyny w zbiorze pism Mickiewicza wiersz, odznaczający się tą wybitną i odrębną od innych cechą. Jak wiadomo od września 1819 roku mieszkał poeta przez dwa lata w Kownie, gdzie zaprzyjaźnił się z domem państwa Kowalskich. Głowa domu p. Józef Kowalski cieszył się wielką wziętością w mieście i w okolicy, jako lekarz. Państwo Kowalscy mieli kilkoro dzieci, z których dwie zwłaszcza dziewczynki polubiły serdecznie poetę. Słusznie tedy wywnioskował p. Bełza, że dzieci musiały nieraz molestować poetę o jaką bajkę, a on napisał dla nich *Powrót Taty*, do której to ballady myśl mogły nasunąć Mickiewiczowi częste wycieczki doktora Kowalskiego poza rogatki miejskie i wzbudzone niemi obawy dzieci, jeśli ojciec na oznaczony czas nie wracał do domu.

Najobszerniejszy ze wszystkich szkiców został poświęcony *Maryli*, która w szeregu ideałów niewieścich poetów naszych uzyskała największą popularność, jaką nie może poszczycić się ani Beatryce Krasińskiego, ani Ludka Słowackiego. Nikt też z jego współzawodników na polskim Parnasie, mimo niewątpliwą chęć unieśmiertelnienia swoich bóstw ziemskich, nie zdołał przyoblec ich w bardziej trwałe i bardziej promienne blaski, jak Mickiewicz swoją Marylę. Począwszy od skromnego *Pierwiosnka*, co zakwitł w jego sercu dla *Niebieskiej Marylki*, aż do jęku rozpaczy w czwartej części *Dziadów*, wznosi się ona na skrzydłach poety ku gwiezdnym wyżynom. Żaden muzyk nie uderzał w tyle strun czułości i grozy na oddanie miotającego nim uczucia; żaden malarz nie zgromadził tylu kontrastów światła i cienia na wywołanie obrazu noszonego w duszy, ile poeta użył dźwięków słowa i barw fantazyi na odtworzenie swego ideału. Z czarodziejską siłą poety i kochanka zaklął postać Maryli w nieśmiertelne rymy, że dość przejrzeć się w ich brylantowej kaskadzie, aby z nich, jak z wód Świtezi, wyłoniła się oczom naszym ta rusałka litewska. Ale ani wszechwładztwo wdzięków, ani naczelne miejsce, jakie zajęła w myślach Adama, nie nadawałyby jej jeszcze prawa do szczególniejszej naszej uwagi, gdyby nie wyjątkowy wpływ, jaki wywarła na losy Mickiewicza, gdyby nie ta okoliczność, że właśnie miłość ku niej rozżarzyła w nim święty płomień poezyi. Było w Maryli coś niezwykłego widocznie, skoro nawet w latach dojrzalszych, wśród tylu burz i przygód życiowych, nie stracił poeta z oczu jej drogiego obrazu i tęsknym

wzrokiem szukał wszędzie tej, dla której miłość ozłociła mu pierwsze zaranie młodości. Miłość, która zaczęła się pogodnie i wiosennie od kwiatu pierwiosnka, owiana tchnieniem najwznioślejszej poezyi, czysta i promieniejąca, jak brylant, rozgrzmiała w burzach i gromach nad głową poety. Dwa młode, szlachetne serca uderzały przez chwilę zgodnem tętnem, a po krótkiem upojeniu twarda rzeczywistość stargała łączące je węzły i na zawsze odtrąciła od siebie.

Krakowska edycya Konrada Wallenroda — to nader ważny przyczynek bibliograficzny. Edycya ta, nadzwyczaj rzadka i przez bibliomanów poszukiwana, była dziełem tajnego kółka młodzieży uniwersyteckiej krakowskiej z r. 1828, które zajmowało się nie tyle konspiracyą, ile samokształceniem oraz popieraniem materyalnem niezamożnych kolegów. Historya cała da ująć się w następujące słowa: jeden ze stowarzyszonych — znany Mieczysław Darowski, otrzymał przypadkowo wydanie petersburskie *Wallenroda*, natenczas zakazane w zaborze austryackim. Postanowiono tedy, celem uprzystępnienia poematu szerszym warstwom, przedrukować go, na który to interes pożyczono u usłużnego faktora studenckiego 150 złotych polskich, a do tygodnia przedruk był skończony. Miano wprawdzie trochę kłopotu z ocenzurowaniem poematu, ale argument że *Wallenrod* wyszedł pod cenzurą petersburską, okazał się skuteczny. W ciągu dni trzech cała edycya z 500 egzemplarzy została rozchwytana. Po wyjściu poematu Darowski nie omieszkał przesłać egzemplarza Mickiewiczowi z listem pełnym entuzyastycznego uwielbienia. Jakże bolesny był zawód, skoro Mickiewicz odpisał z wyrzutami o naruszenie prawa autorskiego. Jak niepyszny, ściągnął Darowski ile się dało egzemplarzy i odesłał je Mickiewiczowi. Wydanie to jest obecnie tak rzadkie, że nie wszystkie nasze biblioteki publiczne mogą się niem poszczycić.

W szkicu p. n. *Brat poety*, opartym na relacyi listownej hr. Adama Grabowskiego, dowiadujemy się nieco o bracie najstarszym Adama — panu Franciszku, oraz o Wincentym Polu, który spotkał się po raz pierwszy z Mickiewiczem nie w Dreźnie, ale w Łukowie w W. Księstwie Poznańskiem.

Kartka Goethego znowu prostuje informacyę Odyńca z *Listów podróży*, jakoby Goethe ofiarował Mickiewiczowi w Weimarze swój autograf. P. Bełza udowodnił bowiem, że kartka ta była drukowana, jakich setki rozdzielał Goethe pomiędzy swoich przyjaciół i znajomych, a jedynie podpis na niej był własnoręczny.

Artykulik p. n. *Z pobytu Mickiewicza w Dreźnie* cenny jest ze względu na przytoczony *in extenso* list Adolfa Malczewskiego, podający drobne szczegóły, tyczące się stosunków jego z Mickiewiczem które zasługiwały w zupełności na uratowanie ich od utonięcia w zapomnieniu.

Rzecz p. n. *Mickiewicz kompozytorem* oparta została na opowiadaniu Alojzego Niewiarowicza. Podaje ona szczegóły o kompozycyi własnej Mickiewicza do słów tak znanego utworu *Słowiczku mój...* oraz o jej edycyach i produkcyach.

Notatki p. n. *Celina Mickiewiczowa* i *Mickiewicz na polowaniu* są zbyt okolicznościowe, ażeby je na tem miejscu streszczać wypadało. Artykuł wreszcie p. t. *Zgon Mickiewicza* podaje parę nieznanych szczegółów na podstawie listu Karola Brzozowskiego.

Książkę kończą cztery utwory okolicznościowe, objęte wspólnym tytułem *Ku czci Mickiewicza*, górne natchnieniem i umiłowaniem ideałów Adamowych.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Z piśmiennictw obcych.

Ein Jahrtausend lateinischer Hymnendichtung. Eine Blütenlese aus den Analecta Hymnica mit literarhistorialen Erläuterungen von *Guido Maria Dreves, Dr. Theol.* Nach des Verfassers Ableben reviediert von Clemens Blume S. J. Leipzig, O. R. Reisland, 1909. (2 t. XII+490 i VIII+514; cena obu tomów 18 m.)

W r. 1885 polecił ówczesny przełożony niemieckiej prowincyi Towarzystwa Jezusowego księdzu Guido Maria Dreves, żeby się zajął historyą chrześcijańskiej hymnodyi łacińskiej. Ks Dreves zabrał się z zapałem do tej pracy; przekonał się jednak wkrótce, że mu brak wszelkich studyów wstępnych, potrzebnych do tego rodzaju dzieła. Mający pisać historyę hymnów, musi te hymny mieć przed sobą, musi je badać ze względu na ich treść, czas powstania i ich autorów. Na takiej podstawie można dopiero przystąpić do pisania historyi hymnodyi. Najpierw więc potrzeba było z licznych rękopisów, ukrytych po bibliotekach Europy, wydobyć ten obfity a wówczas jeszcze nieznany skarb łacińskich hymnów chrześcijańskich. Przełożeni zakonu dostarczyli w sposób iście wspaniałomyślny

środków na to, żeby zwiedzać różne publiczne i prywatne biblioteki. Atoli dla zbadania przynajmniej ważniejszych rękopisów nie wystarczyły siły jednego człowieka. Dlatego otrzymał ks. Dreves w r. 1895 współpracownika w osobie ks. Klemensa Blume T. J. Dotychczasowe rezultaty tych pilnych poszukiwań obu uczonych, złożone są w tem olbrzymiem i wiekopomnem dziele p. t. *Analecta Hymnica!* [1] Zbiór ten jest jednak zbyt obszerny, wskutek tego tylko dla bardzo niewielu dostępny. Raz po raz objawiano więc głośne i natarczywe życzenie, żeby z tego obfitego materyału wybrać najlepsze hymny i uczynić je przystępnymi także dla szerszych kół. Ks. Dreves podjął się tej pracy. Atoli temu niezmordowanemu i o hymnologię chrześcijańską wielce zasłużonemu pracownikowi nie było danem, żeby to dzieło ukończyć i oddać je publiczności. 20 maja 1909 r. otrzymał ks. Dreves do korekty 21 arkusz pierwszego tomu; na marginesie tego arkusza dodał krótki szkic życia hymnody i opata Cystersów Arnulfa z Villers, oraz kilka ważniejszych jego hymnów. Był to ostatni arkusz, który ks. Dreves poprawił, ostatnie zaś dwie zwrotki hymnu wspomnianego opata dodane na marginesie korekty były:

1. Dum me mori est necesse, [2] —
Noli mihi tunc deesse;
In tremenda mortis hora

[1] *Analecta Hymnica*, Leipzig, O. R. Reisland. Jest to zbiór chrześcijańskich hymnów łacińskich. W r. 1885 rozpoczął ks. Dreves wydawanie tych hymnów; od r. 1896 pomagał mu w tem ks. Klemens Blume S. J. Kiedy zaś ks. Dreves opuścił w r. 1905 zakon, ks. Blume sam prowadzi dalej rozpoczęte dzieło. Dziś wyszło już 50 tomów. Po wydaniu możliwie wszystkich ważniejszych hymnów łacińskich przystąpi ks. Blume do pisania historyi hymnodyi łacińskiej. Analecta Hymnica znajdują dziś uznanie w całym świecie uczonym; stoją obok innych ważnych przedsiębiorstw naukowych w obozie katolickim; ks. Blume zaś uważany jest w całym świecie za najlepszego znawcę chrześcijańskiej hymnodyi łacińskiej. Cieszyć się trzeba z tego, że ten tak ważny objaw życia religijnego wzbudził w obozie katolickim zainteresowanie i doczekał się gruntownego opracowania. Ale z drugiej strony wielka szkoda, że dotychczas nie zwrócono uwagi na hymnodyę grecką, tę starszą siostrę hymnodyi łacińskiej. A jednak, ile światła rzuciłby mogło głębsze zajęcie się hymnodyą grecką na wewnętrzny rozwój chrześcijańskiego życia na wschodzie! Oczywiście wydawnictwo takie wymagałoby wielkiego nakładu, jednakowoż czas wielki, żeby katolicy zabrali się do dzieła, nie pozostawiając tego pola innym, którzy nie znając ducha katolickiego zabarwiają rezultaty swoich badań duchem stronniczym. Pewne próby prac w tym kierunku już się pokazały, oczywiście z oświetleniem dla katolików wrogiem.

[2] *Ein Jahrtausend*, I. pg. 327.

Veni Jesu sine mora,
Tuere me et libera.
2. Cum me iubes emigrare
Jesu care tunc appare;
O amator amplectende
Temet ipsum tunc ostende
In cruce salutifera.

Ktoby to był przypuścił, że to *mori necesse* tak prędko miało nastąpić, że ta rzewna prośba do P. Jezusa w tak krótkim czasie miała mieć swoje spełnienie. Zachorowawszy nagle na zapalenie płuc zakończył ks. Dreves, hymnolog i poeta, swoje doczesne życie w sile wieku (mając 55 lat życia) 1 czerwca 1909 r. Dzieło było skończone w rękopisie; połowa pierwszego tomu już była pod prasą. Trzeba było jednak wiele jeszcze uzupełnić, wygładzić, dodać i zmienić. Z obowiązku długoletniego współpracownika przyjął ks. Klemens Blume S. J. na siebie ten obowiązek, poddał całą pracę jeszcze raz dokładnej, sumiennej rewizyi i oddał publiczności. Wybrane hymny są w ten sposób na dwa tomy rozłożone, że w pierwszym znajdują się w chronologicznym porządku hymny znanych autorów (na pierwszem miejscu stoi św. Hilary, biskup z Poitiers † 366), z krótkiemi biograficznemi i bibliograficznemi uwagami; zaś drugi tom zawiera hymny nieznanych hymnodów, ułożone według kalendarza kościelnego. Dzięki akrybii ks. Blume, dodane są trzy dokładne spisy, które używanie tej antologii znacznie ułatwiają. Każda tego rodzaju antologia ma mniej albo więcej indywidualny charakter; wybór hymnów zależy tu od smaku i sądu tego, który taką antologię układa. Tak też i w tem dziele: niejeden znawca chrześcijańskich hymnów łacińskich może żałować, że ten lub ów hymn został opuszczony, inny znowu może mniej ważny został wybrany. Szczególnie przykre wrażenie robi zupełne pominięcie Grzegorza Wielkiego. Dreves twierdzi, że nie znajdujemy ani jednego dowodu na to, żeby papież Grzegorz Wielki pisał hymny; że to twierdzenie ks. Drevesa jest mylnem, pokazał jasno ks. Blume. W ogólności jednak trzeba przyznać, że wybór uczyniony jest zgrabnie i ze zrozumieniem rzeczy. Antologia ta jest bardzo odpowiednia, żeby zoryentować czytelnika w chrześcijańskich hymnach łacińskich, przedewszystkiem zaś może to dzieło służyć klerykom i kapłanom, żeby się więcej zapoznali ze skarbami tej poezyi, z której liturgia kościelna tak piękne i drogie kamienie wybrała dla własnego użytku i w której niespożyte prawdy chrześcijańskie tak trafny znalazły wyraz. *Ks. Karol Ranoszek.*

Le métier de roi. *P. Colette Yver.*

Bardzo znamienną jest powieść p. Collete Yver, autorki znakomitych *Princesses de sùeme*, *Comment s'en vont les reines* i t. d. Tym razem p. Yver opisała pod tytułem *Le métier de roi* walkę między utopiami humanitarno-socyalistycznemi, a twardą rzeczywistością, wymagającą dla dobra ogółu utrzymania społecznego porządku. Jako ramę dla obrazu wymyśliła kraj nadmorski, rolniczy i górniczy i ochrzciła go mianem — Litwy. Dla nas, dla których „Litwa jest jak zdrowie", imię to, użyte jakoby dla żartu na pokrywkę nieistniejącego królestwa, czyni niemal bolesne wrażenie. Autorka jednak działała widocznie bez złych intencyi, a Litwa, jaką opisuje, przypomina krom śniegów, raczej Belgię, ale Belgię potężną i wielką, kraj zarówno przemysłowy jak rolniczy, do niedawna absolutnie rządzony przez wielkiego króla Wacława. Za jego panowania już nastąpiły pierwsze wybuchy nowych prądów, nurtujących ludność robotniczą, ale żelazna dłoń monarchy stłumiła je szybko, a patryarcha ruchu, stary marzyciel Kozor, zakończył życie w kolonii karnej nad Pacyfikiem. Po Wacławie młody król Wolfran V. ogłosił konstytucyę. O tym Wolfranie, a raczej o pewnej epoce jego młodości, krążyły niejasne wieści. Wtajemniczeni — a było ich mało — wiedzieli, iż ognisty a niedoświadczony dał się był omamić pięknemi hasłami przewrotu, chodził w przebraniu na odczyty Kozora z postanowieniem abdykowania i ogłoszenia republiki, gdy dlań godzina królewskości wybije. Król Wacław jednak czuwał i w chwili krytycznej, przed samą obławą na spiskowców, następca tronu został wezwany przed ojca i po gwałtownych scenach zaprowadzony na statek dla odbycia podróży naokoło świata. Królewicz wszakże nie prędko ochłonął. Z sercem jeszcze pełnem goryczy przybył do Indyi, gdzie spotkał podróżującego również Roberta księcia Oldany z królewskiego rodu „Irlandyi". Ów książę Robert (nie wiedzieć czemu w powieści zwany jest wciąż zdrobniale a niestosownie „Bertie") o kilka lat od niego młodszy, niezbyt pokaźny, a drobny jest wręcz przeciwstawieniem Wolfrana. Z blado błękitnych jego oczu świeci rozum męża stanu, potężny a chłodny, rozum poparty niezłomną wolą, słowem duch stworzony do nadania całym narodom obranego przez siebie kierunku. Między dwoma królewiczami zawiązuje się wkrótce przyjaźń na zobopólnym szacunku oparta i powoli w Wolfranie dokonywa się zmiana, której dopełnia wstąpienie na tron i dotknięcie się twardej rzeczywistości

rządów. A rządy te są trudne, bo śmierć Kozora nie zabiła zarzewia rewolucyi, nie zabiła zawiązanej przezeń „Unii", związku robotniczego, podżeganego przez kilku zapaleńców i zwykłe żywioły malkontentów różnego stanu. Tym oczywiście konstytucya wystarczyć nie może, bo jedni śnią o anarchii, a inni o utopijnej epoce rajskiej równości i pomyślności dla wszystkich. Do tych ostatnich należy synowiec patryarchy „Unii" Izmael Kozor (w opinii bardzo patrzy na Żyda) także marzyciel, zapaleniec, prawie monoman, nie widzący nic poza nienawiścią dla rządzących a tem, co mieni być szczęściem ludu, pracujący równie zawzięcie jak daremnie nad chemicznym wyrobem złota z myślą, że gdy go potokami wyleje na świat, bogactwo możnych straci swą wartość i nastąpi ogólne zrównanie! Obok niego atoli pracuje również w nauce chemii przybrana córka starego Kozora, piękna Klara Hersberg, przewyższająca go o całe niebo zdolnością i rozumem. Czyją jest córką? nie wie nikt. Wiadomo tylko, że śliczna, wytwornie odziana dama przybyła raz do kobiecego szpitala i tego dnia nie podawszy żadnego nazwiska umarła, wydając na świat córeczkę. Stary filozof-rewolucyonista ujął się sieroty, wychował ją, wyuczył i przed wyjazdem na wygnanie pobłogosławił, jako przyszłą małżonkę Ismaela. Klarze jednak nie pilno do małżeństwa. Ismaela kocha jak brata, kocha wszystkie ideały wskazane jej od dzieciństwa, dusza jej wszakże pragnie jeszcze wolności, umysł tonie w tajnikach wiedzy. Ismael uprawia alchemię, a ona chemię prawdziwą i dochodzi w niej do wyżyn dotąd nieznanych. Jest członkiem i profesorem akademii w Oldburgu, cały świat stolicy spieszy na jej wykłady oglądać *thermium*, nowe ciało organiczne, przez nią odkryte. (Czytelnik mimowoli myśli o *radium* i o p. Skłodowskiej, ale to nie wadzi w powieści).

Przy jednem z owych posiedzeń, stanowiącem pierwszy rozdział powieści, Klara Hersberg zauważyła w pierwszym rzędzie słuchaczy przystojnego mężczyznę o wyrazistych rysach i bladą jasnowłosą panienkę. Oboje widocznie zaciekawieni wykładem, zamienili z nią kilka słów. Gdy zaś opuściła salę, jeden z jej pomocników oznajmił jej z podnieceniem: „Wie Pani? To był król i arcyksiężniczka!" Król? Co znaczyło to miano dla Klary, wychowanej w pośród spiskowców! Toż w tym wyrazie sumowała się cała ohyda samowoli, ucisku, nędzy ludzi i nienawiści nędznych a uciskanych? Tylko, że Klara nie nienawidziła nikogo — rząd jako taki był jej wstrętnym, ale nie przedstawiał w jej myśli osobistości oddzielnych. Wierzyła

że kiedyś zniknie, wierzyła w obiecywane przez starego Kozora szczęście zrównanej ludzkości. Nie zdumiała się ani otrząsła, gdy w parę dni później odebrała z królewskiego dworu propozycyę zamieszkania na zamku i udzielania lekcyi chemii arcyksiężniczce Wandzie, przy zupełnej swobodzie prowadzenia nadal swych prac w Akademii. Pierwszym jej odruchem była odmowa — uległa jednak zdaniu Ismaela Kozora, który acz wiedział, że się na szpiega użyć nie da, rad był przecież, jak mówił, mieć kogoś swojego w twierdzy nieprzyjacielskiej, w samem centrum monarchizmu. Klarę ze swojej strony kusiła perspektywa stawienia czoła „wrogom ludu" i walki z „potęgą tyrańskwa". Zdziwiła się zatem, gdy przybywszy na zamek, gdzie ją przyjął sztywny ochmistrz Dworu i zapytawszy go, czy się będzie mogła rozmówić z królem, otrzymała zgorszoną odpowiedź, iż w tych dniach nie będzie łatwo otrzymać audyencyi u Jego Królewskiej Mości. Za to Arcyksiężniczka przyjęła ją od razu. Słabowita, skazana na częstą samotność i leżenie, ucieszyła się z nowej nauczycielki, której wdzięk osobisty nie ustępował światowej sławie. Klara zachowywała się z wielką prostotą, nie olśniona pięknościami iście czarodziejskiego zamku, którego wieże, wieżyczki, terasy i balkony wydawały jej się do niedawna fantastycznem urągowiskiem nędzy maluczkich, patrzących nań z poza krat wielkiego dziedzińca. Wkrótce nawet oswoiła się i rozgospodarowała się w obszernem laboratoryum, urządzonem dla niej z dawnej malarskiej pracowni króla. Rodzinę królewską poznała na poufnej herbatce u królowej, wesołej, tęgiej Włoszki, lubiącej nad wyraz płatać nieraz złośliwe figle księciu marszałkowi koronnemu, staremu olbrzymowi, surowemu przedstawicielowi absolutystycznych tradycyi, filarowi podtrzymującemu tron od dwóch pokoleń. Człowiek ten stojący nieraz gwałtownie w poprzek planów królewskich, narzucający swe zdanie i swą siłę odporną, stał przed młodym monarchą, jak rekrut przed wodzem i byłby się pod kopyta jego koni położył, gdyby tem mógł dodać iskierkę do blasku korony. Blado obok niego rysowała się postać księcia Roberta, nie piastującego na zewnątrz w „Litwie" żadnej godności, a w istocie rządzącego krajem na wspól z Wolfranem. Dość jednak było raz się spotkać z jego wejrzeniem, by dostrzedz, że ten niepozorny człowiek góruje tu nad wszystkimi — prócz króla. Ten zwykle przychodził późno na wieczorki królowej, przychodził zmęczony, rad, że może wytchnąć od spraw publicznych, ale promienny inteligencyą i siłą. Do Klary zbliżył się uprzejmie, z równą

jak i ona prostotą, a pomimo to otoczony jakimś majestatem, jakąś glorią, z której ta republikanka zdawała sobie sprawę, nie pojmując, co ich źródłem być może. Prócz tych do rodziny królewskiej należał jeszcze książę Geo, stryjeczny brat króla, smukły, piękny, uroczy, pełen poezyi, artyzmu i miłości do arcyksiężniczki. Oboje ci młodzi kochali się tak serdecznie, tak silnie i szczerze, iż Klara, której życie dotąd okazało było tylko swą stronę surową, stawała zdumiona i rozrzewniona, jakoby na widok nieznanej piękności. Była to wszakże miłość smutna i bez nadziei, jak sama Wanda przyznała jej, gdy się ich stosunki zbliżyły. Przyszły mąż królewny miał *de facto* stać się kierownikiem nawy państwowej, a Wolfran nie chciał steru powierzyć pięknym a słabym dłoniom kuzyna. W myśli już oddał go był w dłoń swego współpracownika, tego księcia Roberta, który niegdyś „nauczył go być królem" i który wspólnie zaczęte dzieło zwycięzko zakończy. Tym dziełem zaś było podniesienie produkcyi Litwy, wydobycie z jej łona drzemiących w niem skarbów, uczynienie jej niezależną od zagranicy. Dzieło jednak łatwem nie było — należało przebrnąć lata przejściowe, lata drożyzny, spowodowanej zamknięciem granic przed obcym produktem. Po wsiach ludność rolnicza radowała się, po miastach zato szare mrowie proletaryatu fabrycznego cierpiało i szemrało głucho. Anarchistyczny związek „Unii" pchał do strajku, nie pozwalając biedakom korzystać z wielkich zapasów węgla, sprowadzonych na ich użytek przez rząd. Wkrótce Klara ujrzała się w trudnem położeniu między nędzą ludu, nad którą bolała, nienawistną działalnością dawnego swego otoczenia, a tą rodziną królewską, tym zamkiem, gdzie wszystko, co się działo, działo się dla narodu, tym królem, który kochał, jak ojciec, a umiał być nieubłaganym jak ojciec, gdy działa dla dobra swych dzieci. Wolfran V. przyciągnięty jej wielkim rozumem, postanowił był go pozyskać. Nieraz więc miała sposobność bez audyencyi „rozmówić się" z królem czy to w laboratoryum, czy nawet w gabinecie królewskim, gdy mu czasem parę chwil wolnych zbywało. Wtedy swobodnie i śmiało rzucała mu w twarz wszystkie rewolucyjne hasła i zarzuty, jakiemi ją od dziecińśtwa pojono, a on odpowiadał cierpliwie, zbijając niedorzeczności jednych, niesprawiedliwość drugich, zdmuchując jak bańki mydlane pustkę górnolotnych frazesów. Parękroć uniósł się i wybuchnął: „Żądasz pani, abym „poznał lud", abym „pokochał lud", ależ na miłość Boską czemże ja jestem, jeżeli nie sługą tego ludu, jego robem, niewolnikiem, jego katorżnikiem do śmierci?

Każdy robotnik ma swoje dni święta, ma swobodny spoczynek, jest wolny wśród przyjaciół i wpośród rodziny — a ja? czy mam swobodną chwilę, czy należę do mojej rodziny a ona do mnie? Nie! wszystko co mam, wszystko czem jestem, należy do mego narodu! A narodem tym jest nie tylko lud fabryczny, który Pani masz zawsze na myśli: jest i lud wiejski, są ziemianie, są więksi przemysłowcy — ja o dobro ich wszystkich dbać muszę. Teraz chciałem zapobiedz nędzy — kazałem sprowadzić węgiel, ale wasi przyjaciele nie pozwolili robotnikom go brać... bo „lud nie może przyjmować jałmużny"! I wolą, by ten lud w ciężkie mrozy nie miał przyczem warzyć strawy, by dzieci drżały i marły od zimna, bo to podnieca nienawiść! Wy chcecie, aby lud cierpiał, chcecie, aby nienawidził, bo przez to staje się w rękach waszych straszliwem narzędziem!"... Innym razem znów mówił: „Panią dziwi blask, jakim się otacza królewskość, gorszy cię wspaniałość zamków, świetność mundurów, pułki gwardyi, gromady orderowych dworzan, sam sposób, w jaki się mówi do króla, wydaje ci się rażącym"... A gdy Klara przerywając zapewniała szczerze, iż takiemu monarsze jak on winno się uszanowanie, dodawał z uśmiechem: „Choćby król był głupcem, taż sama cześć otaczać go winna. Należną jest bowiem koronie a nie człowiekowi, który ją nosi. Zresztą te zewnętrzne formy często bardzo dla nas uciążliwe, potrzebne są wobec tłumów. Toż i wy, anarchiści, stroicie się w blask wielkich haseł i głośnych frazesów, jakoby w płaszcz królewski dla olśnienia ludu — czy nie prawda?"... I Klara coraz bardziej podbita przeżuwała nocami słowa królewskie, a gmach jej liberalnych przekonań chwiał się i szczerbił.

Tymczasem zima wzmagała się. Rzeźbione kształty zamku i wieże katedry rysowały się cudnie na tle roziskrzonego śniegu i szafiru nieba, ale na przedmieściach wrzało, strajk zapanował ze swym orszakiem zawiści i nędzy, podsycany i utrzymywany przez „Unię". Klara Hersberg całą swą pensyę oddała dla głodnych. Ismaela Kozora widywała teraz rzadko, za każdym razem jednak, co piękna jej postać rozjaśniała ciemne, bezładne poddasze, gdzie ciągnął dalej nić swych szalonych marzeń i planów, uderzona była boleśnie wzrastającą egzaltacyą jego umysłu. Wobec chybionych poszukiwań za złotem widział już tylko na wszelką nędzę jeden ratunek — śmierć tyrana, po której miał sam z siebie nastąpić wiek złoty!

Pewnego dnia Wolfran powrócił na zamek z czołem skrwawionem, ugodzony przez kamień, rzucony na przedmieściu w okno auto-

mobilu. Wieczorem Klara ujrzała go z białą przepaską na skroni: był spokojny, uśmiechnięty wśród smutku i wzburzenia innych. Toż on był pewien, że zginie z królobójczej ręki, a gotów był każdego dnia, każdej chwili na czyhający cios. Jakżeż wielkim wydał się teraz Klarze, jak promiennym a niezrozumianym przez swoich wrogów! Nadszedł atoli dzień straszny. Z przedmieść tłum obdarty, głodny, zwarty w olbrzymie masy szedł przez stolicę w groźnym pochodzie, szedł pchając przed sobą kobiety i zgrają wyrostków. Na czele jakoby wódz szedł Ismael Kozor. Klara oniemiała i blada patrzała z okna laboratoryum, skąd napróżno usiłowała ją odciągnąć królewna. Widziała — czego tłum nie spostrzegał, że na tyłach jego połyskiwały bagnety, że dwie strony królewskiego placu, na który się wtłaczał, zajmowały w milczeniu szeregi konnicy. Przed kratami zamkowemi tłum zatrzymał się, z każdą chwilą wzmożony i zacieśniony przez przybywające z tyłu gromady i wnet rozległy się wołania. Głosy zrazu spokojne, potem coraz natarczywsze domagały się króla. „Niech król wyjdzie na balkon! Niech pomówi z ludem! Lud się chce królowi poskarżyć!" Drzwi balkonu jednak pozostały zamknięte, tylko po chwili na marmurowych stopniach przed bramą zamkową ukazał się w futrzanej opończy mężczyzna — główny szef policyi. Oświadczył, że król z tłumem mówić nie będzie, ale, że przyjmie natychmiast delegacyę z kilku członków wybranych przez lud. Po tych słowach nastąpiła chwila wahania, ale Ismael Kozor obrócił się i snać rzucił hasło odmowy, bo krzyki rozpoczęły się na nowo, tym razem przemienione w wycie i groźby i wrzask i zgiełk ogarnął kotłujące masy, spiżowe kraty zachwiały się pod naporem szarpiących je rąk, na zamek i na gwardzistów jęły padać kamienie. Nagle ozwał się huk pistoletu i w odpowiedzi krótka komenda, salwa muszkietów, potem powolny ale nieubłagany ruch konnicy, spędzający z trzech stron kłębiący się motłoch w jedyną, otwartem zostawioną ulicę. W pół godziny później plac zamkowy był pusty, prócz siedmnastu trupów krwawiących na bruku — w pośród nich przerażone oczy Klary dostrzegły młodziutką, jasnowłosą dziewczynę...

Zebrano zwłoki, plac z krwi omyto, w mieście zaległa cisza przygnębienia. Klarę jeszcze drgającą wzburzeniem wezwano do króla. Wolfran smutny był ale stanowczy. Zapytany, czemu w ten sposób przyjęto lud przychodzący z ufnością i prośbą jak dzieci do ojca, odparł, iż wpuszczenie tych dzieci do zamku znaczyło tyle, co rzeź i rabunek, że zresztą kierownicy „Unii" cieszą się wylaną dziś krwią,

która im za sztandar posłuży. Kierownicy ci atoli byli już w rękach policyi — wszyscy krom głównego prowodyra — Kozora. Temu, przez wzgląd na pannę Hersberg zostawionym był czas opuszczenia granic Litwy — na zawsze. Nie było chwili do stracenia. Wieczór zapadał, Klara uzbrojona w bilet szefa policyi wsiadła do dworskiego powozu i zajechała w ciemną uliczkę. Tu przed mieszkaniem anarchisty otoczył ją rój agentów, który jednak przed okazaną przepustką uchylił się z uszanowaniem. Klara wyszedłszy pociemku na 4-te piętro trzeszczących schodów, otwarła drzwi Izmaela. Wyglądał bardziej wychudły, bardziej bezładny i podniecony niż kiedykolwiek. Na widok Klary żółta twarz jego zajaśniała radością — o ratowaniu się przed aresztowaniem ani pomyślał. Gdy mu wyłożyła cel swego przyjścia, myślał, że chce z nim razem wyjechać, że ją nareszcie posiędzie, a wnet rozczarowany wzbraniał się ruszyć, tak iż Klara niemal przemocą wyciągnęła go z izby, przewiozła na dworzec i nocnym berlińskim pociągiem wyprawiła w świat zanim udzielona jej godzina zwłoki minęła.

Z uczuciem głębokiej ulgi wróciła na zamek. W głowie jej kotłowały myśli i wrażenia. W umyśle otwierały się nowe horyzonty, połyskiwały nowe błyski, wobec których polityczne ideały jej młodości przybierały inne formy, mniej mgliste, mniej fantastyczne od dawnych. Były to najboleśniejsze chwile, w czasie których chroniła się w kontemplacyi fotografii swego starego mistrza, w odczytywaniu zużytej książeczki, którą on — acz autora jej nie znał — uważał za katechizm „Unii", w uporczywem wmawianiu w siebie, iż zwrot, jaki czuła w sobie, polegał jedynie na sympatyi osobistej dla królewskiej rodziny. Królewna zwłaszcza potrzebowała jej przyjaźni w tych czasach. Dramat jej nieszczęśliwej miłości dochodził do krytycznego punktu. Książe Geo miał odjechać na daleką podróż morską, postawiony przez króla na czele ważnej bardzo misyi na Dalekim Wschodzie. Wiedział, że gdy powróci, zastanie Wandę małżonką swego rywala, że rozkaz króla oddala go na zawsze od niej i od tronu. Królowa, sympatyzująca z młodymi, pozwoliła mu na pociechę wykonać przed wyjazdem biust córki. Geo był zdolnym rzeźbiarzem, był pełnym uroku paladynem, ale to nie wystarcza, by umieć panować. Owe posiedzenia rzeźbiarskie rozdrażniły tylko serce obojga. Nadszedł dzień, w którym rozpacz ich wzięła górę nad czuciem obowiązku. Połączeni łzawwym uścisku postanowili zdeptać wszelkie przeszkody, wzgardzić koroną, uciec na krańce świata, unosząc swą miłość. Klara

ze łzami w oczach słuchała; naraz jednak opamiętawszy się co grozi postanowieniom króla, skoczyła do telefonu. Chwilę potem Wolfran spokojny a smutny ukazał się we drzwiach. Zakochani odpadli od siebie, milczący i drżący jakoby niezwalczona zapora pomiędzy nich się zwaliła. Król ozwał się bez gniewu: przemówił do uczuć lojalnej wierności księcia, do uczuć patryotycznych Wandy, która winna mu w dziele jego pomagać, i stało się, że młody książe odszedł, zostawiając na ręce królewny kroplę krwi z boleśnie zagryzionej wargi, a Wolfran tuląc córkę w objęciach płakał z nią razem bolem jej nawskroś zbolały. A republikanka i anarchistka Klara Hersberg patrzała na tę ofiarę serc ludzkich złożoną dla kraju i już się nawet przestała dziwować. Przestała również walczyć z urokiem majestatu, wywieranym na nią przez króla, nie zbuntowała się, gdy chwyciwszy w niej ukochaną przez starego Kozora książeczkę podarł ją i wrzucił do ognia. „Mam prawo to czynić!“ rzekł wtedy podnieconym głosem, a Klara uznała to prawo choć później dopiero miała się dowiedzieć, iż on sam w epoce swego młodocianego szału był anonimowym autorem tej książki. Dobrze jej było teraz w zamku, gdzie ją wszyscy otaczali dobrocią, gdzie genialny książę Robert przychodził do jej pracowni na dłuższe rozmowy, szukając zapewne przez nią drogi do serca królewny. Biedne to serce walczyło ze swoim bólem, ze swą utraconą miłością. Zapytana przez Klarę, czy książę Oldany ją kocha, odparła gorzko, iż on tylko władzę kochać potrafi. Nie unikała go wszakże i raz nawet chciała mu odkryć stan swej biednej duszy. Było to w piękny, jasny wieczór podczas pobytu dworu w letniej rezydencyi. Wanda kazała iść ze sobą Klarze i księciu wzdłuż brzegu wielkiego stawu, oblanego światłem księżyca. Doszedłszy na miejsce, gdzie głaz podłużny zwieszał się nad wodą, weszła nań i jęła mówić o sobie, o niższości swego umysłu, który w nim musi budzić pogardę, o uldze, jaką dla wszystkich byłoby jej zniknięcie ze świata. I uczyniła nagły, niespodziany ruch, wobec którego książę wyciągnął ku niej ręce, a wtedy ujrzała twarz jego zmienioną, przeobrażoną wzruszeniem, jakiego niktby się nie domyślał na tych zimnych licach. Więc królewna zstąpiła z głazu i wkrótce potem ogłoszono jej zaręczyny z księciem irlandzkim. Ci dwoje mieli na przyszłe pożycie wspólny cel, na którym mogli śmiało nadzieję poważnego szczęścia budować. Zaczęły się przysposobienia do ślubu — dziewczęta litewskie rozpoczęły robotę nad koronką cienką jak pajęczyna, mającą służyć za welon ślubny. Złotnicy nizali perły i oprawiali brylanty, tka-

cze jedwabi wykonywali wzorzyste opony i materye zdobne złotem i srebrem.

Przez ten czas jednakże rewolucyoniści jęli znów podnosić głowy, usiłując tym razem wciągnąć w swoje szeregi nie tylko lud robotniczy, ale i sfery intelektualne. Zaraza udzielała się uniwersytetom, redakcyom, pracowniom uczonych. Pewnego dnia Klara odebrała od Ismaela bilecik pisany ze stolicy, gdzie się u znajomego profesora ukrywał. Pierwszym jej odruchem było spieszyć doń, by go do wyjazdu nakłonić. Ismael prosił o jej przybycie; pojechała tedy i kazała powozowi dworskiemu stanąć u drzwi katedry, gdzie miała go spotkać. Gdy weszła kościół był pusty; Klara ogarnięta ciszą i powagą murów, w które od wieków wsiąkało tchnienie ludzkiej modlitwy, uczuła nagle ochotę uklęknąć także. Po raz pierwszy dziwiła się, że wśród nauk udzielanych jej w młodości nie było wzmianki o Bogu. W tej chwili jednak wyłoniła się z za węgła postać Ismaela i oboje wyszli bokiem na ciemną uliczkę. Rozmowa była gwałtowna. Ismael przybywał ze stanowczym zamiarem zabicia króla, a gdy Klara odepchnęła go z oburzeniem mówiąc, że nie chce znać mordercy, odparł jej słowem okrutnem: „Bo kochasz króla!“ Rozeszli się niepojednani, ale w duszy Klary zrobiło się jasno. Tak jest, kochała króla, ale król był w niebezpieczeństwie i musiała go zbawić! Musiała rozmówić się z nim sam na sam, iść zaś do niego nie było łatwo, a on obecnie bardzo zaprzątnięty rzadko do pracowni przychodził. Ostatnim razem przybył z księciem Robertem i wtedy ze słów ich poznała, iż rząd pragnie sprowokować spisek, by módz wśród malkontentów dokonać obławy. Niestety obecnie nie potrzeba było prowokacyi — zamiar królobójczy był gotów, ale wyjawiając go zdradzała całą swą przeszłość, zdradzała człowieka, któremu z wdzięczności zaręczyła była swą wiarę. Czas naglił, bo uroczystości zaślubin zbliżały się, a zamach miał być wśród nich dokonany. Więc Klara blada, znękana, z iskrzącemi oczami, przedarła się przed obecność królewską. Na jej pierwsze słowa jednak Wolfran uśmiechnął się: „Ależ wiem — odparł — Ismael wrócił, aby mnie zamordować, ale tym razem rzecz chybiona. Wiemy o każdym jego ruchu; obecnie jest aresztowany i już pod sądem. Chcieliśmy ignorować wszystko krom jego udziału w manifestacyi. Ale ten szaleniec psuje nam szyki, sam się chwali swym zamiarem zamachu, upiera się przy swojej winie. Nie ma już rady — będzie skazany na dożywotnie osiedlenie w koloniach karnych“... Mówił spokojnie, z pewnym żalem, wiedząc, że boleść

sprawia i że jej winien jest nieskończoną wdzięczność — już po raz drugi... Rozmowa została przerwana. Nazajutrz, gdy królewna już w stroju ślubnym zażądała obecności przyjaciółki, oznajmiono jej, że panna Hersberg ze świtem opuściła zamek.

Ukryta wśród tłumu Klara patrzała na orszak ślubny, ciągnący długim a błyszczącym rzędem do wrót katedry. Po chwili zagrzmiał wielki dzwon z wieżycy św. Wolfrana, a za nim wszystkie dzwony miasta napełniły powietrze różnobrzmiącym głosem. Fakt był dokonany, obcy książę posiadł rękę następczyni tronu, a z nią zapewnioną władzę nad krajem. Gdy powracali z kościoła, królewna uchylała welonu, by widzieć witający ją lud i ukazać mu różowe, uśmiechnięte oblicze. Za nimi król jechał sam w białym mundurze, przyjmujący grzmiące entuzyazmem okrzyki z pogodnem czołem, pod którem naród nie mógł się domyślać nurtujących go trosk. Powóz przejechał, pochód zniknął w dziedzińcu zamkowym, dzwony ucichły.

Klara miała już raz tylko ujrzeć Wolfrana V. Było to w parę tygodni po ślubie królewny. Nowożeńcy odbywali podróż po Europie, z której mieli do stolicy powrócić. Zresztą w zamku wszystko szło zwykłym trybem. Klara przyszła z rana, wpuszczona jakoby jeszcze należała do dworu. Służbowy adjutant króla wiedział, że ją może zameldować bez naznaczenia audyencyi; Król odwrócił się od biurka z serdecznym wyrzutem: „Jakże nas Pani opuściła!“ Ale nie była to już tasama Klara, promieniejąca siłą młodości i tryumfem wiedzy — wychudła, blada wchodziła nieśmiało, jak ubogi żebrzący jałmużny.

„Przyszłam prosić Waszą Królewską Mość o wielką łaskę“, zaczęła drżącym trochę głosem.

— „Wszystko co mogę uczynić jest na Pani rozkazy!“

— „Ismael Kozor“...

— Twarz króla zachmurzyła się: „I cóż Ismael Kozor?“

— „Chciałam prosić, aby żonie jego wolno było towarzyszyć do kolonii karnych“.

— „Żonie? A kimże jest ta żona?“

„Od wczoraj ja nią jestem!“ odparła Klara i otrzymawszy żądaną łaskę odeszła cicho.

„Szkoda!... westchnął król. Jakaż by z niej była królowa!“

Na tych słowach kończy się bardzo cnotliwie świetna myślą i kolorytem powieść Collety Yver. Czytelnik miałby ochotę snuć ją nieco dalej, opisać nadludzkie poświęcenie młodej kobiety dla nędz-

nego skazańca, poświęcenie, w którem sama przed sobą szukała ucieczki, radby owego Ismaela już i tak chorego uśmiertnić po roku katorgi i widzieć powrót Klary Hersberg spokojnej już i otoczonej aureolą męczeństwa do zwycięzkich prac na polu wynalazków i wszechświatowej wiedzy. Mogłaby dla osłody życia przywieść dziecinę urodzoną pod zwrotnikowem słońcem, dziecinę, której nie wpajałaby fantastyczno-anarchistycznych zasad, jakiemi ją karmiono w młodości. Przecież w dziedzinie wyobraźni nie tylko autor, ale i czytelnik ma prawa, a nad powieściami tej autorki można śmiało myśli rozpuścić, są bowiem jędrne, silne, zdrowe, bez żadnej przymieszki zmysłowości, bez jednego brzydkiego obrazu. Gdybyż więcej było takich autorów!

Teresa Wodzicka.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Portrety polskie, wydane przez *Maryę z hr. Branickich ks. Jerzową Radziwiłłową* pod redakcyą Dr Jerzego Mycielskiego.

O wydawnictwie Portretów Polskich doniósł *Przegląd* z okazyi ukazania się pierwszego zeszytu portretów. Wszystkie podniesione tam zalety tego wspaniałego wydawnictwa znajdują się i w zeszycie drugim.

Drugi zeszyt przynosi piękne heliograwirowe reprodukcye 10 portretów wielce interesujących z rozmaitych względów.

Portret Henryka Walezego, ze szkoły Franciszka Cloneta, subtelny w wykonaniu, ale też z całą prawdą odtwarzający grubo zmysłowe rysy cynika, który chciał się zabawić tronem polskim. Portret Stefana Batorego z domu księży Misyonarzy na Stradomiu, jeden z najlepszych portretów tego dzielnego króla. Bez wartości artystycznej, ale cenny jako wierna podobizna nie uroczej nigdy Anny Jagielonki, która już jako małżonka króla Stefana kazała się sportretować w bogatym stroju koronacyjnym i portret umieścić w kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. Ciekawym list jej ze zbiorów w Śniatynce, pisany do ks. Zająca w sprawie umieszczenia tego portretu w kaplicy, w którym królowa pamięta o najdrobniejszych szczegółach i drobiazgowo poleca jak i gdzie ma być umieszczony herb, jaki i gdzie podpis, jaka firanka ma go osłaniać itd.

Interesujące są podobizny dwojga rodzeństwa, brata i siostry Oświęcimów z kaplicy przy kościele Franciszkańskim w Krośnie. One to najprawdopodobniej były punktem wyjścia słynnej legendy o wzajemnej nieszczęśliwej miłości tego rodzeństwa, na którą już ludzie i kościół się godził, ale Bóg przyzwolenia dać nie chciał, zabierając p. Stanisławowi jego *„carissimam sororem“* do siebie.

Z krużganków franciszkańskich odtworzono portret Andrzeja Trzebickiego, malowany ręką Daniela Frechera. Postać tego biskupa, jednego z największych na stolicy krakowskiej, przedstawia się dobrze i godnie z dużym

wyrazem charakteru. Oczy śmiało a rozumnie patrzą, jedna ręka energicznie dzierży pastorał, druga równocześnie błogosławi po bożemu.

Dwa portrety wykonane przez Grassiego. Jeden z nich przedstawia Kościuszkę, wbrew prawdzie historycznej, opancerzonego w stal; który jednak mimo tego rycerskiego dodatku raczej na sentymentalną damę wygląda, niż na rycerza. Widać, że Grassi lepiej się rozumiał na portretowaniu dam, które też w swoim czasie stworzyły modę portretowania się u Grassiego. Dlatego to lepszym i naprawdę kobiecym jest jego drugie dzieło, portret księżnej Antoniowej Jabłonowskiej, słynnej piękności wśród Polek z drugiej połowy XVIII wieku. Inną słynną piękność niewieścią z XIX wieku przedstawia portret księżny Heleny Sanguszkównej, dzieło Winterhaltera, malarza, który jako portrecista podobną cieszył się wziętością u dam polskich, jak w swoim czasie Grassi.

Portret Mickiewicza, we fantastycznie zarzuconej burce, opartego na skale Judahu, patrzącego gdzieś w zawrotne dale — jest jednym z najsympatyczniejszych jego portretów. Wykonany przez wielce obiecującego malarza Wankowicza w Petersburgu r. 1828, przedstawia nam poetę tak, jak mniejwięcej wyobrażamy sobie go na podstawie jego Sonetów krymskich. Słusznie, że ten portret właśnie znalazł umieszczenie w tej Galeryi portretów polskich.

Oto szereg podobizn, które nam przynosi zeszyt drugi.

L. R.

Kronika Polskich Rodów Szlacheckich Podola, Wołynia i Ukrainy przez *Kazimierza Pułaskiego*. T. I. in 4° VIII +162. Brody 1911.

Dawniejsze heraldyczne dzieła nie odpowiadają już pod wielu względami wymaganiom dzisiejszym, zwłaszcza do badań od połowy XVIII wieku. Wiele tam w nich nieraz nie uwzględniono rzeczy lub błędne o nich podano legendy, które nie przypadają do smaku. Wiedza bowiem nowsza, coraz to większe roztaczając kręgi, nie zadowala się wcale bajeczną powieścią, osnutą przez jakiegoś facecyonistę szlachcica, ale domaga się ściślejszej naukowej krytyki. P. Kazimierz Pułaski, dziedzic dóbr Żyliniec na Podolu, pragnąc zaradzić tym różnym brakom, oraz wypełnić rażące luki, zabrał się do pracowitego studyum. Nie poprzestając na na znanych dotąd herbarzach, przeglądał mnóstwo rozmaitych dzieł, rozczytywał się i robił wyciągi z aktów grodzkich: halickich, lwowskich, trembowelskich, kijowskich i wielu innych, tudzież z rękopiśmiennych kronik niejednego rodu, a owocem tego jest obecny tom. Zestawił w nim monografie 65 rodów, jako to: Branickich, Czackich, Kalinowskich, Mniszchów, Przezdzieckich, Rzyszczewskich, Stadnickich, Swidzińskich, Wołodkiewiczów itd. Obszerniejsze studyum poświęcił autor rodowi Pułaskich (str. 153—176), z pomiędzy których Kazimierz Pułaski zasłynął w czasie konfederacyi barskiej 1768—1769. Po ostatecznym upadku konfederacyi opuścił kraj, wyjechał najprzód do Drezna, potem do Paryża 1772, stamtąd udał się do Turcyi, wreszcie podążył na drugą półkulę świata 1777, aby wziąć udział w toczącej się wojnie o niepodległość pomiędzy Ameryką północną a Anglią. Odtąd na czele swego legionu walczył bez przerwy, wreszcie 9-go października 1779 poległ pod Sawannah. Wdzięczni Amerykanie wystawili mu dwa okazałe pomniki: jeden w Sawannah, drugi w Waszyngtonie. Wartość całego dzieła podnosi niezmiernie 51 pięknie wykonanych rycin podług starych portretów. Mimo to wszystko

sam autor nie tai wcale, że w opisie tego lub owego rodu niejedno pominiętem być mogło, gdyż wskutek napadów wojennych na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, nieraz całe archiwa familijne stawały sie pastwę płomieni i przepadły bez śladu. Wydawnictwo to przynosi prawdziwy zaszczyt drukarni Feliksa Westa w Brodach.

J. S.

Notatka o niektórych naszych siedzibach trynitarskich przez *Wołyniaka*, Kraków 1912, str. 108.

Niestrudzony badacz historyi domów zakonnych w Polsce daje nam skrzętnie pozbierane, aczkolwiek jeszcze niekompletne, wiadomości o domach zakonu Św. Trójcy od wykupu niewolników, który posiadał niegdyś w Rzeczypospolitej liczne punkta swej działalności apostolskiej i dobroczynnej. Dziś na wszystkich ziemiach polskich niema ani jednego klasztoru, a ostatni, o ile wiem, polski trynitarz ks. Noniewicz umarł, zdaje się, przed 2 laty na stanowisku proboszcza i dziekana w Sokółce, gub. grodzieńskiej. W chwili większej wolności w Rosyi po r. 1905 Ojcowie Trynitarze mieli nadzieję wskrzeszenia swego zakonu na ziemiach polskich pod berłem carów; wysłany z Wiednia jeden z Ojców wspólnie z ks. Noniewiczem, dawnym trynitarzem wileńskim, oglądali w r. 1907 dawne swoje gmachy na Antokolu w Wilnie, zajęte przez wojsko. Niestety, było to tylko oglądanie nagrobków świetnej przeszłości. Wołyniak swą pracą odświeżył zatarte przez czas napisy na tych nagrobkach.

J. U.

Widoki Warszawy i jej okolic Karola Alberti'ego, malarza nadwornego hesko-darmsztadzkiego ze schyłku XVIII wieku. *Aleksander Kraushar.* Warszawa 1912, str. 57+26 ilustr.

Miłośnikom starej Warszawy przedkłada historyk jubilat zbiorek, którego zawartość wyrażona w tytule. Są to piękne reprodukcye z akwarell XVIII wieku, opatrzone objaśnieniami autora i wstępem ogólnym, w którym ustala ich twórcę w osobie Alberti'ego.

J. U.

Proroctwa Starego Testamentu a Chrystyanizm. *Ks. B. Wilanowski*, z przedmową *ks. Cz. Sokołowskiego.* Warszawa, księg. „Kroniki Rodzinnej", 1912, XX+95.

Jest to zestawienie wyników, jakie nauka katolicka ustaliła na Zachodzie o boskiem pochodzeniu proroctw mesyańskich i realizacyi ich w osobie Chrystusa i Jego dziele. Spełnia więc ta broszurka dwojakie zadanie: popularyzuje jeden z bardzo interesujących działów wiedzy teologicznej, a zarazem przykłada cegiełkę do apologii chrześcijaństwa. Przedmowa ks. Sokołowskiego jest ważna z tego względu, że daje przegląd dotychczasowych prac w języku polskim, dotyczących zagadnienia, jakie opracowuje autor, lub zagadnień pokrewnych.

J. U.

Pisma Aleksandra Jabłonowskiego. T. V. Słowiańszczyzna południowa, oraz Wołosza i Albania. Warszawa, skład główny w księg. E. Wende i Ski, 1911, str. 365.

Każdy nowy tom tego zbiorowego wydania prac zasłużonego historyka naszej przeszłości na kresach, bierze się z przyjemnością do ręki. Bo chociaż to przedruki dawno ogłoszonych artykułów, wszakże malują one tak barwnie i plastycznie kraje dla nas nieobojętne, ich przeszłość, ich teraźniejszy stan kulturalny, polityczny, i społeczny, że zawsze jeszcze czyta się je z zaciekawieniem i pożytkiem. Z tomem V przenosimy się z nad Dniepru na południe, w kraje Chorwatów, Bułgarów, Słoweńców, a nawet do Albanii. Interesują sie kwestyą południowo-

słowiańską znajdą w tym tomie niejedną cenną i wcale nie przestarzałą jeszcze uwagę i wskazówkę.

J. U.

Lose Blätter, Aphorismen zur Pädagogik der Familie, der Schule und des Lebens von *Dr. Lorenz Kellner.* Gesammelt und geordnet von *Adam Görgen.* Zweite, verbesserte und vermehrte Auflage. 8° (XXXII+387) Herder. Freiburg i. B. 1911.

Pomnik to wprawdzie nie wykwintny ale rzeczywiście piękny, wzniesiony w setną rocznicę urodzin zasłużonego i słynnego w zeszłem stuleciu pedagoga, długoletniego kierownika seminaryum nauczycielskiego, inspektora szkół, autora niemałej powagi pism i dzieł pedagogicznych. Słowa pewnego Radcy szkolnego, pisane do wydawcy tych „Luźnych kartek" z okazyi pierwszego ich wydania, że przedsięwziął dzieło dobre i że mu się udało, nie są bynajmniej czczem pochlebstwem. Odtworzył w niem Görgen wiernie tę postać sympatyczną, miłą, budzącą cześć i szacunek, pełną poświęcenia i miłości tak względem młodzieży kształcącej się jak jej wychowawców i nauczycieli. Refleksye i aforyzmy, zebrane z różnych artykułów, rozrzuconych po czasopismach pedagogicznych, z listów i rozporządzeń Dr. Kellnera i zestawione w tem dziełku, prawdziwe to perły myśli pedagogicznych. Kto nie zna obszerniejszych dzieł tego pedagoga, odznaczającego się w wysokim stopniu spokojem, rozwagą, sądem nader trafnym i dobrze przemyślanym o faktach i teoryach, oceniającego sprawiedliwie nawet przeciwnika, a ma coś do czynienia z nauką i wychowaniem, ten powinien poznać przynajmniej to dziełko. Znajdzie w niem kopalnię prawdy i mądrości wychowawczej, pewnego przewodnika w kwestyach metodycznych, świetne wskazówki, wielkie myśli, bogate doświadczenia.

Podział materyału nie pozostawia nic do życzenia. Naprzód umieścił wydawca refleksye o treści podstawowej i zasadniczej, następnie myśli o wychowaniu, dalej uwagi o nauczaniu. Czwarty rozdział zawiera mnóstwo doskonałych i zajmujących ustępów o powołaniu nauczycielskiem; piąty niektóre refleksye z historyi pedagogii. Wreszcie idą listy Kellnera do przyjaciół i czcicieli, w których przebija się przedewszystkiem gorąca miłość i otwiera szerokie serce dla stanu nauczycielskiego. Warto podać tytuły kilku przynajmniej ustępów. I. 1) „Moim punktem wyjścia jest objawienie i doświadczenie". 10) „Przymus szkolny a obowiązek uczęszczania do szkół, to dwie rzeczy różne". II. 6) „Potrzeba więcej szlachetności w pożyciu domowem!" 32) „Mniej wiadomości a więcej wykształcenia!" 40) „Pisma dla młodzieży wyrabiają nieraz na młodocianych złoczyńców". IV. 28) „Więcej szacunku dla szkoły przez lepsze opłacanie nauczycieli!" 36) „Potrzeba pracy kobiecej w szkole": 58) „Zjazdy nauczycieli są koniecznością".

Życzyćby należało gorąco i szczerze, by nasz stan nauczycielski, zwłaszcza szkół ludowych, przejął się do głębi duchem, wiejącym z tych „Kartek", a zarazem, żeby znalazł tak gorących i oddanych mu przyjaciół i obrońców, jakim był Dr. Kellner.

B. Wolnik.

Elementa philosophiae Scholasticae auctore *Dr Seb. Reinstadler* Vol. I. (XXVII et 499 pag.). Vol. II. (XIX et 496 pag.), ed. IV—VI recognita. Herder — Friburgi Br.

Summa Philosophiae Christianae auctore *J. Donat S. J.* I. Logica (VIII —149 pg.); III. Ontologia (VII —182 pg.); V. Psychologia (VIII —288 pg.). F. Rauch — Innsbruck.

Kompendium Reinstadlera w przeciągu dziesięciolecia doczekało się aż

sześciu wydań, co chlubnie świadczy o jego zdatności i zaletach; bo też autor obok znanej jasności wykładu pozostaje w ciągłym kontakcie z współczesnym ruchem filozoficznym. Przeto książki te polecić można przedewszystkiem jako wyborne repetytoryum.

Summa Donata, autora głośnego dzieła p. t. *Die Freiheit der Wissenschaft*, wprowadza studyum chrześcijańskiej filozofii z głębokiem zrozumieniem i odczuciem potrzeb czasu. Z pewnych danych innych dziedzin naukowych korzysta umiejętnie, a wszelkie ważniejsze zagadnienia z wyżyn *philosophiae perennis* rozwiązuje przejrzyście i treściwie. *S. M.*

Cursus philosophicus in usum scholarum. Herder — Friburgi Br. **Logica** auctore *C. Frick S. J.*, ed IV. emendata (str. XII—326) **Teologia naturalis** auctore *B. Boedder S. J.*, ed, III aucta et emendata (str. XIV—415).

Zalet tych książek jako podręczników dla uczelni, gdzie się uprawia filozofię metodą scholastyczną, podnosić nie trzeba; każdy też miłośnik ścisłości w słowie i piórze chętnie z niemi się zaznajomi. W logice potrącił autor — zbyt skąpo wprawdzie — o nowsze prądy filozoficzne: psychologizm, pragmatyzm, a wreszcie modernizm; zakres ten wypadałoby w nowem opracowaniu rozszerzyć i może wyraźniej zaznaczyć swe stanowisko wobec neoscholastycznej szkoły lowańskiej. Autor teodycei starannie opracował na nowo niektóre dowody na istnienie Boga, nieskończoności Bożej starał się dowieść dosadniej. Zarzutom stawianym przeciw dowodzeniu istnienia Boga z celowości stworzeń poświęcił autor osobny nowy dodatek. *S. M.*

De actibus humanis auctore *V. Frins S. J.* Pars: III. De formanda conscientia (VIII et 312 pag). Herder—Friburgi Br.

Dokończyć całego dzieła rozprawą „O grzechach" nie pozwoliła autorowi śmierć. Pozostawił nam jednak pracę wszechstronnie i gruntownie opracowaną; obecny też tom o probabiliźmie wiele światła rzucił na ową kwestyę zarówno przejrzystością wykładu jak jasnością dowodzenia. *B. B.*

Boy. Roman von *Luis Coloma T. J.* Freiburg. Herder. (Str. 346. brosz. 3 K. 60 h.).

Każda nowa powieść ojca Colomy, jest w Hiszpanii zawsze wielką senzacyą. Tak podobno został cały pierwszy nakład tejże powieści, w liczbie 10000 egzemplarzy rozchwytany w kilku tygodniach. Pierwsze dzieło jego większe, *Pequeneces* (t. j. bagatele) stało się już własnością prawie wszystkich literatur europejskich i sam autor doznał niedawno rzadkiego zaszczytu, bo dla zasług swoich literackich został członkiem akademii hiszpańskiej.

„Boy" jest pod każdym względem typowem dziełem Colomy: posiada wszystkie zalety, ale i wady jego poprzednich powieści. Wady odnoszą się przedewszystkiem do samej techniki dzieła. Cała powieść jest pojęta jako pamiętnik, jako ciągłe opowiadanie przebytych osobistych wydarzeń. Szkoda; bo przez to dramatyczność akcyi niewątpliwie bardzo ucierpiała. Ale za to realizm i charakterystka osób są, jak zawsze u Colomy, niezrównane, pełne życia i prawdy, naturalnie na tle stosunków hiszpańskich, z czasów rewolucyi i wygnania królowej Izabelli. Tak na pierwszem miejscu główny bohater „Boy" jest typem młodego granda; z jednej strony tak niesłychanie lekkomyślny, a z drugiej tak rycerski i szlachetny: „głupstwa mogę popełnić, ale nigdy podłości".

Ciężko musiał pokutować za swój

flirt grzeszny, bo dziwny zbieg okoliczności i intrygi macochy sprawiły, że posądzono go o zabójstwo wstrętnego lichwiarza Lopeza. Swego alibi w czasie mordu nie mógł inaczej udowodnić, jak kompromitując młodą mężatkę z wysokiego domu. Ale rycerskość mu na to nie pozwoliła, dlatego raczej wybrał wygnanie. Przyłączył się do powstańców, a kiedy prawdziwi mordercy już byli wykryci, kiedy zaświeciła nadzieja rehabilitacyi, padł ugodzony kulą żołnierza granicznego. Z całą bezwzględnością odsłania duchowny powieściopisarz towarzyskie stosunki ówczesnej arystokracyi zdeprawowanej; mało jest w tym obrazie jasnych kolorów, świetlanych momentów; ale te cienie są tak dyskretnie narzucone, że nikogo razić nie mogą. Tendencyę powieści sam autor jako motto wypisał: „W życiu mężczyzny tylko dwie niewiasty powinne zająć miejsce: jego matka, i matka jego dzieci. Co po za tą podwójną świętą miłością w jego sercu się rodzi, jest albo niebezpiecznem zboczeniem albo grzeszną namiętnością".

R.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Unia katolicka. O Unii katolickiej, jako skupieniu i zjednoczeniu wszystkich katolickich organizacyi niepolitycznych w Austryi, o jej ustroju, zadaniu i celach mówiliśmy już w osobnym artykule tego czasopisma, dziś Unię katolicką możemy już uważać za fakt dokonany. W dniach 29 i 30 maja odbył się zjazd delegatów z wszystkich krajów austryackich w Wiedniu dla ostatecznego przejrzenia i przyjęcia statutu i wyboru komitetu centralnego. Jako reprezentant episkopatu austryackiego brał w zjeździe udział biskup hr. Huyn z Berna morawskiego, obrady prowadził książę Ferdynand Zdenko Lobkowic.

Na pierwszym planie obrad stała kwestya wyboru i składu komitetu centralnego. Po ożywionej dyskusyi nastąpił wybór komitetu; jako prezydent został wybrany Ferdynand Zdenko książę Lobkowic, jako wiceprezydent Alfred Jan hr. Ressegnier, jako sekretarz generalny Józef Leb. Między członkami komitetu znajdują się reprezentanci wszystkich narodowości Austryi. Z Polaków należą do niego: książę Paweł Sapieha, radca dworu prof. dr. Wicherkiewicz, dr. Kołaczowski. Do komitetu generalnego należy także jako reprezentantka organizacyi kobiet katolickich w Austryi hrabina Zichy-Metternich.

Dalsze dyskusye i referaty zajmowały się przedewszystkiem kwestyą ogólnych wieców katolickich i kwestyą narodowościową. Artykuł IX statutu zaleca urządzanie wieców kato-

lickich we wszystkich formach, t. j. ogólno-austryackie, narodowe i dyecezalne, ale jako ideał, do którego wszelkiemi siłami dążyć należy, uważa wiece ogólne, t. j. wiece na tensam temat urządzane albo w jednem albo we wielu równocześnie miastach. Wiec ogólny w tem samem mieście ma być zwołany tylko wtedy, jeżeli zostanie uchwalony przez delegatów wszystkich narodowości. Po długich dyskusyach zgodzono się na stylizacyę ważnego artykułu 9 o wiecach katolickich i tem samem załatwiono może najtrudniejszą kwestyę całego zjazdu.

Radca dworu prof. dr. Wicherkiewicz mówił w referacie swoim o Unii katolickiej jako wspólnej podstawie dla wydatnej pracy katolickiej i wśród żywych oklasków wspomniał także o początkach centralizacyi akcyi polsko katolickiej. Poseł Krek przedstawił stosunek organizacyi niepolitycznych do politycznych, zaznaczając, że w obecnych warunkach marzyć nawet nie można o jednolitej katolickiej partyi politycznej. Zadaniem organizacyi niepolitycznych musi być praca wychowawcza tak wśród inteligencyi jak wśród ludu w kwestyach życia publicznego, aby przygotować grunt dla jednolitej katolickiej partyi politycznej.

Jest to niezawodnie pocieszający znak żywotności ducha katolickiego i coraz większego rozumienia potrzeb obecnej chwili, że na zjeździe 400 delegatów ze wszystkich narodowości austryackich doszło się do zgodnych i wielkich rezultatów. Nie tajono przed sobą trudności, jakie grożą zbiorowej akcyi, nie omijano drażliwych kwestyi narodowościowych, nie mieszano się do jakiegoś abstrakcyjnego internacyonalizmu, lecz z całą otwartością i z całą powagą zabrano się do otwartego omawiania drażliwej kwestyi narodowościowej i ta otwartość i szczerość wobec tych kwestyi jest najlepszą rękojmią szczerszych jeszcze chęci i wzajemnego zaufania. Zjazd wiedeński jest poważnym krokiem naprzód na drodze wspólnego porozumienia i zbliżenia się katolików Austryi i niesie uzasadnioną nadzieję wzrostu katolickiej energii we wszystkich krajach austryackich. Wielka samodzielność i swoboda podejmowania akcyi w ograniczonym zakresie, jaką pozostawiono po-

szczególnym organizacyom krajowym i dyecezyalnym nie tylko nie utrudnia akcyi zbiorowej, ale czyni ją wydatniejszą, nie zacieśnia jej, ale podnosi wzajemne zaufanie w chwilach, gdy siły należy połączyć, słowem jedna Unii ogólną sympatyę narodów, które do niej przystępują.

Wybory w Belgii. Nie udały się zamiary sojuszu liberalno-socyalistycznego przy wyborach w Niemczech, w Bawaryi, we Wiedniu, nie pomogły upokorzenia loży i dumnych liberałów na rzecz kandydatów partyi socyalistycznej. Wszędzie partya katolicka, o której rozbicie chodziło, wyszła zwycięsko. Teraz na Belgię przyszła kolej. Wytężono wszystkie siły i użyto wszystkich środków, od perswazyi począwszy, aż do najbezczelniejszych oszczerstw i bezwstydnego terroryzmu, aby hegemonii katolickiej kres położyć. Z powodu powiększenia się ludności pomnożono liczbę mandatów do parlamentu o 20 nowych, tak że parlament belgijski liczy teraz 188 posłów. Przez 28 lat już katolicka partya znajduje się tutaj u steru, a wciąż rosnący dobrobyt i kultura kraju dają jej rządom najlepsze świadectwo. Z powodu tego belgijski katolicyzm jest zwłaszcza dla loży francuskiej ustawicznym wyrzutem sumienia i niemiłym dowodem siły żywotnej katolicyzmu. Wybory rozpisane na 2. czerwca miały tego niemiłego sąsiada upokorzyć za wszelką cenę. Za hasło do walki służyła kwestya szkoły.

O szkołach katolickich w Belgii pisaliśmy niedawno i faktem jest niezaprzeczonym, że szkoły katolickie cieszą się nietylko znakomitymi rezultatami, ale także wielkiem zaufaniem ludności. Do tego czasu wszystkie te szkoły, od normalnych aż do uniwersytetów, były utrzymywane wyłącznie ofiarnością katolicką. Tym sposobem oszczędzało państwo rocznie 40 milionów franków. Teraz katolicy czują się w prawie i domagają się także subwencyi państwowej. Żądanie to posłużyło opozycyi za pretekst do walki przeciw szkołom katolickim i za hasło przy wyborach ostatnich.

Zamach na pozycyę katolików belgijskich nie udał się, wybory skończyły się świetną wygraną partyi katolickiej. Zwy-

cięstwo jest tem większe, że katolicy osiągnęli je o własnych siłach, polegając na sprężystości swych świetnie funkcyonujących organizacyi. Zwolennicy idei chrześcijańskiej i wogóle przyjaciele porządku mają wobec wyniku tych wyborów uzasadnione prawo cieszyć się z tego ponownego zwycięstwa myśli katolickiej. Ostatnie lata odsłoniły rzecz nader znamienną — grupowania się wielkiej jakiejś koalicyi, na podstawach antychrześcijańskich przeciw Kościołowi katolickiemu, w której naczelne miejsce zajmują loże i żydzi. Koalicya ta już odniosła sukcesy w krajach romańskich, a powodzenia te zanadto podniosły nadzieje loży, aby po kilku przegranych miała opuścić ręce. Rozruchy, strejki i obstrukcya, zapowiedziana w parlamencie po ostatniej klęsce w Belgii, pokazują, że opozycya nie przebiera w środkach, aby dojść do celu. Znaki czasu aż zanadto są wyraźne, aby katolików przekonać, że tak jak w Belgii powinni oni i wszędzie stanąć o własnych siłach zrzeszeni i spojeni razem we wielkich organizacyach.

Germanizacya i protestantyzacya.

W rzeczy samej niema nic nowego w tem, że germanizacyjna akcya Prus, stosowana do Polaków, jest w gruncie rzeczy także protestantyzacyą, ale rząd pruski do tego czasu wypierał się zamiarów protestantyzacyi. Obecnie już się ich nie wypiera. Przed Zielonymi Świętami przedłożył sejmowi nowe prawo dla dalszej kolonizacyi niemieckiej kresów wschodnich, domagając się na ten cel 100 milionów marek. Przeciw temu przedłożeniu rządu wystąpił znany centrowy poseł Marx, w ostrej i stanowczej mowie zaznaczył stanowisko centrum i podniósł, że centrum nie jest w stanie przychylić się do żądań rządu z podwójnej racyi: najprzód, że prawo to jest prawem wyjątkowem, zwróconem przeciw jednej części obywateli państwa, a po drugie dlatego, że według zeznań ministra hr. Schorlemera germanizacya jest zarazem protestantyzacyą Ks. Poznańskiego.

Minister rolnictwa hr. Schorlemer, sam katolik, zaznaczył w swoim referacie o przedłożonem prawie, że państwo z taktycznych względów jest zmuszone osiedlić protestantów

w Księstwie, bo doświadczenie uczy, że katoliccy Niemcy łatwo się polonizują. To rządowe i oficyalne przyznanie się do faktu protestantyzacyi może i musi być odtąd zawsze punktem wyjścia dla centrum w sądzeniu kwestyi germanizacyi w Księstwie. Schorlemer znalazł się w kłopotliwem położeniu. Uczuł, że za wiele zdradził z zakulisowej polityki, bo nie szczędził pochwał dla patryotyzmu katolickich Niemców, ale wrażenia ujemnego nie zatarł. Niejeden z posłów centrowych, który może dotąd naiwnie widział w germanizacyi i kolonizacyi Księstwa tylko konieczny akt obrony ze strony państwa przeciw domniemanym radykalnym elementom polskim, teraz tę sprawę osądzi inaczej. Że co do kwestyi religijnej argumentacya Schorlemera nie jest słuszną, pokazuje Śląsk górny, gdzie liczba katolików Niemców mnoży się. Dla samych Polaków zaś korzystniejszem jest, że germanizacya jest i protestantyzacyą, bo opozycya stąd jest większa, żal do katolików Niemców mniejszy, a niebezpieczeństwo protestantyzacyi i germanizacyi Polaków przez to chyba znika zupełnie. Można więc ministrowi Schorlemerowi tylko być wdzięcznym za to, że oficyalnie uznał słuszność twierdzenia, iż w Poznańskiem germanizacya jest zarazem protestantyzacyą. Że zaś cała akcya germanizacyjna rządu pruskiego jest nie tylko niesprawiedliwą ale i najfałszywszym krokiem, o tem już niejednokrotnie w sejmie pruskim rząd przekonano.

Ks. A. Starker.

Nowe kościoły w Księstwie Poznańskiem.

Na ziemiach polskich można zauważyć nowy ruch na polu sztuki kościelnej. Ruch ten zapoczątkowany dopiero przed kilku laty wzrasta pomyślnie, otwierając w ten sposób nowe pole do pracy dla artystów polskich. Dział bowiem sztuki kościelnej jest jedną z niezmiernie ważnych kwestyi artystycznych. Wiadomo powszechnie, że dzisiejsza sztuka kościelna od lat czterdziestu czy pięćdziesięciu znajduje się w zupełnym upadku. Wypaczyły się całkowicie poglądy i pojęcia estetyczne tak u duchowieństwa, jak i osób świeckich, od których najczęściej zależy decyzya w sprawach artystyczno-kościelnych.

Podczas gdy dawniej, w miarę możności i środków materyalnych, starano się zawsze wznosić i przyozdabiać kościoły jak najokazalej, gromadząc w nich przytem przedmioty wysokiej bardzo wartości artystycznej — to dziś przeważnie dzieje się wręcz przeciwnie. Dzisiejsze kościoły powstałe w okresie ostatnich kilkunastu lat są przeważnie jakby zaprzeczeniem powyższej chwalebnej zasady, mimo, że często ta właśnie zasada kierowała ich budową i dekoracyą. Obok tego jednak można spotkać jeszcze częstsze wypadki zupełnego lekceważenia strony artystycznej w zakresie budownictwa i przemysłu kościelnego. Wspomnę tu tylko o chorobliwej wprost manii wznoszenia olbrzymich a tak brzydkich kościołów, naśladujących wielkie gotyckie katedry, po zapadłych wsiach polskich — i o banalnych, lalkowatych figurach świętych, zapychających coraz większemi masami wnętrza nowych, a także i starych kościołów, wyrabianych hurtownie podług gotowych szablonów. I tam, gdzie dawniej wysilał się duch ludzki nad każdą drobnostką, przeznaczoną dla kościoła, by ją stworzyć jak najoryginalniej i celowo najpiękniej — tam dzisiaj rozpanoszyła się wszechwładnie bezmyślność i szablon, niepraktyczność i brzydota.

W ostatnich dopiero latach zaczyna się budzić pożądany zwrot ku lepszemu. Zapoczątkowany przez garstkę artystów, zyskuje coraz szersze koła zwolenników. Zwolna przenika w zastępy duchowieństwa, znajdując gorących propagatorów i opiekunów wśród naczelnych czynników i jednostek kapłańskich. Drogą odczytów, peryodycznych pism i ulotnych broszur, ustala się coraz bardziej przekonanie, że sztuka kościelna to rzecz wielkiej wagi, której nie wolno zbywać lekceważeniem i ladajakim wyrobem. Konkretnym objawem tego zwrotu są szeregi konkursów na budowę, polichromię i urządzenie kościołów, dalej zjazdy miłośników dawnych zabytków sztuki, wreszcie tworzące się rady artystyczne przy boku konsystorzy biskupich n. p. w Krakowie, Warszawie, Włocławku itd. Nowym objawem, już na większą skalę zakrojonym, jest urządzona obecnie w Krakowie wystawa sztuki kościelnej, która choć nie odpowiedziała jeszcze zupełnie oczekiwaniom, to przecież zwróciła uwagę szerokich mas narodu na tę ważną gałęź produkcyi artystycznej.

Do niewielkiego jeszcze szeregu wykonanych już dzieł nowej sztuki kościelnej wliczyć także należy Księstwo Poznańskie. I tam również od kilku lat można zauważyć ten sam ruch artystyczny. Wskutek ucisku pruskiego, tamującego na każdym kroku swobodny

rozwój nauki i kultury polskiej, ruch ten napotyka na brak dostatecznie wykształconych sił fachowych. Postęp zaś nowych haseł artystycznych musi dokonywać się ciszej i spokojniej, by nie rzucać się zanadto w oczy rządowi pruskiemu. Dokonywa się on jednak stale, drogą naturalną, jak w dawnych czasach za pomocą zwiedzania przez ludzi zainteresowanych nowem dziełem. Z tych na czoło całego dorobku na tem polu ostatnich paru lat, wybijają się szczególniej dwa kościoły w Jutrosinie i Kołączkowicach.

Jutrosin, niewielkie miasteczko, sąsiadujące z dobrami książąt Czartoryskich ze Sielca, z dawien dawna cieszył się szczególną życzliwością i opieką tego rodu. To też kiedy przed paru laty powzięto zamiar budowy nowego kościoła, przedwcześnie zmarły ś. p. Zdzisław ks. Czartoryski od pierwszej chwili gorąco się zajął tą sprawą, prowadząc ją i niemal osobiście kierując całą fabryką budowy. Jemu zatem w pierwszym rzędzie zawdzięcza kościół jutrosiński rozgłos i sławę pierwszej świątyni — z nowych budowli — w całem Księstwie Poznańskiem. Zaprojektowany przez ś. p. Tomasza Pajzderskiego, otrzymał świeżo ukończoną wspaniałą polichromię wnętrza, skomponowaną przez p. Antoniego Procajłowicza, artystę-malarza i profesora szkoły przemysł. w Krakowie. Polichromia ta stała się niebawem przedmiotem podziwu całego Księstwa Poznańskiego i celem ustawicznych wycieczek tak ze strony duchowieństwa, jakoteż wyższych szkół inteligencyi i ziemiaństwa. Dlatego można ją słusznie uważać za hasło budzących się nowych prądów sztuki w zaborze pruskim.

Kościół w Jutrosinie zbudowany jest na planie krzyża łacińskiego, w stylu bazyliki romańskiej. Zaletą jego architektury jest — nie stylowość form romańskich, ale i to przedewszystkiem doskonałe obliczenie proporcyi, rozłożenie mas i przestrzeni, które sprawiają, że budowla ta nie jest tylko zimną, bezduszną kopią stylu romańskiego, ale przeciwnie, monumentalnym pomnikiem architektury. Do tego przyczynia się niemało okazała wieża, o poważnej sylwecie. Zdaleka widny kościół w Jutrosinie, w miarę zbliżania robi podniosłe wrażenie. Jego mury o tonie surowej cegły, proste a tak pełne majestatu, zdają się pociągać każdego do wejścia.

Wchodzimy. Wrażenie wnętrza jest wprost nieoczekiwane. Mimo opowiadań i opisów zastajemy dzieło, przerastające daleko nasze spodziewania. A przytem uroczysta jakaś cisza podnosi jeszcze nastrój tej niezwykłej świątyni. Tu dopiero poznajemy odrazu, jak

wielkiej wagi sprawą jest sztuka kościelna. Ta niezwykła polichromia wnętrza przekonywa nas dowodnie, że nie można ladajakim wyrobem zbywać spraw artystyczno-kościelnych.

Prof. Procajłowiczowi przy rozpoczęciu pracy postawiono za warunek dostosowanie polichromii wnętrza do stylu architektury kościoła. Naturalnie był to warunek krępujący znacznie swobodę artysty i z tego także powodu polichromia jutrosińska nosi zdecydowane cechy stylu romańskiego. Można ją podzielić na trzy główne części: na nawę główną wraz z poprzeczną, na prezbyteryum i nawy boczne. Każda z nich bowiem ma swe zasadnicze cechy. Tak więc nawa główna ma potrójny podział pionowy ścian: dolny, w którym się mieszczą arkady do naw bocznych, środkowy z fryzem figuralnym, i górny, na który przypadają okna. Przytem jednak każde z dwóch przęseł, z których się składa główna nawa, tworzy znów dla siebie całość, ujętą w półkolumny romańskie i nakrytą oddzielnym kwadratem sklepienia. Ma ono ton ciemnego błękitu, zasianego złotemi gwiazdami, z wielką rozetą sześciopromienną w środku, przyczem sklepienie każdego przęsła ujęte jest w srebrny szlak z czerwonymi płomieniami. W środku przecięcia się nawy głównej z poprzeczną, sklepienie wielkiego kwadratu, dla podkreślenia swego dominującego znaczenia, ujęte jest w tęczowy szlak i szeroki srebrny ornament, przepięknie skomponowany, który robi wrażenie wykwintnej koronki. Środek zaś pola ujmuje ośmioramienna, wielka gwiazda.

Powagę świątyni podkreśla szczególniej środkowy fryz figuralny. Przedstawia on postaci świętych i błogosławionych polskich, na złotem tle, podzielone kolumnami. W nich umiał artysta pogodzić doskonale surową hieratyczność romańską z pewną swobodą ruchu. Ścianę chórową z trójarkadowym chórem i organem uwieńcza fryz z cherubinów. W nawie poprzecznej zwracają uwagę dwie kompozycye, z których szczególnie „Zwiastowanie", rzucone na tło dalekiego pejsażu, ma bardzo dużo lirycznego nastroju.

Zbliżoną polichromię ma prezbiteryum. Miejsce kompozycyi figuralnych zajmują tutaj tymczasem umieszczone postaci stylizowanych aniołów. Tęczę t. j. łuk, oddzielający absydę od reszty kościoła, pokrywają po zewnętrznej stronie figury św. dziewic i aniołów, po stronie zaś wewnętrznej medaliony apostołów. Na sklepieniu absydy widzimy przedstawienie Chrystusa *in trono* na wzór bazylik starochrześcijańskich, a na wysokości ołtarza ujmuje ścianę fryz malowanych aniołów, pogrążonych w dekoracyi. Całe prezbiteryum

zdobią przepiękne witraże projektu prof. Mehoffera. Nawy boczne mają już skromniejszą polichromię, czysto ornamentacyjną. Po lewej stronie prezbiteryum znajduje się kwadratowa loża kolatorska. Ma ona bardziej odrębną, ale nie mniej wykwintną i wspaniałą dekoracyę. Główne jej pole to sklepienie. Tu na tle jasno-kawowem, wśród systematycznie rozłożonych, złotych języków, widzimy w środku przepięknie stylizowaną rozetę, poniżej zaś na tle ornamentu duże herby Polski i Litwy.

Świątynia jutrosińska ma jeszcze jedną wielką zaletę wnętrza. W polichromii jej bowiem uderza ogromna harmonia kolorystyczna. Ma ona jakiś hieratyczny nastrój i powagę pierwszych budowli kościelnych, będąc mimoto dziełem zupełnie współczesnem. Nic dziwnego, że wywowała w całem księstwie entuzyazm podziwu. Zachęciła możne ziemiaństwo do dalszej pracy na tem polu. Oto w najbliższem sąsiedztwie Jutrosina, we wsi Kołaczkowicach, pokrywa wkrótce prof. Procajłowicz mały wiejski kościółek przepiękną polichromią. Jest w tem główna zasługa panny Woller, właścicielki dominium błońskiego, której wielka szczodrość i rozum słynie daleko w okolicy. Prof. Procajłowicz, mając tu zupełną swobodę, stworzył z wnętrza niepokaźnego zresztą kościółka wiejskiego prawdziwe cacko artystyczne. Komponując równocześnie z dekoracyą malarską ołtarz, ambonę, chór, stalle, ławki i lożę kolatorską, umiał wszystko zestroić w przedziwną całość. Istotnie rzadko spotyka się tak zaciszne, piękne i pogodne wnętrze kościółka wiejskiego. Ma ono rzewną prostotę obok dużej wykwintności motywów dekoracyjnych.

Te dwa kościoły złożyły się na słuszny rozgłos i sławę prof. Procajłowicza w Księstwie Poznańskim. Właśnie kończy on równocześnie dekoracyę dwóch innych świątyń św. Wojciecha w Poznaniu i kościoła w Golejewku. Za tymi pójdzie szereg dalszych, gdyż udane i naprawdę wielkie dzieło sztuki ma tę szczególną własność, że rodzi nowe. Cieszyć się również można, że także zabór pruski z Krakowa, z tych duchowych Aten Polski, zaczyna czerpać siły potrzebne do intelektualnego rozwoju narodu.

Franciszek Klein.

Konkursy na stypendya.

Zarząd Akademii Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem następujące konkursy:

1. Na 5 stypendyów po 5000 koron rocznie z fundacyi im ś. p. Wiktora Osławskiego. Podania należy wnosić do Zarządu Akademii najpóźniej do dnia 29 czerwca 1912 roku. Warunki obowiązujące kandydatów wymienione są w art. VI i VII aktu fundacyjnego, których odnośne ustępy podaje się do informacyi kandydatów:

Art. VI.: „O nadanie stypendyum z niniejszej fundacyi ubiegać się mogą jedynie ci docenci Uniwersytetów w Krakowie i we Lwowie i Politechniki we Lwowie, nauczyciele lub zastępcy nauczycieli w gimnazyum lub w szkole realnej w kraju lub zagranica, którzy są narodowości polskiej, władają należycie mową polską, nie przekroczyli 40 lat życia i ukończywszy uniwersytet lub politechnikę w kraju lub zagranicą ze stopniem akademickim, zamierzają się kształcić na profesorów dla wyższych zakładów naukowych o polskim języku wykładowym w kraju, to jest dla polskich Uniwersytetów we Lwowie i w Krakowie i dla polskiej Politechniki we Lwowie, a to bez względu na ich pochodzenie poddaństwo lub wyznanie, z jedynem wyłączeniem osób prawosławnego wyznania.

„Ubiegający się o stypendyum z fundacyi kandydat winien w podaniu wniesionem w terminie do Akademii Umiejętności w Krakowie dowodnie wykazać za pomocą metryki urodzenia, świadectw szkolnych i innych urzędowych aktów, że posiada wszystkie powyż wyszczególnione warunki.

„Następnie kandydat przedłożyć ma swe prace naukowe i szczegółowy program, według którego i gdzie zamierza kształcić się dalej. Miejscem dalszego kształcenia nie może być miasto w którem kandydat jest docentem, nauczycielem lub zastępcą nauczyciela. Przedmiotem studyów może być każda gałąź wiedzy ludzkiej z wyjątkiem nauk teologicznych. Uczęszczaniu na Uniwersytety zagraniczne równają się także inne szkoły główne, jak n. p. w Paryżu Szkoła centralna, Szkoła normalna i wyższa Szkoła górnicza, z których opatrzeni dyplomem, wielkie mogą oddać usługi krajowi. Z europejskich Uniwersytetów wyłącza się jedynie Uniwersytet we Fryburgu w Szwajcaryi. Uczeń, tam przebywający, nie może pobierać stypendyum z fundacyi ś. p. Osławskiego“.

Art. VII, ustęp 1 i 2: „Stypendya wypłaci się z góry w półrocznych ratach. Wszakże ten sam kandydat może następnie otrzymać stypendyum roczne po raz drugi i trzeci, jeżeli w końcu roku szkolnego, na który stypendyum otrzymał, mianowicie w miesiącu czerwcu złoży Komitetowi szczegółowe sprawozdanie ze swoich czynności i udowodni, że wykonał w wielkiej części przedłożony swój program. Od uznania Komitetu, który w razie potrzeby zasięgnie zdania referentów, zależeć będzie pozostawienie kandydata na rok drugi i trzeci przy stypendyum.

„W razie większej liczby kompetentów pierwszeństwo mają ci, którzy pobierali to stypendyum, a na przedłużenie go zasługują; po nich ci, których wykształcenie jest rzeczą pożądaną ze względu na wakującą lub zawakować

mającą katedrę; po tych poświęcający się studyom nauk doświadczalnych, które wymagają pracy w laboratoryach".

2. Na 2 stypendya im. bł. p. Henryka Wohla.

Stypendya wynoszą po 900 koron rocznie i będą wypłacane w dwóch ratach, z początkiem zimowego i letniego półrocza każdorazowego roku szkolnego.

Petenci powinni wykazać, że są albo pochodzenia włościańskiego, a to z Galicyi zachodniej lub Królestwa Polskiego, lub że są Polakami wyznania mojżeszowego i stałymi mieszkańcami Galicyi zachodniej lub Królestwa Polskiego. Jedno stypendyum musi zawsze przypaść dla petenta pochodzenia włościańskiego, a drugie dla petenta wyznania mojżeszowego. Nadto petenci winni wykazać, że są zapisani na jeden z Uniwersytetów galicyjskich lub na Uniwersytet Warszawski lub też na inny jakiś Uniwersytet, znajdujący się w granicach dawnej Polski i że się specyalnie poświęcają studyom nad językiem polskim, literaturą polską lub historyą polską; przyczem przez historyę polską należy także rozumieć studya nad historyą prawa polskiego i stosunków wewnętrznych dawnej Rzeczypospolitej Polskiej.

Kandydat, który uzyska stypendyum, będzie obowiązany przed pobraniem następnej raty przedstawić świadectwa kollokwialne, albo inne, im równoznaczne uniwersyteckie świadectwa z dobrym postępem.

Kandydat, który stypendyum uzyskał, może je zachować przez cały przeciąg studyów uniwersyteckich, oraz, o ile zamierza zdawać doktorat, przez dwa lata jeszcze po normalnem ich ukończeniu, o ile jednak w tym czasie nie uzyskał posady z pensyą co najmniej równającą się rocznej kwocie stypendyalnej. O przedłużenie na przeciąg dwóch lat po uzyskaniu absolutoryum należy wnieść osobne podanie i załączyć do niego poparcie tego lub tych profesorów, pod których kierunkiem kandydat studya swoje dobywał.

Podania zaopatrzone: *a*) w metrykę chrztu, *b*) świadectwo ubóstwa, *c*) świadectwo przynależności, *d*) dowody uczęszczania na Uniwersytet i *e*) świadectwa kollokwialne albo inne, im równoznaczne świadectwa uniwersyteckie z dobrym postępem — należy wnosić do Zarządu Akademii Umiejętności do dnia 20 października 1912 roku.

Konkurs literacki.

Drukarnia i księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu rozpisuje konkurs na napisanie dwóch powieści, mianowicie powieści dla dorosłych i powieści dla młodzieży.

Do konkursu dopuszcza się wszystkie zabory.

Pod względem treści nie czyni się żadnych ograniczeń.

Pierwszeństwo jednakże mieć będzie powieść osnuta na tle swojskiem. Tendencya powinna być w każdym razie szlachetna i etyczna.

Z konkursu wyklucza się zupełnie

a) powieści niezgodne z zasadami katolicyzmu i

b) powieści mogące wywołać konflikt z kodeksem karnym.

Wyznacza się trzy nagrody: mianowicie marek 500, 300 i 150.

Do konkursu dopuszcza się tylko prace oryginalne i nigdzie dotąd nie drukowane.

Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha zastrzega sobie prawo zakupu nagrodzonych utworów.

Objętość powieści nie powinna przekraczać 10 arkuszy druku.

Prace nadesłane powinny być zaopatrzone w godło, a w drugiej kopercie z tem samem godłem nazwisko i dokładny adres autora.

Skład sędziów zostanie ogłoszony później.

Rękopisy uprasza się przesyłać aż do 1 listopada pod adresem: Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha, G. m. b. H. w Poznaniu.

Druk ukończono dnia 21 czerwca 1912 r.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Stefan Czarniecki. Powieść histor. Michał Czajkowski. Nakł. „Biesiady Literackiej", Warszawa 1912, tom III, str. 166; tom IV. str. 168.

Dzieła poetyckie. Jan Kasprowicz. Wydanie zbiorowe Ludwika Bernackiego. Nakł. „Towarzystwa Wydawniczego", Lwów 1912, tomów 6.

Bibliotek für Prediger. Augustinus Scherer. Durchgesehen von J. Lampert. Nakł. Herdera we Fryburgu, 1912, tom VII, wyd. 5 str. 861.

Das heilige Messopfer, dogmatisch, liturgisch und aszetisch erklärt. Dr Nikolaus Gihr. Nakł. Herdera we Fryburgu, 1912, wyd. 11—13. str. 686.

Die echte biblisch-hebräische Metrik. Dr Nivard Schlögl. Nakł. Herdera we Fryburgu, 1912 („Bibl. Studien" XVII—1). Str. 109.

Das Beichtsiegel in seiner geschichtlichen Entwicklung. P. Bertrand Kurtscheid O. F. M. Nakł. Herdera we Fryburgu, 1912, str. 188.

Theologia mystica et Epistola Christi ad hominem, auctore Joanne a Jesu Maria. **Pugna spiritualis**, auctore Laurentio Scupoli. („Bibl. ascetica mystica") Nakł. Herdera we Fryburgu, 1912, str. 594.

Christus. Manuel d'histoire des religions. Joseph Huby. Wyd. Gabr. Beauchesne et C-ie, Paris 1912, str. 1036.

O Antyklerykalizmie. List pasterski X. biskupa Wałęgi. Tarnów 1912, str. 67.

Wpływ biblii na Zygmunta Krasińskiego. Józef Andrzej Teslar. Odbitka z „Przegl. Polskiego". Nakł. autora, Kraków 1912, str. 30.

Poezye. Kaz. Przerwa Tetmajer. Tom VII. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa—Kraków 1912. str. 187.

Liryki. Juliusz Słowacki; wyboru dokonał Artur Górski. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa—Kraków, 1912. str. 47.

Wilno. Ludwika Życka. („Bibt. Młodzieży szkol." Nr. 143). Nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa—Kraków 1912, str. 47.

Sen nocy letniej. Baśń dram. William Szekspir, przekł. St. Koźmiana. („Bibl. uniw. ludow. i młodz. szkol." 168). Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Kraków, 1912, str. 71.

Stepowa panienka. Powieść. Henryk Zbierzchowski. Nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa—Kraków 1912, str. 232.

Dwa Ingresy. Jerzy Moszyński. Nakł. autora. Kraków 1912, str. 79.

O polskich tradycyach w wychowaniu. Stanisław Szczepanowski. Nakładem rodziny. Lwów, 1912, str. 322.

O samodzielność kraju. Stanisław Szczepanowski. (Pism i przemówień tom III). Nakładem rodziny, Lwów 1912, str. 576.

Das moderne Drama. Robert F. Arnold. II Aufl. Verlag von Karl J. Trübner, Strassburg 1912, str. 388.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydz. Filozoficzny. Serya III, tom IV, (ogólnego zbioru t. 49). Krsków 1911, str. 419. (Przyczynki do dziejów języka polskiego, Al. Brückner; Alcessus Ovidiani, Gustaw Przychocki; Uniwersytet Charkowski w pocz. swego istnienia, Dr L. Janowski; Polski Anti-Lukrecyusz, Tad. Sinko; Świat ptasi w „Balladynie", St. Schneider).

Tomiki misyjne. Artykuły, opowiadania, wiadomości treści religijnej i etnograficznej. Nakł. Sodalicyi św. Piotra Klawera. Tomik I. Kraków 1912, str. 32.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Jezus nas woła. Misteryum eucharystyczne w 23 scenach. Ks. Paweł Wieczorek. Tarnów 1912, str. 150.

Topiel. Dramat w 3 aktach. Stanisław Przybyszewski. Nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa—Kraków, 1912, str. 153.

Nieśmiertelne głupstwo. Powieść. Bogusław Adamowicz. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa—Kraków, 1912, str. 219.

Wiązanka majowa na cześć Matki Bożej. Zofia Hartingh. Nakładem księg. M. Szczepkowskiego, Warszawa 1912, str. 164 in 16°.

Marya Królowa miesiąca maja. Ks. Dr W. Galant. Nakł. Karola Miarki i Ski. Mikołajów 1912, str. 168 in 16°.

Zdrowaś Marya czyli nauki ku czci Najśw. Maryi Panny. Ks. Błażej Łaciak. Nakł. księg. F. Westa. Brody 1912, str. 274.

Doświadczenie religijne. Jan Hempel. Odbitka z „Krytyki". Kraków 1912, str. 27.

Monizm a filozofia. Kazimierz Błeszyński. Odbitka z „Krytyki". Kraków 1912, str. 41.

Mocny człowiek. Powieść. Stan. Przybyszewski. Nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa—Kraków 1912, str. 255.

Dwunastoletni żołnierz. M. Strebeykówna. („Bibl. młodz. szkolnej" 141). Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa—Kraków 1912, str. 31.

Legendy, podania i obrazki historyczne. XV. Królestwo Polskie po r. 1815. Cecylia Niewiadomska. („Bibliot. młodz. szkolnej" 145). Nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa—Kraków 1912, str. 45.

Program „Stronnictwa pracy narodowej" z siedzibą w Krakowie. Kraków 1912, str. 23.

Sprawozdanie i rachunki Banku ziemskiego w Poznaniu za rok 1911. Poznań 1912, str. 8.

Predigten und Betrachtungen über Sonn- und Festtags-Evangelien. Dr M. Eberherd. 4 Auflage. Nakł. Herdera we Fryburgu 1912, 6 tom, str. 448.

Homielien und Predigten. Dr. P. W. von Keppler. Nakł. Herdera we Fryburgu 1912, str. 345.

Religion und Poesie in ihrer innigen Verbindung. A. Pichler C. SS. R Nakł. Herdera we Fryburgu 1912, str. 223.

Gott mit uns. Theologie und Aszese des allerh. Altarssakrament. J. Albrecht O. S. B. Nakł. Herdera we Fryburgu 1910, str. 120.

S. Benedicti Regula monachorum. Ed. D. Cuthbertus Butler. Nakł. Herdera we Fryburgu 1912, str. 210.

Die Thomas- Legende und die ältesten historischen Beziehungen des Christentums zum fernen Osten, im Lichte der iudischen Altertumskunde. J. Dahlmann S. J. Nakł. Herdera we Fryburgu 1912, str. 174.

Miłość a ceny na zboże. Nowele satyryczne. A. Strinbdberg. Tłóm. J. M. Nakł. księg. Literackiej. Kraków 1912, str. 161.

Na drogę życia. Ks. T. Bzowski T. J. Nakł. Chyrowskiego koła im. Piotra Skargi. Chyrów 1912, str. 63 in 32°. Skład w księg. G. Westa w Brodach.

Stanisław Wyspiański. Stanisław Brzozowski. Nakł. księg. M. Hasklera, Stanisławów 1912, str. 177.

Ku uczczeniu X. Piotra Skargi

1612

1912

POZNAŃ, w grudniu 1911.

Trzechsetna rocznica śmierci Skargi, przypadająca na 27-go września 1912, porusza już dziś szerokie warstwy naszego społeczeństwa i pobudza je do zastanowienia, w jaki sposób najgodniej uczcić wiekopomną a wszechstronną działalność i niespożyte zasługi tego prawdziwie opatrznościowego męża. Akademia Umiejętności w Krakowie wezwała uczonych, aby jej nadsyłali prace swe o Skardze. »Przegląd Powszechny« podał do opracowania dwa tematy konkursowe (Rodzaj twórczości Skargi — Działalność społeczna Skargi). Wydawnictwo »Prądu« w Warszawie rozpisało konkurs na jubileuszowy Katechizm Skargi, we Lwowie i w Krakowie potworzyły się komitety jubileuszowe....

I nasza dzielnica, w której z konieczności energia i polot umysłów skierowany więcej ku zagadnieniom ekonomicznej natury, nie może pozostać obojętną na tak niezwykłą a tak głęboko w życie narodu wrzynającą się rocznicę.

Toż Skarga przez lat przeszło czterdzieści wiódł duszę polską wśród odmętów nowinek religijnych prostą drogą odwiecznych prawd Bożych w swoich kazaniach, zasilał ją skarbami dziejowych doświadczeń i wzniosłych przykładów w Żywotach Świętych i Rocz-

nych dziejach kościelnych, utrwalał ją i umacniał w jednem i drugiem Zawstydzeniu Aryanów, w Nowym Mesyaszu, dbał o Żołnierskie Nabożeństwo, o jedność Kościoła, pragnął ulżyć biedzie i nędzy przez Bractwo Miłosierdzia i św. Łazarza. A źródłem tej owocnej pracy było **Pismo święte.**

Mówi Birkowski w mowie przy pogrzebie Skargi: »Zawsześ go nalazł a on Pismo święte czytał, a czytał z poważnym rozmysłem. Nawet i w tej chorobie, która mu śmierć przyniosła, oczy jego i uszy nie były kędy indziej, jedno w Biblii«. Stamtąd czerpał on tę przebogatą mądrość, którą się jego dzieła odznaczają, te prześliczne obrazowania, budzące podziw, te natchnione słowa, które nakształt gromów padały na współczesnych a rozbrzmiewają wciąż jeszcze nad następnemi pokoleniami.

Aby oną treść, oną istotę najgłębszą działalności Skargi uprzystępnić społeczeństwu naszemu, wydajemy dzieło:

Pismo święte w dziełach X. Piotra Skargi.

Z benedyktyńską iście wytrwałością zestawił **X. Stanisław Okoniewski,** b. redaktor »Przeglądu Kościelnego«, wszystkie cytacye Pisma św., których niezmierna jest liczba we wszystkich dziełach Skargi, i ułożył z nich całość, która niepospolite wykazuje zalety. Jest to przedewszystkiem **własne** tłomaczenie Skargi, przewyższające niesłychanie tłomaczenie Wujka; wyrażenia silne, jędrne a oddające subtelnie myśl oryginału, przedstawienie plastyczne znamionują przekład Skargowski. W poszczególnych księgach Pisma św., z których księgi Rut, Tobiasz, Judyt i Ester są prawie całe, łączą się prześlicznie **najważniejsze zdarzenia biblijne z sobą harmonijnie.** W ten sposób **Pismo św. w dziełach X. Piotra Skargi** stanowić będzie lekturę pożyteczną i niezmiernie zajmującą *dla wszystkich* a zbliży na nowo tę krynicę najpiękniejszych myśli i najwznioślejszej poezyi, tę księgę ksiąg, do społeczeństwa naszego. Ale prócz tego ma to Pismo św., jak X. Okoniewski w II części dzieła swego wykazuje, doniosłość wielką jako przyczynek do tłomaczenia względnie poprawienia przekładu Pisma świętego. Nie wątpimy, że wskutek tego zainteresuje się tem dziełem ogół *duchowieństwa polskiego.*

I *dla filologów* nie będzie dzieło to bez zajęcia; autor zachowuje pisownię **pierwszych** wydań dzieł Skargi, uwzględniając i inne wydania pojawiające się za życia Skargi.

Dzieło to obejmować będzie około 40 arkuszy druku w wielkiej 8° (papier i format jak prospekt niniejszy).

Pragnąc przyczynić się do możliwie najszerszego rozpowszechnienia tej cennej jubileuszowej spuścizny Skargowskiej,

otwieramy na dzieło to subskrypcyę.

Dzieło całe w subskrypcyi (aż do 1. IV. 1912) kosztować będzie marek 9,40.

Po wyjściu dzieła z druku (w kwietniu 1912) cena znacznie podwyższoną zostanie.

Chcący korzystać z ceny subskrypcyjnej zechcą łaskawie posłużyć się poniższą kartą zamówień, przesyłając ją **na nasze ręce.**

Należytością obciążymy rachunek **dopiero przy dostarczeniu dzieła.**

Z szacunkiem i poważaniem

Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha
G. m, b. H.

Karta zamówień.

(Prosimy wyciąć i przesłać w kopercie otwartej, opłaconej 3 fen. lub hal. = 2 kop.)

Do Drukarni i Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Niżej podpisany zamawia po cenie subskrypcyjnej mk. 9,40

..... *egz.* ***X. St. Okoniewski,*** *Pismo Święte w dziełach X. Piotra Skargi.* (P. P.)

Życzę sobie ażeby książka powyższa dostarczoną mi została przez księgarnię p.

..... *w* .....

Należytością obciążyć mój rachunek bieżący. — Pobrać zaliczką pocztową. — Nadeślę po otrzymaniu książki. — Wysyłam równocześnie.

Imię i nazwisko .....

Miejscowość..... *Poczta*..... *Kraj*.....

Adresować prosimy: Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha, Poznań (Posen O. 1.)

Treny Jeremiasza

Rozdział 1

1. O iakoś owdowiało ludne y pełne krolestwo[1];
2. płacząc w nocy płaczesz y łzy twoie na iagodach twoich, nie masz ktoby cię ucieszył z onych miłych przyiacioł twoich, wszyścy tobą pogardzili y stali się nieprzyiaciołmi twemi.
   Wp 26
4. Bramy y zamki twoie popsowane: kapłani twoi wzdychaiący: panny twoie sprosne, wszystka cię gorzkość obięła.
5. Nieprzyiaciele twoi stoią na głowie twoiey.
   K 342
6. Spadła z ciebie wszytka ozdobność. Woiewody y pany twoie pędzą w niewolą iako barany, ktore paszey nie nayduią[2].
   Wp 26
11. Wszytek lud stękać będzie szukaiąc chleba; dadzą drogie kleynoty za potrawę, na ochłodę dusze[3].
    OS 226
15. Odebrał odemnie wielmożne moie Pan Bog, przyzwał na mię czas[4].
    OS 397
20. W polu miecz a w domu takaż śmierć[5].
    Wp 26

---

1 K 342: O miasto iako siedzisz by wdowa osierociała; K 673: y będziecie iako wdowa osierociała wy, coście drugie narody rządzili.

2 K 342: Panowie twoi iako barani bez paszey pognani są w niewolą; K 705: Tak spętaią pany y pożoną iako barany w cudze strony.

3 Wp 26: Lud wszytek stęka, chleba szukaiąc, y drogie rzeczy za pokarm daią tylo na ochłodę dusze; K 343: na ochłodzenie dusze.

4 Wyjaśnia Skarga: »to iest, ukazał mi ten zły czas, gdy mi pany y przemożne moie pobrał, abych żadney obrony nie miał«.

5 OS: Przed domem miecz, a w domu takaż (od głodu) śmierć.

Skrócenia: Wp = Wzywanie do pokuty 1610; K = Kazania na niedziele y święta całego roku 1595; OS = Kazania o siedmi Sakramentach 1600.

Uwaga: W przypisach umieszczono waryanty tekstu oraz wyjaśnienia Skargowskie miejsc trudniejszych.

Drukarnia i Księgarnia Św. Wojciecha w Poznaniu.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Nowe poglądy na dzieci. Przez *M. S.*	1*—22*
Popularyzacya Pragmatyzmu u Nas. Przez *Dr. Jana Gonta*	1
Problem Agrarny w Socyalizmie. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	15
Wycieczka Pedagogiczna Uczniów do Francuskiej Szwajcaryi. Przez *Dr. Romana Jamrógiewicza*	29
Z Przyszłego Tomiku Poezyj. Przez *Krystynę Saryusz Zaleską*	43
Karta z Badań Dyplomatycznych Ks. Pierlinga. Przez *Dr. M. Gozdawę*	46
Po zamknięciu Wystawy Sztuki Kościelnej. (Dok.) Przez *ks. Józefa Tuszowskiego T. J.*	67
Indywidualność Twórcza Skargi. Praca nagrodzona na konkursie *Przeglądu Powszechnego*. Przez *St. Miterę*	80 234 367
250-letni jubileusz wszechnicy lwowskiej. Przez *ks. J. Pawelskiego T. J.*	1*—4*
Ks. Antoni Tyczyński z Albigowej. (Z powodu 25-letniej działalności na parafii). Przez *dra Fr. Bujaka*	137
Kwestya religijna w chwili obecnej. Przez *ks. Fr. Klimkego T. J.*	153
Problem społeczno-agrarny Vogelsanga w stronnictwie chrześcijańsko-społecznem. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	178
Znaczenie odkryć na Wschodzie, a szczególniej w Palestynie od r. 1888—1911 wobec nauk biblijnych. Przez *ks. W. Michalskiego C. M.*	188 383
Ita-Pater! Wiersz. Przez *Siostrę Stanisławę*	205
Kwestya drożyzny. (Dokończenie). Przez *dr. Włodzimierza Czerkawskiego*	207
Wobec propagandy schizmy w Galicyi. (Na podstawie autopsyi). Przez *ks. J. Urbana T. J.*	297

Żywy pomnik na rocznicę Skargi. Przez *ks. K. Zimmermanna* 312
Głos Izajaszowy do młodzieży polskiej. (Urywki z pośmiertnej teki Deotymy) 330
Cel i zadania szkoły dzisiejszej. Przez *Kazimierę Proczkównę* 333
Ustawy agrarne w czasie przesilenia w Austryi. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* 353

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Chopin: Życie i twórczość. Ferdynand Hoesick. — Chopin jako twórca. Henryk Opieński. — Dzieje muzyki w życiorysach. W. Stefanowska-Tobiczyk i Lesław Jaworski. — Ryszard Wagner. Zdzisław Jachimecki. — Wspomnienia... w podróży r. 1823. Karol Kurpiński. (*Dr. Adolf Chybiński*). 100
Soból i panna. Znaj pana i inne nowele. J. Weyssenhoff. (*M. Ruszczyńska*). 103
Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794 roku. Wacław Tokarz. (*Ks. K. Konopka T. J.*) 107
M. Tullius Cicero, życie i dzieła. Kazimierz Morawski. (*Dr. Adam Miodoński*). 247
Konfederacya narodu polskiego w r. 1876. Fr. Rawita-Gawroński (*Dr. St. Zdziarski*). 252
Biskupi przemyscy obrządku łacińskiego. Ks. Władysław Sarna. (*Ks. K. Konopka T. J.*) 255
Klemens z Aleksandryi o siedmdziesięciu tygodniach Daniela proroka. Ks. Dr. Władysław Hozakowski. (*Ks. Wł. Szczepański T. J.*) . . 408
Badania doświadczalne nad pamięcią. Telepatya doświadczalna, jako zjawisko kryptomnezyi. Edward Abramowski. (*A. Podoleński T. J.*) 409
Z epoki Mickiewicza. Władysław Bełza. (*Dr. Stanisław Zdziarski*). . . 413

Z piśmiennictw obcych.

De prototypo quodam romano adorationis Magorum. Petrus Bieńkowski. (*Ks. Karol Feliś T. J.*) 111
Un Newman Russe: Vladimir Soloviev. Michel D'Herbigny. (*Ks. J. Urban T. J.*) 113
»La route du bonheur«. Yvonne Sarcey. (*Helena Skolimowska*) . . 115
Die Kirchenbauten der deutschen Jesuiten. Von Joseph Braun S. J. (*Ks. Ludwik Rudnicki T. J.*) 259
Ein Jahrtausend lateinischen Hymnendichtung. Guido Maria Dreves, Dr. Theol. (*Ks. Karol Ranoszek T. J.*) 416
Le métier de roi. P. Collete Yver. (*Teresa Wodzicka*) 419

Zapiski bibliograficzne.

Wierzę w święty Kościół powszechny. Ks. Dr. Adam Kopyciński. (*J. U.*) 116
Zbiór wykładów apologetycznych. Pod red. Ks. Dr. Trzcińskiego. (*J. U.*) 116

Pisma Adama Mickiewicza. Wydał Józef Kallenbach. (*Zet.*) 116
Henryka Pustowójtówna. Fr. Rawita-Gawroński. (*Zet.*) 117
Die Fülle der Gnaden. August Poulain S. J. (*J. U.*) 118
Enchiridion liturgicum. Josephus Erker. (*J. U.*) 118
Chopiniana. Ferdynand Hoesick. (*Dr. A. Ch.*) 261
Pastoralmedicin. Von Dr. Ernst W. M. von Olfers. (*Ks. Jan Dragosz.*) . 262
Ein österreichischer Reformator. Von P. A. Innerkofler C. Ss. R. P. Paul Ginhac S. J. Von A. Calvet S. J. Die selige Magdalena Sophie Barat und ihre Stiftung. Von Bischof Keppler. (*Bar.*) 263
Studier i svensk folklore. Tobias Norlind. (*Dr. A. Ch.*) 264
Handbuch der Paramentik. Von Jeseph Braun S. J. (*B. L.*) 265
Protestantismus und Toleranz im XVI. jahrhundert, von Nikolaus Paulus. (*B. L.*) 265
P. Antonio de Escobar y Mendoza als Moraltheologe in Pascals Beleuchtung und im Lichte der Wahrheit, von Dr. Karl Weis. (*B. L.*) 265
Wo ist das Glück? Von Arthur Maria Baron Lüttwitz. (*B. L.*) 265
Portrety polskie wydane przez Maryę z hr. Branickich ks. Jerzową Radziwiłłową (*L. R.*) 429
Kronika Polskich Rodów Szlacheckich, Podola, Wołynia i Ukrainy. Przez Kazimierza Pułaskiego. (*J. S.*) 430
Notatka o niektórych naszych siedzibach trynitarskich. Wołyniak (*J. U.*) 431
Widoki Warszawy i jej okolic Karola Alberti'ego, malarza nadwornego hesko-darmsztadzkiego ze schyłku XVIII wieku. Aleksander Kraushar (*J. U.*) 431
Proroctwa Starego Testamentu a Chrystyanizm. Ks. B. Wilanowski (*J. U.*) 431
Pisma Aleksandra Jabłonowskiego (*J. U.*) 431
Lose Blätter. Von Dr. Lorenz Kellner. (*B. Wolnik*) 432
Elementa philosophiae Scholasticae auctore Dr. Seb. Reinstadler. Summa Philosophiae Christianae auctore J. Donat S. J. (*S. M.*) . . . 432
Cursus philosophicus in usum scholarum. Logica auctore C. Frick S. J. Theologia naturalis auctore B. Boedder S. J. (*S. M.*) 433
De actibus humanis auctore V. Frins S. J. (*R. B.*) 433
Boy. Roman von Luis Coloma T. J. (*R.*) 433

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: Walne zgromadzenie katolickie w Krakowie. — Położenie katolików belgijskich. — Nowe zawikłanie w łonie kościoła ormiańskiego w Turcyi. — Skutki religijnego upadku Francyi. — Katolicki Kościół w Stanach Zjednoczonych. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 119
Międzynarodowy ruch kobiecy katolicki. 126
Grecko-madyarska Cerkiew. Przez *Ks. M. Hellona T. J.* 129
Restauracya krużganków kościoła OO. Franciszkanów. Przez *Franciszka Kleina* 131

MAJ.

Sprawy Kościoła: Szkolnictwo katolickie we Francyi. — Po wyborach do rady miejskiej Wiednia. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 266

Ze świata nauk i wynalazków. Najnowsza elektrownia. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* 271
W Monte Carlo. Przez *dr. Leopolda Caro.* 281
Polemika o »Literaturę i religię u Żydow za czasów Chrystusa Pana«. Replika autora książki. Przez *ks. Dr. Stanisława Trzeciaka.* Odpowiedź recenzenta. Przez *ks. Jana Wasilewskiego* 286

CZERWIEC.

Sprawy Kościoła: Unia katolicka. — Wybory w Belgii. — Germanizacya i protestantyzacya. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 435
Nowe kościoły w Księstwie Poznańskiem. Przez *Franciszka Kleina* . . 439
Konkursy na stypendya Akademii Umiejętności w Krakowie 444
Konkurs literacki 446